

**ROBERT
LUDLUM**

**OPCJA
PARYSKA**

PRZEKLAD: JAN KRAŠKO

ROBERT

LUDLUM

OPCJA

PARYSKA

PRZEKŁAD: JAN KRAŚKO

1

Spis treści

Spis treści	2
Prolog	3
Część 1	5
Rozdział 1	6
Rozdział 2	12
Rozdział 3	17
Rozdział 4	21
Rozdział 5	26
Rozdział 6	34
Rozdział 7	42
Rozdział 8	49
Rozdział 9	57
Rozdział 10	65
Rozdział 11	70
Rozdział 12	75
Rozdział 13	81
Część 2	85
Rozdział 14	86

Rozdział 15	92
Rozdział 16	99
Rozdział 17	105
Rozdział 18	112
Rozdział 19	119
Rozdział 20	126
Rozdział 21	133
Rozdział 22	139
Rozdział 23	144
Rozdział 24	152
Rozdział 25	157
Rozdział 26	164
Rozdział 27	171
Część 3	179
Rozdział 28	180
Rozdział 29	187
Rozdział 30	194
Rozdział 31	200
Rozdział 32	206
Rozdział 33	212
Rozdział 34	217
Rozdział 35	222
Rozdział 36	229
Rozdział 37	234

<u>Rozdział 38</u>	<u>238</u>
<u>Rozdział 39</u>	<u>243</u>
<u>Rozdział 40</u>	<u>249</u>
<u>Rozdział 41</u>	<u>254</u>
<u>Epilog.....</u>	<u>259</u>
<u>Podziękowania</u>	<u>262</u>

Prolog

Paryż, Francja

5 maja, poniedziałek

W wąskich uliczkach i na szerokich bulwarach zaszumiały pierwsze podmuchy ciepłego wiosennego wiatru, wyciągając z domu zmęczonych zimą paryżan. Tłumnie wylegli na chodniki, spacerowali, trzymając się za ręce, okupowali stoliki ogródkowych kafejek, śmiali się i rozmawiali. Nawet turyści przestali narzekać; był to ów czarowny Paryż obiecany przez wszystkie przewodniki.

Zajęci kieliszkami pitego pod gwiazdami *vin ordinaire*, czciciele wiosny przy tętniącej życiem rue de Vaugirard nie zwrócili uwagi na dużą, czarną furgonetkę Renault z zaciemnionymi szybami, która skręciła z ruchliwej ulicy w bulwar Pasteura, z bulwaru w rue du Dr Roux, by wreszcie wjechać w cichą, spokojną rue des Volontaires, gdzie jedyną oznaką życia była całująca się w bramie para.

Furgonetka zatrzymała się przed Instytutem Pasteura. Zgasł silnik, zgasły światła. Samochód stał w ciszy, dopóki niczego nieświadomi w swym błogim szczęściu młodzi nie zniknęli w domu po drugiej stronie ulicy.

Wtedy otworzyły się drzwiczki i z furgonetki wysiadło czterech ubranych na czarno mężczyzn w kominiarkach. Gdy niemal niewidzialni, z plecakami i pistoletami maszynowymi Uzi w ręku, przemknęli przez noc, w mrocznym cieniu spowijającym budynek zmaterializowała się postać człowieka, który wprowadził ich na teren instytutu. Na opustoszałej ulicy znowu zapanowała cisza.

Na rue de Vaugirard zaczął grać uliczny muzyk. Wraz z wieczornym wiatrem, ze śmiechem i zapachem wiosennych kwiatów gardłowe, aksamitnie miękkie tony saksofonu wpadły przez otwarte okna do budynków Instytutu Pasteura. W tym słynnym ośrodku badawczym pracowało ponad dwa i pół tysiąca naukowców, techników, studentów i administratorów.

Wielu z nich ślęczało nad badaniami do późnej nocy.

Intruzi się tego nie spodziewali. Czujni i ostrożni, unikali głównych ścieżek, przemykając pod drzewami i ścianami, nieustannie nasłuchując, obserwując okna i najbliższą okolicę.

Im bliżej rue de Vaugirard, tym wesoły wiosenny gwar był głośniejszy.

Ale doktor Emile Chambord, który siedział samotnie przy komputerze w laboratorium na opustoszałym parterze jednego z budynków, nic nie słyszał. Laboratorium miał wielkie, jak przystało na najwybitniejszego badacza instytutu. Było wyposażone w rzadki i niezwykle cenny sprzęt, łącznie z zautomatyzowanym czytnikiem genetycznym i mikroskopem skanin-gowo-tunelowym, który rejestrował ruchy pojedynczych atomów. Jednakże tego wieczoru znacznie bardziej osobisty i ważniejszy był dla doktora plik dokumentów pod jego lewym łokciem i otwarty notatnik, w którym

skrupulatnie zapisywał wyniki ostatnich doświadczeń.

Jego niecierpliwe palce zamarły na klawiaturze podłączonej do dziwnie wyglądającego urządzenia, które na pierwszy rzut oka miało więcej wspólnego z ośmiornicą niż ze zwykłym komputerem. Sercem urządzenia był przechowywany w ściśle kontrolowanej temperaturze szklany pojemnik. Przez jego ścianki widać było błękitnosrebrzyste paczuski żelu zanurzone

- niczym przezroczyste jaja - w przypominającej pianę galaretowatej substancji. Paczuski były połączone ze sobą cieniutkimi rurkami, a pojemnik przykrywało wieko. Miejsca, gdzie stykało się z żelem, wyłożono metalicznymi płytkami, nad tym wszystkim zaś ustawiono przyrząd wielkości zwykłego komputera ze skomplikowaną tablicą rozdzielczą, na której niczym małe, niespokojne oczy nieustannie mrugały kolorowe światełka. Z przyrządu odchodziły kolejne rurki połączone z przykrywającym szklany pojemnik wiekiem, a liczne kable i 3

przewody łączyły go z klawiaturą, monitorem, drukarką i innymi urządzeniami elektronicznymi.

Doktor Chambord wystukiwał na klawiaturze polecenia, obserwował ekran monitora, zerkał na tablicę rozdzielczą ze światełkami i nieustannie sprawdzał temperaturę paczuszek żelu. Wciąż zapisywał dane w notatniku. W pewnej chwili gwałtownie się wyprostował, objął

wzrokiem stojącą przed nim aparaturę i znieruchomiał. W końcu skinął głową, wystukał na klawiaturze ciąg pozornie bezsensownych znaków - liter, liczb i symboli - po czym włączył stoper.

Nerwowo postukując nogą, zabębnił palcami w laboratoryjny stół, ale już dwanaście sekund później ożyła drukarka. Gdy wypłuła arkusz papieru, Chambord, z trudem panując nad podnieceniem, zatrzymał stoper i coś zanotował. W końcu niecierpliwie wyszarpnął papier z drukarki.

Czytając, uśmiechnął się do siebie.

- *Mais, oui!*

Wziął głęboki oddech i wprowadził do komputera kolejną serię poleceń. Dane ukazywały się na ekranie tak szybko, że nie nadążał przebierać palcami. Pracując, coś do siebie mamrotał. Chwilę później zeszywniał, spięty pochylił się do przodu i wyszeptał:

- Jeszcze jeden... Jeszcze jeden... Jest!

Roześmiał się głośno i triumfalnie, spojrzawszy na zegar na ścianie. Za pięć dziesiąta. Odnotował to i wstał.

Z rozpromienioną twarzą schował dokumenty i notatnik do sfatygowanej teczki, podszedł do drzwi i ze staromodnej szafy wyjął płaszcz. Wkładając kapelusz, jeszcze raz zerknął

na zegar ścienny i wrócił do swego skomplikowanego urządzenia. Zatańczył palcami na klawiaturze, przez chwilę uważnie obserwował ekran monitora, w końcu wyłączył aparaturę.

Dziarskim krokiem ponownie ruszył do drzwi, otworzył je i wyrztał na mroczny, opustoszały korytarz. I nagle nie wiadomo dlaczego ogarnęły go złe przeczucia.

Szybko je od siebie odpędził. Nie, pomyślał. Trzeba się cieszyć, to wielkie osiągnięcie.

Uśmiechając się szeroko, wyszedł z laboratorium. Lecz zanim zdążył zamknąć za sobą drzwi, otoczyło go czterech ubranych na czarno ludzi.

Pół godziny później ich szczupły, dobrze zbudowany przywódca przystanął, obserwując, jak podwładni kończą załadunek furgonetki. Gdy tylko zamknęli drzwiczki, jeszcze raz ogarnął wzrokiem cichą, spokojną ulicę i wskoczył do szoferki. Dał znak kierowcy i samochód ruszył w stronę zatłoczonej rue de Vaugirard, by już po chwili zniknąć wśród dziesiąt-ków innych samochodów.

Na chodnikach i w kafejkach trwała wesoła hulanka. Przybywało ulicznych muzyków, strumieniami płynęło wino. I nagle, bez najmniejszego ostrzeżenia, budynek mieszczący laboratorium doktora Chamborda w legendarnym Instytucie Pasteura eksplodował w olbrzymiej kuli ognia. Zatrzęsła się ziemia. Płomienie buchnęły ze wszystkich okien, strzelając w czarne niebo gorącymi, czerwono-żółtymi jęzorami, które widać było z odległości wielu kilometrów.

Gdy na spowitą w chmurze popiołu ulicę spadł deszcz iskier, odłamków szkła i cegieł, przerażony tłum rozpierzchnął się z krzykiem.

Część 1

5

Rozdział 1

Wyspa Diego Garcia,

Ocean Indyjski

O godzinie 6.54, gdy pierwsze promienie wschodzącego słońca oświetliły ciepłe, błę-

kitne wody Szmaragdowej Zatoki w lagunie podkowiastego atolu, stojący przy oknie wieży kontrolnej dowódca zmiany pożałował, że jest na służbie. Powoli zamrugał i odpłynął myśłami w dal.

Główne centrum łączności amerykańskiej marynarki wojennej, siedziba dowództwa tej strategicznie położonej i operacyjnie bezcennej bazy, wymagało od żołnierzy mnóstwa pracy.

Musieli kontrolować przebieg i zapewnić wsparcie wszystkim operacjom morskim, powietrznym i lądowym. Nagrodą za tę harówkę była sama wyspa, miejsce odległe i zadziwiająco piękne, gdzie kojący rytm rutyny szybko zagłuszał wszelką ambicję.

Dowódca zmiany postanowił właśnie zaraz po służbie zażyć długiej kąpieli w morzu, gdy wtem, dokładnie o 6.55, wieża straciła łączność z napowietrzną flotyllą bombowców B-1B i B-52, samolotów wczesnego wykrywania AWACS, maszyn patrolowych P-3 Orion i samolotów szpiegowskich U-2, które odbywały różne misje, łącznie z superważnymi i tajnymi misjami wsparcia rozpoznawczego i radiolokacyjnego.

Myśl o tropikalnej lagunie momentalnie pierzchła. Dowódca wrzaskliwie wydał rozkazy i odepchnął od konsoly jednego z techników, żeby zobaczyć, co się stało. Gorączkowo próbowali odzyskać łączność. Ich uwaga skupiła się na przyrządach, odczytach i ekranach.

Na próżno. Robili wszystko, lecz nic nie pomagało. O 6.58, z trudem panując nad ogarniającą go paniką, dowódca zmiany powiadomił dowódcę bazy.

O 6.59 dowódca bazy zadzwonił do Pentagonu.

I nagle, co dziwne i zupełnie niewytłumaczalne, punktualnie o siódmej, a więc pięć minut później, łączność ze wszystkimi samolotami po wróciła - dokładnie w tej samej sekundzie.

Fort Collins, Kolorado

6 maja, wtorek

Gdy nad rozległą prerią weszło słońce, campus uniwersytetu stanowego w Kolorado załała złotawa poświata. W jednym z nierzucających się w oczy budynków doktor Jonathan (Jon) Smith pochylił się nad mikroskopem, delikatnie ustawił cieniuteńką szklaną igłę i umie-

ścił prawie niewidoczną kropelkę płynu na płaskiej, okrągłej podstawie, tak małej, że zmieściłaby się na główce szpilki. Co uderzające i pozornie niemożliwe, w obiektywie silnego mikroskopu podstawka wyglądała jak elektroniczny obwód scalony.

Smith pokręcił gałką, regulując ostrość.

- Dobra - wymamrotał z uśmiechem. - Jest nadzieja.

Był nie tylko ekspertem w dziedzinie wirusologii i biologii molekularnej, ale i lekarzem wojskowym, podpułkownikiem stacjonującym czasowo wśród strzelistych sosen i falujących wzgórz Kolorado, gdzie mieściło się CDC (Centrum Kontroli Chorób Zakaźnych). Oficjalnie oddelegowany przez USAMRIID (Amerykański Wojskowy Instytut Chorób Zakaźnych), miał

kontynuować tu badania nad ewoluującymi wirusami.

6

Tyle że wirusy nie miały nic wspólnego z delikatnymi procesami, które zachodziły tego ranka pod jego mikroskopem. Wojskowy Instytut Chorób Zakaźnych był głównym medycznym ośrodkiem badawczym amerykańskiej armii, a Centrum Kontroli Chorób Zakaźnych stanowiło jego cywilny odpowiednik. Ośrodki te zwykle ze sobą rywalizowały. Ale nie tutaj i nie teraz, gdyż wrząca w laboratoriach praca miała jedynie pośredni związek z medycyną.

Smith był członkiem mało znanego połączonego zespołu badawczego, który uczestniczył w międzynarodowym wyścigu do stworzenia pierwszego na świecie komputera molekularnego, wykuwając bezprecedensową więź między informatyką a naukami przyrodniczymi.

Koncepcja ta intrygowała go jako naukowiec i stanowiła wyzwanie dla jego doświadczenia w dziedzinie mikrobiologii. O tej nieludzkiej godzinie przywiodło go do laboratorium coś, co -

taką przynajmniej żywił nadzieję - miało dokonać przełomu w molekularnych obwodach scalonych, zbudowanych ze specjalnych organicznych polimerów, nad których stworzeniem on i jego koledzy pracowali dniami i nocami.

Gdyby odnieśli sukces, nowe obwody oparte na strukturze DNA można by wielokrotnie rekonfigurować, dzięki czemu silikon, główny składnik współczesnych płytek drukowanych układów komputerowych, odszedłby do lamusa. Zresztą tak byłoby dużo lepiej. Technologia silikonowa znalazła się u kresu swych możliwości i kolejnym logicznym - choć trudnym -

krokiem była teraz technologia biologiczna. Gdyby udało się skonstruować działający model komputera molekularnego, byłoby to urządzenie szybsze i potężniejsze nad wszelkie wyobra-

żenie i właśnie dlatego interesowały się nim wojsko i USAMRIID.

Badania te fascynowały Smitha od zawsze, więc gdy tylko doszły go plotki o tajnym projekcie cywilno-wojskowym, załatwił sobie przydział i z ochotą rzucił się w wir technologicznej rywalizacji i walki o przyszłość, od której dzieliła ich ledwie grubość atomu.

- Się masz, Jon. - Do opustoszałego laboratorium wtoczył się na wózku Lany Schulenberg, jeden z ich czołowych speców od biologii komórkowej. - Słyszałeś o Pasteurze?

Smith poderwał głowę.

- Nie słyszałem nawet, jak otwierasz drzwi. - Dopiero teraz spostrzegł, że Larry ma po-sepną minę. - O Pasteurze? - powtórzył. - Nie. Co się stało? - Podobnie jak CDC i USAMRIID, Instytut Pasteura był światowej sławy ośrodkiem badawczym.

Pięćdziesięciokilkuletni Schulenberg, energiczny, na brąz opalony mężczyzna ogolony na łyso, nosił w uchu mały brylantowy kolczyk i miał potężnie umięśnione ramiona, ponieważ od wielu lat miał bezwładne nogi i poruszał się siłą rąk.

- Był tam jakiś wybuch - odrzekł ponuro. - Tragiczny w skutkach. Zginęła masa ludzi.

- Pogrzebał w pliku dokumentów na kolanach i wyjął z nich wydruk.

- Boże! - wyszeptał Jon. - Ale jak to się stało? Wypadek? W laboratorium?

- Francuska policja uważa, że nie. Raczej bomba. Sprawdzają byłych pracowników. -

Larry zawrócił wózek i ruszył do drzwi. - Pomyślałem, że zechcesz o tym wiedzieć. Dostałem e-maila od Jima Thrane z Porton Down i ściągnąłem to z Internetu. Muszę sprawdzić, kto jeszcze tu jest. Ta wiadomość zainteresuje wszystkich.

- Dzięki, Larry. - Gdy Schulenberg zniknął na korytarzu, Jon szybko przeczytał krótką notatkę. I ze ściśniętym żołądkiem natychmiast przeczytał ją ponownie.

Wybuch w Instytucie Pasteura

Paryż. O 22.52 potężna eksplozja doszczętnie zniszczyła dwupiętrowy budynek mieszczący biura i laboratoria szacownego Instytutu Pasteura. Zginęło co najmniej dwanaście osób, cztery są w stanie krytycznym. Na pogorzelisku trwają intensywne poszukiwania innych ofiar.

Specjaliści ze straży pożarnej twierdzą, że znaleźli dowody użycia materiałów wybuchowych. Do zamachu nie przyznała się żadna grupa terrorystyczna. Rozpo-7

częto szeroko zakrojone śledztwo, które obejmie również ostatnio zwolnionych pracowników instytutu.

Wśród ocalałych jest dr Martin Zellerbach, specjalista komputerowy ze Stanów Zjednoczonych, który odniósł obrażenia głowy...

Jon zmartwiał. Zamarło mu serce. Doktor Martin Zellerbach... odniósł obrażenia głowy... Marty? Przed oczami stanęła mu twarz starego przyjaciela i kurczowo zacisnął palce na kartce papieru. Krzywy uśmiech, badawcze zielone oczy, które skrzyły się wesoło, by nagle zmatowieć, gdy Marty pograżał się w zadumie, a może odlatywał myślą w kosmos. Niski, pulchny, chodził tak niezgrabnie, jakby nie nauczył się poruszać nogami. Miał zespół Aspergera, rzadkie zaburzenie rozwoju mieszczące się w mniej dokuczliwym spektrum autyzmu. W

jego przypadku choroba ta charakteryzowała się obsesyjną skłonnością do konsumpcji, wysoką inteligencją, upośledzeniem komunikacji dwustronnej i wybitnym talentem w dwóch dziedzinach: matematyce i elektronice. Krótko mówiąc, Marty był geniuszem komputerowym.

Jon nerwowo odchrząknął. Gardło ścisnął mu lęk. Obrażenia głowy. Jak poważne? O

tym w notatce nie pisano. Wyjął z kieszeni telefon wyposażony w specjalne urządzenie szyfrujące i zadzwonił do Waszyngtonu.

On i Marty dorastali razem w Iowa, gdzie Jon bronił go przed docinkami złośliwych kolegów, a nawet nauczycieli, którzy nie mogli uwierzyć, że ktoś o tak wysokim ilorazie inteligencji nie jest celowo niegrzeczny, że jego zachowanie jest wynikiem choroby. Zespół

Aspergera wykryto u niego, gdy był już starszy i w końcu przepisano mu lekarstwa, dzięki którym mógłby w miarę trzeźwo stąpać po ziemi. Ale on lekarstw nie znosił i ułożył sobie życie tak, żeby ich unikać. Przez wiele lat nie wychodził ze swego przytulnego mieszkania w Waszyngtonie. Miał tam najnowocześniejsze komputery, oprogramowanie, które nieustannie ulepszał; w takich warunkach jego twórczy umysł kwitł, wolny i nieskrępowany. Konsultowali się z nim biznesmeni, naukowcy i badacze z całego świata, lecz tylko elektronicznie, nigdy osobiście.

Co ten nieśmiały komputerowy geniusz robił w Paryżu?

Ostatnim razem zgodził się wyjść z domu przed półtora rokiem i bynajmniej nie nakłoniło go do tego łagodną perswazją. Nie. Do opuszczenia mieszkania zmusiły go grad kul i początek katastrofy wywołanej przez Hades, wirusa, który zabił narzeczoną Smitha, Sopię Russell.

Jon usłyszał w słuchawce sygnał, lecz zamiast w odległym Waszyngtonie, dzwonek telefonu komórkowego zdawał się brzmieć niezwykle blisko, tuż za drzwiami laboratorium.

Dziwne. Niemal niesamowite.

- Halo? - Głos Nathaniela Fredericka (Freda) Kleina.

Smith odwrócił się gwałtownie i spojrział na drzwi.

- Proszę wejść, panie dyrektorze.

Cicho jak duch, wciąż trzymając w ręku telefon, do laboratorium wszedł szef Jedyński, supertajnej komórki wywiadowczo-kontrwywiadowczej.

- Już słyszałeś - powiedział. - Powinienem się być domyślić, że zadzwonisz. - Wyłączył komórkę.

- O Martym? Tak, przed chwilą. Co pan o tym wie? I co pan tu właściwie robi?

Klein bez słowa minął rząd zastawionych lśniącoymi probówkami stołów, za którymi już wkrótce mieli zasiąść naukowcy i asystenci z CDC i USAMRIID. Przystanął przy stole Smitha, przysiadł na kamiennym blacie i z posępną twarzą założył ręce. Jak zwykle miał na sobie wymięty garnitur, tym razem brązowy, i był niezwykle blady, jako że rzadko kiedy widywał

słońce; on nie działał na szerokich, otwartych przestrzeniach. Dość wysoki - miał metr osiemdziesiąt wzrostu - w drucianych okularach, lekko łysiejący, o wysokim, inteligentnym czole, mógłby uchodzić za każdego, od wydawcy poczynając, na fałszerzu kończąc.

8

W zamyśleniu spojrział na Smitha i ze współczuciem powiedział:

- Twój przyjaciel żyje, ale jest w śpiączce. Nie będę cię okłamywał. Lekarze bardzo się o niego martwią.

Mroczny ból po stracie Sopię wciąż bardzo Smithowi doskwierał, a wypadek Marty'

ego jeszcze bardziej go spotęgował. Ale Sopię odeszła i na dobrą sprawę odszedł też Marty.

- Co on robił w Paryżu, u diabła?

Klein wyjął z kieszeni fajkę i kapciuch.

- Tak, też się nad tym zastanawialiśmy.

Jon chciał coś powiedzieć, lecz się zawahał. Niewidzialna dla organów rządowych Jedyńka - o jej istnieniu wiedział tylko Biały Dom - pracowała całkowicie poza zasięgiem oficjalnej biurokracji wojskowo-wywiadowczej i poza przenikliwym wzrokiem Kongresu. Jej tajemniczy dyrektor ukazywał się publicznie jedynie wtedy, gdy dochodziło do wydarzeń o sile trzęsienia ziemi... lub mogło do nich dojść. Jedyńka była organizacją bez formalnej struktury organizacyjnej; nie miała ani siedziby, ani urzędów, ani oficjalnych przedstawicieli. W jej skład wchodził nieznaną się nawzajem eksperci z wielu różnych dziedzin. Wszyscy mieli doświadczenie w tajnej pracy w terenie, większość służyła kiedyś w wojsku. Ludzie ci nie byli z nikim związani. Nie mieli rodziny, nie mieli rodzinnego domu, nie mieli też zobowiązań ani stałych, ani nawet tymczasowych.

Należał do nich Jon Smith, jeden z kilku najwybitniejszych agentów Kleina.

- Przyjechał pan w związku z Martym - powiedział. - W związku z tym, co wydarzyło się w Instytucie Pasteura. Coś się dzieje, prawda?

- Chodźmy na spacer. - Klein podsunął okulary na czoło i zaczął nabijać fajkę.

- Tu nie wolno palić - uprzedził go Jon. - Cząsteczki dymu mogą zanieczyścić DNA.

Klein westchnął.

- Jeszcze jeden powód, żeby pójść na spacer.

Fred Klein - i jego organizacja - nie ufał nikomu i niczemu, niczego nie uważał za rzecz oczywistą. Nawet w oficjalnie nieistniejącym laboratorium ktoś mógł założyć podsłuch i wła-

śnie dlatego dyrektor chciał wyjść na dwór. Jon zamknął drzwi na klucz. Ramię w ramię zeszli na dół, mijając po drodze laboratoria i biura. Tylko w kilku pomieszczeniach paliło się światło. W całym budynku było ciemno i cicho.

Promienie porannego słońca padały skosem na świerki, zalewając je od wschodu migotliwą poświatą. Od zachodu drzewa wciąż otulał cienisty mrok. Na horyzoncie strzelały w niebo Góry Skaliste. Ich wystrzępione szczyty tonęły w ciepłym blasku, lecz w dolinach wciąż zalegał szkarłatny półmierzch. W powietrzu unosił się aromatyczny zapach sosen.

Klein przeszedł kilka kroków i przystanął, żeby zapalić fajkę. Pykał z niej dopóty, dopóki dym nie przesłonił mu twarzy. Rozpędził go machnięciem ręki i rzucił:

- Chodźmy. - Ruszyli w stronę drogi. - Opowiedz mi o swojej pracy. Jak wam idzie? Co z tym komputerem? Zbudujecie go wreszcie?

- Chciałbym. Posuwamy się do przodu, ale bardzo powoli. Badania są skomplikowane.

Rząd każdego kraju na świecie chciałby mieć komputer molekularny jako pierwszy, ponieważ dzięki niemu w kilka sekund można by złamać dowolny szyfr. Przerazająca perspektywa, zwłaszcza dla wojskowych systemów obronnych. Wszystkie amerykańskie rakiety nuklearne, tajne systemy satelitarne NSA (Agencji Bezpieczeństwa Narodowego) i NRO (Narodowego Urzędu Zwiadowczego), zdolność operacyjna całej amerykańskiej floty, amerykań-

skie plany obronne - dosłownie wszystko, co polegało na elektronice, znalazłoby się na łasce i niełasce pierwszego komputera molekularnego. Nie wygrałby z nim nawet największy i najpotężniejszy komputer silikonowy.

- Kiedy zobaczymy pierwszy? - spytał Klein.

- Za kilka lat - odrzekł bez wahania Smith. - Za kilka albo za kilkanaście.

- Kto jest najbliższy celu?

9

- Bóg raczy wiedzieć. Skonstruowanie funkcjonalnego modelu jest koszmarnie trudne.

Klein wypuścił kłęb dymu i ubił tytoń w fajce.

- A gdybym powiedział ci, że już go skonstruowano, kto twoim zdaniem mógłby to zrobić?

Owszem, pierwsze prototypy już powstały i z każdym rokiem rosły nadzieje na ich praktyczne zastosowanie, ale całkowity sukces? Od całkowitego sukcesu dzieliło ich co najmniej pięć lat. Chyba że... Takeda? Chambord?

I nagle go olśniło. Ponieważ odwiedził go Klein, kluczem do rozwiązania zagadki musiał być Paryż.

- Emile Chambord... Chce pan powiedzieć, że Chambord nas wyprzedził? Że wyprzedził nawet Takedę z Tokio?

- Chambord najprawdopodobniej nie żyje - odparł z z troskaniem Klein, pykając z fajki. - Zginął w wybuchu. Laboratorium jest kompletnie zniszczone. Nie zostało nic, oprócz sterty roztrzaskanych cegieł, osmalonego drewna i odłamków szkła. Szukali go w domu, szukali u córki. Szukali wszędzie. Znaleźli tylko samochód na parkingu. Krążą różne pogłoski...

- Jak zawsze.

- Nie, tym razem to co innego. Różnie gadają. Zwłaszcza jego koledzy, przełożeni, ci z francuskich

kręgów wojskowych.

- Gdyby Chambord był tak blisko celu, na pogłoskach by się nie skończyło. Ktoś musiałby o tym wiedzieć.

- Niekoniecznie. Wojskowi regularnie go sprawdzali, ale uparcie twierdził, że nikogo w tych badaniach nie wyprzedza. Był etatowym pracownikiem instytutu i wybitnym naukowcem, a jako wybitny naukowiec nie musiał składać meldunków przełożonym.

Jon kiwnął głową. To anachronizm, lecz Instytut Pasteura słynął z anachronizmów.

- A jego notatki? Zapiski? Raporty?

- Brak. Od zeszłego roku nie było nic. Dosłownie nic.

- Jak to nic? Nie ma żadnych notatek? Niemożliwe. Musiał je przechowywać w komputerze. Chce pan powiedzieć, że wybuch zniszczył cały system komputerowy?

- Nie, komputer główny ocalał. Stoi w opancerzonym schronie, ale od ponad roku Chambord nie wprowadził tam żadnych danych.

Smith zmarszczył brwi.

- Notował ręcznie?

- Jeśli w ogóle notował.

- Musiał notować. Nie można prowadzić badań, nie zapisując danych. Dziennik laboratoryjny, arkusz ocen postępów; zapiski muszą być metodyczne i niezwykle dokładne, w przeciwnym razie nie można zweryfikować wyników ani odtworzyć danych. Każdy ślepy zaułek, każdy błąd, każde odstępstwo od założonego planu, wszystko musi być szczegółowo odnotowane. Jeśli nie korzystał z komputera, musiał notować ręcznie. To pewne.

- Możliwe, ale dotąd ani pracownicy instytutu, ani władze francuskie na nic nie natrafiły, a wierz mi, że szukały. Bardzo intensywnie.

Notował ręcznie? - myślał Jon. Dlaczego? Czyżby zdał sobie sprawę, że jest blisko celu, i przestraszył się, że ktoś to odkryje?

- Myśli pan, że wiedział albo podejrzewał, że ktoś z instytutu go śledzi?

- Francuzi nie wiedzą, co o tym sądzić - odrzekł Klein. - Wszyscy pozostali też.

- Pracował sam?

- Miał młodego asystenta, który jest teraz na urlopie. Szuka go francuska policja. - Klein spojrzał na

wschód. Słońce, wielka kula nad prerią, stało już trochę wyżej. - Przypuszczamy też, że pracował dla niego doktor Zellerbach.

- Jak to? Przypuszczamy?

10

- Wygląda na to, że cokolwiek tam robił, robił to nieoficjalnie, niemal w tajemnicy. Oficjalnie zatrudniono go jako konsultanta do spraw bezpieczeństwa. Po wybuchu policja natychmiast pojechała do jego hotelu, ale nie znalazła tam nic ciekawego. Miał tylko jedną walizkę i z nikim się nie przyjaźnił ani tam, ani w instytucie. Prawie nikt o nim nie słyszał, niewiele osób go pamięta. Zaskakujące. Smith kiwnął głową.

- Tak, to cały Marty. - Wiedział, że jego stary przyjaciel jest samotnikiem, że zawsze zależało mu na pełnej anonimowości. Wiedział też, że komputer molekularny, który z mgli-stej koncepcji mógł lada dzień przerodzić się w namacalną rzeczywistość, jest jedną z niewie-lu pokus, która mogła wyciągnąć Marty'ego z waszyngtońskiej pustelni. - Kiedy odzyska przytomność, wszystko wam powie.

- Jeśli ją odzyska. Ale wtedy może być już za późno.

Jon poczuł, że ogarnia go gniew.

- Marty z tego wyjdzie - odparł z naciskiem. - Wyjdzie.

- Dobrze, pułkowniku, ale kiedy? - Klein wyjął fajkę z ust i przeszył go wzrokiem. -

Jeszcze o tym nie wiesz, ale mieliśmy dzisiaj paskudną pobudkę. O siódmej pięćdziesiąt pięć czasu waszyngtońskiego ci z Diego Garcia stracili łączność ze wszystkimi samolotami. Dokładnie pięć minut później łączność powróciła. Nie było żadnej awarii, żadnych anomalii po-godowych, nikt nie popełnił żadnego błędu. Doszli do wniosku, że to robota jakiegoś hakera, ale jeśli tak, facet nie pozostawił po sobie żadnych śladów, a wszyscy eksperci jednym głosem twierdzą, że to niemożliwe, każdy istniejący komputer taki ślad by pozostawił.

- Są jakieś straty?

- Nie, ale wielu ludziom przybyło zmarszczek.

- Kiedy doszło do wybuchu w Instytucie Pasteura?

Klein uśmiechnął się ponuro.

- Dwie godziny wcześniej.

- Chambord... Może to była próba prototypu jego komputera, jeśli go zbudował. I jeśli ktoś ten komputer ukradł.
- Nie żartuj. Jego laboratorium leży w gruzach, a sam Chambord najprawdopodobniej zginął. Jego notatki, wyniki badań uległy zniszczeniu albo... zagięły.
- Aha. Myśli pan, że bombę podłożono, by zatrzeć ślady morderstwa, kradzieży dokumentacji i samego prototypu.
- Komputer molekularny w niepowołanych rękach to niezbyt miła perspektywa...
- Rozumiem. I tak zamierzałem polecieć do Paryża, do Marty'ego.
- Tak myślałem. To dobra przykrywka. Poza tym nie mam nikogo, kto by taki komputer rozpoznał. - Klein podniósł wzrok i popatrzył nie spokojnie na wiszące nad prerią niebo, jakby lada chwila miał spaść na nich deszcz nuklearnych rakiet dalekiego zasięgu. - Musisz się dowiedzieć, czy jego notatki i zapiski uległy zniszczeniu, czyje po prostu skradziono. I czy istnieje gdzieś działający prototyp tego przeklętego komputera. Pracujemy jak zwykle. Będę twoim jedynym kontaktem. O każdej porze dnia i nocy. Gdybyś potrzebował pomocy ze strony rządu lub wojskowych w Europie czy tutaj, daj mi znać. Obowiązuje nas ścisła tajemnica, jasne? Nie chcemy tu paniki. Nie chcemy też, żeby jakiś kraj drugiego czy trzeciego świata dogadał się z tymi, którzy podłożyli bombę w instytucie.
- Jasne. - Połowa nierozwiniętych krajów świata nie darzyła Stanów Zjednoczonych zbyt wielką miłością. Podobnie jak przeróżni terroryści, którzy coraz częściej atakowali i Amerykę, i Amerykanów. - Kiedy wyjeżdżam?
- Natychmiast - odrzekł Klein. - Oczywiście przydzielę do tego kilku naszych. Pójdą innym tropem, ale liczę przede wszystkim na ciebie. CIA i FBI też wysyłają w teren swoich ludzi. A jeśli chodzi o Zellerbacha, pamiętaj, że martwię się o niego tak samo jak ty. Mamy nadzieję, że szybko odzyska przytomność. Rzecz w tym, że jeśli się nie mylę, zostało nam bardzo mało czasu i zależy od tego życie wielu ludzi.

Rozdział 2

Paryż, Francja

Dochodziła szósta. Faruk al-Hamid skończył zmianę, zdjął kombinezon i drzwiami dla personelu

wyszedł z L'Hopital Europeen Georges Pompidou. Idąc ruchliwym bulwarem Victor do ukrytej w bocznej uliczce Massoud Cafe, nie miał najmniejszego powodu podejrzewać, że ktoś go śledzi.

Zmęczony i przybity całym dniem zmywania podłóg, noszenia koszów z brudną pościelą i tysiącem innych katorżniczych prac salowego, usiadł przy stoliku stojącym ani w kafejce, ani na ulicy, tylko dokładnie między rozsuwanymi skrzydłami szklanych drzwi, gdzie świeże, wiosenne powietrze mieszało się z aromatycznymi zapachami dolatującymi z kuchni.

Rozejrzał się, ale tylko raz, ignorując krajan Algierczyków, Marokańczyków i Saharyjczyków, którzy często tam przychodzili. Już wkrótce pił drugą filiżankę mocnej kawy, obrzucając pełnym nagany spojrzeniem tych, którzy zamawiali wino. Islam zabraniał picia alkoholu, lecz wielu, bardzo wielu mieszkańców północnej Afryki chętnie o tym zapominało. Pewnie uważali, że wyjeżdżając z kraju, pozostawiają za sobą nie tylko ojczyznę, ale i Allacha.

Już miał wybuchnąć gniewem, gdy wtem ktoś się do niego przysiadł.

Jakiś mężczyzna. Nie był Arabem -nie z tymi bladoniebieskimi oczami - ale mówił po arabsku.

- *Salaam alajkum*, Faruk. Ciężko pracujesz. Obserwowałem cię i myślę, że zasługujesz na coś lepszego. Dlatego mam dla ciebie pewną pro pozycję. Chcesz jej wysłuchać?

- *Wahs-tah-hahb?* - mruknął podejrzliwie Faruk. Nic nie jest za darmo.

Obcy skwapliwie kiwnął głową.

- To prawda. Ale pozwól, że o coś cię spytam. Czy nie chciałbyś wyjechać z rodziną na urlop?

- *Esmali*. Na urlop? - Powtórzył z goryczą Faruk. - To niemożliwe.

Ten człowiek mówił dużo lepszą arabszczyzną niż on, w dodatku z dziwnym akcentem, irackim, może saudyjskim. Ale na pewno nie pochodził ani z Iraku, ani z Arabii Saudyjskiej, ani z Algierii. Był białym Europejczykiem, starszym od niego, szczupłym, żylastym i mocno opalonym. Gdy gestem ręki poprosił kelnera o więcej kawy, Faruk al-Hamid zauważył też, że jest dobrze ubrany, ale nawet po ubraniu nie potrafił rozpoznać, z jakiego jest kraju, choć zwykle trafiał bez pudła. Miał dobre oko i często bawił się w tę grę, żeby zapomnieć o bolą-

cych mięśniach, długich godzinach nużącej pracy i o niemożliwości dorobienia się w tym nowym wspaniałym świecie.

- Dla ciebie niemożliwe - odparł nieznajomy. - Dla mnie możliwe.

Mogę sprawić, żeby niemożliwe stało się możliwe.

- *La*. Nie, nikogo nie zabiję.

- O nic takiego nie proszę. Nie chcę też, żebyś kradł czy uprawiał sabotaż.

Widać było, że propozycja coraz bardziej Faruka intryguje.

- W takim razie jak zapłacę za ten wspaniały urlop?

- Wystarczy, że własnoręcznie napiszesz list do szpitala. Krótki list po francusku, w którym powiesz, że jesteś ciężko chory i na kilka dni przysyłasz w zastępstwie swego kuzyna Mansura. W zamian za to dam ci pieniądze.

- Nie mam kuzyna.

- Wszyscy Algierczycy mają kuzynów. Nie słyszałeś?

- To prawda. Ale w Paryżu nie mam żadnego.

Mężczyzna uśmiechnął się znacząco.

12

- Teraz już masz. Właśnie przyleciał z Algierii.

Farukowi serce zabiło mocniej. Urlop. Dla żony i dla dzieci. Urlop dla niego. Nieznajomy miał rację; nikt w Paryżu by o tym nie wiedział, nikogo by nie obeszło, że do gigantycznego szpitala imienia Pompidou przyszedł za niego ktoś inny. Dla tamtych liczyło się tylko to, żeby za marne grosze zrobił swoje, nic więcej. Ale nieznajomy-on albo ktoś inny - na pewno knuł coś niedobrego. Może chciał ukraść jakieś lekarstwa albo narkotyki? Z drugiej strony i on, i pozostali byli zwykłymi poganami, barbarzyńcami. Nie, to nie jego sprawa. Zamiast o tym, pomyślał o radości, z jaką wróciłby do domu i oznajmił rodzinie, że jadą na urlop do... Właśnie, dokąd?

- Chciałbym znowu zobaczyć Morze Śródziemne - rzucił niepewnie, obserwując twarz nieznajomego w poszukiwaniu oznak, czy nie zażądał zbyt wiele. - Chciałbym wyjechać...

może na Capri? Słyszałem, że są tam plaże pokryte srebrzystym piaskiem. To by cię dużo kosztowało...

- W takim razie Capri. Albo Porto-Vecchio. A nawet Cannes czy Monako!

Gdy z ust nieznajomego popłynął strumień magicznych, pełnych obietnicy nazw, Faruk uśmiechnął się do swojej zmęczonej, wygłodzonej duszy i spytał:

- Dobrze, a więc co mam napisać?

Bordeaux, Francja

Kilka godzin później w jednym z pokoiów zapuszczonego pensjonatu, ukrytego między magazynami wina na brzegu rzeki Garonne w Bordeaux, zadzwonił telefon. Pokój zajmował

Jean-Luc Massenet, drobny, blady w wieku dwudziestu kilku lat. Siedział na brzegu łóżka, patrząc na dzwoniący telefon. Cały się trząsał, oczy miał wytrzeszczone ze strachu. Od strony rzeki do obskurnego pokoju wpadały krzyki i basowe porykiwanie barek. Przy każdym gło-

śniejszym odgłosie podskakiwał jak plastikowa kukła na sznurku. Nie podniósł słuchawki.

Kiedy telefon przestał w końcu dzwonić, Jean-Luc sięgnął do leżącej na podłodze teczki, wyjął z niej notatnik i drżącą ręką zaczął coś pisać, nieustannie przyspieszając, jakby chciał czym prędzej zanotować wszystko, co pamiętał. Ale kilka minut później zmienił zdanie. Zaklął, wyrwał kartkę, zmiażdżył ją i wrzucił do kosza na śmieci. Przerażony, pełen odrazy trzasnął notatnikiem w stół i doszedł do wniosku, że pozostała mu jedynie ucieczka, innego wyjścia nie ma.

Zlany potem, chwycił teczkę i podbiegł do drzwi.

Ale zanim zdążył dotknąć klamki, usłyszał ciche pukanie. Zamarł. Niczym chwiejący się łeb kobry obserwującej mysz, klamka obróciła się powoli najpierw w prawo, potem w lewo.

- Jesteś tam, Jean-Luc? - Niski głos, paryski akcent. Ten ktoś musiał stać tuż za drzwiami. - To ja, kapitan Bonnard. Dlaczego nie odbierasz telefonu? Wpuść mnie.

Jean-Luc zadrżał z ulgi. Chciał przełknąć ślinę, ale gardło miał suche jak piasek Sahary.

Trzasnął zasuwą i pchnął drzwi. Otworzyły się na mroczny korytarz.

- *Bonjour, mon capitaine.* Skąd pan...

Wystarczył jeden gest i Jean-Luc zamilkł z szacunku dla władzy tego energicznego, krępego oficera, który nosił mundur elitarnego pułku spadochronowego. Kapitan Bonnard wszedł do środka, zatroskanym wzrokiem ogarnął każdy szczegół taniego pokoju, wreszcie spojrzął na Jean-Luca, który wciąż stał nieruchomo w otwartych drzwiach.

- Widzę, że czegoś się boisz - rzucił oschle. - Skoro tak, może lepiej zamknij drzwi. -

Miał kwadratową twarz, czyste, śmiałe spojrzenie, ostrzyżone po wojskowemu włosy i emanował pewnością siebie, która bardzo podniosła Jean-Luca na duchu.

Na jego bladej jak płótno twarzy wykwitł szkarłatny rumieniec.

- Bardzo... Bardzo pana przepraszam, panie kapitanie. – Zamknął drzwi.

- I słusznie. O co tu właściwie chodzi? Mówiłeś, że jedziesz na urlop. Do Arcachon, tak? W takim razie, co tu robisz?

- Ukrywam się. W hotelu szukało mnie trzech mężczyzn. I to nie byle jakich. Znali moje nazwisko, mój paryski adres, wiedzieli wszystko. - Jean-Luc z trudem przełknął ślinę. -

Jeden z nich wyjął pistolet i zaczął grozić recepcjoniście. Wszystko podsłuchałem! Skąd wiedzieli, że tam jestem? Czego chcieli? Wyglądało na to, że przyszli mnie zabić, a ja nie wiem nawet dlaczego. Wymknąłem się na ulicę, wskoczyłem do samochodu i uciekłem.

Przystanąłem w ukrytej zatoczce, włączyłem radio i zastanawiałem się właśnie, czy mogę wrócić po resztę rzeczy, gdy podali wiadomość o tej strasznej tragedii w instytucie. Mówili, że... że doktor Chambord prawdopodobnie nie żyje. Słyszał pan coś nowego? Czy coś mu się stało?

Kapitan Bonnard ze smutkiem pokręcił głową.

- Wiedzą tylko tyle, że do późnej nocy pracował w laboratorium. Od tamtej pory nikt go nie widział. Policja twierdzi, że przeszukanie rumowiska zajmie co najmniej tydzień. Dziś po południu znaleźli kolejne dwa ciała.

- Potworne. Biedny doktor Chambord. Był dla mnie taki dobry. Zawsze mówił, że za dużo pracuję. Nigdy dotąd nie brałem urlopu i to on kazał mi wyjechać.

Kapitan westchnął i kiwnął głową.

- Tak, ale teraz mów, opowiadaj. Czego ci ludzie mogli od ciebie chcieć?

Jean-Luc otarł oczy wierzchem dłoni.

- Kiedy usłyszałem przez radio o wybuchu i o doktorze Chambord, domyśliłem się, o co im chodziło. Dlatego uciekłem ponownie i uciekałem, dopóki nie znalazłem tego pensjonatu. Jest daleko od uczęszczanych szlaków i nikt mnie tu nie zna.

- *Je comprends*. I wtedy do mnie zadzwoniłeś, tak?

- *Oui*. Nie wiedziałem, co robić.

Zdawało się, że teraz z kolei kapitan nic z tego nie rozumie.

- Przyszli do ciebie, bo w tym wybuchu mógł zginąć doktor Chambord? Dlaczego?

Przecież to bez sensu, chyba że ten zamach...

Jean-Luc kiwnął głową.

- Ja nie jestem ważny, ale pracowałem... byłem asystentem wielkiego Emile'a Chamborda. Ta bomba... Moim zdaniem, ktoś chciał go zabić.

- Zabić? Na miłość boską, dlaczego? Kto mógłby pragnąć jego śmierci?

- Nie wiem, ale myślę, że ma to coś wspólnego z jego komputerem molekularnym.

Gdy wyjeżdżałem, był na dziewięćdziesiąt dziewięć procent pewny, że udało mu się zbudować pełnosprawny prototyp. Ale wie pan, jak to jest z takimi perfekcjonistami. Nie chciał o tym nikomu mówić, chciał mieć absolutną pewność. Czy zdaje pan sobie sprawę, jakie znaczenie miałby taki komputer? Wielu ludzi zabiłoby i jego, i mnie, żeby tylko go zdobyć.

Kapitan Bonnard zmarszczył brwi.

- W rumowisku nie znaleźliśmy żadnych szczątków. Ale cóż, to góra gruzu, wysoka jak Alpy. Jesteś pewien, że Chambord go zbudował?

- *Bien sur*. Pracowałem z nim od samego początku. Nie wszystko rozumiałem, ale... -

Jean-Luc zawahał się i zeszywniał, jakby ponownie ogarnął go strach. - Wybuch zniszczył

komputer? Nie znaleźliście notatek? Niczego? Żadnego dowodu?

- Laboratorium leży w gruzach, a w komputerze głównym nie ma żadnych danych.

- To oczywiste. Doktor twierdził, że za łatwo się do niego dostać, że mogą to zrobić ja-cyś szpiegzy czy hakerzy. Dlatego zapisywał wszystko w notatniku, a notatnik zamykał w laboratoryjnym sejfie. Plany tego komputera były w sejfie! W sejfie!

Bonnard głucho jęknął.

- To znaczy, że nie będziemy w stanie ich odtworzyć.

14

- Niekoniecznie - rzekł ostrożnie Jean-Luc.

Kapitan zmarszczył czoło.

- Jak to? Co ty mówisz?

- Może je odtworzymy. Może damy radę zbudować komputer molekularny bez niego, bez Chamborda.
- Jean-Luc ponownie zadrżał, z trudem odpędzając strach. - Myślę, że wła-

śnie dlatego tamci po mnie przyszli.

Bonnard wytrzeszczył oczy.

- Masz kopię jego notatek?

- Nie, mam własne. Tak, przyznaję, nie są tak dokładne jak jego, ale wielu rzeczy wtedy nie rozumiałem, a doktor Chambord nie pozwalał, żebyśmy pomagali mu notować, ani ja, ani ten dziwny Amerykanin. Ale ja przez cały czas potajemnie notowałem wszystko z pamię-

ci. Skończyłem dopiero pod koniec zeszłego tygodnia, tuż przed wyjazdem na urlop.

Wiem, że zapiski są niekompletne, nie tak szczegółowe jak jego, ale jestem pewien, że inny naukowiec mógłby dzięki nim zbudować komputer, a może go nawet ulepszyć.

- Notowałeś? - spytał podekscytowany Bonnard. - I zabrałeś notatki na urlop? Masz je tutaj, przy sobie?

- Tak jest! - Jean-Luc poklepał leżącą na podłodze teczkę. - Nie spuszczałem ich z oka.

- W takim razie lepiej stąd chodźmy, i to szybko. Tamci na pewno cię szukają, lada chwila mogą tu być. - Bonnard podszedł do okna i wyrżał na ulicę. - Chodź tutaj. Widzisz kogoś podobnego do tych, którzy byli w Arcachon? Kogoś podejrzanego? Musimy być pewni. W zależności od tego, wyjdziemy albo głównymi, albo tylnymi drzwiami.

Jean-Luc podszedł do otwartego okna i popatrzył na tonącą w świetle latarni uliczkę.

Trzech mężczyzn wchodziło do nadbrzeżnego baru, dwóch z baru wychodziło. Sześciu innych wytaczało beczki z magazynu - beczkę za beczką, jak na paradzie - i wtaczało je na skrzynię ciężarówki. Na chodniku siedział bezdomny z nogami na jezdni. Kiwała mu się głowa, pewnie drzemał.

Jean-Luc przyjrzał się im uważnie i odrzekł:

- Nie, nie ma ich.

Kapitan odchrząknął z wyraźnym zadowoleniem.

- *Bon.* Chodźmy. Szybko, zanim cię znajdą. Bierz teczkę. Mój dżip stoi tuż za rogiem.

- *Merci!* - Jean-Luc pobiegł po teczkę, chwycił ją i ruszył do drzwi.

Ale gdy tylko odwrócił głowę, Bonnard chwycił z łóżka grubą poduszkę, a drugą ręką z kabury na plecach wyjął francuski wojskowy pistolet kaliber 7,65, opatrzone tłumikiem specjalnej konstrukcji.

Była to broń bardzo stara; jej produkcji zaprzestano pod koniec lat pięć-

dziesiątych. Numer seryjny, wybity w komorze naboju, starannie spiłowano. Le Francaise Militaire nie miał bezpiecznika, dlatego ci, którzy go nosili, musieli zachować dużą ostrożność. Ale Bonnard lubił smak ryzyka i pistolet był dla niego kolejnym wyzwaniem.

Idąc za Massenetem, cicho zawołał:

- Jean-Luc!

Jean-Luc odwrócił się ochoczo i z wyraźną ulgą. Natychmiast zobaczył broń i poduszkę. Zaskoczony, wciąż nic z tego nie rozumiejąc, obronnym gestem wyciągnął przed siebie rękę.

- Panie kapitanie, co pan robi?

- Przykro mi, synu, ale muszę mieć te notatki. - Zanim asystent zdążył ponownie się odezwać, zanim zdążył wykonać jakikolwiek ruch, kapitan Darius Bonnard przytknął mu poduszkę do potylicy, lufę pistoletu przyłożył do skroni i pociągnął za spust. Rozległo się ciche

„puf! W poduszkę trysnął strumień krwi wymieszanej z odłamkami kości i strzępka mi mózgu. Kula przebiła czaszkę i utkwiała w tynkowanej ścianie.

Nie wypuszczając poduszki - krew mogła zabrudzić podłogę - kapitan przeniósł ciało na łóżko. Ułożył je z głową na poduszce, po czym odkręcił tłumik. Schował go do kieszeni i 15

wcisnął pistolet do lewej ręki Jean-Luca. Poprawił poduszkę, zacisnął palce na palcach martwego asystenta i ponownie pociągnął za spust. Huk był ogłuszający, w małym pokoju szokujący nawet dla Bonnarda, który się go spodziewał.

Okolica była niebezpieczna, mimo to odgłos wystrzału mógł zwrócić czyjąś uwagę.

Kapitan miał mało czasu. Najpierw sprawdził poduszkę. Drugi strzał był wprost doskonały: kula weszła w kanał wyłobiony przez pierwszą, tworząc jedną ranę wlotową. Jean-Luc miał

na ręku ślady prochu, więc każdy patolog stwierdzi, że biedny asystent, przybity śmiercią ukochanego Chamborda, popełnił samobójstwo.

Bonnard rozejrzał się szybko i znalazł notatnik z wyraźnymi wgłębieniami od długopisu wskazującymi na to, że wyrwano zeń zapisaną kartkę. Kapitan wyjął z kosza zmięty papier, wepchnął go do notatnika i nie tracąc czasu na czytanie, schował notatnik do kieszeni. Zajrzał

pod łóżko i pod wszystkie meble. Szafy w pokoju nie było. Wydłubał ze ściany kulę i przesunął w lewo sfatygowaną komodę, żeby zasłonić dziurę.

Gdy chwycił z podłogi teczkę Jean-Luca, z oddali dobiegło go zawroźnienie policyjnej syreny. Z szybko bijącym sercem, czując się jak po zastrzyku adrenaliny, wyężył słuch. *Oui*, jechali tutaj. Jak zwykle opanowany, jeszcze raz ogarnął spojrzeniem pokój. Upewniwszy się, że niczego nie pominął, otworzył drzwi. Gdy zniknął w mrocznym korytarzu, przed pensjonatem zahamował z piskiem policyjny radiowóz.

16

Rozdział 3

Paryż, Francja

Wczesnym rankiem czasu Denver z bazy Amerykańskich Sił Powietrznych w Buckley w rutynową podróż nad biegunem wystartował transportowy C-17. Leciał do Monachium i miał na pokładzie tylko jednego pasażera, którego nazwisko nie figurowało na żadnej liście przewozowej. We wtorek o szóstej rano wielki odrzutowiec wylądował niespodziewanie w Paryżu, oficjalnie po to, żeby zabrać do Monachium jakąś przesyłkę. Do stojącej na pasie maszyny podjechał wojskowy samochód i na pokład wszedł podpułkownik amerykańskich wojsk lądowych z pustą metalową kasetą w rękę. Wszedł i już nie wyszedł. Ale gdy kwadrans później samolot wzbił się w powietrze, tajemniczego pasażera w nim nie było.

Niedługo potem ten sam samochód przystanął przed bocznym wejściem jednego z budynków na międzynarodowym lotnisku Charles'a de Gaulle'a na północ od Paryża. Otworzyły się tylne drzwiczki i wysiadł wysoki mężczyzna, podpułkownik sił lądowych USA. Był to Jon Smith. Szczupły i wysportowany, wyglądał jak stuprocentowy żołnierz. Miał czterdzieści kilka lat, wysokie czoło i ciemne, dłuższe niż zwykle włosy, starannie schowane pod wojskową czapkę. Wyprostował się i rozejrzał.

Nie było w nim niczego szczególnego, gdy tuż przed świtem wchodził do budynku. Ot, jeszcze jeden oficer z podręczną torbą i laptopem w solidnej aluminiowej obudowie. Wszedł

stamtąd pół godziny później, ale już po cywilnemu. Miał na sobie swoje ulubione ubranie: tweedową marynarkę, niebieską bawełnianą koszulę, beżowe spodnie i płaszcz. W płóciennej kaburze pod sportową marynarką miał też sig sauera kaliber 9 milimetrów.

Przebiegł przez pas startowy i wraz z innymi pasażerami wszedł do sali przylotów, gdzie - dzięki wojskowym dokumentom - przepuszczono go przez odprawę bez kontroli.

Czekała na niego prywatna limuzyna z otwartymi tylnymi drzwiczkami. Jon wsiadł, nie po-zwoliwszy

szoferowi odebrać sobie ani torby, ani laptopa.

Paryż zawsze słynał z *joie de vivre* i dotyczyło to również stylu prowadzenia samochodu. Na przykład klakson był tu powszechnie stosowanym sposobem komunikacji: długi oznaczał odrażę-
zejdź mi z drogi. Króciutki - przyjacielskie ostrzeżenie. Seria króciutkich była zawadiackim powitaniem, zwłaszcza seria melodyjna i rytmiczna. Szybkość, zręczność i cał-

kowita obojętność na niebezpieczeństwo były wprost nieodzowne, szczególnie wśród wielo-
narodowej mieszanki kierowców, którzy zasiadali za kierownicami licznych taksówek i pry-watnych samochodów. Kierowcą tej limuzyny był Amerykanin o ciężkiej nodze, co zupełnie Jonowi nie przeszkadzało. Chciał jak najszybciej dotrzeć do szpitala i odwiedzić Marty'ego.

Limuzyna pędziła na południe, obwodnicą wokół miasta. Smith był spięty. W Kolorado przekazał badania kolegom. Zrobił to niechętnie, ale nie miał innego wyjścia. Podczas długiego lotu do Francji zadzwonił do szpitala i wypytał o Marty'ego. Jego stan nie poprawił się, ale przynajmniej się nie pogorszył. Zadzwonił również do kolegów w Tokio, Berlinie, Sydney, Brukseli i Londynie, taktownie wypytując ich o postępy w konstrukcji komputera molekularnego. Wszyscy udzielali mu ostrożnych, wymijających odpowiedzi. Wszyscy mieli nadzieję, że będą pierwsi.

Mimo to odniósł wrażenie, że nieprędko im się poszczęści. Wszyscy komentowali tragiczną śmierć Emile'a Chamborda, lecz o jego komputerze nie wspominali. Wyglądało na to, że nic nie wiedzą.

Limuzyna skręciła w aleję de la Porte de Sevres i wkrótce stanęła przed L'Hopital Europeen Georges Pompidou, w którym mieściło się osiemset łóżek. Ten lśniący pomnik współ-

czesnej architektury z zakrzywionymi ścianami i szklaną fasadą strzelał w niebo jak gigan-17

tyczna kropla syropu na kaszel dokładnie naprzeciwko parku Andre Citroena. Smith zapłacił

kierowcy i wszedł do uwieńczonej szklaną kopułą, wyłożonej marmurem galerii. Zdjął ciemne okulary, schował je do kieszeni.

Galeria była tak wielka i przestronna - miała długość dwóch boisk piłkarskich - że na wiejącym w niej lekkim wietrze kołysały się palmy. Szpital otwarto przed dwoma laty, ob-wieszczając wszem wobec, że jest to szpital przyszłości. Idąc do recepcji, Jon zauważył ruchome schody, jakie spotyka się w wielkich domach towarowych -wiodły do sal i izolatek na wyższych piętrach - oraz jaskrawe strzałki wskazujące sale operacyjne; dotarł też do niego lekki zapach przypominający zapach cytrynowej pasty do podłóg.

Płynną francuszczyzną spytał o drogę do oddziału intensywnej opieki medycznej, gdzie leżał Marty, po czym wszedł na ruchome schody. Musiał trafić na koniec zmiany, gdyż wszę-

dzie kręciły się pielęgniarki, technicy, duchowni, wolontariusze i salowi. Przejęcie dyżuru odbywało się bardzo spokojnie i płynnie, tak że tylko doświadczony obserwator usłyszałby krótkie, wyciszone rozmowy i zauważyłby dyskretne znaki, za pomocą których personel przekazywał sobie obowiązki.

Głównym założeniem, które odróżniało ten szpital od innych, było to, że wszystkie usługi skupiono tu w grupach, tak że to lekarze specjaliści przychodzili do chorych, a nie chorzy do lekarzy. Pacjentów przyjmowano w dwudziestu dwóch izbach przyjęć, gdzie czekały hostessy, które odprowadzały ich do izolatek. U stóp każdego łóżka zainstalowano komputer -

historia choroby istniała jedynie w cyberprzestrzeni - a jeśli konieczna była operacja, często -

przynajmniej częściowo - przeprowadzały ją roboty. Poza tym były tu baseny kąpielowe, kluby sportowe i liczne kawiarnie.

Za biurkiem przed drzwiami oddziału intensywnej opieki medycznej stało dwóch żandarmów. Smith przedstawił się po francusku pielęgniarce jako lekarz i przedstawiciel rodziny doktora Martina Zellerbacha.

- Chciałbym porozmawiać z jego lekarzem prowadzącym.

- Z doktorem Dubostem? Jest na obchodzie i już zbadał pańskiego przyjaciela. Zaraz go zawiadomię.

- *Merci*. Czy mógłbym teraz pójść do doktora Zellerbacha? Poczekam w jego pokoju.

- *Bien sur. S'il vous plait?* - Pielęgniarka posłała mu nieobecny uśmiech i gdy żandarm sprawdził mu dokumenty, pchnęła ciężkie podwójne drzwi.

Szpitalne odgłosy momentalnie ucichły, pełna ożywienia atmosfera pierzchła. Wkroczyli w wyciszony świat miękkich stąpień, cicho szepczących lekarzy i pielęgniarek, przygaszonych świateł, dyskretnych dzwonków, mrugających monitorów i maszyn, które zdawały się oddychać w głębokiej ciszy. Należał do nich cały oddział i władały nim niepodzielnie; o oddziałem i wszystkimi leczonymi tu pacjentami.

Jon Smith podszedł z niepokojem do Marty'ego, który leżał nieruchomo w trzecim bok-sie po lewej stronie na wąskim, mechanicznie sterowanym łóżku, bezradny wśród rurek, kabli i monitorów jak niemowlę trzymane za ręce przez górujących nad nim dorosłych. Jonowi ścisnęło się serce. Pograżony w śpiączce Marty oddychał równo, lecz jego okrągła twarz miała kolor wosku.

Smith dotknął ekranu komputerowego monitora zamontowanego u stóp łóżka i ekran ożył, wyświetlając kartę pacjenta. Marty wciąż był w śpiączce. Obrażenia miał nieliczne, głównie zadrapania i stłuczenia. Najbardziej niepokojąca była właśnie śpiączka, która groziła uszkodzeniem mózgu, nagłą śmiercią, a nawet czymś gorszym — trwałym zawieszeniem między stanem ni to życia, ni śmierci. Ale jeśli wierzyć elektronicznej karcie, była też nadzieja. Autonomiczny układ nerwowy działał prawidłowo; Marty samodzielnie oddychał, od czasu do czasu kaszlał, ziewał, mrugał i poruszał oczami, co sugerowało, że dolna część pnia mózgu jest nieuszkodzona.

- Doktor Smith? - Do Jona podszedł drobny mężczyzna o siwych włosach i oliwkowej 18

cerze. - Przyjechał pan z USA, prawda? - Na piersi długiego białego fartucha miał wyhaftowane: Dr Edouard Dubost. Był lekarzem prowadzącym Marty'ego.

- Dziękuję, że zechciał pan tak szybko się ze mną zobaczyć - powiedział Smith. - W

jakim stanie jest doktor Zellerbach?

- Mam dobre nowiny. Wszystko wskazuje na to, że jest dużo lepiej.

Jon uśmiechnął się szeroko.

- Naprawdę? Sądząc po karcie, nic na to nie wskazuje.

- Tak, tak, nie zdążyłem niczego wpisać, musiałem na chwilę wyjść. Zaraz się tym zajmę. - Dubost pochylił się nad klawiaturą komputera. - Mamy szczęście. Jak pan widzi, pacjent jest w śpiączce, ale dziś rano wypowiedział kilka słów i poruszył ręką. Zareagował na bodziec.

Jon odetchnął z ulgą.

- A więc jego stan jest mniej poważny, niż początkowo sądziliście. Może z tego wyjść.

Nie przerywając pisania, Dubost ponownie kiwnął głową.

- Tak, tak.

- Jest tu od ponad dwudziestu czterech godzin. Im dłużej to trwa, tym mniejsza nadzieja, że odzyska przytomność.

- Tak, to prawda. Też się tym martwię.

- Przydzielił mu pan pielęgniarkę, żeby do niego mówiła, spróbowała go jakoś rozruszać?

- Właśnie to robię. - Dubost skończył pisać, wyprostował się i otaksował Jona spojrzeniem. - Proszę się nie martwić, doktorze. Pański przyjaciel jest w znakomitych rękach. Przy odrobinie szczęścia za tydzień zapomni o śpiączce i będzie głośno narzekał na ból. - Przekrzywił głowę. - Widzę, że bardzo się pan o niego martwi. Proszę tu zostać, jak długo pan chce. Ja muszę wracać na obchód.

Pokrzepiony nadzieją, że Marty nie tylko wyjdzie ze śpiączki, ale i odzyska całkowitą sprawność umysłową, Jon usiadł przy łóżku wśród mrugających światełek, wskaźników i monitorów. Patrząc na nieruchomą twarz przyjaciela, cofnął się myślą do Council Bluffs i ogólniaka, gdzie się poznali, do czasów, gdy wujek Jona jako pierwszy rozpoznał syndrom Aspergera, do zabójstwa Sophii i pandemii wirusa Hades, od której uratował ich elektroniczny geniusz Marty'ego.

Ścisnął go za rękę.

- Słyszałeś, co powiedział? Wyjdiesz z tego. Mart, słyszysz mnie? - Zamilkł, obserwując jego twarz.

- Na miłość boską, co się tam stało? Pracowałeś w Instytucie Pasteura? Pomagałeś Chambordowi

zbudować komputer?

Marty poruszył się. Zadrżały mu usta, jakby próbował coś powiedzieć.

- Co się stało? - powtórzył podekscytowany Jon. - Powiedz, proszę. Obaj wiemy, że nigdy nie brakowało ci słów. - Wyczekująco zamilkł, lecz tym razem Marty nie zareagował. -

Spotykamy się w koszmarnych okolicznościach - dodał ciepłym głosem Jon. - Ale wiesz, jak to jest. Potrzebuję cię, Mart. Przyleciałem specjalnie po to, żeby jeszcze raz prosić cię o pomoc. Żebyś jeszcze raz użył mi swego genialnego umysłu...

Mówiąc i wspominając, siedział przy nim godzinę. Ścisnął go za rękę, masował mu ramiona i stopy. Marty poruszył się tylko raz, słysząc nazwisko Chamborda. Smith usiadł wygodniej i się przeciągnął. Doszedł do wniosku, że będzie lepiej, jeśli stąd wyjdzie i zajmie się śledztwem w sprawie tego nieszczęsnego komputera, gdy wtem do boksu zajrzał wysoki mężczyzna w kombinezonie salowego.

Ciemnowłosy i śniady, miał sumiaste czarne wąsy i brązowe oczy, harde i zimne. Inteligentne i złowrogie. Gdy spotkali się wzrokiem, był wyraźnie zaskoczony. Trwało to ledwie krótką chwilę, lecz zanim się odwrócił i spiesznie odszedł, na jego twarzy zagościł wyraz fi-glarnego rozbawienia, a może złośliwości. W każdym razie było to coś bardzo znajomego.

19

To ulotne wrażenie sparaliżowało Jona, ale tylko na ułamek sekundy. Zerwał się na równe nogi i wyciągając z kabury pistolet, pobiegł za salowym. Uderzył go nie tylko wyraz jego twarzy i oczu, ale i sposób, w jaki trzymał złożone prześcieradła na prawym ramieniu -

mógł ukrywać pod nimi broń. Przyszedł tu, żeby zabić Marty'ego?

Powiewając połami rozchełstanego płaszcza, wypadł na korytarz przed oddziałem intensywnej terapii. Salowy pędził przed siebie. Przepychał się między ludźmi, roztrącał ich na boki, uciekał.

- Zatrzymajcie tego człowieka! - krzyknął po francusku Smith. - Ma broń!

Teraz nie było już potrzeby udawać i w ręku salowego błysnął pistolet maszynowy nie większy niż sig sauer Jona. Mężczyzna odwrócił się zręcznie i truchając tyłem, bez pośpiechu i paniki uniósł broń. Widać było, że jest zawodowcem: przesuwając lufę pistoletu to w lewo, to w prawo, omiatając cały korytarz. Nie musiał oddawać ani jednego strzału, wystarczy-

ła sama groźba.

Buchnął krzyk. Pielęgniarki, lekarze i odwiedzający padali na podłogę, uciekali za róg, kryli się w pokojach.

Pędząc korytarzem, Jon roztrzącał wózki ze śniadaniem dla pacjentów. Salowy pchnął drzwi i zniknął. Drzwi się zatrzasnęły, lecz Smith otworzył je kopniakiem, minął przerażonego technika i wpadł do sali terapeutycznej, gdzie w wypełnionej gorącą wodą wannie siedział nagi mężczyzna. Pielęgniarka szybko przykryła go prześcieradłem.

- Gdzie on jest?! - wrzasnął Jon. - Dokąd pobiegł?!

Błada, wystraszona pielęgniarka wskazała jeden z trzech pokojów. Doszedł stamtąd trzask zamykanych drzwi. Smith puścił się pędem, wpadł do pokoju, pchnął kolejne drzwi i z trudem wyhamował na korytarzu. Wszędzie chrom i jaskrawe światło. Spojrzał w lewo, potem w prawo. Pod ścianami kulili się przerażeni ludzie. Wszyscy patrzyli w prawo, jakby przed chwilą przeszło tamtędy zabójcze tornado.

Jon ruszył w tamtą stronę. Salowy zablokował mu drogę pustym wózkiem. Smith zaklął i wziął głęboki oddech. Gdyby przystanął, żeby odepchnąć wózek na bok, tamten by uciekł.

Zebrał wszystkie siły i nie zwalniając, wmawiając sobie, że na pewno da radę, przeskoczył nad wózkiem. Wylądował ciężko po drugiej stronie, lecz szybko odzyskał równowagę i pobiegł dalej, pozostawiając za sobą szpaler wystraszonych ludzi. Zlany potem, był coraz bliżej uciekającego, który musiał zwolnić, żeby ustawić wózek w poprzek korytarza.

Nie oglądając się za siebie, salowy pchnął kolejne drzwi. Wisiała nad nimi tabliczka z napisem WYJŚCIE EWAKUACYJNE. Smith popędził tam i otwierając drzwi, kątem oka dostrzegł kogoś, kto ukrywał się za ich lewym skrzydłem.

Schody, półmrok. Miał tylko czas, żeby zasłonić się ręką. Salowy runął na niego masą całego ciała. Jon zachwiał się, lecz dał radę ustać i huknął go prawą ręką w pierś. Salowy zatoczył się do tyłu, uderzył głową w stalową poręcz, ale błyskawicznie odzyskał równowagę, natomiast Jon, napotkawszy mniejszy opór, niż się spodziewał, upuścił pistolet, potknął się, runął na cementową podłogę i grzmotnął plecami w ścianę. Nie zważając na ból, z trudem wstał, sięgnął po broń i w tej samej chwili zobaczył cień tamtego. Uderzył, lecz było już za późno. Głowę przeszył mu palący ból, zapadła cisza i ciemność.

Gdy poranny ekspres z Bordeaux zatrzymał się na dworcu Austerlitz, kapitan Darius Bonnard był trzecim pasażerem, który wysiadł z wagonu na peron. Żwawym krokiem zaczął

przebijać się przez tłumy przyjeżdżających i odjeżdżających paryżan, gości z prowincji i turystów. Choć pozornie nie zwracał na nich najmniejszej uwagi, cały czas dyskretnie sprawdzał, czy nikt się nim nie interesuje. Zbyt wielu ludzi mogło mu przeszkodzić, zbyt wielu mogło wejść mu w drogę, zarówno wrogów, jak i przyjaciół.

Nieustannie zachowując czujność, zmierzał do wyjścia, krępy, dziarski blondyn w nienagannie leżącym mundurze francuskiego oficera. Całe dorosłe życie służył ojczyźnie, a zadanie, które wykonywał obecnie, mogło być najpiękniejszą ozdobą jej prześwietnej historii.

Na pewno było zadaniem najważniejszym dla niego. Najważniejszym i najbardziej niebezpiecznym.

Wyjął z kieszeni telefon i wybrał numer.

- Już jestem - powiedział. Przerwawszy połączenie, wybrał kolejny numer i powtórzył

te same słowa.

Minał rząd taksówek oraz cztery samochody, których kierowcy - oficjalnie lub mniej oficjalnie - chcieli go zabrać, i wsiadł do taksówki, która zajechała przed dworzec bez kolejki.

- *Salaam alajkum* - powitał go chrapliwy głos z tylnego siedzenia.

Usiadłszy obok okutanego w białe szaty mężczyzny, kapitan odpowiedział tradycyjnym *La bas alhamdu lillah*, po czym zatrzęsął i zablokował drzwi.

Rozgniewani naruszeniem zawodowej etykiety kierowcy czekających przed dworcem taksówek obrzucili ich stekiem wrzaskliwych przekleństw.

Gdy samochód wjechał w labirynt wąskich uliczek na południowy zachód od dworca, Bonnard spojrzał na siedzącego obok mężczyznę.

W jego ozdobionych długimi rzęsami zielonobrazowych oczach igrały promienie słoń-

ca wpadające do cieniściego wnętrza taksówki. Prawie całą twarz przesłaniała mu haftowana złotem kufła pustynnego Beduina, mimo to widać było, że mężczyzna ma czarną, aksamitną skórę. Nazywał się Abu Auda i należał do plemienia Fulani z Sahelu z południowego krańca Sahary, gdzie sucha, nieprzystępna pustynia przechodziła w pasmo trawiastych równin i bujnej dżungli. Jego zielonobrazowe oczy mówiły, że wśród przodków miał niebieskookich Berberów lub starożytnych Wandali.

- Przywiozłeś? - spytał po arabsku.

- *Naam*. - Bonnard kiwnął głową. Rozpiął mundur i koszulę, wyjął skórzany portfel wielkości koperty. Abu Auda uważnie obserwował każdy jego ruch. Kapitan podał mu portfel i powiedział: -

Asystent Chamborda nie żyje. Co z tym Zellerbachem?

- Zgodnie z oczekiwaniami nie znaleźliśmy żadnych notatek, chociaż szukaliśmy do-kładnie - odrzekł Abu Auda.

Arab nieustannie świdrował kapitana oczami, jakby chciał przeniknąć do jego duszy.

Oczami nieufającymi nikomu i niczemu, nawet Bogu, do którego modlił się pięć razy dziennie. Czczył Allacha, lecz nie wierzył nikomu. Ponieważ Bonnard zdołał zachować kamienną twarz, Abu Auda przeniósł w końcu wzrok na portfel.

Obmacał go pokrytymi bliznami, długimi palcami i schował za pazuchę. Głos miał silny i wyważony.

- Skontaktuje się z tobą.

- Nie trzeba. Niedługo się z nim zobaczę. - Kapitan krótko skinął głową. - Każ mu stanąć.

21

Beduin wydał rozkaz. Taksówka zatrzymała się przy chodniku i Bonnard wysiadł. Gdy tylko zatrzasnął drzwiczki, samochód odjechał.

Kapitan doszedł do najbliższego rogu i ponownie wyjął z kieszeni telefon.

- Jesteś?

- *Oui*. Nie było żadnych problemów.

Kilka sekund później przy krawężniku przystanął duży, czarny citroen. Otworzyły się tylne drzwiczki i Bonnard wsiadł. Luksusowy samochód zawrócił i powiózł go do biura, skąd przed spotkaniem z szefem Abu Audy musiał wykonać kilka telefonów.

Odzyskując przytomność na schodach ewakuacyjnych gigantycznego szpitala, cały czas widział jeden obraz - twarz wykrzywioną w złośliwym uśmiechu. Twarz śniada, z czarnymi wąsami, czarnymi oczami i tryumfalnym uśmiechem, który znikał jak uśmiech kota z Cheshire. Te oczy... Skupił się na ich wyrazie i na uśmiechu rozmywającym się powoli u stóp stro-myich schodów. Rozmywającym się, rozplwającym... Jakies głosy. Po francusku? Chyba tak.

Gdzie, do diabła...?

- Co się stało? Monsieur?

- Jak się pan czuje?

- Kto pana napadł? Dlaczego pan...

- Cofnijcie się, idioci! Nie widzicie, że jest nieprzytomny? Zróbcie miejsce, żebym mógł go zbadać.

Jon gwałtownie otworzył oczy. Leżał na plecach na twardym betonie, widział szary cementowy sufit i wianuszek zatroskanych twarzy: pielęgniarzy, pielęgniarek, klęczącego przy nim lekarza, żandarma i kilku umundurowanych ochroniarzy.

Usiadł i z bólu zawirowało mu w głowie. - - Niech to szlag...

- Musi się pan położyć, monsieur. Zadano panu silny cios w głowę. Jak się pan czuje?

Smith nie położył się, lecz pozwolił, żeby lekarz zaświecił mu w oczy małą latarką.

Wytrzymał to, choć z lekką niecierpliwością.

- Czuję się świetnie, znakomicie - zełgał. W głowie łupało mu tak, jakby siedział tam ktoś z młotem pneumatycznym. I nagle coś mu się przy pomniało. Chwycił lekarza za rękę, ścisnął ją jak kleszczami, odepchnął latarkę i szybko się rozejrzał. - Gdzie on jest? Ten salowy, ten Arab. Dokąd pobiegł? Miał pistolet...

- Nie tylko on. - Żandarm postukał w otwartą dłoń ręką sig sauera. Miał nieufny, surowy wyraz twarzy i Jon wyczuł, że jeszcze trochę i go aresztuje. - Kupił pan to tutaj, w Pa-ryżu? Czy przeszmugłował przez granicę?

Smith poklepał się po kieszeni. Była pusta. Dokumenty przepadły.

- Ma pan mój portfel? - Żandarm skinął głową. - W takim razie wie pan, że jestem puł-

kownikiem armii amerykańskiej. Proszę wyjąć moją legitymację. Pod spodem znajdzie pan specjalne pozwolenie na posiadanie i noszenie broni za granicą.

Na oczach podejrzliwie obserwujących ich pielęgniarek, pielęgniarzy i ochroniarzy żandarm wyjął legitymację. Po chwili powoli skinął głową i zwrócił Jonowi portfel.

- I mój sig sauer, *s'il vous plait*. - Jon schował broń do kabury i spytał: - Ten salowy...

kto to był?

Lekarz podniósł wzrok.

- To był salowy?

Pewnie Faruk al-Hamid - rzucił jeden z ochroniarzy. - To jego piętro.

- Nie, to nie był Faruk-nie zgodził się z nim inny. - Widziałem, jak biegł. To nie był Faruk - powtórzył.

- Znam Faruka - wtrąciła pielęgniarka. - Tamten był znacznie wyższy.

22

- Wy spróbujcie rozwiązać tę zagadkę, a ja dokończę badanie - oznajmił lekarz. - Jeszcze tylko chwila. - Zaświecił Smithowi latarką w jedno oko, potem w drugie.

Jon z trudem zachował spokój.

- Nic mi nie jest. - Tym razem nie kłamał. Myślał coraz trzeźwiej, coraz mniej bolała go głowa.

Lekarz zgasił latarkę i przykucnął.

- Kręci się panu w głowie?

- Ani trochę.

Lekarz wzruszył ramionami i wstał.

- Jest pan lekarzem i na pewno zdaje pan sobie sprawę, czym grozi tego rodzaju uraz.

Ale wygląda na to, że jest pan w gorącej wodzie kąpany. - Zafrasowany zmrużył oczy. - Wi-dzę, że chce pan jak najszybciej stąd wyjść, i nie mam prawa pana zatrzymywać. Ale nie jest pan blady, ma pan czyste i wrażliwe na bodźce oczy i myśli pan chyba racjonalnie, dlatego tylko pana ostrzeżę: proszę o siebie dbać i unikać wszelkich urazów. Gdyby poczuł

się pan gorzej lub ponownie stracił przytomność, niech pan natychmiast wraca. Wie pan, czym grozi wstrząśnienie mózgu. Nie mogę go wykluczyć.

- Dobrze, panie doktorze. - Jon wstał. - Dziękuję za troskę - dodał, nie komentując uwagi o kąpieli w gorącej wodzie. - Gdzie znajdę szefa ochrony?

- Zaprowadzę pana - odrzekł jeden z ochroniarzy.

Schodami ewakuacyjnymi zeszli na dół i po chwili znaleźli się w kilkupokojowym od-osobnionym pomieszczeniu, wypełnionym najnowocześniejszymi komputerami i sprzętem nadzoru elektronicznego. Okna wychodziły na parking, na ścianach wisiały oprawione w ramki fotografie. Jedna z nich była czarno-biała. Przedstawiała pięciu wycieńczonych żołnierzy o zapadniętych oczach

i wyzywającym spojrzeniu. Siedzieli na drewnianych skrzynkach, a wokoło rosła bujna dżungla. Jon przyjrzał się zdjęciu i stwierdził, że zrobiono je w Dien Bien Phu, gdzie w 1954 roku Francuzi ponieśli sromotną, poniżającą klęskę, która okazała się końcem ich panowania w tym rejonie świata.

- Szeffie, to jest facet, który próbował zatrzymać tego salowego - powiedział ochroniarz.

Smith podszedł bliżej i wyciągnął rękę.

- Podpułkownik Jon Smith, armia Stanów Zjednoczonych.

- Pierre Girard. Niech pan siada, pułkowniku.

Girard nie wstał zza biurka, żeby uścisnąć mu rękę. Ruchem głowy wskazał krzesło.

Tęgi i przysadzisty, był w poplamionym szarym garniturze i poluzowanym krawacie. Wyglądał jak detektyw z Surete CID.

Jon usiadł.

- Ten salowy - zaczął - choć są pewne wątpliwości, czy naprawdę jest salowym, przyszedł na OIOM, żeby zabić Martina Zellerbacha. Tak myślę.

Girard zerknął na swego podwładnego.

- Więc to nie był salowy?

- Na tym piętrze pracuje Faruk al-Hamid - odparł ochroniarz - ale niektórzy świadkowie twierdzą, że to nie był on.

Girard podniósł słuchawkę telefonu.

- Dajcie mi kadry. - Chwilę czekał z obojętną, pozbawioną wyrazu twarzą. Tak, musiał

być kiedyś detektywem i już dawno przywykł do wszechobecnej biurokracji. - Macie tam salowego nazwiskiem Faruk al-Hamid, który pracuje na... Tak, na OIOM-ie. Ach, nie? Rozumiem. Dziękuję. - Odłożył słuchawkę. - Faruk napisał list. Jest chory, nie może przyjść i przysyła w zastępstwie kuzyna. Wygląda na to, że to nasz ptaszek.

- Ani salowy, ani, jak przypuszczam, Algierczyk - dodał Smith.

Girard skinął głową.

- Pewnie się przebrał. Tak, to możliwe. Mogę spytać, dlaczego ktoś chciałby zamor-

23
dować pana Zellerbacha? - Jak prawie każdy Francuz, który próbuje wymówić niemiecko brzmiące

nazwisko, zająknął się przy tym.

- Doktora Zellerbacha - poprawił go Jon. - Doktor Zellerbach jest informatykiem. Podczas zamachu bombowego w Instytucie Pasteura pracował z doktorem Chambordem.

- Chambord... Szkoda człowieka, wielka szkoda. - Girard zmarszczył czoło. - W takim razie możliwe, że doktor Zellerbach widział tam coś lub słyszał. Niewykluczone, że zamachowcy nie chcą, by odzyskał przytomność i zaczął mówić.

Tego rodzaju spekulacje były domeną policji i Smith nie widział powodu, żeby wdawać się w dalszą dyskusję.

- Tak, to całkiem prawdopodobne.

- Zawiadomię policję.

- Byłoby dobrze, gdybyście podwoili ochronę na OIOM-ie, wy albo żandarmeria.

Trzeba go pilnować, nie można zostawiać go samego.

- Skontaktuję się z Surete.

- Świetnie. - Smith wstał. - Dziękuję. Muszę iść, czekają na mnie. - Skłamał, choć tylko częściowo.

- Oczywiście. Podejrzewam, że policja zechce pana przesłuchać.

Jon podał mu nazwę hotelu, numer telefonu i wyszedł. Stan Marty'ego nie uległ zmianie. Smith ponownie usiadł przy łóżku, z troską obserwując okrągłą twarz przyjaciela. Marty wyglądał tak bezbronnie, że ścisnęło go w gardle.

W końcu wstał, jeszcze raz wziął Marty'ego za rękę i obiecał, że wkrótce go odwiedzi.

Wyszedł z oddziału. Wrócił na schody ewakuacyjne, żeby dokładnie je przeszukać. Szukał

czegoś, co salowy mógł zgubić, jakichkolwiek śladów, lecz nie znalazł nic oprócz krwi na po-ręczy. Najwyraźniej musiał go ranić, co było dość istotne, gdyby mieli się niebawem spotkać.

Stojąc na pustych schodach, wyjął wyposażoną w szyfrator małą komórkę.

- Ktoś próbował zabić Marty'ego - zameldował. - Tu, w szpitalu.

- Wiemy kto? - mruknął zza oceanu dyrektor Jedyński.

- Wygląda na to, że jakiś zawodowiec. Dobrze to sobie wymyślił. Przebrał się za salowego i gdyby mnie tam nie było, wyszedłby z tego suchą stopą.

- Żandarmeria go nie namierzyła?

- Nie, ale może Surete z tym sobie poradzi.

- Zrobimy coś lepszego: pogadam z Francuzami i poproszę ich o paru żołnierzy z sił specjalnych. Ci na pewno Marty'ego przypilnują.

- Świetnie. Musi pan wiedzieć coś jeszcze. Ten człowiek miał pistolet maszynowy.

Trzymał go pod prześcieradłami.

Po drugiej stronie oceanu zapadła głucha cisza. Podobnie jak Smith, Klein doskonale wiedział, że pistolet maszynowy całkowicie zmienia obraz sytuacji. To, co początkowo wyglądało na próbę zwykłego zamachu, było czymś o wiele bardziej skomplikowanym.

- Do czego pan zmierza, pułkowniku? - spytał Klein po chwili.

Smith wiedział, że dyrektor jak zawsze czyta w jego myślach, mimo to odpowiedział:

- Dysponując taką siłą ognia, mógł zaraz po wejściu do sali bez trudu zabić Marty'ego.

Gdyby chciał zastrzelić jego, mnie, a nawet wszystkich obecnych na oddziale, nikt by go nie powstrzymał. Najprawdopodobniej chciał załatwić to po cichu, pewnie nożem, żeby nikt niczego nie słyszał. Strzelać miał tylko w ostateczności.

- No i...?

- Skoro tak, zdawał sobie sprawę, że gdyby otworzył ogień i zabił kilku z nas, ucieczka ze szpitala byłaby znacznie trudniejsza, co z kolei oznacza, że nie zamierzał ryzykować. To zaś by sugerowało, że zamach bombowy w Instytucie Pasteura nie był dziełem przypadku ani oszalałą zemstą zwolnionego z pracy technika czy naukowca, tylko częścią starannego planu opracowanego przez ludzi, którzy mają ściśle określony cel i zrobią wszystko, żeby nikt ich

nie zdekonspirował.

Klein długo myślał.

- Uważasz, że sprawa jest teraz jaśniejsza - powiedział wreszcie. - Że celem ataku był doktor Chambord i Marty, ponieważ z Chambordem pracował.

- Czy jakaś grupa terrorystyczna przyznała się do zamachu?

- Jak dotąd nie.

- I się nie przyzna.

Klein zachichotał, zimno i oschle.

- Zawsze mówiłem, że szkoda cię na medycynę i te twoje badania. Marnujesz się, Jon.

Cóż, zgoda, mam podobne zdanie, lecz dotąd wszyscy uważają, że śmierć Chamborda była skutkiem ubocznym zamachu, dziełem przypadku. - Głęboko westchnął. - Ale to moja dział-

ka. Twoja to kopać, wygrzebać te notatki i znaleźć prototyp komputera. A jeśli nie zdołasz ich przechwycić, zniszcz je - dodał twardym głosem. - To rozkaz. Nie możemy dopuścić, by tak potężna broń trafiła w niepowołane ręce.

- Rozumiem.

- Co z Zellerbachem? Jest jakaś poprawa?

Jon przekazał mu najświeższe wieści ze szpitala.

- Jest lepiej - zakończył - ale wciąż nie ma gwarancji, że w pełni wróci do zdrowia.

- Miejmy nadzieję, miejmy nadzieję...

- Jeśli coś wie, jeśli coś notował, mógł wprowadzić dane do swego komputera w Waszyngtonie. Trzeba by tam wysłać kogoś od nas.

- Już to zrobiliśmy. Facet osiwiiał, łamiąc zabezpieczenia i kiedy w końcu je złamał, niczego tam nie znalazł. Jeśli Zellerbach cokolwiek notował, wziął przykład z Chamborda i unikał komputerów.

- To była tylko luźna myśl.

- Cenna, acz chybiona. Co teraz?

- Jadę do instytutu. Znam tam pewnego amerykańskiego biochemika, z którym kiedyś pracowałem. Może powie mi coś o Chambordzie.

- Bądź ostrożny. Pamiętaj, że działasz nieoficjalnie. Jedyńka musi pozostać w ukryciu.

- Odwiedzę go jak przyjaciel przyjaciela, to wszystko – zapewnił Smith.

- Dobrze. Jeszcze jedno... Chcę, żebyś zobaczył się z generałem Carlosem Henze. Jest Amerykaninem, dowódcą sił NATO w Europie. To jedyny człowiek, który wie, że prowadziś śledztwo, choć myśli, że pracujesz dla wywiadu wojskowego. Prezydent zadzwonił do niego osobiście, żeby zorganizować to spotkanie. Henze ma dobre kontakty i powie ci, czego się już dowiedział. Oczywiście nic nie wie o Jedyńce. Zapamiętaj: pensjonat Cezanne, punktualnie o czternastej. Spytaj o M. Wenera. Hasło: Loki.

Rozdział 5

Waszyngton

Był wczesny ranek i wiosenny wiatr, wpadający przez otwarte drzwi do Gabinetu Owального, niósł ze sobą zapach kwiatów wiśni, lecz prezydent Samuel Adams Castilla był

zbyt rozkojarzony, żeby to zauważyć. Poza tym miał to gdzieś. Stał za ciężkim sosnowym stołem, który służył mu za biurko, i patrzył na troje czekających w milczeniu współpracowników. Rok po rozpoczęciu drugiej kadencji ostatnią rzeczą, jakiej potrzebował, był kryzys militarny. Nie, musiał teraz ugruntować dotychczasowe osiągnięcia, przepchnąć przez rozczłonkowany Kongres resztę projektów i utrwalić swój historyczny obraz.

- A więc sytuacja jest następująca - zagrzmał. - Nie mamy wystarczających dowodów, żeby stwierdzić, czy komputer molekularny naprawdę istnieje, a jeśli istnieje, to kto go ma.

Wiemy tylko tyle, że na pewno nie my. - Był roslym mężczyzną o szerokich barach i brzuchu wielkim jak Meksyk. Zwykle sympatyczny i łagodny, łypał na nich spode łba przez swoje oprawione w tytan okulary, z trudem opanowując gniew. - Informatycy i specjaliści z sił powietrznych mówią, że innego wyjaśnienia nie ma. Mój doradca naukowy skonsultował się z najwybitniejszymi ekspertami w dziedzinie łączności i twierdzi, że to, co się stało na Diego Garcia, mogło być rezultatem wielu czynników, jak choćby rzadkich anomalii atmosferycznych w tym rejonie Oceanu Indyjskiego. Mam nadzieję, że nasi naukowcy się nie mylą.

- Ja też - zgodził się z nim natychmiast admirał Stevens Brose.

- Wszyscy mamy taką nadzieję - dodała doradczyni do spraw bezpieczeństwa narodowego Emily Powell-Hill.

- Amen - mruknął szef sztabu Charles Ouray, który opierał się o ścianę przy kominku.

Admirał Brose i Emily Powell-Hill siedzieli w skórzanych fotelach naprzeciwko biurka, które Castilla przywiózł ze sobą z Santa Fe. Jak wszyscy poprzedni prezydenci Stanów Zjednoczonych, on też wybrał sobie wystrój wnętrza Gabinetu Owального. Umeblowanie odzwierciedlało jego południowo-zachodnie gusta, choć po pięciu latach kosmopolitycznego wyrafinowania - które Castilla niespodziewanie polubił, zasiadając na najwyższym urzędzie w kraju

- uległo znacznemu przemieszaniu, zwłaszcza po prezydenckich wizytach w stolicach całego świata, w muzeach i na oficjalnych bankietach. Ranczerskich mebli z gubernatorskiej rezydencji w Nowym Meksyku nieco ubyło, przybyło zaś eleganckich francuskich stolików.

Przybył również angielski fotel przed kominkiem, przybyły wazy i czerwono-żółte kilimy Indian Nawaho na ścianach, indiańskie kosze i wspaniałe ozdoby głowy, senegalskie maski, ni-geryjskie gliniane tabliczki i zuluskie tarcze bojowe.

Prezydent nerwowo obszedł biurko. Oparł się o nie i założył ręce.

- Wiemy, że ataków terrorystycznych dokonują ludzie, którzy chcą zwrócić uwagę na ich sprawę, wyeksponować to, co uważają za złe. Ale ta sytuacja odbiega od klasycznej co najmniej pod dwoma względami. Po pierwsze, dokonano zamachu na cel, który nie jest celem symbolicznym. Nie jest ani ambasadą, ani budynkiem rządowym, ani obiektem wojskowym, ani słynnym zabytkiem. Po drugie, zamach nie był dziełem samobójcy, szaleńca, który wysadza się w powietrze w zatłoczonym autobusie czy przepełnionym nocnym klubie. Celem zamachu był instytut naukowo-badawczy, miejsce, które służy rozwojowi ludzkości. A konkretnie budynek, w którym budowano komputer molekularny.

Emily Powell-Hill, generał brygady w stanie spoczynku, uniosła starannie wypielęgnowane brwi. Miała pięćdziesiąt kilka lat, była szczupła, długonoga i niezwykle inteligentna.

- Z całym szacunkiem, panie prezydencie, ale informacja, że komputer molekularny został już przez kogoś zbudowany, jest w dużym stopniu spekulacją, pochopnym wnioskiem 26

wypływającym z braku konkretnych danych, a nawet czczym domysłem. Jest oparta wyłącznie na plotkach, a ten paryski zamach równie dobrze może być zamachem zupełnie przypadkowym, wymierzonym w przypadkowe ofiary. Czy możliwe jest, że pański informator uległ

paranoi i przedstawił panu najczarniejszy scenariusz? - Przekrzywiła głowę. - Delikatniej mówiąc.. wszyscy wiemy, że nasz kontrwywiad boi się własnego cienia. Moim zdaniem to jeden z ich zwariowanych pomysłów. Castilla westchnął.

- Podejrzewam, że chowasz coś w zanadrzu, Emily.

- W rzeczy samej, panie prezydencie. Moi specjaliści zapewniają, że technologia budowy komputera molekularnego utknęła w początkowym stadium i tak jest po dziś dzień.

Funkcjonalny prototyp powstanie co najmniej za dziesięć lat, może nawet za dwadzieścia, co jest kolejnym powodem, żeby podejrzliwie traktować te pogłoski. Zapewne są rezultatem zwykłej paniki.

- Możliwe - odparł prezydent - ale przypuszczam, że twoi specjaliści zgodzą się również z tym, że jeśli ktoś mógł dokonać tak wielkiego skoku, na pierwszym miejscu listy ewentualnych kandydatów znalazłby się Chambord.

Szef sztabu Charles Ouray zmarszczył brwi.

- Jestem politykiem - powiedział. - Starym wyjadaczem, ale tylko politykiem. Czy ktoś mógłby wyjaśnić mi w miarę przystępnie, dlaczego ten komputer jest aż tak wyjątkowy i groźny?

Castilla dał znak Emily Powell-Hill, a ona przeniosła wzrok na Ouraya.

- Chodzi o przejście z silikonu, podstawy wszystkich komputerów, do węgla, podstawy życia. Maszyny są niewolniczo szybkie i precyzyjne, a życie jest subtelne i ciągle się zmienia.

Komputery molekularne zintegrują oba te światy w technologii o niebo wyższej, niż większość ludzi może to sobie dzisiaj wyobrazić. Stanie się tak głównie dlatego, że wiemy już, jak zastosować molekuły DNA w miejsce mikroukładów scalonych.

Ouray aż się skrzywił.

- Chcecie zintegrować maszynę z żywym organizmem? Brzmi to jak fragment jakiegoś komiksu.

- Kiedyś pewnie tak brzmiało - wtrącił prezydent. - Wiele technologii, które dzisiaj są dla nas czymś oczywistym, pojawiło się najpierw w komiksach i na kartach powieści science fiction. Naukowcy pracowali od lat, żeby wymyślić sposób wykorzystania naturalnej zdolno-

ści DNA do reorganizacji i rekombinacji w złożone, przewidywalne wzory.

- Obawiam się, że nic z tego nie rozumiem, panie prezydencie - wyznał Ouray.

Castilla kiwnął głową.

- Przepraszam, Chuck. Powiedzmy, że chcesz skosić wielki trawnik, jak choćby ten tam. - Machnął ręką w stronę otwartych drzwi. - Rozwiązaniem elektronicznym byłoby wykorzystanie kilku wielkich kosiarek, z których każda ścina tysiące źdźbeł trawy na sekundę.

Właśnie tak działają współczesne superkomputery. Natomiast rozwiązanie molekularne było-by czymś zupełnie odwrotnym. Wykorzystałoby miliardy maleńkich kosiarek, z których każ-

da ścinałaby tylko jedno źdźbło trawy. Rzecz w tym, że te mikroskopijne molekularne kosiar-ki ścinałyby źdźbła jednocześnie, w tym samym czasie. Kluczem do wszystkiego jest masowy paralelizm przyrody. Wierz mi, Charles, komputer molekularny będzie potężniejszy niż dzisiejsze najpotężniejsze superkomputery.

- Poza tym zużywa minimalną ilość energii i będzie o wiele tańszy w eksploatacji - do-dała Emily Powell-Hill. - Pod warunkiem, że zostanie zbudowany. Jeśli zostanie zbudowany.

- Wspaniale - mruknął admirał Stevens Brose, przewodniczący Połączonego Kolegium Szefów Sztabów z drugiego skórzanego fotela. Siedział niezgrabnie, ze skrzyżowanymi stopami i mocno wysuniętym do przodu wydatnym podbródkiem. Na jego kwadratowej twarzy niepokój walczył z pewnością siebie. - Jeśli toto naprawdę istnieje, jeśli jest w rękach ludzi, którzy nas nie lubią albo chcą od nas czegoś, czego my nie chcemy im dać, a w tej chwili 27

chce od nas czegoś co najmniej pół świata... Wolę o tym nie myśleć. Nasza armia przemieszcza się, walczy, żyje i oddycha dzięki elektronice, dzięki kodom systemu dowódczego i telekomunikacyjnego. Komputery sterują dzisiaj dosłownie wszystkim, zamawiają nawet alkohol na przyjęcia w Kolegium Szefów. Ja widzę to tak: podczas wojny secesyjnej najważniejsze były koleje, podczas drugiej światowej - samoloty, a o wyniku trzeciej światowej zdecyduje elektronika, elektroniczne rozkazy, zakodowane i pilnie strzeżone. Niech Bóg ma nas w opie-ce.

- Masz na głowie obronę kraju - odrzekł prezydent - dlatego myślisz tylko o tym, to naturalne. Ale ja muszę myśleć i o obronie, i o innych problemach, o sytuacji w sektorze cywilnym.

- O jakich problemach? - spytał Chuck Ouray.

- Uświadomiono mi, że komputer molekularny może wyłączyć wszystkie rurociągi do przesyłania ropy naftowej i gazu. Jeśli tak, szlag trafi nasze zaopatrzenie w paliwo. Może uniemożliwić kontrolę ruchu powietrznego w najważniejszych węzłach komunikacyjnych kraju, od Nowego Jorku poczynając, na Chicago i Los Angeles kończąc. Gdyby do tego do-szło, liczba ofiar śmiertelnych byłaby przerażająca. Może również podporządkować sobie system komputerowy Banku Rezerwy Federalnej, co oznacza, że w ułamku sekundy skarb państwa straci wszystkie zasoby finansowe. Może też otworzyć służby tamy Hoovera, co po-ciągnęłoby za sobą śmierć setek tysięcy ludzi.

Chuck Ouray pobladł.

- Nie mówi pan poważnie, panie prezydencie. Proszę mi powiedzieć, że to tylko żart.

Nawet służby tamy Hoovera są sterowane elektronicznie?

- Tak - odrzekł krótko Castilla. - Są całkowicie skomputeryzowane, a komputery są podłączone do zachodniej sieci energetycznej.

W gabinecie zapadła martwa cisza.

Prezydent przestąpił z nogi na nogę i poważnym wzrokiem powiódł po twarzach swoich doradców.

- Ale, jak mówiła Emily, wciąż nie jesteśmy pewni, czy taki komputer w ogóle istnieje.

Tak więc wszystko po kolei, krok po kroku. Chuck, porozmawiaj na ten temat z CIA i Agencją Bezpieczeństwa Narodowego. I skontaktuj się z Brytyjczykami, może oni coś wiedzą.

Emily i Stevens, pogadajcie ze swoimi. Spotkamy się po południu.

Gdy tylko wyszli, otworzyły się drzwi do prywatnego gabinetu prezydenta i stanął w nich Fred Klein. Miał na sobie wymięty szary garnitur i żuł ustnik pustej fajki.

- Dobrze poszło - rzucił obojętnie, wyjąwszy fajkę z ust.

Castilla westchnął i usiadł w swoim wielkim skórzanym fotelu za biurkiem.

- Nie mogło pójść gorzej. Siadaj, Fred. Wiesz coś więcej, niż podszeptuje ci intuicja?

Klein usiadł w fotelu, który zajmował admirał Brose, i przeczesał ręką swoje rzednące włosy.

- Niewiele - przyznał. - Ale będę wiedział.

- Czy Smith zdążył już na coś wpaść?

Klein opowiedział o próbie zamachu na Martina Zellerbacha i dodał:

- Zaraz

po naszej rozmowie miał jechać do Instytutu Pasteura i po rozmawiać z jakimś kolegą. Potem ma spotkanie z generałem Henze.

Castilla ściągnął usta.

- Smith jest dobry, ale chciałbym, żebyś przydzielił do tego więcej ludzi. Dam ci wszystkie środki, jakich tylko zażadasz.

Klein pokręcił głową.

28

- Komórki terrorystyczne są małe i działają bardzo szybko. Jeśli CIA i MI-6 wkroczą do akcji, jak zwykle wzbijając w niebo tumany pyłu, przestaną być użyteczne. Jedynekę stworzyliśmy do operacji precyzyjnych, chirurgicznych, takich jak ta. Pozwólmy Smithowi być mu-chą na ścianie, częścią krajobrazu, której nikt nie zauważa. Jak pan wie, wysłałem w teren kilku innych. Idą osobnym tropem i mają konkretne zadania. Jeśli Smith będzie potrzebował

pomocy, dam panu znać i wkroczymy do akcji.

- Muszę coś mieć. - Zafrasowany Castilla zmarszczył brwi. – Od niego, od innych, od kogokolwiek. I to szybko. Zanim stanie się coś gorszego niż na Diego Garcia.

Paryż, Francja

Instytut Pasteura, ten prywatny i niedochodowy ośrodek badawczy, jeden z najwspanialszych centrów naukowych w świecie, ma dwadzieścia filii na pięciu kontynentach. Upłynęło pięć lat, odkąd Jon był tu ostatni raz jako uczestnik konferencji na temat osiągnięć biologii molekularnej, zorganizowanej przez Światową Organizację Zdrowia. Gdy taksówka zatrzymała się przy rue du Docteur Roux 28, ulicy nazwanej tak od nazwiska jednego z dawnych badaczy i pracowników tego

słynnego ośrodka, wspominał dawne czasy, myśląc jednocześnie o tym, co zastanie w instytucie teraz. Zapłacił kierowcy i ruszył w stronę aneksu.

Mieszczący się w piętnastej dzielnicy ośrodek rozciągał się po obu stronach ruchliwej ulicy. Może to ironiczne, ale teren położony na wschód od niej nazywano po prostu instytutem albo starym campusem, natomiast teren położony na zachód, choć znacznie większy, zwano aneksem. I część zachodnią, i wschodnią porastały stare drzewa, dlatego szło się tamtędy jak przez dziedziniec starego, szacownego uniwersytetu, między drzewami zaś rozlokowały się budynki, i te ozdobne, dziewiętnastowieczne, i te supernowoczesne, pochodzące z wieku dwudziestego pierwszego. Uliczkami i alejkami krążyli francuscy żołnierze - widok dość niezwykły, lecz normalny po tak potwornym zamachu.

Smith okazał dokumenty strażnikowi przy bramie aneksu, gdzie czuwał również żołnierz z karabinem w ręku. W oddali, ponad dachami budynków, snuły się smużki szarego dymu. Jon schował legitymację, ruchem głowy wskazał w tamtą stronę i spytał:

- Laboratorium doktora Chamborda?

- *Oui* - odrzekł strażnik. - Niewiele z niego zostało. Resztki ścian i żal. - I z galijskim smutkiem wzruszył ramionami.

Smith miał ochotę się przejść. Musiał przeanalizować wiele spraw, poza tym nieustannie myślał o Martym. Zadarł głowę. Jakby odzwierciedlając jego posępny nastrój, słońce skryło się za grubymi chmurami i wokoło zaległa ponura szarówka. Odczekał, aż na teren aneksu wjedzie jakiś samochód, wszedł na chodnik i ruszył w kierunku dymu, pierwszej na-macalnej oznaki straszliwego zamachu. Niebawem zobaczył inne: grafitowoszary popiół i sadzę, która pokrywała domy i roślinność. Doszedł go również charakterystyczny alkaiczny odór. Kilka kroków dalej zobaczył martwe ptaki - wróble, jastrzębie i sójki, które zginęły w wybuchu lub pożarze - rozrzucone na trawnikach jak połamane kukiełki strącone z nieba.

Im dalej szedł, tym warstwa popiołu była grubsza - jak upiorny całun, który pokrywał

budynki, drzewa i znaki, pokrywał dosłownie wszystko. Nie oszczędził niczego, niczego nie uszanował. Wreszcie Jon skręcił za róg i ukazało się laboratorium, olbrzymia, bezładna sterta osmalonych cegieł, gruzu i drewna, a nad nią, niczym posępne szkielety na tle szarego nieba, górowały trzy niebezpiecznie pochylone ściany. Smith schował ręce do kieszeni płaszcza i przystanął.

Budynek musiał być duży, przestronny, wielkości sporego magazynu. Po rumowisku krążyły psy ratownicze. Strażacy rozgarniali zgliszcza, uzbrojeni żołnierze patrolowali teren.

Przy krawężniku stały wypalone wraki dwóch samochodów. Obok stał kiedyś metalowy znak, z którego pozostała jedynie gruda stopionego metalu przypominająca zniekształconą stalową pięść. W pobliżu czekała karetka pogotowia na wypadek, gdyby pod zwałami gruzów znaleziono kogoś żywego albo gdyby ranny został któryś z pracujących tu ludzi.

Z ciężkim sercem Jon patrzył, jak idzie ku niemu jeden z żołnierzy. Podszedł i poprosił o dokumenty. Smith podał mu legitymację i spytał:

- Znaleźliście doktora Chamborda?

- Nie wolno mi o tym mówić, panie pułkowniku.

Jon tylko kiwnął głową. Miał inne sposoby, żeby to sprawdzić, a teraz, widząc ogrom zniszczeń, wiedział już, że niczego się tu nie dowie. Szczęście, że w ogóle ktokolwiek przeżył. Szczęście, że przeżył Marty. Odchodząc, myślał o bestiach, które to zrobiły. W jego piersi narastał gniew.

Wrócił na rue du Docteur Roux i przeszedł na drugą stronę ulicy, gdzie mieścił się campus, stary instytut. Uspokoiwszy się, okazał dokumenty strażnikowi w budce, przy której czuwali ochroniarz i uzbrojony francuski żołnierz. Strażnik dokładnie obejrzał legitymację i wskazał mu drogę do laboratorium, gdzie pracował jego stary przyjaciel i kolega po fachu, Michael Kerns.

Mijając wiekowy budynek, w którym mieszkał, pracował i w którym pochowany był

Ludwik Pasteur, mimo okoliczności pomyślał, jak dobrze jest wrócić tutaj, do tego instytutu, do kolebki czystej nauki. Właśnie tu Pasteur przeprowadzał swoje genialne doświadczenia z fermentacji, których wyniki utorowały drogę nie tylko pionierskim badaniom w dziedzinie bakteriologii, ale i doprowadziły do odkrycia zasad sterylizacji, która na zawsze odmieniła sposób pojmowania świata bakterii i ocaliła życie milionom ludzi.

Po Pasteurze inni naukowcy dokonali wielu naukowych przełomów, dzięki nim zaś można było zwalczyć liczne choroby wirusowe, takie jak dyfteryt, grypa, czarna ospa, polio, tężec, gruźlica, a nawet żółta febra. Nic dziwnego, że instytut szczylił się większą liczbą Nagród Nobla niż podobne ośrodki w innych krajach. Miał ponad czterysta pracowni i laboratoriów, zatrudniał na pełen etat pięciuset naukowców, a około sześciuset badaczy przyjeżdżało tu ze wszystkich zakątków świata na przeróżne stypendia. Był wśród nich doktor Michael Kerns.

Mieszkał w budynku Jacques'a Monda, w którym mieścił się wydział biologii molekularnej. Drzwi były otwarte. Gdy Jon wszedł do środka, Mike poderwał głowę znad biurka za-słanego dziesiątkami zapisanych obliczeniami kartek.

Spojrzał na Smitha, wytrzeszczył oczy i zerwał się na równe nogi.

- Jon! Jezu Chryste, stary! Co ty tu robisz? - Powiewając połami białego fartucha, wyszedł zza biurka z wdziękiem sportowca, którym kiedyś był, i energicznie uściśnął mu rękę. -

Kurczę, Jon, ile to już lat?

- Co najmniej pięć - odrzekł z uśmiechem Smith. - Jak idą badania?

- Jestem tak blisko i tak daleko zarazem... - Mike wybuchnął śmiechem. - Czyli jak zwykle! Co cię sprowadza do Paryża? Dalej polujesz na wirusy dla tych z USAMRIID?

Dostrzegając wygodną furtkę, Jon pokręcił głową.

- Nie, przyjechałem do mojego przyjaciela, Marty'ego Zellerbacha. Został ranny w tym zamachu.

- Zellerbacha? Tego Zellerbacha? Tego, który podobno pracował z naszym biednym Chambordem? Nie miałem okazji go poznać. Tak mi przykro... Co z nim?

- Jest w śpiączce.

- Cholera. Jakie są rokowania?

- Mamy nadzieję, że z tego wyjdzie, ale ma naruszoną czaszkę, no i ta śpiączka... Ale są oznaki, że będzie lepiej. - Jon ze smutkiem pokręcił głową. - Masz jakieś wiadomości o Chambordzie? Znaleźli go?

30

- Ciągłe szukają. Wybuch zniszczył cały budynek. Minie wiele dni, zanim to wszystko przekopią. Znaleźli czyjeś szczątki i próbują je zidentyfikować. Straszne.

- Wiedziałaś, że Marty z nim pracował?

- Nie. Dowiedziałem się z gazet. - Kerns wrócił za biurko i wskazał Jonowi stary fotel. -

Siadaj. Zrzuć te papiery na podłogę.

Smith odsunął stertę dokumentów i usiadł.

- Powiedziałem, że nie miałem okazji go poznać, tak? Poprawka: nawet nie wiedziałem, że on tu jest. Jego nazwisko nie figurowało na żadnych listach: ani na liście pracowników, ani stypendystów, ani na żadnej innej. Gdyby było inaczej, na pewno bym o tym wiedział. Musiał

mieć prywatny układ z Chambordem. - Kerns zmrużył oczy. - Pewnie nie powinienem ci tego mówić,

ale bardzo się o Emile'a martwiłem. W tym roku zachowywał się trochę... dziwnie.

Smith zastrzygł uszami.

- Chambord? Dziwnie? To znaczy?

- Cóż... - Kerns pochylił się do przodu jak spiskowiec i splótł ręce na zaścielających biurko papierach. - Mimo swojej pozycji i sławy, był kiedyś równym, wesołym facetem, rozumiesz? Towarzyskim, otwartym, po prostu jednym z nas. Harował jak wół, ale traktował

pracę z przymrużeniem oka, chociaż był tu figurą. Myślał trzeźwo jak nikt. O tak, był ekscen-trykiem, jak większość z nas, ale w zeszłym roku naprawdę mu odbiło. Przedtem do wszystkiego podchodził na luzie, normalnie, bez przegięć. Pamiętam, poszliśmy kiedyś na kielicha, on, ja i jeszcze paru. Wypiliśmy i Chambord powiedział: „Wszechświat doskonale da sobie radę bez nas. Zawsze znajdzie się ktoś, kto dokończy nasze dzieło”.

- Skromne i prawdziwe. A potem? Zmienił się?

- Tak. Jakby zniknął. Nie było go widać ani na korytarzach, ani na spotkaniach, ani w kafejkach, ani na imprezach. I to nagle, o tak. - Kerns strzelił palcami. - Zupełnie się od nas odciął. Ciach, i po wszystkim, jak nożem uciął. Przestaliśmy dla niego istnieć.

- Rok temu? W tym samym czasie, kiedy przestał wprowadzać dane do komputera?

Kerns szeroko otworzył oczy ze zdziwienia.

- Nic o tym nie słyszałem. Cholera, to znaczy, że nie wiadomo, co przez ten rok zrobił?

- Mniej więcej. Wiesz, nad czym pracował?

- Jasne, wszyscy wiedzieli. Budował komputer molekularny. Słyszałem, że robił wie lkie postępy. Że jeszcze dziesięć lat i mógłby być pierwszy. To żaden sekret, więc...

- Więc?

Kerns odchylił się w fotelu.

- Więc po co ta tajemniczość? Właśnie taki był od roku. Tajemniczy, zamknięty w sobie, rozkojarzony. Unikał kolegów. Przychodził do pracy i wracał do domu, nic więcej. Czasami siedział tu przez kilka dni. Podobno wstawił nawet łóżko do laboratorium. Przypisaliśmy to nawałowi pracy.

Jon nie chciał okazywać zbyt wielkiego zainteresowania Chambordem, jego notatkami czy komputerem molekularnym. Ostatecznie przyjechał do Paryża odwiedzić Marty'ego.

Prawdziwego powodu wizyty nie mógł poznać ani Mike, ani nikt inny.

- Nie on jeden tak harował. Naukowiec, który nie odczuwa przymusu pracy, nie jest dobrym

naukowcem. - Jon westchnął. - Masz na ten temat jakąś teorię? - rzucił obojętnie.

Kerns zachichotał.

- Czasem ponosi mnie wyobraźnia. Kradzież wyników badań. Szpiegdy. Szpiegostwo przemysłowe. Filmy płaszczą i szpady.

- Tak? Dlaczego?

- Cóż, nie ma to jak Nobel. Ten, kto pierwszy zbuduje taki komputer, będzie pewnym kandydatem. Nie chodzi tylko o pieniądze, ale i o prestiż. O prestiż wprost boski, olimpijski.

Nie zrezygnowałyby z niego nikt z nas, pewnie nikt na świecie. W tych warunkach każdy robi 31

się trochę nerwowo i skryty, zatajając wyniki badań, dopóki nie zostaną ostatecznie sprawdzone i przygotowane do publikacji.

- Celną uwagę. - Sęk w tym, że kradzież to jedno, a masowe zabójstwo, do jakiego doszło podczas zamachu, to drugie. - Nie zauważyłeś niczego więcej? Czegoś, co sugerowałoby, że Chambord bał się, że ktoś może ukraść mu wyniki? Czegoś niezwykłego czy podejrzanego?

- A wiesz, że tak. Parę razy widziałem go przed instytutem z jakimiś ludźmi. I samochód, który przyjeżdżał po niego późnym wieczorem.

- Z ludźmi? - spytał Jon z pozornie niewielkim zainteresowaniem. - Z jakimi ludźmi?

- Nie wiem, że zwyczajnymi. Z dobrze ubranymi Francuzami. Gdyby nie to, że zawsze byli po cywilnemu, dałbym głowę, że to wojskowi. Z drugiej strony, jeśli Chambord robił

wielkie postępy, nie ma w tym niczego niezwykłego. Wojsko trzymało rękę na pulsie i na pewno go sprawdzało.

- Tak, to normalne. A ten samochód? Pamiętasz, co to był za samochód?

- Citroen. Nowy. Nie wiem, z jakiego rocznika. Duży i czarny. Widywałem go, wychodząc wieczorem z pracy. Szedłem na parking i wtedy podjeżdżał. Otwierały się tylne drzwiczki, Chambord pochylał się – był bardzo wysoki - wsiadał i odjeżdżał. To dziwne, bo zostawiał tu swego małego renaulta. Tu, na głównym parkingu.

- Nigdy nie widziałeś tych z citroena?

- Nie, nigdy. Ale byłem wtedy tak zmęczony, że myślałem tylko o powrocie do domu.

- I co? I wracał tu citroenem?

- Nie wiem. Nie mam pojęcia.

Jon potarł czoło.

- Dzięki, Mike. Widzę, że jesteś zajęty, nie chcę zabierać ci czasu. Wypyuję ludzi, co Marty robił przed tym zamachem, żeby ocenić stan jego zdrowia. Zagadałem cię, przepraszam. Widzisz, Marty ma syndrom Aspergera. Świetnie sobie radzi, ale dość długo nie rozmawialiśmy, chciałem sprawdzić, co i jak. Posłuchaj... Wiesz coś o rodzinie Chamborda?

Może oni coś mi powiedzą?

- Emile był wdowcem. Jego żona zmarła jakieś siedem lat temu. Jeszcze mnie tu nie było, ale słyszałem, że mocno to przeżył. Wtedy też odciął się od wszystkich i zakopał w pracy. Ma dorosłą córkę.

- Wiesz, gdzie mieszka?

Kerns zajrzał do komputera, zapisał adres na karteczce i przekrzywił głowę.

- Nazywa się Teresa Chambord. Jest aktorką. Odnosi sukcesy, głównie sceniczne, ale zagrała też w kilku francuskich filmach. Podobno zabójcza z niej laska.

- Dzięki, Mike. Zadzwońię do ciebie i powiem, co z Martym.

- Koniecznie. Zanim wrócisz do Stanów, musimy strzelić sobie kielicha. Przy odrobinie szczęścia, z Martym też.

- Tak, świetny pomysł. - Jon wstał i wyszedł.

Stanął na skraju trawnika i jeszcze raz popatrzył na smuzkę siwego dymu na tle ciemnych chmur. Pokręcił głową i, myśląc o Martym, ruszył w stronę ulicy. Kilka kroków dalej wyjął z kieszeni telefon, zadzwonił do szpitala. Pielęgniarka powiedziała, że pacjent jest sta-bilny i od czasu do czasu — na szczęście - ma symptomy wskazujące na to, że może się obudzić. To niewiele, ale Jona nie opuszczała nadzieja, że jego stary przyjaciel z tego wyjdzie.

- A pan? - spytała pielęgniarka. - Jak się pan czuje?

- Ja? - Przypomniał mu się szpital, walka z salowym i silny cios w głowę. Zdawało się, że od tamtej chwili upłynęły całe wieki, że w po równaniu z tragedią w Instytucie Pasteura sprawa jest zupełnie nieważna. - Dobrze. Dziękuję za pamięć.

Wyszedłszy na rue du Docteur Roux, jeszcze raz przeanalizował to, co powiedział mu Mike Kerns. Od roku Chambord zachowywał się jak człowiek, którego coś goni, jak ktoś, kto chce ukryć jakąś tajemnicę. Widziano go też z dobrze ubranymi Francuzami, najprawdopodobniej wojskowymi w cywilu.

Właśnie o tym myślał, gdy wtem ogarnęło go niejasne uczucie, że ktoś go obserwuje.

Wyszkolenie, doświadczenie, szósty zmysł, wrażenie podprogowe, paranoja, może nawet parapsychologia - obojętne, jak to nazwać, ale był tego pewien. Czuł mrowienie na karku. Dostał gęsiej skórki.

Tak, byli tam, śledzili go. Namierzyli go, gdy tylko stanął na chodniku.

33

Rozdział 6

Darius Bonnard poczuł zapach wielbłądów, odór gnijących w słońcu daktyli, smród za-prawionego kozim tłuszczem kuskusu, a nawet stęchły, lecz jakże cudowny zapach stojącej wody. Zrzucił kapitański mundur i teraz miał na sobie cywilne ubranie, lekkie, lecz stanowczo za ciężkie jak na mieszkanie, do którego właśnie wszedł. Niebieska koszula w jodełkę le-piła się już do ciała.

Rozejrzał się wokoło. Pomieszczenie wyglądało jak wnętrze każdego beduińskiego namiotu, w którym przyszło mu siedzieć ze skrzyżowanymi nogami od Sahary poczynając, na wszystkich pustynnych, zapomnianych przez Boga placówkach byłego imperium kończąc. W

oknach wisały marokańskie dywany. Leżały również na podłodze, w dwóch warstwach, tworząc coś w rodzaju wielkiej poduszki. Ściany ozdobiono algierskimi, marokańskimi i berbe-ryjskimi rzeźbami, a drewniane meble były niskie i twarde.

Westchnąwszy, Bonnard usiadł na krześle, którego siedzenie stykało się niemal z pod-

łogą, dziękując Bogu, że nie musi siadać ze skrzyżowanymi nogami. Ogarnęło go coś w rodzaju paramnezji i miał wrażenie, że lada chwila spod namiotu buchnie mieciony wiatrem piasek, który poparzy mu kostki u nóg.

Ale nie, nie był ani na Saharze, ani w prawdziwym namiocie, poza tym miał na głowie ważniejsze sprawy niż smród wielbłądziego łajna czy gorący piasek.

- Próba zabójstwa w szpitalu? - warknął po francusku. - To było głupie, monsieur Mauritania. To był czysty idiotyzm! Myśleliście, że co?

Że facet zabije tego Zellerbacha i ucieknie? Niby jak? Złapaliby go i wszystko by wy-

śpiewał. W dodatku był tam ten lekarz, jego przyjaciel. *Merde!* Surete natychmiast wzmogło czujność i teraz będzie dziesięć razy trudniej.

Podczas gdy kapitan się żołądkował, monsieur Mauritania - pod takim kryptonimem znano go w podziemnym świecie międzynarodowych przestępców i szpiegów - zachowywał

kamienny spokój. Krępy, przysadzisty, o okrągłej twarzy, starannie wypielęgnowanych dłoniach i jasnoniebieskich oczach, miał na sobie białą koszulę, której rękawy wystawały z nienagannie skrojonej perłowszarej marynarki, szytej na miarę na Savile Row. Patrzył na wściekającego się Bonnarda z niewyczerpaną cierpliwością człowieka, który musi słuchać na-tarczywego szczekania psa.

Gdy Bonnard wreszcie skończył, Mauritania poprawił miękkimi dłońmi francuski beret, wetknął za ucho niesforny kosmyk brązowych włosów i twardym głosem powiedział:

- Nie docenia nas pan, kapitanie. Nie jesteśmy głupcami. Nie nasłaliśmy na Zellerbacha żadnego zabójcy ani w szpitalu, ani nigdzie indziej. Taki krok byłby krokiem beznadziejnie głupim, zwłaszcza teraz, gdy wiadomo, że Zellerbach może z tego nie wyjść.

Zaskoczony Bonnard drgnął.

- Przecież mieliśmy nie ryzykować. Ten człowiek za dużo wie.

- To pan tak postanowił, nie my. My postanowiliśmy poczekać. My tu decydujemy, nie pan - uciał Mauritania tonem nieznoszącym sprzeciwu. - Tak czy inaczej, mamy do omówienia ważniejszą sprawę.

- Na przykład to, że skoro nie wy go nasłaliście, to kto. I dlaczego. Mauritania pochylił swoją małą, kształtną głowę.

- Nie, nie to miałem na myśli. Ale owszem, sprawa jest dość zagadkowa, dlatego spró-

bujemy ją wyjaśnić. Do rzeczy, kapitanie. Przejrzeliśmy notatki tego asystenta i stwierdzili-

śmy, że choć są niekompletne, niemal całkowicie pokrywają się z notatkami i zapiskami doktora Chamborda. Jean-Luc o niczym nie zapomniał i niczego nie pominął. Z tej strony nie 34

powinniśmy oczekiwać już żadnych kłopotów. Notatki zostały zniszczone.

- Dzięki czemu nasza działalność nadal pozostanie tajemnicą, tak jak wam mówiłem -

dodał Bonnard z nutką kolonialnej protekcjonalności w głosie. -Ale nie jestem pewien, czy powinniśmy pozwolić Zellerbachowi żyć. Proponowałbym...

- A ja proponuję - przerwał mu Mauritania - żeby zostawił pan Zellerbacha nam. Musi pan zwrócić uwagę na większe niebezpieczeństwa, choćby takie jak dochodzenie w sprawie

„samobójstwa” asystenta doktora Chamborda. W tych okolicznościach nie tylko policja się tym zainteresuje. Orientuje się pan, jak przebiega oficjalne śledztwo?

Mauritania sprowadził go z powrotem na ziemię i przez chwilę kapitan walczył z odrazą. Ale z drugiej strony, robił z nim interesy tylko dlatego, że potrzebował kogoś twardego, pomysłowego i nieugiętego jak on sam. Czy mógł więc spodziewać się czegoś innego? Poza tym pytanie było w sumie logiczne.

- Nie - odrzekł nieco przyjaźniej, choć przyszło mu to z trudem. - Niczego nie słyszałem. Ale kiedy Jean-Luc uciekł, zauważywszy waszych ludzi, zatrzymał się po benzynę.

Pompiarze twierdzą, że wiedział już o śmierci Chamborda i był bardzo zdenerwowany, bliski płaczu. To dobra motywacja, powinna wystarczyć. Asystent nie mógł żyć bez swego mistrza.

- Nic więcej pan nie wie? A w waszej kwaterze głównej? Nic na ten temat nie mówią?

- Nie, nie słyszałem ani słowa.

Mauritania rozważał to przez chwilę.

- I to pana nie martwi?

- Brak wiadomości to dobra wiadomość. - Co za frazes. Bonnard uśmiechnął się zimno.

Mauritania z odrazą zmarszczył nos.

- Zachodnie powiedzenie, niebezpieczne i głupie. W takich przypadkach milczenie nie jest bynajmniej złotem. Upozorowanie samobójstwa nie jest łatwe, zwłaszcza jeśli śledztwo prowadzą doświadczeni i myślący detektywi, nie wspominając już o wywiadowcach z Deuxieme. Sugerowałbym, żeby pan i pańscy ludzie sprawdzili, co policja i tajne służby wiedzą na temat śmierci tego asystenta. I proszę działać szybko, kapitanie.

- Zajmę się tym - zgodził się niechętnie Bonnard.

Wyprostował nogi, chcąc wstać, ale Mauritania podniósł szczupłą rękę i z ciężkim westchnieniem kapitan opadł z powrotem na niskie twarde krzesło.

- Jeszcze jedno - rzekł Mauritania. - Ten przyjaciel Zellerbacha. Co o nim wiadomo?

Bonnard chciał wyjść, gdyż lada chwila ktoś mógł zainteresować się jego nieobecnością w pracy. Zapanował nad ogarniającą go niecierpliwością i odparł:

- To podpułkownik Jonathan Smith, lekarz, stary przyjaciel Zellerbacha. Przysłała go tu jego rodzina. Tak przynajmniej powiedział w szpitalu i z tego, co wiem z innych źródeł, wynika, że chyba nie skłamał. Dorastali razem w Iowa. - Bonnard z trudem wymówił tę trudną nazwę.

- Ale mówił pan, że w podczas próby zamachu na Zellerbacha Smith zachowywał się jak doświadczony żołnierz albo policjant. Przyszedł do szpitala uzbrojony?

- Tak, i zgadzam się, że jego reakcja odbiegała od reakcji zwykłego lekarza.

- Może jest jakimś agentem? Może skierował go do szpitala ktoś, kto nie dał się zmylić naszą maskaradą?

- Jeśli jest agentem, na pewno nie pracuje ani w CIA, ani w MI-6. Znam ich ludzi w Europie, w komórce europejskiej w Langley i SIS. To Amerykanin, dlatego jest mało prawdopodobne, żeby był na usługach Mosadu czy Rosjan. I na pewno nie pracuje dla nas. O czym jak o czym, ale o tym bym wiedział. Według moich informatorów w amerykańskich służbach wywiadowczych, jest naukowcem i pracuje w jednym z wojskowych instytutów badawczych.

- Amerykanin? Na pewno?

- Ubranie, sposób zachowania, akcent, postawa. Plus meldunki informatorów. Stawiam na to moją reputację.

35

- Może pracuje w CIA i pan go nie zna? Langley często takie rzeczy ukrywa. Kłamią, bo taki mają zawód. I są w tym bardzo dobrzy.

- Ale moi informatorzy nie kłamią. Poza tym jego nazwisko nie figuruje w naszych aktach amerykańskiego wywiadu wojskowego.

- Może jest agentem organizacji, o której nie wiecie, w której nie macie swoich ludzi?

- Niemożliwe. Za kogo nas pan ma? Jeśli Dwójka nie zna jakiejś organizacji, taka organizacja po prostu nie istnieje.

- Cóż, dobrze. - Mauritania skinął głową. - Mimo to proponuję, żeby pańscy i moi ludzie dalej go obserwowali. - Jednym płynnym ruchem wstał.

Kapitan Bonnard z trudem dźwignął się z niskiego krzesła. Prawie sparaliżowało mu nogi. Nigdy nie

mógł zrozumieć, dlaczego Beduini nie są kalekami.

- Może Smith jest po prostu tym, za kogo się podaje - mruknął, z ulgą masując sobie kolano. - Ostatecznie w Stanach Zjednoczonych zawsze kwitła kultura broni palnej.

- Bez konkretnego powodu, bez bardzo ważnego powodu nie pozwolono by mu wwieźć tej broni do Francji - zauważył Mauritania. - Ale niewykluczone, że ma pan rację. Tu też można kupić broń, prawda? Może ją kupić nawet obcokrajowiec. Ponieważ jego przyjaciel padł ofiarą zamachu, Smith mógł przyjechać do Paryża, szukając zemsty. Z pistoletem w rękę każdy Amerykanin czuje się pewniej. Co za głupota.

Słyszając te słowa, kapitan Bonnard odniósł nieodparte wrażenie, że ten enigmatyczny i chwilami podstępny terrorysta bynajmniej nie podziela jego zdania.

Czujny i spięty, szedł w kierunku bulwaru Pasteura. Udawał, że szuka taksówki, i cały czas spoglądał to w lewo, to w prawo, lecz tak naprawdę wypatrywał człowieka lub ludzi, którzy go obserwowali.

Cuchnęło spalinami. Spojrzał w stronę wejścia do instytutu, gdzie strażnik sprawdzał

komuś dokumenty. W końcu wybrał trzech potencjalnych kandydatów. Pierwszym była młoda brunetka w wieku trzydziestu, trzydziestu pięciu lat, o bezkształtnej figurze i nalanej twarzy. Miała na sobie wypłowiałą czarną sukienkę i rozpinany czarny sweter. Przystanąła, żeby popatrzeć na posępny kamienno-ceglany kościół Saint-Jean Baptiste de la Salle.

Drugim kandydatem był równie bezbarwny mężczyzna w średnim wieku, który miał na sobie granatową marynarkę sportową i - mimo ciepłego majowego dnia - grube sztruksowe spodnie. Stał przed ulicznym straganem i oglądał coś z taką uwagą, jakby szukał zaginionego dzieła sztuki. Trzecim osobnikiem był wysoki, starszy mężczyzna z hebanową laską. Stał w cieniu drzewa przy krawężniku, patrząc na dym nad Instytutem Pasteura.

Do spotkania z generałem Henze, głównodowodzącym siłami NATO w Europie, zosta-

ły Jonowi dwie godziny. Wiedział, że zgubienie tych, którzy się n im interesowali, nie potrwa długo, doszedł więc do wniosku, że dobrze by było czegoś się najpierw dowiedzieć.

Przez cały ten czas wciąż udawał, że szuka taksówki. Chwilę później teatralnie wzruszył ramionami i ruszył w kierunku bulwaru Pasteura. Na skrzyżowaniu skręcił w prawo, idąc w stronę ruchliwego Hotel Arcade, szklano-stalowego gmachu z ozdobioną stiukami fasadą.

Spojrzał w okno wystawowe, zerknął na zegarek, wstąpił do ulicznej kafejki i usiadł w ogródku. Odprężony, z uśmiechem niedawno przybyłego do Paryża turysty, sączył piwo, obserwując przechodniów.

Jako pierwszy nadszedł wysoki starzec o lasce, ten, który stojąc pod drzewem, patrzył

na bijący w niebo dym, co już samo w sobie było dość podejrzane. Przestępcy często wracają na miejsce zbrodni, choć z drugiej strony mężczyzna był chyba za stary i zbyt upośledzony fizycznie, żeby podkładać bomby. Kuśtykał chodnikiem, wprawnie posługując się laską, i wreszcie usiadł przy stoliku w kawiarni dokładnie naprzeciwko. Zamówił kawę i ciastko, wy-36

jął z kieszeni „Le Monde”, rozłożył gazetę i pogрузzył się w lekturze. Czytał, pił i jadł, nie zwracając najmniejszej uwagi na Smitha. Ani razu nie oderwał wzroku od gazety.

Jako druga nadeszła młoda brunetka o nalanej twarzy, która wychylnęła nagle niecałe półtora metra od miejsca, gdzie siedział Jon. Popatrzyła na niego jak na powietrze, bez żadnego zainteresowania poszła dalej, zawahała się, jakby chciała wstąpić na kawę, ale tylko potrząsnęła głową i wkrótce znikła w zatłoczonym Hotel Arcade.

Trzeci mężczyzna, ten, który z uwagą oglądał towary na ulicznym straganie, się nie pojawił.

Jon dopił piwo i odtworzył z pamięci wygląd wysokiego starca o lasce i kobiety w rozpinanym swetrze: rysy ich twarzy, rytm kroków, sposób trzymania głowy, ruchy rąk i nóg.

Nie wstał, dopóki nie zyskał całkowitej pewności, że dobrze wszystko zapamiętał.

Zapłacił i szybko ruszył bulwarem w kierunku stacji metra na skrzyżowaniu z rue de Vaugirard. Starzec o lasce niebawem ukazał się za nim -jak na swój wiek i zniedołężnienie, szedł bardzo zwawo. Jon obserwował go kątem oka, a jednocześnie wypatrywał innych, równie podejrzanych.

Nadeszła pora na starą sztuczkę. Błyskawicznie skręcił i zniknął na schodach stacji metra. Starzec nie poszedł za nim. Jon zaczekał, aż na peron wjedzie pociąg, wraz z tłumem pa-sażerów wyszedł z powrotem na ulicę i kilkadziesiąt metrów dalej dostrzegł starca, który kuś-

tykał przed siebie pod ołowianym niebem Paryża. Smith przyspieszył kroku i śledził go dopó-

ty, dopóki ten nie skręcił i nie przystanął przed szklanymi drzwiami księgarni, na których wisiała tabliczka z napisem PRZERWA NA LUNCH. Starzec wyjął klucz, otworzył drzwi, wszedł do środka, odwrócił tabliczkę, wstawił laskę do stojaka i zdjął płaszcz.

Jon uznał, że dalsza obserwacja nie ma sensu. Ostatecznie tamten miał klucz. Mimo to warto było się upewnić. Dlatego podszedł bliżej dużego okna i przez chwilę patrzył. Starzec wkładał beżowy sweter i metodycznie zapinał guziki. Skończywszy, usiadł na wysokim stoł-

ku za ladą, podniósł głowę, zobaczył Smitha, uśmiechnął się i gestem ręki zaprosił go do środka. Najwyraźniej albo tam pracował, albo był właścicielem księgarni. Jona ogarnęło głę-

bokie rozczarowanie.

A jednak, nie ulegało wątpliwości, że ktoś go śledził, dlatego musiał zawęzić krąg podejrzanych do brzydkiej brunetki w rozpinanym swetrze i mężczyzny w sztruksowych spodniach. Jednakże śledczy

musiał coś zwierzyć, bo wyglądało na to, że zaniechał dalszej obserwacji.

Jon pomachał przyjaźnie starcowi i ruszył z powrotem do stacji metra. Nagle ze ściśnię-

tym żołądkiem poczuł, że włosy na karku znowu stają mu dęba. Ktoś był w pobliżu, ktoś na niego patrzył. Sfrustrowany i mocno zaniepokojony, przystanął i rozejrzał się wokoło. Nie dostrzegł nikogo. Musiał, po prostu musiał ich zgubić. Nie mógł zaprowadzić ich do generała.

Odwrócił się i szybko zbiegł schodami na dół.

W częściowo przesłoniętej przez krzewy bramie stała młoda brunetka w rozpinanym swetrze, uważnie obserwując rozglądającego się Smitha. Brama była głęboka i cienista, dzięki czemu jej ciemne ubranie ginęło w mroku. Ubranie i twarz, bo chociaż była mocno opalona, skóra mogła odbić wystarczającą ilość światła, żeby czujny Smith ją zauważył.

Robił wrażenie zaniepokojonego, jakby coś podejrzewał. Przystojny, o niemal indiań-

skich rysach twarzy, miał wystające kości policzkowe, szeroką twarz i ciemnoniebieskie, niemal granatowe oczy. Teraz przesłaniały je ciemne okulary, ale dobrze zapamiętała ich kolor. Przeszedł ją zimny dreszcz.

W końcu Smith podjął decyzję i zbiegł do metra. Nie miała żadnych wątpliwości: wyczuł, że ktoś go obserwuje, lecz jej nie rozpoznał, w przeciwnym razie poszedłby za nią, gdy minęła jego stolik.

37

Zirytowana, ciężko westchnęła. Nadeszła pora złożyć meldunek. Sięgnęła do kieszeni pod ciężkim, czarnym swetrem i wyjęła telefon komórkowy.

- Wyczuł, że ktoś go śledzi, ale mnie nie namierzył - powiedziała. - Poza tym wygląda na to, że naprawdę martwi się o swego rannego przyjaciela. Od przyjazdu nie zrobił nic, co by temu zaprzeczało. - Słuchała przez chwilę i gniewnie warknęła: - To wasza sprawa. Jeśli my-

ślicie, że warto, wyślijcie za nim kogoś. Mam inne zadanie... Nie, jak dotąd nic konkretnego, ale czuję, że to coś dużego. Mauritania nie przyjechałby tu, gdyby było inaczej... Tak, jeśli to ma.

Wyłączyła telefon, uważnie się rozejrzała i wyszła z cienia. Ponieważ Smith zniknął, szybko wróciła do kawiarni, w której pił piwo, zajrzała pod jego krzesło i z zadowoleniem kiwnęła głową. Niczego tam nie było.

Na dwóch stacjach Jon czterokrotnie się przesiadał, wybiegał na ulicę, po czym natychmiast wracał na dół. Obserwował wszystkich i wszystko, dopóki godzinę później nie nabrał całkowitej pewności, że zgubił ogon. Z ulgą, lecz nie tracąc czujności, złapał taksówkę i pojechał pod adres, który dał mu Fred Klein.

Okazało się, że jest to prywatny pensjonat w porośniętej dzikim winem kamienicy na małym podwórku od strony rue des Renaudes, oddalony i od ulicy, i od gwaru miasta. Czuwająca za eleganckimi drzwiami konsjerżka, matrona o stalowych oczach i kamiennej twarzy, była równie dyskretna jak sam budynek. Nie zareagowała, gdy Jon spytał o monsieur Wenera, lecz gdy wychynęła zza lady i weszła na schody, ruchy miała zwinne, szybkie i zdecydowane do matrony nieprzystające. Smith podejrzewał, że pod swetrem i fartuchem ma coś więcej niż pęk kluczy.

Było natomiast zupełnie oczywiste, kim jest krzepki mężczyzna - bokser wagi średniej -

siedzący na pierwszym piętrze z kryminałem Michaela Collinsa w ręku. Konsjerżka znikła na schodach jak królik w kapeluszu cyrkowego sztukmistrza, a siedzący na krześle bokser nie raczył nawet wstać, sprawdzając mu dokumenty. Miał na sobie elegancki ciemny garnitur, lecz pod pachą miał też charakterystyczne wybrzuszenie i po krótkim namyśle Smith doszedł

do wniosku, że jest to stary wojskowy colt. Facet poruszał się sztywno i precyzyjnie, jak w niewidzialnym mundurze wytatuowanym na skórze. Musiał być podoficerem, bo oficer na pewno by wstał. W dodatku podoficerem uprzywilejowanym na tyle, że pozwolono mu nosić starą czterdziestkępiątkę - pewnie sierżantem sztabowym generała.

Zwrócił mu legitymację, kiwnął spiczastą głową w uznaniu wyższego stopnia wojskowego i spytał:

- Hasło?

- Loki.

- Generał czeka. Trzecie drzwi w korytarzu.

Jon zapukał i usłyszawszy gardłowe „proszę”, wszedł do słonecznego pokoju z dużym oknem wychodzącym na dziki, kwitnący ogród, który z chęcią namalowałby sam Monet. Przy oknie stał kolejny bokser, choć dziesięć lat starszy i dwadzieścia kilo lżejszy od tego w korytarzu. Chudy jak szczapa, spoglądał na kipiący akwarelowymi barwami ogród.

Smith zamknął drzwi.

- Więc co z tym nowym komputerem, który podobno gdzieś tam jest? - warknął generał. - Wybuchnie jak bomba atomowa czy jak purchawka? A może wcale nie wybuchnie? Co oni knują, pułkowniku? - Był niski, lecz głos miał jak wielkolud wagi ciężkiej, chrapliwy i szczekliwy, zdarty od wydawania rozkazów wśród grzmotu artylerii.

- Przyjechałem tu po to, żeby się tego dowiedzieć, panie generale.

- A co mówi panu przecucie?

- Jestem w Paryżu dopiero od kilku godzin, ale wiele się przez ten czas zdarzyło. Ktoś 38

chciał zaatakować mnie i doktora Zellerbacha, który pracował z doktorem Chambordem.

- Tak, słyszałem.

- Śledził mnie ktoś. Ktoś, kto się na tym zna. Poza tym ten incydent na Diego Garcia.

Powiedziałbym, że to całkiem sporo.

Generał odwrócił się od okna.

- I już? To wszystko? Żadnych teorii? Żadnych domysłów? Jest pan naukowcem, w dodatku lekarzem. Czego mam się spodziewać? Kolejne go Armagedonu czy rozbitego nosa i posiniaczonego amerykańskiego ego?

Jon uśmiechnął się oschle.

- Nauka i medycyna każą nam powstrzymać się od teoretyzowania i zgadywania przed generałami.

Henze wybuchnął śmiechem.

- I słusznie - zadudnił. - I słusznie.

Carlos Henze był naczelnym dowódcą Połączonych Sił Zbrojnych NATO w Europie.

Żyłasty, siwowłosy, ostrzyżony krótko, jak na wojskowego przystało. Lecz nie tak krótko jak generałowie piechoty morskiej czy inni sztywniacy z generalskiej wierchuszki, którzy strzygąc się na jeża, chcieli udowodnić, że są zwykłymi, trzeźwo myślącymi żołnierzami i jak zwykli, trzeźwo myślący żołnierze potrafią bohatersko utyłać się w błocie. Nie, włosy generała Henze kończyły się dwa centymetry nad kołnierzem nienagannie skrojonej ciemnobrą-

zowej marynarki dwuczęściowego garnituru, który nosił ze swobodą i wdziękiem dyrektora wielkiej międzynarodowej korporacji. Należał do grona nowych generałów, w pełni zinte-growanych i przygotowanych na nadejście dwudziestego pierwszego wieku.

- Dobrze, pułkowniku - rzucił. - Powiem panu, co wiem, zgoda?

Niech pan spocznie. Tam, na sofie.

Smith usiadł na ozdobnej, aksamitnej sofie z czasów Napoleona III, a generał wrócił do okna, żeby ponownie podziwiać idylliczny ogród. Jon zastanawiał się, czy w taki sam sposób skupia na sobie uwagę w pokoju pełnym dowódców pułku i dywizji. Niezła sztuczka. Postanowił zastosować ją

kiedyś podczas spotkania ze swymi chronicznie zdeorganizowanymi kolegami naukowcami.

- A więc mamy do czynienia z nową machiną, która jest w stanie przejąć kontrolę nad wszystkimi komputerami i całym dostępnym obecnie oprogramowaniem, łącznie z najtajniej-szymi rozkazami, kodami i szyframi wykorzystywanymi w dowódczych strukturach operacyjnych i elektronicznymi kluczami do odpalania pocisków nuklearnych. Zakładając, że toto w ogóle istnieje, czy dobrze to rozumiem?

- Z wojskowego punktu widzenia jak najbardziej, panie generale - potwierdził Smith.-

W tej chwili nic innego nie obchodzi ani mnie, ani pana, pułkownika. Resztą może zająć się historia.
- Wciąż stojąc tyłem do Jona, Henze zadarł głowę i popatrzył na stalowoszare niebo, jakby zastanawiał się, czy kiedykolwiek zaświeci słońce. - Wszystko wskazuje na to, że człowiek, który ten komputer zbudował, nie żyje i jego notatki pochłonął ogień. Do zamachu nie przyznała się żadna organizacja, co jest dość nie zwykle, choć nie odosobnione. - Tym razem Henze po prostu zamilkł, lekkim, niemal niezauważalnym zeszywnieniem karku i ramion dając znak, że oczekuje od Jona jakiejś reakcji.

Smith stłumił westchnienie.

- Tak jest, panie generale, lecz trzeba dodać do tego nieznanego zamachowca, który dziś rano próbował zabić w szpitalu doktora Zellerbacha. Już o tym wspominałem.

- Dobrze. - Henze powoli odwrócił się, podszedł do obitego brokatem krzesła, usiadł i spojrzał na Jona tak, jak potrafią spoglądać tylko generałowie. - Mam dla pana kilka ważnych informacji. Prezydent kazał mi panu matkować, udzielić panu wszelkiej niezbędnej pomocy, a ja nie należę do tych, którzy ignorują rozkazy prezydenta. Oto czego dowiedzieli się moi ludzie i CIA: w noc zamachu bombowego na Instytut Pasteura na parkingu za aneksem przy rue 39

des Volontaires widziano czarnego citroena. Odjechał kilka minut przed eksplozją. Wie pan, że Chambord miał asystenta?

- Tak. Słyszałem, że szuka go francuska policja. Znalezli go?

- Tak. Jego trupa. Popęłnił samobójstwo. Zastrzelił się w jakimś nędznym hoteliku pod Bordeaux. Wyjechał na urlop do nadmorskiej wsi, bo chciał malować rybaków. Jeden z jego paryskich przyjaciół twierdzi, że Chambord kazał mu wyjechać. Mówił ponoć, że chłopak za ciężko pracuje, należy mu się urlop, a jak urlop, to morze i rybacy. No i wyjechał. Ach, ci Francuzi... Ale skoro wyjechał nad morze, co robił w tej zapchlonej norze po drugiej stronie Garonne?

- Policja jest pewna, że popełnił samobójstwo?

- Podobno. Ci z CIA gadali z właścicielem hotelu. Wprowadzając się, chłopak miał ze sobą teczkę. Właściciel zauważył to, bo jego tak zwani goście zjawiają się zwykle bez żadnego bagażu. Rozumie pan, taki to hotel. Przyjechał sam, bez przyjaciółki, bez przyjaciela. Jeśli naprawdę była teczka, to

teraz jej nie ma. Przepadła.

- Myśli pan, że zamachowcy uderzyli ponownie, pozorując samobójstwo i zabierając teczkę?

Henze zerwał się na równe nogi, przeszedł kilka kroków i pomaszerował na swoje ulubione stanowisko bojowe przy oknie.

- Prezydent mówi, że od myślenia jest pan, nie ja. Ale tak, według CIA to samobójstwo śmierdzi, chociaż z Surete niczego nie podejrzewają.

Smith popadł w zadumę.

- Asystent wiedziałby, czy Chambord zrobił jakieś postępy czy nie, ale to niewystarczający powód, żeby go zabijać. Krążą plotki, że Chambordowi się udało, dlatego po jego śmierci musimy działać tak, jakby komputer molekularny już istniał. Nie, moim zdaniem powody były inne. Najprawdopodobniej chodziło o teczkę, tak jak pan podejrzewa. O notatki asystenta... Może o notatki samego Chamborda. W każdym razie o to, co było w teczce, o coś, co tamci uważali za ważne i niebezpieczne.

- Właśnie. - Generał posłał mu wojownicze spojrzenie. - Po tym, co zaszło na Diego Garcia, wygląda na to, że zamachowcy dysponują planami diabelskiej maszyny, którą pan nazywa zwyczajnym, tyle że molekularnym superkomputerem...

- Prototypem, panie generale - poprawił go Jon.

- Co za różnica?

- Prototyp jest prawdopodobnie duży, nieporęczny, trudny do przeniesienia. Modele komercyjne, małe i lekkie, powstaną dopiero w przyszłości.

Henze zmarszczył czoło.

- Najważniejsze, czy taki prototyp naprawdę zadziała.

- Zadziała, pod warunkiem że obsługiwać go będzie kompetentny fachowiec.

- W takim razie co za różnica? - powtórzył generał. - Oni mają to cholerstwo, a my nie mamy nic. Niezły kopniak w dupę, co?

- Tak jest. Powiedziałbym, że bardzo... silny.

Henze z powagą kiwnął głową.

- Więc niech pan coś z tym zrobi, pułkowniku.

- Postaram się, panie generale.

- To za mało. Skontaktuje się z panem mój zastępca, generał La Porte. Jest Francuzem.

Francuzi też się tym niepokoją, a ponieważ jesteśmy ich gośćmi, Biały Dom chce, żeby po-czuli się ważni. Ale uwaga: możemy im zdradzić tylko tyle, ile będzie absolutnie konieczne.

Zrozumiano? La Porte już węszy, wypytuje o pana i tego Zellerbacha. Pewnie myśli, że chcemy go olać. Ech, ci Francuzi. Powiedziałem mu, że jest pan przyjacielem Zellerbacha, ale widzę, że podchodzi do tego bardzo sceptycznie. Słyszał o burdzie w szpitalu, więc niech pan będzie przygotowany na pytania i trzyma się swojej wersji. - Henze otworzył drzwi i wycią-

40

gnął rękę. - Proszę być w kontakcie. Gdyby pan czegoś potrzebował, wystarczy za dzwonić.

Sierżant Matthias wskaże panu drogę.

Jon uścisnął jego żelazną dłoń. Niski, krępy Matthias wyraźnie nie chciał opuszczać posterunku. Otworzył usta, żeby zaprotestować - dopiero teraz widać było, że na pewno jest sierżantem - lecz pochwywszy spojrzenie generała, momentalnie zmienił zdanie.

Bez słowa odprowadził Smitha na dół, gdzie pałac gitane'a, czuwała za ladą konsjerżka.

Przechodząc obok, Jon zauważył rękojeść automatycznej dziewiątki za paskiem spódnicy.

Generał Carlos Henze był naczelnym dowódcą Połączonych Sił Zbrojnych NATO w Europie i musiano dbać o jego bezpieczeństwo.

Sierżant przystanął przy drzwiach. Czekał, aż Jon przejdzie przez podwórze i łukowatą bramą wyjdzie na chodnik. Smith zatrzymał się pod drzewem, popatrzył na ruchliwą ulicę, na nielicznych przechodniów... i serce zamarło mu w piersi. Odwrócił się na pięcie i wyteżył

wzrok.

Na tylnym siedzeniu taksówki, która właśnie wjeżdżała na podwórze, dostrzegł czyjaś twarz. Zmroziło mu krew w żyłach. Odliczył do pięciu i szybko cofnął się do miejsca, skąd przez krzaki lepiej widział frontowe drzwi pensjonatu.

Chociaż mężczyzna był teraz w kapeluszu, miał tę samą śniadą twarz, sumiaste wąsy i tę samą szczupłą sylwetkę. Był to salowy, który próbował zabić Marty'ego. Fałszywy salowy, z którym Jon walczył na schodach ewakuacyjnych w szpitalu. Podszedł do drzwi. Do tych samych drzwi, którymi przed chwilą wyszedł Smith. Sierżant Matthias wciąż stał w progu.

Grzecznie zrobił mu przejście. Jak na zawodowca przystało, rozejrzał się czujnie i zamknął za sobą

Rozdział 7

Ciężki wiosenny zmierzch otulał Seine-St-Denise jak ciemniejący pled. Jon Smith zapłacił taksówkarzowi, wysiadł i poczuł metaliczny zapach ozonu. Powietrze było natrętnie lepkie, duszne i przesycone wilgocią. Zanośliło się na deszcz.

Przystanąwszy na chodniku, Jon schował ręce do kieszeni płaszcza i popatrzył na wąską dwupiętrową kamienicę. Według Mike'a Kernsa, mieszkała tu Teresa Chambord. Ceglana kamieniczka była urocza, bardzo malownicza. Miała spiczasty dach, ozdobioną stiukami kamienną fasadę i stała w rzędzie podobnych kamieniczek, które zbudowano najpewniej w póź-

nych latach pięćdziesiątych lub na początku sześćdziesiątych. Wyglądało na to, że każde piętro zajmuje jedno mieszkanie. We wszystkich oknach paliło się światło.

Jon jeszcze raz popatrzył na ulicę, gdzie dwoma kołami na chodniku, jak to we Francji, parkował rząd samochodów. Minał go sportowy ford, przecinając mrok dwiema smugami ostrego białego światła. Ulica była krótka, oświetlona latarniami i lampami, a na jej końcu, tuż za rampą dostawczą, wyrastał siedmiopiętrowy ultranowoczesny hotel z lanego betonu, też pomalowany na beżowo, pewnie po to, żeby nie odstawać od sąsiadujących z nim niż-

szych kamieniczek.

Zachowując wzmożoną czujność, Smith zawrócił i ruszył w tamtą stronę. Pół godziny stał we foyer i przez szklaną ścianę uważnie obserwował najbliższą okolicę. Ale nie, nikt go chyba nie śledził, nikt nie podążył za nim do hotelu. Nikt też nie wszedł do kamieniczki, w której mieszkała Teresa Chambord.

Znalazł drzwi dla personelu i chyłkiem wymknął się na uliczkę przecinającą ulicę główną. Szybko doszedł do skrzyżowania, ostrożnie wyjrzał zza rogu. Nikogo. Ani przed wejściem do hotelu, ani w pobliżu kamieniczki. Nie licząc parkujących na chodniku samochodów, było tu niewiele miejsc, w których można by się ukryć, a wszystko wskazywało na to, że w samochodach też nikogo nie ma. Jon kiwnął głową i rozglądając się wokoło, ruszył

spiesznie w stronę kamieniczki.

Obok mieszczących się w głębokiej niszy drzwi, w miejscu przeznaczonym na karteczki z

nazwiskiem, tkwiła elegancka wizytówka z jej nazwiskiem. Jon zadzwonił, przedstawił się i podał cel wizyty.

Wjechał na drugie piętro i gdy otworzyły się drzwi windy, Teresa Chambord stała już w progu mieszkania. Była w obcisłym, nienagannie dopasowanym białym kostiumie, jedwabnej białej bluzce ze stójką, i w szpilkach koloru kości słoniowej. Biel na bieli, przyprawiona intensywną krwistą czerwienią długich kolczyków i przykuwającym uwagę szkarłatem pełnych ust - jak na obrazie Andy'ego Warhola. I kontrastująca z białą aksamitną czerń puszystych włosów, które otulały jej głowę niczym ciemny obłok, nieco teatralnie, lecz kusząco. Tak, by-

ła aktorką w każdym calu, chociaż owa teatralność mogła być również odzwierciedleniem jej talentu i doświadczenia.

Na lewym ramieniu miała dużą torbę, jakby właśnie wychodziła. Odezwała się do Jona płynną angielszczyzną bez najmniejszego cienia obcego akcentu.

- Doprawdy nie wiem, co mogłabym powiedzieć panu o moim ojcu i o tym biedaku, który podobno był z nim, kiedy... kiedy w laboratorium wybuchła bomba. Pan... pan Smith, prawda?

- Tak, doktor Jon Smith. Czy mogłaby pani poświęcić mi dziesięć minut? Doktor Zellerbach jest moim starym, bliskim przyjacielem. Wychowywaliśmy się razem.

Teresa Chambord spojrzała na zegarek i zagryzła dolną wargę małymi, nieprawdopodobnie białymi zębami. Rozważała coś przez chwilę, w końcu kiwnęła głową.

42

- Dobrze, dziesięć minut. Proszę wejść. Mam dziś przedstawienie, ale mogę odpuścić sobie kilka minut jogi.

Mieszkanie wyglądało zupełnie inaczej, niż wyobrażał to sobie, patrząc na staroświecką fasadę kamieniczki. Dwie ściany były całe ze szkła, co nadawało wnętrzu nowoczesny smaczek. W trzeciej ścianie były wysokie szklane drzwi wychodzące na długi, wygięty w łuk balkon z żelazną balustradą w surowe geometryczne wzory.

Pokoje były duże, choć nie olbrzymie. Umeblowano je eleganckimi meblami w stylu Drugiego Cesarstwa, na chybił trafił przemieszanych z barokowymi meblami w stylu Ludwika XIV i ustawionymi -jak to w Paryżu - niemal jeden przy drugim, lecz chociaż na pierwszy rzut oka panował tu nieład, a nawet bałagan, całość - choć trudno to sobie wyobrazić - tchnęła doskonałą wprost harmonią. Przez uchylone drzwi Smith dostrzegł dwie sypialnie i małą, lecz dobrze urządzonej kuchnię. Królewski przepych, ciepło, wygoda i nowoczesność.

- Proszę. - Wskazując mu małą, twardą kanapkę w stylu Drugiego Cesarstwa, Teresa Chambord

otaksowała go powłóczystym spojrzeniem od głowy po czubki butów.

Jon lekko się uśmiechnął. Zmierzyła go wzrokiem i wskazała najodpowiedniejsze miejsce. Sama usiadła w fotelu barokowym, o wiele lżejszym i delikatniejszym. Z daleka, stojąc w drzwiach, robiła wrażenie kobiety wysokiej, postawnej majestatycznej, lecz gdy usiadła, zdał

sobie sprawę, że ma ledwie metr sześćdziesiąt pięć wzrostu. Majestatyczna była jej osobowość, jej indywidualność. Wypełniała sobą i drzwi, i cały pokój. Dzięki niej Teresa mogła zagrać i kobietę toporną, i delikatną, i młodą, i starą. Zdawała się większa, potężniejsza niż w rzeczywistości i miała poczucie własnego ja, którym potrafiła manipulować zarówno na scenie, jak i w domu.

Jon podziękował jej i spytał:

- Czy wiedziała pani, że Marty, czyli doktor Zellerbach, pracował z pani ojcem?

- Nie, to znaczy nie do końca. Bardzo się lubiliśmy, ale oboje byliśmy zapracowani.

Nie widywaliśmy się tak często, jak byśmy chcieli. Ale często rozmawialiśmy przez telefon i pamiętam, że wspomniał kiedyś o nowym, cudownym współpracowniku, ekscentrycznym samotniku ze Stanów, o komputerowym geniuszu cierpiącym na rodzaj autyzmu. Powiedział, że pewnego ranka ów doktor Z., jak go nazywał, przyjechał do instytutu prosto z lotniska i wyraził chęć współpracy. Gdy ojciec zdał sobie sprawę, z kim ma do czynienia, natychmiast zapoznał go z rezultatami badań i już niebawem doktor Z. podsunął mu wiele oryginalnych rozwiązań, przyczyniając się do dalszego postępu prac. Ale niestety, nic więcej o nim nie wiem. Bardzo mi przykro.

Mówiła szczerze. Smith poznał to po jej głosie. Było jej przykro z powodu Marty'go i z powodu ojca. Poznał to również po jej oczach, wciąż zaszokowanych tragicznym zniknięciem ojca, myślą, że najprawdopodobniej nie żyje. Ten szok wtrącił ją w umysłowy niebyt, zawie-sił w próżni między teraźniejszością i przeszłością.

- Pani musi przeżywać to znacznie bardziej - odrzekł, widząc w jej oczach smutek i ból. - Marty ma przynajmniej szansę.

- Tak. - Lekko kiwnęła głową. - Chyba tak.

- Czy pani ojciec mówił coś, co sugerowałoby, że ktoś chce go za mordować? Ukraść wyniki jego badań?

- Nie. Jak już wspominałam, widywaliśmy się bardzo rzadko, a od roku jeszcze rza-dziej niż przedtem. Przez telefon też rozmawialiśmy sporadycznie. Pochłaniała go praca w laboratorium.

- Wiedziała pani, nad czym pracował?

- Tak, nad komputerem molekularnym. Wszyscy o tym wiedzieli. Ojciec nie znosił sekretów i tajemnic. Zawsze powtarzał, że w nauce nie ma miejsca na takie egocentryczne bzdury.

- Jeśli dobrze wiem, uważał tak do zeszłego roku. Domyśla się pani, co go tak nagle 43

odmieniło?

- Nie. - Powiedziała to bez sekundy wahania.

- Może poznał nowych przyjaciół? Jakąś kobietę? Zazdrosnych kolegów? Może potrzebował pieniędzy?

Teresa prawie się uśmiechnęła.

- Kobietę? Nie, bardzo wątpię. Tak, oczywiście, dziecko, zwłaszcza córka, nigdy nie wie tego na pewno, ale ojciec z trudem znajdował czas nawet dla mojej mamy, gdy jeszcze żyła, chociaż bardzo ją kochał. Wiedziała o tym i pozwoliło jej to pogodzić się z istnieniem wielkiej rywalki, nauki. Ojciec był pracoholikiem. Nie potrzebował pieniędzy, nigdy nie wydawał pensji, chociaż zarabiał bardzo dużo. Nie miał przyjaciół, tylko kolegów. Chyba żaden z nich nie był szczególnie zazdrosny o wyniki badań. Z drugiej strony, nie mieli ku temu powodów. Wszyscy są naukowcami o ugruntowanej reputacji.

Jon jej uwierzył. Naukowcy, ci światowej sławy, tacy już po prostu są, zwłaszcza pra-coholicy. Zazdrość nie wchodzi w rachubę - mają za bardzo rozbuchane ego, żeby komukolwiek zazdrościć. Rywalizacja tak, jak najbardziej. Jest zazarta i nic nie cieszy ich bardziej niż fałstart, zły tok rozumowania czy błąd rywala. Ale gdyby rywal wyprzedził ich w pracy nad tym samym projektem, tylko by mu przyklasnęli, po czym wsparliby go i próbowali jego dzieło kontynuować.

- Czy podczas rozmów wspominał, że jest bliski osiągnięcia celu? Że zbudowanie działającego modelu komputera to tylko kwestia dni?

Pokręciła głową i jej ramiona otulił obłok długich, czarnych włosów.

- Nie, na pewno bym pamiętała.

- A co podszeptuje pani intuicja? Mówiła pani, że byliście bardzo zżyci...

Myślała przez chwilę, nerwowo zerkając na zegarek.

- Kiedy ostatni raz jedliśmy razem lunch, był... Sama nie wiem, bardzo rozradowany, nawet w euforii. Spotkaliśmy się w bistrze niedaleko instytutu...

- Kiedy?

- Trzy tygodnie temu, może nawet mniej. - Ponownie spojrzała na zegarek i wstała. -

Naprawdę muszę już iść. - Posłała mu odważny, bez pośredni uśmiech. - Chciałby pan wpaść dzisiaj do teatru? Obejrzałby pan przedstawienie, a potem moglibyśmy porozmawiać przy kolacji. -

Odpowiedział jej uśmiechem.

- O niczym innym nie marzę, ale nie dzisiaj. W takich przypadkach Amerykanie wręczają sobie coś, co nazywają kwitem na później. Może więc... kwit?

Zachichotała.

- Kwit? Będzie mi pan musiał wyjaśnić pochodzenie tego określenia.

- Z przyjemnością.

- Jest pan samochodem?

Jon odrzekł, że nie.

- Może pana podrzucić? Pojedziemy, dokąd pan zechce. - Zamknęła drzwi na klucz i wsiedli do windy.

W tym małym, intymnym pomieszczeniu pachniała wiosennym bzem. Smith otworzył frontowe drzwi i układnie przepuścił ją przodem.

W podzięce posłała mu oszałamiający uśmiech, odsłaniając bielutkie, idealnie równe zęby.

- *Merci beaucoup.*

Wyszła na ulicę. Patrzył, jak piękna kobieta w eleganckim białym kostiumie znika w nocnym mroku. Była to jedna z nielicznych chwil osobistej przyjemności i nie miałby nic przeciwko temu, żeby trwała znacznie dłużej. Stłumił westchnienie, uśmiechnął się i ruszył

44

przed siebie. Wtem drzwi się zatrzasnęły. Mocno. Gwałtownie. Całkowicie zaskoczony Jon odskoczył do tyłu i niezdarnie wylądował na podłodze.

Z mrocznej ulicy dobiegł go krzyk Teresy Chambord.

Smith wyszarpnął się saura, zerwał się na równe nogi i runął na drzwi, omal nie wyrywając ich z zawiasów.

Wypadł na ciemny chodnik i popędził przed siebie, rozglądając się na wszystkie strony.

Pod nogami zachrząściło szkło. Poderwał głowę. Lampy nad wejściem były rozbite, okoliczne

latarnie roztrzaskane. Sumienna robota. Musieli mieć tłumik, inaczej ktoś usłyszałby huk wystrzałów.

Coraz gęstsze deszczowe chmury przesłaniały księżyc i gwiazdy. Cała ulica tonęła w ciemności pełnej nieprzeniknionych cieni.

Z mocno bijącym sercem Jon dostrzegł cztery sylwetki. Od kominiarek po sportowe bu-ty byli ubrani na czarno i prawie ginęli w mroku nocy. Wszyscy czterej zmagali się ze stawiającą opór Teresą, którą próbowali wepchnąć do czarnej furgonetki. Z ustami zaklejonymi ta-

śmą, była jak pasemko rozedrganej, zacięcie walczącej bieli.

Jon skręcił, przyspieszył i popędził w tamtą stronę. Szybciej, powtarzał sobie w duchu.

Szybciej!

Biegając, usłyszał stłumione „puf! Kula przeleciała z jękiem tak blisko, że musnęła mu policzek. Zadzwoniło mu w uszach i przez chwilę myślał, że ból rozsądzi mu głowę. Zamrugał, szybko i gniewnie, po czym runął na ziemię, przetoczył się i błyskawicznie wstał z gotowym do strzału pistoletem w rękę. Naszła go fala silnych mdłości. Czyżby ponownie rozwalili

sobie łeb?

Zamrugał jeszcze raz, z trudem się skupił i zobaczył, że tamci wepchnęli Teresę do samochodu. Rozwścieczony, ponownie puścił się biegiem, ciężko dudniąc nogami o ziemię.

Uniósł pistolet i ostrzegawczo strzelił jednemu z porywaczy pod nogi.

- Stój! - ryknął. - Stój, bo zabiję! - Łupało mu w głowie, mrugał.

Dwaj napastnicy odwrócili się wprawnie, przykucnęli, wypalili i Jon musiał ponownie upaść na ziemię.

W chwili gdy podnosił się, żeby ponownie wycelować, tamci dwaj wskoczyli do furgonetki i usiedli obok Teresy, trzeci smyrgnął do szoferki. Zgrzytnęły biegi, samochód ruszył

szybko do tyłu i siedzący w fotelu pasażera człowiek z trudem zatrzasnął drzwiczki. Drzwi boczne, rozsuwane, pozostały otwarte.

Celując w opony, Smith oddał cztery starannie mierzone strzały. Ale był jeszcze napastnik numer cztery. Biegając, ukryty za furgonetką i szykując się do skoku w otwarte drzwi, dwukrotnie wypalił w jego stronę.

Kule uderzyły w chodnik, odłupując kawały betonu, które grzmotnęły Jona w tył głowy.

Zaklął, odcoczył się na bok, wystrzelił ponownie. Kula trafiła w plecy porywacza w chwili, gdy odwrócił się, żeby wskoczyć do samochodu. Wygiął się w łuk, trysnęła fontanna krwi.

Jego ręka ześlizgnęła się z klamki i runął na ziemię. Krzyknął przeraźliwie, gdy przejechało po nim tylne koło furgonetki.

Samochód z piskiem opon wypadł z podjazdu na ulicę. Ciężko dysząc, Smith popędził

za nim. Biegł ile sił w nogach i wkrótce rozbolały go mięśnie. Mimo to biegł dalej, biegł i biegł, dopóki furgonetka nie skręciła za róg i nie znikła mu z oczu. Jedyнным dowodem na to, że naprawdę istniała, że nie przybyła tu z jakiegoś wynaturzonego sennego koszmaru, były jej tylne światła.

Jon stanął, z trudem łapiąc oddech. Z rękami opartymi o kolana, pompował w siebie wielkie hausty powietrza. Bolało go całe ciało. Urowadzono ją. Urowadzono Teresę Chambord. Wreszcie odzyskał w miarę normalny oddech. Jeszcze raz napełnił płuca powietrzem i wyprostował się w żółtym blasku ulicznej latarni. Pistolet zwisał mu bezwładnie w rę-

45

ku. Zamknął oczy, sprawdzając, czy ma całą głowę. Czy potrafi logicznie myśleć. Głowa już nie bolała, a mdłości ustały.

Doszedł do wniosku, że rano doznał w szpitalu lekkiego wstrząśnienia mózgu. Będzie musiał zachować większą ostrożność, ale nie zamierzał ustępować.

Zaklął i wrócił biegiem na ciemny podjazd przy Seine-St-Denis, gdzie twarzą do ziemi, w kałuży krwi, leżał nieruchomo czwarty porywacz. Dotknął jego szyi. Nie wyczuł pulsu.

Westchnął i przeszukał zabitemu kieszenie. Znalazł garść francuskich monet, duży, paskudnie wyglądający scyzoryk, paczkę hiszpańskich papierosów i kilka zmiętych chusteczek higienicznych. Ani portfela, ani dokumentów. Przy krawężniku leżał pistolet. Glock, stary, lecz dobrze naoliwiony i zadbane. Jon obejrzał go dokładnie, zwłaszcza rękojeść. Była obciąż-

gnięta skórą, pewnie dla wygody i bezpieczeństwa. A może po to, żeby było oryginalniej.

Smith zmrużył oczy. Na skórze widniał niewyraźny wzór: rozłożyste drzewo z pniem, który pochłaniały płomienie.

Z oddali dobiegło zawodzenie policyjnych syren. Nie, nie mogli go tu zastać. Chwyciwszy glocka, szybko odszedł w mrok.

Hotel Gilles stał na lewym brzegu Sekwany, niedaleko kolorowych sklepów i restauracji na bulwarze St-Germain. Mały, dyskretny hotelik, w którym odwiedzając Paryż, wielokrotnie się zatrzymywał. Wszedł do miniaturowego holu i ruszył do dziewiętnastowiecznej lady za ręcznie kutą żelazną kratą. Z każdym krokiem coraz bardziej martwił się o Teresę Chambord.

Kierownik powitał go francuskim okrzykiem, czule objął i przeszedł na angielski.

- Pułkownik Smith! - mówił szybko. - Cóż za radość! Aż zaniemówiłem. Długo się pan u nas zatrzyma?

- Miło cię widzieć, Hector. Niewykluczone, że na kilka tygodni, ale będę pojawiał się i znikał. Proszę zatrzymać dla mnie pokój, dopóki oficjalnie się nie wymelduję. Zgoda?

- Załatwione. Rezerwacji nie sprawdzam, bo po co panu rezerwacja?

- *Merci beaucoup.*

W miłym, choć dalekim od nowoczesnego pokoju Smith rzucił na łóżko walizkę i laptopa. Wyjął komórkę z wbudowanym szyfratorem, wybrał numer Kleina i musiał chwilę odczekać, dopóki niezliczone, rozrzucone po całym świecie przekaźniki nie namierzyły aparatu dyrektora Jedyunki.

- No i co? - odezwał się Klein.

- Porwali Teresę Chambord.

- Właśnie mi o tym doniesiono. Jeden z sąsiadów widział prawie całe zajście, łącznie z tym, jak jakiś wariat próbował ich powstrzymać. Francuska policja przekazała wiadomość prasie. Na szczęście sąsiad nie zapamiętał twarzy owego bohatera.

- Na szczęście - powtórzył oschle Jon.

- Policja nie ma pojęcia, kim są porywacze ani dlaczego ją uprowadzono, i nie są z tego powodu zbyt szczęśliwi. Chamborda zabito, a jego córkę tylko uprowadzono? Po co? Dlaczego? Skoro ci, którzy podłożyli w instytucie bombę, mają zapiski i wiedzą, jak zbudować ten przeklęty komputer, po co mieliby ją porywać? Urowadzili ją ci sami ludzie, którzy wysadzili w powietrze instytut i zamordowali Chamborda czy ktoś inny? Może zamieszane w to są dwie grupy: ta, która zdobyła zapiski, i ta, która chce te zapiski zdobyć, i która porwała w tym celu panią Chambord z nadzieją, że coś im powie?

- Paskudna myśl. Druga grupa. Niech to szlag.

- Obym się mylił - mruknął Klein wyraźnie sfrustrowany.

- Cudnie. Ale cóż, musimy brać to pod uwagę. Ten meldunek o mnie i o Teresie. Mam zmienić przykrywkę?

- Nie, jak dotąd jesteś czysty. Francuzi przesłuchali taksówkarza, który zawiózł na Champs Elysees człowieka odpowiadającego twojemu rysopisowi. Człowiek ten poszedł do 46

nocnego klubu, ale na szczęście nikt z klubu ciebie nie zapamiętał, a nazwiska oczywiście nie

podał. Trop się urywa. Dobra robota, Jon.

- Dzięki - odrzekł zmęczonym głosem Smith. - Potrzebuję pomocy w rozszyfrowaniu symbolu, który tu znalazłem: rozłożyste drzewo i trzy oplatające pień płomienie. - Wyjaśnił

szefowi, że znalazł ten znak na skórzanej rękojeści pistoletu jednego z porywaczy.

- Dobrze, sprawdzę. Jak poszło spotkanie z Kernsem i generałem Henze?

Smith streścił mu, czego się od nich dowiedział, uzupełniając sprawozdanie takimi szczegółami jak to, że Kerns widywał Chamborda wsiadającego do czarnego citroena.

- Powinien pan wiedzieć coś jeszcze - dodał. - Obym się mylił, ale... - Opowiedział mu o „salowym”, którego sierżant Matthias wpuścił do pilnie strzeżonej rezydencji generała Henze.

Klein cicho zaklął.

- Co się tam dzieje, u diabła? Generał Henze nie może być w to zamieszany, nie z jego przeszłością i reputacją. Jeśli to coś więcej niż dziwny zbieg okoliczności, będę wstrząśnięty.

Ale tak, trzeba się temu przyjrzeć. Moja w tym głowa.

- Czy sierżant może być czyjąś wtyczką? Kretem?

Kleinowi stwardniał głos.

- Nie, to nie do pomyślenia. Trzymaj się od tego z daleka. Nie chcę, żebyś się spalił.

Sprawdzę i Matthiasa, i ten symbol. - Klein się rozłączył.

Wyczerpany Jon ciężko westchnął. Miał nadzieję, że znaleziony na rękojeści pistoletu znak zaprowadzi go do Teresy Chambord. Porywacze mogli być niedaleko... Zdjął z łóżka walizkę i dotknął znajomego materaca. Był elastyczny, lecz twardy, jak to we Francji, a on z niecierpliwością oczekiwał chwili, kiedy się na nim położy i wreszcie zaśnie.

Wszedł pod prysznic, zamontowany w stareńkiej wannie, chyba niedawno, na pewno po jego ostatniej wizycie. Zmył z siebie zmęczenie podróży i pył ostatniej przygody, włożył fro-towy szlafrok, usiadł przy oknie i otworzył okiennice, żeby popatrzeć na strome dachy Pary-

ża.

Gdy siedział tak znużony, błędząc myślami, czarne niebo przecięła jaskrawa błyskawica. Zahuczał grzmot i lunął deszcz. Burza, która krążyła wokół miasta przez cały dzień, wreszcie nadeszła. Smith podniósł głowę i twarz zbryzgały mu chłodne krople wody. Trudno było uwierzyć, że jeszcze tego ranka pracował w laboratorium w Fort Collins, oglądał wstają-

cy nad prerią świt.

Laboratorium, Kolorado... znowu pomyślał o Martym. Zamknął okiennice i przy rytmicznym akompaniamencie deszczu wybrał numer szpitala. Gdyby ktoś go podsłuchiwał, zgodnie z oczekiwaniami usłyszałby tylko głos niewinnego, głęboko zatroskanego przyjaciela. Żadnych podejrzeń, żadnych wybiegów.

Pielęgniarka z OIOM-u powiedziała, że stan Marty'ego nie uległ zasadniczej zmianie, choć są oznaki niewielkiej poprawy. Jon podziękował jej z ulgą, życzył dobrej nocy, odłożył

słuchawkę i zadzwonił do szpitalnego biura ochrony. Szef poszedł już do domu, ale jego zastępca poinformował, że od porannego zamachu nie stało się nic podejrzanego czy nawet niepokojącego ani w pokoju Marty'ego, ani na oddziale. Tak, policja przysłała posiłki.

Jon zaczynał się powoli odprężyć. Odłożył słuchawkę, ogolił się i już miał się położyć, gdy cicho zamruczała komórka.

- Drzewo i płomień - zaczął bez wstępów Klein - to symbol nie istniejącej już baskijskiej organizacji separatystycznej Czarny Płomień. Rozpadła się po strzelaninie w Bilbao, w której zginęli niemal wszyscy przywódcy. Ci, którzy nie zginęli, trafili do więzienia i popełnili tam „samobójstwo”, wszyscy oprócz jednego. Nie słyszano o nich od lat, a baskijscy terroryści zwykle przyznają się do zamachów. Ale grupy bardziej radykalne i krwawe w działaniu nie zawsze. Im zależy na prawdziwych zmianach, nie na propagandzie.

- Mnie też - odparł Smith. — I mam nad nimi jedną przewagę.

47

- Niby jaką?

- Oni nie chcieli mnie zabić. Co znaczy, że nie wiedzą, co tu tak naprawdę robię. Jeszcze się nie spaliłem.

- Celne spostrzeżenie. Teraz idź spać. Może wykopię coś więcej o tych Baskach, zobaczę.

- Chciałbym prosić o coś jeszcze, mogę? Zależy mi na szczegółach z przeszłości Emile'a Chamborda. Na historii jego całego życia. Mam przeczucie, że czegoś mi tu brakuje, i niewykluczone, że znajdę to właśnie tam. Może to coś ważnego, coś, co by powiedział nam, gdyby jeszcze żył. Może wiedzieć o tym Teresa, nie zdając sobie z tego sprawy. Może wła-

śnie dlatego ją uprowadzono. Tak czy inaczej, warto spróbować. - Jon wyłączył telefon.

Samotny w ciemnym pokoju, wsłuchiwał się w bębnienie deszczu i szum samochodowych opon na mokrym asfalcie. Myślał o zamachowcu, o generale i o grupie baskijskich fanatyków, którzy z energią wrócili do działania. O fanatykach nieugiętych i zdeterminowanych. Z głębokim niepokojem

zastanawiał się, gdzie uderzą teraz i czy Teresa Chambord jeszcze żyje.

48

Rozdział 8

W ciężkim, gorącym powietrzu, które stężało między dywanami i gobelinami na ścianach mieszkania Mauritania, wibrowały hipnotyzujące dźwięki hinduskiej ragi. Mauritania siedział po turecku dokładnie pośrodku pokoju, kiwając się jak Budda w rytm łagodnej, choć hałaśliwej muzyki. Miał zamknięte oczy i błogi uśmiech na twarzy. Nic nie widząc, szóstym zmysłem wyczuł pełne dezaprobaty spojrzenie swego porucznika, Abu Audy, który właśnie przy był,

- *Salaam alajkum*. - Mauritania nie otworzył oczu i nie przestał się kiwać. - Wybacz mi, to moja jedyna słabostka. Hinduska raga jest elementem rozwiniętej kultury powstałej du-

żo wcześniej, niż Europejczycy wymyślili swoją muzykę klasyczną. Ten fakt cieszy mnie prawie tak samo jak dźwięki ragi. Myślisz, że Allah wybaczy mi tę słabość i nieposkromioną pychę?

- On na pewno. Dla mnie to tylko rozpraszający uwagę hałas - prychnął pogardliwie rosły, potężnie zbudowany Abu Auda.

Wciąż miał na sobie te same białe szaty i haftowaną złotymi nićmi kufię, w której rozmawiał z kapitanem Bonnardem, gdy ten przekazał mu notatki zamordowanego asystenta. Teraz szaty były niestety brudne nie tylko dlatego, że spędził zbyt wiele dni w cuchnącym Pary-

żu, ale i od deszczu. Nie przywiózł tu z sobą żadnej ze swych kobiet i nie miał się kto nim za-jać. Irytujące, lecz musiał się z tym pogodzić. Odsunął kufię, odsłaniając czarną, pociągłą twarz, mocno zarysowany, kościsty podbródek, mały, prosty nos i pełne, kamiennie nieruchome usta.

- Chcesz, żebym przedstawił ci raport, czy dalej mam tracić przez ciebie czas?

Mauritania zachichotał i otworzył oczy.

- Raport. Jakżeby inaczej? Allah by mi wybaczył, ale ty nie, prawda?

- Allah ma więcej czasu niż my - odparł oschle Abu Auda. - Tak, masz rację, na pewno. W takim razie wysłuchajmy tego jakże ważnego raportu. - Mauritania miał rozbawione oczy, lecz błyszczała w nich iskierka, na widok której Abu Auda natychmiast przestał narzekać i przeszedł do rzeczy.

- Mój obserwator z Instytutu Pasteura donosi, że Smith był tam. Rozmawiał z doktorem Kernsem; to chyba jego stary znajomy. Mój człowiek słyszał tylko część rozmowy, fragment o Zellerbachu. Potem

Smith wyszedł z instytutu, wypił małe piwo w kafejce i poszedł do metra, gdzie mój partacz go zgubił.

- Partacz zgubił Smitha czy Smith partacza? - przerwał mu Mauritania. Abu Auda wzruszył ramionami.

- Mnie tam nie było. Ale dowiedziałem się czegoś ciekawego. Smith krążył bez celu, dopóki nie przystanął przed księgarnią. Stał tam chwilę, popatrzył, uśmiechnął się do kogoś i poszedł do metra.

- Tak? — Błękitne oczy Mauretanii nagle pojaśniały. - Może wychodząc z instytutu, zauważył, że ktoś go śledzi?

Abu Auda błysnął zielonobrazowymi oczami.

- Wiedziałbym więcej, gdyby ten idiota go nie zgubił. Za długo czekał. Na Allacha, już on mi za to zapłaci!

Mauritania zmarszczył czoło.

- A potem?

- Namierzyliśmy Smitha dopiero dziś wieczorem, kiedy odwiedził córkę Chamborda.

Widział go nasz człowiek, ale Smith chyba nic nie zauważył. Spędził w jej mieszkaniu pięć-49

naście minut, potem zjechali windą na dół. Gdy tylko Teresa Chambord wyszła, zaatakowało ją czterech ludzi. Ach, cóż za fachowcy! Dałby Bóg, żeby pracowali dla nas. Najpierw wy eliminowali Smitha, blokując go drzwiami i oddzielając od kobiety, potem zaciągnęli ją do furgonetki. Zanim Smith doszedł do siebie i ruszył w pościg, byli już w samochodzie, chociaż Chambord stawiała zaciekle opór. Smith jednego z nich zabił, ale pozostali uciekli. Smith ob-szukał trupa i odszedł, zanim przyjechała policja. Przed pobliskim hotelem złapał taksówkę.

Nasz człowiek dojechał za nim na Champs Elysees i tam go zgubił.

Mauritania kiwnął głową. Zrobił to niemal z satysfakcją.

- Smith nie chce mieć do czynienia z policją, jest podejrzliwy, potrafi zgubić ogon, podczas ataku zachowuje spokój i sprawnie posługuje się bronią. Wygląda na to, że jest kimś więcej niż tylko zwykłym lekarzem.

- Jest dobrze wyszkolony, był w wojsku, to pewne. Ale czy to on jest naszym największym zmartwieniem? Co z córką Chamborda? Kim jest tych pięciu, bo w szoferce musiał być przecież kierowca? Nie przejmowałaś się nią, zanim to się stało. No i proszę, ktoś zupełnie nieznan i dobrze wyszkolony porywa ją i znika. To bardzo niepokojące. Czego oni chcą? I kim są? Czy stanowią dla

nas zagrożenie?

Mauritania uśmiechnął się leciutko.

- Allach spełnił twoje życzenia. To nasi ludzie. Cieszę się, że jesteś o nich tak dobrego zdania. Wynająłem ich i chyba dobrze zrobiłem.

Abu Auda zmarszczył brwi. - Nic mi o tym nie mówiłeś.

- Czy góra mówi wszystko wiatrowi? Nie musiałeś nic wiedzieć.

- Żywioty potrafią zniszczyć z czasem nawet górę.

- Uspokój się, Abu. Nie chodziło mi o ciebie. Łączy nas długa i szlachetna historia, a teraz możemy wreszcie ujawnić światu wszystkie prawdy islamu. Z kim miałbym dzielić tę chwilę, jeśli nie z tobą? Gdybyś wiedział o tych wynajętych ludziach, na pewno chciałbyś być z nimi, a nie ze mną. Dobrze wiesz, że bardzo cię potrzebuję.

Abu Auda natychmiast się rozchmurzył.

- Masz rację - przyznał niechętnie.

- Oczywiście. Wróćmy do tego Amerykanina, Jona Smitha. Jeśli wierzyć kapitanowi Bonnardowi, człowiek ten nie należy do żadnej tajnej organizacji. Dla kogo właściwie pracuje?

- Może dla naszych nowych sojuszników? Może uknuli jakiś plan, w który nie raczyli nas wprowadzić? Nie ufam im.

- Ty nie ufasz nawet własnemu psu, żonom ani babce. – Mauretania uśmiechnął się i wsłuchał w muzykę. Gdy rytm ragi uległ lekkiej zmianie, na chwilę zamknął oczy. - Ale tak, masz rację, ostrożności nigdy nie za wiele. Zdrada jest zawsze możliwa, często nieunikniona.

Nie tylko przebiegli Fulani bywają podstępni.

- Jest jeszcze coś - powiedział Abu Auda, jakby tego nie słyszał. - Człowiek, którego wysłałem do Instytutu Pasteura, nie jest tego pewien, ale podejrzewa, że ktoś obserwował nie tylko Smitha, ale i jego. Kobieta. Ciemnowłosa, młoda, lecz brzydka i ubrana jak biedaczka.

Mauritania gwałtownie otworzył oczy.

- Obserwowała Smitha i twego człowieka? I co? Nie wiadomo, kim jest?

- Nie.

Mauritania wyprostował nogi i wstał.

- Pora wyjechać z Paryża.

Abu Auda nie ukrywał zdziwienia.

- Nie chciałbym wyjeżdżać, dopóki nie dowiemy się czegoś więcej o tym Amerykaninie i kobiecie, która nas obserwuje.

50

- Spodziewaliśmy się, że wcześniej czy później ktoś zwróci na nas uwagę, prawda?

Będziemy mieć oczy i uszy otwarte i zachowamy większą ostrożność, ale musimy wyjechać.

Przegrupowanie jest najlepszym sposobem obrony.

Abu Auda uśmiechnął się, ukazując rząd białych zębów kontrastujących z czernią jego twarzy.

- Mówisz jak prawdziwy wojownik pustyni. Może przez te wszystkie lata czegoś się nauczyłeś.

- Abu, czy powiedziałeś mi komplement? - Mauritania wybuchnął śmiechem. - To dla mnie prawdziwy zaszczyt. Nie przejmuj się Smithem. Wiemy o nim wystarczająco dużo i je-

śli nas szuka, rozprawimy się z nim po swojemu. Zamelduj naszym przyjaciołom, że w Pary-

żu zrobiło się za tłoczno i wyjedziemy wcześniej, niż planowaliśmy. Niewykluczone, że wszystko trzeba będzie przyspieszyć. I to już od dzisiaj.

Wielkolud skinął głową i wyszedł za nim z pokoju. Stopy niskiego, drobnego terrorysty zdawały się ledwie muskać dywan i unosić się bezszelestnie w powietrzu.

Folsom, Kalifornia

Atak rozpoczął się o szóstej wieczorem w centrali Niezależnego Operatora Kalifornijskiego (California Independent System Operator, Cal-ISO), mieszczącej się w Folsom na wschód od Sacramento, miasteczku słynącym z więzienia. Cal-ISO jest istotnym elementem stanowej sieci energetycznej oraz integralną częścią systemu rozprowadzającego prąd po całej Kalifornii. Chociaż był dopiero maj, mieszkańcy stanu martwili się już, że latem może dojść do licznych przerw w dostawie energii elektrycznej.

Jeden z operatorów, Tom Milowicz, spojrzął na wskaźniki rozmieszczone na schemacie wielkiej

sieci i wyszeptał: - Jezu Chryste!

- Co się stało? - Betsy Tedesco zerknęła w jego stronę.

- Wskaźniki oszalały. Zaraz się tu zesramy!

- Co ty bredzisz?

- Za dużo, za szybko... Sieć nie wytrzyma! Leć po Harry'ego!

Arlington, Wirginia

W tajnym ośrodku pod Waszyngtonem, na drugim brzegu Potomacu, elitarna grupa specjalistów komputerowych z FBI szybko ustaliła, że nadchodząca katastrofa jest dziełem hakera działającego we wciąż nieustalonym kraju. Robili wszystko, żeby go unieszkodliwić i ocalić kalifornijską sieć energetyczną, lecz, jak niebawem stwierdzili, było już za późno.

Człowiek ten, on lub ona, napisał - czyli skompilował - program, który umożliwił obej-

ście wymyślonych zabezpieczeń chroniących najwrażliwsze podzespoły systemu energetycznego Cal-ISO. Zdołał ominąć pułapki, których celem było ostrzeżenie personelu, że ktoś pró-

buje włamać się do systemu; rejestratory, które miały namierzyć intruza dokonującego nielegalnej infiltracji, i pootwierał wszystkie porty.

Potem ów niezwykle wprawny haker zaczął penetrować komputery poszczególnych dostawców. Przechodził z jednego do drugiego, gdyż wszystkie maszyny pracujące w Cal-ISO

są podłączone do systemu kontrolującego przepływ energii elektrycznej w całym stanie. A system kalifornijski jest połączony z siecią energetyczną zachodniej części Stanów Zjednoczonych. Intruz włamywał się do komputerów z fenomenalną szybkością. Z szybkością wprost niewiarygodną dla każdego, kto to widział.

Światła, kuchenki, klimatyzatory, grzejniki, kasy sklepowe, komputery, bankomaty, szpitalne respiratory - wszystkie urządzenia, poczynając od tych zapewniających ludziom luksus, na ratujących życie kończąc, przestały nagle pracować. W Seattle, San Francisco, Los Angeles, San Diego i w

Denver zabrakło elektryczności.

Przedmieścia Reno, Nevada

Pędząc przez ciemną noc, rozklekotany chrysler imperial Ricky'ego Hitomi trząsał się i dygotał od wrzasków i śmiechu jego pięciu najlepszych kumpli. Spotkali się w domu jego dziewczyny, Janis Borotra, i zanim wskoczyli do samochodu, wypalili w stodole kilka skrę-

tów. Teraz jechali do Justin Harley, żeby się porządnie urządzić. Byli w ostatniej klasie ogólniaka i za tydzień mieli skończyć szkołę.

Pochłonięci dziką zabawą i otumanieni trawką, nie zauważyli ani nie usłyszeli szybko nadjeżdżającego pociągu towarowego. Nie zauważyli też podniesionego szlabanu, nie zapali-

ły się światła, milczał dzwonek ostrzegawczy. Gdy w końcu doszedł ich gwizd rozpędzonego pociągu i przeraźliwy pisk hamulców, Janis krzyknęła coś do Ricky'ego. Ale było już za póź-

no. Ricky właśnie wjeżdżał na tory.

Pociąg wpadł na nich i zanim się *zatrzymał*, pokonał jeszcze prawie dwa kilometry, pchając przed sobą samochód i zmiażdżone ciała nastolatków.

Arlington, Wirginia

W tajnym ośrodku komputerowym pod Waszyngtonem wybuchła panika. Przed dziesięcioma laty cała krajowa telefonia, energetyka, policja, straż pożarna i pogotowie działały i współdziałały w ramach oddzielnych systemów informatycznych, systemów unikatowych i niepowtarzalnych. Można się było do nich włamać, lecz tylko z wielkim trudem, a już na pewno nie dało się przejść od systemu do systemu, chyba że dzięki wyjątkowemu i niezwykłemu zbiegowi okoliczności.

Uwolnienie rynku wszystko to odmieniło. Powstały setki nowych firm dystrybujących energię, setki energetycznych firm internetowych, a wszystko to razem połączono w jeden system za pośrednictwem setki spółek telefonicznych, kolejnego produktu powszechnego uwolnienia rynku. Ten gigantyczny wachlarz elektronicznie połączonych jednostek przypomina Internet, co oznacza, że hakerzy, ci najlepsi z najlepszych, mogą wykorzystywać jeden system jako drzwi do systemu kolejnego.

Pokonani przez moc i szybkość hakera, eksperci z FBI bezradnie obserwowali, jak trzaskają kolejne przełączniki i szerzy się powszechne zniszczenie. Szybkość, z jaką padały kolejne zabezpieczenia, szybkość, z jaką ten komputerowy geniusz rozgryzał kolejne szyfry i kody, zaszokowała ich i

zdruzgotała. Ale najgorsza w tym koszmarze była szybkość, z jaką haker dostosowywał swoje kody dostępu.

Zdawało się niemal, że po każdym kolejnym kontrataku kody te ulegają swoistej ewolucji. Że im dłużej stawiają opór jemu i jego komputerowi, komputer ten staje się mądrzejszy.

Specjaliści z FBI nigdy dotąd czegoś takiego nie widzieli. To było niemożliwe, wprost przerażające. Maszyna, która potrafi uczyć się i rozwijać szybciej niż umysł człowieka.

52

Denver, Kolorado

W luksusowym apartamencie na ostatnim piętrze dziewiętnastopiętrowego wieżowca Aspen Towers Carolyn Helms, założycielka i generalna dyrektorka Saddle Leather Cosmetics for Western Men, zabawiała swoich najbliższych współpracowników podczas kameralnej kolacji urodzinowej -jej czterdziestej pierwszej. Okazja była bardzo radosna. Dzięki Carolyn za-robili dużo pieniędzy, tworzyli zgraną, wspaniałą grupę i czekała ich jeszcze bardziej podnie-cająca i lukratywna przyszłość.

W chwili gdy bliski przyjaciel solenizantki, wicedyrektor George Harvey wznosił trzeci już toast na jej cześć, Carolyn głośno wypuściła powietrze, chwyciła się za serce i upadła.

George ukląkł i sprawdził jej puls. Hetty Sykes, główna księgową firmy, zadzwoniła po pogotowie. George zaczął robić Carolyn sztuczne oddychanie i masaż serca.

Sanitariusze współpracujący z najbliższym oddziałem straży pożarnej przybyli cztery minuty później. Ale gdy wbiegali do holu, w budynku zgasło światło i stanęły windy. Zapanowała kompletna ciemność. Okryła całe miasto. Ratownicy z trudem odnaleźli schody i rozpoczęli długą wspinaczkę na dziewiętnaste piętro.

Zanim tam dotarli, Carolyn Helms umarła.

Arlington, Wirginia

W tajnym ośrodku komputerowym pod Waszyngtonem rozzwoniły się telefony.

Los Angeles: „Dacie radę to naprawić? Teraz nasza kolej?”

Detroit: „Kto za tym stoi? Znajdźcie go, i to szybko. Słyszycie? Jak facet tu wlezie, to nie daj Boże!”

W tej samej chwili jeden z techników krzyknął:

- Główny atak poszedł z serwera w Santa Clara w Kalifornii! Namierzam go!

Góry Bitterroot na pograniczu Montany i Idaho

Cessna wioząca myśliwych oraz ich trofea wylądowała zgrabnie między dwoma rzędami niebieskich świateł pasa startowego na małym, wiejskim lotnisku. Samolot skręcił i poko-

łował w kierunku oświetlonego baraku z blachy falistej, gdzie czekały gorąca kawa i bourbon.

Myśliwi opowiadali sobie kawały i wspominali najciekawsze chwile wyprawy, gdy wtem pilot głośno zaklął.

- Cholera jasna, a to co?

Wszystkie światła zgasły. Światła na pasie startowym, światła przed barakiem, przed sklepem i hangarami. Nagle usłyszeli jakiś hałas, hałas trudny do ustalenia ze względu na ryk silnika cessny. Ale już po chwili wszystko zobaczyli i zrozumieli: lądujący piper club zboczył

w ciemności z kursu. Pilot cessny gwałtownie pociągnął za drążek, ale piper leciał tak szybko, że nie było przed nim ucieczki.

W zderzeniu piper eksplodował, a wraz z nim stanęła w płomieniach cessna. Nikt nie ocalał.

Arlington, Wirginia

Dwunastu specjalistów komputerowych z FBI nieustannie analizowało cechy ataku na Cal-ISO,

czas gdy oprogramowanie szukało odcisków palców i stóp, tropów, które zostawia za sobą każdy haker. Ale żadnych tropów nie było.

I nagle, gdy wciąż jeszcze pracowali, bez najmniejszego ostrzeżenia ponownie rozbłysło światło. Eksperci i technicy z niedowierzaniem patrzyli, jak potężny kompleks elektrowni, przekaźników i linii transmisyjnych powraca do życia. Wszyscy odetchnęli z ulgą.

I wtedy ich szef przeraźliwie wrzasnął: - Włamuje się do systemu satelitów telekomunikacyjnych!

Paryż, Francja 7 maja, środa

Z momentalnie zapomnianego snu wyrwało go ostre buczenie. Wyszarpnął spod poduszki sig sauera i błyskawicznie usiadł w nieprzeniknionej ciemności pełnej obcych zapachów i dziwnych cieni. Za oknami cicho szumiał deszcz. Zza zasłon sączyło się szare światło.

Gdzie jestem, u diabła? Zdał sobie sprawę, że buczy jego komórka na nocnym stoliku. No tak, był w swoim pokoju, w hotelu niedaleko Saint-Germain.

- Niech to szlag. - Chwycił telefon. Tylko jeden człowiek mógł dzwonić do niego o tej godzinie. - Przecież kazał mi się pan przespać - mruknął.

- Jedyńka nigdy nie śpi - rzucił nonszalancko Fred Klein. - Pracujemy według czasu waszyngtońskiego, a tu jest dopiero wczesny wieczór. - Nagle spowaźniał. - Mam złe nowiny.

Wygląda na to, że Diego Garcia to nie był przypadek. Ani pogoda, ani awaria. Zaatakowali ponownie.

Smith natychmiast zapomniał o śnie.

- Kiedy?

- Atak wciąż trwa. - Klein streścił mu przebieg wypadków od chwili włamania do systemu Cal-ISO. - W Nevadzie zginęło pięciu maturzystów. Samochód wpadł pod pociąg, bo nie działały sygnały ostrzegawcze. Mam tu stos doniesień o cywilach, którzy zostali ranni lub zabici w wyniku przerwy w dostawie prądu. Będzie ich jeszcze więcej.

Smith zmarszczył czoło.

- Agenci z FBI wytopili hakera?

- Nie dali rady. Stosuje tak szybkie i wyrafinowane systemy obronne, jakby jego komputer uczył się i samodzielnie myślał.

Jon poczuł, że tężeją mu mięśnie.

- Komputer molekularny. Nic innego. I mają kogoś, kto potrafi go obsługiwać.

Sprawdźcie, czy nie zaginął tam jakiś haker. Niech zajmą się tym inne agencje.

- Już im to zleciłem.

- Co z Chambordem i jego córką? Ma pan coś dla mnie?

- Trzymam w ręku jego życiorys, ale nie ma w nim chyba nic użytecznego.

- Może pan coś przeoczył. Proszę mi go streścić.

- Dobrze. Emile Chambord. Urodził się w Paryżu. Ojciec oficer, spadochroniarz, zginął

pod Dien Bien Phu. Matka, Algierka, sama wychowywała syna. Od wczesnych lat był matematycznym i chemicznym geniuszem. Dostał stypendium i zaliczył wszystkie najlepsze francuskie szkoły. Zrobił doktorat w Cal Techu, habilitował się w Stanford pod kierunkiem najlepszego genetyka, a w Instytucie Pasteura zaproponowano mu profesurę. Pracował w Tokio, w Pradze, w Maroku i w Kairze, a dziesięć lat temu wrócił do Paryża. Jeśli chodzi o życie osobiste, matka wychowała go na muzułmanina, ale jako dorosły nie wykazywał zainteresowania religią. Lubił żeglować, pijał dobrą whisky, chodził na piesze wędrówki, grywał w ru-letkę i w pokera. Islamu w tym niewiele, co? No i jak? Wpadłeś na coś?

Smith intensywnie myślał.

- A więc lubił ryzykować, ale z umiarem. Lubił też rozrywkę i zmiany. W sumie nie-54

spokojny był z niego duch. W przeciwieństwie do wielu naukowców, na pewno nie dręczyło go pragnienie stabilizacji. Ufał swojemu osądowi i potrafił dokonywać dużych skoków naprzód. To najlepsze cechy każdego teoretyka i badacza. Wiemy już, że nie przepadał za regulaminami i sztywnymi procedurami. Wszystko pasuje. A jego córka? Ten sam typ?

- Jako dziecko była bardzo zżyta z ojcem, zwłaszcza po śmierci matki. Podobnie jak on, bardzo wcześnie zdobyła pierwsze stypendium, ale nie odznaczała się jego błyskotliwo-

ścią. W wieku dwudziestu lat połknęła aktorskiego bakcyła. Studiowała w Paryżu, Londynie i Nowym Jorku. Pracowała na prowincji i w końcu zabłysła w Paryżu. Osobowość podobna do osobowości ojca. Nie wyszła za mąż, nie była nawet zaręczona. Często powtarza, cytując: „Jestem

zbyt pochłonięta pracą, żeby związać się z kimś spoza branży, a wszyscy ak-torzy są pochłonięci sobą i rozchwiani tak samo, jak ja". Koniec cytatu. Cała Chambord, skromna i trzeźwo myśląca realistka. Ma mnóstwo wielbicieli i kochanków. Wiesz, jak to z nimi jest.

Jon uśmiechnął się do siebie w ciemnym pokoju. Ach ta pruderia! Jedna z najdziwniej-szych cech Kleina, fenomenalnego agenta i dyrektora. Fred widział i robił niemal wszystko, co mógł widzieć i robić człowiek, ale chociaż nigdy nikogo nie osądzał, jak ognia unikał

wszelkich graficznych opisów ludzkich zachowań seksualnych. A jednocześnie w razie potrzeby gotów był w każdej chwili wysłać w teren agentkę, żeby uwiodła cel.

- Pasowałyby to do tego, co o niej myślę - odrzekł Jon. - Sęk w tym, że nie pasuje do tego uprowadzenie jej. Początkowo sądziłem, że potrafi obsługiwać prototyp tego komputera.

Ale skoro od lat nie miała do czynienia z nauką i od wielu miesięcy praktycznie ojca nie widywała, po cholere ją porwali?

- Nie je... - Klein urwał w połowie słowa i umilkł.

W słuchawce zapanowała głucha cisza. Cisza bezdenna, wibrująca.

- Panie dyrektorze? - rzucił zaskoczony Smith. - Halo? Halo! Fred, słyszysz mnie?

Nie było ani sygnału, ani charakterystycznego buczenia. Niczego. Jon obejrzał telefon.

Bateria działała. Była naładowana, i to do pełna. Wyłączył aparat, włączył go i wybrał prywatny numer Kleina w waszyngtońskiej centrali Jedyki.

Cisza. Ani sygnału, ani nawet trzasków Tylko głucha cisza. Co się stało? Tajna Jedyka dysponowała niezliczonymi systemami zabezpieczeń na wypadek nagłej awarii prądu, awarii satelitów telekomunikacyjnych, potrafiła ochronić się nawet przed wpływem plam słonecznych. Poza tym łączność zapewniał jej supertajny system wojskowy z centralą w Ford Mead w Marylandzie. Mimo to w słuchawce telefonu panowała cisza.

Wybrał kilka innych numerów i nie mogąc się z nikim połączyć, włączył laptopa i wy-słał niewinnie brzmiący e-mail: „Pogoda się nagle zmieniła. Błyskawice i grzmoty tak głośne, że nie słyszę, co mówię. Jak tam u was?”

Rozsunął zasłony i otworzył okiennice. Pokój momentalnie wypełnił się świeżym zapachem wymytego deszczem miasta, a hen, za stromymi dachami domów, wykwitła blada po-

świata - zapowiedź świtu. Chciałby stać tak długo i podziwiać świat o poranku, lecz dręczyło go zbyt wiele myśli. Włożył szlafrok, schował do kieszeni pistolet i usiadł przed komputerem.

E-mail wrócił. Wysiadł serwer.

Jon pokręcił głową i ponownie sięgnął po komórkę. Cisza. Zaniepokojony powiódł

wzrokiem po pokoju i *zatrzymał* go na komputerze.

Najpierw Diego Garcia.

Potem zachodnia sieć energetyczna.

Teraz supertajny, superbezpieczny wojskowy system telekomunikacyjny.

Wszystko zawiodło. Dlaczego? Czy to pierwsze salwy operatora komputera molekularnego doktora Chamborda? Test? Próba mająca wykazać, czy prototyp działa i czy operator, kimkolwiek jest, potrafi go obsługiwać? A może - pod warunkiem że świat choć raz miał

55

odrobinę szczęścia - był to tylko atak wyjątkowo zdolnego hakera pracującego na zwykłym komputerze silikonowym?

Akurat!

Jeśli ci, którzy zbudowali komputer molekularny, mieli co do niego jakieś podejrzenia, bez trudu mogli przechwycić jego rozmowę z Kleinem i jeszcze łatwiej go namierzyć.

Jon wstał szybko, ubrał się i wrzucił ubranie do podręcznej torby. Spakował laptopa, schował pistolet do kabury, chwycił bagaż i wyszedł. Schodząc na dół, czujnie nasłuchiwał, rozglądał się na wszystkie strony, ale o tej wczesnej porze nic nie wskazywało na to, że któryś z gości już wstał. Przebiegł przez pusty hol i wypadł na dwór. Paryż zaczynał się już budzić.

Smith szedł szybko wąską uliczką. Omiatał wzrokiem każdą bramę, wszystkie ciemne okna, które obserwowały go niczym sto oczu greckiego potwora, i w końcu wszedł między nielicznych przechodniów na coraz bardziej ruchliwym bulwarze Saint-Germain.

W końcu udało mu się zatrzymać taksówkę z przysypiającym za kierownicą taksiarzem, który zawiózł go na dworzec Gare du Nord. Tam oddał na przechowanie walizkę i komputer, po czym wciąż rozglądając się czujnie wokoło, złapał kolejną taksówkę, żeby pojechać do szpitala Pompidou i odwiedzić Marty'ego. Wiedział, że Fred Klein skontaktuje się z nim, gdy tylko ożyją przekaźniki telekomunikacyjne.

56

Rozdział 9

Ciemnowłosa kobieta w zniszczonych butach i zaniedbanym ubraniu szła lękliwie egzotyczną paryską ulicą, którą wczesnym rankiem jak zwykle wypełniały zapachy północnej Afryki i Bliskiego Wschodu.

Nieśmiało podniósłszy wzrok, zobaczyła Mauritanię, który właśnie wychodził na ulicę.

Terrorysta miał na sobie luźny płaszcz przeciwdeszczowy i jasne sztruksowe spodnie. Wyglądał jak paryski robotnik. Zerknął na nią orlimi oczami człowieka, który od dwudziestu lat ciągle ucieka. Oczami, przed którymi niewiele mogło się ukryć. Ponieważ ubranie zaleźnionej kobiety było wypłowiałe i stosownie podniszczone, a buty na płaskim obcasie wielokrotnie reperowane u szewca, a jej wytarta torebka mogłaby należeć do kobiety trzykrotnie starszej, nie okazał zbytniego niepokoju. Jak zwykle ostrożny, przeszedł kilka ulic, kilka razy skręcił, kilka razy zawrócił, lecz kobieta już się nie pokazała. Pokrzepiony na duchu zszedł do metra.

Kobieta podążała za nim, dopóki się nie przekonała, że może bezpiecznie zrealizować plan. Spieszenie zawróciła i wkrótce stanęła przed jego domem. Okna wciąż były ciemne i martwe. Otworzyła wytrychem frontowe drzwi, weszła na drugie piętro i tym samym wytrychem otworzyła drzwi do jego mieszkania.

W pierwszej chwili pomyślała, że znalazła się w namiocie na arabskiej pustyni, w samym sercu Sahary. Dywany uginały się pod jej stopami, jakby leżały na piasku. Wiszące na ścianach i na suficie gobeliny przyprawiały niemal o klaustrofobię, a dywany w oknach wyja-

śniały, dlatego o każdej porze nocy i dnia wszystkie okna były ciemne. Zdziwiona stała przez chwilę nieruchomo, wreszcie pokręciła głową i wzięła się do pracy. Nieustannie nad słuchując, metodycznie przeszukała każdy centymetr kwadratowy mieszkania.

Jon siedział przy łóżku wciąż nieprzytomnego przyjaciela, w rozmytym świetle zalewającym OIOM. Do czuwających przed boksem umundurowanych żandarmów dołączyło dwóch policjantów w cywilu. Prześcieradło na łóżku było gładkie, jakby Marty nie poruszył się od wielu dni, ale pozory myliły. Chory od czasu do czasu się poruszał, poza tym regularnie odwiedzali go masażyści i terapeuci.

Jon wiedział o tym, ponieważ gdy tylko przyszedł, zajrzał do zainstalowanego w nogach łóżka komputera. Według zawartych w nim danych, fizyczny stan Marty'ego ulegał po-wolnej, lecz systematycznej poprawie. Niebawem miano zabrać go z OIOM-u, chociaż nie wyszedł jeszcze ze śpiączki.

- Cześć, Marty. - Jon uśmiechnął się, wziął ciepłą, suchą rękę przyjaciela i po raz kolejny wrócił

wspomnieniami do czasów wspólnego dzieciństwa, dorastania i do okresu studiów.

Mówił o tym po raz któryś z rzędu, ale teraz bardziej szczegółowo, dzięki czemu przeszłość stanęła mu przed oczami jak żywa. Gawędząc, zabijając czas i - co najważniejsze -

nieustannie próbując stymulować mózg chorego przyjaciela, wpadł na pewien pomysł.

- Kiedy ostatnio ucieliśmy sobie dłuższą pogawędkę, siedziałeś w Waszyngtonie - powiedział, obserwując jego twarz. — Słyszałem, że wsiadłeś do samolotu i przyleciałeś tu sam.

Stary, jestem pod wrażeniem. Do podróży samolotem zdołałem cię namówić tylko raz, kiedy ściagała nas banda tych zbirów ze spluwami. Pamiętasz? A tu proszę. Jesteś w Paryżu.

Czekał z nadzieją, że nazwa miasta wywoła jakąś reakcję. Ale twarz Marty'ego pozostała nieruchoma.

- I pracowałeś w Instytucie Pasteura...

57

Marty wyraźnie drgnął. Jakby na dźwięk tego słowa zalała go fala energii, zatrzepotał powiekami.

- Pewnie zastanawiasz się, skąd o tym wszystkim wiem - kontynuował Smith z narastającą nadzieją. - Córka Emile'a Chamborda...

Marty'emu zadrżał podbródek.

- Córka Emile'a Chamborda powiedziała mi, że zjawiłeś się bez zapowiedzi w jego laboratorium. Po prostu wszedłeś i zgłosiłeś chęć współpracy.

Marty'emu drgnęły usta. Wargi ułożyły się tak, jakby chciał coś powiedzieć.

Podeksytowany Jon nachylił się nad nieprzytomnym przyjacielem.

- Mów, Marty. Wiem, że chcesz mi coś powiedzieć. Coś o instytucie i doktorze Chambord, tak? Spróbuj, Marty. Spróbuj. Powiedz, co się stało. Opowiedz mi o tym komputerze.

Dasz radę. Wiem, że dasz radę!

Marty otworzył i zamknął usta. Twarz mu poczerwieniała. Walczył, walczył z myślami i słowami, z wysiłku napinał wszystkie mięśnie. Smith widział już takie przypadki. Bywało, że ludzie wychodzili

ze śpiączki szybko i bez żadnych następstw ubocznych. Bywało też, że był to proces przypominający systematyczną odbudowę. U jednych przebiegał szybko, u innych powoli, jakby próbowali rozruszać dawno nieużywany mięsień.

I nagle Marty ścisnął jego dłoń. Ale zanim Jon zdążył ścisnąć za rękę jego, ciało wyczerpanego wysiłkiem przyjaciela zwiotczało. W kilka sekund było po wszystkim. Marty walczył dzielnie, lecz był zbyt osłabiony. Smith przeklął w myśli zamachowca, który podło-

żył bombę w instytucie, przeklął wszystkich, którzy za tym stali. I wciąż trzymając Marty'ego za rękę, mówił dalej. Sterylną ciszę burzył tylko jego niski głos, mechaniczne trzaski i popi-skiwanie aparatury, pomrukiwanie światełek i wskaźników. Jon mówił, nieustannie wplatając w monolog nazwisko i nazwę: Emile Chambord i Instytut Pasteura.

- Pan Smith? - Głos jakiejś kobiety.

Jon odwrócił głowę.

- *Qui?*

Stała za nim pielęgniarka z OIOM-u z białą, kosztowną kopertą w ręku.

- To dla pana. Przesyłka została dostarczona niedawno, ale byłam tak zajęta, że zapomniałam, że pan tu jest. Przepraszam. Gdybym pamiętała, mógłby pan porozmawiać z po-słańcem. Najwyraźniej nadawca niewie, gdzie pan mieszka.

Smith podziękował jej i wziął kopertę. Gdy pielęgniarka wyszła, otworzył ją i przeczytał. List był krótki i treściwy.

Podpułkownik dr Smith

General hrabia Roland la Porte będzie dziś rano w swojej paryskiej rezydencji.

Prosi, żeby zameldował się pan u niego w dowolnym terminie. Zechce pan zadzwonić do mnie pod poniższy numer, żeby ustalić godzinę przybycia. Powiem panu, jak dojechać do rezydencji.

Kapitan Darius Bonnard, adiutant generała

Jon przypomniał sobie - generał Henze uprzedzał go, iż La Porte zechce z nim porozmawiać. No i teraz uprzejmie zapraszał go w odwiedziny. Z tego, co mówił Henze, wynikało, że francuski generał ma dobre układy z miejscową policją i z francuską Dwójką, może coś wiedzieć na temat zamachu i śmierci Emile'a Chamborda. Przy odrobinie szczęścia będzie mógł rzucić trochę światła i na tajemniczego naukowca, i na jego molekularny komputer.

Do wspaniałości Paryża przyczyniają się w dużej mierze majestatyczne prywatne rezydencje, z których wiele kryje się w bocznych uliczkach pod rozłożystymi drzewami za bulwa-58

rem Haussmanna. Okazało się, że jeden z tych pięknych domów należy do generała Rolanda la Porte'a. Zbudowany z szarego kamienia, miał cztery piętra, okazałą kolumnadę u wejścia i otaczały go bogato zdobione kamienne balustrady. Musiał powstać w dziewiętnastym wieku, podczas zakrojonej na wielką skalę rekonstrukcji Paryża, której autorem był baron Georges-Eugene Haussmann. W tamtych czasach domy takie jak ten nazywano miejskimi rezydencjami.

Jon zastukał staromodną kołatką. Drzwi były ciężkie, rzeźbione i opatrzone lśniąco, mosiężnymi okuciami.

Otworzył mu oficer w mundurze spadochroniarza, niski, krępy, jasnowłosy. Miał dys-tynkcje kapitana oraz insygnia francuskiego sztabu generalnego.

- Pan pułkownik Jonathan Smith, prawda? - powiedział dobrą angielszczyzną. - Przybył pan w samą porę. Proszę wejść. - Zrobił Jonowi przejście i zaprosił go gestem do środka. -

Nazywam się Bonnard. Darius Bonnard. - Mówił szybko i treściwie, jak na wojskowego przystało.

- Dziękuję, kapitanie, domyśliłem się. - Zgodnie z poleceniem, Jon zadzwonił do niego i Bonnard wskazał mu drogę do rezydencji.

- Generał właśnie pije kawę. Prosił, żeby zechciał pan mu towarzyszyć.

Przeszli przez wielki hol z wdzięcznie wygiętymi schodami prowadzącymi na pierwsze i drugie piętro. Minęli drzwi, które nie miały futryny i były oklejone tapetą w identyczny wzorek jak *fleur-de-lis* na frontonie domu. Pokój, w którym czekał generał, był wielki i miał

wysoki sufit wymalowany naturalnej wielkości nimfami i cherubinami na bladobłękitnym tle.

Pozłacane karnisze, eleganckie gzymsy i boazerie, delikatne barokowe meble - przypominało to raczej salę balową niż salonik, w którym pija się kawę.

Przy oknie, w roztańczonych promieniach słońca, siedział potężnie zbudowany męż-

czynna. Skinął głową i wskazawszy Jonowi wyłożone brokatem krzesło, dobrą, choć silnie akcentowaną angielszczyzną powiedział:

- Proszę usiąść, pułkowniku. Jaką kawę pan pije?

- Ze śmietanką i bez cukru. Dziękuję.

Generał hrabia Roland la Porte był w kosztownym garniturze, w którym z powodzeniem mógłby chodzić najroślejszy obrońca pierwszoligowej drużyny futbolowej, mimo to wyglądał w nim doskonale. Miał pokaźny brzuch, królewskie maniery, gęste ciemne włosy przypominające włosy Napoleona z czasów oblężenia Tulonu, bretońską twarz i przenikliwe niebieskie oczy. Oczy doprawdy niezwykle, nieruchome jak oczy rekina. Onieśmielał i robił

wrażenie.

- Proszę bardzo - odrzekł uprzejmie. Gdy nalewał i podawał mu kawę, dzbanek i fili-

zanka z chińskiej porcelany dosłownie ginęły mu w wielkich jak bochny dłoniach.

- Dziękuję, panie generale - powtórzył Smith i bezwstydnie dodał: - To dla mnie prawdziwy zaszczyt poznać jednego z bohaterów Pustynnej Burzy. Dowodził pan czwartym puł-

kiem francuskich dragonów. Pański manewr okrążający był niezwykle odważny. Bez niego wojska sojusznicze nie zdołałyby zabezpieczyć lewego skrzydła. - Jon podziękował w duchu Kleinowi za szczegółową odprawę, którą przeszedł przed odlotem z Kolorado, bo będąc w Iraku i latając rannych po obu stronach barykady, nigdy nie słyszał o La Porcie, naonczas podpułkownika.

- Był pan tam, pułkowniku?

- Tak, służyłem w jednostce medycznej.

- Oczywiście, naturalnie... - La Porte uśmiechnął się do wspomnień. - Nasze czołgi miały zły kamuflaż i na pustyni widać je było jak polarne niedźwiedzie na asfalcie. Ale dra-goni wytrzymali. Jedli piasek, jak powiadają w Legii, no i mieli trochę szczęścia... - Przyjrzał

się Jonowi i dodał: - Ale przecież pan to wszystko rozumie. Pan walczył, dowodził na pierwszej linii, prawda?

59

No i wszystko jasne. Zgodnie z ostrzeżeniami generała Henze, La Porte kazał go do-kładnie prześwietlić.

- Krótko, ale tak. Dlaczego pan pyta?

Generał przeszył go spojrzeniem nieruchomych oczu jak motyla szpilką, lecz już po chwili jakby złagodniał. Wciąż nie mrugając, acz z lekkim uśmiechem odrzekł:

- Proszę mi wybaczyć, pułkowniku. To próżność starego wiarusa. Umieć oceniać ludzi i jestem z tego dumny. Domyśliłem się, że jest pan doświadczonym żołnierzem, po pań-

skich ruchach, oczach i po tym, jak zareagował pan wczoraj w szpitalu, - Spojrzeniem nieruchomych oczu obdzierał Jona ze skóry. - Lekarz, naukowiec i odważny, zaprawiony w boju żołnierz w jednej osobie. Niezwykła kombinacja. Niewielu takich znam.

- Jest pan zbyt uprzejmy, panie generale. - I zbyt wścibski. Ale, Henze uprzedził go, że La Porte podejrzewa, iż kroi się coś niedobrego i jako żołnierz musi strzec interesów swego kraju.

- Przejdźmy do czegoś poważniejszego. Jak się miewa pański przyjaciel? Jest jakaś poprawa?

- Jak dotąd nie, panie generale.

- Jakie są pańskie prywatne rokowania?

- Jako lekarza czy jako przyjaciela?

Między brwiami generała pojawiła się maleńka zmarszczka. La Porte był zirytowany.

Nie lubił dzielić włosa na czworo.

- Jako lekarza i jako przyjaciela.

- Marty jest w śpiączce, więc jako lekarz zachowałbym w rokowaniach dużą ostrożność. Jako przyjaciel wiem, że wkrótce z tego wyjdzie.

- Wszyscy rozumiemy pańskie uczucia, pułkowniku, lecz obawiam się, że najcenniejsza jest w tej chwili fachowa opinia medyczna, a ta nie wznaga we mnie przekonania, że doktor Zellerbach udzieli nam użytecznych informacji na temat doktora Chamborda.

- Rozumuje pan bardzo logicznie - przyznał z żalem Jon. - A propos, czy są jakieś nowe wiadomości? Po drodze przejrzałem gazetę, ale piszą, że jak na razie nie ma nic nowego.

Generał zmarszczył czoło.

- Niestety, znaleziono fragment jego ciała. - Ciężko westchnął. - Rękę i część ramienia.

Na palcu był sygnet, który rozpoznał jeden z jego kolegów, poza tym odciski palców pasują do tych na dokumentach z instytutu. Przez kilka dni zatrzymamy tę wiadomość dla siebie. Policja wciąż prowadzi śledztwo i nie chce mieszać w to prasy. Mają nadzieję dopaść zamachowców bez ujawniania niektórych faktów. Prosiłbym, żeby pan też zatrzymał tę informację dla siebie.

- Oczywiście. - A więc Chambord nie żył. Smith myślał o tym z prawdziwym smutkiem. Szkoda. Chociaż wszystko na to wskazywało, miał nadzieję, że naukowiec jakimś cudem przeżył.

Generał milczał, jakby zastanawiał się nad kruchością ludzkiego życia.

- Miałem zaszczyt poznać doktora Zellerbacha. To potworne, że został ranny. Byłbym zdruzgotany,

gdyby nie wrócił do zdrowia. Gdyby stało się najgorsze, zechce pan przekazać to jego rodzinie.

- Oczywiście. Mogę spytać, jak pan go poznał? Nie wiedziałem nawet, że Marty jest Paryżu, że pracował w instytucie.

Generał był wyraźnie zdziwiony.

- Myślał pan, że nasze wojsko nie interesowało się badaniami doktora Chamborda?

Wprost przeciwnie, pułkownik. Interesowało się, i to bardzo. Emile przedstawił mnie doktorowi Zellerbachowi podczas mojej ostatniej wizyty w laboratorium. Naturalnie nie pozwoliliby nam wpaść tam bez uprzedzenia. Był człowiekiem bardzo zajęтым i oddanym pracy, dlatego zaproszenie to było dla mnie wielkim wydarzeniem. Widziałem się z nim... tak, jakieś 60

dwa miesiące temu, zaraz po przyjeździe doktora Zellerbacha. Szkoda, że ten przeklęty zamach pochłonął wyniki jego badań. Myśli pan, że coś mogło ocaleć?

- Nie

wiem,

panie

generale,

bardzo

mi

przykro.

-

Każdy starał się

z drugiego coś wyciągnąć. - Przyznam, że pańskie osobiste zainteresowanie sprawą bardzo mnie zaskoczyło. Ostatecznie ciążą na panu znacznie poważniejsze obowiązki w NATO.

- Ale jestem też Francuzem, prawda? Poza tym znałem Emile'a od wielu lat.

- Był bliski sukcesu? - rzucił Jon na pozór obojętnym tonem głosu. - Zbudował ten komputer?

Generał La Porte zetknął czubki palców.

- Oto jest pytanie...

- To może być klucz do odpowiedzi, kto zorganizował ten zamach i dlaczego. Bez względu na to, co będzie z Martym, zrobię wszystko, żeby pomóc wam złapać sukinsyna.

- Jak na prawdziwego przyjaciela przystało. - Generał skinął głową. - Tak, ja też chcę dopaść tego szubrawca. Ale niestety, w tej kwestii niewiele panu pomogę. Emile niechętnie mówił o swojej pracy. Jeśli nawet dokonał jakiegoś przełomu, nic mi o tym nie powiedział.

Ani on, ani doktor Zellerbach, ani ten biedny Jean-Luc Massenet.

- Massenet? Ten asystent? Tak, to straszne. Czy policja ustaliła, dlaczego popełnił samobójstwo?

- Taki młody człowiek, prawdziwa tragedia. Najwyraźniej był bardzo przywiązany do Emile'a i kiedy Emile zginął, Jean-Luc został nagle sam. Nie potrafił tak żyć, nie umiał. Przynajmniej tak mi powiedziano. Znając charyzmatyczną osobowość Emile'a, potrafię zrozumieć, dlaczego to zrobił.

- Co pan myśli o tym zamachu, panie generale?

Skonfundowany La Porte wzruszył ramionami, bezradnie rozłożył ręce i odchylił do ty-

łu głowę.

- Pewnie zrobił to jakiś szaleniec, jakiś maniak, któż to wie? A może człowiek całkowicie zdrowy umysłowo, który nienawidził nauki, Instytutu Pasteura, nawet Francji. Człowiek, dla którego podłożenie bomby było zupełnie logicznym działaniem. - Zdegustowany La Porte pokręcił swoją wielką głową. - Bywają takie chwile, gdy myślę, że patyna cywilizacji i kultury, do której wszyscy się tak chętnie przyznajemy, zaczyna pękać. Stajemy się na powrót barbarzyńcami.

- Policja i tajne służby nie wiedzą nic więcej?

Generał złożył ręce jak do modlitwy. Nieruchomymi oczami wpatrywał się w Jona tak intensywnie, jakby widział jego myśli.

- Policja i Dwójka nie zwierzają się ze wszystkiego zwykłemu generałowi, zwłaszcza generałowi, który, jak sam pan zauważył, pracuje dla NATO. Jednakże mój adiutant, kapitan Bonnard słyszał pewne plotki. Podobno policja dysponuje dowodami, że zamach na Instytut Pasteura mógł być dziełem baskijskiej grupy terrorystycznej, którą zlikwidowano wiele lat temu. Baskowie zwykle działają tylko w Hiszpanii, ale na pewno pan wie, że wielu ich mieszka w trzech małych regionach Basse-Pyrenees na pograniczu Francji. Należało się spodziewać, że wcześniej czy później zło przeleje się przez granicę i dojdzie aż do Paryża. To było nieuniknione.

- Jaka to grupa?

- Czarny Płomień, tak się nazywali. - Generał wziął z biurka coś, co przypominało te-lewizyjny pilot, wcisnął guzik i bocznymi drzwiami do pokoju wszedł kapitan Bonnard. - Darius, przygotuj dla pułkownika kopię materiałów z Surete, dobrze?

- Tak jest. Zaczekam, aż pułkownik wyjdzie, *mon general*.

- Dziękuję. Co ja bym bez ciebie zrobił.

Bonnard uśmiechnął się, zasalutował i wyszedł. Generał sięgnął po dzbanek.

61

- Doleję panu kawy, pułkowniku. A teraz proszę mi opowiedzieć o pańskim przyjacielu.

Podobno to geniusz, którego gnębi jakaś rzadka przypadłość.

La Porte rozlewał kawę, a Jon opowiadał.

- Tak, ma syndrom Aspergera i trudno mu żyć w naszym świecie. Unika ludzi, boi się obcych, jest samotnikiem. Tak, to elektroniczny geniusz. Gdy odstawia lekarstwa i wpada w stan maniackalny, ma swego rodzaju widzenia, ogarnia go twórcza pasja. Ale jeśli nie przyjmuje leków zbyt długo, zaczyna bredzić i w końcu wpada w szal. Dzięki lekarstwom może w miarę normalnie funkcjonować wśród ludzi, ale twierdzi, że czuje się wtedy jak pod wodą.

Może myśleć, lecz jest to myślenie powolne, a nawet bolesne.

Generał zdawał się szczerze przejęty.

- Od dawna na to cierpi?

- Od urodzenia. Syndrom Aspergera jest chorobą niedokładnie zbadaną, często źle diagnozowaną i źle rozumianą. Marty jest najszcześliwszy, gdy odstawia leki, ale wówczas trudno z nim wytrzymać.

La Porte pokręcił głową.

- Mimo to jest wielkim skarbem, prawda? Ale w nieodpowiednich rękach może stać się niebezpieczny.

- Nie, nie on. Nikt nie zmusiłby go do zrobienia czegoś, czego by nie chciał. Zwłaszcza że ten, kto by spróbował, nie wiedziałby nawet, co Marty tak naprawdę robi.

Generał zachichotał.

- Rozumiem. To pocieszające. - Zerknął na zegar w kształcie świątyni stojący na stoliku: zielony kamień, połączone kolumnienki i cherubinki. Wstał. - Rozmowa z panem jest wielce pouczająca, pułkowniku, ale mam spotkanie i muszę już iść. Proszę dopić kawę. Kapitan Bonnard da panu kopię dokumentów dotyczących tej baskijskiej organizacji i odprowadzi pa-na do drzwi.

Gdy Jon obserwował wychodzącego generała, jego wzrok przykuły obrazy, głównie francuskie pejzaże wiszące na wszystkich ścianach pokoju. Wiele z nich mogłoby zawisnąć w muzeum. Rozpoznał dwa późne, piękne Corotsy i jak zwykle potężnego Theodore'a Rousse-au, ale nigdy dotąd nie widział dużego obrazu przedstawiającego olbrzymi zamek z ciemnoczerwonego kamienia. W miejscach, gdzie jasne popołudniowe słońce oświetlało kąty i zało-my kamiennych murów i wieżyc, malarz zastosował intensywne, lecz posępne cienie i półcienie przechodzące od czerwieni do purpury. Smith nie mógł sobie tego obrazu z niczym skojarzyć, a jego styl nie pasował do stylu żadnego z dziewiętnastowiecznych francuskich pejzaży-stów. Ale miał w sobie coś, co trudno było zapomnieć.

Wstał i przeciągnął się, zapominając o kawie. Myślał już o tym, co czeka go po południu. Klein się jak dotąd nie odezwał, nadeszła więc pora sprawdzić, czy działają telefony.

Ruszył w stronę drzwi, którymi wszedł do pokoju, lecz zanim zdążył zrobić dwa kroki, w progu stanął kapitan Bonnard z kartonową teczką w ręku, cichy jak zjawa. To, że wyszedł

mu na spotkanie dokładnie w tej chwili, lekko Jona zmroziło. Czyżby podsłuchiwał? Czyżby słyszał całą rozmowę? Jeśli tak, cieszył się o wiele większym zaufaniem generała, niż Smith przypuszczał, albo też chciał po prostu wiedzieć, z czym Jon tu przyszedł.

Stojąc przy wysokim oknie w gabinecie La Porte'a, Darius Bonnard patrzył, jak Smith wsiada do taksówki. Obserwował go, dopóki samochód nie zniknął mu z oczu. Wtedy odwró-

cił się i przez prostokątne plamy porannego słońca na parkiecie ruszył w stronę ozdobnego barokowego biurka. Usiadł, podniósł słuchawkę telefonu, wybrał numer i niecierpliwie skubnął dolną wargę.

W końcu odpowiedział mu cichy spokojny głos:

- *Naam?*

62

- Smith wyszedł. Ma te materiały. Generał jest na zebraniu.

- To dobrze - odrzekł Mauritania. - Dowiedziałeś się czegoś nowego? Wiesz, kto to jest i co robi w Paryżu?

- Cały czas utrzymuje, że przyjechał tu tylko po to, żeby odwiedzić przyjaciela.

- Wierzysz w to?

- Wiem, że nie pracuje ani w CIA, ani w Agencji Bezpieczeństwa Narodowego.

Mauritania na chwilę zamilkł, a odgłosy dochodzące z dużego, rozbrzmiewającego echem pomieszczenia, pełnego spieszących dokądś ludzi, wskazywały, że rozmawia z telefonu komórkowego.

- Możliwe. Mimo to był tu bardzo zabiegany jak na zwykłego lekarza, nie sądzisz?

- Może chce po prostu pomścić swego przyjaciela, tak jak powiedział generałowi.

- Cóż, wkrótce się przekonamy - rzekł Mauritania z zimnym uśmiechem w głosie. -

Zanim dowiemy się prawdy, rzecz będzie już bez znaczenia. I on, i wszystko inne stanie się równie ważne jak kilka dodatkowych ziarenek piasku na Saharze. Kimkolwiek jest, cokolwiek zamierza, on i pozostali... Jest już za późno.

Ciemnowłosa kobieta powoli i metodycznie przeszukała pogrążone w ciszy mieszkanie i nie znalazła absolutnie niczego. Terrorysta i ludzie, którzy go odwiedzali, byli bardzo ostrożni. Nie znalazła nawet rzeczy osobistych. Tak jakby nikt tu nie mieszkał.

Gdy ruszyła w stronę drzwi, cicho szcęknął zamek. Z mocno bijącym sercem rzuciła się w przeciwną stronę i wślizgnęła do wąskiej niszy za dywanem w oknie. Otworzyły się drzwi, ktoś wszedł do środka. Kroki nagle umilkły i na kilka sekund w pomieszczeniu zapadła głucha cisza, jakby intruz wyczuł, że coś jest nie tak.

Oddech niewidocznego człowieka brzmiał jak leniwy grzechot jadowitego grzechotnika. Powoli, ostrożnie, żeby nie dotknąć dywanu, kobieta wyjęła spod spódnicy berettę. Dywan nie może się poruszyć. Nie może, po prostu nie może...

Cichy krok. Jeden i drugi. Intruz szedł w stronę okna. Mężczyzna. Drobnej budowy, prawdopodobnie niski. Mauritania? Wytężyła słuch. Mauritania był dobry, wiedziała o tym od dawna, ale nie tak dobry, jak myślał. Gdyby szedł szybko, normalnym krokiem, poruszał-

by się znacznie ciszej. Byłby bardziej niebezpieczny, bo nie zdążyłaby zareagować. Wiedział, gdzie jest najlepsza kryjówka, ale poruszał się za wolno, dając jej czas na przygotowanie do obrony.

Mauritania rozejrzała się czujnie z rosyjską tetetką w rękę. Niczego nie słyszał, nie zauważył niczego podejrzanego, ale czuł, że ktoś jest tutaj lub był, ponieważ widział ślady użycia wytrycha na zamku przy drzwiach frontowych i tych do mieszkania.

Powolutku podszedł do pierwszego okna i gwałtownie odchylił róg dywanu. Nikogo. Z

pistoletem gotowym do strzału powtórzył to samo z dywanem drugim i trzecim. Ale tam też nikogo nie znalazł.

Kobieta spojrzała w dół. Tak, to Mauritania. W rękę ścisnęła berettę na wypadek, gdyby spojrzała do góry. Z mocno podkurczonymi nogami zwiślała na tytanowym haku, który wyjęła spod spódnicy i zaczepiła o metalową framugę okna, zdawszy sobie sprawę z niebezpieczeń-

stwa. Miała teraz przewagę, ponieważ gdyby Mauritania ją zauważył, wypaliłaby, zanim zdą-

żyłby podnieść broń. Wstrzymała oddech, modląc się, żeby jej nie zobaczył, zwinęła się w ciałniejszy kłębek. Nie chciała go zabijać - jego śmierć utrudniłaby śledztwo - ale jeśli będzie musiała...

Minęło kilka pełnych napięcia sekund. Jedna... Druga... Mauritania cofnął się i opuścił róg dywanu.

Znowu kroki, tym razem szybkie. Wszedł do drugiego pokoju. Kilka sekund ciszy i gło-

śne szuranie, jakby włókł po podłodze coś ciężkiego. Dywan. Mauritania odchylił i odciągnął

dywan. Zatrzeszczała podłoga, coś upadło. Pewnie doszedł do wniosku, że nawet jeśli włamywacze byli w mieszkaniu, już dawno uciekli i może teraz bezpiecznie wyjąć coś ze schowka w podłodze, którego nie zauważyła.

Dwa ciche kliknięcia: drzwi otworzyły się i zamknęły. Czekala. Nadsluchiwała. Nie wyczuła żadnego ruchu. Nie wyczuła nic.

Zeskoczyła na podłogę. Zesztywniały jej mięśnie i prostując się, zerknęła w okno. Mauritania stał po drugiej stronie ulicy. Patrzył na dom. Obserwował. Czekał.

Dlaczego jeszcze tam jest? Dlaczego nie odszedł? Coś było nie tak. Gdyby uwierzył, że włamywacz uciekł, na pewno by zniknął... chyba że znowu coś knuł i zachowywał szczególną ostrożność.

Nagle olśniło ją i zmroziło. Mauritania niczego stąd nie zabrał. Mauritania coś tu zostawił.

Chociaż wciąż bolały ją mięśnie, nie wahała się ani chwili. Wbiegła do drugiego pokoju dziwacznie urządzonego mieszkania, zerwała ze ściany dywan, odsłaniając tylne okno, otworzyła je i wyszła na zewnętrzne schody ewakuacyjne.

Była niemal na dole, gdy drugie piętro budynku eksplodowało w fontannie ognia.

Kobieta zsunęła się na ziemię, ruszyła biegiem w lewo, za sąsiednim domem skręciła i wyrzała na ulicę. Mauritania wciąż tam był: stał naprzeciwko i obserwował płonący budynek. Kobieta uśmiechnęła się ponuro. Myślał, że wyeliminował ogon. Popęłnił poważny błąd.

Gdy słysząc wycie syren odwrócił się i odszedł, poszła za nim.

64

Rozdział 10

Cafe Deuxieme Regiment Etranger mieściła się przy Afrique du Nord, jednej z krętych uliczek, nad którymi górowała kopuła Sacre-Coeur. Smith rozpiął płaszcz, usiadł samotnie przy małym stoliku w rogu sali i niespiesznie pijąc wino i pogryzając kanapkę z rostbefem, zaczął przeglądać materiały na temat Czarnego Płomienia. Właścicielem kafejki był legionista, któremu podczas wojny w Zatoce Perskiej Jon uratował nogę. Jak zwykle gościnnie, osobiście dopilnował, żeby nikt mu nie przeszkadzał. Smith przeczytał wszystko od deski do deski, odchylił się do tyłu, zamówił jeszcze jedno *demi* i popadł w zadumę.

Dowody przeciwko Czarnemu Płomieniowi były stosunkowo nikłe. Otrzymałszy cynk od informatora, godzinę po zamachu na Instytut Pasteura francuska Dwójka zgarnęła w Paryżu jednego z byłych członków tej terrorystycznej organizacji. Przed niecałym rokiem wyszedł z hiszpańskiego więzienia, gdzie odsiadywał wyrok za udział w zbrodniczych akcjach przypi-

sywanych Czarnemu Płomieniowi. Gdy on i jego towarzysze zostali aresztowani, organizacja rozpadła się i najwyraźniej przestała istnieć.

Kiedy agenci Dwójki schwytali go we Francji, był uzbrojony, lecz przysięgał, że już od dawna nie ma z polityką nic wspólnego i pracuje jako mechanik w Toledo. Twierdził, że przyjechał do Paryża wyłącznie po to, by odwiedzić wujka, nic nie wie o zamachu na instytut, spędził z wujkiem cały dzień. W aktach było jego skserowane zdjęcie opatrzone datą: zrobiono je w chwili aresztowania. Miał gęste czarne brwi, zapadłe policzki i wydatny podbródek.

Wuj potwierdził jego zeznania, a dalsze śledztwo nie ujawniło żadnych dowodów, które mogłyby połączyć go z zamachem. Mimo to w materiałach było parę dziur, ponieważ krytycznego dnia człowiek ten nie miał alibi na kilka godzin. Agenci Dwójki trzymali go pod kluczem i przesłuchiwali dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Centrum dowodzenia Czarnego Płomienia było przed laty ruchome. Przywódcy organizacji nie przebywali w jednym miejscu dłużej niż tydzień i na swoją siedzibę zwykle wybierali baskijskie prowincje zachodnich Pirenejów: Vizcaya, Guipuzcoa i Alava w Hiszpanii oraz Basse-Pyrenees we Francji. Najczęściej bywali w i pod Bilbao oraz w Guerenice, gdzie mieszkało najwięcej sympatyków Czarnego Płomienia.

Baskijscy nacjonałiści mieli tylko jeden cel: oddzielenie od Hiszpanii i utworzenie Republiki Baskijskiej. Grupy bardziej umiarkowane dopuszczały również możliwość utworzenia autonomicznego regionu na terenie Hiszpanii. Baskowie pragnęli niepodległości do tego stopnia, że chociaż byli zagorzałymi katolikami, podczas hiszpańskiej wojny domowej występowali przeciwko Kościołowi i wspierali świeckich lewicowych republikanów, ponieważ ci obiecali im co najmniej autonomię, podczas gdy katolicy faszyci obiecać im tego nie chcieli.

Jon zastanawiał się, co zamach na Instytut Pasteura mógłby mieć wspólnego z ostatecznym celem ich walki. Może chodziło o Hiszpanię? Może chcieli postawić ją w trudnym poło-

zeniu? Nie, raczej nie. Zawstydzić swój kraj? Jak dotąd nie zrobili nic, co mogłoby na to wskazywać.

Może zatem chcieli doprowadzić do tarć między Hiszpanią i Francją z nadzieją, że francuski rząd wywrze nacisk na Hiszpanów, którzy wreszcie ustąpią i spełnią ich żądania. To miałyby więcej sensu, ponieważ podobną taktykę stosowali inni rewolucjoniści, chociaż z różnym skutkiem.

A może francuscy Baskowie postanowili zjednoczyć się ze swymi braćmi i siostrami zza granicy i rozszerzyć falę terroru na oba kraje z nadzieją, że gdyby zgodziły się utworzyć nowe państwo ze skrawków ziemi należącej do Francji i do Hiszpanii, Francja, która miałaby 65

mniej do stracenia, zmusiłaby Hiszpanię do zawarcia ugody? W tym przypadku dodatkową motywacją byłoby to, że zaangażowanie obu krajów doprowadziłoby do interwencji ONZ, a może nawet Unii Europejskiej, która zmusiłaby je do znalezienia jakiegoś rozwiązania.

Smith kiwnął głową. Tak, to mogłoby wypalić. Natomiast komputer molekularny byłby dla terrorystów wprost bezcenny, ponieważ zyskaliby broń, dzięki której mogliby załatwić wiele spraw, łącznie ze zmuszeniem przeciwnika do kapitulacji.

Ale zakładając, że terroryści z Czarnego Płomienia zdobyli komputer molekularny, po co mieliby atakować Stany Zjednoczone? To nie miało żadnego sensu, chyba że Baskowie chcieli zmusić Amerykę do poparcia ich celów i wzmożenia nacisku na Hiszpanię. Gdyby tak było, powinni się z nimi skontaktować i wysunąć konkretne żądania, a jak dotąd ani się nie skontaktowali, ani niczego nie wysunęli.

Zamyślony włączył komórkę. Sygnał? Tak, sygnał już był. Jon wybrał tajny numer Kleina.

- Klein, słucham.

- Już po?

- Tak. Co za burdel. Jestem dobity.

- Co dokładnie zrobił?

- Wyłączywszy zachodnią sieć energetyczną, nasz upiorny haker złamał kod jednego z satelitów telekomunikacyjnych i zanim żeśmy się spostrzegli, zdążył przenicować cały system, dziesiątki satelitów. Ci z FBI rzucili przeciwko niemu wszystko, co mieli i co umieli, ale facet łamał każdy kod, każde hasło, jakby te wszystkie zapory i zabezpieczenia były kiepskim żartem. Skupił się na przekaźnikach wojskowych i załatwił wszystkie tak szybko, że...

To było niewiarygodne. Łamał kody, których nikt nie miał prawa złamać. Smith zaklął.

- O co mu chodziło, u licha?

- Nasi uważają, że tylko się bawił, podbijał sobie bębenek. Sieć energetyczna ożyła po półgodzinie, łączność też. Dokładnie po trzydziestu minutach, jakby tak to sobie zaplanował.

- I pewnie zaplanował. Co oznacza, że ma pan rację. To była próba, test. I ostrzeżenie, żebyśmy się trochę spocili.

- No i się spociliśmy. Facet nas zdeklasował, nas i naszą technologię, ale w tej chwili to już małe niedopowiedzenie. Trzeba znaleźć i jego, i ten komputer, to najlepszy sposób obrony.

- Nie tylko jego. Zamach w Instytucie Pasteura, uprowadzenie Teresy Chambord: to nie jest robota pojedynczego hakera. Nikt się z wami nie skontaktował?

- Nie.

Jon popatrzył na swoje piwo. Było bardzo dobre i dopóki nie zadzwonił do Kleina, z przyjemnością je pił. Teraz odsunął od siebie kufel.

- Może niczego od nas nie chcą - rzekł ponuro. - Może zamierzają coś zrobić bez względu na to, co powiemy i jak zareagujemy.

Niemal widział, jak Klein patrzy w dal, na otwierającą się przed nim wizję apokalipsy.

- Tak, też o tym myślałem. Przetestować komputer, usunąć błędy i bez żadnego ostrzeżenia przeprowadzić atak. To mój koszmar.

- Co na to Pentagon?

- Realia przekazuje się generałom stopniowo, małymi dawkami. Ale tym zajmę się ja.

Co u ciebie?

- Dwie nowiny. Po pierwsze, policja porównała odciski palców Emile'a Chamborda z odciskami palców znalezionej w gruzach ręki. Pasują. Generał La Porte powiedział mi o tym dziś rano.

- Jezus Maria... A więc Chambord nie żyje. Niech to szlag. Przekręcę do Departamentu Sprawiedliwości. Zadzwońią do nich i może dowiedzą się czegoś więcej. Może - dodał Klein z lekkim wahaniem w głosie. - Zellerbach jest teraz jeszcze ważniejszy. A propos, jak się czu-66

je?

Jon opowiedział mu o odwiedzinach w szpitalu.

- Jest duża szansa na to, że wyjdzie z tego cały i zdrowy - podsumował. - Przynajmniej tak zakładam.

- Obyś się nie mylił. Mam nadzieję, że ocknie się w porę. Nie chcę pana urazić, puł-

kownika. Wiem, jak bardzo go pan lubi, ale Zellerbach i jego wiedza mogą mieć dla nas kolo-salne znaczenie. Dobrze go tam pilnują?

- Lepiej chyba nie można. Siły specjalne i Surete. Gdyby było ich więcej, zaczęliby sobie przeszkadzać. - Jon odchrząknął. - Muszę mieć rezerwację na najbliższy lot do Madrytu.

- Do Madrytu? Po co?

- Wynajmę samochód i pojedę do Toledo. Tam prowadzi trop. - Smith streścił Kleinowi to, co wyczytał z materiałów od kapitana Bonnarda. - Skoro wiemy już, że symbol, który znalazłem na rękojeści tego pistoletu, jest symbolem Czarnego Płomienia, najlepiej będzie zacząć właśnie tam. Jeśli to oni uprowadzili Teresę Chambord, znajdę dzięki nim i ją, i ten komputer. Byłem w Toledo kilka razy, ale przydałaby mi się pomoc. Czy mógłby pan zdobyć dla mnie adres tego Baska i dokładny plan miasta? Ci z Surete powinni jakiś mieć.

- Na lotnisku będą czekały na ciebie i bilet, i plan, i adres.

Waszyngton, Biały Dom

Prezydent Sam Castilla siedział w fotelu z odchyloną do tyłu głową i z zamkniętymi oczami chłonał wiosenne ciepło, które wypełniało gabinet mimo wczesnego poranka - klima-tyzacja była jak zwykle wyłączona, a drzwi na ogród szeroko otwarte. Z jego obliczeń wynikało (kilka razy ukradkiem spojrzął na zegarek), że doradczynie do spraw bezpieczeństwa narodowego, admirał i trzech generałów rozmawia, dźga wskaźnikami mapę i sprzecza się ze sobą już od godziny i dwudziestu sześciu minut. Mimo powagi sytuacji, z rozkoszą myślał o Apaczach, którzy schwytawszy wroga, kładli go krzyżem na ziemię w gorącym słońcu i po-zostawiali na powolną, bardzo powolną śmierć.

Wreszcie otworzył oczy.

- Panowie, powszechnie wiadomo, że tylko zadufany w sobie idiota ubiegałby się o urząd, który przypadkiem sprawuję, dlatego czy ktoś z was mógłby mi wyjaśnić, co się wła-

ściwie stało i co to wszystko znaczy? Tylko jak najprościej, w kilku słowach, tak żeby nie musieli mi tego tłumaczyć ani moi doradcy naukowci, ani ci z „New York Timesa”.

- Oczywiście, panie prezydencie - podjęła wyzwanie doradczynie do spraw bezpieczeń-

stwa narodowego, Emily Powell-Hill. - Po włamaniu do zachodniej sieci energetycznej i wy-

łączeniu wojskowego systemu telekomunikacyjnego haker wykradł nasze kody operacyjne i kody systemów nadzorujących. Wykradł wszystkie, dosłownie wszystkie. Nie mamy się za czym ukryć. Nie jesteśmy w stanie zabezpieczyć ani naszych komputerów, ani oprogramowania, ani ludzi. Może nas to sparaliżować na Bóg wie jak długo. Jesteśmy zupełnie bezbronni.

Ślepi, głusi, niemi i bezzębni.

Jeszcze przed chwilą beztroski, prezydent osłupiał. Ogrom konsekwencji wynikających z tego, co właśnie usłyszał, oszołomił go i sparaliżował.

- Naprawdę jest aż tak źle?

- Jak dotąd - odrzekła Emily Powell-Hill - haker działał względnie krótko. Przypominało to szybki atak i ucieczkę. Ale wykradając kody, udowodnił, że jest w stanie nie tylko przypuścić atak, ale i rozpętać wojnę. Dopóki nie zmienimy kodów dostępu, dopóty nie bę-

dziemy w stanie ani atakować, ani się bronić. A jeśli nawet te kody zmienimy, haker może znowu je wykraść.

Prezydent Castilla gwałtownie wciągnął powietrze.

- Co dokładnie padło, kiedy włamał się do sieci?

- Wszystkie wojskowe systemy łączności z centralami w Fort Medea i w Detrick - odrzekł admirał Stevens Brose. - Światowe centrum monitorujące Agencji Bezpieczeństwa Narodowego w Menwith Hill, system łączności FBI, system nadzoru elektronicznego i fotograficznego CIA. NRO, Krajowe Biuro Rozpoznania, dosłownie oślepiło. No i oczywiście straciliśmy Echelon.

- Żaden z tych systemów nie padł na długo - wtrąciła szybko Emily Powell-Hill, żeby przekazać prezydentowi jedyną dobrą wiadomość - ale...

Cisza panująca w Gabinetce Owalnym była gęstsza niż nowomeksykański busz. Emily Powell-Hill, czterech wojskowych i Castilla kontemlowali w milczeniu najczarniejsze scenariusze wydarzeń. Na ich twarzach widać było gniew przemieszany z paniką, determinacją, niepokojem i trzeźwą kalkulacją.

Prezydent przeszył każdego z nich spokojnym, aż zbyt wyważonym spojrzeniem.

- By użyć jednej z moich słynnych, barwnych metafor rodem z Nowego Meksyku, jak dotąd widzieliśmy tylko sygnały dymne w górach Diabło, ale Apacze mogą w każdej chwili przeciąć druty...

Stevens Brose kiwnął głową.

- Celne podsumowanie, panie prezydencie. Jeśli założyć, że tamci mają komputer molekularny, trzeba odpowiedzieć na dwa pytania: dlaczego to robią i co zamierzają? Według mnie, nie ma nadziei, że po prostu próbują wyrzucić na kogoś nacisk, bo niczego nie zażądali.

Zważywszy, że spenetrowali cele wojskowe i system łączności, zdaje się oczywiste, że komputer molekularny jest im potrzebny do ataku na kogoś lub na coś. Ponieważ jak dotąd zawsze byliśmy najważniejszym celem i figurujemy na pierwszym miejscu listy wszystkich grup terrorystycznych z całego świata, istnieje duże ryzyko, że ci ludzie chcą zaatakować nas.

- Musimy się dowiedzieć, kim są - wtrąciła Emily Powell-Hill.

Admirał Brose pokręcił głową.

- Z całym szacunkiem, Emily, ale w tej chwili to najmniej ważne. Mógł to zrobić każ-

dy: iracki rząd, grupa terrorystyczna z dowolnego kraju świata czy milicja obywatelska z Montany.

Najważniejsze to ich powstrzymać. Licytować się będziemy potem.

- Zatem wszystko się kręci wokół tego komputera - powiedział Castilla - i zaczęło się od zamachu na Instytut Pasteura. Uważacie, że ludzie ci zamierzają zaatakować nas, ale nie wiecie konkretnie co, kiedy ani gdzie. Tak?

- Tak jest, panie prezydencie - potwierdził szybko admirał Brose.

- W takim razie lepiej znajdziemy ten komputer - zdecydował Castilla. Był to pomysł

Kleina. Castilla początkowo się mu sprzeciwiał, lecz w końcu ustąpił. Mieli tak mały wybór, że bardziej sensownego wyjścia po prostu nie było.

Wojskowi zaczęli mówić wszyscy naraz, a najgłośniej protestował generał Ivan Guerrero.

- To śmieszne! - wykrzyknął. - Nawet obraźliwe. Nie jesteśmy bezbronni. Dowodzimy najpotężniejszą armią świata.

- I dysponujemy najbardziej zaawansowaną bronią - dodał zgodnie generał Oda z piechoty morskiej.

- Ale żadna z waszych dywizji, żaden z waszych czołgów, okrętów czy samolotów nie ustrzeże elektronicznych kodów i systemów - zauważył spokojnie Castilla. - Spójrzmy prawdzie w oczy. Zanim zdążymy przygotować skuteczną obronę, będzie za późno. Ci ludzie dysponują działającym modelem komputera molekularnego i nie mamy z nimi żadnych szans, przynajmniej na razie.

Admirał Brose pokręcił głową.

68

- Niezupełnie, panie prezydencie. Nie próżnowaliśmy. Każdy z nas opracował system awaryjny, który funkcjonuje poza oficjalnymi strukturami dowódczymi i sieciami elektronicznymi. Systemy te powstały na wypadek sytuacji kryzysowej, a nie ulega wątpliwości, że z taką mamy teraz do czynienia. Uruchomimy je oddzielnie i zaopatrzymy w najbardziej zaawansowane zabezpieczenia. Jesteśmy już w trakcie zmiany kodów operacyjnych i łączno-

ściowych.

- Dzięki pomocy naszych przyjaciół z Wielkiej Brytanii podobny system zainstalowali-

śmy w Agencji Bezpieczeństwa Narodowego - dodała Emily Powell-Hill. - Możemy go uruchomić w ciągu kilku godzin.

Prezydent uśmiechnął się ponuro.

- W najlepszym wypadku tylko ich to spowolni. Dobrze, zmieńcie kody dostępu, poczynając od wojskowych. Porozdzielajcie i zabezpieczcie wszystkie taktyczne systemy elektroniczne. Poza tym skontaktujcie się z rządami krajów NATO. Wymieńcie się danymi i sko-ordynujcie z nimi poczynania obronne. Tymczasem nasz wywiad musi skoncentrować się na znalezieniu tego komputera. I na litość Boską, natychmiast rozbróćcie nasze strategiczne pociski nuklearne, bo zaraz je odpalą!

Zgodnie pokiwali głowami i wyszli z gabinetu.

Prezydent niecierpliwie czekał. W końcu zza zamkniętych drzwi wychynął Fred Klein.

Robił wrażenie zmęczonego. Miał mocno podkrążone oczy i bardziej niż zwykle wymięty garnitur.

Zdenerwowany Castilla ciężko westchnął.

- Mów prawdę, Fred. Czy to cokolwiek pomoże?

- Najprawdopodobniej nie. Jak sam pan powiedział, najwyżej ich trochę spowolni. Ale kiedy dojdą do wprawy z tym komputerem, nie będziemy mogli nic zrobić. Dam panu przykład. Jeśli ma pan w komputerze modem i raz w miesiącu wysyła pan do wnuków e-mail, to wystarczy, żeby ta molekularna maszyna włamała się do pańskiego komputera, w kilka sekund wykradła wszystkie dane i wyczyściła twardy dysk.

- W kilka sekund? E-mail do wnuków? Boże! Zatem nikt nie jest bezpieczny...

- Nikt - powtórzył Klein. - Jak powiedział admirał Brose i pan, naszą jedyną szansą jest odnalezienie tego komputera. Gdy go odnajdziemy, dopadniemy tego, kto za tym wszystkim stoi. Ale musimy to zrobić, zanim zrealizują swój plan, bez względu na to, co knują.

- To tak, jak mocować się z niedźwiedziem, mając związane ręce. Marne szansę. - Castilla przyjrzał się uważnie szefowi Jedyńki. - Jak nas zaatakują, Fred? Jak i gdzie?

- Nie wiem, Sam.

- Ale się dowiesz.

- Tak, panie prezydencie. Dowiem się.

- Oby w porę.

- Mam nadzieję.

Toledo, Hiszpania

Wyjechał z Madrytu autostradą N401, kierując się na południe. Tak jak obiecał Klein, na lotnisku De Gaulle'a w Paryżu czekały na niego adres domowy Baska, plan miasta i do-kładna mapa. Wynajęta renówka sunęła gładko między zielonymi, falującymi polami, toną-

cymi w długich cieniach. W koronkowym półmierzchu pod topolami pasły się owce.

Opuścił szybę, oparł łokieć na oknie i ciepły wiatr zburzył mu włosy. Niebo La Manchy, gdzie melancholijny rycerz Miguela de Cervantesa walczył z wiatrakami, było szerokie i błękitne. Ale sielska sceneria i naiwny Don Kichot nie pochłaniały go zbyt długo. Na niego też czekały wiatraki, tylko że aż nadto prawdziwe.

Zdawał sobie sprawę, że ktoś może go śledzić. Ale w miarę upływu czasu - droga była stosunkowo pusta, mijalo go i wyprzedzało niewiele samochodów - doszedł do wniosku, że teren jest czysty. Jeszcze raz wrócił myślą do artykułów na temat awarii systemów elektronicznych, które przeczytał w samolocie. W porównaniu ze szczegółami od Freda Kleina były bardzo powierzchowne i w żaden sposób nie sugerowały, że problem mógł mieć coś wspólnego z futurystycznym komputerem molekularnym. Rządowi Stanów Zjednoczonych udało się utrzymać rzecz w tajemnicy. Na razie.

Mimo to artykuły były szokujące i przygnębiające, zwłaszcza że wiedział, co to wszystko oznacza. Pograżony w myślach, zastanawiał się właśnie, co zastanie w Toledo, gdy nagle na rozciągającej się przed nim równinie wyrosły smukłe wieże katedry i majestatyczna forteca Alkazar, górująca nad wystrzępioną linią dachów tego starożytnego miasta. Przeczytał, że Toledo jest tak stare, iż jego prapoczątki giną w mroku dziejów, że na długo przed Rzymianami mieszkali tu Celtowie. Rzymianie przybyli do miasta dopiero w drugim wieku przed n a-szą erą i panowali w nim przez siedemset lat do chwili nadejścia Wizygotów, którzy wyparli ich, przejęli władzę na dwieście lat i utrzymali ją aż do roku 712 naszej ery.

Legenda głosiła, że lubieżny król Rodrigo zniewolił Florindę, córkę hrabiego Juliana, gdy kąpała się nago w Tagu. Zamiast pójść do sądu, rozwścieczony ojciec - i skończony idiota - pojechał po pomoc do Arabów. Ponieważ Arabowie i tak zamierzali najechać Toledo, z radością oddali mu przysługę. I tak oto miasto po raz kolejny przeszło w obce ręce, tym razem Maurów, by z biegiem lat stać się kosmopolitycznym ośrodkiem kultury i nauki. Wróciło do Hiszpanii dopiero w roku 1085, gdy odbił je król Kastylii.

Z trzech stron otoczone rzeką, rozciągało się na jej wysokim, urwistym brzegu. Brzeg ten był naturalną fortecą i wystarczyło tylko wzmocnić go od północy wysokimi murami, że-by w tamtych czasach miasto było praktycznie nie do zdobycia. Ostatnio, czyli od trzech, a nawet czterech stuleci, rozrastało się powoli za murami, także na południe, na drugim brzegu rzeki.

Jechał w miarę szerokimi ulicami w stronę północnego muru. Rozglądając się na wszystkie strony, w końcu dotarł do starego miasta, do Puerta de Bisagra, kamiennej bramy z dziewiątego wieku. Minął ją i zanurzył się w labiryncie krętych, wąskich uliczek i zaułków, pnących się chaotycznie w kierunku największej dumy miasta, gotyckiej katedry i fortecy Alkazar, zniszczonych podczas hiszpańskiej wojny domowej i pieczołowicie odbudowanych.

Zerkając na szczegółowy plan miasta, uważnie szukał charakterystycznych miejsc, budynków i uliczek, które zaprowadziłyby go do domu Baska. W zalegającym nad starówką półmroku kilka razy pomylił drogę i musiał zawracać. Przy okazji odkrył, że niektóre zaułki są tak wąskie, iż nie da się do nich wjechać; zablokowano je żelaznymi pachołkami. Więk-70

szość była przejezdna, lecz mieścił się w nich tylko jeden samochód, i to z wielkim trudem -

przechodnie musieli ustępować mu miejsca, schodzić z jezdni i kryć się w bramach. Każdy centymetr kwadratowy tego wystrzępionego urwiska wypełniały budynki, pomniki, kościoły, synagogi, meczety, sklepy, eleganckie restauracje i domy, z których wiele pochodziło jeszcze z czasów średniowiecza. Widok zapierał dech w piersi, lecz okolica nie należała do najbezpieczniejszych. Można tu było zastawić zbyt wiele pułapek.

Okazało się, że Bask mieszka w kamienicy w pobliżu Cuesta de Carlos V, w cieniu fortecy, tuż pod szczytem wzgórza. Plan miasta ostrzegał, że jest to uliczka wyjątkowo stroma i wąska, którą nie da się przejechać nawet najmniejszym samochodem. Jon zaparkował dwie przecznice dalej i ruszył przed siebie, trzymając się cienia. Zewsząd dobiegał go wielojęzyczny gwar, turyści spacerowali zaułkami, robili zdjęcia.

Na widok domu natychmiast zwolnił. Była to typowa, trzypiętrowa ceglana kamienica o płaskim, krytym czerwoną dachówką dachu. Głęboko osadzone okna, małe, kwadratowe i po-zbawione wszelkich ozdób, wyglądały jak kwadratowe dziury w ceglanym murze. Przechodząc, zobaczył, że drzwi są otwarte. Tuż za nimi była oświetlona sień, a w sieni schody. Bask wynajmował pokój na pierwszym piętrze.

Jon doszedł do małego placu otoczonego sklepikami i barami. Ulice rozchodziły się stąd w czterech kierunkach. Pachniało kardamonem, imbirem i chili. Kamieniczka, w której mieszkał Bask, była stąd dobrze widoczna. Zamówił piwo i *tapas*. Czekał. W pobliskim klubie zaczęła grać orkiestra. Grali soczystą *merengue* z Dominikany, dawnej kolonii hiszpań-

skiej. Noc wypełniła wibrująca muzyka. Jon jadł, pił i obserwował. Nikt nie zwracał na niego najmniejszej uwagi.

W końcu otworzyły się drzwi, na ulicę padła smuga światła i do kamienicy weszło trzech mężczyzn. Jeden z nich był bardzo podobny do Baska ze zdjęcia francuskiej Surete.

Miał takie same czarne gęste brwi, zapadłe policzki i wystający podbródek. Smith zapłacił i wszedł w wąską uliczkę. Zapadł już wieczór i na bruku legły czarne, nieprzeniknione cienie.

Idąc cicho w stronę kamienicy, ponownie odniósł wrażenie, że ktoś go obserwuje. Z nerwami napiętymi jak postronki przystanął w mroku pod drzewem.

Pistolet pojawił się dosłownie znikąd i Jon poczuł na karku zimny dotyk lufy.

- Ostrzegano nas, że możesz tu przyjść - powiedział po hiszpańsku chrapliwy głos.

Po ulicy spacerowało kilku przechodniów, ale tu, pod rozłożystym drzewem, on i napastnik byli prawie niewidoczni. Latarni na starówce było niewiele i stały daleko od siebie.

- Czekaliście na mnie? - spytał po hiszpańsku Smith. - To ciekawe. Widzę, że Czarny Płomień ponownie rozbłysł.

Lufa dźgnęła go mocniej.

- Przejdziemy na drugą stronę ulicy, do drzwi, które obserwowałeś. - Napastnik wyjął małe walkie-talkie i rzucił: - Zgaście światło. Wchodzimy.

Miał teraz rozproszoną uwagę, gdyż myśląc o Jonie, musiał przekazać wiadomość. W chwili gdy wyłączał nadajnik, Smith rozważał, co robić. Postanowił zaryzykować.

Zadał mu silny cios łokciem w brzuch i błyskawicznie się pochylił. Puff! Bask niechętnie pociągnął za spust. Broń miała tłumik i cichy odgłos wystrzału zginął wśród muzyki i odgłosów dochodzących z placu. Kula świsnęła Jonowi nad głową, z metalicznym jękiem zrykoszetowała na bruku. Zanim napastnik zdążył odzyskać równowagę, Smith rzucił się w jego stronę, wykonał półobrót i kopnął go lewą nogą. Trafił w szczękę. Bask jęknął i upadł.

Jon sprawdził mu puls, podniósł z ziemi walthera, dobry niemiecki pistolet, dźwignął nieprzytomnego i przerzucił sobie przez ramię. Wiedział, że ci z kamienicy zostali już uprzedzeni, لذا chwilą zaczęli ich szukać, dlatego spieszyli ruszyć uliczką w stronę samochodu.

Gdy wrzucił jeńca na przedni fotel, ten zadrżał i głucho jęknął.

71

Jon usiadł za kierownicą i w tej samej chwili dostrzegł błysk światła. To Bask, ocknął

się i wyjął nóż. Był bardzo osłabiony, dlatego Smith bez trudu mu go odebrał i w mrocznym samochodzie spojrzał mu prosto w czarne oczy.

- *Bastardo!* - wyszczał tamten.

- Teraz pogadamy - odrzekł po hiszpańsku Jon.

- Akurat. - Napastnik był nieogolony i przeszywał go dzikim spojrzeniem. Gwałtownie zamrugał, jakby z trudem zbierał myśli.

Był wysoki i potężnie zbudowany. Miał gęste, czarne kręcone włosy. I był młody. Broda i postura skrywały jego prawdziwy wiek. Mógł mieć najwyżej dwadzieścia lat. W Ameryce uchodziłby za młodzieńca, w świecie terrorystów był już dojrzałym mężczyzną.

Drżącą ręką niepewnie potarł szczękę.

- Mnie też zabijesz? - rzucił.

Smith puścił to pytanie mimo uszu.

- Jak się nazywasz?

Bask myślał przez chwilę i najwyraźniej doszedł do wniosku, że na to pytanie może odpowiedzieć.

- Bixente. Mam na imię Bixente.

Nazwiska nie podał. Nie odkładając pistoletu, Jon drugą ręką ścisnął mocniej nóż i ostrzem dotknął jego policzka. Bixente drgnął i gwałtownie odchylił głowę do tyłu.

- Na początek wystarczy samo imię - powiedział Smith. - A teraz opowiesz mi o Czarnym Płomieniu.

Cisza. Bask zadrżał jeszcze mocniej.

Jon przytknął mu ostrze do policzka, ostrożnie, na płask. Obrócił nóż raz i drugi. Bixente zapadł się w fotel.

- Nie chcę zrobić ci krzywdy. Chcę tylko porozmawiać, spokojnie i po przyjacielsku.

Chłopak wykrzywił twarz. Zdawało się, że toczy ze sobą wewnętrzną walkę. Jon zabrał

nóż. Ryzykował, ale zagrywka psychologiczna bywa skuteczniejsza niż przemoc. Bawiąc się rękojęcią, dodał:

- Posłuchaj, chodzi mi tylko o pewne informacje. Zresztą jesteś za młody, żeby się w to bawić. Opowiedz mi o sobie. Jak to się stało, że do nich trafiłeś? - Opuścił nóż.

Bixente nie spuszczał oczu z noża. Dopiero po chwili podniósł wzrok. Nie spodziewał się tego i był wyraźnie zaskoczony.

- Bo zabili mi... brata - wykrztusił.

- Kto zabił ci brata?

- Strażnicy, w więzieniu.

- Brat był przywódcą Czarnego Płomienia?

Bixente kiwnął głową.

- I chcesz być taki sam jak on, tak? Chcesz walczyć za swój kraj.

- Mój brat był żołnierzem - odparł dumnie chłopak.

- I ty też chcesz zostać żołnierzem. Rozumiem. Ile masz lat? Dziewiętnaście? Osiemnaście?

- Siedemnaście.

Jon stłumił westchnienie. Chłopak był młodszy, niż przypuszczał. Wyrośnięte dziecko.

- Pewnego dnia dojrzejesz i będziesz mógł podejmować głupie decyzje dotyczące wszystkich ważnych spraw. Ale jeszcze nie teraz. Wykorzystują cię, Bixente. Pewnie nawet nie jesteś z Toledo, co?

Pochodził z małej, zapadłej wioski w północnej Hiszpanii, z bastionu Basków, okolicy znanej z owiec i położonych wysoko pastwisk.

- Jesteś pasterzem?

- Wyuczyli mnie na pasterza, tak. - Zamilkł i z tęsknotą w głosie szepnął: - Lubiłem 72

paść owce.

Smith zmrużył oczy. Chłopak był silny, lecz niedoświadczony. Atrakcyjny kandydat dla wszelkiej maści ekstremistów.

- Chcę tylko porozmawiać z twoimi kolegami, nic więcej. Kiedy skończymy, będziesz mógł wrócić do domu i żyć jak kiedyś, spokojnie i bezpiecznie.

Bixente przestał drzeć, ale wciąż milczał.

- Kiedy reaktywowaliście organizację? - Według informacji Surete, tajne służby przestały ich obserwować z chwilą, gdy zabito i aresztowano ich przywódców.

Miotany poczuciem winy chłopak spuścił wzrok.

- Kiedy Elizondo wyszedł z więzienia. Jest jedynym ze starych przywódców, który jeszcze żyje i nie siedzi. Zebrał wszystkich byłych członków i zwerbował kilku nowych.

- Dlaczego uważał, że zamach na Instytut Pasteura w Paryżu pomoże sprawie niepodległości Basków?

Bixente wciąż nie podnosił wzroku.

- Nie powiedzieli mi tego, a już na pewno nie Elizondo. Ale słyszałem, jak gadają o robocie dla kogoś, kto da nam dużo pieniędzy na dalszą walkę.

- Ktoś zapłacił wam za podłożenie bomby w instytucie i za uprowadzenie Teresy Chambord?

- Chyba tak. Tak się domyślam. - Chłopak ciężko westchnął. - Początkowo nasi nie chcieli iść. Mówili, że jak mają znowu walczyć, to za kraj. Ale Elizondo powiedział, że wojna kosztuje dużo pieniędzy, wtedy ich nie mieliśmy i dlatego przegraliśmy. Jeśli chcemy walczyć o niepodległość, to najpierw musimy zdobyć pieniądze. Poza tym dobrze było zrobić to w Paryżu, bo wielu Basków mieszka teraz we Francji. Nasi bracia i siostry po drugiej stronie gór dowiedzieliby się, że chcemy walczyć razem z nimi, a razem możemy zwyciężyć.

- Kogo Elizondo wynajął?

- Nie wiem. Powiedział, że cel zamachu nie ma znaczenia. Że tak jest lepiej. Zresztą chodziło tylko o pieniądze dla kraju, dlatego im mniej z tego rozumieliśmy, tym lepiej. To nie była nasza sprawa. Nie wiem, z kim to załatwiał, ale słyszałem jakąś nazwę... Półksiężyc czy jakoś tak...

- Dlaczego uprowadzili tę kobietę? Słyszałeś coś? Dokąd ją zabrali?

- Nie, ale ona jest gdzieś tutaj, niedaleko. Nie jestem pewien...

- Czy któryś z nich mówił coś o mnie?

- Zumaia powiedział, że zabiłeś w Paryżu Jorge'a i możesz przyjechać do Hiszpanii, bo Jorge popełnił błąd. A potem Elizondo dowiedział się od kogoś, że możesz przyjechać tutaj, do Toledo. Byliśmy przygotowani.

- Pistolet Jorge'a miał skórzaną rękojeść?

- Tak. Gdybyś go nie zabił, zabiłby go pewnie Elizondo. Jorge nie miał prawa pokazywać nikomu naszego znaku, a już na pewno nie mógł umieszczać go na rękojeści pistoletu.

Elizondo o niczym by się nie do wiedział, ale Zumaia wszystko wychłapał.

Co oznaczało, że do chwili, gdy pojawił się na miejscu uprowadzenia Teresy Chambord, zupełnie się nim nie przejmowali, możliwe nawet, że nic o nim nie wiedzieli. Smith zmarszczył czoło. Bixente nie podniósł wzroku. Opadły mu ramiona.

- Jak mnie rozpoznałeś? - spytał Jon.

- Przysłali zdjęcie. Słyszałem, jak o tym rozmawiali. Któryś z na szych w Paryżu musiał o tobie

słyszeć albo cię śledzić. To on przysłał zdjęcie. Oni chcą ciebie zabić. Sprawiasz za dużo kłopotów. Nic więcej nie wiem. Powiedziałaś, że mnie wypuścisz. Mogę już iść?

- Zaraz. Masz pieniądze?

Zaskoczony Bixente podniósł wzrok.

- Nie.

Smith wyjął portfel i dał mu sto dolarów.

73

- Wrócisz za to do rodziny.

Chłopak wziął pieniądze i schował je do kieszeni. Już się nie bał, ale ramiona wciąż miał opuszczone i wciąż miały nim wyrzuty sumienia. Smith zwierzył niebezpieczeństwo.

Bixente mógł się załamać i ostrzec przyjaciół.

- Pamiętaj - rzekł twardym głosem. - Ten zamach i porwanie zorganizowaliście tylko dla pieniędzy, nie dla wolnej ojczyzny Basków. I ponieważ mnie tam nie przyprowadziłeś, większe niebezpieczeństwo grozi ci teraz z ich strony. Jeśli wrócisz, zaczną cię podejrzewać.

Jeżeli ci nie uwierzą, zabijacie bez wahania. Musisz się ukryć, choć na jakiś czas.

Chłopak z trudem przełknął ślinę.

- Wrócę do wioski, w góry.

- I dobrze. - Jon wyjął z walizki nylonową linę i rolkę taśmy izolacyjnej. - Zwiążę cię, ale pod fotelem zostawię nóż, żebyś mógł się uwolnić. Będiesz miał trochę czasu i wszystko sobie przemyślisz. Przekonasz się, że dałem ci dobrą radę. - A ja będę miał czas, żeby stąd zwać, na wypadek gdybyś zmienił zdanie i wrócił do kumpli.

Bixente nie był z tego zbyt zadowolony, ale kiwnął głową. Jon związał go, zakleił mu usta taśmą i wrzucił nóż pod tylne siedzenie. Uznał, że minie co najmniej pół godziny, zanim chłopak pokona wysokie oparcie, dosięgnie noża i przetnie więzy. Zamknął drzwiczki, włożył

do bagażnika walizkę i laptop, schował kluczyki do kieszeni i szybko odszedł. Skoro Teresa Chambord była w pobliżu, w pobliżu mógł być również komputer molekularny.

Rozdział 12

Noc przemieniła piękną starówkę w nastrojowe miasteczko z przeszłości, miasteczko pełne czarnych cieni, żółtego światła latarni i hiszpańskiej muzyki Smith wszedł na plac, z którego niedawno obserwował kamienicę Basków, zamierzając skrócić w boczną uliczkę i obejść dom z drugiej strony. Ponieważ było już późno i tłumy zniknęły, Toledo stało się zupełnie innym miastem. Ciche i spokojne, przypominało zalany księżycową poświatą pejzaż El Greca, wzbogacony o tonące w świetle reflektorów prastare domy, kościoły oraz inne prze-

świetne zabytki architektoniczne.

Skręcając, zobaczył czterech mężczyzn, którzy wychynęli nagle z plątaniny ulic i zauł-

ków. Jednego z nich natychmiast rozpoznał - tęgi i dziobaty, brał udział w porwaniu Teresy Chambord. Był z nimi również mężczyzna podobny do ujętego w Paryżu Baska. Czarny Płomień. Szukali go.

Gdy ostrożnie podeszli bliżej, Jon lekko podniósł głos, tak żeby na pewno go usłyszeli:

- Jest wśród was Elizondo? - spytał po hiszpańsku. - Chcę tylko porozmawiać. Opłaci się wam. Pogadajmy, Elizondo!

Milczeli. Z zaciętymi twarzami i z nisko opuszczonymi pistoletami podchodzili coraz bliżej. Górzące nad nimi historyczne budynki wyglądały jak złe duchy z innego świata.

- Ani kroku dalej - ostrzegł ich Smith, wyjmując zaopatrzonego w tłumik walthera.

Ale pistolet ich nie powstrzymał. Lekko drgnęli, lecz nie zwolnili kroku i otaczali go coraz ciaśniejszym kręgiem jak zaciskająca się na szyi garota. Jednakże jak na komendę wszyscy zerknęli na starszego, kościstego mężczyznę w baskijskim berecie, który najwidoczniej nimi dowodził.

Jon przypatrywał im się przez sekundę, rozważając szansę. Gdy w mrocznej nocy gło-

śniej zabrzmiała muzyka, odwrócił się i pobiegł przed siebie. Drogę zastąpił mu piąty męż-

czyzna, który wyszedł nagle z odległego o dziesięć metrów zaułka. Na bruku zadudniły kroki terrorystów. Z walącym sercem Smith skrócił w pierwszą napotkaną przecnicę i puścił się pędem przed siebie, byle dalej od ścigających go Basków.

We wpuszczonych w mur drzwiach zamkniętego *estanco*, sklepu z artykułami tytonio-wymi, zza których dochodził słaby, słodki aromat cygar i papierosów, stał starszy; wysoki pastor. W czarnej sutannie był prawie niewidoczny, gdyż słabe światło odbijało się tylko od je-go białej koloratki.

Śledził mężczyzn, którzy wyszli z domu aresztowanego w Paryżu Baska. Gdy się ukryli, każdy przechodzień zdziwiłby się, słysząc słowa nieprzystające ani księdzu, ani pastorowi; możliwe, że słowa te nawet by go uraziły.

- Cholera jasna! Co oni knują, u diabła?

Fałszywy pastor miał nadzieję podejrzeć spotkanie, dzięki któremu mógłby zdobyć informacje, po które przyjechał do Toledo. Ale to, co zobaczył, bynajmniej spotkaniem nie by-

ło. Podążając tropem Elizonda Ibarguengoitii, baskijskiego terrorysty, którego rozpoznał w Paryżu, zawędrował najpierw do San Sebastian, a potem tutaj, lecz ani tam, ani tu nie natrafił

na najmniejszy ślad uprowadzonej kobiety. Nie znalazł też żadnego potwierdzenia podejrzeń swoich szefów.

Ten absurd coraz bardziej go irytował. W dodatku był to absurd niebezpieczny. Między innymi właśnie dlatego fałszywy pastor miał przy sobie zaopatrzonego w tłumik pistolet marki Glock.

75

Tym razem czekał krótko. Od strony placu nadbiegł smukły, atletycznie zbudowany mężczyzna.

- Cholera jasna! - mruknął pastor.

Zaraz potem, jeden po drugim, na ulicę wybiegło pięciu Basków. Wszyscy mieli pistolety. Trzymali je dyskretnie, z boku, tak że choć w każdej chwili mogli ich użyć, broń była praktycznie niewidoczna. Fałszywy pastor wyszedł z ukrycia.

W połowie uliczki Smith przywarł do ściany z sig sauerem w obu rękach i skupił wzrok na jej końcu, gdyż właśnie stamtąd przybiegł. Przeszło troje turystów - dobrze ubrany męz-

czyzna i dwie młode kobiety -tańcząc w rytm pulsującej muzyki. Nie zdając sobie sprawy z rozgrywającego się dramatu, świetnie się bawili.

Wkrótce znikli mu z oczu. Czekał dalej. Czekał. I czekał. Minęło ledwie kilka sekund, lecz zdawało się, że upłynęła godzina. Gdy orkiestra zagrała nową melodię, zza rogu wychynał przysadzisty Bask,

jego twarz i pistolet. Smith starannie wycelował i nie chcąc ranić przy-padkowego przechodnia, posłał kulę dokładnie tam, gdzie chciał, w ścianę tuż nad głową mężczyzny. Odgłos stłumionego wystrzału zginął w dźwiękach muzyki.

Buchnął dym i na głowę Baska posypały się ostre odłamki cegieł. Mężczyzna gardłowo stęknął i cofnął się za róg jak pies, którego właściciel gwałtownie szarpnął smyczą. Jon wykrzywił usta w posępnym uśmiechu i puścił się biegiem.

Skręcając w najbliższą uliczkę, nie usłyszał za sobą żadnego wystrzału. Po kilku metrach znowu przywarł do ściany. Zza rogu nie wychynęła ani głowa, ani pistolet. Rozglądając się uważnie, z ulgą ruszył dalej, stromo pod górę, przez gąszcz zaułków, placyków i uliczek, i wkrótce wybiegł na stosunkowo płaski teren. Muzyka rozmyła się w oddali; ostatnie tony zabrzmiały ponuro, a nawet złowieszczo.

Zlany potem, znowu popędził przed siebie i kilkadziesiąt kroków dalej napotkał samotnego mężczyznę, który szedł ulicą, kopiąc kamień i chwiejąc się, jakby wypił za dużo wina.

Mężczyzna popatrzył na niego, przerażony wytrzeszczył oczy, jakby zobaczył ducha, gwałtownie skręcił i szybko odszedł.

Jon miał nadzieję, że wreszcie zgubił Basków. Będzie musiał trochę odczekać, potem zawróci w stronę kamienicy. Spojrzał za siebie jeszcze raz, spodziewając się, że nikogo tam nie zobaczy, i wtedy usłyszał wyraźne „puff! Puff!” Kula świsnęła mu tuż koło policzka, ze ściany wytrysła mała fontanna kamiennych odłamków. Kolejny wystrzał. Pocisk z przeraźliwym jękiem zrykoszetował na murze, uderzył w bruk i z klekotem utknął w ceglany załomie.

Smith leżał już na brzuchu i podparłszy się łokciami, oddał dwa strzały w stronę majaczących w mroku cieni.

Rozległ się głośny, ścinający krew w żyłach krzyk. Jon znowu został sam w ciasnej, ciemnej uliczce. Musiał któregoś trafić.

Był sam? Chyba niezupełnie. Niecałe trzydzieści metrów dalej dostrzegł niewyraźny cień, mroczny jak noc, jak ściany domów, jak bruk. Przykucnął i skradając się ostrożnie, podszedł bliżej. Sylwetka krępego mężczyzny. Szeroko rozrzucone ręce, kocie łby zalane krwią i lśniące w blasku księżyca. I puste, nic niewidzące oczy. Dziobaty, przysadzisty Bask, jeden z tych, którzy uprowadzili Teresę Chambord. Już nie żył.

Jon usłyszał cichy chrzęst. Nadciągali tamci. Szli w jego stronę.

Zerwał się na równe nogi, ponownie wpadł w labirynt uliczek i zaułków, pędząc przed siebie, zawracając, skręcając i mijając domy stojące tak blisko siebie, że nawet największe uliczki zdawały się walczyć o przestrzeń między gęstą, zwartą zabudową. Minał szerszą ulicę, gdzie z zadartymi głowami stali turyści, podziwiając rząd surowych, kamiennych domów z 76

czasów średniowiecza. Tuż za nimi dostrzegł dwóch Basków, którzy uważnie lustrowali teren wzrokiem. Ponieważ nie patrzyli na domy, rzucali się w oczy jak wilki na śniegu.

Natychmiast skręcił, przyspieszył i słysząc ich krzyk, wpadł w najbliższą uliczkę w chwili, gdy z przeciwnej strony wjechał w nią samochód. Sportowy fiat - idąca środkiem jezdni rodzina musiała uskoczyć do bramy, żeby go przepuścić. Baskowie byli blisko, stanowczo za blisko. Przesłoniwszy oczy ręką, żeby nie oślepił go blask reflektorów, Jon puścił

się pędem prosto na samochód.

Ostrzegawczo krzyknął. Zapiszczały hamulce i fiat gwałtownie zahamował, pozostawiając na asfalcie długie czarne ślady. Rozszedł się swąd spalonej gumy. Wóz stanął niecałe trzy metry przed Smithem. Nie zwalniając kroku, Jon wskoczył na maskę. Podeszwy adidasów ześlizgnęły się i niepewnie przywarły do lśniącego lakieru. Przebiegł przez dach, przez bagażnik samochodu, ciężko wylądował po drugiej stronie i pognął dalej.

Padło kilka strzałów, świsnęły kule. Tamci próbowali go wymacać. Jon pędził zygzakiem, gwałtownie skręcając to w prawo, to w lewo. Zbłąkana kula roztrzaskała okno na pię-

trze. Rozległ się krzyk jakiejś kobiety, zapłakało dziecko. Potykając się i ślizgając, Baskowie z wrzaskiem pokonali przeszkodę i ostatnim odgłosem, jaki dobiegł go z uliczki, był głośny tupot ich nóg. Nie dowiedział się niczego ani o Teresie Chambord, ani o komputerze

molekularnym, w dodatku groziło mu śmiertelne niebez pieczeństwo. Koszmar.

Rozwścieczony, wciąż biegł labiryntem sennych uliczek. Cały czas rozpaczliwie rozglądał się wokoło. W końcu dostrzegł przed sobą jasno oświetlony plac, usłyszał gwar głosów i śmiech.

Zwolnił, próbując złapać oddech. Ostrożnie podszedł bliżej i okazało się, że jest na Pla-

za del Conde. Po drugiej stronie było Casa y Museo del Greco. Tak, to Juderia, stara żydow-ska dzielnica w południowo-zachodniej części miasta, tuż nad rzeką. Chociaż nie dostrzegł

nikogo podejrzanego, wiedział, że tamci muszą być niedaleko, Elizondo tak szybko nie zre-zygnuje.

Musiał dostać się na drugą stronę placu. Biegając, zwróciłby na siebie uwagę. Zdecydowało zmęczenie. Obojętnym krokiem ruszył powoli przed siebie, trzymając się cienia. W

końcu dotarł do grupy turystów, którzy podziwiali gmach zamkniętego o tej porze muzeum z płótnami słynnego El Greca. Była to rekonstrukcja typowego tolekańskiego domu z tamtego okresu, więc stali tam, po cichu wymieniali uwagi i wskazywali coś palcami.

Względnie normalny oddech odzyskał dopiero na Calle San Juan de Dios, gdzie turystów było mniej. Wiedział, że dłużej tak nie wytrzyma. Bieganie tam i z powrotem po stromym wzgórzu wykończyłoby każdego, nawet kogoś, kto dbał o kondycję jak on. Postanowił

zaryzykować i zostać tu dłużej. Szedł, uważnie obserwując każdą przecnicę, i nagle wpadł na pewien pomysł.

Kilkanaście metrów dalej zobaczył mężczyznę z aparatem na szyi i fleszem w ręku, któ-

ry zdawał się szukać czegoś godnego sfotografowania, obiektów typowych dla miejscowego kolorytu. Mężczyzna niespiesznie skręcił i zadzierając głowę, rozglądając się na wszystkie strony, wszedł w boczną uliczkę. Był mniej więcej tego samego wzrostu i budowy ciała co Smith.

Świetna okazja. Turysta skręcił w kolejną uliczkę, w wąziutki zaułek, cichy i zupełnie pusty. Zauważył Smitha dopiero wtedy, gdy ten wyrósł tuż za nim. Odwrócił głowę.

- Hej! - zaprotestował po angielsku. - Kim pan jest? Co pan...

Smith przytknął mu do pleców lufę pistoletu.

- Cicho. Amerykanin?

- Żebyś pan wiedział, że...

Jon dźgnął go lufą.

- Mów ciszej.

77

Rozsierdzony mężczyzna zniżył głos do szeptu.

- Żebyś wiedział, że Amerykanin! I lepiej dobrze to zapamiętaj, bo pożałujesz, że...

- Ubranie - przerwał mu Smith. - Ściągaj ubranie.

- Ubranie? Odbiło ci czy co? Kim ty, do cholery... - Turysta odwrócił się, spojrzał na sig sauera i zmartwiał. - Chryste, kim pan jest?

Jon przytknął mu lufę do czoła.

- Ubranie. Szybko.

Bez słowa, nie spuszczając go z oczu, turysta rozebrał się do bielizny. Smith cofnął się, zdjął buty, koszulę i spodnie, przy czym cały czas trzymał tamtego na muszce.

- Włóż tylko moje spodnie. Koszuli nie wkładaj, zostań w podkoszulku. Będziesz mniej podobny do mnie.

Zapinając spodnie, Amerykanin pobladł.

- Nie wiem, kim pan jest, ale zaczynam się bać - wychrypiał.

Jon włożył jego adidas, szare spodnie, niebieską hawajską koszulę i czapkę baseballową chicagowskich Cubsów.

- Wracając do hotelu, idź między ludźmi. Rób zdjęcia. Zachowuj się normalnie, a nic ci nie będzie.

Lekkim truchtem pobiegł przed siebie. Gdy zerknął przez ramię, przerażony turysta wciąż stał w cieniu, patrząc za nim.

Nadeszła pora, żeby zwierzyna zapolowała na myśliwego. Jon biegł równym, nie-spiesznym krokiem, który prawie go nie męczył, i po pewnym czasie znowu usłyszał głośny rozgwar. Znalazł się przed Monasterio de San Juan de los Reyes, świętym miejscem pochówku królów i królowych Kastylijczyków i Aragonów. Turyści, którzy opłacili nocną wycieczkę po mieście, stali przed kościołem, zafascynowani jego niesamowitą fasadą ozdobioną łańcuchami, którymi Maurowie skuwali niegdyś chrześcijańskich więźniów.

Jon ominął ich łukiem, wszedł do kafejki z szerokim widokiem na ulicę i usiadł przy stoliku, skąd dobrze widział cały plac i kościół. Chwycił garść serwetek, otarł spocone czo-

ło, zamówił *cafe con leche* i odetchnął. Czekał. Baskowie wiedzieli, w którym kierunku uciekł, i przeczesując teren, sprawdzając, czy przypadkiem nie zawrócił, wcześniej czy póź-

niej dotrą tutaj.

Ledwie dopił kawę, gdy dostrzegł starszego, kościstego mężczyznę w czerwonym baskijskim berecie. Szedł w towarzystwie kumpla. Wyciągali szję, rozglądali się, szukali. Mi-nęli go spojrzeniem, nawet się nie zawahali. Nie ma to jak hawajska koszula, pomyślał z satysfakcją.

Wstał, rzucił na stolik kilka euro, ruszył za nimi i... zgubił ich tuż za kościołem. Cicho zaklął i znużony przyspieszył kroku. Musieli być niedaleko.

Po chwili wszedł na stromy, porośnięty trawą brzeg wijącego się w dole Tagu. Przykucnął, żeby nikt go nie zauważył, i zaczął czekać, aż oczy przywykną do panującej tu ciemności.

Z tyłu, po lewej stronie, widział sylwetkę synagogi del Transisto i muzeum Sefardyjczyków.

Po drugiej stronie rzeki, w nowocześniejszej części miasta, błyskały światła eleganckiego hotelu Parador. Trawiasty brzeg porastały krzaki, a w dole, ostrzegając szumem o swej potędze, płynęła wezbrana po zimowych deszczach rzeka.

Jon był coraz bardziej spięty. Gdzie oni są? Gdzie się podzieli? Z lewej strony, nieco z dołu, dobiegły go nagle ciche głosy. Rozmawiało dwóch mężczyzn. Chrząst drobnych kamyczków - dołączył do nich trzeci. Smith wytężył słuch. To, co usłyszał, zmroziło go, jednocześnie podekscytowało. Tamci rozmawiali po baskijski. Nawet z tej odległości usłyszał swoje nazwisko. Mówili o nim,

wciąż go szukali. Stali niecałe trzydzieści metrów dalej, na względnie otwartej przestrzeni.

Od strony rzeki nadszedł czwarty mężczyzna. Jon znowu usłyszał swoje nazwisko.

Przeszli na hiszpański.

78

- Nie ma go tam. Ale widziałem, jak wychodził z kawiarni, jak szedł za Irurbim i Zumaią. Musi tu gdzieś być. Może siedzi bliżej mostu...

Hiszpański mieszał się z baskijskim. Okazało się, że Iturbi i Zumaia przeszukiwali skraj miasta, gdzie Jon ich zgubił. Elizondo, przywódca, szukał go nad rzeką i dołączył do podwładnych dopiero teraz. Po naradzie uznali, że ścigany musi być w pobliżu.

Gdy rozdzielili się, żeby dokładniej przeczesać brzeg, Smith przypadł do ziemi, przez trawę i piach ruszył pod górę i wsunął się pod nisko zwisające gałęzie mocno pochylonej pła-czącej wierzby. Wstrzymując oddech, spięty i zdenerwowany legł przy pniu z pistoletem w rękę. Chwilowo był bezpieczny.

Po kolacji w La Venta del Alma, czarującej gospodzie na drugim brzegu rzeki, monsieur Mauritania wyszedł na taras Parador Conde de Orgaz, najbardziej luksusowego hotelu w Toledo. Spojrzał na zegarek. Tak, miał jeszcze czas. Odjeżdżał dopiero za godzinę.

Rozkoszując się chwilą, podziwiał nocny widok. Hen, wysoko, nad spowitą księżycowym blaskiem rzeką, w kalejdoskopie świateł i cieni rozciągało się stare Toledo, tak piękne, że mogłoby powstać ze strof *Arabskich Nocy*, wspaniałego perskiego poematu miłosnego.

Prymitywni przedstawiciele zachodniej kultury, ludzie aprobujący wąską koncepcję Boga i mdławego, bezbarwnego Zbawiciela, nigdy tego miasta nie rozumieją. Ale cóż, ludzie ci potrafili zmienić kobietę w mężczyznę, plugawiąc i zniekształcając prawdę i o niej, i o nim.

Nigdzie nie widać było tego wyraźniej niż tu, w tym wielkim mieście Proroka, gdzie każdy pomnik, każdy zabytek i prześwietną pamiątkę z przeszłości traktowano jak świecidełko, gdzie za pieniądze łgano i kłamano.

Upajał się tym widokiem, chłonał go całym sobą. To było miejsce święte, żywe wspomnienie cudownej epoki sprzed tysiąca lat, gdy panowali tu Arabowie, gdy na tym zamieszkanym przez niepiśmiennych dzikusów odludziu powstał ośrodek kultury świątłych Maurów.

Mędrzy i uczeni pisali tu święte księgi, muzułmanie, chrześcijanie i żydzi żyli ze sobą w zgodzie i harmonii, ucząc się swoich języków, studiując swoją kulturę i wiarę.

A teraz, pomyślał z gniewem, chrześcijanie i żydzi twierdzą, że islam jest religią barbarzyńską, teraz chcą zetrzeć z powierzchni ziemi wszelkie jej ślady. Ale poniosą klęskę. Islam powstanie i zatriumfuje znowu. Już on tego dopilnuje.

Pochłodził, więc postawiwszy kołnierz skórzanej kurtki, dalej kontemplował bogactwa tego dekadentckiego teraz miasta. Ludzie przyjeżdżali je fotografować i kupować tanie pamiątki, ponieważ zamiast duszy mieli pieniądze. Niewielu odwiedzało Toledo, żeby się czegoś nauczyć, żeby pomyśleć, czym miasto to było kiedyś, żeby zrozumieć, czym obdarowało je światło islamu w czasach, gdy chrześcijańska Europa tonęła w mrokach nietolerancyjnego średniowiecza. Z goryczą pomyślał o swojej biednej, głodującej ojczyźnie, gdzie piaski Sahary powoli zabijały i ziemię, i ludzi.

A niewierni dziwili się, że ich nienawidzi, że chce ich zniszczyć, że chce wskrzesić dawną chwałę islamu. Wskrzesić kulturę, która chciwość i pieniądze ma za nic. Potęgę, która władała tymi ziemiami przez tyle stuleci. Nie był fundamentalistą. Był pragmatykiem. Najpierw da nauczkę Żydom. Potem Amerykanom. Niech czekają na swoją kolej, niech się spocą ze strachu.

Zdawał sobie sprawę, że Zachód niewiele o nim wie. I dobrze, właśnie na to liczył. Miał delikatne ręce, delikatną twarz, pulchne ciało - zdawał się taki słaby i bezbronny. Ale on znał prawdę. Miał duszę bohatera.

Stał w nocnej ciszy na tarasie pałacowego hotelu, podziwiając wieżę wielkiej chrześcijańskiej katedry i potężny masyw Aklazaru, który przed prawie tysiącem pięciuset laty wznie-

śli jego pustynni ziomkowie. Miał kamienną twarz, lecz kipiał gniewem. Wściekłość gnębiła go i paliła, podsycana wiekami zadawnionej nienawiści i wściekłości. Jego lud powstanie. Ale 79

tym razem powoli, ostrożnie, małymi krokami, z których pierwszym będzie cios, jaki zada Żydom.

Rozdział 13

Leżał pod płaczącą wierzbą nad brzegiem spowitego blaskiem księżyca Tagu. Nadsłuchiwał.

Baskowie przestali rozmawiać, miejskie odgłosy powoli cichły. Zaskrzeczał wodny ptak, coś plusnęło w rzece.

Jon gwałtownie przesunął pistolet w lewo. Z wody ktoś wyszedł, srebrzystoszary niczym nocna zjawka. Ktoś inny przeczesywał sąsiedni pagórek. Ten, który wyszedł z rzeki, mruknął coś po baskijski, dołączył do tego z pagórka i ramię w ramię poszli dalej.

Smith wypuścił powietrze, przykucnął i trzymając się przy ziemi, ruszył za nimi. Teraz było ich sześciu, podążali w kierunku mostu Puente de San Martin. Gdy ten idący górą zbocza dotarł do mostu, wymienili serię znaków rękami i gwałtownie skręcili w stronę brzegu. Jon padł na ziemię. Ocierając sobie łokcie, wtoczył się za głazy, zanim zdążyli go zauważyć.

Nad wodą Baskowie przykucnęli, żeby odbyć naradę. Zumaia, Iturbi, Elizondo - Smith nie widział ich twarzy. Rozmawiali szybko po baskijski i hiszpańsku, zrozumiał, nad czym radzili. Elizondo stwierdził, że jeśli Smith w ogóle tu był, udało mu się jakimś cudem przedostać przez tyralierę i najpewniej zmierzał teraz do miasta. Mógł pójść na policję, a wtedy by-

łoby kiepsko. Policja nie darzyła obcokrajowców specjalną sympatią, ale jeszcze mniej sympatii okazałaby grupie Basków.

Zumaia nie był o tym przekonany. Pospierali się trochę, pokłócili, wreszcie doszli do kompromisu. Ponieważ czas uciekał, Zumaia, Carlos i pozostali mieli rozstawić się po całym mieście z nadzieją, że któryś z nich wypatrzy Smitha. Elizondo nie weźmie udziału w obławie

- miał iść na farmę po drugiej stronie rzeki, na jakieś ważne spotkanie.

Uwagę Jona przykuły dwa słowa: „Tarcza Półksiężycy”. Jeśli dobrze zrozumiał, Elizondo miał odbyć naradę z przedstawicielami tej organizacji. I miał iść pieszo, ponieważ do samochodów było za daleko.

Do Smitha nareszcie uśmiechnęło się szczęście. Podczas gdy tamci kończyli naradę, z trudem panował nad podnieceniem. Sęk tylko w tym, że gdyby poszedł za Elizondem po dobrze oświetlonym moście, ten natychmiast by go zauważył. Musiał znaleźć inny sposób.

Mógłby iść daleko za nim, ale wtedy szybko by go zgubił, a rozpytywać o drogę miejscowych raczej nie chciał. Nie, musiał dotrzeć na drugi brzeg Tagu, zanim dotrze tam Elizondo.

Gdy Baskowie odeszli, zdjął koszulę i spodnie, które zabrał amerykańskiemu turyście, i zwijając ubranie w ciasny kłębek, pobiegł do rzeki. Przyasał sobie kłębek do karku i powoli, bez hałasu, wszedł do wody. Była zimna. Cuchnęła mułem i gnijącymi roślinami.

Zanurzył się po cichu i z wysoko uniesioną głową popłynął żabką. Rozgarniając rękami czarną wodę, myślał o nieprzytomnym Martym, który wciąż leżał w paryskim szpitalu. O ko-bietach i mężczyznach, którzy zginęli w zamachu na Instytut Pasteura. Myślał też o Teresie Chambord. Czy jeszcze żyje?

Zły i zmartwiony, mocno pracował rękami i nogami. Ilekroć spoglądał w lewo, na jasno oświetlonym moście widział Elizonda w charakterystycznym czerwonym berecie. Poruszali się z taką samą

prędkością. Niedobrze.

Był zmęczony, ale musiał o tym zapomnieć. Musiał przyspieszyć. Gdzieś tam był ten przeklęty komputer. Adrenalina dodała mu sił. Ręce i nogi, ręce i nogi — przecinał mroczną wodę, pokonując słaby prąd. Elizondo wciąż szedł krokiem równym, lecz niezbyt szybkim, żeby nie zwracać na siebie uwagi.

Jon wreszcie go wyprzedził. Wytężył mięśnie, przyspieszył jeszcze bardziej i w końcu, ciężko dysząc, na gumowych nogach wyszedł na brzeg. Ale nie było czasu na odpoczynek.

81

Otrząsnął się z wody, włożył ubranie, przeczesał ręką włosy i przebiegł na drugą stronę ulicy.

Przycupnął między dwoma samochodami.

W samą porę. Elizondo właśnie schodził z mostu. Czerwony beret, ogorzała twarz, gniewna, posępna mina; robił wrażenie człowieka, którego gnębi poważny problem. Gdy skręcił w lewo, Jon ruszył za nim w dyskretnej odległości. Bask poprowadził go ulicą, gdzie stały piękne *cigarrales*, wystawne wiejskie rezydencje, w których mieszkali najzamożniejsi z zamożnych, w górę wzgórza, za hotel Parador, za szeregi nowoczesnych domów i domków.

W końcu znaleźli się poza miastem, gdzie były już tylko gwiazdy, księżyc i łąki. Gdzieś w oddali zaryczała krowa.

Elizondo ponownie skręcił w lewo, tym razem na bitą, polną drogę. Podczas tej długiej wędrówki kilka razy oglądał się za siebie, lecz Smith krył się wówczas za drzewami, krzaka-mi i samochodami. Polna droga była zbyt opustoszała, zbyt wyludniona. Jon skręcił, zszedł

między drzewa gęstego wiatrochronu i podążył równolegle do niej.

Miał na sobie hawajską koszulę z krótkimi rękawami i ostre chaszcze szybko podrapały mu obnażone ręce. Dobiegł go słodkawy zapach jakiegoś nocnego kwiatu. Wreszcie dotarł do końca wiatrochronu, przystanął i popatrzył na rozciągającą się przed nim polanę. W świetle księżycy zobaczył kilka stodół, kurników, zagrodę w kształcie litery L i duży dom. Tej nocy miał fart: dom był tylko jeden.

Przyjrzał się parkującym na skraju zagrody samochodom. Stał tam stary jeep cherokee, czarny, opływowy mercedes i równie duże czarne volvo kombi. Farma wyglądała skromnie i jej właściciela raczej nie stać było na utrzymanie dwóch nowych, drogich samochodów. Na tej podstawie Jon wysnuł wniosek, że Elizondo ma spotkanie nie z jednym, lecz z kilkoma członkami Tarczy Półksiężycy.

Gdy Bask stanął przed domem, drzwi te otworzyły się, zanim zdążył zapukać. Elizondo zawahał się,

wziął krótki oddech i zniknął w środku. Jon wychynął zza drzew i pobiegł do oświetlonego okna. Usłyszawszy głośny chrzęst żwiru, gwałtownie skręcił i z napiętymi jak postronki nerwami legł za pniem starego dębu. Chrząst dobiegł z lewej strony.

Zza rogu wyszedł mężczyzna o ciemnej, pobrużdżonej zmarszczkami twarzy. Cichy i zwinny, w białych arabskich szatach wyglądał jak duch. Przystanął ledwie sześć metrów od dębu i z brytyjskim karabinem szturmowym L24A1 w ręku popatrzył w noc. Robił wrażenie człowieka obeznanego z bronią, człowieka, który wie, czym jest pustynia. Był wojownikiem, lecz nie Arabem, Tauregiem czy Berberem. Mógł należeć do nomadów, do szczepu Fulani, którzy władali niegdyś południowym skrajem Sahary.

Zza przeciwległego, odleglejszego rogu wyszedł inny mężczyzna, ze starym kałasznikowem w ręku. Ruszył w stronę zagrody.

Kuląc się za dębem, Jon mocniej ścisnął rękojeść sig sauera. Wiedział, że ten z kałasznikowem minie go w odległości najwyżej trzech metrów. W tej samej chwili wysoki Beduin powiedział coś po arabsku. Mężczyzna z kałasznikowem odpowiedział i przystanął tak blisko, że Smith poczuł bijący od niego zapach cebuli i kardamonu. Tamci rozmawiali, a on jeszcze bardziej rozpląszczył się na ziemi.

Nagle rozmowa ustała. Mężczyzna z kałasznikowem zawrócił, minął oświetlone okno, do którego zamierzał podejść Smith, i zniknął za domem, pewnie po to, żeby sprawdzić sytuację na innym posterunku. Beduin w białych szatach wciąż stał nieruchomo jak posąg. Jego głowa obracała się powoli jak antena radaru, oczy przenikały mrok - nie zdając sobie z tego sprawy, uniemożliwiał Smithowi dostęp do domu. Tak samo czuwali pewnie pustynni wojownicy, gdy stojąc na wysokiej wydmie, wypatrywali obcych wojsk, które nieopatrznie za-puściły się na ich teren.

W końcu ruszył w stronę zagrody. Czujny i gotowy do natychmiastowego działania, uważnie obejrzał kurniki i samochody, zawrócił i nieustannie lustrując wzrokiem okolicę, do-82

tarł do frontowych drzwi. Otworzył je i zniknął w środku. Był to niezwykle pokaz dobrej strażniczej roboty. I ostrzeżenie. Przed takimi jak ci dwaj niewiele się ukryje.

Smith odczołgał się do tyłu i ponownie wpełzł między drzewa wiatrochronu. Zatoczył

w chaszczach szeroki łuk, wyszedł na skraj linii drzew i przez otwartą przestrzeń puścił się biegiem. Od tyłu dom był słabiej oświetlony, miał mniej okien - tylko trzy, wszystkie zakratowane. Dziewięć, dziesięć metrów od ściany Jon legł na plecach i z pistoletem przy piersi poczołgał się do tego po lewej stronie. Po nocnym niebie przemykały chyłkiem szare chmury, w plecy wrzynały mu się ostre kamienie. Zacisnął zęby.

Pod ścianą wstał i rozejrzał się wokoło w poszukiwaniu strażnika z kałasznikowem.

Nigdzie go nie było. Zmrużył oczy, przeczesał wzrokiem okolicę, usłyszał przyciszone głosy i zobaczył dwa ogniki papierosów. Stali na łące za domem, a za nimi majaczyły pękate sylwetki trzech

śmigłowców. Tarcza Półksiężycyca była nie tylko dobrze zorganizowana, ale i świetnie wyposażona.

Innych strażników nie dostrzegł. Podpełził jeszcze bliżej, ostrożnie wstał i zajrzał do okna. Nie zobaczył nic niezwykłego: oświetlony pokój, otwarte drzwi, za drzwiami drugi pokój. W tym drugim, w fotelu z twardym oparciem, siedział Elizondo. Nerwowym spojrzeniem śledził krążącego po pokoju mężczyznę, który to pojawiał się w drzwiach, to znikał.

Niski i przysadzisty, był w kosztownym, nienagannie skrojonym angielskim garniturze.

Miał pulchną, okrągłą i... zagadkową twarz. Mimo garnituru na pewno nie był Anglikiem, lecz Jon w żaden sposób nie potrafił sklasyfikować go etnicznie. Miał zbyt ciemną skórę jak na mieszkańca pomocnej Europy i zbyt jasną, żeby być Włochem czy Hiszpanem. Na pewno nie pochodził też z Dalekiego Wschodu ani z Polinezji. Afganistan? Azja Środkowa? Paki-stan? Nie, też nie. Przypomniawszy sobie Beduina w białych arabskich szatach, który czuwał

przed domem nieruchomości jak posąg, Smith doszedł do wniosku, że ten mężczyzna może być Berberem.

Wyteżył słuch i doszły go odgłosy wielojęzycznej rozmowy. Francuski mieszał się z hiszpańskim, hiszpański z angielskim i baskijskim. „Mauritania...” „Nie żyje...” „Koniec kłopotów...” „Znakomicie”. „W rzece. ..” „Możesz na to liczyć”. I wreszcie: „Ufam ci”. Ostatnie zdanie wypowiedział po hiszpańsku Elizondo, wstając z fotela.

Niski, przysadzisty mężczyzna w angielskim garniturze przestał krążyć po pokoju, przystanął i wyciągnął do niego rękę. Bask ją uściśnął. Wyglądało to tak, jakby po przyjacielsku dobili targu. Elizondo wyszedł i Jon usłyszał trzask otwieranych i zamykanych drzwi.

Mauritania - pomyślał. Rozmawiali o kimś, kto pochodzi z Mauretanii? Możliwe. Słowo to wypowiedział Elizondo, tonem świadczącym, że wypowiada je chętnie i z przyjemnością.

A może Mauretania jest główną siedzibą Tarczy Półksiężycyca albo Czarnego Płomienia?

Wciąż myśląc o Basku i jego rozmówcy, Smith przypadł do ziemi i tuż przy mrocznej ścianie domu powoli podszedł do drugiego okna. Zajrzał do środka.

Ten pokój był mały i prawie pusty, ot, zwykła sypialnia z prostym żelaznym łóżkiem.

Pościel, stolik nocny, krzesło, drewniana taca z nietkniętym jedzeniem. I jakiś hałas. Dochodził z boku, z lewej strony. Jakby ktoś szurał krzesłem. Jon przesunął się w prawo i usłyszał

kroki.

Kroki zbliżały się w stronę łóżka, ciężko i powoli. Zalała go fala podniecenia. Teresa Chambord! Bał się, że nie żyje, tak samo jak jej ojciec. Był tak podekscytowany, że na chwilę odebrało mu oddech.

Miała na sobie ten sam biały zakiet, w którym widział ją tuż przed uprowadzeniem, lecz teraz

widniały na nim brudne smugi, a jeden rękaw był rozerwany. Jej śliczna twarz też była brudna i posiniaczona, długie, czarne włosy zmierzwione. Od uprowadzenia w Paryżu minęły dwadzieścia cztery godziny i sądząc po jej wyglądzie, musiała wielokrotnie stawiać opór po-rywaczom. Miała mocno postarzałą twarz, jakby ostatnia doba odebrała jej młodość i entuzjazm.

83

Usiadła ciężko na brzegu łóżka. Z odrazą odepchnęła tacę z jedzeniem, pochyliła się do przodu, podparła łokciami i zrozpaczona ukryła twarz w dłoniach.

W obawie przed strażnikami Smith zlustrował wzrokiem noc, ale usłyszał jedynie ciche westchnienie wiatru w pobliskim lesie. Chmury przesłoniły księżyc i nad farmą zapadła ciemność. Mrok był teraz najlepszym kamuflażem.

Chciał zastukać w szybę i... ręka zawisała mu w powietrzu. Otworzyły się drzwi i do sypialni wszedł mężczyzna, który rozmawiał z Elizondem w sąsiednim pokoju. Elegancki garnitur, spokojna, opanowana twarz, zdecydowane ruchy - typ przywódcy, człowiek, dla którego najważniejsze jest jego własne zdanie. Uśmiechał się, lecz był to uśmiech zimny i wyra- chowany, uśmiech omijający oczy. Jon przyjrzał mu się uważnie. Tak, ten człowiek był dla Basków i ludzi z Tarczy Półksiężycy kimś bardzo ważnym.

Tuż za nim ukazał się drugi mężczyzna. Smith wytrzeszczył oczy. Ten drugi, dużo starszy, miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu. Był mocno pochylony, przygarbiony, jakby przez całe życie rozmawiał z niższymi od siebie, jakby spędził je przy biurku albo... przy stole laboratoryjnym. Lekko po sześćdziesiątce, miał czarne, rzadkie, mocno przyprószone siwizną włosy, szczupłą, pociągłą i kanciastą twarz. Tę twarz, tę pochyloną sylwetkę Smith znał jedynie ze zdjęć od Freda Kleina, lecz od chwili zamachu na Instytut Pasteura w Paryżu wiedział, że zapamięta ją do końca życia.

Teresa Chambord gwałtownie podniosła wzrok. Prawą ręką pomacała na oślep za sobą i przytrzymała się żelaznej poręczy łóżka. Ona też była wstrząśnięta. W przeciwieństwie do wysokiego, pochylonego mężczyzny, gdyż ten, wyraźnie rozradowany i podekscytowany, szybko podszedł bliżej, pomógł córce wstać, objął ją i czule przytulił.

84

Rozdział 14

Lotniskowiec „Charles de Gaulle”, Morze Śródziemne

Dwieście mil morskich na południowo-południowy zachód od Tulu atomowy lotniskowiec „Charles de Gaulle” sunął bezszelestnie przez noc, wdzięczny, smukły, groźny jak mors ca bestia. Miał włączone tylko światła pozycyjne. Dwa reaktory atomowe typu K15

nadawały mu stałą prędkość dwudziestu siedmiu węzłów. Za rufą okrętu ciągnęła się świetli-sta, prosta jak strzała smuga spienionej wody.

„Charles de Gaulle” był najnowszym i największym nabytkiem -a raczej uzupełnieniem

- floty Europy Zachodniej i każdy, kto mógłby widzieć go tego środowego wieczoru, na pewno by zauważył, że na pokładzie dzieje się coś ważnego. Wysoko nad okrętem krążyło dziesięć myśliwców Rafale M i trzy samoloty systemu wczesnego ostrzegania E-2C Hawkeye, a peł-

niąca służbę załoga, czuwająca przy wyrzutniach pocisków ziemia-powietrze typu Aster 15 i przy ośmiu sprzężonych karabinach maszynowych Giat 20F2 kaliber 20 mm, była w pełnym pogotowiu.

Pod pokładem, w małej, ustronnej sali konferencyjnej pięciu wojskowych z generalski-mi szlifami największych armii europejskich z różnym zainteresowaniem słuchało ich gospodarze, który był nie tylko generałem armii francuskiej, ale i zastępcą naczelnej 50 dowódcy Po-

łączonych Sił Zbrojnych NATO w Europie. Generał hrabia Roland la Porte, rosły, potężnie zbudowany i po królewsku wyniosły, stał przed wielką mapą Europy i patrzył na kolegów nieruchomymi bładniebieskimi oczami.

Postukał wskaźnikiem w mapę.

- Panowie, oto nowe konsorcja europejskie zajmujące się produkcją najbardziej za-awansowanych systemów uzbrojenia.

Ku swej irytacji, zwracał się do nich po angielsku, co było obrażą dla francuskiego, historycznego języka dyplomatów, ojczystego języka zachodniej cywilizacji. Ale nie miał wyboru, ponieważ ponad połowa wojskowych przywódców z krajów zrzeszonych w Unii Europejskiej znała francuski słabo albo wcale.

Dlatego po angielsku, acz z wyraźnym francuskim akcentem kontynuował:

- BAE Systems w Wielkiej Brytanii. EADS we Francji, Niemczech i Hiszpanii. Fin-meccanica we Włoszech. Thales we Francji i Wielkiej Brytanii. Astrium w Szwecji; jak wiecie, firmę tę utworzyły wspólnie BAE i EADS. European Military Aviation w Wielkiej Brytanii i we Włoszech. Nawiązawszy współpracę ze sobą oraz z innymi spółkami, konsorcja te zaprojektowały i wyprodukowały wielozadaniowy myśliwiec Eurofighter, wojskowy śmigłowiec transportowy NH-90, śmigłowiec szturmowy Tiger, samonaprowadzający się pocisk Stormshadow oraz pocisk klasy powietrze-powietrze Meteor. Trwają rozmowy, oby jak naj-owocniejsze, na temat projektu budowy globalnego systemu nawigacji satelitarnej Galileo i napowietrznego systemu dowodzenia siłami naziemnymi Sostar.

Żeby zaakcentować wagę tych słów, La Porte uderzył wskaźnikiem w otwartą dłoń.

- Na pewno zgodzicie się ze mną, że lista ich dokonań jest wielce imponująca. Jeśli do-damy do niej polityczne wsparcie dla dalszych badań w ramach wspólnego europejskiego programu militarnego, w niczym nieustępującego programom waszyngtońskim, sprawa jest chyba oczywista.

W sali konferencyjnej zapadła cisza i generałowie wymienili niepewne spojrzenia.

Wreszcie głos zabrał sir Arnold Moore, brytyjski generał brygady.

86

- Rolandzie, widzę, że chciałbyś zwiększyć europejską wymianę handlową kosztem wymiany ze Stanami Zjednoczonymi. Ale nie bardzo rozumiem w jakim celu. - Moore mówił

oschłym, bardzo angielskim głosem. Miał pokryte pajęczyną zmarszczek policzki, wysokie czoło i długi, wąski, orli nos, w którym znajdują angielską historię dopatrzyliby się znacznego podobieństwa do nosa króla Henryka V z dynastii Lancasterów.

La Porte popatrzył na niego z aprobatą. Te słowa bardzo przypadły mu do gustu; miał

nadzieję, że ktoś je wypowie.

- To bardzo proste, sir Arnoldzie. Wierzę, że możemy i musimy mieć własne, w pełni zintegrowane europejskie siły zbrojne, siły tak potężne, żebyśmy mogli obejść się bez pomocy Amerykanów. Żebyśmy mogli stać się od nich niezależni, całkowicie i bez reszty. Uwa-

zam, że jesteśmy gotowi objąć należną nam rolę. Rolę europejskich przywódców.

Podczas gdy Brytyjczyk z powątpiewaniem pokręcił głową, hiszpański generał Valentin Gonzales podejrzliwie zmrużył oczy. Był wytwornym, śniadym mężczyzną w zawadiacko przekrzywionej czapce.

- Ma pan na myśli stworzenie armii większej niż sześćdziesiąt tysięcy armia, którą dysponujemy obecnie w ramach sił szybkiego reagowania? Przecież armia ta jest już pod kontrolą Unii Europejskiej. Czyż nie jest to załączek tego, co pan proponuje?

- *Non!* - odparł szorstko La Porte. - To za mało. Siły szybkiego reagowania są wykorzystywane w akcjach humanitarnych, w misjach pokojowych i ratowniczych, ale nawet w tych misjach nie mogą obejść się bez amerykańskiej broni, bez ich systemów wspierających i telekomunikacyjnych. Poza tym siły te są zdecydowanie za małe, żeby rozwiązać poważny lub groźny problem. Nie, panowie. Mnie chodzi o pełną integrację systemów militarnych wszystkich państw-członków Unii Europejskiej, o dwa miliony żołnierzy, którzy stworzyliby samowystarczalną armię, flotę i siły powietrzne.

- Ale po co, Rolandzie? - spytał sir Arnold. Złożył ręce na piersi i zmarszczył czoło. -

W jakim celu? Czyż nie jesteśmy już sojusznikami, członkami NATO? Czyż nie współpracujemy ze sobą dla dobra pokoju na świecie? Owszem, tak, często ze sobą rywalizujemy, ale czyż nie mamy wspólnych wrogów?

- Nasze interesy nie zawsze są zbieżne z interesami Stanów Zjednoczonych. - La Porte podszedł bliżej, górując nad nimi jak wzbudzający grozę wielkolud. - Mało tego - kontynuował. - Moim zdaniem nasze interesy są obecnie zupełnie różne, o czym od kilku lat staram się przekonać Unię. Europa była i jest zbyt wielka, żeby pełnić rolę podrzędnego satelity Stanów Zjednoczonych.

Sir Arnold stłumił chichot.

- Powiedz to Francji, Rolandzie. Parowe katapulty i liny przechwytyjące tego wspania-

łego lotniskowca, tego futurystycznego okrętu, na pokładzie którego gościmy, pochodzą z Ameryki, ponieważ nikt inny nie jest w stanie ich wyprodukować. Samoloty systemu wczesnego ostrzegania, które nad nami latają, też pochodzą ze Stanów. Nie sądzisz, że to drobna przeszkoda?

Włoski generał Ruggiero Inzaghi uważnie się przysłuchiwał. Miał duże, czarne, twarde jak krzemień oczy i szerokie zacięte usta. Dotychczas patrzył na La Porte'a, teraz przeniósł

wzrok na Anglika.

- Moim zdaniem generał La Porte ma rację - powiedział. - Amerykanie często zbywają nas i nasze najpilniejsze i mniej pilne potrzeby, zwłaszcza gdy nie pokrywają się z tym, czego chcą.

Generał Valentin Gonzales pokiwał palcem.

- Ruggie, czyżbyś miał na myśli wasze albańskie kłopoty sprzed kilku lat? Jeśli dobrze pamiętam, nie tylko Stany Zjednoczone nie interesowały się tak mało istotnym problemem.

Europa była równie obojętna jak one.

- Dysponując w pełni zintegrowaną europejską armią, wspieralibyśmy się wzajemnie 87

we wszystkich sprawach.

- Podobnie jak Stany Zjednoczone, które niegdyś rywalizowały ze sobą do tego stopnia, że rozpętały okrutną wojnę domową- wtrącił generał La Porte. - Wciąż się w niektórych kwestiach nie zgadzają, ale w sprawach naprawdę ważnych zawsze mówią jednym głosem.

Zauważcie, panowie, że europejska gospodarka jest o jedną trzecią bogatsza niż gospodarka USA, że większość naszych obywateli korzysta z lepszej opieki medycznej i socjalnej niż Amerykanie. Jest nas więcej, jesteśmy bogatsi. Mimo to nie potrafimy przeprowadzić praktycznie żadnej operacji militarnej bez ich pomocy, czego bolesnym przykładem była nasza niemożność skutecznego działania podczas kryzysu bałkańskiego. Po raz kolejny musieliśmy pojechać do Waszyngtonu z kapeluszem w rękę. To zbyt poniżające. Czy mamy po wsze czasy pozostać ubogim kuzynem kraju, który zawdzięcza nam swoje istnienie?

Jedynym wojskowym, który dotąd nie zabrał głosu, woląc patrzeć i słuchać, był generał

Bundeswehry Otto Bittrich. Na jego pociągłej, wychudzonej twarzy jak zwykle gościł wyraz głębokiego zamyślenia. Włosy miał już prawie siwe, lecz cerę rumianą i młodzieńczą. Odchrząknął i z istic pruską surowością w głosie powiedział:

- Kosowo jest miejscem, w którym na przestrzeni ostatnich kilkuset lat życie straciły miliony Europejczyków. - Powiódł wokoło wzrokiem. - To rejon bardzo niespokojny, rejon zagrażający naszym interesom. Bałkany to beczka prochu, wszyscy o tym wiedzą. Mimo to, kiedy trzeba było zapanować nad sytuacją i doprowadzić Europę do stabilizacji, nie kto inny jak właśnie Amerykanie musieli dostarczyć do Kosowa osiemdziesiąt pięć procent broni, sprzętu i wyposażenia. - Zirytowany Niemiec podniósł głos. - Tak, państwa członkowskie Unii dysponują dwoma milionami żołnierzy, w pełni operacyjnymi siłami powietrznymi i znakomitą, gotową do walki flotą, ale cóż z tego? Żołnierze ci stacjonują w domu, patrolując przestrzeń między swoimi palcami u nóg! Są bezużyteczni! *Ja*, moglibyśmy cofnąć się w czasie i ponownie wziąć udział w drugiej wojnie światowej. Moglibyśmy nawet zniszczyć kilka miast bombami atomowymi. Ale w wojnie nowoczesnej? W wojnie nowoczesnej, jak słusznie zauważył generał La Porte, bez Amerykanów nie jesteśmy w stanie przetransportować ani wojsk, ani sprzętu. Nie jesteśmy w stanie w takiej wojnie walczyć! Nie dysponujemy zaple-czem planistyczno-logistycznym. Nie dysponujemy odpowiednimi strukturami dowódczymi.

Jeśli zaś chodzi o sprzęt elektroniczny, o samą strategię działania, w porównaniu z Amerykanami żyjemy w epoce plejstocenu! Mnie wprawia to wszystko w zażenowanie. A was, panowie? Sir

Arnold nie ustępował.

- A czy potrafilibyśmy w takiej armii się dogadać? - rzucił lekko i obojętnie. - Czy potrafilibyśmy wspólnie planować? Czy potrafilibyśmy zunifikować nasze systemy łącznościowe? Spójrzmy prawdzie w oczy, przyjaciele: nie tylko interesy Amerykanów różnią się od nas. My też się ze sobą nie zgadzamy, zwłaszcza w polityce. A bez wspólnej, zwartej i konsekwentnej polityki żadne siły zbrojne nie powstaną.

Wyraźnie poirytowany generał Inzaghi usiadł prosto i sztywno.

- Co do dogadywania się, sir Arnoldzie; może nasi politycy mają z tym trudności, ale zapewniam pana, że żołnierze radzą sobie znakomicie. Siły szybkiego reagowania stacjonują już pod Mostarem w Bośni. Dywizja Salamandra, siedem tysięcy Włochów, Francuzów, Niemców i Hiszpanów. Dowodzi nimi rodak generała La Porte'a, generał Robert Meille.

- Nie zapominajmy też o Korpusie Europejskim - dodał generał Gonzales. - Pięćdziesiąt tysięcy Hiszpanów, Niemców, Belgów i Francuzów. ..

- Obecnie pod dowództwem Bundeswehry — wtrącił z satysfakcją generał Bittrich.

- Tak, to prawda. - Inzaghi kiwnął głową. - Wielonarodowe siły, włoskie, hiszpańskie, francuskie i portugalskie, siły skupione pod jednym dowództwem, strzegą wybrzeża Morza Śródziemnego.

88

W miarę jak padały nazwy kolejnych krajów, stawało się coraz bardziej oczywiste, którego kraju wśród nich brakuje. W ciężkiej ciszy, która zapadła w sali, nikt nie wspomniał, że Brytyjczycy biorą udział we wspólnych operacjach militarnych tylko z Amerykanami, gdyż w towarzystwie Amerykanów, jako drugi pod względem liczebności kontyngent wojskowy, zawsze mogą liczyć na to, że będą co najmniej ich pierwszymi zastępcami.

Sir Arnold tylko się uśmiechnął. Był żołnierzem, ale i wytrawnym politykiem.

- A jak wyobrażacie sobie panowie strukturę tej nowej paneuropejskiej armii? Poskleja-ne ze sobą kawałki? Jak w dziecinnej wydzierance? Trudno to nazwać unifikacją.

La Porte zawahał się i starannie dobierając słowa, odparł:

- Dokładną strukturę takiej armii musielibyśmy oczywiście wypracować. Widzę tu co najmniej kilka możliwości, Arnoldzie. Naturalnie chcielibyśmy, żeby Wielka Brytania wniosła pełny wkład...

- Moim zdaniem - przerwał mu Otto Bittrich - powinny to być scentralizowane, w pełni zintegrowane

siły zbrojne, niepodlegające decyzjom władz politycznych żadnego kraju. Krót-ko mówiąc, powinna to być całkowicie niezależna europejska armia pod wspólnym, regularnie zmieniającym się dowództwem, armia, która nie podlegałaby żadnemu państwu, tylko Parlamentowi Europejskiemu. Wszystkie państwa członkowskie mają w nim swoich przedstawicieli. Decyduje większość i większość sprawowałaby kontrolę polityczną nad ar-mią. Inne rozwiązanie nie widzę.

Generał Gonzalez był wyraźnie zatroskany.

- Mówi pan o czymś więcej niż o zwykłej armii, panie generale - rzekł po angielsku z silnym hiszpańskim akcentem. - Mówi pan o zjednoczonej Europie, a dla niektórych z nas zjednoczenie to nie to samo co unia.

- Europa zmilitaryzowana - wtrącił zjadliwie sir Arnold - na pewno przyczyniłaby się do powstania Europy zjednoczonej.

Bittrich i La Porte pogardliwie machnęli ręką.

- Proszę nie przekreślać moich słów - odparł gniewnie Niemiec. - Chodzi mi o kwestie natury wojskowej, nie politycznej. Pod względem handlowym i geograficznym Europa ma wiele wspólnych interesów, które dla Stanów Zjednoczonych znaczą tyle co nic. A nawet, coraz częściej bywa, że interesy te są sprzeczne z ich interesami. Kraje zrzeszone w Unii Europejskiej dzielą ze sobą wszystko, od waluty poczynając, na przepisach dotyczących ptaków wędrownych kończąc. Nadszedł czas, żeby miały również wspólną armię. Nadszedł czas uniezależnić się od tych cholernych Amerykanów!

- Głęboko wierzę - powiedział z chrapliwym śmiechem generał La Porte - a przyznacie panowie, że nikomu nie zależy bardziej na zachowaniu tożsamości narodowej niż Francuzowi, zwłaszcza Francuzowi takiemu jak ja, mimo to głęboko wierzę, że prawdziwie zjednoczo-na Europa musi się kiedyś narodzić. Może dojdzie do tego za tysiąc lat, ale to nieuniknione.

Jednakże bardzo wątpię, czy zjednoczenie naszych armii by ten proces przyspieszyło.

- Cóż... - Anglik nie silił się już na uprzejmość. - Wielka Brytania podchodzi do tej kwestii jasno i konkretnie. Nie chcemy europejskich insygniów na czapkach. Nie chcemy europejskiej flagi. Żadnych takich. Jeśli wystawimy kontyngent w ramach sił szybkiego reagowania czy w ramach samodzielnej armii, będzie to kontyngent wyłącznie pod brytyjskim do-wództwem, stworzony na prośbę premiera. - Wziął gniewny oddech i spytał: - Poza tym skąd pochodziłyby pieniądze na samoloty transportowe, których potrzebowałaby armia działająca bez pomocy USA? Skąd pochodziłyby pieniądze na okręty transportowe, samoloty bojowe, na systemy łączności, sterowaną laserowo amunicję, elektroniczne systemy zagłuszające, na system planistyczny, na nowoczesne struktury dowódcze? Na pewno nie z Wielkiej Brytanii!

- Pieniądze będą, sir Arnoldzie - odparł z przekonaniem generał La Porte. - Potrzeba stworzenia takiej armii stanie się wkrótce oczywista, a wówczas nawet politycy nie będą mogli uciec od przyszłości. Gdy zrozumieją, że stawką jest los Europy, pieniądze znajdą się na 89

pewno.

Sir Arnold przeszył go wzrokiem.

- Czyżby przewidywał pan, że może dojść do wojny między Europą i Stanami Zjednoczonymi?

W sali konferencyjnej zapadła cisza. Generał La Porte zmarszczył czoło i zaczął nerwowo chodzić tam i z powrotem. Mimo swej tuszy i wzrostu, poruszał się zwinnie, z wdzię-

kiem.

- Europa już toczy wojnę z Ameryką - odparł. - Toczy ją we wszystkich aspektach życia codziennego i gospodarczego, toczy ją wszędzie, tylko nie na polu walki. Na polu walki wojny z Amerykanami toczyć nie możemy. Jesteśmy zbyt zależni od ich systemów, od sprzętu, a nawet od najnowocześniejszej broni. Mamy żołnierzy i broń, której bez pomocy Waszyngtonu nie potrafimy przetransportować ani w pełni wykorzystywać. - La Porte stanął i nieruchomymi oczami powiódł po twarzach generałów. - Panowie, co by się stało, gdyby Europa znalazła się w ostrym konflikcie z Rosją albo z Chinami i gdyby amerykańskie systemy wojskowe, od których nasze armie są tak bardzo uzależnione, nagle zawiodły? Co by się sta-

ło, gdyby Waszyngton stracił kontrolę nad swoimi strukturami dowódczymi i systemami operacyjnymi? W jakiej sytuacji byśmy się znaleźli? Jeśli z jakiegoś powodu Amerykanie staliby się nagle bezbronni, choćby na krótki czas, bezbronni stalibyśmy się i my. Nawet bar dziej niż oni.

Sir Arnold podejrzliwie zmrużył oczy i zmarszczył skórzaste czoło.

- Czyżbyś wiedział o czymś, o czym my nie wiemy, Rolandzie?

Roland la Porte wytrzymał jego spojrzenie.

- Wiem dokładnie tyle samo co wy, sir Arnoldzie. Twoja sugestia mnie obraża. Jeśli któryś z nas wie więcej, to chyba ty. W przeciwieństwie do Anglików Francuzi nie utrzymują

„specjalnych stosunków” z Amerykanami. Ale wczorajszy atak na amerykańską sieć energetyczną mógłby skończyć się o wiele tragiczniej, co tylko potwierdza moją tezę.

Generał Moore przyglądał mu się przez co najmniej pół minuty. I nagle jakby pomyślał

o czymś innym. Odprężył się, uśmiechnął i wstał.

- Moim zdaniem nie mamy tu już nic więcej do roboty. A jeśli chodzi o los i przyszłość Europy, Wielka Brytania uważa, że przyszłość ta jest nieodłącznie związana z przyszłością Stanów Zjednoczonych, podoba nam się to czy nie.

- No tak, oczywiście - odrzekł La Porte z pozbawionym wesołości uśmiechem. - Koncepcja Orwella,

co?

Generał Moore gwałtownie poczerwieniał, przeszył Francuza spojrzeniem, odwrócił się na pięcie i wymaszerował z sali. Generał Inzaghi podejrzliwie zmrużył oczy.

- O co tu chodzi? - spytał. - Jakiego Orwella?

- George'a. W jego powieści *Rok 1984* Anglia była szczęśliwie i po wsze czasy zjednoczona ze Stanami, z którymi utworzyła panamerykańsko-brytyjski twór zwany Oceanią. Europa zjednoczyła się z Rosją, tworząc Eurazję. To, co pozostało, Chiny, Indie, Azja Środkowa i Daleki Wschód, utworzyły Wschódazję. Osobiście uważam, że Anglia jest nadal zjednoczona z Ameryką i musimy dawać sobie radę bez nich.

- Ale jak? - spytał generał Gonzales. - Konkretnie jak?

La Porte miał na to gotową odpowiedź.

- Musimy przekonać nasze państwa i delegatów do Parlamentu Europejskiego, że militaryzacja Europy jest jedynym sposobem na zachowanie naszej tożsamości. I wielkości. Że takie jest nasze przeznaczenie.

- Mówi pan o wzorcach, o teoretycznych zasadach funkcjonowania takiej armii, tak, generale? - spytał Gonzales.

- Oczywiście, Valentin. - La Porte miał rozmarzone oczy. - Jestem idealistą, to prawda. Ale nad wcieleniem tych ideałów w życie musimy pracować już dzisiaj. Jeśli Amerykanie 90

nie potrafią ochronić swoich sieci energetycznych, w jaki sposób ochronią nasze? Pora się przegrupować i stanąć na własnych nogach.

Kapitan Darius Bonnard patrzył jak w ciemne niebo wzbija się ostatni z pięciu generałskich śmigłowców, maszyna generała Inzaghi. Nocny wiatr był słony, rześki i ożywczy; kapitan oddychał głęboko, wsłuchując się w dudniący furkot wirników.

Wielki ptak leciał na północ, w kierunku włoskiego wybrzeża. Gdy znalazł się w bezpiecznej odległości, „Charles de Gaulle” skręcił i zatoczywszy długi łuk, wziął kurs powrotny na Francję, na Tulon. Bonnard wciąż patrzył za śmigłowcem, chociaż jego światła rozmyły się już w mroku, a warkot silników ucichł.

Może nie tyle patrzył, ile rozmyślał o naradzie generałów, która była wielce pouczająca.

Przez cały czas siedział na końcu sali konferencyjnej i nie rzucając się w oczy, uważnie słuchał.

Sugestywne argumenty generała La Porte'a, namawiającego do militarnej integracji Europy, bardzo mu się podobały, podobało mu się również to, że większość generałów myśli tak samo jak La Porte. Niepokoiła go jedynie sugestia sir Arnolda Moore'a, że generał wie więcej o awarii amerykańskich systemów elektronicznych, niż było powszechnie wiadomo.

Bonnard przeczuwał kłopoty. W zamyśleniu skubnął dolną wargę. Sir Arnold Moore...

Ten angielski buldog, ten pionek w rękach Amerykanów, był uparty i popadał w zbyt wielką paranoję. Słowa La Porte'a podrażniły jego angielską czujność i bez wątpienia zamierzał donieść o tym premierowi, Ministerstwu Wojny i MI-6. Trzeba temu zapobiec, i to szybko.

Kapitan spojrział w dal. Odlatujące śmigłowce wyglądały jak cztery małe kropeczki. Sir Arnold Moore... To da się załatwić. Jeszcze tylko dwa dni. Dwa dni na ogarnięcie wszystkich aspektów zadania. Z jednej strony to już niedługo, z drugiej - za całą wieczność.

91

Rozdział 15

Toledo, Hiszpania

Emile Chambord przytulił pomarszczony policzek do czoła córki, zamknął oczy i coś wymamrotał, być może krótką modlitwę. Teresa tuliła się do niego, jakby wstał z martwych, bo w sumie tak było. Chambord pocałował ją w głowę i rozwścieczony spojrział na niskiego, krępego mężczyznę, który wszedł do pokoju jako pierwszy.

- Ty przeklęty potworze! - warknął.

- Jestem urażony - odparł tamten z miłym uśmiechem na okrągłej twarzy. - Myślałem, że ucieszy pana widok córki, ponieważ przez jakiś czas będzie pan nam towarzyszył. Był pan tak samotny, że bałem się, iż frustracja uniemożliwi panu dalszą pracę, co miałyby dla nas dość fatalne skutki.

- Wynoś się, Mauritania! Bądź chociaż na tyle przyzwoity, żeby zostawić mnie sam na sam z córką!

Mauritania, pomyślał Smith. A więc to nazwisko! Nazwisko tego krępego, pulchnego mężczyzny o fałszywym uśmiechu, mężczyzny opętanego jakąś wizją.

Mauritania wzruszył ramionami.

- Jak pan sobie życzy, panie profesorze. Córka musi być głodna. Zdaje się, że zapomniała o kolacji. - Zerknął na drewnianą tacę z nietkniętym jedzeniem. - Ponieważ załatwili-

śmy już co trzeba, niebawem coś zjemy. Serdecznie państwa zapraszamy. - Pochylił głowę i wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Szczęknął zamek.

Emile Chambord spojrział przez ramię, posłał mu gniewne spojrzenie, cofnął się o krok i położył ręce na ramionach Teresy.

- Niechaj ci się przypatrzę, córeczko. Dobrze się czujesz? Nic ci nie zrobili? Bo jeśli cię...

Przerwał mu huk wystrzałów. Długa seria z pistoletu maszynowego z drugiej strony domu. Zadudniły kroki, z trzaskiem otworzyły się frontowe drzwi. Doktor Chambord i jego córka odruchowo spojrzeli w stronę wyjścia, a potem popatrzyli na siebie. Teresa była przera-

żona, Chambord zatroskany i zaniepokojony. Zmarszczył czoło. Martwił się o córkę, nie o siebie. Twardy facet.

Smith nie miał pojęcia, co się dzieje, ale takiej okazji nie mógł przepuścić. Musiał ich stamtąd wydostać, i to natychmiast. Oboje przeżyli tyle, że nie daj Boże, poza tym niewykluczone, że bez Chamborda terroryści nie mogliby obsługiwać komputera molekularnego. Istniały dwie możliwości: albo go do tego zmusili, albo mieli innego eksperta i uprowadzili go, żeby nie mógł zbudować drugiej maszyny.

Tak czy inaczej, Smith musiał wyrwać naukowca z ich rąk. Szarpnął za kraty, żeby sprawdzić, czy nie da się ich wyważyć, i w tej samej chwili dostrzegła go Teresa.

- Jon! Co pan tu robi? - Podbiegła do okna i spróbowała je otworzyć. Szarpiąc się z uchwytem, zerknęła przez ramię na ojca. - To doktor Jon Smith, Amerykanin, przyjaciel doktora Zellerbacha. - Popatrzyła na framugę i przerażona wytrzeszczyła oczy. - Zabite gwoź-

dziami, nie dam rady otworzyć!

Za domem ponownie huknęły strzały. Jon cofnął ręce. Kraty były mocno osadzone w żelaznej ramie.

- Wyjaśnienia potem - powiedział. - Gdzie komputer?

- Nie wiem!

- Tu go nie ma - wychrypiał Chambord. - Co pan...

Nie było czasu na rozmowy.

- Cofnijcie się! - Jon podniósł pistolet. - Muszę przestrzelić ramę.

Teresa spojrzała na broń. Przeniosła wzrok na jego twarz i ponownie zerknęła na pistolet. Kiwnęła głową i odbiegła od okna.

Ale zanim Smith zdążył wypalić, gwałtownie otworzyły się drzwi i w progu stanął

Mauritania.

- Co to za krzyki? - Spojrzał w okno. Na Smitha. Popatrzyli sobie prosto w oczy. Mauritania wyszarpnął pistolet, rzucił się na podłogę, wypalił i wrzasnął: - Abu Auda! Tutaj! Tutaj!

Jon błyskawicznie przykucnął i kula roztrzaskała szybę. Chciał odpowiedzieć ogniem, ale gdyby wystrzelił na oślep, mógłby zranić Chambordów. Zaciśnął zęby, poczekał na drugi strzał tamtego, szybko wstał z sig sauerem w ręku i ostrożnie zajrzał do pokoju.

Ale pokój był już pusty, podobnie jak korytarz za szeroko otwartymi drzwiami. Teresa i Chambord znikli. Znalazł ich i równie szybko zgubił.

Podbiegł do sąsiedniego okna. Może zapędzili ich do drugiego pokoju? Ale w chwili gdy zajrzał do środka, by zobaczyć tylko pusty pokój, zza rogu wyszedł wysoki Fulani w długich białych szatach, z pistoletem maszynowym gotowym do strzału, a tuż za nim trzech uzbrojonych mężczyzn w burnusach. Zwinni i czujni, wyglądali i zachowywali się jak żołnierze podczas akcji bojowej.

Smith upadł na ramię, przetoczył się po ziemi, unikając gradu kul i odpowiedział

ogniem, dziękując Bogu za czarne chmury, które przesłoniły księżyc. Jeden z mężczyzn zgiął

się wpół i runął na piach, co rozproszyło uwagę jego towarzyszy. Jon wykorzystał to, wstał i puścił się biegiem w noc.

Zaświstały kule, spod nóg wytrysnęły fontanny ziemi i zielska. Biegł zygzakiem, szybciej niż kiedykolwiek w życiu. Strzelectwo wyborowe to coś więcej niż umiejętność trafiania do nieruchomego celu. Strzelectwo wyborowe to psychologia, to wykształcone odruchy, to doświadczenie i umiejętność przewidywania, co cel zrobi za chwilę. Chaotyczny bieg był do-brą obroną. Nieustannie zygzakując, w oddali zobaczył wiatrochron. Nareszcie.

Przyspieszył i tuż za pierwszymi drzewami rzucił się na ziemię. W nozdrza uderzył go zapach piżma, gnijących liści i mokrej ziemi. Przetoczył się przez ramię, przykucnął, wycelował i posłał w stronę ścigających go ludzi kilka kul, nie dbając o to, gdzie i kogo trafi. Ich przywódca, ten wysoki, i pozostali natychmiast przypadli do ziemi. Niewykluczone, że które-goś z nich ranił, ale sami byli sobie winni, bo biegli prosto na niego i miał ich jak na widelcu.

Wstał i popędził przez gęsty las, chcąc obejść dom i sprawdzić, kto rozpoczął tę strzelaninę. Biegając, nadśluuchiwał. Strzały padały sporadycznie, lecz co pewien czas rozbrzmiewała intensywna

kanonada. Ścigali go? Nie, a już na pewno nie przez las.

I wtedy to zobaczył. Przed domem rozpętało się prawdziwe pandemonium. Na ziemi le-

żeli rozplaszczeni ludzie, mierząc między drzewa. Co najmniej dwudziestu. W tej samej chwili za grubym dębem dostrzegł rozblask z luty i któryś z mężczyzn przeraźliwie krzyknął.

Ich przywódca, ten wysoki, w białym burnusie, wypadł na otwartą przestrzeń, wyrza-skując rozkazy. Przykucnął za ogrodzeniem dla koni, odwrócił się w stronę domu i krzyknął

coś po arabsku. Kilka sekund później w oknach zgasło światło i w aksamitnym mroku ożył

zdalnie sterowany reflektor zamontowany pod okapem po lewej stronie dachu. Smuga ja-skrawego światła musnęła podwórze i skraj lasu, a zaraz skupiła się na wielkim dębie.

Ponieważ leżący na piachu terroryści nie byli już oświetleni od tyłu, ich przywódca dał

rozkaz do ataku.

Zza dębu rozległa się długa, kąśliwa seria z broni automatycznej. Dwóch mężczyzn upadło, jęcząc i przeklinając, jeden trzymał się za rękę, drugi za ramię. Pozostali przypadli do ziemi i odpowiedzieli ogniem. Wszyscy oprócz ich przywódcy, który klęczał na otwartej przestrzeni, strzelał ze swego starego karabinu i klął po arabsku. Ponieważ ich uwagę przy-93

kuwał bezlitośnie oświetlony dąb, Jon podczołgał się bliżej, żeby zobaczyć, kto zza niego strzela.

Rozgarnąwszy gałęzie żarnowca, zobaczył sylwetkę człowieka, który klęcząc za drzewem, zmieniał właśnie magazynek w automatycznym pistolecie maszynowym Heckler & Koch MP5K. Ponieważ reflektor oświetlał jedynie przód i bok dębu, za szerokim pniem panował gęsty mrok, mimo to po raz trzeci tej nocy Jon doznał silnego wstrząsu: była to brzydka, ciemnowłosa kobieta, którą poprzedniego dnia widział przed Instytutem Pasteura w Pary-

żu, kobieta, która nie zwracając na niego uwagi, przeszła później tuż przed jego stolikiem w ulicznej kawiarence.

Już nie miała na sobie szmat i łachmanów. Była teraz w czarnym, obcisłym jednoczę-

ściowym kombinezonie, w czarnej czapce i mocnych czarnych butach. No i - co dziwne - była teraz o wiele szczuplejsza, co wyraźnie sprzyjało temu, co właśnie robiła. Spokojnie i z zimnym opanowaniem, jak na strzelnicy, łagodnym łukiem powoli przesuwiała lufę broni, oddając co chwilę po trzy starannie mierzone strzały. Robiła to bardzo dokładnie, jednocześnie z kontrolowanym luzem, instynktownie, jakby długo ćwiczyła i miała to we krwi, co bardzo mu za-imponowało. Posłała w mrok kolejne trzy kule, a słysząc czyjś przeraźliwy krzyk, wychylnęła zza dębu i pobiegła w głąb lasu.

Smith popędził za nią, szybko, lecz ostrożnie, tuż przy ziemi, zaintrygowany nie tylko tym, że walczą po tej samej stronie barykady, ale i tym, że dostrzegł w niej coś znajomego, coś, co nie miało nic wspólnego z wydarzeniami tego i poprzedniego dnia. Jej opanowanie, umiejętności, jej sylwetka, to, że instynktownie potrafiła zaryzykować, zachowując przy tym mechaniczną wprost precyzję działania... Odpowiedni ruch w odpowiednim czasie.

Ponownie przypadła do ziemi, tym razem za kępą krzaków. W tym samym momencie doszedł go huk wystrzałów i seria głośnych przekleństw: terroryści dotarli do dębu i stwierdzili, że nikogo tam nie ma.

Leżąc nieruchomo za pniem topoli, Jon wyteżył wzrok. Znał tę kobietę, był o tym coraz bardziej przekonany. Miała inną twarz, inne włosy, a jednak... To kształtne ciało w obcisłym kombinezonie, sposób trzymania głowy, te silne, pewne ręce. Tak, znał ją. To musiała być ona. Tylko na miłość boską, co ona tu robiła? CIA. Interesowała się tym CIA. Chryste, przecież to Randi Russell!

Uśmiechnął się lekko. Bez względu na to, w jakich okolicznościach ją widywał, zawsze intrygowała go i fascynowała. Pewnie dlatego, że była bardzo podobna do swojej siostry, do Sophii. A przynajmniej tak to sobie tłumaczył, dobrze wiedząc, że nie jest ze sobą do końca szczerzy.

Z wyrazem gniewu i desperacji na twarzy zerknęła przez ramię, planując kolejny ruch.

Będzie musiał jej pomóc, chociaż zdawał sobie sprawę, że jeśli w ogóle przeżyją, Randi przeszkodzi mu w śledztwie. W sumie już mu przeszkodziła. Ale sama nie miała szans wyjść z te-go cało.

Terroryści zmienili taktykę i zamiast przypuścić frontalny atak, zaczęli ją okrążyć. Jon słyszał, jak z lewej i prawej strony przebijają się przez ciemny las. Randi rozejrzała się nerwowo, coraz bardziej spięta. Pułapka powoli się zamykała.

Spomiędzy drzew wychynął jeden z terrorystów. Nadeszła pora przypomnieć Arabom, że mają do czynienia nie z jednym, lecz z dwoma przeciwnikami.

Smith odkręcił tłumik, wymierzył i pociągnął za spust. W cichym, spokojnym lesie wystrzał zabrzmiał jak ogłuszający grzmot. Człowiek w burnusie runął do tyłu, chwytając się za uzbrojone ramię. Po jego prawej stronie wyrósł nagle inny i znieruchomiał, nie zdając sobie sprawy z niebezpieczeństwa. Jon wypalił ponownie. Przerażliwy krzyk, trzask gałęzi, tupot nóg, gniewny głos ich przywódcy. Niemal jednocześnie wypaliła Randi, mierząc w napastników atakujących z drugiej strony, których ze swojej pozycji Smith nie widział.

Buchnął wrzask, rozległ się jeszcze głośniejszy tupot nóg. Jon już chciał odbiec w bok, gdy wtem coś mignęło mu przed oczami z lewej strony. Wyteżył wzrok i na tle ciemnego domu zobaczył wysokiego Araba, który stał wyzywająco na skraju lasu i rozwścieczonym głosem wykrzykiwał coś do

podwładnych.

Nagle doszedł go cichy szelest. Pędziła ku niemu Randi.

- Nigdy nie myślałam, że ucieszę się na twój widok - szepnęła z ulgą i rozdrażnieniem w głosie. -
Chodź. Zmiatajmy stąd.

- Coś takiego - odparł Jon. - Ilekroć się widzimy, zawsze przed kimś uciekasz.

Łypnęła na niego spode łba i nisko przy ziemi popędziła w stronę głównej drogi. Pobiegnął za nią.

- Coś ty zrobiła ze swoją twarzą?

Nie odpowiedziała. Przedzierali się przez zarośla. Wśród tamtych zapanował chaos, przynajmniej chwilowo, i musieli to wykorzystać. Gnali przed siebie, rozgarniając gałęzie, omijając kępy krzaków i płosząc leśne ptaki.

Przeskoczyli kamienny murek. Dalej, dalej! Złani potem, ciężko dysząc, wreszcie dotarli na skraj lasu i zobaczyli drogę. Z bronią gotową do strzału, wytężyli wzrok.

- Widzisz coś? - szepnęła Randi.

- Tak, ale nikogo dwunożnego i uzbrojonego.

- Dowcipniś. - Wykrzywiła usta w lekkim uśmiechu. Miał ładną twarz, twarz, która zawsze się jej podobała. Hm, te płaskie, wystające kości policzkowe, ten męski, pięknie ukształtowany podbródek... Potrząsnęła głową, odpędzając głupie myśli i ponownie skupiła wzrok na drodze, na drzewach i zalegających między nimi cieniach.

- Musimy ich wyprzedzić i dotrzeć do Toledo. Co z twoją twarzą? Proszę, tylko nie mów mi, że zrobiłaś sobie operację plastyczną. Byłbym zdruzgotany. - Ramię przy ramieniu wybiegli na drogę.

- Daj rękę - rzuciła.

- Coś mi mówi, że chyba nie powinienem...

Włożyła do ust dwa palce i spod górnej wargi wyjęła dwie duże wkładki. Chciała mu je dać, ale szybko zabrał rękę.

- Nie, wielkie dzięki.

Uśmiechnęła się i schowała wkładki do kieszeni w szerokim pasie.

- Peruki nie zdejmę. Wystarczy, że ganiasz po lesie w tej hawajskiej koszuli. Dobrze chociaż, że w granatowej. Moje włosy zobaczyliby na kilometr.

Była naprawdę niezła, umiała zmienić wygląd. Z wkładkami w ustach miała szeroką, nalaną twarz,

blisko osadzone oczy i małeńki podbródek. Ale teraz znowu była sobą. Duże, szeroko rozstawione oczy, prosty nos, wysokie czoło. Biła z niej przepojona seksem inteligencja, inteligencja, która intrygowała go nawet wtedy, gdy Randi była jak zwykle zgryźliwa.

Myślał o tym, wypatrując terrorystów. Podświadomie oczekiwał, że na drodze pojawi się zaraz ciężarówka z karabinem maszynowym na dachu, gdy wtem od strony domu doszedł

ich głośny warkot silnika.

- Słyszysz? - szepnął.

- Nie jestem głucha.

Warkot przeszedł w charakterystyczne „łump! łump!” łopat wirnika i kilka chwil póź-

niej w czarne niebo wzbily się trzy śmigłowce, które niczym gigantyczne nocne ptaki, zatoczyły łuk i z mrugającymi światełkami poleciały na południe. Po niebie przemykały ciemno-sine chmury. Księżyc to pojawiał się, to znikał.

- No i dupa - mruknęła Randi. - Niech to szlag!

- A może raczej amen? Niewiele brakowało i byłoby po tobie.

Od razu się najeżyła.

- Możliwe, ale ganiem za Mauritania od dwóch tygodni i znowu mi zwiął. Nie wiem, 95

kto z nim był, nie wiem, dokąd polecieeli, nie wiem nic.

- To członkowie islamskiej grupy terrorystycznej Tarcza Półksiężyca. To oni zorganizowali zamach na Instytut Pasteura. Wynajęli do tego ludzi z Czarnego Płomienia...

- Skąd?

- Z Czarnego Płomienia.

- Nigdy o nich nie słyszałam.

- Nic dziwnego, bo ponad dziesięć lat siedzieli cicho. Chcieli zdobyć pieniądze na dalszą działalność. Przy najbliższej okazji powiadom o tym swoich, niech ostrzegą Hiszpanów.

Ci z Czarnego Płomienia uprowadzili również Emile'a Chamborda i jego córkę. Trzymają ich pod kluczem, no i mają ten przeklęty komputer...

Randi przystanęła tak gwałtownie, jakby nagle wpadła na mur. - Chambord żyje?

- Widziałem go w tym domu, jego córkę też.

- A komputer?

- Nie, komputera tam nie było.

Zajęci swoimi myślami, ruszyli ponownie, teraz powoli i bez słowa.

- Wy też szukacie tego komputera? - spytał po chwili Jon.

- Tak, przy okazji. Nasi ludzie śledzą wszystkich znanych terrorystów. Ja zajęłam się Mauritania, bo po trzech latach ukrywania się znowu wylazł z jakiejś dziury. Namierzyłam go w Algierze, pojechałam za nim do Paryża, a w Paryżu doszło do tego zamachu. Wyglądało na to, że zwinęli komputer, więc postawiono nas w stan pogotowia. Ale nie widziałam, żeby kontaktował się z innymi znanymi terrorystami, nie licząc tego Abu Audy. Znają się jeszcze z czasów al Kaidy.

- Kim jest ten Mauritania? Dlaczego figuruje na waszych listach?

- *Monsieur* Mauritania, panie kolego - poprawił go Randi. - Z całym szacunkiem. Nalega, żeby tak się do niego zwracać. Tak naprawdę nazywa się Khalid al-Shanquiti, chociaż czasami występuje jako Mahfouz Oud al-Walidi. Był pomagierem Bin Ladena, ale odszedł, zanim Bin Laden przeniósł się do Afganistanu. Trzyma się w cieniu, prawie nigdy nie pojawia się na naszych radarach i najchętniej działa w Algierii, gdzie go namierzyłam. Co wiesz o tej Tarczy Półksiężycy?

- Tylko to, co widziałem przed chwilą. Są doświadczeni, dobrze wyszkoleni i skuteczni w działaniu, przynajmniej ich przywódcy. Słyszałem tam tyle różnych języków, że muszą na-leżeć do nich islamscy fundamentaliści ze wszystkich krajów świata. Są świetnie zorganizowani.

- Nie dziwię się, ostatecznie dowodzi nimi Mauritania. Jest inteligentny i ma polot. -

Przeszyła go wzrokiem jak promieniami Rentgena. - A teraz pogadajmy o tobie. Ty też szukasz tego komputera, inaczej nie pojawiłbyś się tutaj, żeby mi pomóc. No i sporo wiesz. Kiedy zauważyłam cię w Paryżu, zadzwoniłam do Langley. Powiedzieli, że przyleciałeś, żeby potrzymać za rączkę biednego Zellerbacha, ale...

- CIA ma na mnie oko? Dlaczego?

- Przecież wiesz, że w naszym światku wszyscy szpiegują wszystkich - prychnęła. -

Mogłeś być agentem obcego wywiadu, nie? Dla kogo ty właściwie pracujesz? Dla CIA? Dla FBI? Dla Agencji Bezpieczeństwa Narodowego? Ta historia z Martym to bzdura. Dobra, w Paryżu mnie wykiwałeś, ale tu wykiwać się nie dam. Więc dla kogo?

- Marty omal nie zginął - odparł z udawanym rozdrażnieniem Smith, przeklinając w duchu Kleina i podwójne życie, które musiał prowadzić. Jedyńka była organizacją tak tajną, że o jej istnieniu nie mogła dowiedzieć się nawet pracująca w CIA Randi. - Znasz mnie - do-dał, wzruszając ramionami. - Muszę, po prostu muszę znaleźć ludzi, którzy chcieli go zabić. I dobrze wiesz, że na tym nie

poprzestaną, muszę ich jakoś powstrzymać. Ale cóż, od czego są przyjaciele?

96

Przystanęli u stóp niskiego wzgórza. Zbocze było tak długie i łagodne, że podążając za Elizondem, Smith nawet go nie zauważył, ale teraz, w drodze powrotnej, zdawało się strome i nie do pokonania. Oboje opadli z sił.

- Sralis-mazgalis - odparła. - Marty jest w śpiączce i gdyby naprawdę cię potrzebował, siedziałbyś w szpitalu i poganiał lekarzy. Dlatego przestań chrzanić. Dobra, kiedyś była to sprawa osobista, bo chodziło ci o Sophię i ten koszmarny Hades. A teraz? Chyba czegoś nie wiem, a ty jak zwykle milczysz.

Jon doszedł do wniosku, że za długo stoją w miejscu.

- Chodźmy - powiedział. - Musimy wrócić i przeszukać ten dom. Może znajdziemy tam coś, co powie nam, dokąd polecieli. Jeśli ktoś tam został, przydusimy faceta i sprawdzimy, co wie. - Odwrócił się i ruszył przed siebie. Randi ciężko westchnęła i poszła za nim. - Chodzi tylko o Marty'ego - dodał. - Naprawdę. Jesteś zbyt podejrzliwa. Chyba przez to twoje wy-szkolenie. Moja babcia mawiała, że w czystej chustce do nosa nie szuka się brudów. Twoja cię tego nie uczyła?

Randi już otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, gdy wtem...

- Ciii... Słyszysz?- Przekrzywiła głowę.

Tak, on też to usłyszał - głuchy warkot potężnego silnika. W ich stronę jechał jakiś samochód, samochód bez świateł. Błyskawicznie zanurkowali w kępę drzew oliwnych na poboczu. Wóz zjeżdżał ze wzgórza, kierował się w stronę domu. I raptem silnik zgasł, zapadła cisza, którą burzył jedynie dziwny odgłos, którego nie mogli rozpoznać.

- Co to jest, u diabła? - szepnęła Randi.

Jon wytężył wzrok.

- Koła. Szmer obracających się kół. Widzisz? Ten czarny cień na drodze.

Randi kiwnęła głową.

- Czarny samochód, bez świateł i z wyłączonym silnikiem. Tarcza Półksiężyca?

- Możliwe.

Szybko się naradzili i Jon przebiegł przez drogę, żeby przycupnąć za samotnym drzew-kiem oliwnym,

które zostało po wycinie, kiedy budowano trakt.

Pojazd wychynął z ciemności jak mechaniczna zjawia. Był to wielki, stary kabriolet; takimi lubili jeździć hitlerowscy dostojnicy podczas drugiej wojny światowej. Wyglądał tak, jakby przyjechał tu prosto ze starych kronik filmowych. W środku siedziała tylko jedna osoba. Jon podniósł pistolet i dał znak. Randi lekko skinęła głową. Ci z Tarczy Półksiężycy nie wystaliby przeciwko nim jednego człowieka.

Elegancki wóz jechał coraz szybciej i był już trzydzieści metrów od nich. Randi wskazała palcem siebie, potem Jona, jeszcze poteni samochód. Smith zrozumiał. Była zmęczona i miała dość spacerów. Uśmiechnął się i kiwnął głową. On też leciał z nóg.

Gdy wóz ich mijał, wciąż bez świateł i z wyłączonym silnikiem, wskoczyli na stopień, ona z prawej, on z lewej strony. Wolną ręką Smith otworzył drzwiczki i wycelował w kierowcę. Ku jego zdumieniu ten nawet nie odwrócił głowy. W ogóle nie zareagował. Dopiero wtedy Jon zauważył, że kierowca ma na sobie czarną sutannę z koloratką. Chryste, angikański pastor.

Randi też zauważyła koloratkę. Przewróciła oczami. Kraść samochód duchownemu?

Toż to nie uchodzi.

- I co? - zadudnił pastor po angielsku. - Mamy wyrzuty sumienia? Dotarliście do Toledo i beze mnie, ale pomyślałem sobie, że trwałoby to cholernie długo. Szkoda czasu.

Ten głos!

- Peter! - jęknął Smith. - Ty też szukasz tego przeklętego komputera? Czy jest choć jedna agencja, która się tym nie zajmuje? - Wskoczył do środka, Randi też.

- Mało prawdopodobne, mój chłopcze. Świat żyje w napięciu. Wcale się nie dziwię.

Grożą nam paskudne rzeczy.

97

- Skąd się tu wzięłaś? - spytała Randi.

- Stamtąd co ty, nadobna dziewczeczko. Obserwowałem was ze szczytu wzgórza nad farmą. Fajnie sobie postrzelaliście.

- Byłeś tam? - wybuchła Randi. - I nie kiwnąłeś palcem, żeby nam pomóc?

Peter Howell wykrzywił usta w uśmiechu.

- Pięknie poradziliście sobie i beze mnie, a dzięki temu miałem okazję przyjrzeć się naszym bezimiennym przyjaciółom i zaoszczędzić wam kłopotu. Już nie musicie tam wracać.

Jon i Randi wymienili spojrzenia.

- Dobra - powiedział Smith. - Co się tam stało, kiedy uciekliśmy?

- Załadowali wszystko do śmigłowców i odlecieli.

- Przeszukałeś dom? - spytała Randi.

- Naturalnie. Na płycie stało ciepłutkie jedzenie, nic tylko podawać do stołu. I pusto, ani jednego człowieka, żywego czy martwego, żadnych śladów, żadnych wskazówek, kim by-li ani dokąd zwiiali. Ani map, ani dokumentów, ani niczego, jeśli nie liczyć sterty spalonego papieru w kominku. No i oczywiście ani śladu tego koszmarnego komputera.

- Mają go - zapewnił Smith. - Ale w tym domu go nie było, przynajmniej tak twierdził

Chambord.

Gdy Howell zawrócił w szerszym miejscu drogi, opowiedzieli mu szczegółowo o Tarczy Półksiężycy, o Chambordach i o komputerze molekularnym.

98

Rozdział 16

Elizondo Ibarguengoitia oblizał wargi i spuścił wzrok. Pochylony, w mocno przekrzywionym berecie, robił wrażenie zmęczonego i udręczonego.

- Myśleliśmy, że wyjeżdża pan z Toledo, monsieur - powiedział. - Ma pan dla nas coś nowego? Za dobre pieniądze?

- Moi przyjaciele już wyjechali i wkrótce do nich dołączę; miałem tu zbyt wiele do zrobienia. Tak, zapewniam cię, że wynagrodzenie za to zadanie będzie imponujące. Czy was to interesuje?

- Oczywiście!

Stali w olbrzymiej, rozbrzmiewającej echem katedrze, w słynnej kaplicy Białej Madonny, pełnej marmurowych posągów, kolumn i rokokowych ozdób, kamiennych i gipsowych.

Abu Auda opierał się o ścianę przy Marii z Dzieciątkiem i jego biały burnus zdawał się częścią rzeźby.

Przemawiając do Basków - do Elizonda, Iturbiego i Zumai - Mauritania uśmiechnął się i wsparł na lasce.

Elizonda energicznie kiwnął głową.

- Co to za zadanie?

- Wszystko w swoim czasie, mój drogi - odrzekł Mauritania. - Wszystko w swoim czasie. Najpierw opisz mi, jak zabiliście tego Smitha. Jesteś pewien, że jego ciało zostało w rzece? Nie masz wątpliwości, że on nie żyje?

Bask westchnął ciężko i żałośnie.

- Kiedy go zastrzeliłem, wpadł do rzeki. Iturbi próbował go wyłowić, ale prąd porwał

zwłoki. Oczywiście wolelibyśmy go pochować gdzieś, gdzie nigdy by go nie znaleziono, ale przy odrobinie szczęścia ciało do płynie aż do Lizbony, a wtedy nikt go już nie rozpozna.

Mauritania z powagą pokiwał głową, jakby się zastanawiał, czy nie będzie żadnych kłopotów, gdy zwłoki zostaną w końcu wyłowione.

- Wiesz, to bardzo dziwne, przyjacielu - powiedział. - Obecny tu Abu Auda - gestem rę-

ki wskazał milczącego terrorystę - zapewnia mnie, że jednym z dwóch ludzi, którzy zaatakowali dom, gdy odszedłeś, był ten sam pułkownik Smith. Wynika z tego, że jest wielce nie-prawdopodobne, iż go zastrzeliłeś.

Elizondo gwałtownie pobladł, jego twarz stała się biała jak twarz marmurowego posągu.

- Abu Auda się myli. Zastrzeliłem... zastrzeliliśmy go i...

- Abu Auda jest tego całkowicie pewny - przerwał mu ze szczerym zaskoczeniem Mauritania. - Poznał pułkownika w Paryżu. Gdy uprowadzaliście tę kobietę, był tam jeden z jego ludzi. Jak sam widzisz...

Elizondo wszystko zrozumiał. Wyszarpnął zza paska nóż i rzucił się na Mauritanie.

Zumaia wyjął pistolet, a Iturbi puścił się biegiem w stronę drzwi.

Ale Mauritania, szybki jak szarżujący grzechotnik, machnął laseczką, z której końca wyskoczyło

wąskie ostrze. Błysnęło w przyćmionym świetle i znikło, gdy nadział się na nie Elizondo. Z czerwoną z gniewu twarzą Mauritania przekreślił je i szarpnął do góry, przecinając wnętrzności. Bask zachwiał się, chwycił za rozpruty brzuch, spojrzał na niego zdumiony i runął martwy na posadzkę.

Tymczasem Zumaia zdążył wykonać pół obrotu i nie mierzając wypalić, zanim bułat Abu Audy rozplatał mu gardło. Trysnęła krew i Bask upadł.

99

Iturbi próbował uciec, lecz Abu Auda błyskawicznie odwrócił potężną rękę i pchnął go w plecy tak mocno, że czubek długiego sztyletu wyszedł piersią. Olbrzym chwycił rękojeść obiema rękami i dźwignął ostrze wraz z konającym mężczyzną. Bask wił się i podrygiwał w powietrzu jak robak na haczyku, a on patrzył na niego czarnymi, płonącymi z gniewu oczami.

Gdy Iturbi wreszcie znieruchomiał, Abu Auda wyciągnął z rany sztylet.

Mauritania wytarł ostrze w biały obrus na ołtarzu, wcisnął guzik i kin-dżał na powrót stał się zwykłą laską. Abu Auda obmył sztylet w kropielnicy ze święconą wodą i wytarł go w burnus. Jego szaty były teraz nie tylko brudne, ale i poplamione krwią.

Fulani westchnął.

- Minęło dużo czasu, odkąd po raz ostatni kąpałem się w krwi nie przyjaciół. To miłe uczucie.

Mauritania kiwnął głową.

- Nie możemy dłużej zwlekać. Mamy jeszcze sporo pracy. Przeszliśmy zwłoki Basków, przemknęli przez katedrę i znikli w mroku nocy.

Godzinę później Jon, Randi i Peter byli już na autostradzie. Wróciwszy do Toledo, od-szukali najpierw wynajętą renówkę i Smith wyjął z bagażnika swój laptop i walizkę. Samochód był nietknięty, znaleźli w nim jedynie poprzecinane sznury. Przy odrobinie szczęścia Bixente zdołał uciec i wrócić do swego pasterskiego życia. Jon przeniósł bagaże do samochodu, Peter i Randi założyli dach. Gdy wieże miasta słynnego El Greca rozmyły się w oddali, Peter zwolnił do obowiązującej na autostradzie prędkości stu dwudziestu kilometrów na godzinę. Nie chcieli, żeby zainteresowała się nimi policja.

Randi usadowiła się z tyłu w starym, wygodnym fotelu, który wciąż jeszcze pachniał

kosztowną skórą. Siedzący z przodu Jon i Peter zastanawiali się właśnie, którą trasą dojechać do

Madrytu.

- Tylko nie tą, którą jechał Jon - wtrąciła. - Baskowie mogli go śledzić.

Z trudem stłumiła rozdrażnienie, gdy Howell przyjął jej radę. Dlaczego ten Smith tak ją irytował? Najpierw obwiniała go za śmierć narzeczonego w Somalii, potem za tragiczną śmierć siostry, ale od tamtej pory zaczęła go szanować. Pragnęła zapomnieć o przeszłości, lecz nie potrafiła. To dziwne, lecz czuła, że on też chce o tym zapomnieć. Duch dawno minionych czasów paraliżował ich i krępował.

- Bóg wie, co teraz znajdziemy - powiedział Peter. - Miejmy nadzieję, że ten komputer.

- „Emerytowany” oficer SAS i agent MI-6 był dobrze umięśniony i szczupły, może nawet za szczupły jak na pastora. Jego spoczywające na kierownicy brązowe ręce przypominały zakrzywione szpony, a twarz miała kolor i teksturę skóry wysuszonej przez lata wędrówek na wietrze i słońcu. Była tak mocno poorana zmarszczkami, że oczy wyglądały jak dwa jeziora na dnie głębokich kanionów. Jednakże nawet w nocy były bystre i czujne. Nagle zaskrzyły się w nich wesołe iskierki.

- Aha, Jon, mój przyjacielu. Jesteś mi coś za to winien. Ale i ja jestem coś winien tobie, prawda?

Gdy zdjął czarny kapelusz, okazało się, że ma obandażowaną głowę. Jon wytrzeszczył oczy.

„ - Cholera jasna... a więc to ty. To ty byłeś tym Algierczykiem, salowym, który wywołał to zamieszanie w szpitalu. - Pamiętał, że gdy „salowy” uciekał korytarzem, wymachując pistoletem maszynowym, żeby nikt nie wszedł mu w drogę, było w nim coś znajomego. Krew na poręczu pochodziła z jego głowy. - Byłeś tam, żeby chronić Marty'ego. Dlatego gdy w końcu wystrzeliłeś, kula poszła górą.

- Fakt - przyznał Howell. - Byłem w szpitalu, żeby przypilnować naszego przyjaciela, i powiedziano mi, że jest u niego „ktoś z rodziny”. Ponieważ Marty nie ma rodziny, nie licząc 100

psa, którego przygarnął po Hadesie, odwiedziłem go *didi mua* z moim małym Sterlingiem.

Przyuważyłeś mnie, więc musiałem dać nogę, bo inaczej by mnie rozgryźli.

- To znaczy, że SAS albo MI-6 obserwuje Marty'ego - rzuciła z tyłu Randi.

- Dla chłopaków z SAS jestem trochę za stary, ale ci z MI-6, owszem, od czasu do czasu mnie angażują. Whitehall ślini się na myśl o tym komputerku...

- Prosim cię o pomoc?

- Wiem, co ta maszyna może, i często pracowałem z Francuzami, za którymi MI-6 nie przepada. Jedną z zalet bycia emerytem, człowiekiem, który wypadł z gry, że tak powiem, jest to, że mogę załatwiać sprawy po swojemu. Jeśli chcą mnie zaangażować, muszą do mnie przyjść. A jeśli nie mam ochoty się bawić, zabieram swoje zabawki i wracam w góry. Do-prowadza ich to do szału.

Randi z trudem powstrzymała uśmiech. Peter często nawiązywał z pogardą do swego wieku, może po to, żeby odwrócić uwagę od swych umiejętności, którymi zawstydziłby nie-jednego trzydziestolatka.

Jon zmarszczył czoło.

- Ale dlaczego nie powiedziałeś mi, że to ty? Po jakiego kazałeś mi tak ganiać? Chryste, musiałem skakać przez ten cholerny wózek!

Howell wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- To był piękny widok, warty każdych pieniędzy. - Nagle spowaźniał. - Nigdy nie ma całkowitej pewności. Skąd mogłem wiedzieć, co tam robisz. Downing Street i Biały Dom nie zawsze jeżdżą" na tym samym koniu. Najpierw trzeba sprawdzić, co kto robi.

- Ale potem widziałem cię w rezydencji generała Henzego. W rezydencji, w której nie miało go być. Wygląda na to, że interesują was te same konie.

- Namierzyłeś mnie? Niedobrze. Inni też mogli.

- Nie miałem pojęcia, że to ty. Ani w szpitalu, ani tam.

- I o to chodziło, nie? - odparł Howell z wyraźną satysfakcją w głosie.

- Jasne, zwłaszcza że byłeś u amerykańskiego generała - rzekł Smith, uważnie mu się przyglądając.

- Nie zapominaj, że Henze to NATO. Dla tych z Unii warto być miłym.

- I co mu powiedziałeś?

- Generałowi? Tajemnica, chłopcze. Mam wyraźne rozkazy.

Stało się oczywiste, że Howell nic więcej nie powie.

Dla przyzwyczajonych do madryckiego ruchu autostrada zdawała się niemal zupełnie pusta. Minęło ich z rykiem kilka samochodów, ale Peter nie przekraczał dozwolonej prędko-

ści. Pod Aranjuez, pięknym zielonym miastem, byłej letniej rezydencji hiszpańskich królów i królowych, zjechał z autostrady N400 na szosę A4 i skręcił na północ, w kierunku odległego ledwie o pięćdziesiąt kilometrów Madrytu. Zza chmur wyrzał księżyc, zalewając srebrzystą poświatą łany zboża, plantacje truskawek, buraków cukrowych i zagony pomidorów. Randi pochyliła się i oparła czoło o przedni zagłówek.

- Dobra, Jon. Dla kogo ty, u diabła, pracujesz? - Pożałowała tych słów w chwili, gdy je wypowiedziała. Zabrzmiały irytująco i agresywnie. Ale cholera jasna, naprawdę chciała wiedzieć. - Tylko nie mów mi, że moi kochani, pokrętni szefowie z Langley znowu łąą.

- Dla nikogo - odrzekł Smith. - Przyjechałem tu z własnej woli. Peter mi wierzy, prawda?

Howell uśmiechnął się do kierownicy.

- Wiesz, troszkę to cuchnie. Nie, żeby mi specjalnie zależało, ale rozumiem, o co jej chodzi. Tak za czymiś plecami, i w ogóle. Też bym się wkurzył.

Randi miała wiele przymiotów, między innymi była straszliwie uparta, a kość niezgody potrafiła tarmosić z delikatnością pitbulla. Dawał jej odpór wystarczająco długo, nadeszła więc pora, żeby sięgnąć po w miarę wiarygodne kłamstewko.

101

- No dobra, masz rację - powiedział. - Coś się dzieje, ale Langley nie ma z tym nic wspólnego. Pracuję dla wywiadu wojskowego. Miałem sprawdzić, czy Chambord rzeczywi-

ście zbudował działający prototyp komputera molekularnego. I jeśli tak, czy nie skradziono go przed zamachem na instytut. Komputera i notatek.

Randi pokręciła głową.

- Sprawdzaliśmy. Nie ma cię na liście agentów wywiadu.

- To jednorazowa sprawa. Gdybyście poszperali wyżej, na pewno byście mnie znaleźli.

- Klein był chytry jak lis i nigdy by Smitha nie zawiódł.

Tym razem chyba uwierzyła i przez chwilę miał wyrzuty sumienia.

- Widzisz? - powiedziała. - To nie było takie trudne. Ale uważaj, prawda uzależnia.

- Ciekawe stwierdzenie - mruknął oschle Howell.

Jon czuł, że Peter mu nie wierzy, a jednocześnie ma to gdzieś. Dla niego najważniejsze było zadanie, nic więc dziwnego, że znowu zaczął o

tym mówić.

- Dobra,

pogadajmy o Chambordzie. Skoro żyje i tamci go uprowa dzili, w paryskiej policji coś śmierdzi.

- Odciski palców, co? - odrzekł Smith. - Tak, też o tym myślałem. Według mnie ci z Czarnego Płomienia i Tarczy Półksiężycy dokonali zwykłej podmianki, to jedyne wytłumaczenie. Podrzucili do instytutu czyjeś zwłoki. Ułożyli je na ładunku wybuchowym, żeby policja znalazła tylko ręce, ramiona i dłonie. Niewykluczone, że dla pewności odcieśli je i rozmie-

ścili w pewnej odległości od ciała, tak żeby wybuch je uszkodził, ale żeby można było je zidentyfikować. Potem kazali komuś podmienić odciski palców w aktach Chamborda. Mogli też podmienić dane genetyczne na wypadek, gdyby w gruzach znaleziono nienadające się do identyfikacji szczątki. Tak czy inaczej, policja porównała odciski palców i na tym poprzesta-

ła. Mieli na głowie poważniejszy problem: ten cholerny komputer.

- Terrorysty musieli się denerwować - powiedziała Randi. - Poszukiwania szczątków trwały i trwały. Ale w sumie nie miało to znaczenia, bo ciała jako takiego nie znaleziono.

- Ciekawe, jak te zwłoki tam przemycili? - myślał na głos Howell. - Gdyby ktoś ich zauważył, cały plan wzięłby w łeb. Ciekawe...

- Moim zdaniem - odrzekł powoli Jon - zwłoki weszły tam same, razem z nimi. Facet albo nie wiedział, że zaraz zginie, albo był męczennikiem sprawy islamu i liczył na miejsce w niebie.

- Boże... - szepnęła Randi.

- Kolejny rodzaj zamachowca samobójcy - mruknął Howell. - Co się z tym światem dzieje?

Zamilkli i długo milczeli. W końcu odezwał się Smith:

- My powiedzieliśmy, co tu robimy. Kolej na ciebie, Peter.

- Dobra, zagrajmy uczciwie. Zaraz po zamachu MI-6 namierzyło w Paryżu znanego baskijskiego separatystę, Elizonda Ibargiengoitię. Francuska Dwójka go zgubiła. MI-6 połą-

czyło tę informację z tym, czego Whitehall dowiedział się od Francuzów o innych Baskach, których przymknęli, i wyszło na to, że jest dobra okazja, żeby dać popalić tym z Dwójki. Ponieważ tak się przypadkiem złożyło, że parę razy miałem z Elizondem do czynienia, prosili mnie, żebym go wyśledził i sprawdził, co facet knuje. Kręactwo wyczuwam na kilometr i coś mi mówi, że Whitehall nie miałby nic przeciwko temu, żeby zwinąć ten komputer dla kraju i jaśnie nam panującej królowej, a gdyby coś poszło nie tak, dzięki mojemu nieoficjalnemu statusowi bez trudu mogliby się wszystkiego wyprzeć.

- Nic dziwnego - odrzekł Jon. - Chciałby go mieć każdy rząd i każda armia, łącznie z amerykańską.

Oparł głowę o skórzany zagłówek i spojrzał w okno. Księżyc opadł niżej i na niebie La Manchy rozbłysło morze gwiazd. Oglądając ten świetlisty pokaz, pomyślał, że ziemia i wszechświat były, są i zawsze będą. Co do ludzi, nigdy takiej pewności nie miał.

Nie odrywając wzroku od gwiazd, powiedział:

- To oczywiste, że mamy swoje rozkazy. Musimy trzymać język za zębami, nie wolno nam z nikim gadać, zwłaszcza z agentami innych krajów, którym przydzielono to samo zadanie. - Zerknął na Howella, potem na Randi. - Dobrze wiemy, że ta zwariowana rywalizacja, nawet rywalizacja agencji jednego i tego samego rządu, może nas zniszczyć. Grozi nam Armagedon, wiecie o tym równie dobrze jak ja. Moim zdaniem Tarcza Półksiężycy planuje coś dużego, najprawdopodobniej przeciwko Stanom Zjednoczonym. Może przeciwko Wielkiej Brytanii. Nie myślicie, że pora nawiązać współpracę? Wszyscy wiemy, że możemy sobie zaufać.

Randi zawahała się i energicznie kiwnęła głową.

- Zgoda. Mauritania przeszedł sam siebie, żeby pozacierać za sobą ślady, zaangażował nawet tych z Czarnego Płomienia. Poza tym wiemy, że ma i ten komputer, i Chamborda. Zagrożenie jest zbyt wielkie, bez względu na to, co myślą o tym Langley i wojskowi.

Howell zmrużył swoje czujne oczy, lecz zaraz otworzył je szerzej. Krótко skinął głową.

- Dobra, czemu nie. Pieprzyć Whitehall i Waszyngton.

- Świetnie - rzekł Smith. - To powiedz nam teraz, o czym gadałeś z Henzem.

- Nie z Henzem, tylko z Jerrym Matthiasem.

- Z tym sierżantem? - zdziwił się Jon.

- Tak. Jerry służył kiedyś w siłach specjalnych. Poznaliśmy się kilka lat temu na irackiej pustyni. Chciałem go wybadać.

- A propos czego?

- A propos machlojek w NATO.

- Jakich machlojek? - wtrąciła Randi. - Peter, znowu jesteś trudny.

- Przepraszam, to stary nawyk. Dobra. Odkryłem, że do Elizonda Ibargiengoitii dzwonił ktoś z NATO. Sprawdziłem numer i okazało się, że to numer wydziału technicznego, który był wtedy nieczynny.

- Czarny Płomień i Tarcza Półksiężycy mają wtyczkę w NATO? - rzuciła zszokowana Randi.

- To jedna z możliwości - odrzekł Howell.

- Albo ktoś z NATO - spekulował Jon - współpracował lub współpracuje z terrorystami, żeby zdobyć ten komputer.

- To możliwość numer dwa - zgodził się z nim Howell. – Matthias służył w Zielonych Beretach, a teraz jest majordomusem Henzego. Miałem nadzieję, że z nawyku ma oczy i uszy otwarte. Niestety, nie zauważył nic specjalnie podejrzanego. Ale ponieważ najwyraźniejszy ślad pozostawili po sobie ci z Czarnego Płomienia, pojechałem za nimi do Toledo.

- Daję głowę, że już tych śladów nie ma - powiedziała Randi. - Załóżcie się, że szefowie Czarnego Płomienia już nie żyją?

- Nie lubię przegrywać - odparł Peter. - Ten Mauritania, bystry gość, domyślił się, jak go namierzyłeś. Ale jeśli mam fart, o mnie nic nie wie.

- Fakt - przyznał Jon. - Czarny Płomień to już spalona przykrywka. Mauritania w nic ich nie wprowadzał, dobrze wiedząc, że mogą zwrócić się przeciwko niemu, mogą go zaszantażować, pokrzyżować mu plany. Nie przewidział tylko, że doprowadzą do niego kogoś takiego jak ja. Pewnie już ich zabił i to nie za karę, ale po to, żeby nie mogli zrobić mu kuku.

I znowu pomyślał o Martym. Zdał sobie sprawę, że po raz ostatni dzwonił do szpitala przed kilkunastoma godzinami. Martwiąc się o zdrowie przyjaciela, wyjął telefon.

- Do kogo dzwonisz? - spytała Randi.

- Do szpitala. Może już się obudził.

Howell kiwnął głową.

- I powie coś, co pomoże nam znaleźć Mauritanie i jego Tarczę. Ale wiadomości z Pa-ryża ich rozczarowały. Stan Marty'ego nie uległ zmianie. Lekarze wciąż mieli nadzieję, lecz 103

żadnej poprawy dotąd nie odnotowano.

Gibraltar

Generał sir Arnold Moore siedział samotnie na tylnym siedzeniu limuzyny Królewskich Sił Powietrznych i mocno poruszony, wspominał przebieg narady w sali konferencyjnej pod pokładem „Charles'a de Gaulle'a". Co się tu działo? Po co Roland la Porte, jego sojusznik i stary przyjaciel, tak naprawdę ich wezwał? Z pobliskiego lotniska co chwilę startowały z rykiem samoloty, lecz on patrzył na nie nic niewidzącym wzrokiem, z niepokojem analizując przebieg dyskusji na lotniskowcu. Ostatecznie wszystko spoczywało na barkach generała La Porte'a.

Dobrze rozumiał, że Francuzi z silną nostalgią wspominają czasy minionej chwały, lecz wiedział też, że są narodem bardzo praktycznym i że dla wyniosłego rządu La Porte'a *la glo-ire* jest tylko dobrym żartem. Chociaż zarówno prywatnie, jak i jako zastępca naczelnego Dowódcy Połączonych Sił Zbrojnych NATO w Europie generał zawsze popierał istnienie europejskich sił szybkiego reagowania, sir Arnold zawsze uważał, że robi to z powodów czysto racjonalnych, żeby odciążyć NATO, tak zależne od Stanów Zjednoczonych podczas każdej interwencji w różnych częściach świata. Mało tego, było powszechnie wiadomo, że La Porte wielokrotnie podkreślał to podczas rozmów z Waszyngtonem.

I nagle z pozycji proamerykańskiej przeszedł na pozycję otwarcie antyamerykańską.

Tylko czy aby na pewno? Czy jego koncepcja w pełni zintegrowanej europejskiej armii była jedynie logicznym następstwem tego, że pragnął odciążyć Amerykanów? Sir Arnold bardzo chciał w to wierzyć, gdyż inne wytłumaczenie byłoby zapowiedzią niebezpiecznej wizji, w której Europa występowałaby jako supermocarstwo i główny przeciwnik USA w tym nowym, postzimnowojennym, rojąącym się od terrorystów świecie. Nie warto prowadzić wojny na dwa fronty, o czym ku swemu rozgoryczeniu przekonał się zarówno Hitler, jak i Napoleon. Sir Arnold uważał, że w dzisiejszych czasach, bardziej niż kiedykolwiek dotąd, świat potrzebuje zjednoczenia.

Mimo tej antyamerykańskiej retoryki, pewnie zaakceptowałby poglądy La Porte'a, gdyby nie jego delikatna sugestia, że Amerykanie mogą stać się wkrótce celem ataku elektronicznego, który pozbawi ich wszystkich systemów dowódczych i łącznościowych. Gdyby do takiego ataku doszło - cóż za przerażająca perspektywa! - siły zbrojne Stanów Zjednoczonych i zależne od nich siły europejskie uległyby całkowitej dezintegracji.

Jeśli dodać do tego awarie tajnych systemów, do których już doszło -a wśród obecnych na naradzie tylko sir Arnold miał prawo o nich wiedzieć - sprawa była naprawdę zdumiewająca.

Czyżby La Porte też się o tych awariach dowiedział? Jeśli tak, to jakim cudem?

Sir Arnold wszedł w posiadanie tej informacji tylko dlatego, że prezydent Castilla osobiście zadzwonił do premiera z wiadomością, iż jedynym sojusznikiem, którego wprowadza w sytuację, jest Wielka Brytania, a jedynym przedstawicielem NATO - generał Henze.

Więc skąd La Porte dowiedział się o tych przerażających atakach elektronicznych?

Sir Arnold ucisnął kciukami czoło. Potwornie bolała go głowa i wiedział dlaczego: martwił się, że francuski generał może mieć coś wspólnego z tymi, którzy te ataki przeprowadzili, że właśnie od nich o wszystkim się dowiedział.

Nie mieściło mu się to w głowie. Nie, to nie do pomyślenia, to niedorzeczne, a jednak...

logiczne. Wnioski nasuwały się same. Nie wolno mu o tym z nikim rozmawiać - z nikim, z wyjątkiem samego premiera. I to tylko w cztery oczy.

105

Tego rodzaju spekulacje mogły zniszczyć reputację każdego dobrego żołnierza: nie, nie miał prawa rozmawiać o tym z byle kim. I właśnie dlatego siedział teraz samotnie w ciemnym samochodzie, czekając, aż jego kierowca i pilot skończy nadzorować tankowanie tornada F3, którym mieli polecieć do Londynu.

Czekał i wciąż powracał myślą do tego dziwnego spotkania. Czyżby się mylił? Czyżby był przewrażliwiony? Ale im dłużej zadawał sobie te pytania, tym bardziej był przekonany o słuszności swoich wniosków. Sugestie La Porte'a, przerażająca wizja, która się za nim i kryła, bardzo go niepokoiły.

Zastanawiał się właśnie, jakimi słowami przekaże to wszystko premierowi, gdy w szybę zastukał Stebbins. Sir Arnold otworzył drzwiczki.

- Gotowi?

- Tak jest, panie generale! - Sierżant sztabowy George Stebbins stanął na baczność i energicznie kiwnął głową.

- Wystarczyłoby samo „tak”. Już nie słyszysz w grenadierach. – Sir Arnold wysiadł z samochodu z dyplomatką w ręku.

- Tak jest!

Sir Arnold westchnął i pokręcił głową. Można ich wyciągnąć z wojska, ale wojska z nich nie wyciągniesz, pomyślał.

- Sierżancie Stebbins, czy po powrocie do cywila będziecie w stanie zapomnieć o swojej brygadzie? Chociaż troszeczkę?

Stebbins w końcu się uśmiechnął.

- Chyba tak, panie generale, przynajmniej spróbuję.

Sir Arnold zachichotał.

- To dobrze, cenię szczerość. W takim razie może byś tak spróbował przypomnieć sobie, jak się tym lata, co?

Weszli do szatni, włożyli kombinezony ciśnieniowe i hełmy i dwadzieścia minut póź-

niej smukły myśliwiec pokołował na start przez ciemne lotnisko. Siedząc w fotelu nawigatora tuż za Stebbinsem, sir Arnold wciąż powtarzał w myśli wstrząsające słowa, które będzie musiał przekazać premierowi, ministrowi obrony i pewnie starymu Colinowi Campbellowi, obecnemu naczelnemu dowódcy.

Naddźwiękowy tornado F3 wystartował i wkrótce Gibraltar został daleko w dole. Maszyna leciała bardzo wysoko, hen, nad chmurami. Dramatyczny widok gwiazd na tle aksamitnie czarnego nieba zawsze pozbawiał go tchu. Generał wierzył w Boga. Przecież nikt inny nie stworzyłby czegoś równie pięknego. Myślał to o Bogu, to o knowaniach La Porte'a, gdy daleko poza zasięgiem wzroku i uszu mieszkańców ziemi samolot eksplodował w potężnej kuli ognia. Ktoś, kto by to widział, uznałby pewnie, że ów nagły rozbłysk jest po prostu spadającą gwiazdą.

Madryt, Hiszpania

Madryt to wibrująca energia, z której czerpią siły i mieszkańcy, i turyści, zwłaszcza późnym wieczorem. W powietrzu płynie wówczas rozedrgana muzyka, unosi się ożywczy duch. Mieszkańcy Madrytu, od zwariowanych taksówkarzy poczynając, na nieskruszonych biesiadnikach kończąc, są ludźmi bardzo tolerancyjnymi, którzy od czasu do czasu puszczaają wodze dzikiej fantazji, żeby zaszaleć na brukowanych uliczkach, przy pięknych fontannach i pod wielkimi starymi drzewami.

Howell odprowadził wynajęty samochód do garażu przyjaciela i z lekkim bagażem w ręku zeszli do metra. Jadąc, walczyli ze zmęczeniem, mimo to uważnie obserwowali twarze 106

współpasażerów. Byli wykończeni, chociaż Randi i Jon zdrzemnęli się w samochodzie, a Peter, ów niezłomny Brytyjczyk, miał czas wyspać się przedtem, za nich oboje.

Z ulgą wysiedli na stacji San Bernardo, by już kilka minut później znaleźć się w Mala-sana, zwanej przez miejscowych Barrio de Maravil-las, Dzielnicą Cudów. Tu, w tych barwnych uliczkach, w barach, restauracjach i czarujących, choć trochę już zapuszczonych, lecz tak uwielbianych przez cyganerię klubach, zawsze tętniło życie. Był to raj nie tylko dla arty-stów i pisarzy, lecz i dla żyjących na obczyźnie yuppies, którzy rozwozili swe marzenia po całym świecie. Dosłownie na każdej ulicy rozbrzmiewała żywa muzyka.

Dom - kryjówka MI-6 - stał przy Calle Dominguin, niedaleko Plaža del Dos de Mayo, centrum tej wiecznie rozbawionej dzielnicy. Był to pięciopiętrowy kamienny budynek, identyczny jak sąsiednie domy z malowanymi drewnianymi okiennicami, żaluzjowymi drzwiami, tradycyjnymi, żelaznymi balkonami oraz sklepikami i restauracjami na parterze.

Zewsząd dochodził zapach wina i papierosowego dymu. W oknach wystawowych wisały tablice reklamowe Langostino Plancha i Gambas al Ajillo.

Przystanęli przed nierzucającymi się w oczy drzwiami. Howell wyjął klucz. Jon i Randi uważnie obserwowali ulicę. Szczęk zamka, jeszcze jedno spojrzenie przez ramię i weszli do środka.

Meble były wygodne, choć nieco już podniszczone, lecz z drugiej strony przeznaczenie kryjówki nie ma nic wspólnego z wystawnym wystrojem wnętrza. Rozeszli się do swoich pokoi, przebrali w luźne spodnie i podkoszulki i spotkali w saloniku na pierwszym piętrze.

- Muszę zadzwonić do swoich - oznajmił Jon i wyjął komórkę. Elektroniczny skaner zaczął sprawdzać kody i szyfry; w słuchawce rozbrzmiały znajome trzaski, szumy i poklikiwania.

Wreszcie rozległ się głos Freda Kleina:

- Ani słowa. Rozłącz się. Natychmiast!

Smith szybko wcisnął guzik i skonsternowany wymamrotał:

- Cholera. Znowu kłopoty. - I powtórzył im słowa „dyspozytora”.

- Zobaczymy, jak będzie u mnie - powiedziała Randi. Czekwała długo, telefon w dalekiej Wirginii dzwonił i dzwonił. Randi skrzywiła się i wzruszyła ramionami.

- Jak na razie nic - mruknęła.

Wreszcie rozległa się seria głośnych trzasków.

- Russell?

- A kogo się spodziewałeś?

- Rozłącz się.

Randi opuściła telefon.

- Co się dzieje, do diabła?

- Wygląda na to, że ktoś włamał się do superbezpiecznego systemu łączności amerykańskiego wywiadu wojskowego - powiedział Peter. - Co znaczy, że mógł włamać się również do systemu łączności SAS, MI-5 i MI-6.

Randi głośno przełknęła ślinę.

- Dobry Boże. Przynajmniej niczego się od nas nie dowiedzieli.

- Hm... - zamyślił się Peter. - Boję się, że mogli.

- Fakt - zgodził się z nim Jon. - Jeśli mają ten komputer, jeśli się nami interesują i jeśli wiedzą, kogo namierzyć, mogą również wiedzieć, gdzie teraz jesteśmy.

- Za dużo tych „jeśli” - odparła Randi. - Mówiłeś, że w domu na farmie komputera nie było, a ludzie Mauritani odlecieli, widzieliśmy to na własne oczy.

- To wszystko prawda - odrzekł Howell. - Ale wątpię, żeby ten komputer był gdzieś daleko. Mauritania musi mieć drugą kryjówkę, a na farmę przyjechał tylko po to, żeby zapłacić Elizondowi i przechować Chambordów. Dlatego nie zadzwonię do Londynu. Za blisko Madrytu. Powinniśmy założyć, że znowu weszli do naszych systemów elektronicznych. Do 107

wszystkich, co znaczy, że mogą wiedzieć, gdzie jesteście. O mnie chyba nie wiedzą, ale gdybym wyjął teraz komórkę i przekreślił do MI-6, namierzyliby mnie w try miga. Mnie i MI-6.

- Wskakiwać do samolotu, lecieć do centrali i osobiście składać meldunek... to idiotyczne

- powiedziała Randi. - Kiedyś tak robiliśmy, fakt. Kurierzy jeździli tam i z powrotem z przesyłkami w ręku. Boże, wywiad wraca do czasów średniowiecza...

- Co jeszcze dobitniej świadczy, jak bardzo uzależniliśmy się od elektronicznych systemów łączności - dokończył za nią Howell. - Musimy wymyślić jakiś sposób na skontaktowanie się z szefostwem. Trzeba im powiedzieć o Tarczy Półksiężycy, o Mauritani, o tym komputerze i o Chambordach. Trzeba ich uprzedzić.

- Słusznie. - Smith zdecydowanym ruchem schował komórkę do kieszeni. - Ale dopóki czegoś nie wymyślimy, jesteśmy zdani na własne siły. Moim zdaniem powinniśmy pójść tropem samego Mauritani. Sprawdzić, gdzie najczęściej działa, gdzie się ukrywa, jakie ma przyzwyczajenia i dziwactwa. - Dziwactwa, schematy działania i nawyki są najsłabszymi punktami każdego uciekiniera i na ich podstawie doświadczony analityk potrafi dużo wywnioskować. - Jest jeszcze ten enigmatyczny kapitan Bonnard. Jako adiutant generała La Porte'a, ma świetne doświadczenia i znakomitą przykrywkę. I z powodzeniem mógł wtedy zadzwonić.

Howell zmarszczył brwi, na jego czole pojawiły się głębokie bruzdy.

- To prawda. Randi ma rację. Wywiad wraca do czasów średniowiecza, ale nie mamy innego wyjścia. Londyn jest znacznie bliżej niż Waszyngton. W razie potrzeby mogę się tam przelecieć.

- System łączności naszej ambasady w Madrycie jest w pełni kodowany - powiedziała Randi - ale zważywszy, że podczas ostatniego ataku wszystkie kody diabli wzięli, nie mamy tam po co iść.

- Słusznie - mruknął Peter. - Elektronika nie wchodzi w grę.

Jon chodził nerwowo przed kominkiem, w którym nie paliło się chyba od lat.

- Może jednak nie wszystko szlag trafił...

Howell poderwał głowę.

- Masz jakiś pomysł?

- Jest tu telefon? Taki zwykły, normalny.

- Na drugim piętrze, w gabinecie. Powinien działać.

Randi patrzyła to na jednego, to na drugiego.

- Możecie mi powiedzieć, o czym mówicie?

Smith był już w połowie schodów.

- Przewody telefoniczne - wyjaśnił Peter. - Zwykłe przewody. Bezpośrednie połączenie.

Światłowód; Kapujesz?

- No jasne. - Randi ruszyła za Jonem, Howell za nią. - Nawet jeśli ci z Tarczy Półksięży-ca zdołali dobrać się do światłowodów, będą mieli kłopoty z przesiewem informacji. Pewien technik powiedział mi kiedyś, że założyć podsłuch w światłowodzie to tak, jak przebić gumowy wąż pod ciśnieniem. - Powiedział jej wtedy, że przewodem o średnicy wąskiego prze-gubu można przekazać jednorazowo astronomiczną wprost liczbę ponad czterdziestu tysięcy rozmów, co odpowiada liczbie wszystkich transatlantyckich rozmów satelitarnych w czasach zimnej wojny. Światłowody zamieniały informację - rozmowy telefoniczne, e-maile i faksy - w strumień światła, który mknął pojedynczym włóknom szklanym średnicy ludzkiego włosa. Większość kabli morskich zawierało osiem takich włókien. Ale wydobycie z nich danych wymagało zanurzenia się w czarnej otchłani oceanu, co było zadaniem niebezpiecznym i prawie niemożliwym do wykonania.

- Nawet gdyby mieli czas i możliwości, musieliby stracić sto lat na odsłuchanie miliona transatlantyckich rozmów. Haluks cioci Sary, złamana noga wujka Johna, przypalone ciasto babci Heleny. Wątpię.

- Właśnie - zgodziła się z nim Randy.

Weszli do gabinetu i Smith wybrał numer. Czekaając, przystawił sobie krzesło i usiadł.

Howell oparł się o biurko, a Randi usiadła w miękkim starym bujaku.

- Gabinet pułkownika Hakkima, słucham. - Głos kobiety, dziarski i głośny.

- Debbie? Mówi Jon Smith. Muszę porozmawiać z Newtonem, to pilne.

- Chwileczkę.

Szum, chwila dziwnej ciszy i zaniepokojony głos:

- Jon? Co się dzieje?

- Jestem w Madrycie i chcę, żebyś coś dla mnie zrobił. Mógłbyś posłać kogoś do pokoju numer 2E377 w bloku E Wydziału Zaopatrzeniowo-Leasingowego? Będzie tam sekretarka.

Niech powie swojemu szefowi, żeby zadzwonił do Zapaty pod numer, który ci podam, dobra?

Do Zapaty, pamiętaj. Zrobisz to dla mnie?

- Powiesz mi, o co tu chodzi i kto tam tak naprawdę pracuje?

- Nie.

- W takim razie pójdę tam sam.

- Dzięki.

Głos Newtona był chłodny i opanowany, lecz Jon słyszał w nim wyraźną nutkę niepokoju.

- Kiedy wrócisz, będziesz mi musiał o tym opowiedzieć.

- Jasne. - Smith odłożył słuchawkę i spojrzał na zegarek. - Powinno mu to zająć jakieś dziesięć minut, to dość daleko. Dodajmy do tego dwie minuty zapasu na coś nieprzewidzianego... Odezwą się góra za dwanaście minut.

- Wydział Zaopatrzeniowo-Leasingowy? - rzuciła Randi. - Ładna przykrywka.

- Ładna - odparł dyplomatycznie Smith.

Peter przytknął palec do ust, ostrożnie podszedł do zamkniętego okna wychodzącego na balkon, lekko rozsunął żaluzje, wyjrzał na ciemną ulicę i zamarł, wsłuchując się w dochodzą-

ce z dołu odgłosy: warkot ciężarówek na ruchliwej Gran Via, trzask samochodowych drzwiczek, śpiew jakiegoś pijaka, smętne pobrząkiwanie gitary, czyjeś wołanie.

Howell odszedł od okna i z ulgą opadł na sofę.

- Fałszywy alarm. Tak myślę.

- Co się stało? - spytała Randi.

- Wydawało mi się, że z ulicy doszedł mnie dziwny dźwięk. Słyszałem go już kilka razy i wiem, że trzeba wtedy brać nogi za pas.

- Dźwięk? - powtórzył Smith. - Nie słyszałem nic podejrzanego.

- I właśnie o to chodzi, chłopcze. To gwizd, cichuteńki gwizd. Przypomina odległy, powoli milknący gwizd lelka. Mało kto go słyszy, bo wtapia się w nocne odgłosy. Jest jak delikatny szum wiatru, jak szelest rozspanego, przewracającego się na bok zwierzęcia. Słysza-

łem go w północnym Iranie, na granicy z republikami byłego Związku Radzieckiego.

I w roku osiemdziesiątym, w Afganistanie, podczas tej barbarzyńskiej jatki. To sygnał plemion muzułmańskich z Azji Środkowej, od przełęczы Chajber po Morze Azowskie.

- Ci z Tarczy? - spytał Jon.

- Możliwe. Ale nie słyszałem odpowiedzi. Skoro tak, pewnie mi się tylko zdawało.

- A często ci się tak zdaje? - spytał Smith.

Na dźwięk telefonu omal nie podskoczyli. Jon podniósł słuchawkę. - Sieć już działa -

powiedział Fred Klein - ale nasi spece ostrzegają, że tamci mogli złamać kody, dlatego do odwołania nie używamy łączności elektronicznej. Ani radiowej, bo rozmowę radiową jeszcze łatwiej podsłuchać. Zmieniamy wszystkie kody dostępu i wprowadzamy najnowsze zabezpieczenia. Powiedzieliśmy im o tym komputerze i muszą dać z siebie wszystko. Co robisz w Madrycie? Czego dowiedziałeś się w Toledo?

- Czarny Płomień to tylko przykrywka - zaczął bez wstępów Jon. - Stoi za tym Tarcza Półksiężyc. Emile Chambord żyje. Niestety, ci z Tarczy mają jego, jego córkę i komputer.

109

Zapadła długa cisza.

- Widziałeś Chamborda? - spytał zdumiony Klein. - Skąd wiesz, że mają ten komputer?

- Rozmawiałem z nim i z nią. Ale komputera tam nie było.

- A więc Chambord żyje... To wyjaśniałoby, jakim cudem tak szybko uruchomili tę maszynę. Sprawa jest dużo niebezpieczniejsza, niż myśleliśmy. Zwłaszcza że mają też jego cór-kę. Mogą go szantażować.

- Na pewno.

Umilkli.

- Powinien był pan go zabić, pułkowniku - powiedział Klein.

- Fred, komputera tam nie było. Chciałem wydostać go żywego, żeby zbudował dla nas taki sam, żebyśmy mogli stawić czoło tamtym. Skąd wiemy, co im powiedział? Może wy-

śpiewał tyle, że może go teraz zastąpić inny naukowiec.

- Jon, a jeśli nie trafi ci się druga okazja? Jeśli nie znajdziemy w porę ani jego, ani tej przeklętej maszyny?

- Znajdziemy.

- To samo powtarzam prezydentowi, ale obaj wiemy, że cudów nie ma, że następnym razem będzie o wiele trudniej.

Teraz z kolei zamilkł Smith.

- Oceeniłem sytuację - powiedział po chwili. - Za to mi płacicie. Jeśli dojdę do wniosku, że nie dam rady odbić Chamborda albo zniszczyć komputer, zabiję go. Zadowolony?

Głos Kleina był twardy jak stężały beton.

- Mogę na pana liczyć, pułkowniku? Czy mam wysłać kogoś innego?

- Nikt nie wie tego co ja, zwłaszcza teraz.

Gdyby rozmawiali przez wideotelefon, pewnie mierzyliby się wzrokiem. W końcu Klein cicho odetchnął.

- Opowiedz mi o tych z Tarczy Półksiężycy. Nigdy o nich nie słyszałem.

- Bo są nowi i trzymają się w cieniu. To grupa skupiająca islamistów z całego świata.

Skrzyknął ich do tego zadania człowiek nazwiskiem Mauritania. Mauritania...

- Wiem, kto to jest. Aż za dobrze. Pół-Arab, pół-Berber miotany wściekłością i niepokojem o los swego biednego, głodującego kraju i zaraźliwą muzułmańską nienawiścią do globa-lizacji.

- Która motywuje ich jeszcze bardziej niż religia.

- Tak. Co zamierzasz?

- Jest tu Randi Russell i Peter Howell. - Opowiedział mu, jak trafili na farmę islamistów.

- Howell i Russell? - powtórzył z wahaniem Klein. - CIA i MI-6? Co im sprzedałeś?

- Są tutaj, przy mnie - odrzekł Jon, dając mu do zrozumienia, że nie może mówić.

- O Jedyńce im chyba nie powiedziałaś?

- Oczywiście, że nie. - Smith z trudem zapanował nad rozdrażnieniem.

- Dobrze. Współpracuj z nimi, ale trzymaj język za zębami. Zrozumiano?

Jon puścił to ostrzeżenie mimo uszu.

- Potrzebujemy wszystkich możliwych informacji na temat przeszłości Mauritanii. Jego nawyków, sposobów działania, kryjówek, miejsc, gdzie można by go odnaleźć...

- Powiem ci jedno - przerwał mu Klein. - Na pewno wybrał bezpieczne schronienie i cel ataku, który nam się ani trochę nie spodoba.

- Na jak długo założyliście szlaban na elektronikę?

- Do odwołania. Niewykluczone, że aż do chwili gdy znajdziemy ten komputer. Przechodzimy na kurierów, martwe skrzynki kontaktowe, kody werbalne i manualne, napowierzchniowe linie telefoniczne i światłowody tych z dyplomacji. Gdyby tamci próbowali się do nich podłączyć, wykryjemy to w ciągu kilku sekund. Działaliśmy tak kiedyś, może my działać i teraz. Komputer molekularny im nie pomoże. Świetnie pograłeś, dzwoniąc do 110

pułkownika Hakkima. Podam ci mój nowy numer, żebyś mógł kontaktować się ze mną bezpośrednio.

Klein podał mu numer i Jon go zapamiętał.

- Co z generałem Henze i tym salowym, który próbował zabić Zellerbacha? - kontynuował szef Jedyńki.

- Fałszywy alarm. To był Peter. Ci z MI-6 kazali mu pilnować Marty'ego. Uciekł, bo nie chciał się zdekonspirować. Pojechał do Henzego, żeby pogadać z jego sierżantem. - Smith wyjaśnił dyrektorowi, dlaczego Howell chciał rozmawiać z Matthiasem.

- Telefon z kwatery głównej NATO? Cholera, kiepsko to brzmi... Skąd wiesz, że Howell nie łże?

- Bo wiem - odparł bez wahania Jon. - W kwaterze głównej NATO pracuje wielu ludzi i zastanawia mnie niejaki Bonnard. Kapitan Bonnard. Ci z Czarnego Płomienia czekali na mnie w Toledo, więc

albo mnie śledzili, albo ktoś dał im cynk. Bonnard jest adiutantem Rolanda la Porte'a. Generał La Porte...

- Wiem. Jest zastępcą naczelnego dowódcy Połączonych Sił Zbrojnych NATO w Europie.

- Właśnie. To Bonnard powiedział mi o odciskach palców i próbkach DNA w aktach Chamborda, co miało być dowodem, że Chambord nie żyje. I to on dostarczył generałowi materiałów na temat Czarnego Płomienia i Toledo. Idealnie się ustawił. Nie ma lepszego miejsca dla szpiega. Występując w imieniu La Porte'a, ma dostęp do wszystkiego, co chce, niemal do wszystkich materiałów NATO, a już na pewno do francuskich i większości krajów europejskich.

- Prześwietlę ich, tego Bonnarda i Matthiasa. A teraz jedź do Henzego. Facet ma najpeł-

niejsze dane na temat grup terrorystycznych z całego świata i ich sojuszników. Jeśli coś znaję, przekażę to jemu.

- To wszystko?

- Tak, to... Nie, zaczekaj! Cholera jasna. Przez Chamborda i tych przeklętych islamistów zapomniałem o Zellerbachu. Właśnie dzwonił do mnie z Paryża. Godzinę temu Zellerbach zaczął mówić. Nagle, ni z tego, ni z owego. Pełnymi zdaniem. A potem zasnął. Powiedział

niewiele, a to, co powiedział, było niezrozumiałe. Pewnie odezwał się ten jego syndrom. Ale w drodze do Brukseli wpadnij do Paryża.

- Będę tam góra za dwie godziny - odrzekł podekscytowany Jon.

Odłożył słuchawkę, niemal śmiejąc się z ulgi. -Marty wyszedł ze śpiączki!

- To cudownie! - Rozradowana Randi zarzuciła mu ręce na szyję. Smith objął ją, przytulił i podniósł do góry.

Siedzący na sofie Howell przekrzywił głowę i wyteżył słuch. Nagle zerwał się na równe nogi.

- Cicho!

Podbiegł do okna, nachylił się i zastygł bez ruchu. Szczupły i znakomicie umięśniony, przypominał napiętą sprężynę.

- Słyszałeś coś? - szepnęła zdenerwowana Randi.

Peter kiwnął głową.

- Tak. Ten sam gwizd. Tym razem się nie mylę. To sygnał. Lepiej...

Z góry doszło im cichutkie zgrzytnięcie metalu o kamień. Jon podbiegł do schodów i przytknął ucho do ściany.

- Ktoś jest na dachu - ostrzegł.

I wtedy to usłyszeli: dziwny dźwięk, wietrzny gwizd, tchnienie wiatru, odgłos, jaki wydaje powietrze przeciskające się przez zęby śpiącego niespokojnym snem człowieka, cichutki gwizd samotnego nocnego ptaka. Dochodził nie tylko z ulicy, ale i z góry. Wzięli ich w dwa ognie.

111

Rozdział 18

Ostry trzask wyważanych drzwi; znak, że atak już się rozpoczął. Randi poderwała głowę.

- Schody!

Z gotowym do strzału pistoletem maszynowym w rękach wypadła z gabinetu. Gdy mijając Smitha, jej długie jasne włosy przecięły powietrze niczym błyskawica.

Howell posępnie wykrzywił twarz i popędził do balkonowych drzwi, gasząc po drodze światło.

- Sprawdź tylne okna! - rzucił.

Smith wbiegł do ciemnej sypialni. Randi na schodach pochyliła się i oddała serię trzech dobrze mierzonych strzałów w dół. Rozległ się krzyk, tupot nóg i huk dwóch wystrzałów.

Randi wstrzymała ogień.

Zapadła głucha cisza. Jon wyjrzał przez okno. Zdawało się, że na mrocznym podwórzu są jedynie cienie, ławki i tonące w księżycowej poświacie drzewa. Wypatrywał jakiegoś ruchu, gdy wtem usłyszał przytłumione szuranie w sąsiednim pomieszczeniu.

Zajrzał tam od progu. Dobiegł go zdławiony jęk. Howell kucnął przy znieruchomiałym na podłodze mężczyźnie w czarnej kominiarce, czarnym ubraniu, grubych czarnych rękawiczkach i w płaskiej czapce podobnej do tych, które noszą afgańscy mudżahedini.

- Jak to miło, że nie wyszedłeś z wprawy. - Jon minął Howella i wyjrzał na balkon. Balkon był pusty, z dachu zwisała nylonowa lina. - Niezbyt sprytne, ale skuteczne.

Peter wytarł sztylet w spodnie martwego terrorysty.

- Myślał, że zachowuje się cicho jak myszka. - Odchylił kominiarkę, odsłaniając wściekle wykrzywioną twarz, brązową i spaloną słońcem, i krótko przystrzyżoną brodę. - Mam plan. Jeżeli nie

mylę się co do ich planu, powinien zadziałać.

- A jeśli się mylisz?

Od strony schodów buchnęła kolejna salwa, rozległ się kolejny krzyk i w domu ponownie zapadła upiorna cisza. Howell wzruszył ramionami.

- Wtedy będziemy ugotowani, jak powiedziała kura do koguta.

Smith przykucnął w mroku.

- Dobra, wal.

- Zgoda, utknęliśmy w pułapce. Ale tamci nie wiedzą, co teraz robić, bo okazuje się, że mamy ostre szpony. Huk wystrzałów ściągnie im na kark policję. Zdają sobie z tego sprawę, dlatego muszą szybko zaatakować. Wymuszony atak to atak nieostrożny i źle skoordynowany. Szturmowali otwarcie, z ulicy, pewnie po to, żeby odciągnąć naszą uwagę i osłonić tego tu obywatela. - Wskazał zwłoki u swych stóp. - Miał zająć balkon, żeby reszta mogła zejść z dachu i udupić nas od góry.

- To dlaczego jeszcze nie schodzą? Na co czekają?

- Pewnie na sygnał od tego sukinsyna. To był ich słaby punkt i chyba możemy go wykorzystać. - Howell naciągnął kominiarkę na głowę i wyszedł na balkon.

Sekundę później Smith ponownie usłyszał cichutki gwizd, zaraz potem na górze skrzypnęły drzwi. Stare, wypaczone drzwi wychodzące na dach, jak w wielu madryckich domach.

Peter wycofał się do pokoju.

- Powinno zadziałać - szepnął.

Jon wpadł do sypialni i jednym strzałem roztrzaskał swój laptop. Miał uciekać i nie chciał, żeby komputer mu przeszkadzał. Potem wbiegł na półpiętro.

112

- Puść serię i chodź.

Randi pociągnęła za spust i popędziła za nim na balkon. Howell już wspinał się po linie

- Smith przytrzymał ją obiema rękami, a koniec przydeptywał nogą.

Randi zerknęła w dół. Na ulicy było pusto, lecz niemal czuła na sobie spojrzenia ludzi, którzy kryli

się w bramach i za oknami, gotowi w każdej chwili uciec, przerażeni, a jednocze-

śnie zafascynowani przemocą i niebezpieczeństwem. Odezwał się w nich atawistyczny instynkt myśliwego, odwieczna wola przetrwania, którą mieli już jaskiniowcy z Cro-Magnon, i która wpływała na tyle ludzkich poczynań.

Peter był już na dachu. Jon spojrzął na Randi.

- Teraz ty - szepnął. - Szybko!

Randi przerzuciła pistolet przez ramię, stanęła na balustradzie i zaczęła się wspinać po linie. Howell wystawił głowę zza okapu, żeby sprawdzić, jak sobie radzi. Zasalutował i zniknął, błyskając zębami jak kot z Cheshire. Randi przyspieszyła, wiedząc, że przytrzymujący li-nę Jon na balkonie jest jak na widelcu.

Smith rozglądał się wokoło, wypatrując kłopotów. Broń była bardzo daleko, chociaż tkwiła po prostu w kaburze. Co chwilę podnosił głowę, zerkał na Randi i ze ściśniętym sercem myślał, jak łatwym jest teraz celem. Raptem doszedł go odgłos kroków. Tamci przeszukiwali pokoje na drugim piętrze. Lada chwila przyjdą tutaj. W tym samym momencie w oddali zajęczały policyjne syreny. Tak, radiowozy jechały w ich stronę.

Z ulgą patrzył, jak Randi znika za okapem. Wskoczył na balustradę i błyskawicznie przekładając ręce, ocierając sobie palce i dłonie na twardym nylonie, zaczął się szybko wspinać. Jak dotąd miał szczęście, ale musiał wejść na dach, zanim terroryści znajdą ciało swego towarzysza i zanim przybędą tu radiowozy. To, żeby policja ich nie dopadła, było niemal równie ważne jak wyjście cało z opresji.

Z dołu dobiegł go stek przekleństw po arabsku. Terroryści znaleźli trupa i roztrzaskany laptop. W tej samej chwili Smith dotarł do okapu. Podciągnął się silnie ostatni raz i nie puszczając liny, żeby nie spaść, wylądował na łagodnym, pokrytym czerwonymi dachówkami dachu. Dostrzegł czubek głowy Howella i w tym samym momencie zaczął zsuwać się w dół, lecz Randi chwyciła go za ramiona, dzięki czemu nie spadł i nie roztrzaskał się na kamiennych płytach. Przetoczył się przez ramię, wstał i popatrzył wokoło. Byli w małym ogrodzie.

- Dobra robota. - Howell przeciął linę i jej część smyrgnęła za okap dachu. Ktoś gniewnie krzyknął, przeraźliwie wrzasnął i ciężko runął na balkon.

Randi, Jon i Peter bez słowa podeszli wyżej, przytrzymali się szczytu, wstali i niezdarnie, okrakiem, pobiegli przed siebie. Przodem biegł Jon, przeskakując dziury, omijając ptasie gniazda, ostrożnie stawiając nogi, żeby nie poślizgnąć się i nie spaść w pięciopiętrową przepaść. Domy stały jeden przy drugim, równym szeregiem, i byli pięć dachów dalej, gdy na dach domu MI-6 wypadli terroryści.

Rozległ się lękliwy świst przecinających powietrze i rykoszetujących kul. Runęli na dach po drugiej stronie, tak że widać było tylko ich palce, którymi przytrzymywali się chropowatych dachówek pokrywających szczyt. Na Calle Dominguin wjechały z rykiem policyjne radiowozy. Usłyszeli gniewne okrzyki i tupot nóg.

- *Cuidado!*

- *Vamos a sondear el ambiente!*

Podczas gdy policjanci się naradzali, Jon myślał o taktyce ścigających ich terrorystów.

- Spróbują wyprzedzić nas dołem, wejść do pierwszego lepszego domu, wdrapać się na górę i wziąć nas z dwóch stron.

Randi milczała. Latarnie były roztrzaskane, więc policyjne radiowozy stały na środku ulicy, oświetlając jasne, otwarte na oścież drzwi.

- To Policia Municipal-powiedziała, gdy policjanci przycupnęli za samochodami ze strzelbami, których lufy sterczały na wszystkie strony jak kolce jeża. Jeden z nich zaczął coś 113

wykrzykiwać do mikrofonu przenośnej radiostacji. - Pewnie wzywa posiłki, tych z Guardia Civil. To ich grupa antyterrorystyczna. Kiedy przyjadą, lepiej, żeby nas tu nie było. Mają zbyt dużą siłę ognia i będą zadawali zbyt wiele trudnych pytań.

- Popieram - mruknął Howell.

Randi wyteńczyła słuch.

- Mówią, że mają świadka, który widział napastników, i myślą, że to terroryści.

- I dobrze, będzie nam lżej.

Smith dostrzegł czyjaś głowę nad balustradą balkonu domu MI-6 i zaraz potem padła seria z uzi. Jon podciągnął się lekko, zaparł łokciami o szczyt dachu, starannie wymierzył i odpowiedział ogniem. Tamten krzyknął, zaklął i trzymając się za zakrwawione ramię, zniknął

mu z oczu.

- Będą nas tu trzymali, dopóki ich kumple nie wyprzedzą nas dołem - powiedział Smith.

- W takim razie ruszajmy. - Howell zlustrował okolicę. – Widzicie ten wyższy dom na końcu rzędu? Gdybyśmy dali radę tam dotrzeć i wejść na dach, przeszlibyśmy dalej, do dwóch następnych, a stamtąd na sąsiednią ulicę i łatwiej by nam było ich zgubić.

Zza muru otaczającego ogródek na dachu domu MI-6 wychyły głowy terrorystów i ponownie gruchnęła długa seria z broni maszynowej. Jon, Randi i Peter skryli się za szczytem dachu, lecz gdy tylko tamci przestali strzelać, szybko wstali, odpowiedzieli ogniem i kiedy terroryści przypadli do ziemi, puścili się pędem przed siebie. Byli już blisko celu, gdy z tyłu ponownie buchnął gard kul i wielojęzyczny krzyk. Kule rozorały ścianę domu i roztrzaskały szyby, siejąc przerażenie wśród jego mieszkańców.

- Do środka! - Smith zanurkował w jedno z wybitych okien. Na sąsiadujących ze sobą łóżkach sztywno siedziały dwie wystraszone kobiety w szlafrokach, z podciągniętymi pod brodę kocami i z wytrzeszczonymi oczami. Darty się, jakby obdzierano je żywcem ze skóry.

Randi i Peter poszli w ślady Jona. Peter upadł, przetoczył się po podłodze, wstał, uklonił się nisko i przeprosił je płynnym kastylijskim:

- *Lo siento.*

Przebiegli przez mieszkanie i wypadli na szeroki korytarz. Któreś z nich zostawiało za sobą krwawy ślad na podłodze.

Minęli windę i schodami ewakuacyjnymi wbiegli na płaski dach.

- Kto jest ranny? - wydyszał Smith. - Randi?

- Chyba wszyscy, a najbardziej ty. - Wskazała palcem jego ramię.

Miał rozerwaną koszulę, mocno poharataną rękę - skaleczenia były długie, wystrzępione i dość głębokie - i zakrwawiony policzek, który rozciął sobie na sterczących odłamkach szkła, gdy przez roztrzaskane okno wskakiwał do mieszkania. Randi i Peter wyglądali dużo lepiej, bo mieli tylko kilka siniaków i parę krwawych otarć.

Jon oderwał lewy rękaw i podczas gdy Randi bandażowała mu ramię, Peter uważnie obserwował skrzyżowanie z Calle Dominguin.

Randi zerknęła na długi, szeroki dach tuż za nimi.

- Moglibyśmy ich tu zatrzymać, ale to bez sensu. Pogorszylibyśmy tylko swoją sytuację, zwłaszcza gdyby policja wezwała posiłki.

- Tak czy inaczej, będzie ciężko - rzucił Howell, wciąż spoglądając w dół. - Tamci już nas wyprzedzili i jest ich tylu, że obstawią wszystkie wyjścia.

Randi przekrzywiła głowę i przez chwilę uważnie nadsłuchiwała.

- Lepiej coś zrobmy, i to szybko. Wchodzą na górę.

Zawiązała bandaż, otworzyła drzwi na dach. Trzech zamaskowanych terrorystów -jeden miał uzi, drugi rosyjskiego kałasznikowa, trzeci starego lugera - było już w połowie schodów.

Przodem biegł przysadzisty zbir z tak długą czarną brodą, że wystawała mu spod kominiarki.

Randi bez wahania nacisnęła spust i ten z brodą runął do tyłu na swoich towarzyszy. Jeden z nich, mężczyzna w luźnych, obszernych dzinsach i czarnym podkoszulku, przeskoczył

nad trupem przysadzistego brodacza i otworzywszy ogień, ruszył w górę schodów. Randi zastrzeliła i jego, a trzeci uciekł, potykając się w panice o własne nogi.

Howell puścił się biegiem przed siebie.

- Tam! - krzyknął. - Na dach!

Popędzili za nim, przeskoczyli na dach sąsiedniego domu i nie zatrzymując się, pognali dalej. Terrorysta, który przed chwilą uciekł, musiał zebrać się na odwagę. Wrócił i strzelał do nich ze starego lugera, lecz byli już tak daleko, że nie trafiłby, nawet gdyby stali nieruchomo.

- Cholera jasna! - Randi zatrzymała się gwałtownie.

Trzy domy dalej, na dachu budynku przy ulicy równoległej do Calle Dominguin dostrzegli czterech mężczyzn. Ich czarne sylwetki - wszyscy czterej byli uzbrojeni w karabiny -

rysowały się wyraźnie na tle rozgwieżdżonego nieba.

- Słyszycie? - szepnął Jon.

Na Calle Dominguin wjechało z hurkotem kilka ciężkich pojazdów. Łump! Łump!

Łump! - stukot buciorów, tupot nóg, szczekliwe rozkazy po hiszpańsku. Przybył oddział antyterrorystyczny. Kilka sekund później ponownie zabrzmiał cichutki, ledwo słyszalny gwizd.

Dochodził nie wiadomo skąd i zawisł w powietrzu niczym delikatne tchnienie wiatru. Zanim ucichł, mężczyźni na dachu trzy domy dalej odwrócili się, podbiegli do drzwi i znikli.

Howell zerknął przez ramię. Terrorysty z lugerem też już nie było.

- Wycofują się sukinsyny - powiedział z ulgą. - Teraz musimy tylko wykołować policję, co nie będzie łatwe. To ci z Guardia Civil.

- Musimy się rozdzielić - zdecydował Smith. - I się przebrać.

Peter popatrzył na Randi.

- Zwłaszcza nasza dama. Czarne, obcisłe rajstopki, i tak dalej...

Randi przeszła go zimnym spojrzeniem.

- Wasza dama na pewno sobie poradzi, dzięki za troskę. Ustalmy, dokąd jedziemy. Ja do Paryża.

Chcę zobaczyć się z Martym i z szefem tamtejszej placówki CIA.

- Ja też - powiedział Howell.

- A ty, Jon? - spytała niewinnie Randi. - Do centrali? Złożyć meldunek?

Smithowi zabrzmiał w uszach głos Kleina: „Nic im nie mów”.

- Do kwatery głównej NATO. Złapię was w Brukseli.

- Jasne, nie ma sprawy - odrzekła z uśmiechem Randi. - Dobra, załatwiamy swoje sprawy i spotykamy się w Brukseli. Znam właściciela Cafe Egmont na starym mieście. Zostaw mu wiadomość. Ty też, Peter.

Życzyli sobie szczęścia i Randi pobiegła lekko w stronę drzwi. Czarne obcisłe ubranie, jasne włosy - wyglądała zabójczo. Jon i Peter patrzyli za nią, a gdy drzwi się zamknęły, Howell - szczupła, smukła sylwetka, nieprzenikniona twarz - ruszył do schodów ewakuacyjnych.

Zostawszy sam, Jon podszedł do krawędzi dachu i spojrzał w dół. Uzbrojeni po zęby antyterrorysty, wszyscy w kamizelkach kuloodpornych, właśnie się rozpraszali. Nie było żadnych krzyków, żadnych rozkazów, nic tylko metodyczny ruch, dobrze zorganizowany manewr: Po terrorystach nie było już ani śladu.

Smith przebiegł po dachach do ostatniego domu w rzędzie i zszedł na klatkę schodową.

Przed każdymi drzwiami przystawał i nadśluchiwał. Na drugim piętrze znalazł to, czego szukał: w środku grał telewizor. Po chwili ktoś go ściszył, skrzypnęło otwierane okno i rozległ

się głos jakiegoś mężczyzny:

- *Que paso, Antonio?*

Odpowiedział mu ktoś z ulicy:

- Nie słyszałeś tej strzelaniny? To terroryści, wszędzie jest pełno policji.

- *Despues de todo lo ocurrido, eso nada mas me faltaba. Adios!*

Okno się zamknęło. Jon czekał, aż mężczyzna zagada do kogoś w mieszkaniu, ale tamten podkręcił tylko głośność i znowu usiadł przed telewizorem.

Smith załomotał do drzwi i stanowczym głosem zawołał:

- *Policia! Otwierać!*

Mężczyzna zaklął. Drzwi otworzyły się na oścież i w progu stanął tęgi mężczyzna w szlafroku.

- Cały czas siedziałem...

Jon wbił mu w brzuch lufę pistoletu.

- Bardzo mi przykro. Do środka, *por favor*.

Pięć minut później, w spodniach, sportowej marynarce, w białej koszuli z rozpiętym kołnierzykiem i w o wiele za dużym szlafroku, związał Hiszpana, zakneblował go i zbiegł na dół, gdzie dołączył do grupy zaniepokojonych mieszkańców, którzy obserwowali poczynania policji. Ubrani na czarno antyterrorysty wbiegli do środka, ale dwóch zostało na ulicy, żeby przesłuchać gapiów. Każdemu zadawali po kilka pytań i odsyłali ich do domu.

W końcu doszli do Smitha. Powiedział im, że nic nie widział, mieszka w sąsiednim budynku, który już przeszukano. Kazali mu wracać i zajęli się kolejnym gapiem. Gdy się od-wrócili, Jon przeszedł na drugą stronę ulicy, mrocznym chodnikiem smyrnął za róg i tam zrzucił przyduży szlafrok.

Na stacji metra San Bernardo wsiadł do pierwszego lepszego pociągu, z sąsiedniego siedzenia wziął porzuconą „El Paise”, jedną z popularnych madryckich gazet, i ukrywając za nią twarz, kątem oka uważnie obserwował współpasażerów. Wkrótce potem przesiadł się na pociąg linii numer osiem, by dojechać na Aeropuerto de Barajas. Przed wejściem do hali odlotów znalazł duży kosz na śmieci. Rozejrzał się szybko, wrzucił tam sig sauera i z żalem patrzył, jak pistolet znika między brudnymi papierowymi kubkami i papierami. Dla pewności przykrył to wszystko gazetą i odszedł.

W skradzionym ubraniu, mając przy sobie jedynie portfel, paszport i telefon komórkowy, kupił bilet na najbliższy lot do Brukseli. Potem zadzwonił pod nowy numer Kleina - przy okazji podziękował Bogu, że numer wciąż działa - poprosił, żeby dostarczono mu do Belgii nowe ubranie, mundur i broń, po czym usiadł w poczekalni i pograżył się w lekturze powieści detektywistycznej.

Wejście dla pasażerów odlatujących do Brukseli było ledwie kilka kroków dalej, lecz Randi tam nie dostrzegł. Na dziesięć minut przed odlotem naprzeciwko niego usiadła wysoka muzułmanka w tradycyjnym czarnym nakryciu głowy i w długich czarnych szatach. Jon obserwował ją kątem oka. *Puszi* i *abaja* szczelnie okrywały nie tylko jej twarz, ale i całe ciało, łącznie z dłońmi. Siedziała nieruchomo ze skromnie spuszczonego wzrokiem.

I nagle Smith usłyszał dziwny dźwięk, cichutki gwizd, coś jakby szept wiatru. Drgnął.

Wiatr? W tym nowoczesnym, tętniącym życiem budynku? Niemożliwe. Spojrzał na muzułmankę i natychmiast pożałował, że nie ma przy sobie sig sauera.

Kobieta wyczuła, że na nią patrzy. Podniosła wzrok, spojrzała na niego odważnie, pu-

ściła do niego oko i pokornie pochyliła głowę. Jon omal nie parsknął śmiechem. Niech to szlag. Howell znowu go nabrał. Ponownie dobiegł go ten sam cichutki dźwięk: Peter gwizdał

Rule Britania. Zawsze uwielbiał kawały i przebieranki.

Wywołano jego lot i Jon ze ściśniętym żołądkiem rozejrzał się wokoło w poszukiwaniu Randi. Odeszła jako pierwsza. Do tej pory powinna już tu być...

Zostawiwszy na dachu Petera i Jona, Randi zbiegła schodami na dół. Biegając, pukała do wszystkich drzwi, wreszcie znalazła to, czego szukała: w jednym z mieszkań na parterze nikogo nie było. Otworzyła wytrychem zamek, szybko weszła do środka i równie szybko znalazła szafę pełną krzykliwych kobiecych ubrań. Wybrała rozkloszowaną spódnicę -

zaprojektowaną chyba dla zawodowej tancerki flamenco - ładną bluzkę i zapinane buciki na 116

wysokim obcasie. Rozpuściła długie, puszyste włosy i ukryła pod spódnicą pistolet maszynowy.

W kamienicy było cicho i spokojnie. Gdy doszła do głównego holu, pełnego sztucznych palm i kosztownych wschodnich dywanów, trochę się odprężyła. Lecz w tym samym momencie przez szybę we frontowych drzwiach zobaczyła pięciu zamaskowanych mężczyzn, którzy biegli w jej stronę, nerwowo zerkając przez ramię, jakby ktoś ich ścigał. Ogarnął ją strach. Terrorysty!

Wyjęła broń, odwróciła się, otworzyła drzwi pod schodami i zbiegła do ciemnej piwnicy. Ciężko oddychając, wytężyła słuch. Na górze otworzyły się drzwi. Czym prędzej uciekła od światła, w biegu rozgarniając pajęczyny. Tupot nóg, trzask drzwi i aksamitna ciemność.

Tamci rozmawiali po arabsku i wiedziała już, że jej nie zauważyli. Oni też się ukrywali.

Na ulicy zapiszczały hamulce i przed kamienicą stanął ciężki pojazd. Zadudniły kroki, padły wydawane po hiszpańsku rozkazy. Guardia Civil wciąż szukała terrorystów.

Ci w piwnicy byli czymś poirytowani. Rozmawiali głosami przyciszonymi i gniewnymi:

- Kim ty jesteś, Abu Auda, żeby kazać nam umierać za Allacha? Nigdy w życiu nie byłeś ani w Mekce, ani w Medynie. Mówisz po naszymu, ale w twoich żyłach nie płynie ani jedna kropla krwi Proroka. Jesteś Fulani, pospolitym kundlem!

- A ty jesteś tchórzem, który nie zasługuje na imię Ibrahima - odrzekł głęboki, szyderczy głos. - Skoro wierzysz w Proroka, dlaczego boisz się umrzeć śmiercią męczennika?

- Ja się boję? Nie, czarnuchu. Nie o to chodzi. Dzisiaj przegraliśmy. Ale tylko dzisiaj.

Nadejdą lepsze czasy. Bezsensowna śmierć to obraza dla islamu.

- Trzęsiesz się ze strachu jak baba, Ibrahim - odezwał się pogardliwie trzeci głos.

I głos czwarty:

- Ibrahim nie jest tchórzem i wielokrotnie to udowodnił. Walczy dłużej, niż życie. Jesteśmy wojownikami, nie fanatykami. Niechaj mułowie i imamowie mówią sobie o dżihadzie i męczeństwie. Ja mówię o zwycięstwie, a hiszpańskie więzienia mają wiele drzwi, którymi bojownicy Allacha mogą spokojnie wyjść.

- A więc chcesz się poddać? - spytał spokojnie głęboki głos. – Ty też, Ibrahim? I ty, Ali?

- To mądry krok - odrzekł Ibrahim drżącym głosem. – Mauretania nas szybko uwolni.

Potrzebuję dzielnych wojowników, żeby zadać wrogom śmiertelny cios.

- Dobrze wiecie, że nie ma na to czasu - odrzekł ktoś niecierpliwie i z pogardą. - Musimy się przebić albo zginąć w imię Allacha.

Dalsze argumenty tych, którzy chcieli się poddać, zagłuszyło ciche „puff! Jedno, drugie i trzecie. Pistolet z tłumikiem. Trzy strzały, najprawdopodobniej z tej samej broni. I cisza. Sekundy ciągnęły się jak długie minuty. Randi wycelowwała w ciemność. Nerwy miała napięte do ostateczności.

W końcu odezwał się ten trzeci, ten, który gotów był umrzeć za Allacha:

- Mnie też zabijesz, Abu Auda? Tylko ja cię poparłem.

- Niestety, za bardzo przypominasz Araba i nie mówisz po hiszpańsku. Każdego można złamać, każdy może wyjawić to, co wie. Za duże ryzyko. Ale jeden czarnoskóry, czarnoskóry mówiący po hiszpańsku, może stąd uciec.

Randi niemal słyszała, jak ten drugi skinął głową.

- Pozdrowię od ciebie Allacha, Abu Audo. Chwała Allahowi!

Przytłumiony wystrzał. Randi drgnęła. Chciała zobaczyć jego twarz, twarz człowieka, który przyjaciela potrafił zabić równie łatwo jak wroga. Twarz Abu Audy.

Przeszedł ją zimny dreszcz. Wycofała się, słysząc jego kroki. Przesuwała lufę broni, śledząc je na oślep. Kilka sekund później dobiegło ją westchnienie ulgi, gdy trzy metry wyżej, po jej prawej stronie, otworzyły się drzwi. Do środka wpadła smuga księżycowego światła i wtedy go zobaczyła: ciemnoskórego olbrzyma, ubranego jak zwykły hiszpański robotnik.

Wyszedł w noc i podniósł głowę, jakby dziękował Bogu za wolność. Gdy odwrócił się, szukając klamki, w jego dziwnych, zielonobrazowych oczach rozbłysło odbite od okna światło.

Zanim zamknął drzwi, Randi przypomniała sobie, gdzie go widziała: to on był ubranym na biało Beduinem, który dowodził atakiem na farmę pod Toledo. Teraz wiedziała już, jak się nazywa: Abu Auda. Korciło ją, żeby pociągnąć za spust, ale nie miała odwagi. Nie, mogła go przecież... wykorzystać.

Gwałtownie się odwróciła. W drugim końcu piwnicy błysnęło światło. Otworzyły się drzwi, na schodach zadudniły kroki. Guardia Civil.

Wziąwszy się w garść, policzyła do dziesięciu, nacisnęła klamkę i wyszła na podwórze.

Gdzieś zaszczekał pies, ulicą przejechał samochód. Zwyczajne nocne odgłosy.

Wiedziała, że ci z Guardia Civil lada chwila odnajdą drugie drzwi, to kwestia sekund.

Pobiegła do bramy. Innego wyjścia z podwórza nie było i miała nadzieję, że wypatrzy za nią Abu Audę. Pędząc, usłyszała za sobą szcęk klamki. Przyspieszyła, przeklinając buty na wysokim obcasie. Usztywniła nogi w kostkach i pobiegła dalej, pewna, że lada chwila gruchną wystrzały i zadudnią ciężkie buciory.

Ale nic takiego się nie stało. Musiała pędzić tak szybko, że jej nie zauważyli. Głęboko odetchnęła i szybko się rozejrzała. Po Abu Audzie nie było już ani śladu. Zwolniła kroku, ukryła broń pod spódnicą, wyszła na ulicę i... zamarła. A jednak tam był, był tam, zbliżał się do rogu, ale... zatrzymała go policja. Chciała schwytać go i przesłuchać sama, tymczasem tamci już sprawdzali mu papiery. Sprawdzali bardzo pobieżnie - cóż, ostatecznie czarnoskóry mężczyzna z hiszpańskimi dokumentami nie mógł być arabskim terrorystą.

Puściła się biegiem przez żółtawe kałuże ulicznego światła, lecz Abu Auda już odchodził, już skręcał za róg. Policjanci spojrzeli na nią z posępnymi twarzami. Teraz jej kolej. Nie bała się - miała dobre papiery - ale wiedziała, że jeśli ją zatrzymają, terrorysta ucieknie.

Musiała coś wymyślić, musiała coś... Zaczęła wymownie krążyć biodrami. Zbliżała się ku nim, naśladowując ognistą Carmen, postukując w rytm obcasami.

Policjanci byli wyraźnie zaintrygowani, coraz bardziej zaintrygowani. Randi uśmiechnęła się szeroko, zawirowała, odwróciła się do nich tyłem i zadarła tył spódnicy na tyle, żeby zobaczyli kawałek majtek, lecz nie zwisającą z przodu broń. Uśmiechnęli się, z podziwem za-gwizdali, a gdy mijała ich z walącym sercem, jeden z nich poprosił ją o numer telefonu. Pu-

ściła oko i podała mu fałszywy.

Koledzy pokleпали „bohatera” po plecach, tymczasem ona skręciła już za róg. Zatrzyma-

ła się i rozejrzała, wypatrując Abu Audy pod latarniami i w zalegających ulicę cieniach. Terrorysty już nie było. Minęła policjantów szybciej niż on, jednak o wiele za wolno. Rozczarowana ruszyła przed siebie, uważnie lustrując teren, w końcu doszła do skrzyżowania, gdzie stwierdziła, że jest już za późno. Abu Auda przepadł jak kamień w wodę.

Zatrzymała taksówkę i kazała wieźć się na lotnisko. Siedząc w ciemnym samochodzie, układała fakty. Po pierwsze, czarnoskóry przywódca Tarczy Półksiężycy miał na imię Abu Auda i mówił po arabsku i po hiszpańsku. Po drugie, Tarcza Półksiężycy zamierzała przeprowadzić zamach lub serię spektakularnych zamachów. Wreszcie po trzecie - i to niepokoiło ją najbardziej - do zamachów tych miało dojść już niebawem. Lada dzień, a może nawet lada chwila.

118

Rozdział 19

Paryż, Francja 8 maja, czwartek

Marty'ego Zellerbacha przeniesiono do separatki, przed drzwiami której czuwali legioniści. Peter Howell przystawił krzesło bliżej łóżka i usiadł.

- No i co, stary druhu? - zaczął wesoło. - Wpakowałeś się aż miło. Ani na chwilę nie można zostawić cię samego, co? Tak, to ja, Howell. Peter Howell, który nauczył cię wszystkiego o broni palnej. Nie, nie, tylko nie zaprzeczaj i nie mów, że broń jest czymś wulgarnym i głupim. Ja swoje wiem. - Uśmiechnął się do siebie i wrócił do wspomnień.

Była noc, ciemna noc w parku narodowym pod Syracuse w stanie Nowy Jork. Banda wynajętych zbirów otoczyła ich w samochodzie na skraju lasu. Wszystkie okna były roztrzaskane kulami. Rzucił Marty'emu pistolet maszynowy i powiedział:

- Kiedy powiem „teraz”, po prostu pociągnij za spust, chłopcze. Wyobraź sobie, że to dżojstik.

Marty z niesmakiem obejrzał broń i mruknął:

- Pewnych rzeczy nigdy nie chciałem się nauczyć. - I ciężko westchnął. - Tak, oczywiście, wiem, jak to działa. To dziecinnie proste.

Dotrzymał słowa. Kiedy Peter kazał mu otworzyć ogień, Marty kiwnął głową i pocią-

gnął za spust. Pistolet mocno kopał, ale on utrzymał równowagę i nie zamknął nawet oczu.

Kule rozorały iglastą ściółkę, poharatały korę drzew, pościnały gałęzie i uczyniły takie spuszczenie, że bandyci musieli przyspaść do ziemi, dzięki czemu on i Marty zdołali uciec i sprowadzić pomoc.

Peter uważał się za człowieka spokojnego i pokojowo nastawionego, ale tak naprawdę uwielbiał, kiedy coś się działo. Był jak angielski buldog, który lubi wbić kły w wyjątkowo smaczną kość.

Nachylił się ku Marty'emu i powiedział:

- Polubiłeś krew jak kaczka wodę. - Całkowicie mijał się z prawdą, ale istniała szansa, że to irytujące stwierdzenie wyrwie go ze śpiączki.

Czekał z nadzieją, że Marty otworzy oczy i bluzgnie stekiem przekleństw. Ale Marty wciąż spał, więc Howell spojrzął na doktora Dubosta, który właśnie wstukiwał coś do komputera w nogach łóżka.

- To tylko chwilowy nawrót - powiedział lekarz. - Przez jakiś czas będą się powtarzały.

- Ale miną?

- *Oui*. Wszystko na to wskazuje. Idę do innych pacjentów. Proszę dalej, niech pan do niego mówi. Pańska... żywiołowość jest czarująca, ale może pomóc.

Howell zmarszczył czoło. Żywiołowość? Określenie to nie bardzo przypadło mu do gustu, ale z drugiej strony Francuzi zawsze byli trochę porąbani i wielu rzeczy po prostu nie rozumieli. Dubost powiedział grzecznie „*adieu*” i wyszedł.

- Nareszcie sam - mruknął Peter i nagle ogarnęło go potworne zmęczenie i niepokój.

W samolocie spał dłużej, niż zdarzało mu się spać podczas niejednej misji, lecz wciąż dręczył go niepokój. Myślał o Tarczy Półksiężycy. Należeli do niej terroryści z tylu różnych krajów. W Trzecim Świecie nie brakowało takich, które nienawidziły Stanów Zjednoczonych i - choć może trochę mniej - Wielkiej Brytanii, które twierdziły, że propagowany przez nie agresywny kapitalizm wyrządza im wielką szkodę, że globalizacja nie zważa na miejscowe zwyczaje i niszczy środowisko, że ich kulturowa arogancja tłumi wszelki protest. Przypomniał mu się stary torys, niejaki Winston Churchill, który swego czasu oświadczył bez ogró-

dek -i jakże trafnie to ujął - że polityka rządu Jej Królewskiej Mości nie uwzględnia zachcianek miejscowej ludności. To, czy ci z Tarczy Półksiężycy byli zażartymi fundamentalistami, czy też w ogóle nie wierzyli w Boga, martwiło go o wiele mniej niż bieda, która zrodziła terroryzm.

Z zamyślenia wyrwał go czyjś głos, lecz nie był to głos Marty'ego.

- Nie mogłeś na mnie poczekać?

Odruchowo sięgnął po broń, odwrócił się i... odprężył. Do separatu wchodziła właśnie Randi Russell z dokumentami, które musiała okazać strażnikowi na korytarzu.

- Gdzieś ty przepadła, jeśli wolno spytać?

Randi schowała papiery i opowiedziała mu, co widziała i robiła od chwili, gdy rozdzielili się w Madrycie. Seksownej spódnicy flamenco już nie miała i była teraz w wygodnych spodniach, białej bluzce i szytym na miarę czarnym żakiecie, a włosy związała w gruby kucyk.

- Przyjechałam na lotnisko dziesięć minut po waszym odlocie - wyjaśniła z niepokojem w brązowych oczach.

- Jon trochę się zdenerwował. Martwił się o ciebie, biedaczysko.

- Poważnie? - spytała z uśmiechem Randi.

- Daruj sobie, dziewczeczko. Zachowaj ten uśmiech dla niego. Ja nie miałem wątpliwości, ani przez chwilę. Więc mówisz, że dowodził nimi Abu Auda? - Howell sposepniał. - Możliwe, że pomagają im jakiś nigeryjski watażka. Im więcej błota, tym woda mętniejsza.

- Fakt - zgodziła się z nim Randi. - Ale najważniejsze z tego, co podsłuchałam, jest to, że zamierzają zaatakować już wkrótce, góra za dwa dni.

- W takim razie lepiej coś zrobimy. Byłaś już u swoich?

- Nie. Najpierw chciałam odwiedzić Marty'ego. Uciął sobie drzemkę?

- Ma nawrót śpiączki. - Howell ciężko westchnął. - Przy odrobinie szczęścia niedługo się obudzi. Posiedzę tu. Może powie nam coś, czego jeszcze nie wiemy.

- To twoje krzesło? - Przysunęła je bliżej łóżka. - Mogę? - I nie czekając na odpowiedź, usiadła.

- Jasne, proszę bardzo - mruknął z sarkazmem Howell.

Randi puściła to mimo uszu i wzięła Marty'ego za rękę. Ręka była ciepła, co ją ucieszyło. Nachyliła się i pocałowała go w pulchne policzki.

- Dobrze wyglądasz - powiedziała do Howella i ponownie przeniosła wzrok na twarz Marty'ego. - Cześć. To ja, Randi. Świetnie wyglądasz, wiesz? Jakbyś miał się lada chwila obudzić i powiedzieć coś, co tak cudownie wkurzy Petera.

Ale Marty wciąż milczał. Miał półotwarte usta i zupełnie gładkie czoło, jakby nigdy w życiu nie

przytrafiło mu się nic złego. Po koszmarze programu Hades wrócił do swojej samotni za wysokim żywopłotem w Waszyngtonie, ale chociaż dzikie strzelaniny i pościgi miał

już za sobą, nadal musiał radzić sobie z chorobą, co było niełatwe. Właśnie dlatego przekształcił swój dom w fortecę.

Gdy Randi przyjechała do niego pierwszy raz, wypytał ją jak na przesłuchaniu, chociaż widział jej twarz na ekranie monitora systemu bezpieczeństwa. Ale zaraz potem wpuścił ją do środka, objął na powitanie i wstydliwie zaprosił do domu, gdzie wszystkie okna były zakratowane i zasłonięte grubymi kotarami.

- Nikt mnie tu nie odwiedza - wyjaśnił swoim wysokim, wyraźnym, starannie modulo-wanym głosem.
- Nie lubię gości. Dać ci kawy i ciasteczko? - Popatrzył jej prosto w oczy i szybko uciekł wzrokiem w bok.

Zrobił jej bezkofeinówkę, poczęstował ciasteczkiem i zaprowadził do pracowni, gdzie stał olbrzymi cray i dziesiątki innych komputerów zajmujących całą ścianę i prawie całą pod-

łogę. Mebli miał niewiele i chociaż był multimilionerem, wszystkie wyglądały tak, jakby do-120

stał je z Armii Zbawienia. Randi wiedziała od Jona, że już w wieku pięciu lat okrzyknięto go geniuszem. Miał dwa doktoraty, z matematyki i fizyki kwantowej oraz z literatury.

Zaczął jej opowiadać o nowym komputerowym wirusie, który wyrządził szkody sięga-jące sześciu miliardów dolarów.

- Był wyjątkowo paskudny - tłumaczył poważnie. - Samoodtwarzający się robił. Wy-słał sam siebie e-mailem do milionów użytkowników i zapchał prawie cały system. Ale facet, który wpuścił go do Internetu, zostawił za sobą ślad, trzydziestodwucyfrowy identyfikator je-go komputera. - Marty triumfalnie zatarł ręce. - Te identyfikatory są zakodowane w plikach programów Microsoft Office. Nie zawsze, ale czasem są. Trudno je znaleźć, ale skoro już za-czął się w to bawić, powinien był go usunąć. Znalazłem identyfikator, przeczesałem sieć i w końcu natrafiłem na plik z jego nazwiskiem. Dasz wiarę? Z całym nazwiskiem w e-mailu do dziewczyny. Głupek. Mieszka w Cleveland i FBI twierdzi, że mają teraz wystarczająco dużo dowodów, żeby go aresztować. - Uśmiechnął się do niej radośnie.

Wspominając dawne czasy, pocałowała go jeszcze raz, w drugi policzek, i pogłaskała go czule z nadzieją, że się obudzi.

- Musisz z tego wyjść - szepnęła. - Uwielbiam jeść z tobą ciasteczka - dodała z wilgotnymi oczami.
- Opiekuj się nim, Peter.

- Jasne.

Wstała i ruszyła do drzwi.

- Idę do ambasady. Może dowiem się czegoś o Mauritanii i o tym komputerze. Potem le-cę do Brukseli. Gdyby wpadł tu Jon, przypomnij mu, żeby zostawił wiadomość w Cafe Egmont.
- Martwa skrzynka kontaktowa - odrzekł z uśmiechem Howell. - Jak za dobrych starych czasów, kiedy umiejętności naprawdę się liczyły. Cudowne uczucie.
- Jesteś dinozaurem, Peter.
- Wiem - odparł wesoło i nagle spoważniał. - Idź już. Czas ucieka, a twój kraj jest najbardziej prawdopodobnym celem.

Zanim zdążyła wyjść, siedział już przy łóżku Marty'ego, mówiąc, szepcząc, żartując i śmiejąc się z ich dziwacznej przyjaźni.

St. Francese, Isla de Formentera

Kapitan Darius Bonnard siedział w rybackiej restauracji, jedząc *lan-gosta a laparrilla* i spoglądając na płaski krajobraz ostatniej i najmniejszej z wysp Balearów. Dwie pozostałe wyspy łańcucha, Ibiza i Majorka, były symbolem turystyki i stanowiły niegdyś główny cel let-nich wypraw zamożnych Brytyjczyków. Isla de Formentera pozostała wysepką mało znaną, turystycznie zaniedbaną, słowem - niemal idealnie płaskim śródziemnomorskim rajem. Kapitan Bonnard przyjechał tu pod pozorem kupna zapasu słynnego miejscowego majonezu dla generała La Porte'a, przysmaku po raz pierwszy przyrządzonego w Majo, malowniczej stolicy wyspy czwartej, Menorki.

Skończył jeść homara w tymże słynnym i przepysznym majonezie i właśnie sączył lekkie miejscowe białe wino, gdy po drugiej stronie stołu usiadł prawdziwy powód jego wyprawy.

Na twarzy Mauritanii błądził radosny uśmiech, a jego niebieskie oczy triumfalnie błyszczały.

- Próba zakończyła się całkowitym sukcesem - zaczął po francusku. - Ci zadowoleni z siebie jankesi nie mieli pojęcia, co ich rąbnęło, by użyć tego barbarzyńskiego określenia.

Wszystko przebiega zgodnie z planem.

- Żadnych problemów?

- Chambord twierdzi, że replikator DNA wymaga drobnych modyfikacji. Pech, ale to nic strasznego.

Bonnard uśmiechnął się i uniósł kieliszek jak do toastu.

- *Sante!* To znakomita wiadomość. A co słyhać u pana?

Mauritania zmarszczył brwi i przeszył go wzrokiem.

- W tej chwili moim największym zmartwieniem jest pan, kapitanie. Jeżeli eksplozja na pokładzie samolotu generała Moore'a była pańskim dziełem, a na pewno była, uważam, że popełnił pan duży błąd.

- To nie był błąd, tylko konieczność. - Bonnard dopił wino. – Mój generał, którego nacjonalistyczne poglądy umożliwiają naszą współpracę, ma nieszczęsny nawyk wyolbrzymiania faktów i argumentów, żeby przekonać wątpiących. Tym razem zaniepokoił sir Arnolda Moore'a. Nie chciałem, żeby podejrzliwy Anglik zaalarmował swój rząd, który natychmiast zaalarmowałby rząd Stanów Zjednoczonych. Zaczęliby dopatrywać się niebezpieczeństwa tam, gdzie go nie ma, i mogliby wpaść na nasz trop.

- Jego nagła śmierć jest jeszcze bardziej podejrzana.

- Spokojnie, mój rewolucyjny przyjacielu. Gdyby sir Arnold wrócił do domu, opowiedziałby premierowi o spotkaniu na pokładzie „Charles'a de Gaulle'a" i o sugestiach La Porte'-

a. Dopiero to byłoby poważnym problemem. Ale teraz premier wie tylko tyle, że jeden z jego generałów, który leciał do Londynu, żeby omówić z nim jakąś delikatną kwestię, nagle zniknął. Na pewno będą na ten temat spekulowali. Czy chodziło o sprawę prywatną? A może o publiczną? Dzięki temu zyskamy na czasie, bo ci z MI-6 będą musieli długo kopać, zanim -

jeśli w ogóle - czegokolwiek się dokopią. A jeśli nawet, upłynie duuużo czasu, a wtedy...

Bonnard wzruszył ramionami. - Cóż nas to będzie obchodziło.

Mauritania myślał przez chwilę, wreszcie się uśmiechnął.

- Może ma pan rację, kapitanie. Kiedy prosił mnie pan, żebym się do pana przyłączył, szczerze wątpiłem w sens pańskich poczynań...

- W takim razie dlaczego zaakceptował pan mój plan?

- Ponieważ miał pan pieniądze. Ponieważ plan był dobry. Ponieważ łączy nas wspólny cel. Dlatego zaatakujemy wroga razem. Mimo to wciąż się boję, że zamach na tego brytyjskiego generała zwróci na nas uwagę.

- Europa i Ameryka zawsze nas lekcewały, ale gwarantuję, że teraz, po pańskich testach, przykuliśmy ich uwagę jak nigdy dotąd.

Mauritania niechętnie kiwnął głową.

- Być może. Kiedy pan do nas przyjedzie? Wkrótce możemy pana potrzebować, zwłaszcza jeśli trzeba będzie przydusić Chamborda.

- Przyjadę, gdy będzie bezpiecznie, przyjacielu. Gdy nikt nie zauważy mojego zniknięcia.

Mauritania wstał.

- Dobrze. Najdalej za dwa dni, zgoda?

- Będę znacznie wcześniej.

Mauritania podszedł do roweru, który zostawił na brzegu. Po błękitnym morzu sunęły białe żagle. W powietrzu krążyły mewy. Wokoło roilo się od kafejek, barów i sklepów z pa-miątkami, a wysoko nad nimi powiewała trójkolorowa francuska flaga. Gdy uciekał od tej irytująco zachodniej scenerii, w jego kieszeni zapiszczał telefon. Dzwonił Abu Auda.

- Jak poszło w Madrycie? - spytał Mauritania. - Udało się?

- Nieodparł Abu Auda gniewnym, sfrustrowanym głosem. Nie tolerował porażek ani u innych, ani u siebie. - Straciliśmy wielu ludzi. Sprytni są, poza tym policja przyjechała tak szybko, że nie zdążyliśmy ukończyć misji. Musiałem wyeliminować czterech naszych. -

Opowiedział mu o konfrontacji w piwnicy madryckiego domu.

122

Mauritania wymruczał po arabsku przekleństwo, które na pewno zaszokowało pustynnego wojownika, lecz miał to gdzieś.

- Ale nie wszystko poszło na marne - dodał Abu Auda. Bardziej doskwierała mu porażka niż to, że Mauritania ma tak lekceważący stosunek do jego religii. - Spowolniliśmy ich, musieli się rozdzielić.

- Wiesz, dokąd pojechali?

- Nie. Nie mogłem się dowiedzieć.

Mauritania podniósł głos.

- I co? Są na wolności i knują, a ty czujesz się bezpieczny?

- Nie mogliśmy ich ściagać, bo przyjechała policja. - Abu Auda z trudem zapanował nad głosem. - Miałem szczęście, że udało mi się uciec.

Mauritania ponownie zaklął i gdy Abu Auda mruknął coś zrzędlawie, przerwał połączenie i wymamrotał po angielsku, że ma gdzieś jego przekonania religijne, przekonania, które musiały być jedną wielką bzdurą, bo ten głęboko „religijny” czarnuch zachowywał się jak przebiegły wąż, który w razie konieczności gotów jest odgryźć własny ogon. Nie, najgorsze było to, że tajemniczemu Smithowi, staremu Anglikowi z irackiej pustyni i bezczelnej agent-ce CIA udało się uciec.

Paryż, Francja

Niegustownie ubrana brunetka, która wyszła ze stacji metra Concorde przy rue de Rivoli, była uderzająco podobna do kobiety, która śledziła Jona Smitha po jego wyjściu z Instytutu Pasteura z tym, że ta z rue de Rivoli - podobnie jak wiele innych turystek w Paryżu - miała na sobie pastelowy żakiet i szła szybkim krokiem typowej Amerykanki. Skręciła w aleję Gabrie-la, minęła Hotel Crillon, weszła do gmachu ambasady USA i mocno zdenerwowana oświadczyła, że ze względu na pilne sprawy rodzinne musi natychmiast wracać do North Platte w Nebrasce, a właśnie skradziono jej paszport.

Gdy skierowano ją ze współczuciem do pokoju na pierwszym piętrze, niemal wbiegła schodami na górę. W pokoju, przy stole konferencyjnym, czekał niski, tęgawy mężczyzna w nienagannym granatowym garniturze w jodełkę.

- Cześć, Aaron. - Randi usiadła naprzeciwko niego.

- Nie kontaktowałaś się z nami prawie przez czterdzieści osiem godzin - powiedział

Aaron Isaacs, szef placówki CIA w Paryżu. – Gdzie Mauritania?

- Zwiął. - Randi streściła mu przebieg wydarzeń w Toledo i Madrycie.

- Sama to odkryłaś? Że Chambord żyje i że ten komputer jest w rękach Tarczy Półksiężycy? Więc dlaczego ludzie z DCI musieli wypytywać o to Waszyngton i nasz wywiad?

- Bo nie sama na to wpadłam. Był ze mną Jon Smith i Peter Howell.

- MI-6? Nasi przyjaciele z DCI dostaną apopleksji.

- Cóż, przykro mi. Najbardziej pomógł mi Smith. Dowiedział się, jak się tamci nazywają, widział Chamborda i jego córkę. Nawet z nimi rozmawiał. Chambord powiedział mu, że ci z Tarczy Półksiężycy mają komputer. Ja dowiedziałam się tylko tego, że przywódcą terrorystów jest

Mauritania.

- Smith. Kim jest ten Smith, u diabła?

- Ten sam facet, z którym pracowałam nad wirusem Hades. Pamiętasz?

- To on? Myślałem, że jest lekarzem.

- Bo jest. Ale jest również mikrobiologiem i pracuje w Amerykańskim Wojskowym Instytucie Chorób Zakaźnych. Był na froncie, jest pułkownikiem. Wojsko zwerbowało go, bo ma doświadczenie i sporo wie o tym komputerze.

- Wierzysz w to?

123

- Czasami. Nieważne. Mów. O Mauritaniu i o tym, co teraz robicie.

- A więc ostatni raz widziałas go w Toledo. Odlatywali na południe, tak?

- Tak.

- Mauritania pochodzi z Afryki. Większość ataków, które przeprowadził przy współpracy al Kaidy oraz innych grup terrorystycznych, za planował właśnie tam albo w Hiszpanii, gdzie aresztowano najwięcej jego ludzi. Skoro polecili na południe, logicznym celem jego podróży jest północna Afryka, zwłaszcza że doszły nas słuchy, iż jedna z jego żon jest - Algierką i najprawdopodobniej mieszka w Algierze.

- To już coś. Znasz jakieś nazwiska? Adresy?

- Jeszcze nie. Nasi wciąż szukają. Jeśli będą mieli fart, wkrótce powinni coś znaleźć.

- Słyszałeś może o terrorystyce nazwiskiem Abu Auda? Prawdziwy wielkolud, Fulani.

Pięćdziesiąt kilka lat, zielonobrzowe oczy...

Isaacs zmarszczył czoło.

- Abu Auda? Nie. Ale zaraz spytamy Langley, może oni coś wiedzą. - Podniósł słuchawkę telefonu. - Cassie? Prześlij to do centrali. - Podał jej nazwisko i rysopis terrorysty. -

Tak, absolutny priorytet. - Spojrzał na Randi. - Chcesz wiedzieć, co wygrzebaliśmy w sprawie zamachu na Instytut Pasteura?

- Macie coś nowego? Cholera jasna, mów, nie każ mi czekać!

Isaacs uśmiechnął się ponuro.

- Zadzwoił do nas agent Mosadu i, możliwe, że natrafiliśmy na prawdziwą żyła złota.

Okazało się, że w instytucie pracuje pewien doktorant, Filipińczyk, którego kuzyn próbował podłożyć bombę w kwaterze głównej Mosadu w Tel Awiwie. Pochodzi z Mindanao, gdzie działał Islamski Front Wyzwolenia współpracujący z Bin Ladenem. Doktorant nie ma żadnych związków z terrorystami, a przynajmniej nic o takich nie wiadomo, i od lat nie był w Mindanao.

- W takim razie dlaczego Mosad zwrócił waszą uwagę na jego związki rodzinne?

- W dzień zamachu doktorant poszedł na zwolnienie. Jego profesor, który został ciężko ranny, twierdzi, że miał tam być i pomagać mu w jakichś ważnych badaniach.

- Został ranny? Gdzie jest to laboratorium?

- Piętro niżej, pod laboratorium Chamborda. Wszyscy, którzy tam wtedy byli, albo zginęli, albo trafili do szpitala.

- A więc Mosad uważa, że facet jest wtyczką.

- Nie ma na to dowodów, ale przekazałem to do centrali i nasi uważają, że to dobry ślad.

System bezpieczeństwa w Instytucie Pasteura nie jest najnowocześniejszy, lecz wystarczy, żeby zapobiec zamachowi, chyba że zamachowcy mają tam swego człowieka. Zwłaszcza że według centrali nie tylko uprowadzili Chamborda, ale i zabrali ten komputer. I zrobili to wszystko na kilka minut przed wybuchem.

- Na co tak nagle ten doktorant zachorował?

- Pozornie nic podejrzanego. Skarżył się na ból w piersi i lekarz kazał mu zostać przez kilka dni w domu. Rzecz w tym, że ból w piersi i nieregularną pracę serca można wywołać środkami chemicznymi.

- Owszem, i to bardzo łatwo. Dobra, gdzie on teraz jest? Jak się nazywa?

- Akbar Sulejman. Mieszka w Paryżu. Francuska policja sprawdziła go i okazało się, że jest na urlopie i czeka, aż odbudują laboratorium. Mosad twierdzi, że jest w mieście. Tu masz jego adres.

Randi wzięła karteczkę i wstała.

- Zawiadam Langley, że współpracuję z Jonem Smithem i Peterem Howellem. Chcę, żeby dali mi najwyższe uprawnienia.

Aaron kiwnął głową.

124

- Załatwione. - Zadzwoił telefon. Isaacs podniósł słuchawkę, słuchał przez chwilę, podziękował Cassie i wzruszył ramionami.

- Abu Auda. Nic o nim nie wiemy. Facet trzyma się w cieniu. Randi pojechała na lotnisko De Gaulle'a, skąd miała odlecieć do

Brukseli na spotkanie z Jonem. Jeśli doktor Akbar Sulejman należał do Tarczy Półksiężycy i jeśli uda jej się go znaleźć, może doprowadzi ich do Mauritanii. Trzeciej okazji nie będzie, a przynajmniej bardzo w to wątpiła. Bo czas upływał szybko i nieubłaganie.

125

Rozdział 20

Bruksela, Belgia

Na leżącym trzynastu kilometrów od miasta lotnisku w Zaventem Jon wynajął kolejną renówkę i odebrał przesyłkę od Freda Kleina. Przebrał się w mundur i z małą, podręczną torbą z ubraniami - był w niej również nowy walther kaliber dziewięć milimetrów - ruszył w szarym, ponurym deszczu na zachód. Zaraz za miastem zjechał z autostrady; wolał podróżować szosami i bocznymi drogami, bo na szosach i bocznych drogach łatwiej jest wypatrzeć ewentualny ogon.

Okolice były zielone, płaskie i ponure w ulewnym majowym deszczu. Zadbane, dobrze utrzymane farmy ciągnęły się aż po horyzont odleglejszy niż ten na amerykańskiej prerii czy rosyjskim stepie. Na tym bezkresnym, płaskim terenie krzyżowało się wiele dróg, wiele ma-

łych rzek i kanałów. Ruch był względnie duży. Nie tak duży jak w Los Angeles czy w Londynie w godzinie szczytu, ale na pewno większy niż na autostradzie w Montanie czy Wyo-ming.

Od czasu do czasu zatrzymywał samochód na poboczu albo wjeżdżał w kępę drzew, wypatrywał na niebie śmigłowców i lekkich samolotów, które mogły go śledzić. Cały czas zmierzał na zachód, w kierunku francuskiej granicy. Wreszcie dotarł na przedmieścia Mons, pięćdziesiąt pięć kilometrów na południowy-zachód od Brukseli. Wojna i żołnierka towarzyszyły Mons od ponad dwóch tysięcy lat, od czasów, gdy rzymscy legionieści założyli tu swój pierwszy ufortyfikowany obóz. Generałowie Ludwika XIV toczyli tu długie, zażarte bitwy ze swym odwiecznym nemezis, Johnem Churchillem, księciem Marlborough. Tu też toczyły się ciężkie walki podczas rewolucji francuskiej, tu ginęli żołnierze Brytyjskiego Korpusu Ekspedycyjnego podczas jednej z pierwszych wielkich bitew pierwszej wojny światowej.

Dlatego też było to jak najbardziej odpowiednie miejsce na kwaterę główną Dowództwa Połączonych Sił Zbrojnych NATO w Europie (SHAPE) i kwaterę ich naczelnego dowódcy, generała Carlosa Henzego. Wjazd do leżącego kilka kilometrów od Mons kompleksu, przypominającego gęsto zadrzewiony campus, strzegła pojedyncza budka przed rzędem flag krajów należących do NATO i przed flagą Narodów Zjednoczonych. Nieco dalej stał jasnobrą-

zowy piętrowy budynek o płaskim dachu, a za nim szereg wyższych i jeszcze brzydszych gmachów.

Okazując dokumenty, Smith powiedział wartownikom, że ma zameldować się u naczelnego lekarza. Ze względu na wzmożone środki bezpieczeństwa -jak to w dwudziestym pierwszym wieku -jeden z żandarmów zatelefonował, żeby to potwierdzić, podczas gdy drugi uważnie lustrował wzrokiem mundur Jona, a zwłaszcza zdjęcie w służbowej legitymacji-Gdy okazało się, że wszystko jest w porządku, Jon wjechał na teren kompleksu, skręcił w prawe ramię drogi w kształcie litery V, zaparkował na parkingu dla gości i ruszył do głównego wejścia zacienionego wspartą na stalowych słupach markizą z dumnym napisem: DOWÓDZTWO POŁĄCZONYCH SIŁ ZBROJNYCH NATO W EURO-PIE. Nad napisem widniała zielono-złota tarcza, oficjalny emblemat SHAPE. Recepcjonista skierował go na piętro, gdzie czekał już starszy sierżant sztabowy Matthias. W ozdobionym rzędami baretek galowym mundurze zasalutował Jonowi i poprowadził go niekończącymi się korytarzami do gabinetu generała Carlosa Henzego.

Generał był jak zwykle bezpośredni i jak zwykle nie owijał niczego w bawełnę.

- Czy ta przebieranka jest naprawdę konieczna, pułkowniku?

Smith zasalutował mu i odparł:

126

- Proszę tak na mnie nie patrzeć, panie generale, to nie mój pomysł.

Henze łypnął na niego spode łba, oddał honory i burknął:

- Cywile, cholera. - Machnięciem ręki wskazał skórzany fotel na przeciwko biurka. -

Ludzie prezydenta wprowadzili mnie w sytuację. Tu jest to, co przysłali. - Podsunął mu plik teczek, jedną zatrzymując dla siebie. - Mój sztab nie wykopał nic na temat Tarczy Półksiężycy. Nawet CIA nic o tym ugrupowaniu nie wiedziała. Wygląda na to, że odkrył pan nową bandę tych przeklętych Arabusów. Początkowo miałem pewne wątpliwości, ale widzę, że pan w siebie wierzy. Co teraz?

- To nie tylko Arabowie, panie generale. To fundamentaliści z całego świata: Arabowie, Afgańczycy, Fulani z Nigerii, Bóg wie kto jeszcze. Ich przywódca pochodzi z Mauretanii. Islam skupia wiele narodowości i grup etnicznych, nie jestem nawet pewien, czy oni wszyscy są muzułmanami.

Generał słuchał. Cztery gwiazdki na jego ramieniu błyszcząły wojowniczo, jakby na przekór terrorystom, na przekór siekącemu szyby deszczowi i gąszczowi wielokolorowych baretek, które oblepiały mu mundur od kieszeni aż do ramienia. Spojrzenie miał przeszywają-

ce i twarde, jakby oczami duszy widział każdy kraj, każdą grupę etniczną, jakby analizował

wypływające z tych informacji wnioski. Już nie chodziło o potencjalne zagrożenie. Zagrożenie było jak najbardziej realne. Tak realne i niepokojące, że Henze odwrócił się z fotelem do okna, żeby ponownie odegrać swój słynny numer z cyklu „plecami do rozmówcy”.

- Indonezja? - warknął. - Turcja?

- Jak dotąd nie. Ale nie zdziwiłbym się, gdyby pochodzili i stamtąd. Mamy powody zakładać, że są wśród nich ludzie z plemion Azji Środkowej ...

Generał odwrócił się szybko i przeszył go wzrokiem.

- Powody? Jakie?

- Mój znajomy z MI-6 rozpoznał niezwykley sygnał dźwiękowy, którego używają te plemiona.

- Azja Środkowa? Byłe republiki radzieckie? Tadżykowie? Uzbegy? Kirgizi? Kozacy?

Jon bez słowa kiwnął głową. Henze potarł nos i popadł w zadumę. Po chwili sięgnął po teczkę, tę, którą przedtem zatrzymał dla siebie, i rzucił ją na drugi koniec biurka.

- Na osobisty rozkaz prezydenta. Kompletne akta natowskie kapitana Dariusa Bonnarda i wszystko, co wykopali Francuzi. Podejrzewa pan adiutanta generała La Porte'a? Zaufanego żołnierza? Który pracuje tutaj? W NATO? Pod moim nosem?

- Podejrzewam wszystkich, panie generale.

- Nawet mnie?

Przypomniawszy sobie odwiedziny „salowego” w jego paryskiej rezydencji, Jon uśmiechnął się lekko.

- Jak dotąd nie.

- Ale to niewykluczone w przyszłości, tak?

Smith zawahał się i postanowił być równie szczery jak generał.

- Tak.

- Boże święty... - Henze odchylił się w fotelu, sondując go wzrokiem. - Wczoraj, w Pa-ryżu, nie wiedzieliśmy dosłownie nic. Dziś wiemy, że ta koszmarna maszyna naprawdę istnieje, że szaman, który ją stworzył, wciąż żyje i że do bandy, która uprowadziła jego i jego córkę, należą terroryści wszelkiej maści i narodowości. Wracajmy do mojego pierwszego pytania: co teraz?

- Teraz musimy ich znaleźć.

- Jak?

- Jeszcze nie wiem.

- Jeszcze pan nie wie? A kiedy, do diabła, będzie pan wiedział?

- W swoim czasie.

127

Henze rozdziawił usta i poczerwieniał jak burak.

- I to ma mi wystarczyć?

- To bardzo specyficzna wojna, panie generale. Chciałbym powiedzieć panu więcej, dużo więcej. Mam kilka pomysłów i kilka śladów. Mam też przecucia, ale ani pomysły, ani przecucia nie załatwią sprawy.

Generał wciąż łypał na niego spode łba, lecz powoli zaczynał się uspokajać.

- Ta wojna mi się nie podoba. Ani trochę.

- Mnie też nie, panie generale. Ale tak to dzisiaj jest.

Henze kiwnął głową i ponownie się zamyślił. Był naczelnym dowódcą NATO w Europie, miał do dyspozycji zmechanizowane i skomputeryzowane armie państw członkowskich, mimo to czuł się bezbronny w obliczu nowego nieprzyjaciela - wroga prawie nieznanego, wroga bez własnego kraju, bez sposobu życia, którego chciałby bronić. Wroga, który miał jedynie apokaliptyczną wizję i stawiał

niemożliwe do zaspokojenia żądania.

Zmęczony przetarł oczy.

- Już raz przeżyłem taką „specyficzną” wojnę, pułkowniku, i prawie mnie zniszczyła.

Po Wietnamie nie wiem, czy dam radę przeżyć kolejną. Może to i lepiej. Nadeszła pora, żeby zastąpił mnie ktoś młodszy.

- Załatwimy to, panie generale.

Henze skinął głową.

- Musimy zwyciężyć - mruknął i znużonym gestem wskazał Smithowi teczki.

Jon wziął je, zasalutował i wyszedł. Na korytarzu przystanął z wahaniem i postanowił

zabrać teczki do Brukseli, na spotkanie z Randi. Przecież mógł przejrzeć je tam. Ruszył przed siebie i nagle zobaczył generała La Porte'a, który maszerował ku niemu z szerokim uśmiechem na ustach.

- *Bonjour*, panie generale.

Gdy tak szedł, potężny, wielki jak góra, zdawało się, że drżą wszystkie drzwi na zawiasach.

- Aaa... Pułkownik Smith. Człowiek, który urządził nam małe trzęsienie ziemi. Musimy porozmawiać, panie pułkowniku. Teraz, natychmiast. Zapraszam do mnie. Napijemy się kawy, won?

Weszli do gabinetu. Generał usiadł w olbrzymim fotelu z czerwonej skóry, podobnym do angielskiego fotela klubowego. Nie licząc biurka, był to jedyny mebel w pokoju, który wytrzymywał ciężar jego ciała. Jonowi wskazał znacznie mniejszy i delikatniejszy fotel barokowy. Młody, nerwowy porucznik podał kawę.

- A więc nasz drogi Emile żyje. To *magnifique*, ale uprowadzili go porywacze, co *magnifique* nie jest. Nie myli się pan, panie pułkowniku?

- Boję się, że nie.

La Porte nachmurzył czoło.

- W takim razie oszukano nas. Szczątki znalezione na miejscu zamachu nie znalazły się tam przypadkiem, podobnie jak próbki materiału genetycznego w aktach Emile'a. A Baskowie byli jedynie przykrywką w maskaradzie, która miała osłonić prawdziwych terrorystów.

Tak?

- Tak. Ci prawdziwi to tak zwana Tarcza Półksiężycy. Wieloetniczna, wielonarodowo-

ściowa grupa islamskich ekstremistów, dowodzona przez niejakiego monsieur Mauritanię.

Rozsierdzony generał głośno przełknął łyk kawy.

- Informacje, które mi przekazano, i które z kolei ja przekazałem panu, musiały wprowadzić pana w błąd. Pragnę pana za to przeprosić.
- Dzięki tym informacjom natrafiłem na ślad Basków, od których dowiedziałem się wszystkiego, co wiem, tak więc ostatecznie bardzo mi się przydały, panie generale.

128

- *Merci*. To mnie pociesza.

Jon odstawił filiżankę.

- Mogę spytać, gdzie jest pański adiutant, kapitan Bonnard?
- Dariusz? Wysłałem go z rozkazami na południe Francji. Południe Francji, ledwie krok do Hiszpanii.
- Konkretnie dokąd, panie generale?

La Porte zmarszczył brwi.

- Do naszej bazy w Tulonie, a potem na Menorkę. Dlaczego pan o niego pyta?
- Dobrze go pan zna?
- Czy dobrze go... - powtórzył zdumiony La Porte. - Podejrzewa pan Dariusza? Nie, nie, to niemożliwe. Taka zdrada nie mieści się w głowie.
- To on przekazał panu informacje, które pan przekazał mnie.
- Niemożliwe. - Generał posłał mu gniewne spojrzenie. - Czy dobrze go znam? Znam go tak, jak ojciec zna syna. Służy u mnie od sześciu lat. Ma nienaganną opinię, ma medale i pochwały za odwagę i męstwo w obliczu nieprzyjaciela z czasów, kiedy walczył w Iraku. Przedtem był *poilu* w Drugim Pułku Legii Cudzoziemskiej, który wysłano do północnej Afryki na prośbę naszych byłych kolonii. Jak można podejrzewać tak szlachetnego i zasłużonego człowieka?
- Służył w Legii? Nie jest Francuzem?

- Oczywiście, że jest! - warknął La Porte. Stężała mu twarz, jakby poczuł się trochę nieswojo. - Owszem, jego ojciec był Niemcem i Dariusz urodził się w Niemczech, ale jego matka była Francuzką

i przed wstąpieniem do wojska przyjął jej nazwisko.

- Co pan wie o jego życiu osobistym?

- Wszystko. Ożenił się z piękną, młodą kobietą z dobrej rodziny, rodziny, która od wielu lat dobrze służy Francji. Interesuje się historią, tak samo jak ja.

La Porte zatoczył ręką szeroki łuk, wskazując ściany zawieszane obrazami, mapami, fotografiami i szkicami przedstawiającymi najchlubniejsze momenty w historii Francji. Było wśród nich zdjęcie obrazu, który Jon widział w jego paryskiej rezydencji, olbrzymi zamek z ciemnoczerwonego kamienia.

Generał mówił dalej:

- Historia to coś więcej niż dzieje narodu czy ludu. Prawdziwa historia jest kroniką duszy i jeśli się jej nie zna, nie zna się ani narodu, ani ludu. Gdybyśmy nie znali swojej przeszłości, wciąż popełnialibyśmy te same błędy, byłibyśmy na nie skazani, *non*? Czy to możliwe, żeby człowiek tak bardzo przywiązany do historii swego kraju, kraj ten zdradził?

Jon słuchał z narastającym przekonaniem, że generał za dużo mówi, że broni Bonnarda tylko po to, żeby przekonać samego siebie. Czyżby w głębi serca czuł, że to, co niemożliwe, bywa czasem możliwe? W jego ostatnich słowach zabrzmiała wyraźna nutka zwątpienia i niepewności:

- Nie, nie mogę w to uwierzyć. Nie on, nie Darius.

Gdy wychodząc z gabinetu, Smith zerknął przez ramię, generał siedział zamyślony i patrzył w dal. Z jego oczu bił strach.

Paryż, Francja

Peter Howell drzemał na wąskiej pryczy, którą na jego prośbę wstawiono do separatki Marty'ego Zellerbacha, gdy wtem tuż przy uchu usłyszał natrętne brzęczenie pszczoły albo osy, w każdym razie czegoś, co miało wyraźną ochotę go użądlić. Trzepnął ręką, obudził się z bólu i zdał sobie sprawę, że ów nieznośny dźwięk dochodzi ze stolika, na którym stoi telefon.

Marty poruszył się niespokojnie i coś wymamrotał.

Peter zerknął na niego i podniósł słuchawkę.

- Howell.

- Spałeś, co?

- Niestety, dla agenta terenowego to czasem niezbędna konieczność bez względu na to, co myślą o tym smętne urzędnicy, które pracują od dziewiątej do piątej i każdą noc spędza ją w wygodnym łóżku, swoim albo kochanki.

Sir Gareth Southgate zachichotał do słuchawki, lecz w śmiechu tym nie było szczerego rozbawienia, gdyż robił jedynie to, co musiał. Jako szef MI-6, kierował wieloma indywidualistami, między innymi Peterem Howellem, a Howella trudno było posądzać o normalność.

Jego dziwaczność, a może raczej zdziwienie przejawiało się między innymi w tym, że z lubością sprawiał zwierzchnikom kłopoty, choć z drugiej strony był znakomitym agentem, bardzo przydatnym w nagłych przypadkach. Dlatego rozmawiając z nim, Southgate był na przemian to wesoły, to stanowczy i zasadniczy, i zdawało się, że metoda ta jak najbardziej skutkuje.

Ale teraz śmiech zamarł mu w gardle. - Jak się miewa doktor Zellerbach? - spytał.

- Bez zmian. Po kiego tu dzwonisz?

- Żeby przekazać ci pewne niepokojące informacje - odparł Southgate lekko, acz z powagą w głosie. - I prosić cię o twoją, jak zwykle wnikliwą, opinię w tej sprawie.

Marty poruszył się ponownie. Niespokojnie i nerwowo. Peter spojrzał na niego z nadzieją. Gdy Marty znieruchomiał, Howell odchrząknął i podjął rozmowę z Southgatem.

Uznawszy, że już mu dogryzł, postanowił być miłszy. Cóż, *noblesse oblige*.

- Wał, wyteżam słuch.

- Bardzo ci dziękuję. To ściśle tajne. Tylko do wiadomości premiera. Dzwonię do ciebie, bo dali mi nowy szyfrator i nowe kody, żeby nie podsłuchali nas ci przekłeci terroryści. To kody jednorazowe i użyję ich ponownie dopiero wtedy, kiedy znajdziemy ten koszmarny komputer. Dobrze mnie słyszysz?

- Słyszę - warknął Peter - ale jeśli tak, lepiej nic mi nie mów.

- Chyba źle cię zrozumiałem. - Southgate był coraz bardziej zirytowany.

- Zasady się nie zmieniły - odparł Howell. - To ja podejmuję decyzję. Jeżeli uznam, że warto podzielić się tymi informacjami z kimś, kto pomoże mi osiągnąć cel, to się nimi podzielę. Możesz powtórzyć to premierowi.

Sir Gareth podniósł głos.

- Ale z ciebie sukinsyn. Lubisz taki być, co?

- Baaardzo. A teraz mów, co masz do powiedzenia albo się odwal, dobra? - Peter wiedział, że do współpracy zaprosił go ktoś postawiony znacznie wyżej niż szef MI-6, co oznaczało, że Southgate nie może go zwolnić. Uśmiechnął się, wyobrażając sobie, jak ten dupek jest teraz sfrustrowany.

- Zaginęli generał Arnold Moore i jego pilot - rzekł oschle Southgate. - Lecieli z Gibraltaru do Londynu i prawdopodobnie nie żyją. Generał miał przedstawić premierowi ważny i pilny raport. Przez zabezpieczony najnowszym szyfratorem telefon powiedział mu tylko tyle, że chodzi o, cytuję, „ostatnie ataki na systemy elektroniczne w Stanach Zjednoczonych”. Dlatego polecono mi przekazać tę informację tobie.

Peter momentalnie wytrzeźwiał.

- Czy Moore wspomniał, gdzie lub jakim sposobem się o tym dowiedział?

- Nie. - Southgate też złagodniał. - Sprawdziliśmy wszystkie źródła i okazało się, że miał wyjechać do swojej posiadłości w hrabstwie Kent. Tymczasem wziął swego pilota, poleciał na Gibraltar, gdzie wsiadł do śmigłowca i przepadł. Wrócił dopiero po sześciu godzinach i przez ten czas nie było z nim łączności.

- Dowództwo bazy na Gibraltarze też nie wie, gdzie był?

- Nikt tego nie wie, w tym sęk. Pilot zaginał razem z nim.

130

Peter zagryzł wargę.

- Dobra. Muszę tu zostać i pogadać z Zellerbachem. Niech twoi ludzie staną na głowie i dowiedzą się, gdzie ten Moore był. Porozmawiam z Zellerbachem, a potem polecę na południe i się rozejrzę. Śmigłowiec ma ograniczony zasięg, może coś wypatrzę.

- Dobrze, tylko... Chwileczkę. - Southgate z kimś rozmawiał. Głosy były przyciszone, ożywione, lecz już po chwili drugi głos umilkł. - Właśnie dostałem meldunek - odezwał się ponownie sir Gareth. - Znalaziono szczątki samolotu Moore'a. W morzu, na południe od Lizbony. Kadłub nosi ślady eksplozji. Możemy uznać, że generał i jego pilot nie żyją.

- Chyba tak - odrzekł Peter. - Zważywszy na okoliczności, wypadek jest mało prawdopodobny. Zapędź ludzi do roboty. Odezwę się.

Howell też był jego podwładnym i podlegał jego rozkazom, ale Southgate tylko westchnął.

- Dobrze. Peter? Postaraj się nikomu o tym nie mówić.

Howell odłożył słuchawkę. Nadęty dupek, pomyślał i podziękował gwiazdom, że nigdy nie ulegał wpływom przełożonych. Przełożeni dobierali się do umysłu porządnych ludzi. Robili z niego sieczkę, odcinali dopływ tlenu, spowalniaли postęp i uniemożliwiali osiągnięcie dobrych rezultatów. Z drugiej strony, naprawdę porządny człowiek rzadko kiedy ulega czyimś naciskom. Trzeba być ostatnim idiotą, żeby żyć w takim koszmarze.

- Boże... - Cichy, trzęsący się głos. - Peter... Peter Howell? To ty?

Peter zerwał się z pryczy i podbiegł do łóżka. Marty zamrugał i przetarł oczy.

- Czy ja... nie żyję? Tak, na pewno. Nie żyję i jestem w piekle. - Z niepokojem popatrzył na Howella.
- Inaczej nie widziałbym gęby Lucyfera. Oczywiście. Gdzież mógłbym cię spotkać, jeśli nie w piekle?

Peter uśmiechnął się szeroko.

- Nie ma to jak dobre towarzystwo, co? Jak się masz, Marty? Napędziłeś nam strachu.

Marty rozejrzał się wokoło.

- Miło tu, ale nie dam się nabrać. To tylko złudzenie. - Skulił się i wzdrygnął. - Widzę płomienie za tymi niewinnie wyglądającymi ścianami. Pomarańczowo-czerwone płomienie.

Strzelają w górę, z piekielnych otchłani! Oślepiają mnie, palą! Nie, nie dostaniecie mnie! Nie dostaniecie! - Odrzucił koc.

Peter przytrzymał go za ramiona i ryknął:

- Strażnik! Pielęgniarka! Zawołaj pielęgniarkę albo lekarza!

Gwałtownie otworzyły się drzwi. Legionista zajrzał do środka i zobaczył, co się dzieje.

- Już leczę!

Marty napierał na ręce Howella, nie tyle walcząc i szamocząc się, ile z determinacją wykorzystując ciężar swego ciała, żeby odzyskać wolność.

- Przeklęty szatanie! Wyrwę się z twoich szponów, zanim zdążysz mrugnąć! Rzeczywistość i iluzja. Nie wiesz, z kim masz do czynienia! Och, z jaką rozkoszą stawię czoło arcydia-błowi! Nie wygrasz, szatanie, nie masz ze mną szans! Odleczę na skrzydłach czerwonego jastrzębia! Nie... nie... nie!

- Ciii... - szepnął Peter, próbując go uspokoić. - Nie jestem Lucyferem. Pamiętasz mnie?

Pamiętasz starego Petera? Dobrze się kiedyś bawiliśmy.

Ale Marty miał atak, wciąż szalał. Do separatki wpadła pielęgniarka i doktor Dubost.

Przytrzymali go i Dubost wstrzyknął mu wodny roztwór mideralu, leku na uspokojenie.

- Muszę stąd odlecieć... Szatan mnie nie przechytry! Nie mnie! Odleczę...

Howell i pielęgniarka wciąż go przytrzymywali. Dubost odłożył strzykawkę i kiwnął głową.

- Powinien mieć teraz jak największy spokój. Długo był w śpiączce i nie chcielibyśmy, żeby zapadł w nią ponownie. Mideral powinien zaraz zadziałać.

131

Marty wciąż mówił, bredził, majaczył, budując zamki na lodzie, święcie przekonany, że jest w królestwie Hadesa, że musi przechytryć samego Lucyfera. Wkrótce osłabł i nie pró-

bował się już wrywać. Oczy zaszyły mu mgłą, powieki opadły i zaczął powoli kiwać głową.

Pielęgniarka uśmiechnęła się i wyprostowała.

- Dobry z pana przyjaciel - powiedziała. - Inni uciekliby z krzykiem z pokoju.

Peter zmarszczył czoło.

- Naprawdę? Nie mają ikry, co?

- Albo serca. - Poklepała go po ramieniu i wyszła.

Howell po raz pierwszy pożałował, że nie może użyć telefonu komórkowego. Chciał

zadzwoić do Jona i Randi i powiedzieć im o Martym. Chciał też zadzwonić do znajomych na południu Francji, na Costa Brava w Hiszpanii, wszędzie tam, gdzie mógł dolecieć śmigłowiec, i dowiedzieć się czegoś o ostatnich godzinach życia generała Moore'a. Sęk w tym, że nie mógł, gdyż ludzie ci byli osiągalni tylko przez komórkę.

Sfrustrowany usiadł, westchnął, pochylił się i ukrył twarz w dłoniach. I właśnie wtedy usłyszał czyjeś kroki. Ciche, skradające się kroki, choć mógłby przysiąc, że nikt nie otwierał drzwi.

- Randi? - Odwracając się, sięgnął do pasa po pistolet. Nie, to nie Randi, Randi chodzi inaczej... Ale było już za późno. Zanim zdążył wyjąć broń, poczuł na karku zimny ucisk lufy.

Zamarł. Nie wiedział, kto za nim stoi, widział jednak, że napastnik jest świetnie wyszkolony i przerażająco sprawny. I że nie jest sam.

132

Rozdział 21

Bruksela, Belgia

Smith zamknął ostatnią teczkę, zamówił jeszcze jedno piwo i usiadł wygodniej. W Cafe Egmont zostawił dla Randi wiadomość, że czeka na nią tutaj, w Le Cerf Agile, przy stojącym na zewnątrz stoliku. Była to jego ulubiona knajpka w okolicy Saint-Catherine, restauracja nad brzegiem Senny, a raczej tego, co było brzegiem za czasów, gdy w tej części Brukseli cumowały setki rybackich kutrów. Ponieważ teraz był tu targ rybny, niemal we wszystkich bistrach i restauracjach serwowano przede wszystkim owoce morza, chociaż samą rzekę już dawno temu zamknięto w kanale i zamurowano, żeby zbudować nad nią bulwar Anspach.

Jednak Smith, pijąc ciemne piwo, nie myślał ani o zamurowanej rzece, ani o rybach, ani o jedzeniu. Ustawione na chodniku stoliki były puste, ponieważ po niebie wciąż sunęły ciemne deszczowe chmury. Ale deszcz ustał już przed godziną i na jego prośbę właściciel knajpki wytarł blat i dwa krzesła. Pozostali goście siedzieli w środku, nie chcąc ryzykować. W każdej chwili mogło lunąć ponownie, lecz Jon się tym nie przejmował.

Wolał siedzieć samotnie, z dala od wścibskich oczu i uszu. Po wyjściu z siedziby Do-wództwa Połączonych Sił Zbrojnych w Europie zrzucił mundur i wyglądał teraz jak zwykły turysta. Miał na sobie luźne brązowe spodnie, koszulę w szkocką kratę, granatową marynarkę i sportowe buty. W takich butach wygodniej uciekać. Sportowa marynarka dobrze ukrywała pistolet. A czarny płaszcz przeciwdeszczowy, który rzucił na oparcie sąsiedniego krzesła, pomagał wtopić się w noc.

Teraz, gdy słońce walczyło z chmurami, myślał o tym, czego dowiedział się w SHAPE.

Akta kapitana Dariusa Bonnarda były wiele mówiące. Albo La Porte o niczym nie wiedział, albo osłaniał go, zatrzymując dla siebie informację, że obecna żona Bonnarda - Francuzka, którą generał tak bardzo podziwiał - nie była jego pierwszą żoną. Służąc w Legii, kapitan ożenił się z Algierką. Nie wiadomo, czy przeszedł na islam, jednak niemal wszystkie urlopy spędzał właśnie tam, w Algierze, gdzie mieszkała ze swoją rodziną. W aktach nie było żadnych informacji na temat przyczyn

ich rozvodu. Ponieważ nie było też oficjalnych dokumentów z sądu, w Jonie zaległy się pewne podejrzenia. Podobnie jak szpiedzy, terroryści często przybierali fałszywą tożsamość w krajach, gdzie przyszło im działać, żyjąc po staremu tam, skąd pochodzili.

Tak więc Darius Bonnard, ulubiony adiutant naczelnego dowódcy Połączonych Sił Zbrojnych NATO w Europie, był Niemcem, który służył we francuskiej armii, i byłym mężem Algierki. A teraz przebywa gdzieś na południu Francji, skąd miał blisko do Toledo...

Zamyślony Jon sięgnął po kufel, podniósł wzrok i kilkadziesiąt metrów dalej zobaczył

Randi, która właśnie płaciła taksówkarzowi. Uśmiechnął się z kuflem w rękę, podziwiając ten widok. Randi była w klasycznych ciemnych spodniach i obcisłym żakiecie, a włosy miała związane w luźny kucyk. Poruszała się tak lekko i zwinnie, że przez chwilę wyglądała jak na-stolatka. Gdy szła ku niemu, piękna i pełna życia, Jon zdał sobie sprawę, że ilekroć ją widzi, nie myśli już o Sophii. Dziwne, bardzo dziwne uczucie.

Stanęła przed stolikiem.

- Wyglądasz tak, jakbyś zobaczył ducha. Martwiłeś się o mnie? To słodkie, ale zupełnie niepotrzebne.

- Gdzieś ty była, do diabła? - warknął z uśmiechem Smith.

Randi usiadła i poszukała wzrokiem kelnera.

- Zaraz ci wszystko opowiem. Wracam prosto z Paryża. Byłam u Marty'ego i...

133

Jon zeszywniał.

- I...?

- Znowu jest w śpiączce, nie powiedział Peterowi ani słowa. - Opowiadając mu o wizycie w szpitalu, patrzyła na jego zmarszczone czoło i zaniepokojone ciemnoniebieskie oczy.

Gdy sprawy miały się źle, przypominał drapieżnego potwora, zwłaszcza podczas akcji, ale teraz był uosobieniem dobroci i troski o przyjaciela. Z potarganymi ciemnymi włosami, ze zrytym zmarszczkami czołem i zadrapaniami na twarzy wyglądał niemal uroczo.

- Cholera, szkoda, że nie możemy używać komórek - mruknął. —

Peter już dawno by zadzwonił.

- Fakt, bez komórek i modemów życie jest trudniejsze...

Posłała mu ostrzegawcze spojrzenie — nadchodził kelner. Zamówiła piwo Grand Rese-rve. Gdy tylko kelner odszedł, nachyliła się ku Jonowi i szepnęła:

- Dowiedziałeś się czegoś?

- Kilku rzeczy. - Opowiedział jej o aktach Bonnarda i o spotkaniu z generałem La Porte. - Albo nie wie o jego związkach z Algierią, albo kryje go z lojalności. A ty? Masz coś nowego?

- Może. - Podekscytowana streściła mu rozmowę z Aaronem Isaakiem. - Ten Sulejman mógł udawać - zakończyła. - Ból w piersi można wywołać sztucznie.

- I łatwo. Dobra, gdzie ten facet jest?

- Mieszka w Paryżu. Mosad twierdzi, że nie wyjechał. Mam jego adres.

- No to na co jeszcze czekamy?

Randi uśmiechnęła się smutno.

- Na moje piwo.

Gdzieś w północnej Afryce

Do dużego, pomalowanego na biało, pokoju wielkiej nadmorskiej willi wpadał czasem powiew wiatru, wydymając leciutkie, przezroczyste zasłony. Willę zaprojektowano tak, żeby była przewiewna, żeby do jej wnętrza trafiało najlżejsze muśnięcie bryzy, żeby między szerokimi, otwartymi łukami i po przestronnych pokojach nieustannie krążyło powietrze.

W jednej z głębokich nisz doktor Chambord pracował wśród płataniny supercienkich przewodów łączących klawiaturę komputera z błękitnosrebrzystymi paczuszkami żelu, zanurzonymi w przypominającej pianę galaretowatej substancji. Żel, komputery, drukarkę, elastyczne metaliczne płytki i monitory przetransportowali tu z Paryża Mauritania i jego ludzie.

Chambord lubił pracować w tym pomieszczeniu, ponieważ nie dochodził tu wiatr, a stała temperatura i całkowity brak drgań mechanicznych były niezmiernie istotne dla prawidłowej pracy delikatnego prototypu komputera molekularnego.

Próbował się skupić. Tuż przed nim stało dzieło jego życia. Ostrożnie manipulując po-krętłami i

przełącznikami, myślał o przyszłości, zarówno elektronicznej, jak i politycznej.

Wiedział, że komputer molekularny zapoczątkuje zmiany, których większość ludzi nie jest w stanie objąć umysłem, a tym bardziej docenić. Że sterowanie molekułami z wprawą i precyzją, z jaką fizycy potrafili sterować elektronami, zrewolucjonizuje świat, że wprowadzi ludzi do królestwa atomu, gdzie materia zachowuje się zupełnie inaczej, niż sądzą na podstawie tego, co dotychczas widzieli i słyszeli, co zarejestrowali dotykiem.

Elektrony i atomy nie przypominają kul bilardowych z klasycznej fizyki newtonowskiej. Nie, są puszyste i rozfalowane. Na poziomie atomowym fale mogą zachowywać się jak cząsteczki, cząsteczki zaś potrafią te fale generować. Elektron może poruszać się w wielu kierunkach naraz, jakby rzeczywiście przypominał rozchodzącą się falę. Dlatego komputer molekularny mógł prowadzić obliczenia na kilku płaszczyznach jednocześnie, może nawet w 134

kilku wymiarach. Podstawowe założenia, na których opierała się istota naszego świata, miały wkrótce lec w gruzach.

Co najistotniejsze, współczesne komputery składały się z zestawu przewodów biegną-

cych w jedną stronę, z warstwy kilkudziesięciu przełączników oraz z zestawu przewodów biegnących w stronę przeciwną. Przewody i przełączniki konfigurowano tak, żeby tworzyły logiczne bramki, ale ze względu na strukturę tychże przewodów i przełączników skonfigurowanie bramki nie było takie proste. Tymczasem Chambordowi udało się wykorzystać molekuly DNA w taki sposób, że działały jako funkcje logiczne I oraz LUB. We wcześniejszych modelach, skonstruowanych przez innych naukowców, problemem nie do pokonania było to, że molekuly do tworzenia bramek logicznych dawały się zastosować tylko raz, do pamięci stałej, nie zaś do pamięci o dostępie bezpośrednim, gdyż to ostatnie wymagało nieustannego manipulowania przełącznikami.

Była to dziura, której dotąd nikomu nie udało się załatać, a on, Chambord, załatał ją, tworząc molekułę o właściwościach, dzięki którym komputer molekularny mógł normalnie działać. Molekuła była syntetyczna i na cześć Francji nazwał ją francaną.

Gdy odwrócił się, żeby obliczyć coś w notatniku, pod kamiennym łukiem stanęła Teresa.

- Dlaczego im pomagasz? - Z jej oczu bił gniew. Patrząc na ojca, z trudem panowała nad głosem.

Zmęczony, mocno pochylony Chambord westchnął i podniósł wzrok.

- A czy mam jakiś wybór?

Usta córki były blade, czerwona szminka już dawno się starła. Długo nieszczotkowane i nieczesane włosy były zmierzwiowane i straciły połysk. Teresa wciąż miała na sobie ubranie z Paryża, podarte już i brudne. Biała jedwabna bluzka ze stójką była poplamiona krwią i smarem, szpilki odeszły w niepamięć. Zastąpiły je beduińskie pantofle. Przyjęła od tamtych tylko te pantofle, nowego ubrania nie chciała.

- Możesz odmówić - odrzekła znużona. - Żaden z nich nie umie tego obsługiwać. Byliby bezradni:

- A ja bym nie żył. I co ważniejsze, ty też.

- Zabiją nas i tak.

- Nie! Obiecali.

W jego głosie zabrzmiała rozpaczliwa desperacja człowieka chwytającego się każdej, najniklejszej nawet nadziei.

- Obiecali? - Teresa wybuchła śmiechem. - Wierzysz w obietnice terrorystów, porywaczy i morderców?

Chambord zacisnął usta. Milczał. Odwrócił się i zaczął sprawdzać połączenia przewodów w komputerze.

- Oni chcą zrobić coś strasznego - powiedziała Teresa. - Zginą ludzie, dobrze o tym wiesz.

- Nie, nie wiem.

Teresa spojrzała na jego twarz.

- Dogadałeś się z nimi. Dla mnie. Prawda? Sprzedałeś duszę w zamian za moje życie.

- Z nikim się nie dogadałem. - Ojciec wciąż nie podnosił głowy. Teresa patrzyła na niego, próbując zgłębić uczucia, jakie nim miota ją, jego myśli. To, przez co teraz przechodził.

- Ale się dogadasz. Zanim zrobisz to, co chcą, każesz im mnie wypuścić.

Chambord długo nie odpowiadał.

- Nie pozwolę, żeby cię zamordowali - wyszeptał w końcu.

- Czy nie jest to mój wybór?

Ojciec odwrócił się szybko z fotelem.

- Nie! Mój!

Mauritania, patrząc to na nią, to na jej ojca. Tuż za nim czuwał uzbrojony Abu Auda.

- Myli się pani, mademoiselle Chambord - powiedział z powagą Mauritania. - Gdy wypełnimy naszą misję, pani ojciec nie będzie mi potrzebny. Ogłosimy światu nasz triumf, żeby Wielki Szatan wiedział, kto rzucił go na kolana, a wówczas to, co zrobicie czy powiecie, nie będzie miało żadnego znaczenia. Nikt nie umrze, chyba że nie zechce pan nam pomóc.

- Jego może nabierzecie, ale mnie nie - wycedziła szyderczo Teresa. - Kłamstwo roz-poznam na kilometr.

- Bardzo mnie boli, że mi pani nie ufa, ale nie mam czasu pani przekonywać. - Mauritania spojrzał na Chamborda. - Kiedy będzie pan gotowy?

- Już mówiłem, dwa dni.

Mauritania zmrużył oczy.

- Dwa dni już prawie minęły. - Choć odkąd przyszedł, ani razu nie podniósł głosu, gore-jące w jego oczach zło było aż nadto widoczne.

Paryż, Francja

Wysokościowce i wieżowce przy Montparnasse zostały za nimi, ustępując miejsca niskim kamieniczkom w bocznych ulicach, gdzie mieszkali i pracowali przedstawiciele nowej cyganerii wraz z duchami starej. Słońce już zaszło i jego dopalający się żar nadawał niebu po-sępny żółtoszary odcień. Na brukowanych kocimi łbami jezdniach i w dzikich ogrodach tań-

czyły mroczne cienie. Wszędzie unosił się zapach wina, marihuany i farb olejnych.

- To ta ulica - wymamrotał po francusku zdenerwowany, a raczej przerażony Hakim Gatta, zmywacz naczyń laboratoryjnych z Instytutu Pasteura. - Czy mogę już... iść? - Miał

niewiele ponad metr pięćdziesiąt wzrostu, rude, kudłate włosy, jasnobrązową skórę i zalęknione czarne oczy. Mieszkał nad Akbarem Sulejmanem.

- Jeszcze nie - odparła Randi i pociągnęła go w mrok, gdzie trzema szybkimi krokami dołączył do nich Smith. - Który to dom?

- N-n-n... Numer piętnaście.

- Mieszkanie? - warknął Jon.

- Na drugim p-p-p... piętrze. Obiecaliście, że mi zapłacicie i będę mógł iść.

- Dom ma jedno wejście?

Hakim energicznie kiwnął głową.

- Tak, od frontu. Innego nie ma.

Smith zerknął na Randi.

- Ty zostaniesz, ja idę.

- Kto powiedział, że tu dowodzisz?

Hakim zaczął się powoli wycofywać. Randi chwyciła go za kołnierz i dźgnęła lufą pistoletu. Rudzielec drgnął i znieruchomiał.

- Przepraszam - mruknął Jon. - Masz lepszy pomysł?

Randi niechętnie pokręciła głową.

- Nie, plan jest dobry, ale następnym razem mnie spytaj. Pamiętasz? Rozmawialiśmy kiedyś o grzeczności. A teraz lepiej ruszajmy. Zaraz dowie się, że wypytywaliśmy o niego w instytucie, i zwieje. Masz walkie-talkie?

- Tak. - Jon poklepał się po kieszeni czarnego płaszcza.

Szybkim krokiem skręcił w wąską alejkę. Oświetlone okna cztero-, pięcio- i sześciopiętrowych domów były niczym latarnie nad czarnym wąwozem. Jest. Tabliczka z numerem piętnaście. Oparł się o ścianę i rozejrzał. Ludzie niespiesznie szli do barów, restauracji, a mo-

że wracali do domu. Minęło go kilka par, młodych i starych, którzy trzymając się za ręce, cie-136

szyli się wiosennym zmierzchem i sobą. Odczekał, aż przejdą, i dopiero wtedy przystąpił do działania.

Otwarte na oścież drzwi i hol. Pusty. Ani śladu ciecica. Wyjął walthera, ostrożnie wszedł do środka i schodami na drugie piętro. Drzwi. Zamknięte. Wytężył słuch. W którymś z sąsiednich mieszkań grało radio. W innym ktoś odkręcił kran i do wanny połała się z szumem woda. Powoli nacisnął klamkę. Drzwi nie ustąpiły. Cofnął się, pochylił i spojrział na zamek.

Klasyczny, sprężynowy. Z zatrzaśniętą zasuwą byłoby trudniej, ale ludzie są nieostrożni i zwykle robią to dopiero przed pójściem spać.

Wyjął z kieszeni mały komplet wytrychów i zabrał się do pracy. Wciąż dłużył w zamku, gdy szum wody ucichł. W tej samej chwili rozległ się ogłuszający huk, posypały się ostre drzazgi i Jonowi tuż nad głową zaświstały kule. Poczł silny ból w boku i padł na podłogę, uderzając się mocno w lewe ramię. Szlag by to. Oberwał. Zamroczyło go. Powoli usiadł i z pistoletem w ręku oparł się o ścianę naprzeciwko drzwi. Bolało go jak jasna cholera, ale nie zwracał na to uwagi. Nie odrywał oczu od drzwi.

Ponieważ nikt ich nie otwierał, rozpiął płaszcz i wyciągnął ze spodni koszulę. Kula przeszła ubranie i rozharatała skórę pod żebrami. Rana krwawiła, lecz była powierzchowna i postanowił zająć się nią później. Połę koszuli zostawił na wierzchu. Miał płaszcz, który zasłaniał i plamę krwi, i dziurę w ubraniu.

Wstał, stanął z boku i rzucił w drzwi kompletem wytrychów. Gruchnęła kolejna salwa, znowu posypały się drzazgi, kule roztrzaskały zamek. Z góry, z dołu i od strony schodów doszedł go czyjś przerażony krzyk, wrzask i przekleństwa.

Jon wyważył drzwi prawym ramieniem, skoczył w bok, przetoczył się po podłodze, błyskawicznie wstał w pistoletem w ręku i... wytrzeszczył oczy.

Na sfatygowanej sofie siedziała po turecku ładna, szczupła kobieta. Na kolanach opiera-

ła wielkiego kałasza, wciąż wycelowanego w drzwi. Zaszokowana, gapiała się na nie, jakby nie zauważyła, że już ich nie ma.

- Rzuć to! - rozkazał po francusku Jon. - Rzuć to! Ale już!

Kobieta drapieźnie wyszczerzyła zęby, zerwała się z sofy i wzięła potężny zamach ka-

łasznikowem. Smith wytrącił jej broń kopniakiem, wykręcił rękę i popychając ją przed sobą, przeszukał całe mieszkanie pokój po pokoju.

Nie znalazł nikogo. Przytknął jej do głowy lufę pistoletu i warknął:

- Gdzie Sulejman?

- Tam, gdzie nigdy go nie znajdziesz, *chien!*

- To twój chłopak?

Łypnęła na niego spode łba.

- A co? Zazdrosny?

Jon wyjął walkie-talkie.

- Nie ma go - rzucił cicho do mikrofonu. - Ale był tu. Uważaj.

Schowal nadajnik do kieszeni, porwał na pasy prześcieradło, przywiązał kobietę do krzesła w kuchni, wypadł na korytarz, zatrzasnął za sobą drzwi i zbiegł schodami na dół.

W alejce naprzeciwko frontowych drzwi cuchnęło moczem i skwaśniałym winem. Randi obserwowała ciemne okna na drugim piętrze. Stojący obok Hakim Gatta nerwowo przestępował z nogi na nogę, przerażony jak królik gotów do ucieczki. Czekali w mrocznym cieniu pod starą lipą. Widzieli stamtąd fragment nieba, na którym mrugały już pierwsze gwiazdy, maleńkie kropeczki między czarnymi chmurami. Randi dźgnęła Hakima lufą beretty.

- Na pewno tam był?

- Tak, przecież mówiłem. Kiedy wychodziłem, był tam, na sto procent. - Rudzielec przeczesał kędzierzawe włosy, najpierw jedną ręką, potem drugą. - Nie powinni byli wam mówić, 137

że mieszkamy w tym samym domu.

Randi intensywnie myślała.

- I na pewno nie ma tam drugiego wyjścia?

- Przecież mówiłem! - krzyknął Hakim.

- Cicho! - Randi posłała mu ostre spojrzenie.

Hakim natychmiast zniżył głos i coś do siebie mamrotał, gdy wtem w alejce zadudniło echo gwałtownej strzelaniny.

- Padnij!

Hakim runął jak długi na bruk, zanosząc się łkaniem. Randi padła obok niego, wyteżając wzrok i słuch. Po chwili zabrzmiała druga salwa, a zaraz potem coś, jakby głośny trzask pękającego drewna.

Randi zerknęła na skulonego Hakima.

- Obyś się nie mylił, brachu - warknęła.

- Jest jedno, nie kłamie! Przysięgam!

Tupot nóg. Randi poderwała głowę. Frontowe drzwi otworzyły się gwałtownie i wypadł z nich jakiś mężczyzna. Biegł, ale zrobiwszy cztery kroki, zwolnił do szybkiego marszu. W

ręku miał pistolet, lecz trzymał go nisko, z boku, gdzie broń była mniej widoczna. Mocno zdenerwowany, nieustannie rozglądał się na wszystkie strony.

Zatrzeszczał nadajnik. Randi przyciągnęła bliżej Hakima i zatkała mu ręką usta.

- Nie ma go - zameldował Smith. - Ale był tu. Uważaj.

- Mam go. Złaz na dół. Jeżeli jeszcze możesz.

138

Rozdział 22

Mężczyzna szedł szybko w stronę skrzyżowania, od czasu do czasu zwalniając, jakby bał się, że pośpiech zwróci czyjąś uwagę. Uciekał, lecz spokojnie i bez paniki. Randi wcisnęła Hakimowi kilka banknotów i zabroniła mu wstawać, dopóki tamten nie zniknie. Rudzielec tylko kiwnął głową. Oczywiście miał wytrzeszczone ze strachu.

Wstała i, truchtając przed siebie, wyjęła z kieszeni zakietu miniaturowe walkie-talkie.

Trzymała je w lewej ręce. W prawej ścisnęła beretkę.

Mężczyzna przystanął na skrzyżowaniu. Popatrzył w lewo, potem w prawo. Randi przylgnęła do ściany i wstrzymała oddech. W świetle reflektorów przejeżdżającego samochodu zobaczyła, że tamten jest niski, szczupły, ma sięgające ramion czarne włosy. Dwadzieścia pięć, trzydzieści lat, pomyślała. Granatowa marynarka, biała koszula, krawat w paski, szare spodnie, czarne buty. Czujne, inteligentne oczy, pociągła twarz - Filipińczyk? Malajczyk? -

typowa dla mieszkańców Mindanao. A więc to jest doktor Akbar Sulejman, zdenerwowany i przerażony... Wciąż się rozglądał, lecz nie zrobił ani kroku, jakby go tam wmurowało.

- Czekaj na kogoś - szepnęła do mikrofonu. - Podjedź najbliżej, jak się da. Tak, na rue Combray.

Nie zdążyła się jeszcze rozłączyć, gdy przed Sulejmanem zahamowało z piskiem opon małe, czarne subaru. Otworzyły się tylne drzwiczki, Sulejman wskoczył do środka i samochód ruszył, zanim Filipińczyk zdążył je zatrzasnąć. Randi puściła się biegiem i stanęła na skrzyżowaniu w chwili, gdy wyhamował tam drugi samochód, czarny ford crown victoria.

Jednocześnie z domu Sulejmana wypadł Smith i szybko wsiedli na tyle siedzenie, on z jednej strony, ona z drugiej.

Kierowca natychmiast ruszył. Randi nachyliła się ku niemu i spytała: .

- Max go przejął?

- Ma go jak na muszce.

- Świetnie. Wal za nimi.

Aaron Isaacs kiwnął głową.

- To Smith czy Howell? - rzucił.

- Smith. Pułkownik Jon Smith, chwilowo przydzielony do wywiadu wojskowego. Jon, to jest Aaron Isaacs, mój paryski szef.

Smith wyczuł, że Isaacs przypatruje mu się uważnie w lusterku, że próbuje go rozgryźć, ocenić, czy to wszystko prawda. Podejrzliwość była jego zawodem.

Zatrzeszczał głośnik.

- Subaru zatrzymało się przed hotelem St-Sulpice, za Carrefour de L'Odeon - zameldował spokojny, bezosobowy głos. - Wysiada z niego dwóch mężczyzn. Wchodzą do hotelu...

Subaru odjeżdża. Proszę o wskazówki.

Randi nachyliła się i Aaron podał jej mikrofon.

- Jedź za subaru, Max.

- Już się robi, ślicznotko.

- Idź do diabła.

Aaron zerknął na nią przez ramię.

- Do hotelu?

- Czytasz w moich myślach.

Niecałe trzy minuty później ford zatrzymał się pół ulicy przed hotelem St-Sulpice.

- Co to za buda? - zapytał Randi.

- Tania. Siedem pięter. Kiedyś przychodziła tu okoliczna cyganeria, potem Afrykańczy-139

cy, teraz bywają tu głównie turyści, ci biedniejsi. Jedno wejście, tylko to, od ulicy.

Wbudowane w deskę rozdzielczą radio zaskrzeczało ponownie.

- Subaru jest wynajęte - zameldował Max. - Rezerwacja telefoniczna. Brak danych o kierowcy i pasażerach.

- Wracaj do hotelu. Siedzimy w fordzie. Zastąpisz Aarona.

- To znaczy, że nici z dzisiejszej randki? - spytał szybko Max. Randi straciła cierpliwość.

- Zachowuj się jak grzeczny chłopczyk, bo powiem twojej żonie.

- No tak, masz rację. Jestem żonaty. - Max się wyłączył.

Randi pokręciła głową i wdała się w rozmowę z Aaronem, tymczasem Jon myślał o Martym.

- Randi - powiedział. - Marty powinien się już obudzić. Poza tym przydałby się tu Peter.

- Sulejman może wyjść lada chwila - zaprotestowała.

- Tak, ale gdyby Max podrzucił mnie do szpitala, mógłbym szybko wrócić. Ma radio, a ja walkie-talkie, więc może mnie wywołać.

- Przecież mieliśmy nie używać radia.

- Nawet jeśli mają ten komputer, jest mało prawdopodobne, żeby podsłuchiwali rozmowy paryskiej policji, które nie są rozmowami satelitarnymi. Poza tym nie wiedzą jeszcze, że Sulejman ucieka. Nie, to niemożliwe, żeby nas namierzili. Jeśli Sulejman wyjdzie, zanim wrócę, dajcie mi znać. Marty, potem Peter i wracam, zgoda?

Randi kiwnęła głową, a Isaacs oznajmił, że zostanie z nią do ich powrotu. Gdy nadjechał Max, Jon pożegnał się i wsiadł do jego wozu.

- Masz apteczkę? - Jechali na południowy zachód, w kierunku szpitala.

- Jasne, w schowku na mapy. Bo?

- Nic. Małe zadrapanie. - Jon oczyścił ranę, posmarował ją maścią z antybiotykiem, za-kleił plastrem i schował lekarstwa do apteczki. Gdy odkładał apteczkę na miejsce, dojeżdżali już do szpitala.

Przeszedł szybko przez olbrzymi hol, mijając po drodze sztuczne palmy i sklepy z pa-miątkami. Ruchome schody, korytarz i wreszcie OIOM. Z niecierpliwością oczekiwał spotkania z Martym. Zalała go fala optymizmu. Tak, na pewno, myślał. Marty już się obudził, może nawet znowu jest taki jak kiedyś, uparty i zwariowany... W recepcji przedstawił się pielę-

gniarce, którą widział tu pierwszy raz.

- Tak, pańskie nazwisko jest na liście, panie doktorze, ale doktor Zellerbach został już przeniesiony na trzecie piętro. Nikt panu nie powiedział?

- Nie, nie było mnie, musiałem wyjechać. Jest tu gdzieś doktor Dubost?

- Przykro mi, już wyszedł. Ale jeśli to coś pilnego, można...

- Nie, nie. W którym pokoju leży doktor Zellerbach?

Zszedł na trzecie piętro i na widok drzwi do nowego pokoju Marty'ego ścisnęło go w żołądku. Nikt ich nie pilnował, ani jeden strażnik. Rozejrzał się, ale nie, nie dostrzegł żadnego. Gdzie byli ci z Surete? I z MI-6? Włożył rękę do kieszeni, namacał palcami pistolet i szybko go odbezpieczył. Bojąc się najgorszego, mijał pielęgniarki, lekarzy, salowych i pacjentów, lecz nie widział ich i nie słyszał. Całą uwagę skupiał na drzwiach do separatki.

Najpierw sprawdził, czy są zamknięte. Były. Lewą ręką powoli przekręcił klamkę, a gdy kliknął zamek, wyjął walthera, chwycił go obiema rękami, trącił nogą drzwi i wślizgnął

się do środka, błyskawicznie omiatając lufą wewnątrz.

I zabrakło mu tchu. Pokój był pusty. Odrzucony koc, zmięte prześcieradło... Ani śladu Marty'ego. Ani Petera. Ani strażników, po cywilnemu czy w przebraniu. Z nerwami napięty-mi jak postronki, zrobił ostrożnie kilka kroków i znieruchomiał. Za łóżkiem leżały dwa ciała.

Zwłoki. Wiedział, że ci ludzie nie żyją, nie musiał nawet tego sprawdzać. Na podłodze zebra-140

ła się kałuża krwi. Krew już krzepła, lecz była względnie świeża. Obaj mężczyźni mieli na sobie lekarskie fartuchy, buty i chirurgiczne maski. Po kształcie ciał poznał, że nie jest to Marty ani Peter.

Odetchnął i przykląkł. I jednemu, i drugiemu zadano wprawnie cios dwusiecznym sztyletem. Robota Howella? W takim razie gdzie przepadli, on i Marty? I gdzie przepadli strażni-cy? Powoli wstał. Najwyraźniej nikt w szpitalu nie zdawał sobie sprawy, co tu zaszło. Nie by-

ło żadnej paniki, nikt nie wszczął alarmu, nikt nie zauważył, że Marty'ego nie ma tam, gdzie powinien być. Strażnicy znikli, zamordowano dwóch ludzi, Peter i Marty jakby wyparowali, a wszystko to zupełnie niepostrzeżenie. Cholera jasna.

Zapisała walkie-talkie u pasa.

- Smith. Co jest, Max?

- Randi melduje, że ptaszek i jego kumpel wyfrunęli z gniazdka. Jadą za nimi. Mówi, że powinniśmy ruszać. Pokieruj nami.

- Już idę.

Rozpaczliwym spojrzeniem jeszcze raz ogarnął cichą separatkę. Peter był dobry, dobry nawet na tyle, żeby wykręcić taki numer cicho i niepostrzeżenie, chociaż w jaki sposób zdołał

zlikwidować tych dwóch i uciec z kimś tak chorym jak Marty, Jon nie miał zielonego pojęcia.

I co się stało z dwoma legionistami z korytarza? Z tajniakami, którzy powinni tu być?

Skoro Howell dał radę to zrobić, mogli to zrobić i terroryści. Mogli zwabić gdzieś strażników, zabić ich, ukryć zwłoki, porwać Petera i Mar-ty'ego i zamordować ich gdzieś indziej. Przez długą chwilę Smith stał bez ruchu i myślał.

Musiał dopaść człowieka, który mógł doprowadzić ich do tego nieszczęsnego komputera. Musiał postawić na nogi paryską policję, CIA i Freda Kleina, bo tylko wtedy będzie nadzieja, że znajdą Marty'ego i Petera.

Wepchnął walkie-talkie do kieszeni, schował do kabury pistolet i wybiegł przed szpital, gdzie czekał Max.

Mała czarna furgonetka z piekarni skręciła w bulwar St-Michel. Aaron zwolnił, żeby zachować bezpieczną odległość, lecz ani na chwilę nie tracił jej z oczu. Furgonetka jechała na południe.

- Do obwodnicy? - domyśliła się Randi. - Tak, do obwodnicy. - Przekazała to Maksowi, Jonowi i Peterowi z nadzieją, że już jadą i są blisko.

- Chyba tak - mruknął Aaron i przyspieszył, nie chcąc ich zgubić na jakimś zakręcie.

Jechali tak od dziesięciu minut. Wszystko zaczęło się w chwili, gdy furgonetka stanęła przed hotelem St-Sulpice. Kierowca wysiadł i otworzył boczne drzwiczki, jakby miał wyładować pieczywo, lecz w tym samym momencie z hotelu wybiegł Sulejman z tym drugim i szybko wskoczyli do środka. Kierowca rozejrzał się i zatrzasnął drzwiczki. Potem obszedł

samochód, czujnie zerkając to w prawo, to w lewo, wsiadł i odjechał.

- Cholera - zaklęła Randi.

Aaron zeszywniał.

- Co teraz?

- Nie mamy wyboru. Musimy jechać za nimi.

Na obwodnicy furgonetka skręciła na zachód. Aaron nie spuszczał jej z oczu, Randi nieustannie

przekazywała namiary Maksowi. Wkrótce samochód włączył się do ruchu na płatnej autostradzie A10 i chociaż kilkanaście kilometrów dalej autostrada się rozdwajała - jej odnoga biegła na zachód, do Chartres, na odległe wybrzeże - tamci z uporem podążali na po-

łudnie.

Gdy mijali prastary Orlean nad legendarną Loarą, nocne niebo było jak czarna złowieszcza kopuła. Upływały godziny. Nagle furgonetka gwałtownie skręciła w dwupasmową 141

szosę D51. Zaraz potem bez najmniejszego ostrzeżenia, ani trochę nie zwalniając, skręciła ponownie w nieoznakowaną boczną drogę, żeby kilkanaście kilometrów dalej wjechać szybko na podjazd przesłonięty gęstą kępą drzew i krzewów.

Tylko dzięki wyjątkowym umiejętnościom Aaronanie zgubili jej ani -przynajmniej na to wyglądało - nie zostali zauważeni. Gdy Randi mu pogratulowała, skromnie wzruszył ramionami.

- Co robimy? - spytał, zjechawszy na pobocze.

- Podejdę bliżej i zobaczę. - Randi już wysiadała.

- Może lepiej zaczekajmy na Maksa i twoich kumpli. Powinni być niedaleko.

- Zostań. Ja idę. - Dalszych protestów już nie słyszała.

Między drzewami błyszcząły światła jakiegoś domu. Powoli, ostrożnie weszła w gę-

stwinę i kilkanaście kroków dalej znalazła coś, co wyglądało na wydeptaną przez zwierzęta ścieżkę. Skręciła w nią z prawdziwą ulgą. W przeciwieństwie do domu pod Toledo, ten miał

małe podwórze. Był to raczej domek myśliwski, leśny azyl dla znużonych pracą mieszczuchów. Żadnych śmigłowców nie zauważyła, zobaczyła za to dwa inne samochody i dwóch uzbrojonych mężczyzn opierających się o róg domu.

Zobaczyła też sylwetki gwałtownie gestykulujących ludzi, którzy pojawiali się i znikali za firankami w oknach. Kłócili się? Możliwe. Doszły ją podniesione, mimo to ledwo słyszalne głosy.

Nagle ktoś położył jej rękę na ramieniu.

- Ilu?

Odwróciła głowę.

- Hej, Jon. W samą porę. W furgonetce było trzech, ale tam stoją dwa samochody.

Dwóch na czatach i co najmniej jeden w środku. Pewnie ten, z którym mieli się spotkać.

- Dwa samochody? W takim razie czekał na nich więcej niż jeden.

- Możliwe. - Randi zerknęła przez ramię. - Gdzie Peter?

- Cholera go wie. - Opowiedział jej, co zastał w szpitalu. Słuchała ze ściśniętym sercem.

- Jeśli było ich tylko dwóch i Peter ich zabił, możliwe, że w jakiś sposób wyprowadził stamtąd Marty'ego i teraz są bezpieczni. Ci, których znalazłem za łóżkiem, nie strzelali, nie znalazłem ani jednej łuski. A więc mógł, przynajmniej teoretycznie. – Zdenerwowany pokręcił

głową. - Ale jeśli terrorystów było więcej, mogli zarżnąć i Petera i Marty'ego. Wolę o tym nie myśleć.

- Ani ja. - Otworzyły się frontowe drzwi. - Coś się dzieje. Patrz.

Na ziemi przed drzwiami wykwitł prostokąt jasnego światła. Na dwór wypadł jak burza Akbar Sulejman, sprzecząc się z kimś, kto szedł za nim. Mówił podniesionym głosem, po francusku.

- Powtarzam: nikt mnie nie widział. Nie mogli mnie śledzić. Nie mam pojęcia, jak mnie tam znaleźli!

- I właśnie to mnie niepokoi.

Jon i Randi popatrzyli na siebie, rozpoznając ten głos. Abu Auda. Wyszedł za Sulejmanem z domu.

- Skąd wiesz, że cię nie śledzili?

Sulejman zatoczył ręką szeroki łuk.

- A widzisz ich tu? Widzisz? Nie widzisz. Ergo, nikt za mną nie jechał!

- Ci, którzy potrafili cię znaleźć, Moro, podążaliby za tobą tak, żebyś ich nie widział.

Ani ty, ani my.

- To co? - rzucił szyderczo Sulejman. - Mam się dać aresztować?

- Nie, wszystko byś im wyśpiewał. Ale byłoby dużo lepiej, gdybyś przestrzegał ustalonych procedur i najpierw się z nami skontaktował, żebyśmy mogli zastosować jakiś bezpieczniejszy plan. Uciekłeś do przyjaciół jak przerażony szczeniak do suki.

- Dobra, nie skontaktowałem się z wami - odparł sarkastycznie Sulejman. - No i co? Jesteś taki pewny swego, wiesz, że tamci mogą zaraz tu być, i chcesz stać tak i gadać przez całą noc?

Abu Auda błysnął oczami i rzucił kilka rozkazów po arabsku. Dołączył do nich męż-

czynna, z którym Sulejman uciekł z hotelu, kierowca furgonetki i - sądząc po twarzy i cza-peczce, jakie noszą w Azji Środkowej - przysadzisty Uzbek. Kierowca wsiadł do furgonetki i odjechał w kierunku szosy.

- Chodźmy - szepnęła Randi.

Popędzili przez las do Maksa i Aarona, którzy zdążyli tymczasem ukryć samochody w przydrożnych zaroślach. Aaron szybko wysiadł.

- No i co?

Podbiegł do nich Max. Gapił się na Randi jakby był wygłodniałym neandertalczykiem, a ona pierwszym kawałkiem mięsa, jaki widzi przynajmniej od roku.

- Nie możecie wracać - odrzekła Randi, patrząc na niego jak na powietrze. - Nie teraz.

Tamci mają dwa samochody. Nie wiadomo, którym pojedzie Sulejman. - Nie dodała, że jednym z samochodów jechał również Abu Auda. I jeden, i drugi mogli naprowadzić ich na ślad komputera. - Musimy się rozdzielić i pojechać za obydwojma.

- Tylko bądźcie ostrożni - wtrącił Jon. - Abu Auda podejrzewa, że ktoś śledził Sulejmana. Będzie czujny.

Aaron i Max ponarzekali trochę na pracę, na późną godzinę i na to, że czeka ich kolejna nieprzespana noc, ale najważniejsza była misja Randi.

Smith wsiadł do samochodu Maksa, ona do wozu Aarona. Kilka minut później samochody terrorystów minęły ich i skręciły w kierunku szosy. Aaron i Max ruszyli. Trzymali się z daleka, często tracąc ich z oczu, wyęzając wzrok i wypatrując w ciemności czerwonych światełek. Robota była trudna i ryzykowna, bo łatwo mogli zgubić ich na dobre. Ale gdy wreszcie dojechali do autostrady, znowu mieli ich jak na widelcu. Tu zadanie było o wiele łatwiejsze.

Jakiś czas później jeden z samochodów skręcił w zjazd na południe, drugi na pomoc.

Zgodnie z umową Aaron i Max się rozdzielili. Jon usiadł wygodniej, czując, że kona ze zmęczenia. Czekala ich długa noc.

Waszyngton

Pełne napięcia spotkanie prezydenta z najbliższymi współpracownikami i przedstawicielami Połączonego Kolegium Szefów Sztabów przerwał odgłos gwałtownie otwieranych drzwi. Do Gabinetu Owального zajrzała osobista sekretarka Castilla, pani Pike, kędzierzawa brunetka, znana ze swej opryskliwości.

Poirytowany Castilla zmarszczył czoło, jednak wiedział, że jeśli Estella im przerywa, musi mieć ku temu naprawdę ważny powód.

- Powiedziałem, żeby mi nie przeszkadzano. - Nie wytrzymał. Od kilku dni zżerały go nerwy, noce spędzał bezsenne.

- Tak, wiem, panie prezydencie. Bardzo przepraszam, ale dzwoni generał Henze.

Castilla kiwnął głową, uśmiechnął się do niej przeproszająco i podniósł słuchawkę.

- Carlos? Co słysząc? - Popatrzył na grupkę siedzących i stojących przed nim ludzi.

Wiedzieli, że rozmawia z generałem, i wytężyli słuch.

- W Europie nic nowego, panie prezydencie - zameldował Henze. Głos miał dziarski i re-zolutny, lecz Castilla usłyszał w nim nutkę gniewu. - Od dwudziestu czterech godzin nie do-szło tu do żadnej awarii systemów elektronicznych.

Prezydent udał, że nie wyczuwa jego irytacji.

- Słaby promyk słońca, ale to zawsze coś - odrzekł. - Co z tymi terrorystami?

- Jak dotąd nic nowego. - Henze lekko się zawahał. - Panie prezydencie, czy mogę być z panem szczerzy?

- Bardzo mi na tym zależy, Carlos. O co chodzi?

- Spotkałem się z pułkownikiem Jonem Smithem, tym lekarzem wojskowym, którego wysłał pan na poszukiwania. Muszę przyznać, że nie dodał mi otuchy. Pułkownik Smith maca na oślepa, panie prezydencie. Nie dość, że podejrzewa, iż w całą tę zwariowaną aferę zamieszany jest zaufany adiutant generała La Porte'a, to powiedział jeszcze, że ja też nie jestem po-za podejrzeniami. Krótko mówiąc, on prawie nic nie wie.

Castilla westchnął, choć tylko w duchu.

- Według mnie, nieźle sobie radzi - odparł.

- Kopie, grzebie i węszy, to prawda, ale moim zdaniem nie posunął się nawet na krok.

Robi tylko dużo szumu, strzela w ciemno i bardzo mnie to niepokoi. Czy nie powinniśmy rzucić przeciwko tym ludziom wszystkiego, co mamy? Ten Smith może jest i dobry, ale sam sobie nie poradzi.

Castilla wszystko rozumiał. Henze byłby o wiele szczęśliwszy, gdyby mógł zmobilizować całą 82. Dywizję Wojsk Desantowych, całą kawalerię powietrzną, żeby w poszukiwaniu terrorystów przeczesali dom po domu cały Bliski Wschód. Oczywiście tego rodzaju akcja mogłaby zapoczątkować trzecią wojnę światową, ale o tym generał już nie pomyślał.

- Wezmę to pod uwagę, panie generale - odrzekł. - Wszystkie pańskie przemyślenia i obiekcje. I bardzo panu dziękuję. Jeśli przesiądę się na innego konia, natychmiast dam panu znać. Ale proszę nie zapominać, że pracuje nad tym również CIA. I MI-6. W słuchawce zapadła kamienna cisza.

- Tak jest, panie prezydencie, oczywiście.

Castilla kiwnął głową. Henze będzie chodził jak na smyczy, przynajmniej przez jakiś czas.

- Proszę mnie informować na bieżąco. Dziękuję, Carlos.

144

Odłożywszy słuchawkę, Castilla pochylił swoje potężne ramiona, szczupłymi palcami podparł się pod brodę, poprawił okulary w tytanowej oprawce i spojrzał w okno, za którym szalała burza. Niebo było tak paskudnie szare od deszczu, że nie widział końca Różanego Ogrodu, co nie poprawiło mu nastroju. Czuł się nieswojo, ba! - był przerażony, że agenci Tajnej Jedyńki nie znaleźli tego komputera.

Jednakże nie mógł tego po sobie okazać. Skupił wzrok na doradcach i generałach. Siedzieli w fotelach i na sofach, stali przy kominku. Czekali. Castilla popatrzył na wielki dywan z godłem Stanów Zjednoczonych i zacisnął zęby. Nie, nikt nas jeszcze nie pokonał, pomyślał.

Nie pokonał i nie pokona.

- Jak słyszeliście - zaczął spokojnie - dzwonił generał Henze z NATO. Tam też panuje spokój. Od dwudziestu czterech godzin nie doszło do ani jednego ataku.

- Nie podoba mi się to - powiedział szef sztabu Charles Ouray. - Dlaczego tak nagle usta-

ły? Dlaczego tamci przestali nam grozić? Zdobyli już to, czego chcieli? - Ouray miał sześć-

dziesiąt kilka lat, trójkątną twarz, niemal zupełnie gładkie czoło i niski, chrapliwy głos. - Bardzo wątpię.

- Może powstrzymuje ich to, co robimy - rzuciła z nadzieją doradczyni do spraw bezpieczeństwa narodowego Powell-Hill. Szczupła, konkretna i jak zwykle nienagannie ubrana, tym razem była w kostiumie od Donny Karan. - Może mamy szczęście i nie mogą dać sobie rady z naszymi nowymi zabezpieczeniami.

Generał Ivan Guerrero z Połączonego Kolegium Szefów Sztabów pochylił się do przodu i energicznie kiwnął głową. Splótł między kolanami kołkowate palce rąk i popatrzył na ze-branych chłodnymi, trzeźwymi oczami. Biła z nich pewność siebie, którą w wojsku częstokroć ceniono bardziej niż intelekt.

- Zainstalowaliśmy je wszędzie, nawet w czołgach - powiedział. - Moim zdaniem prze-chytrzyliśmy i tych sukinsynów, i ten diabelski komputer.

- Ja też tak uważam - wtrącił generał sił powietrznych Bruce Kelly. Stał przy kominku i patrzył na nich z rumianą, zaciętą twarzą. Lubił wypić, może aż za bardzo, ale w razie potrzeby był przebiegły i niezmordowany.

Generał Clason Oda z piechoty morskiej, który niedawno awansował i wciąż cieszył się dużą popularnością, dodał z przekonaniem, że zabezpieczenia na pewno poskutkowały i zniechęciły terrorystów.

- Nie ma to jak dobra amerykańska robota - zakończył z promiennym uśmiechem.

Dyskusja nad nowym systemem zabezpieczeń się przedłużała, lecz prezydent Castilla nie brał w niej udziału. Słuchał pełnych optymizmu głosów doradców i złowieszczego bęb-nienia deszczu w okna.

Gdy tamci wreszcie skończyli, odchrząknął i powiedział:

- Panie i panowie, wasze wysiłki i przemyślenia dodają mi otuchy, ale przychodzi mi do głowy wyjaśnienie, które na pewno nie przypadnie wam do gustu, co nie znaczy, że wolno nam je zlekceważyć. Otóż nasz wywiad sugeruje, że scenariusz może być zupełnie inny. Że to nie dzięki naszym zabezpieczeniom nie doszło do kolejnych ataków, tylko dzięki temu, że terroryści żadnego ataku nie przeprowadzili.

Admirał Brose, przewodniczący Połączonego Kolegium Szefów Sztabów, zmarszczył brwi.

- Co to znaczy, panie prezydencie? Że się wycofali? Że zademonstrowali nam to, co chcieli i uciekli do swojej nory?

- Chciałbym, żeby tak było, Stevens, bardzo bym chciał. Ale nie. Częściowym wytłuma-czeniem tej sytuacji mogą być jakże mile widziane sukcesy naszego wywiadu. Z prawdziwą przyjemnością donoszę, że znamy już nazwę grupy terrorystycznej, która weszła w posiadanie komputera molekularnego. Tarcza Półksiężycy. Nasi ludzie mogli pokrzyżować im plany.

- Tarcza Półksiężycy? - powtórzyła Emily Powell-Hill. – Nigdy o nich nie słyszałam. To Arabowie?

Castilla pokręcił głową.

- Nie. Islamiści z całego świata. Nikt o nich nie słyszał. Wygląda na to, że dopiero co powstałi, chociaż jest wśród nich wielu weteranów.

- Wspomniał pan, że to tylko częściowe wytłumaczenie sytuacji... - admirał Brose zawie-sił głos.

Castilla spochmurniał.

- Tak, niestety. Częściowe dlatego, że być może nie muszą już ni czego testować. Że przetestowali już cały sprzęt, dowiedzieli się wszystkiego, czego chcieli się dowiedzieć i o skuteczności działania tego komputera, i o nas. Pokonali nas, zmusili do pospiesznego wprowadzenia i uruchomienia programów i systemów zastępczych. Jest bardzo prawdopodobne, że osiągnęli to, co chcieli. Moim zdaniem są gotowi do właściwego ataku. To cisza przed bu-rzą, panowie. Próbują nas uspić. Chcą uspić naszą czujność i uderzyć, zadać nam śmiertelny cios. Boże, oby tylko jeden...

- Kiedy? - spytał admirał Brose. - Kiedy uderzą?

- Nie wiadomo. Wywiad daje nam od ośmiu do czterdziestu ośmiu godzin.

Zapadła druga, pełna napięcia cisza. Doradcy unikali się nawzajem wzrokiem.

- Rozumiem - odezwał się w końcu admirał Brose. - Co pan proponuje, panie prezydencie?

- Wrócić na stanowiska i dać z siebie absolutnie wszystko – odrzekł z mocą Castilla. -

Zaryzykować. Zastosować nawet najbardziej eksperymentalne i niebezpieczne systemy obronne. Musimy stawić czoło wszystkiemu, od ataku bakteriologicznego poczynając, na nuklearnym kończąc.

Emily Powell-Hill uniosła starannie wyregulowane brwi.

- Z całym szacunkiem, panie prezydencie, ale to są terroryści, a nie mocarstwo nuklearne. Wątpię, czy mają dostęp do tego rodzaju broni.

- Naprawdę, Emily? Jesteś gotowa zaryzykować i rzucić na szalę życie milionów Amerykanów, w tym swoje i twoich najbliższych?

- Tak, panie prezydencie, jestem gotowa - odparła z uporem. Castilla ponownie podparł się pod brodę i posłał jej słaby uśmiech.

- Jesteś bardzo dzielną kobietą i odważną doradczynią. Dobrze wybrałem doradczynię.

Ale jestem prezydentem tego kraju, Emily, i nie mogę pozwolić sobie na luksus ślepej odwagi. Potencjalne koszty są po prostu za wysokie. - Ogarnął ich wzrokiem. Wszystkich, bez względu na stanowiska, jakie w tej sprawie reprezentowali. - To nasza ojczyzna i musimy działać razem. Zawisła nad nami groźba, ale dysponujemy środkami, żeby groźbę tę zminimalizować. Bylibyśmy nieodpowiedzialnymi, upartymi głupcami, gdybyśmy nie dali z siebie wszystkiego. Dlatego bierzmy się do roboty.

Wyszli, omawiając po drodze kroki, które należałoby podjąć. Został tylko admirał Brose.

- Sam - rzucił ze znużeniem, gdy zamknęły się drzwi. - Środki masowego przekazu zaczynają coś podejrzewać. Są jakieś przecieki, dziennikarze węszą jak psy. Biorąc pod uwagę groźbę nieuchronnego ataku, czy nie powinniśmy wydać jakiegoś oświadczenia? Jeśli chcesz, mogę to załatwić. Będziesz miał święty spokój. Znasz to: „Według dobrze poinformowanych źródeł rządowych...” i tak dalej. Poznalibyśmy reakcję opinii publicznej, przygotowalibyśmy ludzi na najgorsze. To chyba dobry pomysł.

Castilla robił wrażenie tak zmęczonego i znużonego, jak zmęczony i znużony był admirał. Opadły mu ramiona, obwisły policzki, opalona twarz gwałtownie się postarzała. Martwiąc się nie tylko o przyszłość kraju, ale i o zdrowie swego prezydenta, admirał Brose bez słowa czekał na odpowiedź.

146

Castilla pokręcił głową.

- Nie. Daj mi jeszcze jeden dzień. Potem będziemy musieli to zrobić. Nie chcę wszczy-nać paniki. Nie teraz.

- Rozumiem. Dziękuję, że nas pan przyjął, panie prezydencie.

- Nie ma za co, admirale. Nie ma za co.

Przewodniczący Połączonego Kolegium Szefów Sztabów wyszedł. Zostawszy sam, Castilla wstał zza sosnowego biurka i podszedł do okna. Spod kolumnady spojrzął na niego czujny agent Secret Service. Upewniwszy się, że prezydentowi nie grozi żadne niebezpieczeństwo, ponownie ogarnął wzrokiem ogród i deszczowe niebo.

Wszystko jest jak zawsze, tak pewnie uważał. Jest spokojnie i normalnie. Castilla po-kręcił głową. Nic nie było normalnie. Absolutnie nic. Cały spokój i normalność diabli wzięli.

Tajną Jedynekę założył przed półtora rokiem i przez ten czas Fred Klein i jego ludzie ani razu go nie zawiedli. Czyżby mieli zawieść go teraz?

Paryż, Francja

Budynek stojący przy króciutkiej rue Duluth w szesnastej dzielnicy wyglądał jak typowy dom z czasów Haussmannowskiej rekonstrukcji Paryża. Jego elegancka fasada, choć nie rzucała się w oczy, skrywała jedną z najbardziej ekskluzywnych i kosztownych paryskich klinik. Zamożni, sławni i niesławni przyjeżdżali tu na operacje plastyczne, nie tyle po to, żeby zwalczyć objawy starości, ile po to, żeby odzyskać złudną, wymaginowaną młodość. Dyskretna, nawykła do tego, że przebywający tu przedstawiciele wszelkiego rodzaju elit domaga-ją się zachowania tajemnicy i przestrzegania wyjątkowo surowych środków bezpieczeństwa, klinika stanowiła idealną kryjówkę dla tych, którzy wiedzieli, kogo przekonać i przekupić.

Separatka Marty'ego Zellerbacha była duża, przestronna, wygodna i ozdobiona wazonem ze świeżymi peoniami na stoliku pod oknem. Peter siedział przy łóżku. Oczy Marty'ego były jasne, choć nieco zamglone, ponieważ przed kilkoma godzinami dostał zastrzyk mideralu, szybko działającego cudownego leku, dzięki któremu mógł wykonywać tak uciążliwe czynności jak wymiana żarówki, płacenie rachunków czy odwiedziny u przyjaciela. Cierpią-

cych na syndrom Aspergera często określano mianem głupków, maniaków, odmieńców, ekscentryków czy ludzi z zaburzeniami behawioralnymi. Naukowcy szacowali, że choroba ta - w różnej postaci od łagodnej do ostrej - dotyka średnio jedną osobę na dwieście pięćdziesiąt tysięcy ludzi. Dotąd nie wynaleziono na nią lekarstwa i jedynym ratunkiem dla pacjentów cierpiących na jej ostrą postać było zażywanie środków stymulujących centralny system nerwowy, takich jak mideral.

Szok związany z ostatnimi wydarzeniami już minął i Marty był teraz spokojny, choć przygaszony. Miękki i pulchny, leżał na górze poduszek jak szmaciana lalka. Miał zabanda-

żowaną głowę i ręce, które poharatały mu odłamki podczas wybuchu w Instytucie Pasteura.

- Boże święty! - wyszeptał, rozglądając się lękliwie po pokoju i unikając wzroku Petera. - To było straszne. Ta jatka w szpitalu. Gdyby nie chodziło o nasze życie, byłbym jeszcze bardziej przerażony.

- Mógłbyś mi przynajmniej podziękować - mruknął Howell.

- A nie podziękowałem? Cóż za zaniedbanie. Ale z drugiej strony, jesteś maszyną do zabijania. Sam tak powiedziałeś. Uwierzyłem ci na słowo. Dla ciebie i takich jak ty to po prostu kolejny dzień pracy.

Peter zeszywniał.

- Dla takich jak ja?

Marty uciekł wzrokiem w bok.

- Owszem, cywilizowany świat potrzebuje takich ludzi, ale za nic nie zrozumie, dla-147

czego...

- Marty, staruchu, tylko nie mów mi, że jesteś pacyfistą.

- No tak. Bertrand Russell, Gandhi, William Penn. Bardzo dobre towarzystwo. I bardzo interesujące. Ludzie, którzy naprawdę potrafili myśleć. Mógłbym przytoczyć ci kilka cytatów z ich wystąpień. Kilka bardzo długich cytatów. - Zerknął na Petera z przekorą.

- Daruj sobie. I pozwól, że ci o czymś przypomnę: ty też umiesz strzelać. W dodatku z broni automatycznej.

Marty aż się wzdrygnął.

- Dobra, trafiłeś mnie. - I z uśmiechem dodał: - Wiesz, tak sobie myślę, że czasami trzeba walczyć.

- Coś ty. Mógłbym uciec z tego cholernego szpitala, zostawić cię na pastwę tych dwóch zbirów i zaczekać, aż pokroją cię na cienkie plasterki. Ale, jak zapewne zauważyłeś, nie uciekłem i zostałem.

Marty pobladł. Wytrzeszczył oczy.

- Masz rację. Dziękuję.

- Właśnie, o to mi tylko chodziło. Możemy teraz pogadać?

Howell miał plaster na policzku. Miał też zabandażowane ramię i rękę, a wszystko to na skutek obrażeń odniesionych podczas cichej walki w separacie szpitala Pompidou. Marty właśnie się obudził i był jej świadkiem. Zlikwidowawszy napastników, Peter wytrzasnął

skądś fartuch salowego i zaopatrzone w koła wielki kosz na brudną bieliznę, po czym kazał

mu doń wejść i przykrył go stosem zmiętych prześcieradeł. Czuwający na korytarzu legionieści gdzieś znikli i Peter doszedł do wniosku, że albo ich przekupiono, albo zamordowano, albo sami byli terrorystami. Tylko gdzie przepadli ci z MI-6 i z Surete? Ale wtedy nie miał czasu, żeby o tym myśleć.

Bojąc się, że w pobliżu mogą czyhać inni - terroryści, ekstremiści czy innej maści separatyści - wywiózł Marty'ego ze szpitala, zapakował go do wynajętego samochodu i przyjechał

prosto tutaj, do prywatnej kliniki doktora Lochiela Camerona, starego kumpla jeszcze z czasów wojny o Falklandy.

- Oczywiście. Pytałeś mnie, co się stało w laboratorium. - Marty ścisnął dłońmi policzki. - O Chryste! Co za koszmar. Emile... Znasz Emile'a Chamborda?

- Nie, ale wiem, kto to jest. Mów dalej.

- Emile powiedział, że tego wieczoru wyjdzie wcześniej, dlatego nie zamierzałem tam iść. Ale przypomniałem sobie, że zostawiłem na stole moją pracę na temat równań różniczkowych, więc po nią wróciłem. - Zadrżały mu wargi. - To było przerażające! - Oczy rozszerzyły mu się ze strachu i podniecenia. - Zaczekaj! Było coś jeszcze. Tak. Chcę ci opowiedzieć o... o wszystkim. Próbuje...

- Wiemy, Marty, wiemy. Jon siedział przy tobie prawie codziennie. Odwiedziła cię Randi. Co chciałeś nam powiedzieć?

- Jon? I Randi? - Marty chwycił go za rękę i przyciągnął bliżej. - Posłuchaj. Emile'a w laboratorium nie było, lecz oczywiście wiedziałem, że go nie będzie. Ale nie było też komputera! Co gorsza, na podłodze leżał trup. Trup! Wybiegłem i byłem już przy schodach, gdy straszliwie huknęło, a wtedy, jakaś niewidzialna ręka uniosła mnie w powietrze i rzuciła na...

Krzyczałem. Pamiętam, że strasznie krzyczałem...

Howell objął go i poklepał po ramieniu.

- Już dobrze, już wszystko dobrze. Nic ci nie grozi. Jesteś teraz zupełnie bezpieczny.

Czy to dzięki pocieszającym słowom, czy silnemu, męskiemu uściskowi, czy dzięki te-mu, że był wreszcie w stanie rozmawiać o tym, co gnębiło go od czterech dni, w każdym razie Marty powoli się uspokoił.

Mimo to Peter był głęboko rozczarowany. W sumie dowiedział się jedynie tego, że w chwili eksplozji Chamborda w laboratorium nie było, że podrzucono tam czyjeś zwłoki, cze-148

go domyślili się już przedtem. Ale najważniejsze, że Marty żył, że wracał do zdrowia. Howell rozluźnił uścisk i Marty powoli opadł na stertę poduszek.

- Wygląda na to, że ten wstrząs dał mi się we znaki bardziej, niż myślałem - powiedział

ze słabym uśmiechem. - Nigdy nie wiadomo, co kogo kopnie, prawda? Mówisz, że zapadłem w śpiączkę?

- Spałeś jak dziecko od chwili wybuchu.

- A gdzie Emile? - spytał Marty z nagłym niepokojem. - Też mnie odwiedzał?

- Posłuchaj, mam złe wiadomości. Terroryci, którzy wysadzili laboratorium, porwali go i ukradli komputer. Porwali również jego córkę. Czy ten prototyp naprawdę działa? Założyli-

śmy, że tak. Działa?

- O Boże! Ci barbarzyńcy mają Emile'a, Teresę i komputer molekularny. Potworne! Tak, komputer działa, jak najbardziej. Przed oficjalnym ogłoszeniem wyników prac mieliśmy przeprowadzić kilka drobnych testów. Chcieliśmy zrobić to rano. Bardzo mnie zmartwiłeś.

Czy wiesz, co ten komputer może, zwłaszcza jeśli mają Emile'a, który potrafi go obsługiwać?

Boże święty! Co z nim będzie? Co będzie z Teresą? Okropne, nie chcę o tym myśleć.

- Tak, już wiemy, co ta maszyna potrafi. Tamci skutecznie nam to zademonstrowali.

Howell opowiedział mu o atakach na amerykańskie systemy elektroniczne. Marty poczerwieniał z gniewu i zacisnął pięści, co u człowieka nienawidzącego przemocy było widokiem niezwykłym.

- Straszne! Muszę im pomóc. Muszę uratować Chambordów! Trzeba odzyskać prototyp!

Podaj mi spodnie...

- Chwila! Moment! Jeszcze nie doszedłeś do siebie, chłopcze. Poza tym nie masz tu nic oprócz tej uroczej szpitalnej koszulki. - Marty już otwierał usta, żeby zaprotestować, ale Peter powstrzymał go gestem ręki. - Leż, staruszk. Może za kilka dni, dobra? - Zmrużył oczy. - A teraz pytanie za milion dolarów. Czy potrafiłbyś zbudować taki komputer, żebyśmy mogli się przed nimi obronić?

- Nie, Peter, bardzo mi przykro. Widzisz, problem w tym, że... Nie wsiadłem do samolotu ot tak sobie i nie przyszedłem do Emile'a prosto z ulicy. Nie, Emile zadzwonił do mnie do Waszyngtonu i bardzo mnie zaintrygował. Komputer molekularny, ścisła tajemnica i w ogóle.

Chciał, żebym pomógł mu wycisnąć z tej maszyny, co się da. Obsługa, rozumiesz? Obsługa.

Takie było moje zadanie. Budową zajmował się Emile. Wszystkie dane miał w notatkach.

Macie jego notatki?

- Nie znaleźliśmy ich. Żadnych.

- Tego się obawiałem.

Zapewniwszy Marty'ego, że wszyscy robią co w ich mocy, żeby zapanować nad sytuacją, Howell wykonał dwa telefony ze standardowego aparatu na stoliku w separacie. Poroz-mawiali jeszcze chwilę i przygotowując się do wyjścia, powiedział:

- Jesteś w znakomitych rękach. Lochiel to świetny lekarz i żołnierz. Dopilnuje, żeby nikt cię tu nie niepokoił i żebyś szybko wrócił do zdrowia. Śpiączka to nie żarty, brachu. Wie o tym nawet taki jajogłowy jak ty. Mam trochę roboty, ale wrócę, zanim zdążysz powiedzieć...

Kuba Rozpruwacz.

- Kuba Rozpruwacz... Bardzo zabawne. - Marty nagroził żart aprobującym skinieniem głowy. ~ A

może raczej Peter Nożownik?

-He?

- To bardziej pasuje. Ostatecznie twój wstrętny, ostry jak brzytwa nóż czy sztylet uratował nam życie. Ergo: Peter Nożownik.

- Jasne, już chwytam - odrzekł z uśmiechem Howell. Przypadkowo spojrzeli sobie w oczy, uśmiechnęli się szerzej i szybko uciekli wzrokiem w bok.

149

- Pewnie będzie mi tu dobrze - mruknął niechętnie Marty. – Jestem tu o wiele bezpieczniejszy niż z tobą, bo masz wybitny talent do pakowania się w kłopoty. - Nagle pojaśniała mu twarz. - Zapomniałem. Bardzo mnie to zastanawia...

- Co cię zastanawia?

- Obraz. Właściwie nie obraz, tylko reprodukcja. Reprodukcja obrazu. Należała do Emile'a i też znikła. Ciekawe dlaczego. Po co im była reprodukcja?

- Co to za reprodukcja? - spytał niecierpliwie Peter, myśląc już o czymś innym. - Skąd znikła?

- Z laboratorium. *Wielka armia wycofuje się spod Moskwy*. Znasz ten obraz, wszyscy go znają. Napoleon na białym koniu. Spuszczona głowa, zapadnięte policzki, a za nim pokonani żołnierze brnący w łachmanach przez śnieg. Dlaczego go zabrali? Nie miał żadnej wartości. Przecież to zwykła reprodukcja, a nie prawdziwy obraz.

Peter pokręcił głową.

- Nie mam pojęcia.

- Dziwne, prawda? - Marty pogłaskał się w zadumie po podbródku, doszukując się w tym jakiegoś znaczenia.

Waszyngton

Fred Klein siedział w prezydenckiej sypialni, gryząc ustnik dawno wygasłej fajki. W

ciągu ostatnich kilku dni były takie chwile, że omal nie przegryzł go na wylot. Miał do czynienia z wieloma poważnymi kryzysami, lecz nigdy dotąd z tak wielkim. Dobijało go ciągle napięcie, brak pewności jutra, poczucie bezsilności i świadomość, że jeśli terroryści zdecydują się użyć komputera molekularnego, świat nie ma żadnych szans. Potężna broń, którą z taką pieczołowitością i kosztem tak wielkich nakładów finansowych konstruowano od pięćdziesię-

ciu lat, była kompletnie bezużyteczna, chociaż niewtajemniczonym i pozbawionym wyobraźni dawała złudne poczucie bezpieczeństwa. W sumie można było liczyć jedynie na wywiad.

Na kilku agentów, którzy szli nikłym tropem agresorów niczym myśliwi w bezkresnej dziczy.

Otworzyły się drzwi i do sypialni wszedł prezydent Castilla. Zdjął marynarkę, połuźnił krawat i ciężko opadł na wielki skórzany fotel.

- Dzwonił Pat Remia z Downing Street. Zaginął generał Moore. Ich zdaniem to robota naszych terrorystów. - Odchylił głowę, oparł ją o za główek i zamknął oczy.

- Wiem - odrzekł Klein. Światło stojącej z tyłu lampy padało na jego twarz, podkreślając zakola i głębokie zmarszczki na czole.

- Słyszałeś, co Henze myśli o naszej taktyce?

Klein bez słowa kiwnął głową.

- No i...?

- Nie ma racji.

Prezydent pokręcił głową i zacisnął wargi.

- Martwię się, Fred. Henze mówi, że nie wierzy, żeby Smith ich znalazł. Muszę przyznać, że to, co mi powiedziałeś, też nie napawa mnie otuchą.

- Sam, w tego rodzaju operacjach postęp trudno czasem zauważyć. Nasze służby pracują pełną parą. Smith nawiązał współpracę z dwoma doświadczonymi agentami, z CIA i z MI-6.

Oczywiście nieoficjalnie, ale dzięki nim ma dostęp do informacji z archiwów dwóch potężnych agencji. Ze względu na problemy z łącznością nie jestem w stanie mu pomóc.

- Tamci wiedzą o Tajnej Jedyńce?

- Nie, absolutnie.

Prezydent splótł ręce na swoim obfitym brzuchu. W pokoju zapadła cisza. W końcu Castilla spojrzął na Kleina i powiedział:

150

- Dzięki, Fred. Bądź w kontakcie. W bardzo bliskim kontakcie.

Klein wstał i ruszył do drzwi.

- Oczywiście. Dziękuję, panie prezydencie.

151

Rozdział 24

Es Calo, Isla de Formentera

9 maja, piątek

Leżąc na spalonym słońcem zboczu wzgórza, Jon wystawił głowę. Ujrzał latarnię morską Far de la Mola górującą nad wschodnim krańcem tej wietrznej wyspy, a wokoło dziewięć plaż i czyste, błękitne morze. Ponieważ Isla de Formentera była niemal całkowicie płaska, podkradając się do trzech terrorystów, których śledzili przez całą noc, musieli wykorzystywać niemal każdy głaz i krzak.

Tamci - Akbar Sulejman, mężczyzna z hotelu St-Sulpice i uzbrojony strażnik z domku myśliwskiego - zaparkowali na wąskim kawałku piaszczystej plaży i, krążąc niecierpliwie wokół wozu, spoglądali na duży, szybki kuter, który stał na kotwicy sto metrów od brzegu.

Nad ranem ich mercedes przekroczył hiszpańską granicę. Max i Jon przekroczyli ją wkrótce potem. Jechali długo, bardzo długo. O świcie minęli Barcelonę. Po prawej stronie zamajaczyły wieżycy kościoła Sa-grada Família Gaudiego, po lewej siedemnastowieczny zamek na wzgórzu Montjuic.

Terrorystyci jechali dalej, wreszcie dotarli do lotniska El Prat i, mi-nawszy główne terminale, zaparkowali przed siedzibą spółki zajmującej się wynajmem śmigłowców. Wyszli i weszli do środka.

Jon i Max czekali daleko z tyłu. Max nie wyłączył silnika. Samochodu, którym jechał

Abu Auda, wciąż nie było.

- Firma ma przedstawicielstwo w Barcelonie, tak? - spytał Smith.

- Możliwe - odrzekł enigmatycznie Max.

- To ściągnij tu śmigłowiec, i to migiem.

Zaraz po tym, gdy Sulejman i pozostali wystartowali wynajętym helikopterem 407, nadleciał

seahawk, którym Jon i Max ścigali ich przez Morze Śródziemne i dotarli aż tutaj, na tę leżącą na południowym krańcu Balearów wyspę. A teraz leżeli między głazami i krzewami nad pla-

żą.

Z kutra zrzucano wielki gumowy ponton. Jon miał tylko kilka minut na podjęcie decyzji. Gdyby teraz zgubili terrorystów, namierzenie punktu docelowego ich podróży mogłoby potrwać wiele dni, zwłaszcza że kuter był szybki. Lot śmigłowcem nie wzbudził zbytnich podejrzeń. Ostatecznie na Baleary latało ich sporo, poza tym trzymali się na tyle daleko, że byli prawie niewidoczni. Warkot silników śmigłowca lecącego z tyłu ginął w warkocie silnika maszyny terrorystów, no i nie było problemu z paliwem. Ale śmigłowiec podążający za kutrem, maszyna, która musi nieustannie zataczać kręgi, bo jest od niego znacznie szybsza, zostałaby natychmiast zauważony. Poza tym najprawdopodobniej nie starczyłoby im paliwa.

- Wchodzę na pokład - oznajmił Smith. - Osłaniaj mnie i czekaj na Randi. Jeśli się nie pokaże, wracaj do Barcelony i spróbuj ją jakoś złapać. Powiedz jej, gdzie jestem i niech zarzuca sieć. Jeśli nie dadzą rady ich namierzyć, siedźcie na tyłku i czekajcie. Jakoś się z wami skontaktuję.

Max skinął głową i popatrzył na kołyszący się leniwie kuter.

- Cholernie ryzykowne - mruknął.

- Nie ma innej metody.

Smith odczołgał się do tyłu. Gdy brzeg znikł mu z oczu, wstał, biegiem okrążył skalisty cypel i rozebrał się do szortów. Zapiął pas, wetknął zań zwinięte spodnie, pistolet i nóż, potruczał przez piasek i wszedł do błyszczącej w słońcu wody. Była jeszcze chłodna, chłodniej-152

sza niż latem. Zanurkował, przepłynąwszy kilkadziesiąt metrów, ostrożnie wynurzył się i rozejrzał.

Motorowy ponton był po jego lewej stronie, w połowie drogi do brzegu. Z tyłu siedział samotny sternik. Pokład kutra robił wrażenie opustoszałego. Jon nabrał powietrza i znowu zanurkował.

Przeplłynął kilkanaście metrów, wynurzył się i ponownie zanurzył. Płynąc, intensywnie myślał. Załoga: co najmniej pięciu ludzi plus kapitan. Jeden z nich był teraz w pontonie.

Gdzie pozostali? Musiał wejść na pokład, znaleźć jakieś ubranie i dobrą kryjówkę. Niełatwe zadanie, ale nie miał wyjścia.

Wynurzył się niemal tuż przy białej burcie. Burta dźwigała się i opadała podobnie jak rufa, która głośno chlupocząc, wytwarzała lekką falę. Jon wziął głęboki oddech, zanurzył się jeszcze raz i wypłynął za kutrem, od strony morza, tuż przy zwisającej z pokładu drabince.

Wyteżył słuch. Nic, jedynie krzyk wracających na wyspę mew i rytmiczny chlupot wody.

Nerwy miał napięte do ostateczności. Chociaż wszystko wskazywało na to, że na pokładzie nikogo nie ma, absolutnej pewności nie było.

Z nożem w zębach odczekał, aż rufa opadnie, chwycił się drabinki, podciągnął, z trudem zachowując równowagę, stanął na pierwszym szczeblu i ostrożnie wystawił głowę.

Nikogo nie dostrzegł. Z walącym sercem nadśluchiwał przez chwilę, wspiał się wyżej, wpełził na pokład, rozpląszczył się na nim, żeby nie dostrzegł go nikt z brzegu, i szybko się rozejrzał. Natychmiast zauważył, że nie ma nie tylko gumowego pontonu, ale i łodzi. Świetnie.

Uważnie nadśluchując i czujnie obserwując, podszedł na czworakach do głównego luku i zeskoczył na dół. Wąski korytarz, rozmyte światło, kilka małych kabin podobnych do kabin oficerskich na okręcie podwodnym. Słyszał każde skrzypnięcie drewna, wyczuwał każde drgnienie kadłuba, czekał, aż usłyszy czyjeś głosy i kroki.

Kabin było pięć, po jednej dla członków załogi i dwa razy większa kabina dla kapitana.

Znalazł parę adidasów; pasowały. Sądząc po rozrzuconych wokoło przedmiotach osobistych, wszystkie kabiny były zajęte. Na małym, szybkim kutrze osobne kabiny to prawdziwy luksus, na który nie każdego stać. Oznaczało to, że załoga spędzała wiele dni na morzu, że zajmowała się czymś ryzykownym i niebezpiecznym. Skoro długo nie zawijali do portu, musieli mieć i pralnię. Potrzebowali jej nawet terroryści, zwłaszcza muzułmanie, dla których czystość była przykazaniem.

Znalazł ją na dziobie, maleńkie pomieszczenie, gdzie stała pralka i suszarka i gdzie le-

żał stos brudnych ubrań. Brudnych ubrań nikt nie będzie szukał. Chwycił koszulę i pasujące do spodni skarpetki. Ubrał się i przeszedł na rufę, gdzie znalazł kolejny dowód na to, że kuter odbywał bardzo długie rejsy: beczki z ropą. Nieco dalej była duża ładownia z zamontowanymi na ścianach uchwyty i łańcuchami do mocowania ładunku. Na podłużnicach, które zaprojektowano w taki sposób, żeby ładunek nie zamókł nawet wtedy, gdy przez burty przelewała się woda, dostrzegł ślady białego proszku. Heroina albo kokaina. A więc to tak. Najprawdopodobniej przemycali narkotyki i - sądząc po ciężkich mocowaniach - być może broń.

Właśnie: ładownia. To, że była pusta, mogło oznaczać, że dzisiejsza wyprawa jest inna, wyjątkowa.

Nagle zamarł w bezruchu. Buczenie silnika. Ciche i odległe, lecz coraz głośniejsze. Musiał się ukryć. Tylko gdzie? W ładowni? Odpada - była pusta. Kabiny? Też nie. Idąc na rufę, minął kambuz. Może tam? Nie, bo nawet podczas krótkiej podróży ktoś mógł zgłodzić. Intensywnie myśląc, wypadł na wąski korytarz. Z góry dobiegł go głośny stukot. Tamci wchodzili już na pokład. Serce waliło mu jak młotem. Przytłumiony odgłos kroków i czyjeś głosy.

Niedaleko, tuż nad nim.

Wreszcie znalazł dużą pakamerę pełną lin, łańcuchów, płótna, zapasowych kłap, części do silnika i różnych szpargałów niezbędnych do utrzymania i konserwacji intensywnie wyko-rzystywanej łodzi. Wsłuchując się w dochodzące z pokładu hałasy, rozgarnął to wszystko i 153

znalazł właz. Na korytarzu, tuż przed pakamerą, zabrzmiały czyjeś kroki. Wślizgnął się do włazu i zamknął pokrywę. Skrzyżował nogi, powoli usiadł i zdenerwowany oparł się o grodzie.

Mokre spodnie lepiły mu się do skóry.

Ktoś krzyknął, ktoś przystanął tuż pod drzwiami. Co najmniej dwóch. Rozmawiali po arabsku. Nagle jeden roześmiał się głośno, zawtórował mu drugi i odeszli. Gdy ich głosy ucichły, ryknęły potężne silniki. Kuter zatrząsł się, zadygotał, w burtę uderzyła podniesiona ko-twica i łódź ruszyła.

Ruszyła tak gwałtownie, że Jon upadł na zwój lin, a zaraz potem przyspieszenie rzuciło go na grodzie. Skacząc po falach, kuter wciąż nabierał prędkości. Jona rozbolał stłuczony bok, mimo to uśmiechnął się do siebie. Żył i miał w ręku pistolet. Miał też nadzieję, że na końcu podróży znajdzie rozwiązanie zagadki.

Randi stała pod latarnią morską Far de la Mola, w pobliżu pomnika Juliusza Verne'a.

Patrzyła na morze, na ledwo już widoczny kuter płynący na południe.

- Wszedł?

- Tak - odrzekł Max. - Tamci wrócili, podnieśli kotwicę i odpłynęli. Nie było żadnej bój-ki, żadnej strzelaniny, nic. Pewnie dobrze się ukrył. A co u was?

- Kiepsko. Dojechaliśmy do Barcelony i tam ich zgubiliśmy.

- Wy ich, czy oni was?

- Oni nas, cholera. - Randi z niesmakiem wykrzywiła usta. – Potem Salinger, szef naszej madryckiej placówki, przekazał nam wiadomość, że zażądałeś śmigłowca. Chwilę trwało, zanim znaleźliśmy tę firmę czarterową i wydusiliśmy z nich, dokąd polecieci. No i jesteśmy.

- Jon może przez was tego oberwać.

Zdenerwowana Randi wciąż patrzyła na morze. Kuter zniknął w szarej mgłę zasnuwającej daleki horyzont.

- Wiem - odparła. - Nawet jeśli bezpiecznie dopłyne do brzegu, będzie miał kłopoty.

- Cholera, co teraz?

- Zatankujemy i polecimy do Afryki.

- Nie musimy, seahawk ma dodatkowe zbiorniki. Ale jeśli polecimy za nimi, od razu nas zauważą.

- Nie. Namierzmy ich, miniemy i polecimy dalej. Tak, zobaczą nas. Nie ma co do tego wątpliwości. Ale jeżeli miniemy ich, nie okazując żadnego zainteresowania, pomyślą, że to tylko zwykły śmigłowiec.

- Ale po cholere mamy ich namierzać?

- Żeby sprawdzić, czy na pewno płyną do Afryki, a nie do Hiszpanii czy na Korsykę.

- A potem?

- Potem rzucimy w teren wszystko, co mamy. Musimy ich znaleźć. - Niespokojnie znowu patrzyła na morze.

Marsylia, Francja

Rybacki bar nie odróżniał się niczym od innych spelun stojących rzędem na skarpie górującej nad portem. Zapadł zmierzch i na nabrzeżu kłębił się tłum, co oznaczało, że kutry już zacumowały i targ rybny działa pełną parą. W gwarnym barze jak zwykle dominowały francuski i arabski.

Przez szare kłęby papierosowego dymu przedzierał się niski, krępy mężczyzna. Szedł

jak kaczką albo jak marynarz, który właśnie wrócił z morza. Miał na sobie džinsy, poplamio-154

ny podkoszulek i białą marynarską czapkę z czarnym daszkiem i błyszczącym czernią czubkiem.

Stanął przy miedzianej ladzie, nachylił się do barmana i łamaną francuszczyzną powiedział:

- Mam się tu spotkać z kapitanem Mariusem.

Barman aż się skrzywił. Otaksował obcego niechętnym spojrzeniem i w końcu spytał:

- Anglik?

- *Oui.*

- Z tego kontenerowca, który przyplłynął wczoraj z Japonii?

- Tak.

- Jak chcesz tu przychodzić, naucz się lepiej francuskiego.

- Rozważę to - odrzekł nieporuszony Anglik. - Gdzie Marius?

Barman, typowy zadziorny marsylczyk, łypnął na niego spode łba i szybkim ruchem głowy wskazał zasłonę z paciorków, oddzielającą hałaśliwą salę od sali na zapleczu. „Marynarz” - nazywał się Carsten Le Saux i tak naprawdę był rodowitym Francuzem - podziękował

mu jeszcze gorszą francuszczyzną, rozchylił zasłonę i usiadł przy zrytym bruzdami stole naprzeciwko jedyne gościa.

Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki jego francuski uległ błyskawicznej poprawie.

- Kapitan Marius?

Marius - szczupły, średniego wzrostu, o ciemnych, gęstych, długich do ramion włosach, które ktoś obciął mu nożem - był w rozpiętej koszuli z krótkimi rękawami. Zdawało się, że jego ciało składa się z samych kości i mięśni. Jednym haustem wychylił kieliszek marc, taniej brandy, odsunął puste szkło i odchylił się do tyłu, jakby zaraz miało zdarzyć się coś wielkiego.

Le Saux uśmiechnął się samymi ustami i skinął na kelnera w białym fartuchu, który ścierał brudny stół.

- *Deux marcs, s'il-vous-plait.*

- To ty dzwoniłeś? - spytał Marius.

- Tak.

- Powiedziałaś, że za dolary. Za stówę, tak?

Le Saux wyjął z kieszeni studolarowy banknot. Gdy położył go na stole, kapitan skinął głową, lecz pieniędzy nie wziął. Kelner podał brandy. Marius sięgnął po kieliszek.

Pili powoli, niespiesznie.

- Słyszałem, że parę dni temu mieliście na morzu małą przygodę - zagaił w końcu Le Saux.

- Skąd wiesz?

- Od jednego faceta. Uczciwy gość. Powiedział, że omal nie staranował was jakiś wielki statek. To chyba dość nieprzyjemne.

Marius spojrzał, na banknot. Podniósł go, złożył i schował do starej, mocno sfatygowanej portmonetki.

- Tak, trzy dni temu, nocą. Mieliśmy marny połów, więc wziąłem kurs na łowisko, które dobrze znam. Inni go nie znają, a ja bywałem tam jeszcze z ojcem, kiedy bliżej nie szło nic złowić. - Wyjął zmiętą paczkę z arabskim nadrukiem i wysunął z niej dwa pogięte, cuchnące papierosy.

Le Saux przyjął poczęstunek. Marius przypalił jemu i sobie, wydmuchał w powietrze kłęb toksycznego dymu. Był spięty, jakby wciąż nie mógł ochłonąć po silnym wstrząsie.

- Pojawił się znikąd. Jak drapacz chmur, jak góra. Bardziej jak góra, bo był wielki, olbrzymi. Tylko że się poruszał. Poruszająca się góra, gigantyczna skała, która sunęła prosto na mój mały kuter. Nie miał żadnych świateł ani w środku, ani na zewnątrz i był czarniejszy niż 155

noc. Potem okazało się, że światła były, ale niby jak miałem je zobaczyć, he? - Marius wyprostował się i obojętnie wzruszył ramionami, jakby sprawa była już bez znaczenia. - Minął

nas o włos. Omal nie poszliśmy na dno, ale jakoś przeżyłem.

- „Charles de Gaulle”?

- Albo „Latający Holender”, *hein?* Le Saux usiadł wygodniej.

Dlaczego nie zapalili świateł pozycyjnych? Były tam niszczyciele? Albo jakieś inne okręty?

- Nie widziałem ani jednego.

- Jakim płynął kursem?

- Sądząc po kilwaterze, na południowo-południowy-zachód.

Le Saux przywołał kelnera i zamówił jeszcze jedną kolejkę brandy. Odepchnął krzesło, wstał i

uśmiechnął się do kapitana.

- *Merci*. I uważaj tam na siebie. - Wychodząc, zapłacił za drinki.

Zmierzch ustąpił miejsca granatowej nocy. Na zatłoczonym nabrzeżu zapach ryb mieszał się z zapachem alkoholu. La Saux przystanął, żeby popatrzeć na gęszcz masztów i posłuchać usypiającego stukotu lin uderzających w drewniane kadłuby kutrów. Ten pradawny port utrzymywał miasto od czasów starożytnych Greków, którzy przybyli tu w siódmym wieku przed naszą erą. Porozglądał się przez chwilę jak zwykły turysta, a potem szybkim krokiem ruszył przed siebie. Po lewej stronie, na górującym nad okolicą wzgórzu, stała ozdobna, toną-

ca w świetle bazylika No-tre-Dame-de-la-Garde, strażnik dzisiejszej Marsylii.

Wąska uliczka, stary ceglany dom, w domu schody. Wszedł do dwupokojowego mieszkania na trzecim piętrze, usiadł na łóżku, podniósł słuchawkę telefonu i wybrał numer.

- Howell.

- A może tak miłe „Dobry wieczór”? - burknął Le Saux. - Nie, cofam to. Znając twoją gburowatość, wystarczyłoby „Halo”.

Szydercze prychnięcie i głos:

- Gdzie jesteś, do diabła?

- W Marsylii.

- No i co?

- No i to, że na kilka godzin przed powrotem generała Moore'a na Gibraltar na południowy-zachód od Marsylii widziano „De Gaulle'a". Przed rozmową z pewnym rybakiem trochę po węszyłem i okazało się, że w tym czasie nie odbywały się tam żadne manewry, ani natowskie, ani francuskie. W tym tygodniu nie było żadnych. „De Gaulle" płynął na południowo-południowy-zachód, w kierunku Hiszpanii. I jeszcze jedno płynął bez świateł pozycyjnych.

- Bez świateł? Ciekawe. Dobra robota, Carsten. Dzięki.

- Kosztowała mnie dwieście dolarów.

- Bardziej prawdopodobne, że sto, ale wyślę ci sto funtów.

- Hojność jest cnotą, Peter.

- Oby tak było, chłopcze, oby tak było. Miej oczy i uszy otwarte.

Muszę wiedzieć, co ten lotniskowiec tam robił.

Rozdział 25

Morze Śródziemne, wybrzeże Algierii

Przez wiele godzin kutrem miały fale, a on przez cały ten czas siedział pod pokładem jak zwierzę w klatce. Czujności nie stracił tylko dzięki temu, że grał w gry umysłowe, dziwiąc się sobie, że tak dokładnie, tak szczegółowo potrafi odtworzyć przeszłość. Krótki, stanowczo zbyt krótki związek z Sophią... Polowanie na wirusy w Amerykańskim Wojskowym Instytucie Chorób Zakaźnych... Tajna akcja w Berlinie Wschodnim. 1 tragiczny błąd w Somalii, kiedy to nie zdołał rozpoznać wirusa, który zabił narzeczonego Randi, dobrego żołnierza i oficera. Wciąż miał wyrzuty sumienia, chociaż wiedział, że był to błąd diagnostyczny, który mógł popełnić każdy lekarz, i który wielu popełniło.

Lata coraz bardziej mu ciążyły i obijając się o grodzie kutra, zaczął się zastanawiać, czy ta podróż kiedykolwiek dobiegnie końca. Zapadł w niespokojny sen, lecz gdy otworzyły się drzwi do pakamery, momentalnie otrzeźwiał i odbezpieczył pistolet. Ktoś wszedł do środka, ktoś tam czegoś szukał. Sekundy wlokły się w nieskończoność, czuł, że po plecach spływa mu strużka potu. Tamten zaklął po arabsku. Jon wyteńczył słuch i w końcu zrozumiał, że intruz szuka jakiegoś klucza.

Walcząc z narastającą falą klaustrofobii, próbował przypomnieć sobie, czy przypadkiem tego przeklętego klucza gdzieś nie przełożył. Zaklął w duchu i w tym samym momencie Arab zaklął na głos, lecz było to przekleństwo radosne, bo wreszcie znalazł to, czego szukał.

Wkrótce jego kroki oddaliły się i w pakamerze ponownie zapadła cisza.

Gdy wreszcie trzasnęły drzwi, Smith powoli wypuścił powietrze. Wytarł ręką czoło, zabezpieczył broń, z ulgą oparł się o grodzie i niemal w tej samej chwili w kuter uderzyła kolejna fala.

Nieustannie spoglądał na zegarek. W szóstej godzinie podróży dudnienie silników znacznie osłabło, kuter zwolnił, a kilka minut później znieruchomiał. Rozległo się metaliczne skrzypnięcie i hurkot łańcucha, który szybko ucichł, co oznaczało, że stoją na płyciźnie.

Gdzieś w pobliżu krzyczały mewy. Łąd.

Na pokładzie trwała cicha krzątanina. Miękkie plaśnięcie, jedno i drugie, zaraz potem tupot nóg. Żadnych krzyków, żadnych rozkazów. Załoga zachowywała się najciszej, jak umiała. Skrzypnęły ostrożnie zanurzone wiosła i wkrótce wszystko ucichło. Odpłynęli? Pon-tonem i łodzią? Jon miał taką nadzieję.

Czekał. Kuter kołysał się rytmicznie na łagodnych falach. Gdy morze omywało kadłub i gdy drewno ocierało się o metal i plastik, zdawało się, że wzdycha. Cisza. Wszędzie panowała przenikliwa cisza.

Jon otworzył luk i powoli wstał, czekając, aż do zeszywniałych rąk i nóg powróci czucie. Przeciągnął się, spojrział na sączące się spod drzwi światło i w końcu wyszedł z kryjówki.

Idąc przez ciemną pakamerę w stronę drzwi, potracił kolanem coś, co spadło z brzękiem na podłogę.

Zastygł bez ruchu. Wyteżył słuch. Z pokładu nie dochodził żaden dźwięk. Mimo to Jon ani drgnął. Czekał. Minutę. Drugą. Nikogo. Nikt nie nadchodził.

Odetchnął, otworzył drzwi i wyrzwał na korytarz. Pusty. Zamknął drzwi i ruszył do tra-pu. Nie zdawał sobie z tego sprawy, ale opuścił gardę, dał się uśpić złudnej ciszy, przekonany, że jest to ta sama cisza, jaka panowała na kutrze, gdy wchodził na pokład.

Z jednej z kabin wyszedł nagle potężnie zbudowany mężczyzna z wycelowanym w niego pistoletem. Na głowie miał fez, a na zarośniętej szczecinę gębie dość paskudną minę.

157

- A ty, kurwa, kto? Skąd się tu wzięłeś? - Mówił po angielsku z arabskim akcentem.

Egipcjanin?

Jon rzucił się na niego jak żbik. Chwycił go za nadgarstek uzbrojonej ręki, drugą ręką wyjął nóż.

Zaskoczony gwałtownością ataku Arab próbował się wyrwać. Szarpnął ręką do tyłu i mocno się zachwiał. Jon zadał mu cios pięścią w szczękę, lecz tamten odzyskał równowagę i nie zdejmując palca ze spustu, grzmotnął go w bok ręką pistoletu.

Smith zdążył się w czas odchylić. Arab pociągnął za spust i gruchnął wystrzał, który w zamkniętym pomieszczeniu zabrzmiał jak salwa z armaty. Kula świsnęła i utknęła w ścianie.

Zanim Arab wycelowwał znowu, dostał nożem w pierś.

Błysnął czarnymi oczami, upadł ciężko na kolana, stęknął i runął na twarz.

Jon wytrącił mu nogą pistolet - glocka kaliber dziewięć milimetrów - wyjął z paska walthera i zrobił krok do tyłu. Spod ciała sączyła się krew.

Przykucnął i zbadał Arabowi puls. Serce nie biło.

Jon wstał. Cały się trząsał. Po wielu godzinach bezczynności zmusił mięśnie do nagłego, gwałtownego wysiłku. Dygotał tak, jak dygocze wyścigowy samochód, który pędząc z prędkością trzystu kilometrów na godzinę, raptownie zahamował. Nie chciał go zabijać. Nie lubił zabijać, ale tym razem nie miał wyboru.

Uspokoiwszy się, przestąpił nad martwym i wszedł na trap. Powitało go zachodzące słońce.

Wystawił głowę i zlustrował pokład. Nikogo. Kuter skonstruowano tak, żeby był jak najszybszy, dlatego nie było tam żadnych nadbudówek, które mogłyby stawić opór wiatrowi.

Łódź i ponton znikły. Na płaskim jak stół pokładzie wznosił się jedynie mostek, w tej chwili pusty.

Podczołgał się ostrożnie, wszedł na mostek i ogarnął wzrokiem cały kuter. Nikogo. Na konsolcie znalazł lornetkę. Słońce nad horyzontem wyglądało jak kula cytrynowego ognia.

Gwałtownie pochłodziła - według jego zegarka w Paryżu minęła szósta. Sześć godzin pod pokładem, płynęli z dużą prędkością... tu też była szósta, najwyżej siódma.

Przytknął lornetkę do oczu i zlustrował tonący w słońcu brzeg. Na pięknej gładkiej pla-

ży stało coś, co wyglądało jak rząd plastikowych inspektów. Za nim ciągnął się w głąb lądu drugi rząd. Tuż obok rósł cytrusowy gaj; na liściastych gałęziach dojrzewały pomarańcze. W

morze wchodził długi cypel. Zdawało się, że jest całkowicie otoczony białym murem co najmniej trzymetrowej wysokości. Mur? Zaintrygowany Jon uważnie mu się przyjrzał. Częściowo przesłaniały go ciemnozielone drzewa oliwkowe i wysokie palmy, a nieco dalej majaczyło coś przypominającego kopułę.

Przesunął lornetkę. Daleko po prawej stronie po nadbrzeżnej autostradzie śmigały nowoczesne samochody. Przesunął lornetkę trochę wyżej. Wzgórza. Nad morzem niższe, na horyzoncie wyższe.

Opuścił lornetkę, żeby to wszystko przeanalizować. Nie, to nie Francja. Południowa Hiszpania? Też nie. Nie, to musiała być północna Afryka i sądząc po bujnej, soczystej zieleni, po inspektach, szerokich piaszczystych plażach, palmach, wzgórzach, po autostradzie, po nowoczesnych samochodach, po ogólnych oznakach dobrobytu i po szybkości, z jaką tu dopłynęli, stali na kotwicy u wybrzeża Algierii, prawdopodobnie gdzieś koło Algieru.

Jeszcze raz przypatrzył się długiemu murowi. Ostatnie promienie słońca odbijały się odeń jak od chromowanej stali, prawie go oślepiając. W świetle tańczyły drobinki pyłu, sam mur też był zamglony i rozmyty; zdawało się nawet, że lekko faluje. Przy takiej interferencji Jon nie dostrzegął stojących za nim budynków. Przyjrzał się też plaży, lecz nie wypatrzył tam ani pontonu, ani łodzi.

Opuścił lornetkę i ze ściągniętymi ustami jeszcze raz przeanalizował sytuację. Zastanawiał go ten wysoki, solidny mur, który zdawał się otaczać cały cypel.

Szybko zbiegł pod pokład, do pakamery, gdzie widział plastikowe wiadro. Ponownie rozebrał się do szortów, i włożył do kubła ubranie, pistolet i nóż. Zaniósł to wszystko na pokład, sznurową drabinką zszedł do ciemnej, chłodnej wody i popychając wiadro przed sobą, popłynął do brzegu. Starał się robić jak najmniej fal, ponieważ odbite od nich promienie słoń-

ca mogły zwrócić czyjąś uwagę.

Stres związany z ostatnimi wydarzeniami i uciążliwa podróż dały mu się we znaki, dlatego po kilkuset metrach, był bardzo zmęczony. Ale gdy popatrzył na cypel, poczuł przypływ sił. Mur był wyższy, niż sądził, miał ponad cztery metry wysokości. Jeszcze bardziej interesujące było to, że jego szczyt zabezpieczono drutem kolczastym, który sterczał tam jak ciernio-wa korona. Wysoki mur, drut - ktoś chciał zniechęcić intruzów, najwyraźniej bardzo mu na tym zależało.

Zmierzch rozlał się wokoło jak atrament, temperatura wody i powietrza spadła jeszcze bardziej. Wreszcie cypel, jego koniec porośnięty nieprzeniknionym gąszczem krzewów i palm. Jon opłynął go powoli, lecz nie dostrzegł ani jednego budynku.

I nagle uśmiechnął się do siebie. Na plaży, tuż pod ścianą gęstwiny, leżały ponton i łódź. To już coś.

Ożywiony płynął dalej, aż wypatrzył na brzegu miejsce, gdzie zielony gąszcz dochodził

tak blisko morza, że niemal w nim tonął, i gdzie kończył się biały mur, ustępując miejsca dzikiej roślinności. Ponownie zlustrował brzeg, tym razem wypatrując jakiegoś ruchu, pchnął

przed siebie wiadro i kilka chwil później wyszedł na rozgrzany słońcem piasek. Leżał na nim całą minutę, czując, jak wali mu serce, i chłonąc miłe ciepło.

W końcu wstał, na bosaka wbiegł w gęstwinę i wkrótce natknął się na maleńką polankę, mroczną i cienistą, pełną zapachów ziemi i roślin. Ubrał się pod palmą, wetknął za pasek pistolet, pochwę z nożem przypiął rzepami do łydki i ukrył wiadro.

Szedł między drzewami i krzewami wzdłuż plaży. Kilkadziesiąt metrów dalej natrafił

na ścieżkę. Przykucnął, żeby się jej przyjrzeć, i natychmiast zauważył, że są na niej charakterystyczne ślady sportowych butów, niemal takie same, jakie zostawiał on. Te najświeższe, nakładające się na siebie i różnej wielkości, wiodły od miejsca, gdzie widział ponton i łódź.

Podniesiony na duchu, wyjął pistolet, skręcił w ścieżkę, lecz już piętnaście metrów dalej gwałtownie przystanął, gdyż ścieżka nagle się urwała, przechodząc w wielką polanę, na której kładły się coraz mroczniejsze cienie. Rosły tam drzewa oliwkowe i palmy daktylowe, a dalej wznosiło się wzgórze. Na wzgórzu stała duża, biała willa ukoronowana białą, ozdobioną mozaikami kopułą. Właśnie tę kopułę widział przez lornetkę z kutra.

Willa robiła wrażenie kompletnie odizolowanej i na pierwszy rzut oka opustoszałej.

Nikt nie pracował w ogrodzie, nikt tam nie spacerował, nikt nie siedział na niebieskich ławkach z kutego *żelaza* ustawionych na długim tarasie. Nie dostrzegł też nikogo przez wychodzące na taras drzwi. Ani samochodów, ani żadnych innych pojazdów. Nic. Poruszały się jedynie nadęte jak balony firanki w oknach. Lecz nagle doszedł go czyjś głos. Nie, głosy. Chór głosów powtarzających coś monotonicznie, rytmicznie i daleki odgłos pojedynczego wystrzału.

Sporo ludzi. Kilkunastu, może więcej.

Zza rogu willi wyszedł mężczyzna w brytyjskiej panterce i w afgańskim turbanie na głowie. Na ramieniu miał rosyjskiego kałasznikowa.

Jonowi szybciej zabiło serce. Przykucnął za krzakiem i w tym samym momencie zza przeciwległego rogu wyszedł drugi strażnik. Ten wyglądał na Azjatę, był bez nakrycia głowy i miał na sobie dżinsy i flanelową koszulę. Trzymał na ręku M60E3, amerykański pistolet maszynowy. Minęli się na schodach tarasu i poszli dalej, każdy w swoją stronę.

Smith czekał bez ruchu. Chwilę później z domu wyszedł trzeci strażnik. Równie dobrze uzbrojony jak tamci, stanął na tarasie, powiódł wzrokiem po polanie i wrócił do domu. Pięć minut później dwaj pierwsi pojawili się ponownie - zdążyli już okrążyć willę - a zaraz po nich na taras wyszedł strażnik. A więc czterech. W sumie było ich czterech.

159

Wiedząc, jakim systemem patrolują teren, mógł przystąpić do działania. Cofnął się w gęstwinię i zatoczywszy szeroki łuk, znalazł małe, na wpół ukryte drzwi. W tym miejscu ściana willi prawie się stykała z przypominającym dżunglę gąszczem. Nie było tu ani samochodów, ani nawet podjazdu, który zbudowano pewnie po drugiej stronie budynku. Chór sflu-mionych, monotonicznych głosów przyprawiał go o dreszcze. Wychwycił kilka arabskich słów i wiedział już, że jest to litania nienawiści do Wielkiego Szatana, do Izraela i Ameryki.

Doczekał chwili, gdy strażnik zniknie za rogiem willi, a wtedy wyszedł z zarośli i puścił

się pędem do drzwi. Były otwarte. Nic dziwnego, skoro otwarte były również okna, dziesiątki okien, które wprost zapraszały i zachęcały do wejścia. Mimo to uchylał je bardzo ostrożnie, centymetr po centymetrze. Przez szparę zobaczył wypolerowaną podłogę, kosztowne arabskie meble, współczesne abstrakcyjne obrazy, dalekie od tradycyjnych, lecz zgodne z duchem islamskiej przyzwoitości, małe, odseparowane zasłonami alkowy do czytania i medytacji i... ani jednego człowieka.

Wślizgnął się do środka z pistoletem w obu rękach. Za mauretańskim łukiem widać by-

ło drugie pomieszczenie, podobne do tego, w którym się znajdował. W tej części Afryki, tak często

najeżdżanej, podbijanej i zasiedlanej, najtrwalsze piętno odcisnęli Arabowie. Stanowili też tu zdecydowaną większość. Mimo nieustępliwości plemion berberyjskich, mimo władzy francuskich biurokratów, różne ugrupowania wciąż próbowały zaprowadzić w Algierii orto-doksyjne rządy islamskie, choć było to zadanie trudne, długotrwałe i bardzo krwawe. Wyja-

śniało to również, dlaczego tak wielu mieszkających tu muzułmanów popierało, a nawet udzielało schronienia fundamentalistycznym zabójcom.

W pomieszczeniu za mauretańskim łukiem też nie było nikogo, podobnie jak w sąsiednich. Smith szedł ostrożnie przez chłodne, cieniste pokoje i wreszcie dotarł do sali, w której rozbrzmiewał chór głosów.

Podwoiwszy ostrożność, podszedł jeszcze bliżej. Słowa rozbrzmiewały coraz wyraźniej i w końcu rozpoznał głos, który je wypowiadał: głos Mauritanii. Znalazł kryjówkę Tarczy Półksiężycy, może nawet kwaterę główną. Spięty i podekscytowany wytężył słuch. Rozbrzmiewające w pomieszczeniu echo wskazywało, że jest to duża, wysoka sala, znacznie wyższa niż pokoje, które dotychczas mijał.

Bliżej, jeszcze bliżej, aż do kolejnego łukowatego przejścia. Przywarł do ściany, wyrzał zza niej i zobaczył plecy kilkudziesięciu mężczyzn w wielkiej sali pod olbrzymią kopułą.

Była to grupa bardzo zróżnicowana, bo stali tam i Beduini w długich szatach, i Indonezyjczy-cy w najnowszych lewisach i modnych podkoszulkach, i Afgańczycy w charakterystycznych turbanach na głowie. Wszyscy mieli broń, od najnowocześniejszych pistoletów maszynowych po stare, poobijane kałaszniko-wy. Opierając się o wielki dębowy stół, stał przed nimi zładnie łagodny Mauritania w długich białych szatach. Mówił po francusku. Tłum słuchał go z wyte-

żoną uwagą.

- Doktor Sulejman już przybył i właśnie wypoczywa. Wkrótce z nim porozmawiam, a gdy tylko przybędzie Abu Auda, rozpoczniemy odliczanie.

Buchnęły podekscytowane okrzyki *Alahu Akbar* i zawołania w wielu innych językach, których Jon nie rozumiał. Mężczyźni wznieśli broń i zaczęli nią potrząsać.

- Nazywają nas terrorystami - kontynuował Mauritania - ale my nimi nie jesteśmy. Jesteśmy partyzantami, żołnierzami w służbie Boga i z Bożą pomocą zatriumfujemy. - Podniósł

ręce, żeby uciszyć tłum. - Wypróbowaliśmy komputer Francuza. Zmyliliśmy Amerykanów.

Teraz oślepiemy ich i ogłuszemy, żeby nie mogli ostrzec swoich żydowskich lokajczyków, gdy wykradniemy Rosjanom taktyczny pocisk nuklearny i wyślemy go w chwalebny podróż, by zmiotł syjonistów z powierzchni naszej świętej ziemi!

Tym razem ryk tłumu był tak głośny, okrzyki tak dzikie i złowrogie, że zatrzęsała się ko-puła.

Gdy ucichły, jasne oczy Mauritanii pociemniały, a jego twarz spowaźniała.

- Tak, to będzie wielki wybuch - mówił. - Zabije ich wszystkich. Ale Wielki Szatan ma długie ręce i zginie również wielu naszych. Bardzo mnie to smuci. Śmierć każdego syna Mohammeta jest dla mnie ciosem w samo serce. Ale trzeba to zrobić, trzeba oczyścić świętą ziemię i wypłenić z niej bękartów Syjonu. Zniszczymy serce Izraela. Muzułmanie, którzy tam zginą, zostaną męczennikami i w wiecznej chwale pójną prosto do Boga.

Tłum wiwatował. Jonowi krew się ścięła w żyłach. Tamci planowali atak nuklearny, atak wymierzony nie w Stany Zjednoczone, tylko w Izrael. Za pomocą komputera molekularnego chcieli przeprogramować rosyjski pocisk nuklearny średniego zasięgu i skierować go na Jerozolimę, na „serce Izraela”. Żeby zrealizować swoje chore marzenia, zamierzali zabić miliony ludzi i w tym kraju, i w krajach z nim sąsiadujących.

Ukradkiem, krok po kroku, wycofał się do pomieszczenia obok. Nie miał więcej czasu.

Musiał znaleźć Chambordów i zniszczyć komputer. Czuł, że naukowiec i jego córka gdzieś tu są, tu, w tym wielkim białym budynku. Mogli tu również być Peter i Marty. Z nadzieją, że ich wszystkich odnajdzie, ruszył przez labirynt pustych pokoi.

Tulon, Francja

O zmierzchu główną bramę bazy marynarki wojennej w Tulonie przekroczył *maitre-principal* Marcel Dalio. Powściągliwy w zachowaniu, średniego wzrostu i wagi, pod wieloma względami nie rzucał się w oczy. Wyróżniała go jedynie wyrazista, pomarszczona twarz.

Chociaż był w pełni sił i miał dopiero pięćdziesiąt pięć lat, wyglądał dwadzieścia lat starzej.

Niemal całe życie spędził na morzu i słońce, wiatr oraz słone powietrze zniszczyły mu skórę, znacząc ją dziesiątkami głębokich zmarszczek i bruzd.

Idąc, zwrócił swoją wspaniałą, dramatycznie przystojną twarz w stronę portu, gdzie cumowały rybackie kutry, prywatne jachty i statki wycieczkowe, które właśnie rozpoczynały kolejny sezon turystyczny. Potem spojrział na morze, na swój potężny okręt, na stojący na kotwicy lotniskowiec „Charles de Gaulle”. Był dumny, że jest *maitre-principal*, starszym matem, i jeszcze dumniejszy z tego, że służy na „De Gaulle'u”.

Wszedł do swego ulubionego bistra w wąskiej bocznej uliczce przy quai Stalingrad.

Właściciel powitał go po imieniu, skłonił się i uroczyście zaprowadził do odosobnionego stolika na końcu sali.

- Które danie jest dzisiaj najlepsze, Cesar? - spytał Dalio.

- *Daube de boeuf, maitre-principal*. Madame przeszła samą siebie.

- W takim razie *daube de boeuf*. I butelkę tego pysznego Cote du Rhone.

Dalio usiadł wygodnie i rozejrzał się po sali. Zgodnie z oczekiwaniami była prawie pusta, jak to na wiosnę. Nikt nie zwracał uwagi ani na niego, ani na jego mundur. Turyści owszem, gapili się na francuskie mundury, ponieważ wielu przyjeżdżało do Tulonu tylko po to, żeby zobaczyć bazę marynarki wojennej, stojące w niej okręty i przy odrobinie szczęścia zwiedzić jakiś pancernik czy krążownik.

Jadł powoli, rozkoszując się smakiem duszonej baraniny, której nikt nie potrafił przyrządzić tak dobrze jak żona Cesara, i popijał winem w kolorze morwy, błyszczącym w kieliszku jak krew. Na deser pochłonał *tarte au citron* i wypił filiżankę kawy. W końcu poszedł

do toalety. Podobnie jak w innych barach i restauracjach w pobliżu quai Stalingrad, niemal przez cały rok w bistrze bywało wielu turystów i ze względu na zamożnych, częstokroć hojnych Amerykanów zainstalowano tu nie tylko oddzielne toalety dla kobiet i mężczyzn, ale i kilka kabin.

Dalio z ulgą stwierdził, że w męskiej toalecie nikogo nie ma. Sprawdził kabiny. Były puste. Zadowolony zamknął się w tej, w której mu kazano, spuścił spodnie i usiadł. Czekał.

Kilka chwil później do kabiny obok ktoś wszedł.

161

- To ty, Marcel? - spytał cicho po francusku.

- *Oui*.

- Spokojnie, przyjacielu. To nie tajemnica państwowa.

- Tajemnicy państwowej nigdy bym nie zdradził, dobrze o tym wiesz.

- Wiem - przyznał Howell. - Ale do rzeczy. Czego się dowiedziałeś?

- Wygląda na to... - Dalio urwał, gdyż do toalety wszedł jakiś mężczyzna. - Wygląda na to - kontynuował, gdy tamten umył ręce i wyszedł - że dostaliśmy oficjalny rozkaz zademonstrowania przedstawicielom NATO naszych umiejętności działania w skrajnych warunkach bojowych. Dlatego

szliśmy bez świateł.

- Jakim przedstawicielom?

- Grupie generałów. Był wśród nich zastępca naczelnego dowódcy Połączonych Sił

Zbrojnych, generał Roland La Porte.

- A pozostali?

- Nie znam ich, ale sądząc po mundurach, był tam Niemiec, Hiszpan, Anglik i Włoch.

Do toalety weszło dwóch pijanych, śmiejących się rehotliwie mężczyzn. Dalio i Howell zamilkli, przysłuchując się ich bełkotliwej, nedorzecznej rozmowie. Są zalani czy tylko udają? - zastanawiał się podejrzliwie Peter.

Gdy wreszcie wyszli, ustalwszy, który z nich ma poderwać siedzącą obok nich rudą seksbombę, Howell ciężko westchnął.

- Prostaki - mruknął. - Dobrze, Marcel. Tak brzmiał oficjalny rozkaz. A teraz powiedz, jak to wyglądało naprawdę.

- Wiedziałem, że o to zapytasz. Stewardzi mówią, że tamci nie wyszli nawet na pokład.

Cały czas siedzieli na dole, mieli jakąś naradę. Zaraz potem opuścili okręt.

Peter drgnął.

- Opuścili okręt? Jak?

- Śmigłowcami.

- Przylecieli na „De Gaulle'a” własnymi śmigłowcami i po naradzie nimi odlecieli?

Dalio kiwnął głową i przypomniał sobie, że Peter go nie widzi.

- Tak twierdzą stewardzi. Większość czasu spędziłem pod pokładem, więc niczego nie widziałem.

A więc to tak, pomyślał Howell. Generał Moore był na lotniskowcu. Ale po co tam poleciał? Na jaką naradę?

- Czy stewardzi wiedzą, o czym tamci rozmawiali?

- Nie, nic o tym nie mówili.

Peter potarł nos.

- Wypytaj ich. Jeśli się czegoś dowiesz, zadzwoń do mnie pod ten numer. - Wsunął pod przepierzenie

karteczkę z odręcznie napisanym numerem skrzynki kontaktowej MI-6.

- Dobrze - odrzekł Dalio.

- *Merci beaucoup*, Marcel. Mam u ciebie dług.

- Będę o tym pamiętał. I obym nigdy nie musiał go odbierać.

Gdy Howell wyszedł, Dalio wrócił do stolika, żeby wypić drugą filiżankę kawy. Obojętnie rozejrzał się wokoło. Nikogo. Ani znajomych, ani żadnych podejrzanych typów. Ani oczywiście Petera.

Amerykański krążownik rakietowy USS „Saratoga”

Morze Śródziemne

Centrum informacyjne bojowego systemu AEGIS przypominało mroczną, zagraconą jaskinię. Wypełniał je niemal niewyczuwalny, dokładnie przefiltrowany zapach pracujących 162

urządzeń elektronicznych, urządzeń skomplikowanych i straszliwie kosztownych. Randi siedziała za jednym z łącznościowców i wsłuchując się w głos Maksa, przekrzykującego dudniący

cy warkot helikopterowego silnika, obserwowała ruch świetlistych ramion przesuwających się niespiesznie po zielonkawym ekranie radaru i sonaru.

Śmigłowiec patrolował wybrzeże Algierii i Max dał jej przed chwilą znać, że znaleźli kuter, na którym ukrył się Smith.

- To ten sam! - krzyczał.

- Na pewno? - spytała Randi, patrząc na maleńką kropeczkę pulsującą na ekranie radaru.

- Na sto procent. Obejrzałem go sobie dokładnie, czekając, aż Jon wejdzie na pokład. No i kiedy odpływali.

- Widzisz tam kogoś? Widzisz Jona?

- Nie, nie widać nikogo! - wrzasnął Max.

- Robi się ciemno. Gdzie ten kuter? Daleko?

- Ze dwa kilometry od nas, ale mam lornetkę. Na pokładzie nie ma ani pontonu, ani sza-lupy.

- Gdzie oni przepadli?

- Tu jest taki cypel, a na cyplu stoi wielki dom czy willa. Kilkaset metrów w głąb lądu widać rząd niskich budynków przypominających koszary. Jest tam też duży plac, coś w rodzaju placu apelowego. Wszystko dobrze odizolowane. Główna droga tam nie dochodzi, odbija na południe.

- I nie widać absolutnie nikogo? Nic? Żadnego ruchu?

- Nie, nic.

- Dobra, wracajcie. - Zamyślona Randi zmarszczyła czoło i spojrzała na mata, którego przydzielono jej do pomocy. - Muszę porozmawiać z kapitanem.

Poszli do jego kajuty. Kapitan Lainson pił kawę z pierwszym oficerem, komandorem porucznikiem Schroederem. Dostali rozkaz, żeby odłączyć się od grupy bojowej i wesprzeć coś, co wyglądało na tajną operację CIA. Nie wprawiło ich to w dobry humor, lecz wysłuchali jej z wyraźnym zainteresowaniem.

- Tak - zgodził się Schroeder. - Możemy panią wysadzić na ląd i poczekać. Nie ma problemu.

163

Rozdział 26

Przedmieścia Algieru

Minąwszy kilka pustych pomieszczeń, trafił w końcu do skrzydła willi, gdzie niektóre pokoje miały prawdziwe drzwi. W dodatku drzwi ciężkie, grube, bogato rzeźbione, z solidnymi mosiężnymi zamkami i zawiasami, które mogły pochodzić z czasów, gdy osiedlili się tu pierwsi Arabowie, z okresu, gdy panowały tu pierwsze berberyjskie dynastie.

Przystanął w bocznym korytarzu, za którym rozciągało się prawdziwe mozaikowe morze. Cudowne wzory pokrywały podłogę, wiły się po ścianach, zdobiły cały sufit: dosłownie każdy centymetr kwadratowy powierzchni był wyłożony półszlachetnymi kamieniami, błyszczącymi płytkami i listkami złota. W tym odizolowanym skrzydle domu musiał mieszkać kiedyś ktoś ważny. Niewykluczone, że wciąż tu mieszkał.

Jon ostrożnie przeszedł przez mieniący się kolorami hol. Czuł się jak w szkatule wypeł-

nionej klejnotami. Na końcu holu przystanął. Tu były tylko jedne drzwi, zamknięte od ze-wnątrz na antyczną zasuwę, która robiła wrażenie równie sprawnej i skutecznie działającej jak w dniu, gdy ją zamontowano. Same drzwi, eleganckie, masywne i bogato zdobione, miały delikatny zamek i filigranowe zawiasy. Przytknął do nich ucho i serce zabiło mu szybciej. Usłyszał klekot komputerowej klawiatury.

Odsunął zasuwę, położył rękę na gałce i przekręcał ją powoli, ze stałym naciskiem, do-póki cichutko nie kliknął zamek. Wtedy uchylił je ociu-pinę i zobaczył... pokój. Przestronny pokój, w którym stały duże, zachodnie fotele, kilka stolików, łóżko i biurko. Było tam również przejście, mauretański łuk, a za łukiem korytarz o bielonych ścianach.

Jednakże najważniejszym obiektem w pokoju były szczupłe plecy Emile'a Chamborda pochylonego nad klawiaturą podłączoną do dziwnego, topornego urządzenia. Smith natychmiast rozpoznał, że ma przed sobą komputer molekularny.

Zapomniał, gdzie jest, zapomniał o niebezpieczeństwie. Jak zahipnotyzowany patrzył

tylko na tę maszynę. Stał tam szklany pojemnik, a przez jego ścianki widać było błękitnosrebrzyste paczuszki żelu zanurzone w przypominającej pianę galaretowatej substancji, która za-pobiegła wibracjom i umożliwiała prowadzenie dokładnych odczytów. Paczuszki były połą-

czone ze sobą cieniutkimi rurkami, a pojemnik przykrywało wieko. Wyglądało na to, że temperatura w zbiorniku jest ściśle kontrolowana, co było niezbędne, gdyż wiedział, że zachodzące między molekułami reakcje są niezwykle wrażliwe na jej wahania.

Tuż obok stało przeszklone urządzenie podłączone do paczuszek płataniną cieniutkich rurek i składające się z czegoś, co przypominało małe pompy i zbiorniczki. Syntetyzator DNA, aparatura do produkcji żelu. Na jej konsolecie mrugały małe światełka.

Podeksytowany Jon popatrzył na pozostałe części cudownej maszyny Chamborda. Do-słownie chłonał je wzrokiem. Zbiornik przykrywało wieko. Miejsca, gdzie stykało się z żelem, wyłożono cieniutkimi metalicznymi płytkami pokrytymi tak zwaną biowarstwą, złożoną zapewne z molekularnych polimerów innego rodzaju. Był to najprawdopodobniej czujnik, sensor pochłaniający energię chemiczną, zmieniający konformację cząsteczek i w rezultacie emitujący światło.

Genialny pomysł: molekularny przełącznik świetlny. Molekuły DNA w komputerze Chamborda dokonywały niewyobrażalnie skomplikowanych obliczeń, ale nie tylko. Inny rodzaj molekuł potrafił te obliczenia wykrywać. Błyskotliwe rozwiązanie dotychczas nierozwiązywalnego problemu.

Jon wziął głęboki oddech. Przypomniawszy sobie, po co tu przyszedł, przypomniał sobie, jak wielkie niebezpieczeństwo maszyna ta stwarza dla świata. Zważywszy, że wciąż przebywał na terenie wroga,

Fred Klein kazałby mu natychmiast ją zniszczyć. Jednakże prototyp Chamborda był nie tylko naukowo piękny. Był urządzeniem, które mogło zrewolucjonizować przyszłość, mogło sprawić, że życie milionów ludzi stanie się łatwiejsze. Upłynęłoby wiele lat, zanim naukowcy zbudowałiby coś zbliżonego do tego komputera.

Bijąc się z myślami, otworzył szerzej drzwi, wszedł do środka i ostrożnie zamknął zatrask pod klamką. Postanowił dać sobie ostatnią szansę i wynieść stąd bezcenny prototyp. Je-

śli mu się nie powiedzie, jeśli nie będzie miał innego wyboru, po prostu go zniszczy.

Spojrzał na drzwi. Po tej stronie nie miały zamka. Ogarnął wzrokiem przestronne pomieszczenie. Było oświetlone elektrycznymi lampami, chociaż willę zbudowano na długo przed wynalezieniem elektryczności. Za otwartymi na oścież oknami zapadł już ciemny wieczór. Lekki wiatr poruszał cieniutkimi firankami, za którymi czerniły się kraty.

Wysoki łuk, korytarz, znowu łuk i kolejne pomieszczenie. Ich rozkład sugerował, że można się tu dostać tylko drzwiami, którymi wszedł, drzwiami zamkniętymi od zewnątrz.

Najprawdopodobniej był to kiedyś apartament ulubionej żony jakiegoś berberyjskiego szlach-cica, może nawet apartament królowej *seraglio*, haremu ważnego tureckiego przedstawiciela dawnego Imperium Otomańskiego.

Nagle Chambord się odwrócił. Kościste palce zaciskał na rękojeści wycelowanego w Jona pistoletu.

- *Papa! No!* - Głośny krzyk od strony łuku. - To przyjaciel, doktor Smith. Próbował pomóc nam uciec w Toledo. Odłóż to, tatusiu!

Lufa pistoletu ani drgnęła. Chambord podejrzliwie zmarszczył brwi.

- Nie pamiętasz? - mówiła Teresa. - Jest przyjacielem doktora Zellerbacha. Był u mnie w Paryżu. Próbował ustalić, kto dokonał zamachu na instytut.

Lufa pistoletu lekko opadła.

- Jest kimś więcej niż tylko lekarzem. Widzieliśmy to pod Toledo.

- Jestem lekarzem - powiedział z uśmiechem Jon. - Naprawdę. Ale przyszedłem tu, żeby uratować pana i pańską córkę.

- Tak? - Między oczami zaskoczonego Chamborda wykwitła zmarszczka. - Skąd mam wiedzieć, że pan nie kłamie? Najpierw mówi pan córce, że jest pan przyjacielem Martina, a teraz, że chce pan nas uratować. - Lufa pistoletu ponownie powędrowała do góry. - I jak pan nas znalazł? W dodatku dwa razy! Jest pan jednym z nich! To podstęp!

- Nie, tato!

Teresa podbiegła bliżej i stanęła przed ojcem. Wtedy Jon rzucił się za dużą sofę przy-krytą orientálną

narzutą i wstał z pistoletem w obu rękach.

- Nie jestem jednym z nich, doktorze, ale tak, w Paryżu nie byłem z Teresą całkiem szczery, za co przepraszam. Jestem również oficerem armii Stanów Zjednoczonych, podpuł-

kownikiem amerykańskich sił zbrojnych i chcę wam pomóc. Tak samo jak chciałem pomóc wam w Toledo. Mówię prawdę, przysięgam. Ale musimy się spieszyć. Prawie wszyscy są teraz w tej sali z kopułą i nie wiem, jak długo tam będą.

- Podpułkownik? - powtórzyła Teresa. - Amerykańskich sił zbrojnych? W takim razie...

- Tak - przerwał jej Smith. - Miałem znaleźć pani ojca i ten komputer. Powstrzymać terrorystów przed jego użyciem. Takie dostałem zadanie.

Teresa spojrzała na ojca. Miał zaciętą, upartą twarz.

- On chce nam pomóc, tato!

- Sam? - Chambord pokręcił głową. - Niemożliwe. Jak?

- Wymyślimy coś. Proszę tylko, żeby mi pan zaufał. - Jon opuścił pistolet. - Ze mną będziecie bezpieczni.

165

Chambord milczał. Zerknął na córkę, na jej zdeterminowaną twarz. W końcu opuścił broń.

- Rozumiem, że ma pan na to jakiś dowód.

- Boję się, że nie. Zbyt ryzykowne.

- Wszystko to bardzo dobrze, młody człowieku, ale wiem tylko tyle, że jest pan przyjacielem doktora Zellerbacha, bo tak powiedział pan mojej córce. Nie jestem pewien, czy zdoła pan nam pomóc, mam co do tego poważne wątpliwości. To bardzo niebezpieczni ludzie. Mu-szę pamiętać o Teresie.

- Jestem tu, prawda? To już coś znaczy. Poza tym, jak sam pan powiedział, znalazłem was dwa razy. Skoro jakoś tu wszedłem, mogę wyjść. Razem z wami. Skąd pan ma ten pistolet? Może się przydać.

Chambord uśmiechnął się smutno.

- Wszyscy mają mnie za bezradnego starca. Oni też. Dlatego nie są przy mnie tak czujni, jak powinni.

Któryś z nich zostawił broń w samochodzie, którym mnie przewozili. Wzię-

łem ją i schowałem. Od tamtej pory nikt mnie nie obszukiwał. Nie mieli powodu. Teresa zasłoniła ręką usta.

- Tato, po co ci była broń? Co chciałeś z tym zrobić?

Chambord uciekł wzrokiem w bok.

- Nieważne. Ważne, że to mam. Może nam się przydać.

- Niech pan pomoże mi rozmontować komputer i odpowie na kilka pytań - rzucił Jon. -

Szybko.

Chambord pstryknął jakimś przełącznikiem.

- Ilu ich tu jest? - spytał Smith. - Mają samochody? Widziałem strażników, czujki. Jest tu jakiś system alarmowy? A jakaś droga?

Chambord poczuł się pewniej. Analizowanie informacji było jego specjalnością. Odłączając przewody i rurki, mówił:

- Jediną drogą, jaką tu widziałem, jest ta prowadząca do autostrady. To autostrada Algier-Tunis, ale biegnie dwa kilometry od wybrzeża. Droga kończy się na placu, gdzie szkolą rekrutów. Stoi tam samochód, którym mnie przywieźli, i kilka brytyjskich pojazdów wojskowych. Za placem jest lądowisko. Widziałem tam dwa stare śmigłowce. Ilu ich tu jest? Nie wiem. Domu pilnuje co najmniej sześciu, prawdopodobnie więcej. Ciągle ktoś tu przyjeżdża i wyjeżdża. No i są rekruci, jest kadra szkoleniowa...

Jon słuchał, sfrustrowany powolnością, z jaką Chambord rozmontowywał komputer.

Naukowiec robił to bardzo ostrożnie i metodycznie. Czas. Nie mieli na to czasu!

Smith rozważył dostępne możliwości. Samochody i lądowisko. Mogło im się udać, pod warunkiem że dotrą tam niezauważenie.

- Dobrze, teraz posłuchajcie. Zrobimy tak...

Mozaiki na podłodze wielkiej, kopulastej sali tonęły w ciepłym blasku reflektorów.

Mauritania przesłuchiwał wyczerpanego Sulejmana. Rozmawiali po francusku, ponieważ Filipięczyk nie znał arabskiego. On stał, a Mauritania siedział na dużym stole, kiwając nogami jak mały chłopiec

na gałęzi drzewa. Cieszył się, że jest niski: złudna delikatność i bezbronność była wygodna wobec głupców, którzy wierzyli w skuteczność siły fizycznej.

- A więc ten Amerykanin włamał się do mieszkania? Tak nagle? Bez ostrzeżenia?

Sulejman pokręcił głową.

- Nie, nie. Dostałem cynk od znajomego z instytutu, ale dopiero na pół godziny przed przyjściem Smitha. Musiałem wykonać kilka pilnych telefonów, powiedzieć dziewczynie, co ma robić, nie było czasu na wcześniejszą ucieczkę.

- Powinieneś był zachować większą ostrożność. A przynajmniej do nas zadzwonić i nie 166

załatwiać tego na własną rękę.

- Skąd mogłem wiedzieć, że mnie znajdą?

- Właśnie. Jak cię znaleźli?

- Nie mam pojęcia.

Mauritania popadł w zadumę.

- Adres w aktach był fałszywy, tak?

- Oczywiście.

- W takim razie nasłał ich ktoś, kto wiedział, gdzie mieszkasz. Jesteś pewien, że Smith był sam?

- Nikogo innego nie widziałem - powtórzył znużony Sulejman. Podróż była długa i źle ją zniósł.

- Na pewno nikt cię nie śledził, kiedy uciekłeś z mieszkania?

- Pytał mnie o to ten pański czarnuch - mruknął Sulejman. - Zabezpieczyłem się. Nie, nikt mnie nie śledził.

Jakiś ruch, zamieszanie i do sali wszedł gniewnie kapitan Darius Bonnard w towarzystwie dwóch uzbrojonych Beduinów i samego Abu Audy. Rozwścieczony Bonnard przeszył

Sulejmana wzrokiem. Abu Auda ledwo nad sobą panował.

- Ten czarnuch - wysyczał - nie będzie cię już o nic pytał, Moro. Przez całą drogę do Barcelony jechał za mną jakiś samochód. Z trudem zgubiłem go w mieście. Przedtem nikt mnie nie śledził, więc skąd się ci ludzie tam wzięli, co? Ty głupcze. To ty ich na mnie naprowadziłeś. Leźli za tobą już w Paryżu, a ty nawet o tym nie wiedziałeś!

Bonnard poczerwieniał jeszcze bardziej. Omal nie wpadł w furję.

- Mamy dowody, że doszli za Sulejmanem na Formenterę, że z Formentery dostali się aż tutaj. Ten człowiek nas zdekonspirował!

Sulejman pobladł.

- Tutaj? - spytał szybko Mauritania. - Skąd wiesz?

- Nie rzucamy słów na wiatr, Khalidzie. - Abu Auda łypnął spode łba na Filipińczyka.

Bonnard przeszedł na francuski.

- Byliśmy na kutrze. Jeden z pańskich ludzi nie żyje i na pewno nie zadźgał się sam. Sulejman sprowadził na pokład pasażera na gapę.

- Smitha?

Rozjuszony Bonnard wzruszył ramionami.

- Wkrótce się dowiemy. Pańscy żołnierze już go szukają.

- Wyślę jeszcze paru. - Mauritania strzelił palcami i zebrani w sali mężczyźni wypadli na korytarz.

Ciemna noc. Ominąwszy cytrusowy zagajnik, śmigłowiec SH-60B seahawk zawisł nad plażą za rzędem plastikowych inspektów. Randi stanęła w otwartych drzwiach, żeby podpiąć do uprząży linę. W twarz uderzył ją silny powiew wiatru. Była w czarnej panterce i czarnej kominiarce. Do pasa miała przytroczone broń i sprzęt, pozostały sprzęt spakowała do plecaka.

Spojrzała w dół, myśląc o Jonie, o tym, gdzie teraz jest i czy nic mu nie grozi. Ale zaraz potem pomyślała o samej misji, o jej celu, bo to było teraz najważniejsze. Ważniejsze nawet niż ich życie. Musieli zniszczyć komputer. Musieli powstrzymać to szaleństwo.

, Chwyciła się uprząży i kiwnęła głową. Obsługujący wyciągarkę żołnierz patrzył na pilota, który dał mu w końcu znak, że maszyna jest już w zawisie. Randi skoczyła w czarną otchłań. Ciągnąc za sobą rozwijającą się linę, przemogła lęk wysokości, strach, że wyciągarka zawiedzie, zdusiła trwogę, by wreszcie wylądować na ugiętych nogach i przetoczyć się po piasku. Szybko zrzuciła uprząż. Nie musiała jej zakopywać. Tamci i tak wkrótce odkryją jej obecność. Pochyliła głowę.

- „Saratoga”, jak mnie słyszysz? - szepnęła do miniaturowego mikrofonu. - „Saratoga”, zgłoś się.

- Słyszemy cię, Seahawk 2 - odpowiedział czysty, wyraźny głos z bojowego centrum informacyjnego krążownika.

- To potrwa godzinę, może nawet dłużej.

- Zrozumiałem. Czekam.

Randi wyłączyła nadajnik, schowała go do kieszeni, zdjęła z ramienia pistolet maszynowy i potruczała przed siebie. Aby dalej od drogi, aby dalej od plaży. Cytrusowy zagajnik, inspekty, powiewające na wietrze plastikowe płachty. Księżyc wisiał tuż nad horyzontem i odbijało się w nich jego mleczne światło. Szumiało morze. Rytmicznie, jak bijące serce. Pokazały się gwiazdy, lecz niebo było czarniejsze niż zwykle. Daleka autostrada jakby wymarła.

Ani tam, ani na wodzie Randi nie dostrzegła żadnego ruchu. Widziała tylko drzewa, pomarańczowe i cytrynowe, i upiorną poświatę bijącą od plastikowych płacht przykrywających inspekty.

Kilka sekund później usłyszała donośny warkot dwóch samochodów pędzących autostradą. Wyhamowały z piskiem opon i zostawiając za sobą ślad spalonej gumy, skręciły gwał-

townie w drogę, którą widział z powietrza Max. Silniki zgasły i zapadła głucha cisza, jakby ktoś spuścił na świat grubą, dźwiękoszczelną kurtynę. Jedyńm budynkiem w okolicy była willa. Prędkość, z jaką tamci jechali, wskazywała, że bardzo im się spieszy.

Niebawem Randi stanęła przed wysokim, białym murem, którego szczyt zabezpieczono drutem kolczastym. Drzewa przy murze zostały wycięte - najbliższe rosły trzy metry dalej, więc nie warto było się na nie wspinać. Zdjęła plecak ze sprzętem, który dostarczono jej na okręt z placówki CIA. Wyjęła mały pistolet pneumatyczny, miniaturową tytanową strzałkę i zwój cienkiego, pokrytego nylonem drutu. Przymocowała drut do małego kółka na końcu strzałki, strzałkę wsunęła do lufy pistoletu, rozejrzała się i wypatrzyła grube drzewo oliwne rosnące trzy metry za murem.

Zrobiła krok do tyłu, wymierzyła i pociągnęła za spust. Strzałka wbiła się w pień. Pistolet z powrotem do plecaka, grube rękawice i pewny chwyt... powoli, ostrożnie, wspięła się na mur. Na szczycie przypięła linkę do pasa, schowała rękawice do plecaka i małymi nożycami wycięła w drucie szerokie na metr przejście. Potem zsunęła się w dół i zeskoczyła na ziemię.

Skomplikowane systemy alarmowe są niezwykle kosztowne i terroryści raczej nie mogą sobie na nie pozwolić. Skrajnych fundamentalistów zaś prześladowuje paranoja na punkcie zachowania jak najściślejszej tajemnicy i paranoja ta powstrzymuje ich przed zakupem sprzętu, którego sprzedaż jest często uważnie nadzorowana. Przynajmniej tak wyglądało to w teorii i Randi miała nadzieję, że tym razem teoria sprawdzi się w praktyce. Tak, pozostały jej tylko nadzieja i ostrożność. Piekielna ostrożność.

Odczepiła linkę, ściągnęła ją, zwinęła i schowała do plecaka. Potem zanurzyła się w chaszczach.

Ręce Chamborda znieruchomiały na szklanym wieku zbiornika.

- Tak, to możliwe - powiedział. - Ma pan rację. Powinno się udać. Wygląda na to, że naprawdę jest pan żołnierzem.

- Musimy się pospieszyć - odrzekł Jon. - Nie wiadomo, kiedy odkryją, że tu jestem. -

Ruchem głowy wskazał częściowo rozmontowany komputer. - Nie ma czasu. Zabierzemy paczuszki z żelam, a resztę zostawimy...

Głośny hałas na korytarzu, trzask gwałtownie otwieranych drzwi. Do pokoju wpadł Abu Auda i trzech ludzi z odbezpieczoną bronią. Teresa przeraźliwie krzyknęła. Chambord chciał

zasłonić ją własnym ciałem, lecz potknął się ciężko. Potrącił Smitha.

168

Jon odzyskał równowagę i chwycił pistolet. Na zniszczenie komputera było już za późno, ale mógł go jeszcze uszkodzić do tego stopnia, że naprawa potrwałaby wiele dni. Randi i Howell mogliby go znaleźć i zniszczyć - pod warunkiem, że tu dotarli.

Lecz zanim zdążył wymierzyć w pojemnik z paczuszkami żelam, Abu Auda i jego ludzie wytrącili mu broń z ręki i przewrócili na podłogę.

- Doprawdy, doktorze. - Do pokoju wszedł Mauritania. Z uśmiechem odebrał Chambordowi pistolet. - Przecież to nie w pańskim stylu. Nie wiem, czy mam pana podziwiać, czy być wstrząśnięty.

Abu Auda zerwał się na równe nogi i nie spuszczać Jona z oczu, chwycił strzelbę i przystawił mu lufę do głowy.

- Za dużo mieliśmy przez ciebie kłopotów - wychrypiał.

- Nie! - krzyknął Mauritania. - Nie zabijaj go. Pomyśl, Abu. Amerykański lekarz to jedno, ale pułkownik amerykańskich sił zbrojnych, który nas znalazł i którego widzieliśmy w akcji pod Toledo, to zupełnie co innego. Możemy go potrzebować. Kto wie, ile jest wart.

Abu Auda ani drgnął. Lufą strzelby wciąż uciskał Jonowi skroń. Jego sztywna, wyprostowana postawa wskazywała, że jest gotów zabić. Mauritania jeszcze raz wypowiedział jego imię, cicho i łagodnie. Abu Auda zamrugał i płonący w jego oczach ogień lekko przygasł.

- Marnotrawstwo jest grzechem - wyszeptał.

- Tak.

Abu Auda pogardliwie machnął ręką i jego podwładni dźwignęli Smitha na nogi.

- Pokaż mi ten pistolet. - Mauritania podał mu odebraną Chambordowi broń. - Jeden z naszych - mruknął Abu. - Ktoś zapłaci za nieostrożność.

Mauritania spojrział na Jona.

- Zniszczenie komputera byłoby próżnym gestem, panie pułkowniku - powiedział. -

Doktor Chambord musiałby po prostu szybko zbudować drugi.

- Nigdy! - Teresa odsunęła się od niego.

- Pani Chambord nie jest dla nas zbyt przyjazna. - Mauritania zerknął na nią i dodał: - Nie docenia pani samej siebie, moja droga. Pani ojciec by ten komputer zbudował, na pewno.

Ostatecznie mamy i panią, i jego. Pani życie, jego życie i osiągnięcia, które czekają go w przyszłości, to zbyt wysoka cena za uratowanie kilku ludzi, prawda? Amerykanie by się nami nie przejęli, panią ani mną. Wliczyliby nas w tak zwane koszty uboczne i zrobiliby swoje.

- Nie zbuduje wam go! Nigdy! - krzyknęła rozwścieczona Teresa. - Jak myślisz, po co ukradł ten pistolet?

- Aaa... - Mauritania uniósł brwi. - Samobójstwo, panie doktorze? Wzorem starożytnych Rzymian? Nadziałby się pan na własny miecz, żeby pokrzyżować nam te okropne plany? Cóż za głupota, jednocześnie coś za męstwo! Moje gratulacje. - Popatrzył na Smitha. - Pan też jest głupcem, pułkowniku. Myślał pan, że powstrzymałoby nas kilka kul i uszkodzony komputer?

- Westchnął ciężko i ze smutkiem. - Nie docenia pan naszej inteligencji. Awarie i wypadki to chleb powszedni, dlatego mamy tu mnóstwo części zapasowych, dzięki którym doktor Chambord mógłby szybko go naprawić. - Pokręcił głową. - To chyba największy grzech wszystkich Amerykanów: niepokromiona pycha. Dumne poczucie wyższości, wyższości na każdym po-lu, od technologii poczynając, na wierze i przekonaniu o wszechpotędze kończąc. Bez pod-stawnym poczuciem, że jesteście niezwycciezeni, zaraziliście waszych przyjaciół Izraelitów.

- Tobie nie chodzi ani o wiarę, ani nawet o dziedzictwo kulturowe - odparł Jon. - Tobie chodzi o zwykłą dyktaturę. Robisz to tylko dla siebie. To odrażające.

W bladych oczach Mauritani płonął ogień, z jego drobnego ciała emanowała dziwna energia. Otaczała go aura niemal boskiej niezniszczalności, jakby był w niebie, gdzie obda-rzono go misją nie tylko szerzenia słowa Bożego, ale i wcielania go w życie, choćby siłą.

- I kto to mówi? - sztydził. - Poganin? Wasz zachłanny naród przekształcił kraje Bliskiego Wschodu w

sem świat kona z głodu. Jesteście najbogatszym narodem na ziemi, mimo to nieustannie manipulujecie innymi, żeby zagarnąć jeszcze więcej, a potem dziwicie się, dlaczego nikt wam nie dziękuje, dlaczego nikt was nie lubi. Przez was jeden na troje ludzi nie ma co jeść, przez was miliard mieszkańców świata umiera z głodu. Mamy być wam za to wdzięczni?

- Porozmawiajmy lepiej o niewinnych ludziach, którzy zginą pod czas waszego ataku na Izrael - odrzekł Smith. - Koran powiada: „Nie zabijesz nikogo, kogo Bóg zabronił ci zabijać, chyba że zrobisz to w słusznej sprawie”. To cytat z waszego Pisma, Mauritania. Twoja sprawa nie jest słuszna. Kierujesz się zimną, wyrachowaną ambicją, niczym innym.

I nikogo nie oszukasz. Oszukać zdołałeś tylko tych biedaków, którym nałgałeś, żeby za tobą poszli.

- Kryjesz się za bogiem, którego sam wymyśliłeś! - wtrąciła oskarżycielsko Teresa.

Ale Mauritania nie zwrócił na nią uwagi.

- U nas mężczyzna pilnuje swoich kobiet - odparł. - Nie wystawia ich na pokaz, żeby inni mogli obmacywać je wzrokiem.

Jon nie słuchał go już ani nawet na niego nie patrzył. Patrzył na Chamborda, który od chwili, gdy do pokoju wpadli Mauritania i Abu Auda, nie wyrzekł ani słowa. Stał dokładnie tam, gdzie stanął, żeby chronić córkę. Milczał, nie patrząc ani na nią, ani na nikogo innego.

Jakby nagle ,na wszystko zobojętniał. Może sparaliżował go strach. A może błędził myślami gdzieś indziej, w świecie bez zmartwień, gdzie przyszłość była pewna i bezpieczna. Jon poczuł się nieswojo.

- Za dużo mówimy. - Abu Auda dał znak swoim ludziom. - Zamknijcie ich w celi - rozkazał. - Jeśli któreś ucieknie, wydłubię wam oczy.

- Chambord niech zostanie - powstrzymał go Mauritania. - Czeka nas trochę pracy, prawda, panie doktorze? Jutro świat zmieni oblicze. Jutro będzie nowym początkiem dla całej ludzkości. - I zachichotał. Z prawdziwą przyjemnością.

Dwaj uzbrojeni strażnicy minęli się na schodach tarasu i w tej samej chwili z domu wyszedł trzeci. Ci, którzy się minęli, szli powoli, spokojnie, śmiejąc się i zagadując do siebie.

Samotny strażnik na tarasie przystanął w drzwiach i popatrzył na księżyc, rozkoszując się miłym chłodem, pachnącym cytrusami wiatrem i drobnymi obłokami płynącymi po rozgwieżdżonym niebie.

Wszyscy byli odprężeni, jakby patrolowali teren od dłuższego czasu i jakby nic się przez ten czas nie działo. Jakby się tego spodziewali, jakby byli pewni, że nic się nie wydarzy. Więc nie zauważyli ani śmigłowca, ani jej, gdy przechodziła przez mur. Tak jak myślała, nie było tam żadnych czujników ruchu, kamer czy skanerów optycznych. Tam nie, ale w willi?

Zbadała teren. Widziała koszary, plac, prowadzącą do autostrady drogę i lądowisko, na którym stał stary amerykański huey i równie stary hughes OH-6, śmigłowiec zwiadowczy, których strzegł zaspany terrorysta w białym turbanie. Potem okrążyła dom, przedzierając się przez gęstwinę, niewidoczna i od strony linii drzew oliwkowych, i od strony morza. Willa wyglądała jak leżący na ziemi biały duch. Prawie wszystkie okna były ciemne, tylko kopuła połyskiwała w mroku niczym statek kosmiczny obcych. Słaby punkt. Jest tu jakiś słaby punkt? Przed tylnymi drzwiami stał czwarty strażnik, równie spokojny i odprężony jak jego koledzy.

Był spokojny i odprężony do chwili, gdy z domu wypadł drobny mężczyzna w kracia-stej koszuli i amerykańskich džinsach, chyba lewisach. Azjata, najprawdopodobniej Malajczyk. Bardzo się spieszył. Zagadał do strażnika, który rozejrzał się nerwowo i czujnie. Azjata zawrócił i wbiegł do domu, tymczasem strażnik uniósł karabin i wycelował w mrok, przesuwając lufę to w prawo, to w lewo.

Coś się stało. Szukali Jona? Znaleźli go?

Znowu gąszcz krzewów i drzew. Szła na zachód i kilkadziesiąt metrów dalej odkryła, że willa ma skrzydło. Odchodziło od symetrycznego głównego budynku i było za nim całkowicie ukryte. Nie miało drzwi, a wszystkie okna były zakratowane fantazyjnie powyginanymi kratami z kutego żelaza, które zamontowano pewnie przed wieloma wiekami. Jedyne wejście do skrzydła musiało znajdować się w środku, w domu, i Randi aż wzdrygnęła się z odrazy.

Już wiedziała, co to jest: były to dawne apartamenty dla kobiet, harem. Kraty w oknach i brak drzwi miał nie tylko odstraszać intruzów, ale i uniemożliwić kobietom wyjście. Siedziały tam jak w więzieniu.

Podeszła bliżej i usłyszała czyjeś podniesione głosy. W trzech oknach paliło się światło i głosy dochodziły właśnie stamtąd. Były donośne i gniewne. Nie mogła rozróżnić słów -

tamci mówili po francusku i arabsku - ale jeden z głosów należał do kobiety. Do Teresy Chambord? Jeśli tak, rozpoznałaby ją ze zdjęć, które pokazano jej na odprawie. Stała pod najbliższym oknem i ostrożnie spojrzała przez kraty. .

Pokój. W pokoju Mauritania, Abu Auda i dwóch uzbrojonych terrorystów z wycelowaną bronią. Byli zdenerwowani i spięci. Mauritania mówił do kogoś, kogo nie widziała.

Ukradkiem przeszła do sąsiedniego okna i ponownie zajrzała do środka. Tak! Teresa Chambord i jej ojciec. A na podłodze... Jon. Radość i ulga szybko minęły. Całej trójce groziło śmiertelne niebezpieczeństwo. Terrorysty trzymali ich na muszce.

Abu Auda gwałtownie machnął ręką i warknął:

- Za dużo mówimy. Zamknijcie ich w celi. Jeśli któreś ucieknie, wydłubię wam oczy.

Jego ludzie popędzili wszystkich do drzwi.

171

- Chambord niech zostanie - rzekł Mauritania. - Czeka nas trochę pracy, prawda, panie doktorze? Jutro świat zmieni oblicze. Jutro będzie nowym początkiem dla całej ludzkości.

Słyszając jego śmiech, Randi przeszły dreszcze. Jednakże jeszcze większym przerażeniem napawała ją decyzja, którą musiała podjąć. Jona i Teresę wyprowadzono, w pokoju byli teraz tylko Mauritania i Chambord, który stał przed urządzeniem, które mogło, lecz nie musiało być komputerem molekularnym. Sprawdziła kraty. Tak jak przypuszczała, były za grube, praktycznie nie do wyważenia.

Ale знаła się na swojej robocie i szybko przeanalizowała sytuację. Miała ich dwóch jak na widelcu i mogła ich zabić. Mogła też poszatkować kulami komputer, choć ten strzał byłby trudniejszy. Gdyby strzeliła do jednego, drugi natychmiast padłby na podłogę. Nawet Chambord wiedziałby, co robić. Serią z automatu uszkodziłaby komputer, sęk w tym, że nie wiedziała, czy jest to na pewno poszukiwany prototyp. Po prostu się na tym nie znała.

Załóżmy, że strzeliłaby do komputera - Chambord mógłby go szybko naprawić, dlatego najlogicznym rozwiązaniem byłoby zabicie Francuza. Z drugiej strony, Mauritania mógł

mieć kogoś innego, kogoś, kto nie będąc w stanie zbudować nowego komputera, potrafi obsługiwać ten istniejący. Skoro tak, musiała wybierać między zabicem Mauritanii a uszkodzeniem prototypu.

Co byłoby lepsze? Co przyniosłoby większą korzyść?

Gdyby przeżył Chambord, świat dysponowałby działającym modelem komputera molekularnego. Być może model ten trafiłby do Stanów Zjednoczonych. Dużo zależało od tego, kto wyciągnie stamtąd Francuza. CIA nie ukrywała, że bardzo jej na tym zależy.

Z drugiej zaś strony, przypuszczając jakikolwiek atak, Randi podpisałaby wyrok śmierci na Jona i

Teresę Chambord. A gdyby stojąca w pokoju maszyna nie była komputerem molekularnym, wystrzały zaalarmowałyby pozostałych terrorystów i znikłaby szansa uratowania kogokolwiek.

Randi opuściła broń. Musiała zastosować plan awaryjny, plan, który uwzględniał

wszystkie ewentualności. Komputer zostanie zniszczony bez względu na to, w którym pomieszczeniu willi się znajdował. Sęk w tym, że zastosowanie tego planu mogło oznaczać śmierć wszystkich przebywających w willi.

Musiała zaryzykować. Uważając na strażników, nisko pochylona pobiegła z powrotem.

Na odległym brzegu z łoskotem łamały się fale. Ich huk brzmiał jak bicie jej serca. Wyrzała zza rogu. Abu Auda i jego ludzie wyprowadzali z domu Jona i Teresę Chambord. Drzwi, taras, schody. Poszli w kierunku koszar. Gdy oddalili się na bezpieczną odległość, ruszyła za nimi.

Smith zerkał na ciemne drzewa, szukając sposobu ucieczki. Minawszy mandarynkowy zagajnik, stanęli przed małym drewnianym barakiem na polanie leżącej pięćdziesiąt metrów za pierwszym budynkiem koszar. Zapach cytrusów przytłaczał i odurzał.

Jeden z uzbrojonych mężczyzn otworzył ciężkie drzwi i Abu Auda wepchnął Jona do środka, dając mu na pożegnanie silnego kopniaka.

- Narobiłeś nam kłopotu, jankesie, i już dawno bym cię zabił. Podziękuj Khalidowi, bo on myśli mądrzej niż ja. Teraz siedź tu i nie rozrabiaj, a kobieta niech spokojnie przemyśli swoje grzechy.

Strażnicy wepchnęli do środka Teresę i zatrzasnęli drzwi. Zgrzytnął klucz, szczęknęła żelazna sztaba, którą zabezpieczyli drzwi od zewnątrz, metalicznie kliknęła kłódka.

- *Mon Dieu!* - westchnęła Teresa.

- Nie tak wyobrażałem sobie nasze następne tete a tete - rzekł z uśmiechem Jon i rozejrzał się po celi. Zza krat okna pod sufitem sączyły się skośne promienie księżyca, malując prostokątne wzory na betonowej podłodze. Beton był jasnoszary, co oznaczało, że niedawno 172

go wylano. Innych okien nie było, a drzwi zrobiono z grubego, litego drewna.

- Właśnie. - Mimo podartego ubrania i brudnej twarzy, Teresa wciąż była piękna i pełna godności. - Miałam nadzieję, że przyjdzie pan do teatru, potem zjemy razem kolację...

- Bardzo bym chciał.

- Widzieć mnie na scenie czy pójść ze mną na kolację?

- Pragnąłbym i tego, i tego. Kolacja, kieliszek koniaku, wszystko co potem...

- Tak. - Odpowiedziała mu uśmiechem i natychmiast spoważniała. - To dziwne, że życie może się tak szybko zmienić. Tak nieoczekiwanie...

- Prawda?

Przekrzywiła głowę i spojrzała na niego ciekawie.

- Mówi pan jak człowiek, który dużo stracił.

- Owszem. - Nie chciał rozmawiać o Sophii. Nie tu, nie teraz. W celi pachniało sucho-

ścią, suchym piaskiem, jakby algierskie słońce wypaliło z drewna całą wilgoć. - Musimy się stąd wydostać. Nie możemy zostawić pani ojca i komputera w ich rękach.

- Ale jak?

Nie mieli na czym stanąć. Jediną pryczę przymocowano do przeciwległej ściany, nie było żadnych mebli. Smith spojrzał na okno i ocenił, że jest na wysokości dwóch, dwóch i pół metra.

- Podniosę panią. Niech pani sprawdzi kraty. Może któraś jest poluzowana. Mielibyśmy fart.

Splótł dłonie w strzemię i dźwignął ją na ramiona. Chwilę szarpała za kraty, oglądała je, wreszcie powiedziała ze zniechęceniem:

- Wpuszczono je w trzy zbite poziome deski i przykręcono śrubami do metalowej płyty.

Są bardzo stare.

Stare kraty w starej celi. Może trzymano tu kiedyś arabskich niewolników. A może pi-raci, którzy rządzą tu niegdyś z miejscowymi bejami, wtrącali tu swoich więźniów.

- Ani drgną?

- Nie, ani na milimetr. Solidna robota.

Jon opuścił Teresę na dół i uważnie obejrzał drzwi z nadzieją, że nadwątlili je wiek. Jednakże okazało się, że są cholernie mocne, poza tym zamknięto je na klucz i zabezpieczono od zewnątrz żelazną sztabą. Nawet zawiasy miały z drugiej strony. Najwyraźniej właściciele niewolników bardziej bali się, że więźniowie wyważą je od środka, niż tego, że ktoś spróbuje ich odbić. Nie, nic z tego. Bez pomocy kogoś z zewnątrz nie dadzą rady stąd uciec.

I wtedy usłyszał cichutki odgłos. Odgłos bardzo dziwny, przypominający chrupanie.

Odgłos, jaki wydaje bóbr wgrzający się w drewno. Wytężył słuch, ale za nic nie mógł go zlokalizować.

- Jon!

Szept. Szept tak cichy, że początkowo myślał, iż ma halucynacje, słyszy głosy powstające w jego zdesperowanej wyobraźni.

- Cholera jasna, Jon!

Odwrócił się na pięcie i spojrzał w okno, ale zobaczył tylko czarne niebo.

- Tylna ściana, idioto!

Już wiedział, czyj to głos. Szybko podszedł do ściany i przykucnął.

- Randi?

- A kogo się spodziewałeś? Pułku piechoty morskiej?

- Dobrze by było. Czemu tak szepczesz?

- Bo łążą tu ludzie Abu Auda. Ta buda to pułapka. Ty jesteś przynętą, a ja zwierzyną, chwytasz? Ja albo ktokolwiek inny, kto spróbuje wydostać cię z tego pudła.

- Jak się tu przedarłaś? - Jon z podziwem pokręcił głową. Po raz kolejny udowodniła, jak dobrze jest wyszkolona, jak wielkie ma umiejętności.

173

Randy lekko się zawahała.

- Musiałam zabić dwóch Arabów. Jest ciemno, nikt nic nie widział, ale kiedy Abu Auda zauważy ich brak, będziemy ugotowani.

- Siedzimy tu jak w puszcze, nie możemy nic zrobić. Czekam na propozycje.

- Kłódka jest nowa, ale zamek to szmelc. Zawiasy są stare, ale bez śladu rdzy, cholera.

Za to naoliwione i dadzą się zdjąć... Śruby przytrzymujące sztabę są tu, na zewnątrz. Gdybym dała radę je odkręcić, mógłbyś wypchnąć drzwi od środka.

- To już coś. Sposób tradycyjny, ale dobry.

- Też tak myślałam, dopóki nie musiałam zabić tych dwóch. Leżą w zagajniku, w tym od frontu. Dlatego musiałam... Spróchniałe to jak diabli...

Znowu ten dziwny, stłumiony odgłos.

- Co ty tam robisz? Kopiesz?

- Tak, nożem, wchodzi jak w masło. Chyba uda mi się zrobić coś w rodzaju podkopu.

Tak będzie ciszej i szybciej.

Chrum, chrum, chrum - tak to mniej więcej brzmiało. Chrumkanie było coraz szybsze, coraz wyraźniejsze.

- Dobra - szepnęła w końcu Randi. - Twoja kolej, siłaczu. Pchaj. Teresa uklękła i razem napaarli rękami na ścianę. Przez kilka sekund

nie działo się nic i raptem drewno ustąpiło w chmurze trocin: suche, nadwątlone przez termyty dechy zmieniły się w pył, Randi chwyciła je i bezszelestnie położyła na ziemi.

Jon i Teresa wyslizgnęli się dołem na chłodne, nocne powietrze. Jon spojrzał w stronę willi. Szumiały drzewa w mandarynkowym zagajniku, właśnie wschodził księżyc.

Spięta Randi przycupnęła w gęstwinie cytrusów z gotową do strzału bronią. Patrzyła na trawnik przed domem i zagajnik. Trawniki toną w mroku, zagajnik w smolistej ciemności.

Przewróciła się na brzuch, dała im znak i z automatem w zgięciu łokcia poczołgała się przez wysoką trawę. Naśladując jej ruchy, Teresa popęzła za nią, za Teresą Jon. Poruszali się cicho i straszliwie wolno. Księżyc był coraz wyżej i jego promienie oświetlały już cytrusowy zagajnik i barak, z którego uciekli.

W końcu dotarli do linii drzew. Nie zatrzymując się, popęzli dalej, omijając po drodze trupy zabitych przez Randi terrorystów, by wreszcie zniknąć w gąszczu palm daktylowych, daleko od miejsca, gdzie Abu Auda zastawił pułapkę.

Randi usiadła i oparła się o pień drzewa.

- Przez kilka minut nic nam tu nie grozi - szepnęła. - Odpoczniemy. Dwie, trzy minuty, nie dłużej. Wszędzie są ich ludzie.

Grały cykady. Między palmowymi liśćmi mrugały gwiazdy.

- Dobra robota, Randi. - Jon przykucnął.

- *Merci beaucoup*. - Teresa usiadła po turecku.

- Nareszcie się spotykamy - powiedziała z uśmiechem Randi. - Cieszę się, że pani żyje.

- Ja też. Dziękuję, że pani przyszła. Ale musimy wydostać stamtąd mojego ojca. Kto wie, co mogą mu zrobić!

- Pewnie nie masz zapasowego pistoletu, co? - rzucił z niewinnym uśmiechem Jon.

Randi spojrzała na niego z wyrazem kpiącej nagany na twarzy. Miała piękne, czarne oczy, wyrazistą twarz, a spod czarnej kominiarki uciekł jej niesforny kosmyk jasnych włosów.

- Wciąż nie wiem, dla kogo tak naprawdę pracujesz, ale my, ludzie z Firmy, zawsze jesteśmy przygotowani. - Podała mu zaopatrzonego w tłumik sig sauer kaliber dziewięć milimetrów, dokładnie taki sam, jaki Jon musiał wrzucić do kosza na śmieci w Madrycie.

- Wielkie dzięki. - Wyjąwszy magazynek i sprawdziwszy, czy jest pełny, streścił im to, co zdołał podsłuchać w sali pod kopułą.

- Mauritania chce przeprowadzić atak nuklearny na Jerozolimę? - Randi była wstrzą-

174

śnięta.

- Rosyjski pocisk taktyczny średniego zasięgu. Pewnie chcą zminimalizować straty w sąsiednich krajach arabskich, ale niewiele im to po może. Opad będzie gorszy niż po Czarno-byłu.

- *Mon Dieu!* - wyszeptała przerażona Teresa. - Ci biedni, niewinni ludzie!

Randi błysnęła oczami.

- Przerzucono mnie tu z krążownika rakietowego, który stoi na kotwicy siedemdziesiąt mil stąd. To USS „Saratoga”. Mam radiostację, cze-kajana mój znak. Mamy pewien plan, może niezbyt piękny, ale na pewno skuteczny. Powstrzyma tamtych przed atakiem nuklearnym na Jerozolimę, Nowy Jork czy na Brukselę. Możemy go zrealizować na kilka sposobów.

Jeśli uda nam się wyciągnąć stamtąd Chamborda i wynieść komputer, ci z „Saratogi” przylecą tu i ewakuują nas. To najlepsza opcja. – Spytała ich, czy maszyna, którą widziała w willi, jest prototypem komputera. Gdy Jon to potwierdził, skinęła głową. - Ale jeżeli zdarzy się najgorsze... - Zawahała się i spojrzała na Teresę.

- Przeszliśmy już tyle, że gorzej być chyba nie może - odrzekła Teresa. - A już na pewno nie będzie to gorsze niż kataklizm, który planuje Mauritania.

- Ten komputer nie może pozostać w ich rękach - oznajmiła ponuro Randi. - To nie podlega żadnej dyskusji.

Teresa zmrużyła oczy i zmarszczyła brwi.

- To znaczy?

- Jeśli nie damy rady go odzyskać, z pokładu „Saratogi” zostanie odpalony pocisk SM-2, wycelowany w kopułę willi. Komputer ulegnie zniszczeniu.

- I terroryści - tchnęła Teresa. - Oni też zginą?

- Tak - odrzekła Randi pozbawionym emocji głosem. - Zginą wszyscy, którzy tam będą.

Smith uważnie obserwował ich twarze. Spojrzał na Randi i rzekł:

- Randi, ona rozumie.

Teresa głośno przełknęła ślinę.

- Ale mój... ojciec. Chciał ich powstrzymać. Ukradł nawet pistolet. - Odwróciła głowę w stronę ścieżki, którą tu przyszli. - Nie możecie go zabić!

- Nie chcemy zabijać ani jego, ani... - zaczęła Randi.

- Spróbujmy te opcje jakoś połączyć - przerwał jej Smith. - Nie chcę ryzykować i wracać tam po komputer. Ale możemy wrócić po samego Chamborda, a wtedy twój by nas ewakuowali.

- Właśnie - powiedziała Teresa. - Ja też tego chcę. A gdyby miało zdarzyć się najgorsze... - Pobladła. - Musicie zrobić wszystko, żeby zapobiec katastrofie.

Randi spojrzała na zegarek.

- Mogę dać ci dziesięć minut. - Wyjęła z plecaka nadajnik. - Weź to. Kiedy zgarniesz Chamborda i wyjdiesz z willi, daj mi znać. Powiadomię „Saratogę” i zrobią swoje.

- Dobra. - Jon przypiął nadajnik do paska.

- Idę z panem - powiedziała Teresa.

- Niech pani nie będzie głupia. Nie jest pani przeszkolona, będzie mi pani tylko...

- Może pan potrzebować pomocy. Poza tym nie powstrzyma mnie pan. Bo co pan zrobi?

Zastrzeli mnie? - Spojrzała na Randi. - Proszę dać mi pistolet. Umiem strzelać i nie stchórzę.

Randi przekrzywiła głowę.

- Niech pani weźmie moją berettę - zdecydowała po chwili zastanowienia. - Ma tłumik.

Proszę. A teraz idźcie już!

Gdy strażnicy znikli za rogiem willi, Jon pchnął Teresę przodem i puścili się biegiem.

Schody, taras... przycupnęli pod drzwiami, ona po jednej stronie, on po drugiej. Chwilę póź-

175

niej w progu stanął trzeci strażnik. Jon zdzielił go w głowę rękojeścią pistoletu, wciągnął do pokoju, tymczasem Teresa cichutko zamknęła drzwi. Z sali pod kopułą dochodziły odgłosy zażartej dyskusji. Wyglądało na to, że trwa tam narada wojenna.

Smith dał Teresie znak i szerokim, wyłożonym terakotą korytarzem pobiegli do zachodniego skrzydła, zatrzymując się dopiero przy zakręcie. Jon wyjrzał za róg.

- Nikogo - szepnął. - Chodź.

Znowu biegiem, z gotowymi do strzału pistoletami w ręku. Mozaiki. Na podłodze, na ścianach i na suficie. Dobiegli do drzwi do dawnego haremu.

- Nie ma strażników - szepnął zaskoczony Jon. - Dlaczego?

- Może są w pokoju z tatusiem.

- Pewnie tak. - Smith przekręcił klamkę. - Otwarte. Idź. Powiedz im, że uwolnili cię, że-byś pomogła mu w pracy. Uwierzą.

- Masz, weź pistolet. Nie mogą zobaczyć mnie z bronią.

Jon zawahał się, lecz wziął berettę.

Teresa wyprostowała ramiona i pchnęła drzwi. Stała w progu, wykrzyknęła coś po francusku i grając pod publiczność, wbiegła do środka.

- *Papa!* Nic ci nie zrobili? Mauritania powiedział, żebym... Emile Chambord odwrócił

się z fotelem i wytrzeszczył oczy, jakby

zobaczył ducha. Potem przeniósł wzrok na Jona, który wpadł do środka z pistoletami w obu rękach, wypatrując terrorystów. Ale terrorystów tam nie było.

- Dlaczego pana nie pilnują? - spytał zdumiony.

Naukowiec wzruszył ramionami.

- A niby po co? Mieli Teresę i pana. Przecież w tych okolicznościach nie zniszczyłbym komputera i nie uciekł, prawda?

Jon machnął pistoletem w stronę drzwi.

- Chodźmy. Szybko!

- A co z moim komputerem? - spytał z wahaniem Chambord.

- Zostaw go, tato! - krzyknęła Teresa. - Pospiesz się!

Smith zerknął na zegarek.

- Mamy tylko pięć minut, czas ucieka. - Chwycił Chamborda pod rękę i pociągnął za sobą, zmuszając go do biegu. Jeden korytarz, drugi, wreszcie główny hol. Zza frontowych drzwi dochodził czyjeś oskarżycielski głos. Albo strażnik się ocknął, albo właśnie go znaleźli.

- Z powrotem! - rzucił Jon.

Pokonali już połowę drogi, gdy w sali pod kopułą buchnął gwar gniewnych głosów, a zaraz po nich tupot wielu nóg. Smith wetknął za pasek oba pistolety, odczepił nadajnik i pchnął Chambordów do okna.

- Tędy. Szybko! - Popędzając ich, włączył nadajnik i szepnął do mikrofonu: - Mamy go.

Jesteśmy cali i zaraz nas tu nie będzie. Niech twoi odpalają.

Randi podeszła bliżej domu i czekała teraz pod cienistymi, pachnącymi liśćmi pomarańczowego gaju. Po raz kolejny spojrzała na zegarek i po raz kolejny ze ściśniętym sercem stwierdziła, że elektroniczne cyferki migają z zatrważającą wprost szybkością. Cholera jasna.

Dziesięć mi-nut, które im dała, już minęło. Księżyc skrył się za czarną chmurą i temperatura nieco spadła, tymczasem ona spływała potem. W trzech oknach dawnego haremu i w sali pod kopułą paliło się światło, ale nic wartego uwagi się nie działo.

Jeszcze raz spojrzała na zegarek. Jedenaście minut. Wyrwała z ziemi garść trawy i wraz z korzeniami cisnęła to wszystko w mrok.

Nagle zatrzeszczał nadajnik i ożywiona nadzieją, z mocniej bijącym sercem przytknęła go do ucha.

- ...Niech twoi odpalają.

Z ulgą podała mu swoje zamiary.

- Macie pięć minut - dodała. - Kiedy „Saratoga” odpali...

- Rozumiem - przerwał jej Jon. Zamilkł, jakby się zawahał. - Dzięki, Randi. - Powodzenia.

Głos uwiązł jej w gardle.

- Tobie też, żołnierzu.

Zwróciła twarz ku zachmurzonemu niebu, zamknęła oczy i odmówiła krótką modlitwę dziękczynną. Potem zrobiła to, co musiała: podniosła nadajnik do ust i wydała „Saratodze”

rozkaz. Rozkaz śmierci.

Stał pod oknem. Teresa już miała wejść na parapet, gdy nagle zerknęła na ojca i zmartwiała. Jon spojrzał przez ramię.

Chambord trzymał w ręku pistolet. Celował prosto w niego.

- Odsuń się, dziecko - powiedział, mierząc mu w pierś. - Niech pan to zostawi, pułkowniku. - Smith odruchowo wyszarpnął zza pasa broń.

- *Papa!* Co ty robisz?

- Ciii, dziecinko. Nie martw się, wiem, co robię. - Chambord wyjął z kieszeni walkie-talkie. - Mówię poważnie, panie pułkowniku. Proszę rzucić broń albo pana zastrzelę.

- Doktorze... - wykrztusił zaszokowany Jon. Opuścił pistolet, lecz wciąż trzymał go w ręku.

- Zachodnie skrzydło - rzucił do mikrofonu Chambord. - Daj ich tu. Wszystkich!

Oczy mu błyszczały. Z podniecenia, z uniesienia. Oczy fanatyka. Smith przypomniał

sobie wyraz obojętności, a nawet dziwnego rozmarzenia na jego twarzy, gdy nakrył ich Mauritania. I raptem go olśniło.

- Pana nie porwano. Pan jest z nimi. To dlatego sfingował pan swoją śmierć. To dlatego nikt pana tu nie pilnował. Cały czas był pan w zмовie z Mauritania, żeby Teresa myślała, że jest pan ich więźniem.

- Nie jestem z nimi, pułkowniku - odparł z pogardą Chambord. - To oni są ze mną.

- Ojczy... - zaczęła Teresa z niedowierzaniem w głosie.

Zanim Chambord zdążył na nią spojrzeć, do korytarza wpadli Abu Auda, Mauritania i trzech uzbrojonych terrorystów. Jon uniósł broń i wyszarpnął zza pasa berettę Teresy.

Randi spojrzała na zegarek. Cztery minuty. Od strony willi doszedł ją nagle jakiś hałas.

Krzyki, tupot nóg. Padły strzały, pojedyncze i seriami. Teresa i Jon nie mieli broni automatycznej. Bała się o tym myśleć, ale istniało tylko jedno wytłumaczenie: wpadli, nakryto ich.

Potrząsnęła głową, chcąc odpędzić tę myśl i w tej samej chwili ponownie gruchnęły dwie serie wystrzałów.

Zerwała się na równe nogi, popędziła do willi. I wtedy dobiegł ją ten upiorny śmiech: ktoś się tam śmiał, dumnie, triumfalnie. Ktoś krzyczał, wychwalał Allacha. Niewierni zginęli!

Zamarła. Nie była w stanie myśleć, nie była w stanie niczego odczuwać. Nie, to niemożliwe. Ale po dwóch pojedynczych wystrzałach wszystkie kolejne były wystrzałami z broni automatycznej. Zabili ich. Zabili Jona i Teresę.

Zalała ją fala smutku, a zaraz potem fala narastającej wściekłości. Nie, nie miała czasu ani na to, ani na to. Najważniejszy był komputer.

Komputer nie mógł pozostać w rękach terrorystów. Chodziło o zbyt wielką stawkę. O

życie zbyt wielu ludzi.

177

Odwróciła się i popędziła przed siebie, jakby ścigało ją stado rozjuszonych wilków. I przez cały czas, przez cały czas musiała odpędzać od siebie obraz twarzy Jona. Jego ciemnoniebieskich oczu. Jego policzków. Jego zaciśniętych szczęk, gdy wpadał w złość. Jego śmiechu. Jego wybuchów złości. Jego inteligencji...

Podmuch eksplozji cisnął ją trzy metry do przodu. Głowę rozsadzał jej ogłuszający huk, huk przenikający na wskroś całe ciało, w plecy buchnął żar. Jakby pchnęła ją łapa rozsierdzo-nego demona. Gdy w powietrzu zaświstały odłamki, gdy ich deszcz spadł na ziemię, wpełzła pod gałęzie drzewa oliwnego i zasłoniła głowę rękami.

Siedziała pod murem, patrząc na żółto-czerwone płomienie strzelające w niebo z miejsca, gdzie jeszcze niedawno stała biała willa. Włączyła nadajnik.

- Zawiadomcie Pentagon - powiedziała. - Komputer zniszczony.

Doktor Chambord nie żyje. Niebezpieczeństwo minęło.

- Przyjąłem. Dobra robota.

- Zawiadomcie ich również - dodała głuchym głosem - że w wybuchu zginął podpuł-

kownik Jonathan Smith z Amerykańskiego Wojskowego Instytutu Chorób Zakaźnych i córka doktora Chamborda Teresa. A teraz zabierzcie mnie stąd.

Wyłączyła nadajnik i spojrzała na wolno płynące chmury. Wyjrzał zza nich księżyc, srebrzyste jabłko, i szybko się schował. W powietrzu unosił się odór śmierci i dopalających się zgliszczy. Znowu pomyślała o Jonie. Zaryzykował, wiedząc, czym to grozi. Przegrał, ale gdyby żył, na pewno by nie narzekał. Wybuchnęła płaczem.

Rozdział 28

Bejrut, Liban

Agent CIA Jeff Moussad szedł ostrożnie zawaloną gruzami ulicą, chociaż wstęp do tej dzielnicy był oficjalnie zabroniony. W powietrzu unosił się pył, a zwały cegieł i tynku po obu stronach przypominały smutną historię długiej wojny domowej, która rozdarła Liban i odebrała miastu sławę Paryża Wschodu. Centrum zaczęto już odbudowywać, powróciły tu setki międzynarodowych firm, lecz prace postępowały bardzo wolno, zwłaszcza tu, na ziemi niczy-jej, dzielnicy bezprawia, którą wciąż gnębiła ponura przeszłość.

Jeff był w przebraniu. Miał nawiązać kontakt z ważnym informatorem. Jego tożsamość i miejsce pobytu poznano dzięki notatkom pracownika CIA, który zginął w samolotowym ataku terrorystycznym na Pentagon jedenastego września. To trudne zadanie - przypominało szukanie igły w stogu siana - było możliwe do wykonania tylko dzięki najnowszym źródłom informacji wywiadowczych, takich jak samoloty szpiegowskie U-2, cała konstelacja tajnych satelitów szpiegowskich, które regularnie okrążały ziemię, zdjęć z satelitów komercyjnych czy przekazów filmowych ze zdalnie sterowanych samolotów bezzałogowych.

Ponieważ w mieście nie było ani tablic informacyjnych, ani drogowskazów, ani nawet tabliczek z nazwami ulic, żeby znaleźć drogę do nory wydrążonej w czymś, co było kiedyś budynkiem, Jeff korzystał z elektronicznego organizera, tak zwanego pilota. Przystanął w cieniu i ponownie spojrzął na mały ekran. Wyświetlał się na nim film, *przekaz* wideo na żywo, pokazujący ulice i alejki dzielnicy, tak jak aktualnie widziały je kamery najnowszej gene-racji zdalnie sterowanego samolotu bezzałogowego. Kamery te potrafiły sfotografować olbrzymi obszar i przekazać jego obraz do satelitów telekomunikacyjnych, co było wielkim krokiem naprzód w porównaniu z czasami, gdy obraz ten, przekształcony w sygnał radiowy, trafiał najpierw do bazy, z której wystartował samolot.

Ponieważ w południowej części Bejrutu panował geograficzny chaos, człowiek nieznający miasta mógł łatwo się tu zgubić. Jednakże dzięki bezpośredniemu przekazowi satelitar-nemu oraz znakom kierunkowym na ekranie pilota Jeff pewnym krokiem pokonał kilkaset metrów. I nagle gruchnęła seria wystrzałów, nagle rozległ się tupot nóg. Czując, jak we krwi buzuje mu adrenalina, agent

czmychnął szybko za szerniały wrak czołgu, zniszczonego podczas którejś z dawnych potyczek. Wyteżył słuch i wyjął broń. Musiał dotrzeć do informatora, zanim tamci odkryją jego obecność.

Jeszcze raz spojrzął na ekran pilota. Do informatora miał jeszcze daleko. Zapamiętał kolejny skręt i już miał ruszyć w drogę, gdy zdarzyło się coś niemożliwego, coś po prostu nie do pomyślenia. Ekran pilota zgasł. Jeff gapił się nań ze ściśniętym sercem. Nie miał pojęcia, gdzie jest. Zaklął cicho, zdając sobie sprawę, że się zgubił, po czym zaczął wciskać guziki, żeby sprawdzić, co się stało. Ale zamiast widoku z powietrza, na ekranie pojawiły się informacje, które przechowywał w pilocie: numery telefonów i daty umówionych spotkań. Obraz z samolotu zniknął, jakby nigdy go tam nie było. Jeff nie wiedział teraz ani gdzie jest, ani jak wrócić do bazy. Cała łączność padła.

Rozpaczliwie próbował przypomnieć sobie, gdzie musi teraz skręcić. Uznawszy, że w prawo, minął zburzony budynek, skręcił za róg i ruszył pod górę tam, gdzie - jak przewidywał

- powinna znajdować się piwnica. Wyszedłszy na równy teren, rozejrzał się, lecz żadnej piwnicy nie zobaczył. Zobaczył za to rozbłysk z czterech karabinowych luf i... nic więcej.

180

Fort Belvoir, Wirginia

Na południe od Waszyngtonu stoi historyczny Fort Belvoir, obecnie supernowoczesna siedziba około setki współpracujących ze sobą organizacji wojskowych, istne *Who is Who* Departamentu Obrony USA. Najtajniejszą nich jest główna stacja odbiorcza informacji satelitarnych NRO, Krajowego Biura Rozpoznania. Ta utworzona w 1960 roku organizacja -miała nadzorować starty rakiet i pracę amerykańskich satelitów na orbicie - była tak tajna, że jej istnienie ujawniono oficjalnie dopiero w latach dziewięćdziesiątych. Jej gigantyczny, wielomiliardowy budżet przekraczał roczny budżet wszystkich trzech największych i najpotężniejszych agencji wywiadowczych w Stanach: CIA, FBI i NSA.

W tej leżącej między falującymi wzgórzami Wirginii stacji odbiorczej zgromadzono najnowocześniejszy sprzęt elektroniczny i zatrudniono najtęższe umysły analityczne. Jednym z pracujących tu cywilnych analityków była kruczowłosa i piegowata Donna Lindhorst. Od sześciu dni obowiązywała podwyższona gotowość bojowa i Donna dosłownie leciała z nóg ze zmęczenia. Tego dnia monitorowała kompleks wyrzutni rakietowych w Korei Północnej, w kraju, który postawiwszy sobie za cel zbudowanie dalekosiężnych pocisków balistycznych, stanowił potencjalne zagrożenie bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych i ich sojuszników.

Jako wieloletnia pracownica NRO, Donna wiedziała, że satelity szpiegowskie krążą wokół ziemi już od czterdziestu lat, że wiele z nich orbituje na wysokości prawie dwustu kilometrów. Pędząc z prędkością dwadzieścia pięć razy przekraczającą prędkość dźwięku, te kosztujące miliardy dolarów ptaki dwa razy dziennie przelatywały nad każdym punktem Ziemi, robiąc cyfrowe zdjęcia miejsc, które chcieli obejrzeć przedstawiciele CIA, politycy i generałowie. Nad dowolnym punktem Ziemi w każdej chwili przelatywało ich co najmniej pięć.

Czy to wojna domowa w Sudanie, czy katastrofa ekologiczna w Chinach, strumień czarno-białych obrazów z amerykańskich satelitów płynął nieustannie.

Kompleks wyrzutni raketowych w Korei Północnej, który obserwowała Donna, zaliczono do grupy obiektów najbardziej zagrażających Stanom Zjednoczonym. Tylko tego brakowało, żeby jakiś bandycki kraj wykorzystał zamieszanie w ich elektronicznych systemach operacyjnych. I niewykluczone, że właśnie do tego doszło. Donnie zaschło ze strachu w gardle, ponieważ to, co zobaczyła, wyglądało jak pióropusz gorących gazów, które powstają podczas startu rakiety balistycznej.

Nerwowo wpatrując się w ekran, nakazała aparatowi skupić ostrość na obiekcie. Satelita, zwany w gwarze szpiegowskiej satelitą klasy Advanced Keyhole, robił zdjęcia co pięć sekund i za pośrednictwem satelitów systemu Milstar niemal natychmiast przekazywał je na ekran monitora. Łączyło się to z niezmiernie dużym obciążeniem obwodów przekazywania danych i przetwarzania obrazu, ale musiała wiedzieć, czy ten nieszczęsny pióropusz naprawdę tam jest. Jeśli tak, mógł być zapowiedzią ataku nuklearnego.

Spięta i straszliwie zdenerwowana, pochyliła się, uruchamiając skanery, odczytując dane, jeszcze bardziej wyostrowając obraz i nagle ekran...

zgasł. Zdjęcia znikły. Zaszokowana, na chwilę zamarła, a potem odepchnęła krzesło i przerażona spojrzała na ścienne monitory. Wszystkie były czarne. Nie wyświetlały żadnych danych ani obrazów. Gdyby Korea Północna chciała przeprowadzić teraz atak nuklearny na Amerykę, nic by jej nie powstrzymało.

Waszyngton

W gabinetach i korytarzach Zachodniego Skrzydła Białego Domu panowała atmosfera cichego rozradowania. Święto Dziękczynienia w maju to duża rzadkość. Dzieląc się wyciszo-181

nym szczęściem z grupą swoich najbliższych doradców, prezydent Castilla pozwolił sobie nawet na pierwszy od kilku dni uśmiech.

Doradczyni do spraw bezpieczeństwa narodowego Emily Powell-Hill promieniała.

- Nie wiem, jak pan to zrobił, panie prezydencie, ale grunt, że się udało.

- Nie, Emily. Zrobiliśmy to razem.

Castilla wyszedł zza biurka i w spontanicznym, rzadkim u niego geście przyjaźni usiadł

koło niej na sofie. Czuł się lżejszy, jakby zdjęto mu z ramion olbrzymi ciężar. Patrzył na do-wódców spod okularów, każdego nagradzał ciepłym uśmiechem i cieszył się, widząc wyraz ulgi na ich twarzach. Lecz nie była to okazja do prawdziwego świętowania. Podczas ataku raketowego na algierską willę zginęło wielu prawych ludzi.

- Wszyscy - kontynuował. - I tu obecni, i agenci naszych służb wywiadowczych. Tak, wiele im zawdzięczamy. Im, tym bezinteresownym bohaterom, którzy pracują na terenie wroga i ryzykują życie, nie oczekując w zamian uznania publicznego.

- Z tego, co mówił kapitan „Saratogi” - wtrącił admirał Brose, ruchem głowy wskazując dyrektora CIA - to jeden z waszych agentów dopadł w końcu tych sukinsynów i zniszczył ten przekłety komputer.

Dyrektor skromnie pochylił głowę.

- Nie agentów, tylko agentek - odrzekł. - Agentka Russell, jedna z najlepszych, jakich mam. Zrobiła, co do niej należało.

- Tak - zgodził się z nim Castilla. - Nie ulega wątpliwości, że tym razem tyłek uratowali nam agenci CIA oraz inni, którzy z oczywistych względów muszą pozostać anonimowi. Powtarzam: tym razem. - Spoważniał i powiódł wzrokiem po ich twarzach. Przewodniczący Połą-

czonego Kolegium Szefów Sztabów, dyrektor Agencji Bezpieczeństwa Narodowego, dyrektor Krajowego Biura Rozpoznania, dyrektor Centralnej Agencji Wywiadowczej, prezydencki szef sztabu. Wszyscy najważniejsi. - Musimy być przygotowani na przyszłość. Komputer molekularny przestał być teorią, lada dzień ktoś skonstruuje komputer kwantowy. To nieuniknione. Kto wie, co jeszcze

stworzy nauka, żeby zagrozić naszym systemom obronnym i żeby pomóc ludzkości. Dlatego zacząć musimy już dzisiaj. Już dzisiaj musimy uczyć się, jak sobie z tym radzić.

- Panie prezydencie, jeśli dobrze rozumiem, doktor Chambord, jego komputer, notatki i wyniki badań zostały zniszczone podczas ataku - zauważyła Emily Powell-Hill. - Według moich informacji żaden z naukowców, przynajmniej na razie, nie jest w stanie powtórzyć je-go sukcesu i zbudować duplikatu tej maszyny. Daje nam to pewną swobodę działania.

- Być może, Emily, być może - odparł Castilla. - Z drugiej strony, przedstawiciele środowisk naukowych twierdzą, że jeśli już doszło do tak wielkiego przełomu, prace nabiorą znacznego przyspieszenia. - Ogarnął doradców wzrokiem i silnym, stanowczym głosem do-dał: - Tak czy inaczej, musimy zbudować system obronny, który będzie w stanie stawić czoło możliwościom komputera molekularnego oraz osiągnięciom naukowym zagrażającym naszemu bezpieczeństwu.

W Gabinetcie Ovalnym zapadła cisza. Zebrani z powagą myśleli o czekających ich za-daniach i obowiązkach. Ciszę przerwał natarczywy dzwonek telefonu na prezydenckim biurku. Castilla zawahał się i popatrzył w tamtą stronę, doskonale wiedząc, że ten telefon dzwoni tylko w sprawach najwyższej wagi.

Położył ręce na kolanach, wstał, podszedł do biurka i podniósł słuchawkę.

- Tak?

Fred Klein.

- Musimy porozmawiać, panie prezydencie.

- Teraz?

- Tak, natychmiast.

182

Paryż, Francja

Randi i Peter spotkali się w przestronnej separacie Marty'ego, w ekskluzywnej prywatnej klinice specjalizującej się w operacjach plastycznych. Dochodzące zza okna przytłumione odgłosy ruchu ulicznego były szczególnie głośne, gdy bolesna rozmowa ustawała i policzki Marty'ego spływały łzami.

Jon nie żył. Wiadomość ta omal go nie zabiła. Kochał go, jak kochać można tylko przyjaciela o krańcowo odmiennych talentach i zamiłowaniach, starego druha, z którym połączyła go nieuchwytna, lecz silna więź wzajemnego szacunku. Strata była zbyt wielka, żeby potrafił

ją wyrazić. Jon towarzyszył mu od zawsze. Nie umiał sobie wyobrazić życia w świecie, w którym go nie ma.

Randi usiadła na brzegu łóżka i wzięła go za rękę. Drugą ręką wytarła sobie łzy z policzków, Howell stał pod drzwiami. Z jego kamiennej, lekko zaczerwienionej twarzy bił smutek.

- Robił swoje - powiedziała łagodnie Randi. - Robił to, co zawsze chciał. Czy można pragnąć czegoś więcej?

- Był... był prawdziwym bohaterem - wyjąkał Marty, szukając odpowiednich słów. Za-drżał mu podbródek. Nie umiał wyrażać emocji, nie znał ich języka. - Mówiłem wam, jak bardzo podziwiałem Bertranda Russella? Bohaterów dobieram sobie bardzo starannie, ale Russell był niezwykle, wyjątkowy. Nigdy nie zapomnę, jak pierwszy raz przeczytałem *Zasady matematyki*. Miałem chyba dziesięć lat i byłem oszołomiony. Boże, te implikacje, te wnioski. Otworzyły mi się oczy! Ten człowiek wyabstrahował matematykę z królestwa spekulatywnej filozofii i włożył ją w precyzyjnie dopasowane ramy.

Peter i Randi wymienili spojrzenia. Nie mieli pojęcia, o czym Marty mówi.

Tymczasem on kiwał głową, nie bacząc na spływające na poduszkę łzy.

- Podał mi tyle ekscytujących myśli. Martin Luther King, William Faulkner i Mick-ey Mantle też byli bohaterami. Tak, oczywiście. - Powiódł wzrokiem po pokoju, jakby szukał

miejsca, gdzie mógłby bezpiecznie usiąść. - Ale moim największym bohaterem zawsze był

Jon. Absolutnie największym. Od samego dzieciństwa. Nigdy mu tego nie mówiłem. Robił

wszystko, czego ja nie mogłem, a ja robiłem to, czego nie mógł on. I tak było dobrze. I dla niego, i dla mnie. Jak często spotyka się takiego człowieka? Stracić go to tak, jak stracić nogi czy ręce, tylko jeszcze gorzej. - Przelknął łzy. - Będzie mi go strasznie... brakowało.

Randi ścisnęła go za rękę.

- Nam też. Wszystkim. Byłam taka pewna, że zdąży uciec. On także był pewien. Ale... -

Bolało ją serce, z trudem powstrzymała szloch. Pochyliła głowę. Zawiodła i Jon zginął. Cicho zapłakała.

- Wiedział, czym to grozi - wychrypiał od drzwi Howell. - Wszyscy wiemy. Ale ktoś musi to robić, żeby ważni biznesmeni, gospodynie domowe, sprzedawczynie z supermarketu, ci pieprzeni playboye i milionerzy mogli spać spokojnie.

Powiedział to z goryczą. Taki już był, w taki sposób wyrażał ból po stracie bliskich. Stał

samotnie pod drzwiami - w życiu też był zawsze samotny - z poharatanym policzkiem, ze skaleczoną, niezabandażowaną i na wpół zagojoną ręką. Bił od niego gniew, tłumiona wściekłość. Opłakiwał śmierć przyjaciela.

- Chciałem mu... pomóc-wydukał Marty. Podano mu leki, a po lekach zawsze mówił powoli i niepewnie.

- On o tym wiedział, chłopcze - zapewnił go Peter.

W pokoju zapadła smutna cisza. Odgłosy ruchu ulicznego znowu przybrały na sile.

Gdzieś w oddali zawyła syrena karetki pogotowia.

- Nie zawsze jest tak, jak chcemy - rzucił w końcu Howell. Cóż za niedomówienie.

183

Zadzwonił telefon i wszyscy popatrzyli w tamtą stronę. Peter podniósł słuchawkę.

- Howell. Mówiłem ci, żebyś nigdy... Co? Tak. Kiedy? Na pewno? Dobrze. Jasne.

Odłożył słuchawkę i spojrzał na przyjaciół tak, jakby przed chwilą zobaczył koszmar koszmarów.

- Ściśle tajne. Prosto z Downing Street. Ktoś przejął kontrolę nad wszystkimi amerykańskimi satelitami wojskowymi. Pentagon i NASA są odcięte, nie mają z nimi łączności.

Znacie kogoś, kto mógłby to zrobić bez komputera molekularnego?

Randi szybko zamrugła. Wzięła chusteczkę higieniczną z pudełka na stoliku Marty'ego i wydmuchała nos.

- Wynieśli go z willi? Nie, to niemożliwe. Co to znaczy, do cholery?

- Diabli wiedzą. Ja wiem tylko tyle, że to jeszcze nie koniec. Musimy zacząć ich szukać.

Znowu. Od początku.

Randi pokręciła głową.

- Nie mogli go stamtąd wynieść. Nie było na to czasu. Ale... - Popatrzyła na Howella. -

Może Chambord przeżył? Wtedy miałyby to sens. A jeśli przeżył Chambord...

Marty usiadł na łóżku i na jego wykrzywionej bólem twarzy zagościł wyraz nadziei.

- Mógł przeżyć i Jon!

- Chwila, moment, spokojnie. - Peter podniósł ręce. - Niekoniecznie. Ci z Tarczy Pół-

księżycy zrobiliby wszystko, żeby wyciągnąć stamtąd

Chamborda. Ale jego córkę i Jona mieliby gdzieś. Słyszałaś strzały z broni automatycznej, tak? Do kogo innego mogliby strzelać, jeśli nie do nich? W raporcie napisałaś, że Jon zginął albo podczas walki, albo w wybuchu. Te sukinsyny wrzeszczały z radości, tak? Cieszyli się ze zwycięstwa. Tego nie zmienisz. Niestety.

- Masz rację. Niestety. - Randi zmarszczyła czoło. - Mimo to nie możemy tego zlekceważyć. Jeśli Jon żyje...

Marty odrzucił koc, wyskoczył z łóżka i osłabiony chorobą, przytrzymał się niepewnie ramy.

- Mam gdzieś, co tam sobie gadacie. On żyje! - oznajmił z mocą. Uznał, że przyjaciel nie zginął, wymazując z pamięci wiadomość zbyt bolesną, żeby w nią uwierzyć. - Trzeba słuchać Randi. Jon może nas bardzo potrzebować. Kiedy pomyślę, że gdzieś tam cierpi, ranny i spragniony na algierskiej pustyni... A może ci okropni terroryści chcą go zabić? Może właśnie w tej chwili prowadzą go na śmierć? Musimy go znaleźć! - Lekarstwo przestawało działać i życie było teraz znośniejsze. Marty to superman uzbrojony w komputer i umysł geniusza.

- Spokojnie, chłopcze. Dobrze wiesz, jak często uciekasz poza nasz logiczny wszechświat.

Marty wyprostował się wojowniczo i jego gniewne oczy znalazły się na wysokości mostka Howella.

- Ty niedouczony angolu! - odparł z całą powściągliwością, na jaką było go stać. - Mój wszechświat jest nie tylko logiczny, ale i tak wielki, że nie potrafisz objąć go swoim mysim rozumkiem!

- Możliwe - odrzekł oschle Peter - lecz nie zapominaj, że żyjemy i pracujemy w moim wszechświecie. Dobrze, załóżmy, że Jon żyje. Z tego, co mówi Randi, wynikałoby, że jest ich więźniem. Albo że jest ranny, ścigają go, że musi się ukrywać. Nasuwa się pytanie, gdzie jest i czy możemy się z nim w jakiś sposób skontaktować. Nasze satelity zdechły. Łączność elektryczna wysiadła. Można nawiązać kontakt jedynie na krótko i na niewielką odległość.

Marty już otworzył usta, żeby dać mu jakąś ciętą odpowiedź, lecz nagle, bezradny i sfrustrowany, wykrzywił twarz, walcząc z ociężałością umysłu, który nie potrafił rozwiązać problemu tak szybko, jakby tego chciał.

- Jeżeli zdołał uciec - myślała głośno Randi - zwłaszcza z Chambordem, tamci na pewno będą ich

łam, że Abu Auda zna się na swojej robocie. Jeśli więc Jon i Chambord żyją, najprawdopodobniej są jeszcze w Algierii.

- Ale jeżeli nie uciekł - rozumował Peter - a z tego, co stało się właśnie z amerykańskimi satelitami, wynika, że Tarcza Półksiężycy wciąż dysponuje tym komputerem, więc jeśli nie zdołał uciec, jest ich więźniem. A my nie mamy zielonego pojęcia, gdzie go przetrzymują.

Zniecierpliwiony i zmartwiony bardziej niż kiedykolwiek Klein siedział na podrapanej, zrytej bruzdami ławie, którą prezydent Castilla kazał przewieźć ze swego gabinetu w Taos i ustawić w gabinecie na piętrze, gdzie mieściły się prywatne apartamenty jego i jego rodziny.

Rozejrzał się i popatrzył na pękające w szwach półki z książkami, lecz tak naprawdę ich nie widział, gdyż myślał wyłącznie o tym, co miał powiedzieć prezydentowi. Rozpaczliwie chciał

zapalić fajkę; z butonierki obszernej wymiętej marynarki wystawał jej ustnik. Założył nogę na nogę i ta, która znalazła się na górze, niemal natychmiast zaczęła się kiwać rytmicznie, niczym ramię metronomu.

Do pokoju wszedł Castilla i widząc, że szef Tajnej Jedyńki jest zdenerwowany, powiedział:

- Bardzo mi przykro, Fred. Wiem, jak bardzo ceniłeś doktora Smitha.

- Kondolencje mogą być przedwcześnie, panie prezydencie. – Klein odchrząknął. - Tak samo jak świętowanie zwycięstwa w Algierii.

Castilla zeszywniał. Podeszedł do swego ulubionego żaluzjowego biurka i usiadł.

- Mów.

- Kompania rangersów, która dotarła tam zaraz po ataku rakietowym, nie znalazła jego zwłok. Ani zwłok doktora Chamborda i jego córki.

- Pewnie jest jeszcze za wcześnie. Poza tym ciała mogą być zwęglone, rozszarpane siłą wybuchu...

- Tak, znaleźli ludzkie szczątki, ale gdy tylko dostałem raport Randi Russell, wysłałem tam ekipę specjalistów od DNA; algierska policja i wojsko też przesłało swoich ludzi. Jak do-tąd, nie zidentyfikowano ani Smitha, ani Chamborda, ani jego córki. Poza tym w rumowisku nie znaleziono szczątków kobiecego ciała. Jeśli więc Teresa Chambord przeżyła, to gdzie teraz jest? Gdzie jest jej ojciec? Gdzie jest pułkownik Smith? Gdyby przeżył, na pewno by się ze mną skontaktował. O Chambordach też bym wiedział. Gdyby przeżyli.

- Chyba że schwytano ich i uwięziono. Do tego zmierzasz, prawda? - Castilla nie mógł usiedzieć na miejscu. Sztywno wstał i zaczął chodzić nerwowo po indiańskich dywanach. - Uwa-

zasz, że niektórzy z terrorystów uciekli i uprowadzili całą trójkę, tak?

- Właśnie. Gdyby nie to...

- Gdyby nie to, oblewałbyś teraz ich ocalenie. Tak, rozumiem. Ale to tylko poszlaki, Fred. Spekulacje.

- Poszlaki i spekulacje to moja praca, panie prezydencie. Opierają się na nich analitycy wszystkich służb wywiadowczych, zwłaszcza ci najlepsi. Naszym zadaniem jest przewidywanie niebezpieczeństwa i podejmowanie kroków, które by mu zaradziły. Możliwe, że się mylę i nasi znajdują ich zwłoki. - Klein splótł palce, zacisnął dłonie i pochylił się do przodu. - Ale te-go, że ich dotąd nie znaleziono, nie można lekceważyć.

- Co zamierzasz?

- Dalej przeszukiwać zgliszcza, porównywać DNA, ale... Zadzwoił telefon i Castilla niecierpliwym gestem podniósł słuchawkę. Wykrzywił twarz, zmarszczył czoło i warknął:

- Przyjdź na górę, Chuck, do mojego gabinetu. Tak, natychmiast. - Przerwał połączenie i na chwilę zamknął oczy, jakby chciał zapomnieć o tym, co usłyszał.

Klein czekał. Czuł się coraz bardziej nieswojo.

185

- Ktoś przeprogramował procesory w naszych satelitach wojskowych i komercyjnych, we wszystkich. Nie transmitują żadnych danych. Doszło do katastrofalnej awarii wszystkich systemów. Co gorsza, nikt nie jest w stanie przeprogramować ich z ziemi tak, żeby działały jak przedtem.

- Jesteśmy głusi i ślepi? - Klein stłamsił przekleństwo. - Cholera jasna, to znowu ten przeklęty komputer. Ale jak? Jakim cudem? Agentka Russell jest tego absolutnie pewna. Pocisk trafił w willę, a komputer był w środku, w willi. Smith zawiadomił ją, że za chwilę stamtąd wyjdą, on, Chambord i jego córka, i kazał jej wydać rozkaz ataku. Nawet jeśli oni go nie zniszczyli, powinien wylecieć w powietrze razem z budynkiem.

- Fakt, powinien. To logiczny wniosek. Fred, przejdź do drugiego pokoju. Zaraz będzie tu Chuck.

Gdy tylko Klein zniknął za drzwiami, do gabinetu wszedł szybko Charles Ouray, prezydencki szef sztabu.

- Wciąż próbują, ale NASA twierdzi, że ktoś nas odciął. Całkowicie. Nie możemy na-wiązać łączności z żadnym satelitą! Zaczynają się kłopoty. Już teraz, wszędzie...

- Mów.

- Przez chwilę wyglądało na to, że Koreańczycy odpalili pocisk balistyczny, ale, na szczę-

ście, mamy tam informatora, który zawiadomił nas, że to tylko gęsta mgła, mgła i fala ciepła z silnika ciężarówki parkującej koło silosu. W południowej części Bejrutu straciliśmy agenta, Jeffrey'a Massouda. Najprawdopodobniej został zabity. Zawiódł jego pilot, namiernik satelitarny. Na Pacyfiku omal nie doszło do zderzenia jednego z naszych krążowników z łodzią podwodną. Nawet Eszelon prawie wysiadł. - Współpracujący w programie Eszelon specjaliści amerykańscy i brytyjscy przechwytywali satelitarne rozmowy telefoniczne, jak również prowadzili stały nasłuch kablowych rozmów transatlantycznych.

Prezydent Castilla zmusił się do wzięcia głębokiego oddechu.

- Zwołaj posiedzenie Połączonego Kolegium Szefów Sztabów - rozkazał. - Pewnie są jeszcze na dole. Jeśli tak, złap admirała Brose'a i powiedz mu, żeby oczekiwali najgorszego: bezpośredniego ataku na Stany Zjednoczone. Ataku biologicznego, nuklearnego, każdego.

Niech uruchomią wszystkie systemy obronne, oficjalne i nieoficjalne.

- Eksperymentalny system antyrakietowy też? Nasi sojusznicy...

- Tak, tak, porozmawiam z nimi. Muszą o tym wiedzieć, muszą ostrzec ludzi. Zresztą i tak przekazujemy im mnóstwo danych satelitarnych. Cholera, przecież nawet te satelity im dzierżawimy. Ich systemy muszą zarejestrować nagłą przerwę w dopływie informacji. Jeśli do nich nie zadzwonię, oni zadzwonią do mnie. Zwałę winę na jakiegoś opętane go hakera, najlepszego, jakiego dotąd widzieliśmy. Uwierzą, przynajmniej chwilowo. Tymczasem po-stawimy na nogi wszystko, co mamy. System eksperymentalny powinien być całkowicie bezpieczny, bo nikt nie wie, że w ogóle istnieje. Da sobie radę ze wszystkim, oprócz zmasowa-nego ataku nuklearnego, ale takiego ataku terroryści nie są w stanie przeprowadzić. Mogłyby to zrobić tylko Wielka Brytania i Rosja, ale i Londyn, i Moskwa są po naszej stronie; dzięki Bogu choć za to. Gdyby doszło do jakiegokolwiek innego ataku, będziemy musieli polegać na konwencjonalnych siłach zbrojnych, na FBI i policji. Aha, i Chuck, to nie może trafić do prasy. Nasi sojusznicy też by tego nie chcieli. Fatalnie byśmy wypadli. Wszyscy. Dobra, idź

już.

Ouray wybiegł z gabinetu, a Castilla otworzył drzwi do sąsiedniego pokoju. Klein miał

poszarzałą twarz.

- Słyszałeś? - spytał prezydent.

- Słyszałem.

- Znajdź to paskudztwo, Fred. I tym razem je zniszcz!

186

Rozdział 29

Paryż, Francja

Gdy Marty ponownie zasnął, Howell wyszedł, żeby skontaktować się z miejscową placówką MI-6. Randi odczekała dziesięć minut i też wyszła, lecz jej wyprawa była o wiele krótsza, gdyż zakończyła się już w holu, gdzie stała budka telefoniczna. Drzwi, korytarz - przystanęła na szczycie schodów. Przez hol przemykali pracownicy kliniki, obsługując bogatych pacjentów, którzy wkrótce mieli wyjść stąd z nowymi twarzami, ciałami albo i z twarzami, i z ciałami. Gdy tylko hol opustoszał, zbiegła na dół. W wysokich wazonach z ciętego szkła stały bez, peonie i żonkile, ułożone jak na wystawie ku czci święta wiosny. Pachniało tam jak w kwaciarni, ale czego nie robi się dla pieniędzy.

Zamknawszy się w przeszklonej budce, wybrała numer swego szefa, Douga Kennedy'e-go. Ta linia była bezpieczna: światłowody biegły po dnie oceanu.

- Mam złe nowiny - mruknął ponuro Kennedy. - Parszywe. Nie działają nasze satelity: ani telekomunikacyjne, ani szpiegowskie. Co gorsza, straciliśmy łączność ze wszystkim, co krąży po orbicie, z satelitami wojskowymi i komercyjnymi. NASA i Pentagon zwijają się jak w ukropie. Próbują wszystkiego, co mają, ale jak dotąd nic nie zdziałali. Zero, pudło, kaput, *aloha*, i powodzenia, moi mili. Bez satelitów jesteśmy ślepi, głusi i niemi.

- Wiem, rozumiem, ale jak myślisz, co ja tu robię? Powiedziałam jasno i wyraźnie: prototyp komputera molekularnego został zniszczony. Kropka. Jedynym logicznym wytłumaczeniem tego burdelu jest to, że Chambord przeżył, chociaż nie mam pojęcia jak. Nie wiem też, jakim cudem tak szybko zbudował nowy model.

- Jest geniuszem.

- Nawet geniusz ma tylko dwie ręce i dziesięć palców. Nawet geniusz potrzebuje czasu i miejsca do pracy. Miejsca bezpiecznego. I właśnie dlatego do pana dzwonię, o czcigodny.

- Tylko bez sarkazmu, Russell. Wiecznie macz przez to kłopoty. Czego chcesz?

- Żebyś skontaktował się z naszymi informatorami w promieniu trzystu kilometrów od willi i wypytał ich, czy w ciągu dwunastu godzin po eksplozji nie zauważyli czegoś podejrzanego na wybrzeżu, na

drogach i w portach, nawet w tych najmniejszych. Potem wypytaj o to samo naszych, tych w powietrzu, na morzu i na wybrzeżu Morza Śródziemnego.

- Tylko tyle? - spytał zjadliwie Kennedy.

Zignorowała to i odparła:

- Na razie tyle. Dzięki temu dowiemy się na pewno, czy Chambord przeżył. - Zagryzła wargę. - Bo jeśli nie, mamy do czynienia z czymś, co przyprawia mnie o ciarki. A jeżeli prze-

żył, musimy wiedzieć, gdzie teraz jest.

- Przekonałaś mnie.

- Na wczoraj, dobra?

- Raczej na przedwczoraj. A co z tobą?

- Mam kilka tropów, ale to nieoficjalne, jasne? - Poszła na całość. Jedyne tropami, jakimi dysponowała, byli dziwaczni, zaburzeni psychicznie informatorzy Petera Howella i opętane pomysły Marty'ego.

- Jasne. Powodzenia, Russell. - Kennedy odłożył słuchawkę.

187

Gdzieś nad Europą

Zakneblowany, z zawiązanymi oczami i związanymi na plecach rękami, siedział sztywno w fotelu w tylnej części kabiny. Był spięty i zaniepokojony, bolały go rany, mimo to starał

się zapamiętać jak najwięcej szczegółów. Jednocześnie nie przestawał ukradkiem wykręcać i napinać rąk, a raczej nadgarstków. Czuł, że dzięki temu krępujące go sznury leciutko się po-łużniają. Dawało mu to nadzieję, lecz z drugiej strony, gdyby nie zdążył uwolnić się podczas lotu, zaraz po wylądowaniu Abu Auda i jego ludzie mogli łatwo odkryć, co knuł.

Leciał śmigłowcem. Dużym śmigłowcem. Czuł drgania dwóch potężnych silników. Po ich wielkości, po umiejscowieniu drzwi, którymi wepchnięto go na pokład, po ustawieniu fo-teli, o które potykał się, gdy go popychano, poznał, że jest to sikorsky S-70, maszyna o kilku nazwach potocznych. W marynarce wojennej nazywano ją seahawkim, w wojskach lądowych black hawkim, w lotnictwie pave hawkim, a w wojskach ochrony wybrzeża jay hawkim.

S-70 jest w zasadzie śmigłowcem logistyczno-transportowym, ale często używa się go również w misjach ewakuacyjnych i kontrolno-dowódczych. Dzięki uprzejmości wojsk lądowych, lotnictwa i marynarki wojennej często takimi latał - zarówno na polu walki, jak i na zapleczu -dlatego dobrze pamiętał szczegóły zabudowy wnętrza.

Uznawszy, że to seahawk, podszuchał Abu Aude, który rozmawiał w pobliżu z jednym ze swoich ludzi. Ich rozmowa ostatecznie potwierdziła, że jest to model S-70A, eksportowa wersja wielozadaniowego śmigłowca black hawk. Może Amerykanie porzucili go po Pustynnej Burzy, a może zakupił go dla Tarczy Półksiężycza zaprzyjaźniony terrorysta, który na co dzień pracował w kwatermistrzostwie armii jakiegoś islamskiego państwa. Tak czy inaczej, oznaczało to, że śmigłowiec można szybko przerobić na maszynę bojową, co jeszcze bardziej go dobiło. Zaraz potem Abu Auda musiał odejść, bo rozmowa ustała.

Wyteżał słuch co najmniej przez trzy godziny - założył, że przez trzy, ale sprawdzić te-go nie mógł - żeby z ogłuszającego dudnienia silników wyłowić choćby najcichszy głos, najmniejszy skrawek informacji. Na próżno. Czuł jednak, że śmigłowiec leci na resztkach paliwa. Niebawem będą musieli lądować. W Algierii Mauritania doszedł do wniosku, że zakładnik taki jak on może mu się przydać i pewnie nadal tak myślał, w przeciwnym razie już by go zabili. Ale wiedział, że w końcu i tak go zabiją. Że zrobi to Mauritania albo Abu Auda, który wcześniej czy później będzie miał dość ciągnięcia go po całym świecie. Wrogo nastawieni za-kładnicy są kiepskimi towarzyszami podróży.

Nie mógł stawić im czynnego oporu, był zupełnie bezradny. Postanowił chwilę odpocząć i przestał pocierać sznurem o sznur. Rana na ramieniu bolała go i paliła. Była powierzchowna i zupełnie niegroźna -bardziej denerwowała go, niż niepokoiła - jednak powinno się ją opatrzyć, zanim wda się zakażenie. Najważniejszym pytaniem było, jak z tego wyjść, jak przeżyć. I znowu pomyślał o Randi. Znał ją aż za dobrze i bardzo się martwił. Czy zdołała uciec poza zasięg rażenia pocisku? Na pewno czekała na niego i Chamborda najdłużej, jak mogła. A gdy się nie pojawili, pewnie pobiegła ich szukać.

Boże, miał nadzieję, że nie. Bo nawet gdyby w końcu zdała sobie sprawę, że jest już za późno, mogła po prostu nie zdążyć. Zaszło mu w ustach na myśl, jak mało brakowało, żeby oboje zginęli. On i Teresa...

Stoją przy oknie ciemnej willi. Wokoło uzbrojeni terroryści. Odebrali mu oba pistolety.

Emile Chambord patrzy na Mauritanie i mówi: - Kazał swoim atakować, odpalić jakąś raketę. Musimy uciekać. Niech twoi ludzie zaczną strzelać, niech to wygląda na walkę. Potem niech krzyczą.

Głośno, jakby cieszyli się, że Amerykanin i Teresa nie żyją. Szybko!

188

Padają serie wystrzałów. Rozbrzmiewają okrzyki, wrzaski. Potem terroryści wybiegają z willi i pędzą ich na lądowisko. Dobiegają do koszar, a wtedy świat eksploduje. Niewidoczna siła wyrzuca ich w powietrze. Spadają na ziemię. Są ogłuszeni rykiem wybuchu, który miaz-

dży ich, zrywa z nich ubranie, targa włosy i wykręca ręce. Wszędzie fruważą palmowe liście.

Duże drewniane drzwi koziołkują w powietrzu, trafiają jednego z Arabów i zabijają go na miejscu.

Gdy ziemia przestaje drżeć, Jon chwiejnie wstaje. Krwawi z rany na głowie. Lewa ręka boli go i piecze. Rozpaczliwie szuka wzrokiem jakiegokolwiek broni.

Ale Abu Auda celuje do niego z karabinu.

- Niech pan nawet o tym nie myśli, pułkowniku.

Ci, którzy przeżyli, powoli wstają. To zdumiewające, ale przeżyli niemal wszyscy. Teresa ma zakrwawioną nogę. Podbiega do niej Chambord.

- Jesteś ranna!

Teresa odpycha go.

- Nie wiem już, kim jesteś. Ty oszalałeś! - Odwraca się i pomaga Jonowi. Odrywa rękaw swego białego żakietu.

- Robię to dla Francji, dziecko - mówi z powagą Chambord. - Wkrótce zrozumiesz.

- Tu nie ma nic do rozumienia. - Teresa obwiązuje Jonowi rękę, potem swoją nogę.

Rana na czole Smitha jest tylko draśnięciem.

- Będzie musiała zrozumieć to potem, doktorze - przerywa im Mauritania i rozgląda się wokoło jak przebiegły żbik. Zdaje się wyczuwać, że w pobliżu roi się od szpiegów. - Tamci mogą zaatakować jeszcze raz. Musimy natychmiast uciekać.

Jeden z terrorystów wydaje głośny okrzyk przerażenia. Wszyscy podchodzą bliżej i patrzą na śmigłowiec. Ciśnięte siłą wybuchu szczątki uszkodziły główny wirnik. Huey jest uziemiony.

- W śmigłowcu zwiadowczym jest miejsce dla pięciu osób - myśli głośno Chambord. -

Poleci Mauritania, pilot, kapitan Bonnard, Teresa i ja. - Mauritania protestuje, chce zabrać swoich ludzi, lecz Chambord stanowczo kręci głową. - Nie. Kapitan Bonnard jest mi potrzebny, a córki nie zostawię. Jeśli mam zbudować nowy prototyp, muszę mieć miejsce do pracy.

Komputer jest absolutnie najważniejszy. Żałuję, że nie ma więcej miejsca, ale taka jest sytuacja.

Mauritania musi się z nią pogodzić. Spogląda na Abu Auda, który wszystko słyszał i teraz łypie na niego spode łba.

- Zostaniesz i obejmiesz dowództwo. Przylecimy po was. Zorganizujesz ewakuację. Zabieram Mohammeda. Jest naszym najlepszym pilotem. Wkrótce do nas dołączysz.

- Co z Amerykaninem? Mogę go już zabić? To on...

- Nie. Jeśli to on zorganizował atak na willę, musi być ważniejszy, niż myślałem. Pilnuj go, Abu.

Teresa Chambord gwałtownie protestuje, ale tamci wpychają ją do kabiny śmigłowca.

Maszyna startuje, omija miejsce wybuchu i bierze kurs na północ, na Europę. Abu Auda każe związać Jonowi ręce i cała grupa szybkim krokiem zmierza w stronę autostrady, gdzie niebawem przyjeżdżają po nich dwa pikapy. Długa, męcząca podróż przez wietrzną pustynię koń-

czy się w hałaśliwym porcie w Tunisie. Tam wchodzą na pokład szybkiej łodzi motorowej, podobnej do przerobionego kutra, na którym Jon ukrył się dzień przedtem. Są wyczerpani, mimo to wyraźnie widać, że bardzo się im spieszy.

Zawiązują mu oczy. Wypływają na pełne morze, lecz on nie widzi, dokąd płyną.

Wkrótce zasypia, chociaż kutrem miotają wysokie fale, ale gdy tylko gaśnie silnik, natychmiast się budzi. Wciąż w przepasce na oczach, wywlekają go na pokład, gdzie słyszy głosy ludzi mówiących po włosku. Włochy? Zaraz potem wsiadają do śmigłowca i odlatują. Do-kaąd? Nie wiadomo. Mogą wylądować wszędzie, od Serbii po Francję...

189

Czekając, aż w zbiornikach skończy się paliwo i wreszcie wylądują, bił się z dręczący-mi go myślami. Czy Randi przeżyła? Gdzie są Peter i Marty? Teresa twierdziła, że do jego przybycia jedynymi więźniami w willi była ona i jej ojciec. Miał nadzieję, że ich nie schwytano, że Peterowi udało się jakoś uratować Marty'ego, że są bezpieczni. Pocieszała go jedynie świadomość, że komputer molekularny wyparował podczas wybuchu.

Musiał powstrzymać Chamborda. Nie mógł dopuścić, żeby Francuz zbudował kolejny prototyp.

Zaszokowało go, że naukowiec przez cały czas współpracował z terrorystami, że ja-ko pomysłodawca wyrafinowanej - i jakże skutecznej - maskarady oszukał nie tylko rządy kilku krajów, ale i własną córkę. Perwersyjnie wykorzystując swoje wielkie naukowe osią-

gnięcie, uknuł plan zniszczenia Izraela. Dlaczego? Dlatego, że jego matka była Algierką? Że uległ wpływom islamu? Fred Klein powiedział: „Matka wychowała go na muzułmanina, ale jako dorosły nie wykazywał zainteresowania religią”. Ponieważ religia nigdy go nie interesowała, uznano, że fakt ten jest bez znaczenia.

Przypomniało mu się, że tuż przed powrotem do Paryża Chambord wykładał w Kairze, że niedawno zmarła mu żona. Ponowne zetknięcie się z islamem plus strata ukochanej osoby.

Nagła zmiana przekonań religijnych w późnym okresie życia zdarza się dość często. Dawno zapomniana wiara wyciąga macki i chwyta ludzi jak ośmiornica, zwłaszcza ludzi w podeszłym wieku i tych, których dotknęła osobista tragedia.

Podobnie kapitan Bonnard: służąc w Legii Cudzoziemskiej, ożenił się z Algierką. Gdy przeszedł do wojska, większość urlopów spędzał w Algierze, możliwe, że z pierwszą żoną, z którą się nie rozwiódł. Prowadził podwójne życie? Całkiem możliwe. Nawet więcej niż moż-

liwe. No i miał bezpośredni dostęp do najwyższych urzędników NATO i do francuskiej generalicji. Był niewidzialnym, najsprawniejszym i najbardziej kompetentnym adiutantem La Porte'a. I w przeciwieństwie do niego, rzadko kiedy występował publicznie.

Z perspektywy ostatnich wydarzeń życie Chamborda i Bonnarda nabierało nowego znaczenia, zwłaszcza w świetle wstrząsającego oświadczenia tego pierwszego: „Nie jestem z ni-mi. To oni są ze mną”.

Chambord... Prototyp komputera został zniszczony, lecz jego twórca żyje. Jeżeli nikt go nie powstrzyma, zbuduje drugi. Ale to potrwa. Istniał cień nadziei. Trzeba *znaleźć* Chamborda. Trzeba mu to uniemożliwić. Ale najpierw Jon musiał uciec. Dość odpoczywania. Pora popracować nad więzami.

Paryż, Francja

Marty pozbył się już szpitalnej koszuli i był teraz w ubraniu, które Peter kupił dla niego, załatwiwszy sprawy w miejscowej placówce MI-6. Obszerne, ciemnobrązowe spodnie, czarny kaszmirowy golf - w separacie było bardzo ciepło, ale cóż - sportowe buty z paskami z bo-ku i wszechobecna brązowa wiatrówka. Marty popatrzył na siebie i oznajmił, że w tym stroju może pójść wszędzie, z wyjątkiem uroczystej kolacji u premiera.

Wróciła Randi i natychmiast pochłonął ich najważniejszy problem: jak znaleźć Jona.

Bez żadnych oficjalnych uzgodnień przyjęli, że Smith żyje. Ze skrzącymi się z podniecenia oczami Marty oznajmił, że jest gotów odstawić leki i zmierzyć się z wyzwaniem.

- Dobry pomysł - zgodziła się Randi.

- Wytrzymasz? - rzucił z powątpiewaniem Howell.

- Nie bądź durniem, Peter. - Marty robił wrażenie urażonego. – Czy mastodont ma kły?

Czy w równaniu algebraicznym musi być znak równości? Jezu!

- Aha. - Peter wzruszył ramionami. - Chyba wytrzymasz.

190

Zaterkotał telefon. Odebrała Randi. Dzwonił Doug Kennedy z Langley, ale nie miał

zbyt pomyślnych wiadomości. Randi wysłuchała go, zadała kilka pytań, odłożyła słuchawkę i streściła im to, czego się dowiedziała. Algierscy informatorzy nie zauważyli niczego podejrzanego. Nie widzieli nawet ani jednego przemytnika, nigdzie, może z wyjątkiem Tunisu, gdzie pięć godzin po ataku na willę zauważono szybką łódź motorową, która odpłynęła w nieznanym kierunku. Na pokładzie było kilkunastu mężczyzn, wśród nich Europejczyk albo Amerykanin. Kobiety? Żadnej, co automatycznie wykluczało Chamborda, który na pewno podróżował z Teresą. Bez niej nigdzie by się nie ruszył - tak uważali Randi i Marty. Howell jak zwykle miał wątpliwości.

Marty się skrzywił.

- Jesteś śmieszny. Ktoś taki jak Emile nie zostawiłby swego dziecka.

- Ona dobija czterdziestki - odparł Peter. - Nie jest już dzieckiem.

- Dla niego jest.

We wschodnim rejonie Morza Śródziemnego przebywało w tym czasie niewiele amerykańskich okrętów, a „Saratoga” odpłynęła zaraz po odpaleniu rakiety. Wyłączyła radary, żeby jej nie namierzono, wygasiała światła pozycyjne i pełną parą ruszyła na północ, żeby oddalić się jak najbardziej od wybrzeża Algierii, zanim pozostałe arabskie kraje podniosą raban.

- To mógł być Jon - powiedziała Randi. - Takim samym kutrem płynęli do Algierii. Z

drugiej strony, nie można wykluczyć, że w Tarczy Półksiężyca są jacyś Amerykanie.

- Oczywiście, że to był Jon - upierał się Marty. - Nie ma co do tego żadnych wątpliwo-

ści.

- Zaczekajmy - zaproponował Howell. - Może dowiemy się czegoś od moich.

Marty stał przy oknie, patrząc na ulicę. Jego myśli ściagały się z czasem, szybowały przez stratosferę wyobraźni w poszukiwaniu rozwiązania problemu. Zamknął oczy, westchnął

radośnie, widząc, jak rozbłyskują fajerwerki kolorowych świateł, czuł, że jest lżejszy od powietrza. W tym ekscytującym kalejdoskopie wrażeń dostrzegał barwy i kształty, słyszał

dźwięki. Uwolniony od ciała, poszybował ku magicznym szczytom, gdzie inteligencja tworzyła jedność z kreatywnością, gdzie, niczym nienarodzone gwiazdy, czekały myśli niedostępne zwykłym śmiertelnikom.

Gdy zadzwonił telefon, drgnął i zmarszczył czoło.

Peter podszedł do stolika.

- Do mnie - mruknął.

I miał rację. Wiadomość przekazano mu charakterystycznym londyńskim akcentem: zaraz po ataku na wille, niecałe dziesięć mil od wybrzeża wynurzył się brytyjski okręt podwodny. Skłoniła go do tego silna fala sejsmiczna, którą odebrały sonary. Wycelowawszy radar w odległe rumowisko, kwadrans po eksplozji okręt namierzył mały śmigłowiec zwiadowczy opuszczający strefę wybuchu. Pięć minut później zanurzył się ponownie, żeby uniknąć wy-krycia.

Jeden z informatorów MI-6 widział w tamtej okolicy dwa pikapy. Jechały do Tunisu.

Informator zameldował o tym agentowi prowadzącemu z nadzieją na gratyfikację pieniężną, którą naturalnie otrzymał; była hojna, gdyż w tej branży sknerstwo nie popłacało.

Kapitan samolotu pasażerskiego British Airways, lecącego z Gibraltaru do Rzymu, zauważył mały śmigłowiec zwiadowczy. Maszyna leciała z Oranu w kierunku wybrzeża Hiszpanii korytarzem powietrznym, którym śmigłowce nigdy nie latają. Kapitan uznał, że to dziwne i odnotował ten fakt w dzienniku pokładowym. Agenci MI-6 natychmiast to sprawdzili i okazało się, że nie miał prawa przelatywać tamtędy żaden helikopter; według oficjalnego harmonogramu lotów, ani z Oranu, ani z żadnego innego lądowiska w okolicy nie wystartował żaden śmigłowiec.

- On żyje! - powtórzył radośnie Marty. - Teraz jestem tego absolutnie pewny.

- Zgoda, powiedzmy, że żyje - odrzekł Howell. - Ale jak się z nim skontaktować? Jakie 191

przyjąć założenie? Na czym się skupić? Na tym śmigłowcu czy na kutrze z domniemanym Amerykaninem na pokładzie?

- I na tym, i na tym - zdecydowała Randi. - Trzeba obstawić wszystko, co się da.

Tymczasem pogrążony w błogostanie Marty wędrował żyznymi polami swego umysłu.

Czuł, że rodzi się jakaś myśl. Była niemal namacalna, mógłby wziąć ją w palce, musnąć czubkiem języka i poznać jej smak. Gwałtownie otworzył oczy i podniecony zaczął krążyć po pokoju, zacierając ręce. Potem zwinny jak chochlik, odtańczył krótki taniec zwycięstwa.

- Odpowiedź mieliśmy tuż przed nosem - powiedział. - Cały czas. Ach ta świadomość.

Muszę kiedyś poznać jej naturę. To fascynujący temat. Mógłbym się wiele nauczyć, na pewno, bo przecież...

- Marty! - przerwała mu poirytowana Randi. - Jaka odpowiedź?

Marty promieniał.

- Jesteśmy kompletnymi durniami. Zrobimy dokładnie to samo, co kiedyś. Zamieścimy ogłoszenie na stronie Internetowej Aspergera, OASIS. Pamiętacie Hades? Czy po czymś takim Jon mógłby zapomnieć, w jaki sposób się wtedy kontaktowaliśmy? Niemożliwe. Tak, ogłoszenie. Tylko odpowiednio zredagowane, żeby nikt inny go nie zrozumiał. – Umilkł i zamyślony ściągnął usta.

Peter i Randi czekali. Nie musieli czekać długo. Marty radośnie zachichotał.

- Już mam! „Kaszlący Łazarz: wygłodniały seksualnie wilk szuka wilczycy z własną norą. Chętnie się spotka, wszędzie dojedzie. Na co masz dzisiaj ochotę?” - Z błyszczącymi oczami czekał na ich reakcję.

Randi potrząsnęła głową.

- Nie mam pojęcia, co to znaczy.

- Ani ja - przyznał Howell, unikając jego wzroku.

Marty z satysfakcją zatarł ręce.

- Jeśli wy tego nie rozumiecie, inni też nie rozumieją.

- Świetnie, ale może powiesz nam teraz, co to...

- Chwileczkę. - Peter podniósł rękę. - Chyba zaczynam rozumieć. „Kaszlący Łazarz” to Smith: krople na kaszel Smitha. No jasne. Łazarz to Jon, który jak Łazarz powstał ze zmarłych.

Randi parsknęła śmiechem.

- „Wygłodniały seksualnie wilk” to wilk jurny i napalony, tak? Po angielsku *randy*. A jurny wilk namiętnie wyje. Wyć, czyli *howl*. Howell. Brzmi prawie identycznie. Randi i Howell. „Szuka wilczycy”. To proste: szuka przyjaciela, czyli Jona. „Z własną norą”? Pytamy go, gdzie teraz jest. „Chętnie się spotka, wszędzie dojedzie”. To oczywiste. Ale nie rozumiem końcówki: „Na co masz dzisiaj ochotę?”

Marty uniósł brwi.

- To jest najłatwiejsze - odrzekł. - Miałem o was lepsze zdanie. To słynna kwestia z filmu, który znają chyba wszyscy: „Na co masz dzisiaj ochotę...”

- No jasne - burknął Peter. - Z filmu „Marty”. „Na co masz dzisiaj ochotę, Marty?”

Marty ponownie zatarł ręce.

- Oczywiście. Tak więc po przetłumaczeniu ogłoszenie brzmi następująco: „Jon Smith: szukają cię Randi i Peter. Gdzie jesteś? Przyjadą, gdzie zechcesz”. I podpis: Marty. Jakieś pytania?

Howell pokręcił głową.

- Gdzieżbym śmiał.

Szybko zeszli do gabinetu Lochiela Camerona, właściciela kliniki i głównego chirurga.

Cameron wysłuchał ich i ustąpił Marty'emu miejsca za biurkiem, gdzie stał komputer. Palce Marty'ego zatańczyły po klawiaturze. Znalazł stronę -www.aspergersyndrome.org - i zamie-

ścił ogłoszenie. Potem zerwał się na równe nogi i nie odrywając oczu od ekranu, zaczął nerwowo chodzić po gabinecie.

Cameron zerknął na Petera, jakby chciał go spytać, czy nie pora na kolejną dawkę mideralu. Marty zdradzał oznaki, że może lada chwila przekroczyć niebezpieczną granicę i uciec w swój świat. Mijały sekundy, a on chodził coraz szybciej, był coraz bardziej rozdrażniony.

Dziko wymachiwał rękami, coś do siebie mruczał, wypowiadał coraz bardziej niezrozumiałe słowa.

Peter dał znak Cameronowi.

- Dobra, staruszkule - rzucił. - Spójrzmy prawdzie w oczy. Świetnie ci poszło, ale pora cię trochę spacyfikować.

- Co? - Marty odwrócił się na pięcie i zmrużył oczy.

- Peter ma rację - powiedziała Randi. - Pan doktor da ci lekarstwo. Kiedy przyjdzie co do czego, będziesz w formie.

Marty zmarszczył czoło i spojrział na nich z pogardą. Jednocześnie jego błyskotliwy umysł natychmiast zarejestrował troskę, z jaką na niego patrzyli. Nie podobało mu się to, ale wiedział, że jeśli ich posłucha, będzie mógł kiedyś znowu odlecieć.

- No dobrze - mruknął. - Dajcie mi tę ohydną pigułkę. Godzinę później spokojnie usiadł przed monitorem komputera. Peter i Randi nie spuszczały go z oczu. Jon nie odpowiadał.

193

Rozdział 30

Aalst, Belgia

Na skraju Aalst, starego miasta, niegdyś słynącego ze wspaniałych targów, stała wiejska rezydencja Brabantów, rodziny blisko spokrewnionej z La Porte'ami. Chociaż miasto stało się częścią ruchliwych przedmieść Brukseli, rezydencja zachowała klasyczny przepych i była symbolem dawno minionych czasów. Zwano ją Hethius, Zamkiem, ku czci rodziny, której korzenie sięgały średniowiecza. Tego dnia na jej otoczonym wysokim murem dziedzińcu roiło się od limuzyn natowskich generałów i członków Rady Europy, którzy mieli akurat spotkanie w Brukseli.

W największej i najbardziej okazałej sali głównego gmachu brylował generał La Porte.

Wielki, jak jego królewska rezydencja, stał przed olbrzymim kominkiem, a wokół niego, na wyłożonych ciemną boazerią ścianach, wisiały stara broń, tarcze herbowe i płótna najslawniejszych malarzy holenderskich i flamandzkich, od Jana van Eycka poczynając, na Peterze Brueghlu kończąc.

- Panie generale - mówił po angielsku komisarz Unii Europejskiej Enzo Ciccione, który dopiero co przyleciał z Rzymu. - Kłopoty z amerykańskimi satelitami są doprawdy przerażające, dlatego wielu z nas zaczyna się poważnie zastanawiać. Może rzeczywiście staliśmy się zbyt zależni od Stanów Zjednoczonych i amerykańskich sił zbrojnych. Ostatecznie NATO to takie samo zwierzę jak USA.

- Mimo to stosunki ze Stanami Zjednoczonymi przyniosły nam wiele korzyści. - La Porte odpowiedział po francusku, dobrze wiedząc, że Ciccione nie zna tego języka. Zaczekał, aż siedzący za nim tłumacz skończy mówić, i kontynuował: - Nie byliśmy gotowi zmierzyć się z naszym przeznaczeniem, ale dzięki operacjom natowskim zyskaliśmy tak potrzebne nam doświadczenie. Nie chodzi o to, żeby rzucić Stanom wyzwanie, tylko o to, żebyśmy dostrzegli i uznali nasze znaczenie i stale rosnącą potęgę. Cóż, ostatecznie zachęcają nas do tego sami Amerykanie.

- Potęga militarna przekłada się na potęgę gospodarczą i na pozycję w rywalizacji o wpływy na międzynarodowych rynkach - zauważył komisarz Hans Brecht; znał francuski, lecz odpowiedział po angielsku ze względu na komisarza Ciccione'a. - Jak sam pan wspominał, rywalizujemy z Ameryką już od dawna, szkoda tylko, że tak często krępują nas strategiczne czynniki polityczne i wojskowe.

- Pańskie poglądy są wielce zachęcające, panie komisarzu – odparł La Porte. - Bywają takie chwile, kiedy z trwogą myślę, że my, Europejczycy, straciliśmy wolę dążenia ku wielkości, która podsyciała nas w czasach, gdy podbijaliśmy świat. Nie wolno nam zapominać, że stworzyliśmy nie tylko Stany Zjednoczone, ale i wiele innych krajów półkuli zachodniej. To smutne, ale kraje te znajdują się obecnie w amerykańskiej strefie wpływów. - Westchnął i pokręcił wielką głową. - Są takie chwile, panowie, gdy myślę, że wkrótce znajdziemy się w niej i my. Staniemy się ich wasalami. Wielka Brytania już nim jest. Kto będzie następny? My wszyscy?

Słuchali go uważnie i w skupieniu. Nie licząc włoskiego i austriackiego komisarza, byli tam również Belg i Holender, członkowie Rady Europy, oraz wojskowi przywódcy natowscy, którzy przed kilkoma dniami uczestniczyli w tajnej naradzie na pokładzie „De Gaulle'a”: hiszpański generał Valentin Gonzales w zawadiacko przekrzywionej czapce, włoski generał

Ruggerio Inzaghi o twardym spojrzeniu i zaciętej twarzy oraz niemiecki generał Otto Bittrich, chudy i zamyślony. Wiadomość o przedwczesnej śmierci generała Arnolda Moore'a bardzo

nimi wstrząsnęła. Wojskowi uważali, że śmierć w wypadku czy katastrofie jest czymś obraź-

liwym; jeżeli żołnierz nie miał szczęścia zginąć na wojnie, powinien chociaż umrzeć we własnym łóżku, z medalami i wspomnieniami.

Zgromadzeni wokół La Porte'a zaczęli wymieniać argumenty i kontrargumenty.

Generał Bittrich siedział z boku. Pograżony w zadumie, milczał, lecz milczenie to było bardzo sugestywne. Patrzył tylko na La Porte'a. Jego rumiana twarz była tak skupiona, jakby przypatrywał się przez mikroskop owadowi, którego miał zaraz pokroić.

La Porte tego nie widział. Całą uwagę skupił na swoich słuchaczach, którym starał się pokazać to, co on zobaczył już dawno temu: Stany Zjednoczone Europy albo -jak nazywano to w Unii Europejskiej - po prostu Europę.

- Panowie - rzekł. - Możemy się tu spierać i kłócić, ale wszyscy wiemy, że Europa, Europa od Bałtyku po Morze Śródziemne, od Atlantyku aż po Ural, tak, tak, aż po Ural, a moż-

liwe, że jeszcze dalej, taka Europa musi zadbać o swoją przyszłość. Musimy, podkreślam, musimy mieć niezależne i połączone siły zbrojne. Jesteśmy Europą i musimy być Europą zjednoczoną!

Wezwanie to rozbrzmiało echem w całej sali, lecz w końcu trafiło do uszu ludzi ostroż-

nych i pragmatycznych.

Komisarz Ciccione zadarł głowę, jakby uwierał go kołnierz koszuli.

- Za kilka lat na pewno pana poprę, panie generale. Ale nie teraz. Unia Europejska nie ma ani środków, ani woli, żeby zrobić tak gigantyczny krok. Poza tym byłby to krok niebezpieczny. Zważywszy na niestabilność polityczną w niektórych krajach, bałkański koszmar, nieustanne ataki terrorystyczne i chwiejną sytuację na Bliskim Wschodzie, nie możemy sobie pozwolić na tak wielkie ryzyko.

Odpowiedział mu zgodny pomruk poparcia, chociaż było oczywiste, że niektórzy członkowie Rady Europy i wszyscy generałowie bardzo żałują, iż nie mogą wcielić tego pomysłu w życie.

Na sugestię, że jest na to za wcześnie, blade oczy La Porte'a zapłonęły gniewem.

- A ja powiadam, że możemy! Musimy stanąć na własnych nogach, militarnie, gospodarczo i politycznie. I właśnie nadeszła ku temu pora. Niebawem będziecie musieli wybierać.

To wielka odpowiedzialność, odpowiedzialność, która polepszy wszystkim życie. Jestem przekonany, że gdy nadejdzie chwila głosowania, spojrzycie prawdzie w oczy i zagłosujecie tak, jak zagłosowałbym ja. Że zrozumiecie, iż minione sześćdziesiąt lat było nieporozumieniem. Przeznaczenie Europy jest inne. Musi być inne.

Ciccione popatrzył po twarzach kolegów, spojrział im w oczy, wreszcie pokręcił głową.

- Myślę, że mogę powiedzieć to w imieniu wszystkich tu zgromadzonych, panie generale: nikt i nic nas do tego nie przekona. Żałuję, ale prawda jest taka, że nasz kontynent nie jest jeszcze gotowy.

Spojrzeli na generała Bittricha, który wciąż z uwagą przypatrywał się La Porte'owi.

- Jeśli chodzi o ten ostatni atak na amerykańskie satelity, który tak bardzo niepokoi pa-nów komisarzy i generała La Porte'a - powiedział w końcu Niemiec - myślę, że Waszyngton znakomicie poradzi sobie ze sprawcami.

Przez salę przetoczył się szmer aprobaty. Generał La Porte tylko się uśmiechnął.

- Być może - odrzekł łagodnie. - Być może.

Pruski generał zmrużył oczy i utkwiał w nim twarde spojrzenie. Pozostali przeszli niebawem do wystawnej sali jadalnej, lecz on nie ruszył się z miejsca.

Zostawszy sam na sam z Francuzem, wstał i podszedł bliżej.

- Generał Moore nie żyje - powiedział. - Cóż za tragiczny wypadek.

La Porte posępnie skinął głową. Jego nieruchome oczy sondowały twarz Niemca.

- W dużej mierze to moja wina. Tak, cóż za strata. Gdyby nie przyleciał na nasze spotkanie na „De Gaulle'u"... - Wzruszył ramionami. Przeznaczenia nie unikniesz.

- *Ja...* Ale cóż on takiego powiedział, zanim się rozstaliśmy? Tak, już sobie przypomniałem. Zastanawiał się, czy wie pan może o czymś, o czym my nie wiemy.

- Po prostu głośno myślał - odparł z uśmiechem La Porte. - Odpowiedziałem mu wtedy, że nie, że się myli.

- Naturalnie. - Bittrich też się uśmiechnął, ale idąc do jadalni, gdzie stały uginające się od flamandzkiego jadła stoły, cicho mruknął: - Być może. Być może.

Chartreuse, Francja

Dom był nowoczesny. Miał stromy dach i ściany z muru pruskiego, które wtapiały się w majestatyczny krajobraz pod ośnieżonymi szczytami Alp. Stał wśród słodko pachnących sosen, na stromym zboczu wzgórza przechodzącego w rozległe łąki i pastwiska z widokiem na La Grande Chartreuse, słynną kartuzję. Okna od strony południowej wychodziły na szeroką otwartą przestrzeń, gdzie wciąż widać było upstrzone tropami jeleni łachy zimowego śniegu, choć spod ziemi wychynęły już blade źdźbła pierwszej wiosennej trawy. Z okien po stronie północnej widać było gęsty sosnowy las pnący się po zboczu i otaczający dom.

Wszystkie te szczegóły były niezmiernie ważne dla Teresy Chambord, którą zamknięto w pokoju na pierwszym piętrze. Właśnie ustawiała stare żelazne łóżko i dopychając je do ściany, zadzierała głowę. Patrzyła na okna. Były tak wysoko, że za nic nie mogła ich dosię-

gnąć. Zrozpaczona i rozwścieczona przytaszczyła puste biurko i z trudem ustawiła je na łóż-

ku. Cofnęła się, wzięła pod boki i zde gustowana pokręciła głowę. Nie, nie dosięgłaby okna nawet z biurka. Wróciła po wielkie, podobne do tronu krzesło i gdy zaniósła je do łóżka, usłyszała szczęk zamka u drzwi.

W progu stanął ojciec z zastawioną jedzeniem tacą. Osłupiały wytrzeszczył oczy, widząc, jak córka próbuje ustawić krzesło na biurku. Zanim zdążyła na nie wejść, postawił tacę na stoliku i zamknął drzwi.

Pokręcił głowę.

- To na nic, Tereso. Dom stoi u podnóża góry, a te okna wychodzą na strome zbocze.

Nawet gdyby udało ci się tamtędy wyjść, musiałabyś skoczyć z wysokości ponad dwóch pięter. Zginęłabyś na miejscu. Zresztą okna są zamknięte.

Teresa zacisnęła zęby.

- Sprytne. Bardzo sprytne. Ale i tak stąd ucieknę i pójdę na policję.

Na zrytej zmarszczkami twarzy Chamborda zagościł wyraz smutku.

- Miałem nadzieję, że mnie zrozumiesz. Że zaufasz mi i przyłączysz się do naszej krucjaty. Myślałem, że będę miał czas, żeby ci to wszystko wytłumaczyć, lecz przyszedł ten Smith i musiałem się zdekspirować. Postąpiłem egoistycznie, ale... - Wzruszył ramionami.-

Chociaż nie chcesz do nas przystać, nie mogę pozwolić ci uciec. To dla ciebie. - Wskazał ta-cę. - Zjedz. Wkrótce wyjeżdżamy.

Rozwścieczona Teresa zeskoczyła z łóżka.

- Przyłączyć się do waszej krucjaty? Jakbym mogła? Nie chcesz mi nawet powiedzieć, co się tu, do diabła, dzieje! Widzę tylko, że współpracujesz z kryminalistami, z terrorystami, którzy chcą zrobić jakąś masakrę i wykorzystują do tego twój komputer. Oni planują morder-stwo. Masowy mord!

- Przyświeca nam słuszny cel, dziecko - odrzekł cicho Chambord. - Nie współpracuję z tymi, jak ich nazwałeś, kryminalistami i terrorystami. To oni współpracują ze mną. Kapitan Bonnard i ja dążymy do czegoś innego.

- Niby do czego? Mów! Powiedz mi! Jeśli chcesz, żebym ci zaufała, ty musisz zaufać mnie.

196

Chambord podszedł do drzwi, obejrzał się i popatrzył na córkę swymi ruchliwymi, przenikliwymi oczami.

- Może później, kiedy to się skończy. Kiedy odmienimy przyszłość. Wtedy sama zrozumiesz i nas pochwalisz. Ale jeszcze nie teraz. Nie jesteś gotowa. Myliłem się.

Szybko wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Teresa zakłęta i wróciła do łóżka. Stała na biurku, potem przykucnęła na krześle. Zachwiała się i musiała przywrzeć do ściany. Wstrzymała oddech, czekając, aż piramida z mebli przestanie się

ruszać. W końcu zebrała się na odwagę i powoli wyprostowała nogi. Sukces!

Głowę miała na wysokości okna.

Spojrzała w dół i głośno wciągnęła powietrze. Ojciec nie kłamał. Było wysoko, bardzo wysoko, a zbocze opadało jeszcze niżej. Popatrzyła na zapierający dech w piersi widok. I westchnęła. Rozległe łąki, pastwiska... Szarpnęła za uchwyt. Nic z tego. Dojrzała wiszącą na nim małą kłódkę, na uchwytach pozostałych okien też. Może dałaby radę ją rozbić, ale nawet gdyby otworzyła okno, nie miałyby szans przeżyć po skoku z tak dużej wysokości. Nie, tędy uciec nie mogła.

Jeszcze raz tęsknie popatrzyła na piękny sielski krajobraz. W oddali wznosił się słynny jedenastowieczny klasztor, uroczy na tle kuszącej zieleni. Słyszała, że gdzieś niedaleko jest Grenoble. I poczuła się jak ptak w klatce, jak ptak z podciętymi skrzydłami.

Ale nie była ptakiem. Była kobietą, w dodatku praktyczną. Musiała mieć siłę, żeby powstrzymać ojca. Poza tym umierała z głodu. Ostrożnie zeszła na łóżko, zeskoczyła na podłogę, wzięła tacę i postawiła ją na dużym starym krześle z rzeźbioną ramą i skórzaną tapicerką.

Zjadła talerz gęstego wiejskiego gulaszu z ziemniaków, kapusty, wieprzowiny i króliczego mięsa. Zanurzała w nim grube pajdy wiejskiego chleba i zapijała to czerwonym winem, lekkim i aromatycznym. Smakowało jak Beaujolais.

Zjadła, dopiła ostatni kieliszek i nagle ogarnął ją smutek. Co ojciec robił? Terrorysty zamierzali zaatakować Izrael, wykorzystując do tego celu jego komputer. Ale dlaczego się w to wszystko wmieszał? Jego matka była muzułmanką, ale on sam nigdy nie był człowiekiem religijnym, nawet nie odwiedził Algierii, nienawidził terrorystów i nie miał nic wspólnego z Żydami czy Izraelem. Na miłość boską, przecież jest naukowcem, myślała. Zawsze nim był.

Jego życie sprowadza się do czystego, logicznego rozumowania. W jego świecie nie ma miejsca na społeczne bariery, uprzedzenia rasowe i etniczne czy religijne właśnie. Jego świat składa się wyłącznie z prawdy i twardych faktów.

W takim razie, co się stało? Jaką przyszłość chciał zapewnić Francji? Wciąż o tym my-

ślała, gdy wtem dobiegł ją warkot samochodu. Niedawno odjechali stąd Bonnard i Mauritania. Może już wrócili. Nie wiedziała, dokąd pojechali i po co, ale jeśli się tu pojawili, nadeszła pora wyjazdu. Tak mówił ojciec.

Chwilę później ponownie szcęknął klucz w zamku i do pokoju wszedł kapitan Bonnard. Był w wyjściowym mundurze francuskiej Legii Cudzoziemskiej z insygniami, baretka-mi i naszywkami. Miał posępną twarz, wysoko podniesioną głowę, czyste spojrzenie i krótko ostrzyżone blond włosy pod wojskową czapkę. W ręku trzymał służbowy pistolet.

- Pański ojciec mnie przysłał, mademoiselle. W przeciwieństwie do niego ja potrafię pociągnąć za spust. Oczywiście nie zabiję pani, ale jestem doskonałym strzelcem i nie pozwolę pani uciec, *oui*?

- Wygląda pan na takiego, co to nie zawaha się przed zabiciem kobiety - odparła Teresa.

- Ani dziecka. Legia z tego słynie, *oui*? – dodała szyderczo.

Bonnard błysnął oczami, lecz nie odpowiedział. Machnął pistoletem w stronę drzwi i zeszedł na dół do salonu, gdzie nad mapą rozłożoną na dużym stole w kącie pokoju pochylał się Mauritania. Tuż za nim stał jej ojciec. Miał dziwny wyraz twarzy, którego nie potrafiła rozszyfrować. Było to coś w rodzaju stłumionego podniecenia, jakiego nie widziała u niego nawet wtedy, gdy dokonywał przełomowych odkryć.

197

- Proszę mi pokazać, gdzie jest pańska kryjówka - mówił Mauritania. - Wyślę tam moich ludzi.

Bonnard dyskretnie zakaszłał i wskazał Teresie oddalone od stołu krzesło.

- Niech pani usiądzie - rzucił. - Tam. I proszę nie wstawać. Zaskoczona, niepewnie usiadła, tymczasem Bonnard podszedł do stołu. Jej ojciec wyjął pistolet, dokładnie taki sam, jaki widziała u niego w algierskiej willi. Ze zdumieniem zobaczyła, jak odwraca się i mierzy do Mauritanii.

- Ta informacja nie będzie ci już potrzebna - powiedział twardym jak granit głosem. -

Wystarczy, że my wiemy, gdzie to jest. Chodź. Wyjeżdżamy.

Mauritania nawet nie podniósł głowy.

- Nie możemy, panie doktorze. Nie ma jeszcze Abu Audy i moich ludzi. W śmigłowcu nie starczy miejsca, dlatego musimy zabrać się dwoma.

- To nie będzie konieczne - odparł Chambord. - Nie zamierzam na nich czekać.

Mauritania dopiero teraz podniósł głowę znad mapy. Wyprostował się i powoli odwró-

cił. Ujrzawszy pistolet Chamborda, znieruchomiał. Potem spojrział na Bonnarda, który celował do niego z broni służbowej.

- No i co dalej? - Uniósł brew, zdradzając lekkie zdziwienie.

- Jesteś inteligentny. Nie próbuj niczego, czego mógłbyś potem żałować.

- Jeśli już coś zrobię, nigdy tego nie żałuję. Czy mogę spytać, co chcecie przez to osiągnąć?

- Chcemy zrezygnować z twoich usług. Byłeś bardzo pomocny. Dziękujemy ci za owocną

współpracę, ale ty i twoi ludzie skomplikowałibyście tylko sytuację.

Mauritania kiwnął głową, jakby starannie to rozważał.

- Rozumiem, że macie inny plan. Plan, który, jak sędzę, raczej nam się nie spodoba.

- Myślę, że podpisałbyś się pod jego pierwszym etapem. Twój pobratymcy z innych grup byłiby nim zachwyceni. Ale, jak sam często podkreślałeś, jesteście bojownikami, nie terrorystami. Macie konkretne cele polityczne, zawężone spojrzenie na świat. Realistycznie rzecz biorąc, wasze spojrzenie na świat jest zupełnie inne niż nasze, dlatego musimy z was zrezygnować. A konkretnie z twoich ludzi. Ty nadal będziesz z nami, ale już jako gość.

Jeszcze się nam przydasz.

- Wątpię. - Gładkie czoło Mauritania pokryło się zmarszczkami. - A kto będzie pilotował śmigłowiec? Mohammed tego nie robi, chyba że mu rozkażę.

- Naturalnie. Spodziewaliśmy się tego. - Chambord zerknął na Bonnarda. - Zabierz Teresę.

Kapitan chwycił ją za rękę, szarpnął i popchnął w stronę drzwi. Mauritania śledził ich swymi jasnymi oczami. Gdy wyszli, spojrzał na Chamborda, który pokiwał głową.

- Tak, kapitan Bonnard jest w pełni wykwalifikowanym pilotem. Usiądzie za sterami.

Mauritania nie odpowiedział, ale gdy za domem rozległy się dwa szybkie wystrzały, lekko drgnął.

Chambord natomiast nie zareagował.

- Idziemy - powiedział. - Ty pierwszy.

Wyszli na zamglone górskie słońce, skręcili między sosny i niebawem stanęli na polanie, gdzie czekał zwiadowczy hughes. Na ziemi leżał saudyjski pilot, Mohammed. W jego piersi ziały dwie dziury, ubranie miał przesiąknięte krwią. Stał nad nim Bonnard, który celował teraz w córkę Chamborda. Przerażona Teresa zasłaniała ręką usta, jakby zaraz miała zwymiotować.

Chambord sondował wzrokiem jej twarz, szukając znaku, że zrozumiała powagę i wielkość jego misji. Usatysfakcjonowany kiwnął głową.

- Zatankowany i sprawdzony? - zapytał Bonnarda.

- Ten tu właśnie skończył.

- *Bon.* A więc ruszajmy. - Uśmiechnął się rozmarzony. - Jutro odmienimy historię.

Bonnard wsiadł jako pierwszy, tuż za nim zachowujący stoicki spokój Mauritania i Teresa z poszarzałą twarzą. Chambord wsiadł jako ostatni. Gdy zapięli pasy i gdy jęknął roz-rusznik, po raz ostatni spojrział w niebo, jakby czegoś tam wypatrywał. Chwilę później maszyna oderwała się od ziemi.

199

Rozdział 31

Gdzieś nad Europą

Najważniejsze są ręce. Ucieczka ze skrępowanymi rękami jest możliwa tylko w wyjątkowych, absolutnie skrajnych przypadkach. Żeby zwiększyć szansę powodzenia, wolne ręce są po prostu konieczne. Dlatego kiedy związywali go na autostradzie przed podróżą do Tunisu, ułożył je obok siebie, w linii prostej. Tamci spieszyli się, nie sprawdzili nadgarstków i chociaż mocno zacisnęli węzeł, podstęp się częściowo udał. Od tamtej pory nieustannie poruszał dłońmi i ramionami, napinając sznury, mimo to do tej pory nie zdołał ich wystarczająco poluźnić. A czas uciekał.

Kolejną przeszkodą była opaska na oczach. Właśnie o niej myślał, gdy wtem poczuł, że żołądek podjeżdża mu do gardła. Śmigłowiec wytracał wysokość, przechylił się na burtę w szerokim skręcie, jakby podchodził do lądowania. Jonowi zostało najwyżej kilkadziesiąt sekund. Nagłym, niespodziewanym, acz niezdarnym atakiem na oślep mógłby zdestabilizować maszynę na tyle, żeby spadła i roztrzaskała się o ziemię. Ostatecznie zaprojektowano ją tak, żeby w przypadku katastrofy kadłub pochłoniął energię zderzenia, poza tym wyposażano ją w odporne na zmiżdżenie fotele oraz samouszczelniające się zbiorniki na paliwo. Mimo to szansę wyjścia z tego cało były niemal zerowe. Poza tym, żeby zaatakować pilota, musiałyby mieć wolne ręce.

Gdyby zdołał poluźnić sznury i zaczął z atakiem, śmigłowiec wisiałby tuż nad ziemią.

Teoretycznie mógłby przeżyć, nie odnosząc przy tym poważniejszych ran, i uciec w powy-padkowym zamieszaniu. Cholerne ryzyko, ale nie miał innego wyjścia.

Maszyna schodziła coraz niżej, a on rozpaczliwie walczył ze sznurami, które za nic nie chciały puścić. Nagle od strony kabiny pilota dobiegł go gniewny głos Abu Audy. Krzyknął

coś po arabsku, ktoś mu odpowiedział, do rozmowy dołączyli inni. Na pokładzie było ich kilkunastu i prawie wszyscy wrzeszczeli do siebie, kłócąc się o coś, co zobaczyli na ziemi. Mówili po arabsku, po francusku, po angielsku, we wszystkich językach naraz.

- Co się stało? - rzucił ktoś po angielsku.

Przekrzykując ryk silników, Abu Auda przekazał im złą nowinę po francusku, ale ze względu na tych, którzy nie rozumieli tego języka, od czasu do czasu wtrącał coś po angielsku:

- Przed domem nikt nie czeka. Nie ma ani Mauritania, ani nikogo. Nie można nawiązać z nim łączności. Widać pikap, ale śmigłowiec zwiadowczy zniknął. I ktoś leży na ziemi...

Maszyna zesła jeszcze niżej, kadłub zadygotał.

- Kto? Kto leży?

- Widzę go przez lornetkę - odpowiedział Abu Auda. - To Mohammed. Ma krew na koszuli. - Zawahał się i dodał: - Chyba nie żyje.

Znowu krzyk i wrzask, znowu wielojęzyczna wrzawa. Abu Auda wydarł się na nich, próbując zapanować nad sytuacją. Jon wyteżył słuch. Okazało się, że powinien tu na nich czekać nie tylko Mauritania, ale i Chambord. Chambord, jego córka i kapitan Bonnard. Abu Auda miał gdzieś ich zabrać, żeby Chambord mógł zbudować drugi komputer.

- Widzisz?! - wrzasnął ktoś. - Widzisz? Niewiernym nie wolno ufać!

- Mówiliśmy Mauritanii, żeby z nimi nie gadał!

- Zaufałeś ich pieniądzom, Abdullah - odparł Abu Auda. - Nasz cel jest wielki i potrzebowaliśmy tego komputera, żeby go zrealizować.

- Ale co nam teraz zostało? Nic!

200

- Abu, myślisz, że to pułapka? - spytał ktoś starszy.

- Nie mam pojęcia. Szykujcie broń. Bądźcie gotowi do skoku, gdy tylko wylądujemy.

Sznury wciąż trzymały, ale teraz Jon miał okazję, teraz miał szansę, teraz mógł z tego wyjść, nie narażając się na śmierć podczas ewentualnej katastrofy. Gdy maszyna wylądowała, Abu Auda i jego ludzie będą mieli na głowie poważniejsze sprawy niż on. Pozornie siedział

bez ruchu. Jedynie lekkie drżenie ramion i napięcie mięśni zdradzało rozpaczliwą walkę o uwolnienie tych cholernych rąk.

Śmigłowiec zadygotał jeszcze bardziej i stanął w zawisie, lekko kołysząc się na boki.

Jon wciąż szarpał się ze sznurami. Boleśnie otarł sobie nadgarstki. Maszyna zaczęła powoli opadać, lecz nagle przechyliła się niebezpiecznie na burtę. Smith stracił równowagę i grzmotnął ramieniem w oparcie fotela. Coś ostrego dźgnęło go w plecy. W tym samym momencie ponownie buchnęły głośne okrzyki: pierwsi terroryści wyskakiwali na ziemię. Gdy wyskoczyli kolejni, śmigłowiec wyprostował się i łagodnie usiadł.

Łump, łump, łump - łopaty wirnika obracały się coraz wolniej, a on gorączkowo szukał

tego, co go dźgnęło. Potarł plecami o burtę, poczuł ból i ciepłą krew na plecach. Wciąż leżąc na boku, przywarł do ściany, szorując o nią i pocierając rękami. Wreszcie to znalazł. Dotknął.

Ostrożnie. Wykładzina lekko odstawała i gdy się ją ucisnęło, spomiędzy szwów wysuwał się ostry szpikulec, część wewnętrznej konstrukcji burty. Podniesiony na duchu potarł o niego sznurami. Gdy zgasły silniki i w kabinie zapadła dziwna cisza, poczuł, że sznury szybko się wystrzępiają, zaczynają puszczać.

Tarł i pocierał, wreszcie pękły. Ręce spływały mu krwią. Zerwał resztki więzów, znieruchomiał i wyczuł słuch. Ilu ich wysiadło? Tak się do tego palili, że większość wyskoczyła, zanim płozy dotknęły ziemi.

Z zewnątrz dobiegły go głośne okrzyki i przekleństwa.

- Rozdzielić się! - wrzeszczał Abu Auda. - Szukajcie ich! Wszędzie!

- Zostawili mapę! - krzyknął ktoś inny. - Mapę Francji!

Znowu przekleństwa, znowu wrzaski. Podniesione głosy powoli się oddalały.

Jon próbował wyłowić z ciszy czyjś oddech, szelest materiału, jakiś ruch. Nic. Absolutnie nic. Wziął głęboki oddech, żeby uspokoić nerwy, zdjął przepaskę, zsunął się na podłogę między fotelami i ostrożnie wystawił zza nich głowę. Nikogo. Ani z tyłu, ani z przodu. Nie wstając, wyjął z ust knebel i rozejrzał się po kabinie w poszukiwaniu broni. Strzelby, karabinu, pistoletu, choćby noża, czegokolwiek. Sztylet zabrano mu zaraz po schwyтaniu.

Niczego, cholera, nawet głupiego widelca. Podczołgał się do fotela pilota i wtedy zobaczył niezgrabny pistolet na półce. Rakielnica.

Ostrożnie zdjął ją i wyjrzał oknem. Wylądowali na łagodnym zboczu, na skraju gęstego lasu, za alpejskim domem o spiczastym dachu. Dom był wysoki i wąski, dlatego słabo widoczny z powietrza i z boku. Dochodził do niego las, który porastał niemal całe zbocze, pnąc się ku szczytowi niskiej góry. Za tą niską strzelały w niebo znacznie wyższe, długi łańcuch pokrytych białymi czapami gór. Zostawili mapę Francji. Alpy?

Dwaj terroryści właśnie dźwigali z ziemi ciało pilota. Dwaj inni przeszukiwali stok, a na tarasie otaczającym pierwsze piętro domu stał Abu Auda i dwaj Arabowie. Patrzyli w dal.

A Smith patrzył z uwagą na niekończący się las. Gdyby udało mu się wyslizgnąć ze śmigłowca i wczołgać między drzewa, szansę ucieczki wzrosłyby trzykrotnie. Musiał to zrobić już, teraz, gdyż tamci byli teraz zajęci czym innym. Z każdą sekundą wzrastało niebezpieczeństwo, że Abu Auda każe przerwać poszukiwania i skrzyknie ludzi, a wtedy na pewno sobie o nim przypomną.

Doczołgał się do drzwiczek od strony pilota, tych wychodzących na las. Zapominając o bolesnych otarciach i ranach, zsunął się jak wąż na płożę, z płoży na ziemię i ległszy na brzuchu, popatrzył na rozwścieczonych i wciąż zajętych terrorystów. Zadowolony kiwnął głową i z raketnicą w ręku popęzł przez brązową trawę. Brązowa trawa i pierwsze wiosenne kwia-201

ty. W nozdrza uderzył go świeży zapach wilgotnej ziemi i zakręciło mu się w głowie jak po alkoholu. Był wolny. Nareszcie. Ale nie, nie mógł się zatrzymać, nie teraz.

Czołgając się i pełzając, dotarł do linii drzew i wreszcie był w gęstym, mrocznym lesie, wymoszczonym miękkimi gałęziami sosen i świerków. Oddychał jak po ciężkim biegu, twarz spływała mu potem, ale nie pamiętał, kiedy czuł się lepiej. Przysiadł za pniem wysokiej sosny i popatrzył na dom. Tamci nie odkryli jeszcze, że uciekł. Z zimnym uśmiechem wstał i potruchtał przed siebie.

Usłyszawszy trzask pękającej gałązki, skoczył za najbliższe drzewo, rozpląszczył się na igliwiu i z mocno bijącym sercem zlustrował wzrokiem koronkowe cienie kładące się na ziemi. Gdy zobaczył, jak zza pnia sosny wysuwa się czyjaś głowa, serce zabiło mu jeszcze szybciej. Głowa, na głowie afgański turban, pod turbanem długa chusta. Omal nie wpadł na jednego z nich, na uzbrojonego terrorystę, który przeszukiwał las, wypatrując Chamborda, Mauritani i pozostałych.

Afgańczyk odwrócił się powoli. I zmrużył oczy. Usłyszał jego kroki? Może jakiś szelest? Na to wyglądało, gdyż podniósł stary amerykański karabin 1116A1 i wycelował. Jon wstrzymał oddech i zacisnął palce na uchwycie raketnicy. Nie chciał strzelać, broń Boże.

Gdyby musiał i gdyby trafił, tamten zacząłby wrzeszczeć jak stado demonów. Gdyby zaś spu-dłował, flara rozbłysła jak fajerwerk na pokazie ogni sztucznych.

Afgańczyk ruszył ostrożnie w jego stronę. Powinien był wezwać posiłki, ale pewnie myślał, że mu się tylko zdawało, że tak naprawdę niczego nie słyszał. Sądząc po wyrazie jego twarzy, próbował się chyba uspokoić, wmówić sobie, że to bzdura. Nie, nic nie słyszał. To pewnie tylko zajac. Albo wiatr. Rozchmurzył czoło, opuścił broń i wyzbywszy się podejrzeń, przyspieszył kroku. Już po chwili prawie biegł.

Smith zerwał się z ziemi i zaatakował. Wziął zamach, grzmotnął go rękojęścią ciężkiej raketnicy, powalił na kolana, zatkał mu ręką usta i uderzył jeszcze raz, tym razem w głowę.

Trysnęła krew. Terrorysta szarpał się, ale cios go oszołomił. Jon uderzył po raz trzeci i Afgańczyk osunął się bezwładnie na ściółkę. Smith znieruchomiał, ciężko dysząc. Bolały go płuca i żebra. Chwycił karabin i wyjął leżącemu zza pasa zakrzywiony sztylet. Potem sprawdził puls. Terrorysta nie żył. Jon wyjął z ładownicy trzy zapasowe magazynki i zagłębił się w las. Biegąc, intensywnie myślał. Próbował zrozumieć, co się tam stało, zanim wylądowali.

Dlaczego zabili pilota? Abu Auda mówił, że miał na nich czekać Chambord. Chambord, Teresa, Bonnard i Mauritania. Skoro tak, gdzie się podziali?

„Nie jestem z nimi. To oni są ze mną”. Słowa Chamborda nie dawały mu spokoju.

Układanka, którą próbował ułożyć od ostatniego poniedziałku, całkowicie się rozsypała, by utworzyć nową, zupełnie zwariowaną całość. Dlaczego Chambord i Bonnard nie czekali?

Przecież współpracowali z Tarczą Półksiężycyca.

Nie, Chambord nie należał do Tarczy Półksiężycyca. Wyraźnie podkreślił, że to oni są z nim, nie on z nimi.

Biegł i myślał, myślał i biegł. I raptem, jakby nagle podniosła się mgła, zaczęło to nabierać sensu. Podobnie jak Czarny Płomień był przykrywką dla Tarczy Półksiężycyca, tak samo Tarcza Półksiężycyca mogła być przykrywką dla Chamborda i kapitana Bonnarda.

Mylił się? Chyba nie. Im dłużej o tym myślał, tym większego nabierał przekonania, że ma rację. Musiał skontaktować się z Kleinem, jak najszybciej go ostrzec. Klein i służby wywiadowcze połowy świata szukały terrorystów, ale nie tych, co trzeba. Szef Jedyнки musiał o tym wiedzieć, a on musiał namierzyć Chamborda i poznać jego mordercze zamiary.

Pierwszym znakiem, że zaczynają się kłopoty, była długa seria ze śmigłowca. Chlasnęła wierzchołki drzew, gdy wbiegł na małą polankę i obsypał go deszcz igieł. Maszyna pochyliła się ostro na burtę, nabrała wysokości i zawróciła, ale ponieważ zdążył się już ukryć, przele-

ciała z rykiem nad sosnami i opadła za zbocze. To podstęp, pomyślał. Wypatrzyli go i wylą-

dują nieco dalej, na jakiejś polanie. Rozdzielią się, zalegną i będą czekali. Jeśli było ich kilkunastu, mogli obstawić spory teren z nadzieją, że na nich wyjdzie.

Przez dwie godziny biegł w górę łagodnego stoku. Nie widząc ani śladu tamtych, poczuł się na tyle pewny siebie, że zawrócił i ruszył w dół, bo istniała szansa, że tam, u stóp wzgórza, znajdzie jakąś drogę. Założył, że jest w południowo-wschodniej Francji. Ale do-kładnie, gdzie? W pobliżu Mulhouse czy w pobliżu Grenoble? Każda godzina poza zasięgiem cywilizacji pozbawiała go jakże cennego czasu. Koniecznie musiał dotrzeć do telefonu, dlatego zaryzykował zmianę trasy.

Zaryzykował, ale okazało się, że za wcześnie i tamci namierzyli go ze śmigłowca.

Musiał przestać ułatwiać im zadanie. Zawrócił, ale zamiast znowu ruszyć pod górę, pobiegł skosem w kierunku domu, chcąc ich zaskoczyć. Poza tym koło domu musiała być jakaś droga. Głośne krakanie wron, które zerwały się z wierzchołków pobliskich drzew, było pierwszą oznaką tego, że popełnił kolejny błąd. Drugą zaś, zwierzę pierzchające w popłochu o kilkadziesiąt metrów w lewo.

Nie docenił Abu Audy. Za śmigłowcem szli jego ludzie, na wypadek gdyby zrobił to, co właśnie zrobił. Błyskawicznie skręcił i zanurkował między skały po prawej stronie, skąd widział spory kawał lasu. Ilu ich tam szło? Abu Auda miał tylko kilkunastu, chyba że wezwał

posiłki. Wysoko między wierzchołkami drzew żałośnie jęczał wiatr. Gdzieś w oddali brzęcza-

ły pszczoły i śpiewały ptaki. Ale tutaj nie śpiewał żaden. Las był złowieszczo cichy i spokojny, jakby też na coś czekał.

Cienie pod wyniosłymi sosnami zadrżały, zawibrowały, zafalowały jak lekka mgła i z tej mgły, wtapiając się w leśną szarówkę, wychynał kolejny Afgańczyk. Ale ten nie był sam.

Pięćdziesiąt metrów po prawej stronie Jona i dwadzieścia w dół stoku, zmaterializował się drugi terrorysta. Trzeci szedł pięćdziesiąt metrów po stronie lewej.

Trzech. Smith uśmiechnął się bez humoru. Żadnych posiłków nie było.

Trzech na jednego. Ale ilu szło za nimi? Pięciu? Sześciu? Gdyby zadziałał szybko, tych sześciu nie miałoby nic do gadania. Tak, tym razem Abu Auda zawalił. Nie spodziewał się, że Jon zbiegnie w dół pod tak ostrym kątem i tak szybko spotka tych trzech. Gdy ma się automatyczną broń i przewagę zaskoczenia, trzech na jednego to wcale nie tak źle.

Terrorysta idący najbliżej zobaczył głazy i skały. Dał znak innym, żeby je okrążyli. Musieli już wiedzieć, że ma broń. Abu Auda był dobrym dowódcą i umiał myśleć, dlatego zanim wyszli z domu, na pewno ich przeliczył i odkrył, że jednego brakuje. Jeśli zaś znaleźli już martwego Afgańczyka, wiedział też, że brakuje jednego karabinu.

Jon ostrożnie wyjrzał zza skały i zobaczył Afgańczyka, który szedł prosto na niego. Je-go głównym zmartwieniem było to, jak szybko zdoła ich wyeliminować, a przynajmniej przydusić do ziemi, żeby stąd zwiać. Wiedział jednak, że już pierwszy wystrzał ściągnie tu pozostałych, a któryś z nich na pewno zaalarmuje ludzi w śmigłowcu.

Odczekał, aż dwaj idący z tyłu dojdą do skał i ustawią się w jednej linii. Ten idący z przodu był wtedy niecałe sześć metrów od niego. Nadeszła pora. Wstał i oddał trzy strzały: dwie kule w przywódcę, jedną w terrorystę po prawej. Przesunął lufę karabinu w lewo, oddał

kolejne dwa strzały i puścił się pędem przed siebie.

Ten pierwszy oberwał prosto w pierś i na pewno już nie wstanie. Pozostali dwaj też padli, lecz nie wiedział, jak ciężko ich ranił. Biegając, niespokojnie wytężał słuch. Doszedł go odległy krzyk i... nic

więcej. Nie słyszał ani tupotu nóg, ani szelestu rozgarnianych krzewów, ani trzasku nisko zwisających gałęzi. Żadnych odgłosów pościgu.

Czujnie, kryjąc się za drzewami i głazami, biegł w dół zbocza, gdy wtem znowu usłyszał warkot helikopterowego silnika. Przypadł do ziemi za pniem strzelistej sosny i zadarł

głowę, spoglądając między lśniące w słońcu igły. Gdy helikopter śmignął tuż nad wierzchołkiem drzewa, dostrzegł czyjąś głowę i czarną twarz. Abu Auda.

203

Maszyna poleciała dalej. Nie mógł tu zostać, gdyż wiedział, że Abu Auda nie poprzestanie na patrolu z powietrza. Jego ludzie szli dołem i Jon musiał szybko podjąć decyzję. Ale nie tylko on, Abu Auda też. Abu Auda musiał przewidzieć, a raczej odgadnąć, którądy uciekinier teraz pobiegnie.

Nad słuchując charakterystycznych odgłosów lądowania, Jon próbował myśleć jak on i w końcu doszedł do wniosku, że Abu Auda założy, iż będzie uciekał, aby dalej od ścigają-

cych. Oznaczałoby to - gdyby miał rację - że śmigłowiec wylądował na południe od niego.

Wstał i pobiegł w prawo. Po kilkudziesięciu metrach zwolnił i starając się robić jak najmniej hałasu, skręcił na zachód.

Niecałą godzinę później las zaczął rzednąć. Wkrótce Jon, obolały i zlany potem, przeciął rozległą łąkę i przystanął na linii drzew. W dole ujrzał asfaltową szosę, a na szosie samochód. Odkąd skręcił na zachód, nie słyszał żadnych odgłosów pościgu, a odległy pomruk helikopterowego silnika dobiegał go czasem z południa. Nie wychodząc zza drzew, ruszył na północ z nadzieją, że wcześniej czy później droga przetnie las albo się doń zbliży.

Natknął się na strumień. Przykucnął na brzegu i ciężko dysząc, zdjął z ramienia prowi-zoryczny opatrunek, który założyła mu Teresa po ataku rakietowym na willę. Rana była duża, ale płytka. Przemył ją wodą. Potem przemył draśnięcie na boku, poranione odłamkami czoło, wreszcie nadgarstki i dłonie. Niektóre zadrapania były mocno zaczerwienione, co oznaczało, że wdała się infekcja. Ale poważniejszych obrażeń nie odniósł.

Na końcu obmył rozpaloną i spoconą twarz, po czym westchnął i ruszył dalej. Leśne odgłosy były tu normalne; wszędzie panowała miękka, wytłumiona cisza, jaka towarzyszy samotnemu zbieraczowi grzybów, a nie cisza kompletna i stężała, która ostrzega, że w pobli-

żu ktoś się czai.

Przystanął i wstąpiła weń nadzieja. Między drzewami dostrzegł skrzyżowanie i drogowskaz.

Rozejrzał się, ostrożnie zszedł na asfalt. Nareszcie wiedział, gdzie jest: GRENOBLE

12 KM. Odległość do pokonania, poza tym kiedyś tam był, ale nie mógł pozostać na szosie, bo rzucałby się w oczy. Gdyby śmigłowiec zapuścił się aż tutaj, natychmiast by go wypatrzyli.

Zawrócił do lasu i gdy po jakimś czasie usłyszał warkot silnika, uśmiechnął się z ulgą.

Samochód jechał w dobrym kierunku. Zza zakrętu wychyła wiejska półciężarówka. Rzucił

na ziemię karabin i magazynki, przykrył je ściółką. Schował do kieszeni afgański sztylet, do drugiej wepchnął raketnicę, wyszedł na szosę i zamachał obiema rękami.

Gdy półciężarówka stanęła, wsiadł do szoferki i pozdrowił po francusku kierowcę. Powiedział, że nie zna okolicy, odwiedzał znajomego, umówili się w Grenoble. Mieli spotkać się na kolacji, ale ponieważ nawalił mu wóz, postanowił iść piechotą z nadzieją, że spotka jakiegoś dobrego samarytanina, który go tam podrzuci. W lesie potknął się i stoczył ze zbocza, dlatego jest taki podrapany.

Farmer zacmokał ze współczuciem i rozgadał się na temat piękna regionu, ciesząc się z niespodziewanego towarzystwa w tym odludnym świecie strzelistych gór i rozległych przestrzeni. Jechali do Grenoble, mimo to Jon nie opuścił gardy. Oczy wciąż miał czujne.

Grenoble, Francja

Leżące we francuskich Alpach Grenoble jest olśniewającym miastem, starym i historycznym, znanym ośrodkiem sportów zimowych - słynącym zwłaszcza ze wspaniałych narciarskich tras zjazdowych - i miejscem, gdzie aż gęsto od średniowiecznych zabytków. Farmer podrzucił go na lewy brzeg Izery, na Grenette, ruchliwy plac, z mnóstwem barów i kawiarenek. Niedaleko znajdował się plac Świętego Andrzeja, serce Grenoble. Ciepłe słońce 204

zachęciło ludzi do wyjścia z domu i teraz, ubrani w bielutkie, sztywne od krochmalu koszule, siedzieli przy ustawionych na chodniku stolikach, pijąc kawę.

Jon zdał sobie sprawę, jak koszmarnie wygląda. Ubranie miał brudne i osmalone, poza tym nie wiedział, jak wygląda jego twarz, czy dobrze ją umył. W każdym razie ludzie zaczynali mu się przyglądać, a czego jak czego, ale tego na pewno nie chciał. W kieszeni wciąż miał portfel i postanowił, że gdy tylko zadzwoni do Kleina, natychmiast kupi sobie nowe ubranie.

Na placu Świętego Andrzeja znalazł budkę telefoniczną. Zamknął się w niej i wybrał

numer.

- To ty żyjesz?! - wykrzyknął zaskoczony Klein.

- Widzę, że jest pan rozczarowany, panie dyrektorze.

- Nie popadajmy w sentymenty, pułkowniku - odparł oschle Klein. - Wyściskamy się potem. Mam ci coś do przekazania. - Opowiedział mu o ostatniej katastrofie, o oślepionych satelitach. - Myślałem, że tego komputera już nie ma, że to tylko paskudna awaria...

- Nieprawda, ani przez chwilę w to nie wierzyłeś, Fred. Za wielkie szkody.

- Powiedzmy, że byłem naiwny.

- Czy tam, w Algierii... Czy Randi zdążyła uciec?

- Gdyby nie zdążyła, nie wiedzielibyśmy, co się tam stało. Jest w Paryżu. A ty? Co z to-bą? Mów.

A więc Randi przeżyła. Jon powoli wypuścił powietrze i zrelacjonował wydarzenia ostatnich godzin.

Klein zaklął.

- Cholera jasna! A więc Tarcza Półksiężycy to też przykrywka?

- To byłoby logiczne. Nie wierzę, żeby Bonnard był islamskim terrorystą, bez względu na jego związki z Algierią. Ale w odpowiedniej chwili był, gdzie trzeba, i to on dzwonił wtedy z NATO. On albo Chambord zabił tego pilota, a potem odleciał z Teresą. Abu Auda był

wstrząśnięty. Wściekły. Martwił się o Mauritanie, nie wiedział, czy jeszcze żyje. Według mnie to nie był bunt słabych. To było od dawna zaplanowane przejęcie władzy przez silnych.

- Uważasz, że stoi za tym Chambord?

- Tak, to możliwe, ale niekoniecznie. Może stać za tym Bonnard. Ma Teresę i kto wie, czy nie szantażuje Chamborda. Bardzo się o nią martwię. - Jon zerknął w prawo i w lewo, wypatrując Abu Audy i jego ludzi. - Co z Peterem i Martym? Słyszałeś coś nowego?

- Moi przyjaciele z Langley twierdzą, że obydwaj są w Paryżu. Marty się obudził.

Co za ulga, pomyślał Smith.

- Powiedział coś o Chambordzie?

- Nie, niestety. Wyślę po ciebie Randi.

- Przekaż jej, że czekam w forcie De la Bastille, na ostatnim przystanku kolejki linowej.

Klein odchrząknął.

- Za Chambordem i Bonnardem może stać ktoś inny - powiedział. - Ktoś, o kim jeszcze nie wiemy. Choćby sama Teresa.

Jon zmarszczył czoło. Teresa? Nie, na pewno nie. W to nie wierzył, ale ktoś inny? W

jego umyśle zaczęła się rodzić pewna myśl. Myśl, którą musiał jak najszybciej rozwinąć i przeanalizować.

- Wyciągnij mnie stąd, Fred.

205

Rozdział 32

Paryż, Francja

W kwaterze głównej francuskiej marynarki Wojennej przy placu Zgody major Liberal Tassini bawił się wiecznym piórem marki Mont Blanc i przypatrywał badawczo Peterowi Howellowi.

Major odchylił się do tyłu, sondując wzrokiem jego twarz.

- Mówi, że żadnego spotkania nie było. Że odbywali nocne manewry - taktyka pojedynczego okrętu na wodach wroga-i że rozkaz przyszedł z NATO. Mamy duży problem, bo nikt z NATO takiego rozkazu nie wydał.

- Ups! Niezły pasztet. Cieszę się, że to nie moja sprawa.

Wychodząc, Peter czuł na sobie podejrzliwe spojrzenie majora. Wątpił, czy udało mu się nabrać starego kumpla, ale obydwaj zachowali twarz i co ważniejsze w każdej chwili mogli się wszystkiego wyprzeć.

Berlin, Niemcy

Kurflirstendamm - Ku'damm, jak nazywają go miejscowi -jest ruchliwym bulwarem w centrum

nowego Berlina. Pełen wiecznie zatłoczonych sklepów i biur, słynie na cały świat.

Wtajemniczeni powiadają, że Ku'damm nigdy nie śpi. Do jednej z eleganckich restauracji -

zasłane bielutkimi obrusami stoliki i srebrne sztuce - weszła Pieke Exner. Była tu umówiona, już drugi raz w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin, i wiedziała, że młody porucznik jest gotowy i chętny. Ba! Nawet więcej niż chętny.

Widać to było po tym, jak na jej widok wstał, jak trzasnął obcasami, za co dostałby re-prymendę od swego bezpośredniego przełożonego, generała Otto Bittricha. Widać to było także po jego rozluźnionym krawacie, po poufałości, nad którą tak usilnie pracowała podczas pierwszej randki, żeby zaraz potem zostawić go przed domem, jeśli nie zdyszanego, to na pewno ciężko dyszącego. I właśnie takich oznak oczekiwała. Ale miała jeszcze sporo pracy.

Chciała rozwiązać mu nie krawat, tylko język.

Uśmiechnęła się i usiadła. On szarmancko przysunął krzesło do stołu. Gdy usiadł, po-słała mu ciepły uśmiech, jakby myślała o nim nieustannie, odkąd się rozstali. Gdy z gestem zamówił butelkę najlepszego wina, wróciła do poprzedniej rozmowy i zaczęła opowiadać o swoich marzeniach, o podróżach i o zamiłowaniu do wszystkiego co egzotyczne i zagranicz-ne.

Szybko okazało się, że idzie jej aż za dobrze. Porucznik bardzo chciał połknąć przynętę.

Zjedli sznycel, wypili drugą butelkę przedniego wina, na deser zamówili pyszny strudel, kawę i koniak. Ale chociaż obdarowywała go uśmiechami, chociaż ścisłała go za rękę, ani razu nie wspomniał o swojej pracy.

Straciwszy cierpliwość, spojrzała mu głęboko w oczy i zdołała w tym spojrzeniu za-wrzeć intrygującą kombinację uczuć: wstydlivosti, zdenerwowania, lęku, uwielbienia, bez-wstydnego pragnienia i seksualnej gotowości, słowem wszystkiego naraz. Miała dar i dzięki niemu podbiła już mężczyzn starszych i mądrzejszych niż porucznik Joachim Bierhof.

206

Zareagował natychmiast - zapłacił i wyszli. Zanim przeszli przez Bramę Brandenburską, przez most nad Szprewą w Prenzlauer Berg, dzielnicy bohemy byłego Berlina Wschod-niego, myślał już tylko o niej, o jej wspomniałym mieszkaniu i o łóżku.

Kiedy weszli, szybko zasłonił żaluzje, rozebrał się i już wkrótce nagi i podniecony pie-

ścił jej piersi. Pieke westchnęła i poskarżyła się na zimno. Maj był bardzo chłodny. Jakże by chciała być z nim teraz w słonecznych Włoszech, w Hiszpanii, a najchętniej... na południu Francji.

Zajęty jej piersiami i kusymi zielonymi majteczkami, Joachim wymruczał:

- Niedawno tam byłem. Boże, jaka szkoda, że cię wtedy nie znałem.

Roześmiała się wesoło.

- Przecież miałeś swego generała.

- Prawie całą noc spędził na tym francuskim okręcie, on i jego pilot. Zostałem sam. Samotnie spacerowałem po nabrzeżu. Samotnie zjadłem kolację. Wypatrzyłem wspaniałe wino.

Smakowałyby ci. Boże, jaka szkoda... Ale teraz jesteśmy razem i...

W tym samym momencie Pieke Exner spadła z łóżka. Boleśnie stłukła sobie kolano i plecy. Bez niechętej, dość cierpkiej, acz skwapliwej pomocy porucznika nie dałaby rady wstać. Gdy ułożył ją na łóżku, grzecznie poprosiła, żeby ją przykrył. Zadrżała z zimna. Porucznik podkręcił ogrzewanie i przyniósł jeszcze jeden koc. Ze smutkiem wyciągnęła do niego rękę.

Była bardzo rozczarowana, wprost zdruzgotana. Miała poczucie winy i łzy w oczach.

- Biedaku - powiedziała. - Jak strasznie musisz się teraz czuć. Tak mi przykro. Czy...

czy nic ci nie będzie? Byłeś taki... no wiesz...

Cóż, Joachim Bierhof był ostatecznie dżentelmenem. Rozwiał jej obawy, zapewniając, że jakoś sobie poradzi. Znaczyła dla niego dużo więcej niż... hm.

Ścisnęła go za rękę i obiecała, że jeśli tylko będzie czuła się na siłach, spotkają się już nazajutrz. Tu, w jej mieszkaniu.

- Zadzwoń do ciebie - dodała. I momentalnie zasnęła.

Porucznikowi nie pozostawało nic innego, jak tylko ubrać się i po cichu wyjść.

Gdy tylko zamknął za sobą drzwi, Pieke wyskoczyła z łóżka, ubrała się, podniosła słuchawkę telefonu i wybrała numer.

- Tak jak podejrzewałeś, generał Bittrich był na południu Francji. Pół nocy spędził na pokładzie tego lotniskowca. To wszystko, skarbie?

- Jesteś cudowna - odrzekł z Paryża Peter Howell.

- Zawsze o tym pamiętaj.

Peter zachichotał.

- Mam nadzieję, że cena nie była za wysoka.

- Zazdrosny?

- Pochlebiasz mi, złotko. W moim wieku...

- W twoim wieku? Ty jesteś wieczny.

Peter parsknął śmiechem.

- Moje ciało, a przynajmniej niektóre jego części nie zawsze o tym pamiętają, ale musimy o tym porozmawiać.

- Czy to propozycja, mój szanowny panie?

- Angie, postawiłabyś na nogi umarłego. Wielkie dzięki.

Angela Chadwick odłożyła słuchawkę, posłała łóżko, wzięła torebkę i wróciła do domu po drugiej stronie Bramy Brandenburskiej.

207

Paryż, Francja

Kupili mu nowy laptop i siedział teraz po turecku na łaciatej kołdrze, grzebiąc w Internecie. W ciągu ostatnich dwóch godzin piętnaście razy odwiedził stronę OASIS, Online Asperger Syndrome Information and Support.

Miotając się między rozpaczą i optymizmem, grzęznąc w lepkim bagnie spowalniających umysł leków, nie słyszał, jak do separatki weszli Randi i Peter.

- Jest coś? - rzuciła od progu Randi.

- MI-6 nic nie wie - mruknął Howell. - Cholernie irytujące – dodał z lekką goryczą. -

Gdybyśmy wiedzieli, dla kogo Jon pracuje, moglibyśmy się z nimi skontaktować i może dostalibyśmy jakiś cynk.

Przybity Marty zerknął na Randi.

- A CIA? - spytał.

- Też nic - odrzekła.

Marty nachmurzył czoło i zastukał palcami w klawiaturę.

- Zajrzę jeszcze raz.

- Przecież przed chwila zaglądałeś - mruknął Peter.

Na policzkach Marty'ego wykwitły czerwone plamy.

- Jeśli uważasz, że mam obsesję - odparł poirytowany - to spójrz na siebie. Ile razy dzwoniłeś do swoich?

Howell bez słowa kiwnął głową. Wykrzywił usta w cierpkim uśmiechu.

Marty zaklął pod nosem i ponownie wszedł na stronę OASIS. Gdy tylko się otworzyła, trochę się odprężył. Tu czuł się jak w domu. Stworzona dla takich jak on, zawierała mnóstwo informacji, poza tym był tam Web ring. Często go odwiedzał, gdy życie wracało do normy.

Do normy, którą akceptował, bo to, co reszta świata uznawała za normalne, było dla niego po prostu nudne. Nie umiał sobie wyobrazić, że można tak żyć. Ale strona informacyjna dla chorych na syndrom Aspergera była w porządku. Ci, którzy ją założyli i prowadzili, wiedzieli, o czyni mówią. Cóż za rzadkość, pomyślał. Nie mógł się już doczekać, kiedy przeczyta *OASIS - przewodnik po syndromie Aspergera*, najnowszą książkę Pa-trycji Romanowski i Barbary L. Kirby. Czekala na niego w domu, na biurku.

Przejrzał wiadomości, ale nie znalazł niczego nowego. Odchylił się do tyłu, zamknął oczy i ciężko westchnął.

- Ani słowa? - spytał Howell.

- Nic, kurczę, nic.

Zniechęceni zamilkli. Zaterkotał telefon i Randi chwyciła słuchawkę. Dzwonił Doug Kennedy z Langley. Z podekscytowania rozbrzły jej oczy.

- Wiem, gdzie to jest. Dzięki. Tak, dam sobie radę. - Spojrzała na Petera i Marty'ego.

Patrzyli na nią, niecierpliwie i w napięciu.

- Jon żyje. I wiem, gdzie jest.

Grenoble, Francja

Gdy wraz z innymi turystami spoglądał w dół z platformy widokowej na szczycie górującego nad miastem szesnastowiecznego fortu De la Bastille, zimny wiatr bił mu prosto w twarz, rozwiewając włosy. Mimo to wycieczkowicze z prawdziwą przyjemnością patrzyli na rozciągającą się przed nimi panoramę, w której średniowiecze i współczesność mieszały się ze sobą, tworząc dziwny amalgamat. Słyszące z uniwersytetów i wysoko rozwiniętego przemysłu miasto leżało u zbiegu Izery i Drac, a nad nim górowały strzeliste, wiecznie ośnieżone szczyty Alp, lśniące w popołudniowym słońcu jak usypane z brylantów góry.

208

Ale uwagi Jona nie pochłaniał wspaniały widok. Interesowało go tylko jedno: wagoniki kolejki linowej sunące w górę z leżącego u stóp fortu miasta.

Czekał tu już od kilku godzin. Był w nowych dzinsach, zielonym pulowerze, luźnej kurtce i ciemnych okularach. W kieszeni kurtki miał afgański sztylet i raketnicę, swoją jedyną broń. I wciąż nie mógł nacieszyć się wiadomością, że Randi żyje.

Jednocześnie trochę się denerwował, bo powinna już tu być. Wiedział, że lada chwila może dotrzeć tu też Abu Auda i jego ludzie, że to nieuniknione; Grenoble leżało najbliżej i było największym miastem w okolicy. A on za dużo wiedział, poza tym istniała szansa, że nie skontaktował się jeszcze z przełożonymi. Mogli nawet znaleźć karabin i magazynki, które ukrył pod ściółką przy drodze.

Dlatego stał teraz na zimnym górskim wietrze i opierając się o barierkę, uważnie śledził

wzrokiem każdy wagonik sunący w górę z nadbrzeża Stephane-Jay. Specjalnie zaprojektowane dla pragnących podziwiać pejzaż turystów, wszystkie były całkowicie przeszklone, co bardzo ułatwiało mu zadanie, gdyż dzięki temu widział twarze pasażerów. Kilka minut po piątej wypatrzył wśród nich nie Randi, tylko jednego z zabójców z Tarczy Półksiężycy. We krwi znowu zaczęła krążyć adrenalina.

Nie chcąc zwracać na siebie uwagi, stał tam dalej, zrelaksowany jak zwykły turysta oglądający przepiękną panoramę miasta, jednocześnie próbował skojarzyć, skąd tamtego zna.

Starannie ogolony Saudyjczyk. Gdzie go widział? Tak, w grupie terrorystów, którzy uciekli z wili. Jechał w pierwszym wagoniku, a wagonik był coraz bliżej fortu. Jon rozpoznał tylko je-go, ale wątpił, czy facet jest sam. Czuł, że niebawem pojawi się ich więcej.

Upewniwszy się, z kim ma do czynienia, nonszalancko schował ręce do kieszeni kurtki, wymacał palcami rękojeść raketnicy i ruszył w stronę ścieżek, które przecinając park Guy Pape, prowadziły prosto do miasta. Nie chciał odchodzić przed przybyciem Randi, ale skoro wypatrzył jednego terrorystę, na pewno było ich tu więcej, poza tym nie miał pewności, czy Randi w ogóle przyjdzie.

Oddaliwszy się od tarasu widokowego, przyspieszył kroku. Turystów ubywało. Robiło się późno, odstraszał ich też porywisty wiatr gwiżdżący wśród mrocznych cieni. Nie odczuwając zimna, wyszedł z fortu, skręcił, ruszył lekkim truchtem i właśnie wtedy zobaczył tych pięciu.

Przycupnął za wysokim żywopłotem. Szli pod górę, dokładnie tą samą trasą, którą zamierzał zejść na dół, a na ich czele ujrzał samego Abu Audę. Wszyscy mieli na sobie zwykłe ubranie. Abu Auda był w berecie i wyglądał w nim jak rekin próbujący chodzić po suchym łądzie. Jon zawrócił i puścił się pędem do parku za fortem. Przystanął za wysokim dę-

bem, spojrzał w tył, potem na miasto i przecinające je rzeki.

Tak, miał rację. Z góry doszedł go odgłos szybkich kroków, lekkich i zwinnych. Wyszarpnął z kieszeni sztylet i raketnicę, odwrócił się i... Randi drgnęła. Przytknęła palec do ust.

- Jezus Maria! - wychrypiał oskarżycielsko Smith.

- Ciii... Lepiej bądź dla mnie miły.

Odetchnął z ulgą i posłał jej uśmiech.

- Znowu się rządysz.

Wysoka, szczupła i zgrabna - nie mógł wymarzyć sobie piękniejszego widoku. Była w ciemnych spodniach i częściowo zapiętej kurtce, dzięki czemu mogła szybciej dobrać broni.

Na głowie miała mocno naciągniętą czapkę z daszkiem, która skrywała jej blond włosy.

Oczy przesłoniła ciemnymi okularami, zabezpieczonymi z tyłu zatrzaskiem, żeby nie spadły, gdyby miała wkroczyć do akcji.

Stała w cieniu tuż obok niego z czujną, lecz spokojną twarzą.

- Peter też tu jest. Nie ma to jak robota dla dwóch. - Wyjęła nadajnik i podniosła go do ust. - Znalazłam go. Już idziemy.

- Oni też. - Jon ruchem głowy wskazał w stronę fortu. Elegancko ogolony Saudyjczyk 209

rozmawiał z ożywieniem z Abu Audą. Celował z palca prosto w nich, w ich drzewo. Broni nie wydobyli. Przynajmniej na razie.

- Chodźmy!

- Dokąd?

- Nie ma czasu na wyjaśnienia. - Randi popędziła między drzewa. Abu Auda machnął

ręką w lewo i w prawo. Terrorysty rozdzielili się

i popędzili za nimi. Jon naliczył sześciu, co oznaczało, że gdzieś w pobliżu przywarowało pięciu lub sześciu kolejnych. Przecięli park, wypadli na zbocze wzgórza, a on przez cały czas myślał, gdzie mogą na nich dybać. Randi biegła tak szybko, że dzieliła ich coraz większa odległość, ale coraz większa odległość dzieliła ich również od terrorystów. Ciężko sapiąc, Smith zerknął przez ramię. Nikogo. I wtedy usłyszeli dudnienie silnika. Śmigłowiec. Cholera jasna!

- Lecą tu! - wydyszał do spoglądającej w niebo Randi. - Wiedziałem, że w parku będzie ich tylko kilku.

- Biegnij! - odkrzyknęła.

Popędzili dalej na złamanie karku i kilka sekund później nadleciał śmigłowiec. Ale nie był to wielki seahawk, tylko zwiadowczy hughes OH-6. Gdy siadał na ziemi dwadzieścia metrów dalej, wyglądał jak gigantyczna pszczoła. Randi skręciła w tamtą stronę, machnęła ręką i z kabiny wyskoczył ubrany na czarno Howell. Na jego widok Jon ucieszył się prawie tak samo jak na widok Randi. Peter był w czarnej czapce i w ciemnych okularach, a w ręku trzymał

brytyjski pistolet maszynowy.

Niestety, ulga była krótkotrwała. Za drzewami rozległ się czyjś gniewny krzyk i na polanę wypadł jeden z terrorystów. Wyprzedziwszy kolegów, przystanął i wycelował w odwró-

coną plecami Randi. Ponieważ Peter zdążył już wsiąść, Smith wykonał płynny obrót, wymierzył z raketnicy i wypalił. Mimo dudnienia helikopterowego silnika, huknęło jak z armaty.

Raca świsnęła w powietrzu, pozostawiając za sobą długą smugę dymu i trafiła tamtego prosto w pierś.

Siła uderzenia była tak duża, że cisnęła go między drzewa. Rzucił karabin, chwycił się za sterczącą spomiędzy żeber racę i wrzasnął tak piskliwie, tak przeraźliwie, że przeszły ich ciarki. Wiedział, co zaraz będzie, i przerażony wykrzywił twarz.

Raca eksplodowała, rozrywając mu klatkę piersiową. Smith rzucił się do śmigłowca.

Howell nie czekał, aż któreś z nich zamknie drzwiczki, natychmiast wystartował. Abu Auda i jego ludzie przestali się czaić i rozpętało się piekło. Kule ryły ziemię, rykoszetowały z jękiem od płóz podwozia, stukotały w burtę, tymczasem Jon wciąż leżał na podłodze i przytrzymując się nóg fotela, próbował nie zsunąć się w dół.

Randi chwyciła go za pasek.

- Trzymam cię!

Ręce miał zimne i śliskie od potu, czuł, że lada chwila spadnie. Gdyby rozwarł palce, nie pomogłaby mu nawet Randi. Co gorsza, chcąc uniknąć kul, Peter gwałtownie skręcił w prawo. Smith zaczął ześlizgiwać się w stronę otwartych drzwiczek i otchłani, gdzie czekała pewna śmierć.

Randi zakłęła i wolną ręką chwyciła go pod ramię, ale nieubłagana siła odśrodkowa i pęd powietrza nadal robiły swoje. Śmigłowiec wciąż leżał na burcie, lecąc w kierunku rzek.

Jon poczuł, że rozwierają mu się palce. Głośno sapał, charczał z wysiłku, próbował je zacisnąć, lecz na próżno.

- Wyszliśmy poza zasięg ognia! - krzyknął Howell.

W samą porę. Gdy maszyna się wyprostowała, palce puściły. Jon rozpaczliwie wycią-

gnął ręce, ale chwycił tylko powietrze. Randi usiadła na nim, oplótła go w pasie nogami i przytrzymała się fotela. Jak przez mgłę czuł ciężar jej ciepłego ciała, pewny uścisk umięśnio-

nych ud i gdzieś w zakamarkach podświadomości zaległa mu się myśl, że w innych okolicznościach bardzo by mu się to podobało. Lecz myśl szybko prysła i powrócił strach.

Mijały długie sekundy. Siła ciężkości zmieniła wektor i rozkładała się teraz na całe cia-

ło. Śmigłowiec wreszcie wyrównał lot. Jon leżał bez ruchu, oszołomiony i półprzytomny.

- Już po wszystkim - wychrypiła Randi. - Dzięki Bogu. - Wstała, przeskoczyła nad nim i zatrzasnęła drzwiczki. - Nie chciałabym przechodzić przez to jeszcze raz.

W kabinie ucichło. Smith czuł, że drżą mu wszystkie mięśnie. Osłabiony zwałił się ciężko na tylny fotel i po raz pierwszy od chwili, gdy wskoczył na pokład, spojrzął na Randi.

Jej policzki powoli nabierały normalnego koloru. Przedtem musiały być białe jak kreda.

- Zapnij pas - rzuciła. I uśmiechnęła się do niego tak pięknie, z tak wielką ulgą, że uśmiech ten rozświetlił jej całą twarz.

- Dziękuję. - Zaszło mu w gardle, serce waliło jak młotem. - Wiem, że to za mało, ale mówię szczerze. Dziękuję. - I szybko zapiął pas.

- Dla mnie wystarczy. Nie ma za co. - Gdy odwracała głowę, spotkali się wzrokiem i długo patrzyli sobie w oczy. Widzieli w nich wzajemne zrozumienie i przebaczenie.

Rozdział 33

Lecieli na północ, w kierunku Paryża. Grenoble zostało daleko za nimi. W kabinie panowało milczenie. Jeszcze przed chwilą niewiele dzieliło ich od śmierci. Siedzący z tyłu wy-czerpany Jon ocknął się z transu i głośno westchnął, próbując się odprężyć po stresie kilku ostatnich dni. Rozpiął pas i wetknął głowę między Randi a Petera.

Randi uśmiechnęła się i poklepała go po głowie.

- Dobry piesek.

Smith zachichotał. Zawsze była zabawna, a teraz uważał ją za najbardziej czarującą osobę na świecie. Nie ma to jak prawdziwi przyjaciele, a dwoje jego najlepszych przyjaciół

siedziało tuż obok. Randi miała słuchawki na głowie, jej przesłonięte ciemnymi okularami oczy nieustannie lustrowały niebo.

Peter, też w słuchawkach, uważnie obserwował wskaźnik paliwa i kompas. Słońce mieli po lewej. Wielka, ognista kula powoli opadała ku horyzontowi i bijące z niej skośne promienie oświetlały wierzchołki drzew i ośnieżone pola. Hen, w oddali, majaczyła dolina Renu, upstrzona charakterystycznymi prostokątami winnic.

W kabinie było ciasno i gdy wetknął między nich głowę, zrobiło się ciepło i przytulnie.

- Dobra, mówcie - powiedział, przekrzykując dudnienie silnika.- Co z Martym?

- Wyszedł ze śpiączki i zaczyna rozrabiać - odrzekł wesoło Howell. Opisał mu ich ucieczkę do paryskiej kliniki. - Dowiedział się, że żyjesz i od razu odzyskał humor.

- Szkoda, że nie pomógł nam z tym komputerem i Chambordem.

- Fakt, szkoda. - przyznała Randi. - Twoja kolej. Co się stało w tej przeklętej willi?

Słyszałam serie wystrzałów i byłam pewna, że już po was.

- Chamborda nie uprowadzono. Od samego początku był w zмовie z Tarczą Półksię-

życa. Twierdzi, że tak naprawdę to nie on był z nimi, tylko oni z nim. I wiecie co? To trzyma się kupy. Sfingował porwanie ze względu na Teresę. Nie miał pojęcia, że Mauritania ją uprowadzi i

widząc ją, był równie zaskoczony jak ona.

- To by wiele wyjaśniało - odrzekł Peter. - Ale jak, u diabła, wynieśli stamtąd ten komputer?

- Nie wynieśli. Wybuch go zniszczył. Nie rozumiem tylko, jakim cudem Chambord zdołał zbudować tak szybko drugi i przejąć nasze satelity.

- Tak, to dziwne - mruknęła Randi. - Ale nasi twierdzą, że tylko komputer molekularny ma wystarczającą moc, żeby dostać się do satelitów, łamać wszystkie kody i zabezpieczenia.

W dodatku większość z nich to tajne systemy elektroniczne, ponoć nie do przejścia.

Peter znowu spojrzął na zegar, licznik i na wskaźnik paliwa.

- Moim zdaniem macie rację - powiedział. - W dodatku oboje. Bo dlaczego nie może istnieć drugi komputer?

Jon i Randi wymienili spojrzenia.

- To jest myśl - szepnęła Randi.

- Drugi komputer - zastanawiał się Smith. - Komputer, do którego Chambord miał

bezpośredni dostęp, który mógł zdalnie przeprogramować... Mógł też wyszkolić kogoś do jego obsługi. Komputer, o którym nie wiedział Mauritania.

- No to cudnie - mruknęła Randi. - Tylko tego nam potrzeba.

- To ma sens, zwłaszcza w świetle tego, czego jeszcze wam nie powiedziałem.

- Cholera, nie wiem czemu, ale zaczynam się bać - rzucił Peter. - Wal.

Jon spojrzął w przednie okno, na krajobraz poprzecinany małymi rzekami i kanałami i usiany zadbanymi farmami.

212

- Chambord od samego początku knuł z terrorystami i prawdopodobnie pomógł im w tym ataku.

- Już to mówiłeś - ponaglała go Randi. - No i... ?

- Myślę o tym od wielu godzin, odkąd uciekłem ze śmigłowca i moim zdaniem jest tak: Tarcza Półksiężycy wykorzystwała jako przykrywkę Basków, a Chambord i Bonnard wykorzystali jako przykrywkę Tarczę Półksiężycy. Tarcza jest dużą i prężną organizacją. Skupia świetnie

wyszkolonych terrorystów, którzy mogli zrobić coś, z czym Chambord i Bonnard by sobie nie poradzili. Ale myślę, że dała im coś jeszcze, że wykorzystali ją ze względów strategicznych jako grupę, na którą mogliby zwalić winę za to, co sobie zaplanowali. Któż byłby lepszym kozłem ofiarnym niż islamska organizacja terrorystyczna dowodzona przez człowieka, który współpracował kiedyś z samym Bin Ladenem? Być może właśnie dlatego zabrali ze sobą Mauritanię. Chcą go w to wrobić.

Randi zmarszczyła czoło.

- Twierdzisz, że za tymi wszystkimi atakami elektronicznymi na USA stoją Chambord i Bonnard? Ale dlaczego? Jakimi motywami mogliby kierować się powszechnie uznany naukowiec i szanowany francuski oficer?

Jon wzruszył ramionami.

- Moim zdaniem nie zamierzają zaatakować Jerozolimy ani Tel Awiwu. Taki cel odpowiadałby politycznie Tarczy Półksiężycy, ale nie im. Myślę, że knują coś innego, najprawdopodobniej przeciwko Stanom, stąd te satelity. Sęk w tym, że nie wiem jeszcze co.

Za szybą kabiny wył wiatr. Łopaty wirnika wybijały regularny rytm. Randi, Jon i Peter zamilkli.

- I ci z Tarczy kompletnie nic nie wiedzą o ich planach? – spytała w końcu Randi.

- Podśluchałem parę ich rozmów. Myśl, że Chambord i Bonnard mogliby zdradzić, nigdy nie przyszła im do głowy. Tak to już z tymi fanatykami jest. Widzą tylko to, co chcą widzieć.

Howell zacisnął rękę na drążku.

- Względy strategiczne, powiadasz... Chyba masz rację. Ten, na kogo zwałą winę, obojętnie nie tylko za to, co dotąd zrobili, ale i za to, co planują. Pamiętacie World Trade Center i Pentagon? Nasi żołnierze i naukowcy woleliby uniknąć takiej odpowiedzialności.

- Właśnie - rzekł Smith. — Chambord wie, że świat zjednoczy się i teraz wszyscy będą ich ścigać, jak kiedyś Bin Ladena. Dlatego potrzebował kozła ofiarnego, wiarygodnego naiwniaka. Mauritania i Tarcza Półksiężycy znakomicie się do tej roli nadają. Są mało znani, więc kto uwierzyłby w ich niewinność, zwłaszcza że przyłapano by ich na gorącym uczynku - pozornie, rzecz jasna. Poza tym wszystkie dowody świadczą, że uprowadzili Chamborda, a Chambord chętnie przysięgnie, że tak w istocie było. Łże jak z nut i wszyscy mu uwierzą. Ja też mu uwierzyłem.

- A co z Teresą? - spytała Randi. - Ona zna prawdę.

- Tylko czy całą? Ale wie już, kim jest jej ojciec. Tak w ogóle to wie za dużo, co Chamborda bardzo niepokoi. Jeśli przyjdzie co do czego, niewykluczone, że poświęci ją, żeby nie pokrzyżowała mu planów. Albo załatwi to Bonnard. Weźmie sprawy w swoje ręce i bę-

dzie po wszystkim.

Randi aż się wzdrygnęła.

- Boże, własną córkę...

- Jest albo fanatykiem, albo człowiekiem nie zrównoważonym psychicznie, bo jak inaczej wytłumaczysz tę nagłą transformację od znanego naukowca do wyrafinowanego terrorysty?

Howell uważnie śledził przesuwające się w dole drogi.

- Będziemy musieli przerwać naszą dyskusję - oznajmił. Dolatywali do małego miasta nad brzegiem rzeki. - To Macon, granica Burgundii. Ta rzeka to Saone. Spokojna okolica, co?

213

Braliśmy tu z Randi paliwo, lecąc w tamtą stronę. Nie było żadnych problemów, więc teraz też tutaj siądziemy. Nasz ptaszek usycha z pragnienia... - Spojrzał na Jona. - A ty? Kiedy ostatni raz jadłeś?

- Cholera, nawet nie pamiętam.

- W takim razie weźmiemy również coś na ząb.

W długich, rozfalowanych cieniach późnego popołudnia Peter posadził śmigłowiec na małym lotnisku.

Przedmieścia Bousmelet nad Sekwaną, Francja

Emile Chambord odchylił się w fotelu i przeciągnął. Kamienne ściany, złowieszcza średniowieczna broń, zakurzone rycerskie zbroje, wysoki sufit - w komnacie było ponuro, choć na podłodze leżał gruby berberyjski dywan, a lampy rzucały ciepłe światło. Pracował w zbrojowni z własnego wyboru. Nie było okien, miał więc możliwość pełnej koncentracji, a myśli o Teresie szybko od siebie odpędzał.

Z uwielbieniem w oczach popatrzył na stojący na długim stole komputer. Chociaż podobał mu się każdy szczegół, najbardziej podziwiał jego szybkość i moc. Zamiast rozwiązywać problemy sekwencyjnie, jak największe i najszybsze komputery silikonowe, rozwiązywał

je symultanicznie. Z cybernetycznego punktu widzenia najszybsze komputery silikonowe by-

ły bardzo, ale to bardzo powolne, choć dużo szybsze od ludzkiego umysłu. Ale najszybszym ze wszystkich był komputer molekularny, którego możliwości przekraczały granicę wyobraźni.

Jego sercem był żel, specjalnie sprokurowana sekwencja DNA pomysłu i produkcji Chamborda. Spiralnie skręcony łańcuch DNA, obecny w każdej żywej komórce, chemiczna podstawa wszelkiego życia, stał się dla Chamborda malarską paletą, skutkiem czego nierozwiązywalne dotąd problemy, jak choćby sztuczna inteligencja, złożone sieci komputerowe, autostrady informacyjne, skomplikowane gry - choćby trójwymiarowe szachy, w które grać nie mogły nawet najpotężniejsze komputery silikonowe - dla tej cudownej maszyny przestały być problemami. Ostatecznie chodziło jedynie o dokonanie wyboru konkretnej ścieżki spo-

śród miliardów innych ścieżek.

Fascynujące było również to, że wykorzystując ledwie setną część swojej mocy, wy-twór jego genialnego umysłu potrafił nieustannie zmieniać tożsamość. Zapora, „ściana ogniowa”, za którą się chronił, zmieniała kody dostępu tak szybko, że żaden standardowy komputer nie potrafił ich złamać. Innymi słowy ciągle „ewoluował”, a im częściej go używano, tym ewolucja przebiegała szybciej. Chambord uśmiechnął się w zimnej komnacie, przy-pomniawszy sobie pierwszy obraz, jaki ujrzał w swej wyobraźni, gdy to przewidział. Jego prototyp przypominał Borga z amerykańskiego serialu *Star Trek*, komputer, który ustawicznie ewoluował w poszukiwaniu obrony przed kolejnym nieprzyjacielskim atakiem. A teraz on używał nieustannie uczącej się maszyny do odparcia ataku najbardziej podstępnego ze wszystkich: ataku na duszę Francji.

Dla inspiracji spojrział na reprodukcję pięknego obrazu nad biurkiem, a potem z nową determinacją podjął poszukiwania tropów, które mogłyby zaprowadzić go do kryjówki Marty'ego Zellerbacha. Bez trudu wszedł do jego domowego komputera w Waszyngtonie i w ciągu kilku sekund pokonał wszystkie wyrafinowane zabezpieczenia. Niestety, ponieważ od chwili zamachu na Instytut Pasteura Marty tam nie zaglądał, nie znalazł nic, co naprowadzi-

łoby go na ślad. Rozczarowany zostawił mu mały „upominek” i zaczął z innej beczki.

Znał nazwę jego banku, więc wystarczyło tylko sprawdzić historię rachunku. I znowu pudło: od wielu dni rachunek nie uległ zmianie. Chambord myślał przez chwilę i nagle... Tak jest! Karta kredytowa.

214

Gdy na ekranie ukazała się lista zakupów, rozbłysły mu oczy, a jego surową twarz roz-jaśnił uśmiech. *Oui!* Poprzedniego dnia Marty Zellerbach kupił w Paryżu laptop. Chambord sięgnął po telefon komórkowy.

Vaduz, Liechtenstein

Wciśnięte między Szwajcarię i Austrię księstwo Liechtenstein jest krajem często omi-janym przez zwykłych turystów i bardzo cenionym przez obcokrajowców, którzy potrzebują bezpiecznego miejsca, żeby przetransportować bądź ukryć pieniądze. Słynie z zapierającego dech w piersi piękna i z tego, że tamtejsze banki zawsze dochowują tajemnicy.

Na biegnącą wzdłuż Renu ulicę kładły się cienie, co bardzo mu odpowiadało. Wciąż ubrany jak zwykły Europejczyk, szedł szybko chodnikiem, unikając kontaktu wzrokowego z przechodniami, i wreszcie stanął przed drzwiami małego, skromnego domu, który dokładnie mu opisano. Zapukał trzy razy, odczekał kilka sekund, po czym zapukał znowu, cztery razy.

Trzasnęła zasuwka, drzwi się uchyliły.

- *Brit bate* - rzucił cicho Abu Auda. - Chcę wynająć pokój.

- *Mafahimtiks* - odpowiedział mężczyzna. - Nie rozumiem. Abu Auda powtórzył hasło i dodał:

- Tamci mają Mauritanie.

Drzwi otworzyły się szerzej i niski ciemnowłosy mężczyzna niespokojnie podniósł głowę.

- Tak?

Abu Auda odepchnął go i wszedł do środka. Był to jeden z głównych europejskich przystanków na *hawalala*, podziemnym arabskim szlaku, którym przewożono brudne pienią-

dze, by je wyprać i zainwestować. Ta rozległa, ściśle tajna sieć nie posiadała namacalnych kont, które mogłaby wytropić policja czy urząd skarbowy, wspierała finansowo nie tylko poszczególnych terrorystów, ale i sprawę, o którą walczyli. W minionym roku samą tylko siecią europejską przepłynęło prawie miliard dolarów USA.

- Skąd Mauritania brał pieniądze? - spytał po arabsku Abu Auda. - Z jakiego źródła? Z czyjego portfela?

- Dobrze wiesz, że nie mogę ci tego powiedzieć.

Abu Auda wyjął pistolet z kabury pod ramieniem. Gdy wycelował, niski człowieczek cofnął się o krok.

- Przetrzymują go ludzie dysponujący olbrzymimi funduszami - mówił Abu. - Nie nale-

żą do naszej sprawy. Wiem, że płacił mu doktor Chambord i kapitan Bonnard. Ale nie wierzę, żeby działali sami. Dlatego powiesz mi teraz wszystko, co wiesz, i dam ci spokój.

Gdzieś nad Francją

Pół godziny po starcie z Macon po kanapkach, które kupili na małym lotnisku, nie było już ani śladu. Jon, Peter i Randi kontynuowali dyskusję i analizowali sytuację.

- Jeśli już mamy ich *znaleźć*, lepiej zrobmy to szybko - mówił Howell. - Czas sprzyja im, nie nam. Zechcą załatwić to jak najwcześniej.

Jon kiwnął głową.

- Według planów Mauritanii, do ataku na Izrael miało dojść dziś rano. Ponieważ wiemy już, że mają gdzieś drugi komputer, są wolni i mogą bez przeszkód podróżować, myślę, że kupiliśmy sobie trochę czasu. Niewiele, ale cóż...

Randi zadrżała.

215

- Możemy nie zdążyć.

Słońce już zaszło i ziemię powoli spowijał mrok. W szarym zmierzchu rozciągało się przed nimi morze światła. Paryż. Patrząc na ten świetlisty ocean, Jon wrócił myślą do zamachu na Instytut Pasteura, od którego wszystko się zaczęło. Zdawało się, że od tamtej chwili minęły wieki, a przecież Fred Klein przyjechał do Kolorado nie dalej jak w ostatni poniedzia-

łek, żeby przydzielić Jonowi zadanie, które przepędziło go przez dwa kontynenty.

Teraz wiedzieli już, kogo ścigają, ale cena ewentualnej porażki wciąż była jedną wielką niewiadomą, chociaż zgadzali się co do tego, że będzie wysoka. Musieli znaleźć Emile'a Chamborda i jego komputer. A gdy już go znajdą, będą potrzebowali zdrowego i przytomnego Marty'ego.

Rozdział 34

Paryż, Francja

Doktor Lochiel Cameron widział, że pacjent jest poirytowany. Lek przestawał działać i Marty Zellerbach krążył po pokoju sztywnym, niezdarnym krokiem, podczas gdy on siedział

w wygodnym fotelu i obserwował go z wyrazem lekkiego rozbawienia na twarzy. Był człowiekiem wyrozumiałym i optymistycznie nastawionym do życia. Widział w tym życiu wystarczająco dużo krwawych wojen, by stwierdzić, że cofanie zegara biologicznego podstarza-

łych osobników płci obojga, krajanie ich i zszywanie w ekskluzywnej prywatnej klinice chirurgicznej jest zajęciem całkiem do przyjęcia.

- A więc martwi się pan o przyjaciół.

Marty przestał chodzić i wyraźnie poruszony zamachał swymi pulchnymi rękami.

- Co oni tam robią? Rozkładam się i gniję w tej pańskiej luksusowej, horrendalnie -

wprost przestępczo! - drogiej rzeźni, a oni co? Jak długo można jechać do Grenoble? Czy Grenoble leży na Plutonie?!

I znowu zaczął nerwowo chodzić. Zasunięte kotary, ładne meble, ciepłe światło - żadne tam świetlówki, tak popularne w innych szpitalach - ożywczy zapach świeżo ściętych peonii w wazonie: pokój był bardzo przytulny, ale on tego nie zauważał. Myślał tylko o jednym: gdzie są Jon, Randi i Peter? Bał się, że pojechali do Grenoble nie po to, żeby ratować Jona od pewnej śmierci, tylko po to, żeby tam zginąć.

- Jest pan zdenerwowany - rzucił doktor Cameron.

Marty zatrzymał się w pół kroku i spojrzał na niego z wyrazem przerażenia na twarzy.

- Zdenerwowany? - powtórzył. - Zdenerwowany! Tak pan myśli? Nie, ja jestem zrozpaczony! Oni mają kłopoty, wiem, że mają kłopoty. Są ranni. Leżą gdzieś w kałuży własnej krwi! - Zacisnął ręce i z błyszczący mi oczami mocno nimi potrząsnął. - Już wiem. Uratuję ich. Tak! Rzucę się z góry jak orzeł i wyrwę ich ze szponów zła. Tylko najpierw muszę się dowiedzieć, gdzie są...

Otworzyły się drzwi, więc spojrzał w tamtą stronę, gotów dopiec każdemu, kto śmiał

mu przeszkodzić.

Ale w progu stał Jon, wysoki, muskularny, wprost olbrzymi w krótkiej, skórzanej kurtce. Choć twarz miał poharataną, uśmiechał się do niego uśmiechem szerokim jak Atlantyk.

Tuż za nim tłoczyli się uśmiechnięci Randi i Peter. Dorastając, Marty nie umiał odczytywać ludzkich emocji. Ustalenie, że zakrzywione do góry kąci ust oznaczają uśmiech, czyli radość, że zmarszczone czoło może być oznaką smutku, gniewu czy złości, zabrało mu sporo czasu. Ale teraz wyczuł, że jego przyjaciele są szczęśliwi, acz niespokojni, jakby zaraz mieli ponownie wyjść. Działo się coś niedobrego i dzielnie próbowali sprostać sytuacji.

Weszli do pokoju.

- Wszystko w porządku - powiedział Jon. - Jesteśmy cali i zdrowi. Cieszę się, że cię wi-dzę. Niepotrzebnie się martwiłeś.

Marty radośnie krzyknął i natychmiast się nachmurzył.

- W samą porę. Mam nadzieję, że dobrze się bawiliście. – Dumnie podniósł głowę. -

Natomiast ja wegetowałem w tej rzeźni w towarzystwie tego... - Łypnął spode łba na Camerona. - Tego szkockiego fryzjerczyka.

Cameron cicho zachichotał.

217

- Jak sami widzicie, jest w świetnej formie - powiedział. - Niedługo w pełni odzyska zdrowie. Mimo to lepiej by było, gdybyście oszczędzili mu ran i wstrząsów. Od czasu do czasu miewa zawroty głowy i mdłości. Trzeba prześwietlić mu czaszkę.

Marty zaczął protestować, ale Smith roześmiał się i objął go ramieniem.

- Cóż, przynajmniej wróciliście. - Marty otaksował ich uważnym spojrzeniem. - I chyba w jednym kawałku.

- Zgadza się, chłopcze - zapewnił go Howell.

- Dzięki Randi i Peterowi - dodał Smith.

- Na szczęście, Jon był w dobrym nastroju i łaskawie pozwolił się uratować - wyjaśniła Randi.

Smith już miał zabrać rękę, lecz w tym samym momencie Marty odwrócił się szybko, mocno go

uściskała, cofnęła się o krok i cichym głosem powiedział:

- Do licha, napędziłeś mi strachu. Tak się cieszę, że już nic ci nie grozi. Bez ciebie to nie to samo. Długo myślałem, że już nie żyjesz, naprawdę. Nie mógłbyś prowadzić spokojniej-szego trybu życia?

- Tak jak ty? - W ciemnoniebieskich oczach Smitha rozbłysły wesołe ogniki. - Przecież to ty oberwałeś w tym zamachu, nie ja.

Marty westchnął.

- Wiedziałem, że to wyciągniesz.

Gdy doktor Cameron pożegnał się i wyszedł, troje zmęczonych, wymiętych ludzi ciężko opadło na fotele. Marty spulchnił poduszki, ułożył je w stertę i usiadł na łóżku niczym sułtan na bawełnianym tronie.

- Widzę, że coś jest nie tak - powiedział. - Czyli to jeszcze nie koniec? Miałem nadzieję, że nareszcie wrócimy do domu.

- Marzenia. - Randi zdjęła przepaskę, rozwiązała kucyk, rozpuściła włosy i rozmasowała sobie skronie. Miała mocno podkrążone oczy. - Tamci wkrótce zaatakują. Obyśmy tylko zdążyli...

- Gdzie? - przerwał jej Marty. - Kiedy?

Żeby zaoszczędzić czas, Smith streścił mu jedynie najważniejsze wydarzenia, jakie mia-

ły miejsce od chwili jego schwytania, i zakończył wnioskiem, że Emile Chambord z kapitanem Bonnardem wykorzystywali Tarczę Półksiężycy nie tylko do brudnej roboty, ale i jako przykrywkę. Teraz obydwaj zniknęli, a Teresa przepadła wraz z nimi.

- Moim zdaniem - zakończył - mają drugi komputer. To możliwe?

Marty usiadł prosto.

- Drugi? Ależ oczywiście! Emile miał dwa, żeby przetestować po szczególne sekwencje molekularne pod kątem możliwości, wydajności i szybkości działania. Komputer molekularny koduje każdy problem w języku DNA, za pomocą czterech podstawowych wartości, A, T, C i G. Jeśli wykorzystać ten ciąg jak ciąg wartości liczbowych, łańcuch DNA może...

- Wielkie dzięki, staruszkule - przerwał mu Smith - ale najpierw do kończ poprzednią myśl.

Marty szybko zamrugał, popatrzył na ich nic nierozumiejące twarze i teatralnie westchnął.

- Cóż, dobrze. - I momentalnie podjął przerwany wątek. - Tak więc drugi komputer Emile'a zniknął. Puf! I nie majak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Emile rozmontował go, twierdząc, że

ponieważ jesteśmy tak blisko ostatecznego sukcesu, nie ma sensu zawracać sobie głowy duplikatem. Nie bardzo rozumiałem, ale to on podejmował decyzje, nie ja. Usunęliśmy wszystkie błędy i pozostawało nam jedynie wyregulować system główny.

- Kiedy ten drugi komputer zniknął? - spytała Randi.

- Niecałe trzy dni przed zamachem na instytut, chociaż wszystkie najważniejsze problemy rozwiązaliśmy już ponad tydzień wcześniej.

218

- Musimy go znaleźć... Czy Chambord wychodził z laboratorium na dłuższy czas?

- Nie pamiętam. Często tam sypiał, kazał nawet wstawić łóżko i...

- Pomyśl, Marty - nie ustępował Howell. - Nie wychodził? Nigdy? Nawet na kilka godzin?

Marty w skupieniu ściągnął usta.

- Zwykle szedłem do hotelu, żeby się trochę przespać, więc...

Wciąż myślał, wciąż analizował dane jak komputer. Jego umysł odtwarzał wydarzenia minuta po minucie, dzień po dniu, analizował wszystko, co zaszło od chwili wybuchu bomby w Instytucie Pasteura. Obwody neurologiczne dzieliły się informacjami, wymieniały je we wstecznej chronologii, aż wreszcie znalazły tę poszukiwaną.

- Tak! - Energicznie kiwnął głową. - Dwa razy! Tuż przed zniknięciem drugiego komputera powiedział, że ma ochotę na pizzę. Jean-Luc gdzieś wybył, nie pamiętam już gdzie, więc poszedłem za niego. Zajęło mi to najwyżej kwadrans, a kiedy wróciłem, Emile'a nie było.

Przyszedł piętnaście minut później i wstawiliśmy pizzę do mikrofalówki.

- Więc w sumie nie było go co najmniej pół godziny, tak?

- Tak.

- A za drugim razem? - spytała Randi.

- Dzień po zniknięciu drugiego komputera wyszedł prawie na sześć godzin. Powiedział, że jest zmęczony, jedzie do domu przespać się we własnym łóżku. Naprawdę leciał z nóg. Ja też.

- A więc w dniu, kiedy zniknął komputer, Chambord wyszedł tylko na chwilę. Ale nazajutrz przepadł aż na sześć godzin... Myślę, że pierwszego wieczoru zawiózł go do domu, a drugiego do miejsca

oddalonego o mniej więcej trzy godziny jazdy od Paryża.

- Trzy godziny jazdy czym? - wtrącił Howell. - Samochodem? Czemu nie pociągiem? A może poleciał samolotem?

- Komputer jest za duży - odrzekł Smith. - Ma za dużo części, jest niewygodny do przenoszenia. Widziałem go. Laptop to to nie jest.

- Właśnie - powiedział Marty. - Potrzeba by było furgonetki, żeby go przewieźć, nawet po rozłożeniu na części. A Emile na pewno przewoził go sam, bo nikomu innemu by nie zaufał. - Smutno westchnął. - To niesamowite. Potworne i niesamowite. Niesamowicie potworne.

Howell zmarszczył brwi.

- W trzy godziny mógł dojechać cholernie daleko, od Brukseli po Bretanię. Nawet gdybyśmy szukali miejsca oddalonego o niecałe dwie godziny, musielibyśmy przeczesać setki kilometrów kwadratowych. - Zerknął na Marty'ego. - A ta twoja maszyna? Nie namierzy ja-koś tego przeklętego komputera?

- Przykro mi, Peter. - Marty pokręcił głową, wziął ze stolika laptop i ustawił go sobie na kolanach. Modem był już podłączony. - Nawet gdyby Emile nie zmienił zabezpieczeń, które sami zaprojektowaliśmy i zainstalowaliśmy, nie dysponowałbym wystarczającą mocą obliczeniową, żeby się przez nie przebić. No i nie zapominajcie, że miał mnóstwo czasu i mógł je zmodyfikować. A mamy do czynienia z najszybszym, najpotężniejszym komputerem w świecie. Ta maszyna zmienia kody dostępu tak szybko, że nie nadąży za nią nic, czym obecnie dysponujemy.

- W takim razie po co to włączyłeś? - spytał Jon. - Wchodzisz na Internet?

- Spryziula z ciebie - odrzekł wesoło Marty. - Tak, chcę się podłączyć do mojego domowego komputera. Będę obsługiwał go stąd, z łóżka. Mam nadzieję, że dzięki mojemu specjalnemu oprogramowaniu to, co wam powiedziałem, okaże się kłamstwem. Nie mamy nic do stracenia, poza tym będziemy mieli kupę zabawy... - Nagle urwał i zdumiony wytrzeszczył

oczy. - O Boże! Co za ohydna sztuczka. Niech cię szlag trafi, Emile'u. Wykorzystałeś moją hojność!

219

- Co się stało? - Smith podszedł szybko do łóżka i spojrzał na ekran laptopa. Widniała na nim napisana po francusku wiadomość.

- Co się stało? - powtórzyła zaniepokojona Randi.

Marty nie odrywał oczu od ekranu.

- Jak śmiesz bezcześcić sanktuarium mojego systemu! – wysyczał rozwścieczony. -

Ty... ty wstrętny satrapo! Zapłacisz mi za to! Zapłacisz!

Jon przeczytał wiadomość na głos, tłumacząc ją na angielski:

- „Martin, musisz być ostrożniejszy. Twoje oprogramowanie jest genialne, ale temu komputerowi nic się nie oprze. Zdjąłem cię z sieci, pozamykałem wszystkie bramki, zablokowałem cały system. Jesteś bezradny. Uczeń musi ustąpić mistrzowi. Emile”.

Marty wojowniczo podniósł głowę.

- Nie pokonasz mnie. Jestem paladynem, a paladyn zawsze broni prawdy i sprawiedliwości. Przechytrzę cię, dorwę! Tak cię wykołuję, że...

Jego palce zatańczyły po klawiaturze. Maksymalnie skupiony, próbował ożywić swój domowy komputer. Randi, Jon i Peter obserwowali go w ponurym napięciu. Czas uciekał, uciekał stanowczo za szybko. Musieli znaleźć Chamborda i jego prototyp.

Palce Marty'ego zwolniły. Jego twarz pokryła się kropelkami potu. Zrozpaczony podniósł wzrok.

- Dorwę go - powiedział. - Ale nie tym sposobem.

Przedmieścia Bousmelet nad Sekwaną, Francja

Pracujący w średniowiecznej zbrojowni Emile Chambord śledził rząd cyfr na ekranie monitora. Zgodnie z oczekiwaniami, Zellerbach połączył się ze swoim domowym komputerem w Waszyngtonie, lecz gdy tylko przeczytał wiadomość, system splątał mu psikus i się wyłączył. Chambord wybuchnął śmiechem. Przechytrzył tego aroganckiego jankesa. I miał

teraz ślad, mógł go teraz namierzyć. Szybko zastukał w klawisze klawiatury.

- Panie doktorze?

Podniósł wzrok.

- No i...? - spytał. - Ma pan jakieś wiadomości?

- Kapitan Bonnard usiadł na krześle przy biurku.

- Właśnie dostałem meldunek z Paryża. - Miał niewesołą minę. - Nasi ludzie pokazali zdjęcie Zellerbacha sprzedawcy. Sprzedawca twierdzi, że to nie on kupił laptop, jakiś mąż-

czyzna zapłacił jego kartą. Wyglądało na to, że przysłał go Smith, ale kiedy sprawdziliśmy kopię rachunku, okazało się, że jest na niej waszyngtoński adres Zellerbacha, nic więcej. Ani paryskiego adresu, ani telefonu. Moi ludzie przeczesali miasto z jego zdjęciem. I znowu nic.

Nikt go nie rozpoznał.

Chambord uśmiechnął się leciutko.

- Nie poddawaj się, przyjacielu, nie poddawaj. Właśnie się czegoś nauczyłem: ten komputer jest tak potężny, że musimy zmienić nasz sposób myślenia, gdyż to, co niemożliwe, staje się teraz możliwe.

Bonnard założył nogę na nogę i niecierpliwie poruszył stopą.

- Znalazł pan inny sposób? Musimy go namierzyć. On za dużo wie, za dużo rozumie.

Teraz nas nie powstrzyma, ale potem... Nasze plany mogłyby lec w gruzach. Musimy go szybko wyeliminować. Jego i pozostałych.

Chambord z trudem ukrył irytację. Wiedział, o co toczy się gra, lepiej od niego.

- Mieliśmy szczęście, bo doktor Zellerbach odwiedził swój domowy komputer. Wiedzia-

łem, że robi to ostrożnie, że połączy się najpierw z serwerami w innych krajach, żeby jak po łańcuszku trafić w końcu do Waszyngtonu. Im więcej serwerów, im więcej aliasów, tym trud-

niej go wytropić, ale cóż...

- I dał pan radę? - spytał Bonnard. - To standardowa procedura stosowana do zatarcia śladów. Standardowa dlatego, że niezwykle skuteczna.

- Skuteczna, ale ten komputer nie zna skutecznych procedur - odparł z przekonaniem Chambord i zastukał palcami w klawiaturę. - Za kilka minut będziemy mieli jego paryski numer telefonu. Potem wystarczy tylko sprawdzić, pod jakim mieszka adresem. A jeszcze potem... Mam pewien plan, który położy kres wszelkim pościgom.

Paryż, Francja

Sytuacja wygląda następująco - podsumował Smith. - Pracują nad tym wszystkie trzy agencje. Rządy naszych krajów zostały postawione w stan najwyższego pogotowia. Naszym zadaniem jest zrobić to, czego oni zrobić nie mogą. Z tego, co powiedział Marty, wynika, że drugi prototyp, Chambord i Bonnard znajdują się mniej więcej trzy godziny jazdy od Paryża.

Co jeszcze wiemy, a czego nie wiemy?

- Wielki, bujający w obłokach naukowiec i francuski oficer - myślała na głos Randi. -

Ciekawe, czy zrobili to sami.

- Mnie też to zastanawia. - Smith pochylił się w fotelu. Miał spiętą twarz. - Moim zdaniem nie. Moim zdaniem to ktoś inny pociąga za sznurki. Na pierwszy rzut oka kapitan Bonnard nie ma żadnego związku z zamachem na instytut. Baskowie „uprowadzają” Chamborda i przewożą go do Toledo, gdzie czekają na nich ci z Tarczy Półksiężycy. Potem wracają do Pa-ryża, porywają Teresę i wiozą ją w to samo miejsce. Mauretania bywa to w Paryżu, to w Toledo, tymczasem Chambord i Bonnard widzą się pierwszy raz dopiero w Algierii. Mauritania myśli, że są jego wspólnikami i wierzy im aż do Grenoble. Tak więc, kto to wszystko nadzoruje i koordynuje? Kto wydaje polecenia i podejmuje decyzje? Na pewno ktoś blisko związa-ny i z Chambordem, i z Bonnardem.

- Ktoś, kto ma pieniądze - dodał Howell. - Taka operacja sporo kosztuje. Kto za to pła-ci?

- Na pewno nie Mauritania - odrzekła Randi. - Langley twierdzi, że odkąd przestał

współpracować z Bin Ladenem, jego konto bankowe bardzo się skurczyło. Poza tym skoro Chambord i Bonnard wykorzystywali Tarczę Półksiężycy jako przykrywkę, na pewno byli inicjatorami tej współpracy, dlatego prawdopodobne jest również, że rachunki wystawia no na ich nazwisko. Ale bardzo wątpię, żeby naukowiec i francuski kapitan mieli takie pieniądze.

- Na pewno nie Emile - ożył Marty. - Nie, nie. - Pokręcił głową. - Emile nie jest boga-czem, żył bardzo skromnie. Poza tym z trudem utrzymywał porządek w swoich szufladach.

To niemożliwe, żeby zdołał kierować tyloma ludźmi i rozporządzać takimi kwotami.

- Przez chwilę myślałem, że to Bonnard - powiedział Smith. - Zaczynał jako zwykły żołnierz i doszedł do stopnia kapitana. To godne podziwu. Mimo to nie wygląda mi na przywódcę, organizatora i na mózg tej imprezy. Nie, Napoleonem to on nie jest. Według akt, jego obecna żona pochodzi ze starej, szacownej francuskiej rodziny. Są bogaci, ale nie aż tak. Tak więc Bonnard odpada, chyba że coś przeoczyłem.

Oni rozmawiali, tymczasem Marty skrzyżował ręce na piersi i zakopał się w swoich po-duszkach. Zamknął oczy i przez trójwymiarowy melanz barw, dźwięków i zapachów odpłynął

myślą w przeszłość. Badał ją pamięcią, z radosną wyrazistością wspominał chwile spędzone w laboratorium z Emile'em, ich ekscytujące sukcesy, rozmowy, burze mózgów, wspólne po-siłki, długie dni i jeszcze dłuższe noce, zapach chemikaliów i rozgrzanego sprzętu. Ściany laboratorium wyglądały coraz bardziej swojsko, czuł się między nimi prawie jak w domu i nagle...

Tak! Rozkrzyżował ręce, usiadł prosto, otworzył oczy. Pamiętał. Doskonale pamiętał, jak wyglądało laboratorium i gabinet.

- Mam! - oznajmił głośno.

Popatrzyli na niego.

222

- Co masz? - spytał Jon.

- Napoleona! - Marty królewskim gestem rozłożył ramiona. - Wspomniałeś o Napoleonie i wtedy sobie przypomniałem. Szukamy anomalii, czegoś, co nie pasuje. Osobliwości wskazującej na braki w równaniu. Jeśli analizuje się informację w taki sam sposób, otrzymuje się te same odpowiedzi. Całkowita strata czasu.

- Dobra, czego tu brakuje? - ponaglał Smith.

- Dlaczego - odrzekł Marty. - Brakuje „dlaczego”. Dlaczego Emile to robi? Może odpowiedzią jest Napoleon.

- Robi to dla Napoleona? - rzucił Howell. - I to jest ta genialna myśl?

Marty gniewnie zmrużył oczy.

- Dziwne, że nie pamiętasz. Przecież ci o tym mówiłem. – Podczas gdy Peter wyteżał

pamięć, żeby przypomnieć sobie, czy w ogóle kiedyś rozmawiali o Napoleonie, podekscytowany Marty pokręcił głową. - Reprodukacja. Początkowo myślałem, że jest zupełnie nieważ-

na, ale teraz... Oto nasza anomalia.

- Jaka reprodukcja?

- Na ścianie laboratorium wisiała piękna reprodukcja – wyjaśnił Marty. - Oryginał namalował Jacques-Louis David, słynny francuski malarz z przełomu dziewiętnastego i dwudziestego wieku. *Le Grande Armie 's...* Nie pamiętam, jak to idzie po francusku. *Powrót wielkiej armii spod Moskwy.* - Postawił laptop na stoliku i nie mogąc usiedzieć na miejscu, zeskoczył z łóżka. - Napoleon

przerażony. Napoleon w strachu. Ale kto by się na jego miejscu nie bał?

Facet zdobył Moskwę, a potem musi się wycofać, bo ktoś spalił miasto. Nie ma nic do jedzenia, a tu mroźna zima. Wyruszył na Rosję z ponad czterystoma tysiącami żołnierzy, a kiedy wreszcie dotarł do Paryża, zostało mu ich niecałe dziesięć tysięcy. Dlatego na obrazie ma nisko spuszczoną głowę. O tak. - Marty to zademonstrował. - Jedzie na wielkim, białym koniu, a żołnierze jego starej gwardii w żałosnych łachmanach brną przez śnieg. Smutne.

- I ta reprodukcja zniknęła z laboratorium? Kiedy?

- W dzień zamachu. Kiedy przyszedłem po książkę, najpierw wstrząsnął mną widok tego trupa. Potem zauważyłem, że nie ma komputera. A jeszcze potem, że reprodukcja też zniknę-

ła. Wtedy uznałem to za nieważne, zwykły przypadek. Ale teraz myślę, że to bardzo, ale to bardzo dziwne. Musimy nad tym popracować.

- Po co Baskowie z Czarnego Płomienia mieliby kraść reprodukcję obrazu przedstawiającego francuską tragedię sprzed dwóch stuleci? - zastanawiała się Randi.

Marty zatarł ręce.

- Może wcale jej nie ukradli. Może zabrał ją Emile!

- Ale po co? Przecież to nie był oryginał, tylko...

- Marty chce nam powiedzieć - przerwał jej Smith - że wskazuje to na stan umysłu Chamborda w chwili, gdy odchodził z laboratorium z terrorystami. Że może tkwić w tym wyjaśnienie motywów jego postępowania.

Howell podszedł do okna. Odchylił kotarę i wyjrzał na ulicę.

- Nie wspominałem wam o tym, ale MI-6 zważyło mi na łeb pewien mały problem - powiedział. - Kilka dni temu zginął jeden z naszych generałów. Ważny gość, sir Arnold Moore.

Wracał do Londynu i jego myśliwiec wyleciał w powietrze. Miał przekazać premierowi coś tak ważnego i tajnego, że nie chciał rozmawiać z nikim innym.

- Nie było żadnych przecieków? - spytał szybko Jon. - Nic a nic?

- Podobno chodziło o kłopoty z waszymi systemami elektronicznymi. Po tym pierwszym ataku, o którym powiadomiliście tylko nas. - Howell opuścił kotarę i wrócił na fotel. - Pogadałem, z kim trzeba, i sprawdziłem, co sir Arnold robił tego krytycznego dnia. Okazuje się, że na pokładzie francuskiego lotniskowca „Charles de Gaulle” miało miejsce spotkanie wysoko postawionych generałów. Był tam nasz Moore i generałowie z Francji, Włoch, Hiszpanii i Niemiec; Niemcy reprezentował niejaki Otto Bittrich. A teraz najważniejsze: spotkanie było 223

ściśle tajne. W wojsku to niby zwykła rzecz, ale z drugiej strony, zorganizował je osobiście dobry znajomy Jona, najważniejszy francuski generał i przedstawiciel Francji w NATO, Roland la Porte. Rozkaz wypłynięcia tego wielkiego, kosztownego lotniskowca w morze przyszedł ponoć z NATO. Sęk w tym, że nikt z NATO go nie wydał.

- La Porte jest zastępcą naczelnego dowódcy Połączonych Sił Zbrojnych NATO w Europie - zauważył Smith.

- Właśnie - rzekł Howell ze spiętą, poważną twarzą.

- A Bonnard jest jego adiutantem.

- Otóż to.

Jon zamilkł, trawiąc tę informację.

- Ciekawe... Myślałem, że Bonnard wykorzystuje La Porte'a, ale może jest odwrotnie?

La Porte przyznał, że ich najwyższe dowództwo wojskowe i on sam bardzo interesują się Chambordem i postępami prac nad komputerem. A gdyby tak La Porte interesował się rym bardziej niż inni i zatrzymywał wszystko dla siebie? Poza tym mówił, że on i Chambord są bliskimi przyjaciółmi.

Marty przestał chodzić. Howell powoli skinął głową.

- To straszne, ale trzyma się kupy - rzuciła Randi.

- Poza tym La Porte ma pieniądze - dodał Marty. - Emile dużo o nim mówił. Podziwiał

go jako prawdziwego patriotę, który kocha Francję i widzi jej przyszłość. Mówił też, że generał jest piekielnie bogaty.

- Na tyle bogaty, żeby to wszystko sfinansować? - spytał Smith.

Spojrzeli na Marty'ego.

- Chyba tak.

- Niech mnie gęś kopnie - mruknął Peter. - Zastępca naczelnego dowódcy Połączonych Sił Zbrojnych...

- Niewiarygodne - szepnęła Randi. - Pracując w NATO, miał do dyspozycji niemal wszystko, nawet „De Gaulle'a”.

Jonowi przypomniał się ten wielki, majestatyczny Francuz, tak dumny i podejrzliwy.

- Chambord powiedział, że La Porte kocha Francję i widzi jej przyszłość, a Napoleon był i wciąż

jest symbolem jej świetności i wielkości. Jedyłą rzeczą - oprócz komputera - któ-

rażę zabrał tamtej nocy z laboratorium, była reprodukcja obrazu przedstawiającego początek końca najświetniejszego cesarza Francji. Początek końca francuskiej wielkości. Myślicie o tym samym, co ja?

- Chyba tak - odrzekł Howell. - Chwała Francji.

- W takim razie ja też dostrzegłem pewną anomalię – kontynuował Jon. - Widziałem to przelotnie i uznałem za nieważne, ale teraz...

- Co widziałeś? - spytał Marty.

- Zamek. Zamek z ciemnoczerwonego kamienia. W rezydencji La Porte'a wisiał taki obraz. Potem widziałem fotografię zamku w jego natowskim gabinecie. Obraz musi być dla niego ważny. Tak ważny, że nie chce się z nim rozstawać.

Marty podbiegł do stolika i otworzył laptop.

- Zaraz go sobie obejrzymy. A potem sprawdzę, czy Emile nie mylił się co do fortuny La Porte'a.

Randi spojrzała na Petera.

- O czym oni na „De Gaulle'u" rozmawiali? - spytała. - To by wiele wyjaśniło.

- Trzeba by się dowiedzieć, prawda? - Howell ruszył do drzwi. - Bądź tak dobra i przekręć do Langley. Jon, ty zadzwoń do swoich.

Ponieważ jedyną linię w separacie zajął Marty i modem jego komputera, pobiegli do innych telefonów.

224

Smith skorzystał z aparatu w gabinecie doktora Camerona.

- Znalazłeś Chamborda i tę piekielną maszynę? - warknął bez wstępów Klein.

- Chciałbym. Fred, opowiedz mi coś więcej o Bonnardzie i jego generale. Dokładnie, co ich łączy i dlaczego?

- Już ci mówiłem, to długa historia...

- Czy to możliwe, żeby Bonnard skaptował La Porte'a? Żeby to on za tym stał?

Klein myślał przez chwilę.

- Generał uratował mi kiedyś życie. Podczas Pustynnej Burzy, kiedy Bonnard był jeszcze starszym sierżantem. Twierdzi, że wszystko mu zawdzięcza, ale już ci o tym...

- W takim razie czego mi nie powiedziałeś?

Tym razem Klein myślał znacznie dłużej, a potem podał mu garść szczegółów.

- Co się tam dzieje? - spytał. - Cholera, mamy coraz mniej czasu. Czuję się jak skazaniec na szafocie przed egzekucją. Czemu tak nagle zainteresowałeś się Bonnardem i La Porte-

'em? Masz coś nowego? Planujesz coś? Oby.

Smith powiedział mu o drugim prototypie komputera.

- Co takiego?! - ryknął Klein. - Drugi?! Miałeś okazję, czemu tego sukinsyna nie zabiłeś?!

Jon też się spienił.

- Cholera jasna - warknął. - Przecież nikt z nas nie wiedział o drugim komputerze!

Chciałem uratować Chamborda, żeby mógł kontynuować pracę dla dobra nas wszystkich. Zaryzykowałem w dobrej wierze.

Nie miałem pojęcia, że to jedna wielka maskarada, a wodzirejem jest Chambord. Ty też nie. Klein się uspokoił.

- Dobrze, co było, to było. Jon, musimy dorwać ten komputer. Jeśli wiesz, gdzie jest i masz jakiś plan, chcę o tym wiedzieć.

- Nie mam żadnego planu i nie wiem, gdzie to cholerstwo jest. Na pewno we Francji. Je-

śli zaatakują, zrobią to wkrótce. Ostrzeż prezydenta. Skontaktuję się z tobą, gdy tylko dowiem się czegoś konkretnego.

Jon odłożył słuchawkę i pobiegł do pokoju Marty'ego.

Zirytowany Howell rozmawiał z gabinetu głównego księgowego kliniki, zmagając się ze swoją kulawą niemczyzną.

- Panie generale, pan nie rozumie. To jest...

- Rozumiem, że MI-6 żąda ode mnie informacji, której nie mam, Herr Howell - przerwał mu Bittrich.

- Panie generale, wiem, że uczestniczył pan w spotkaniu na podkładzie „De Gaulle'a”.

Wiem też, że uczestniczył w nim jeden z naszych generałów, sir Arnold Moore, który zginął

kilka dni temu. Pewnie pan tego nie wie, ale śmierć sir Arnolda nie była przypadkowa. Ktoś chciał go zabić. Mam powody przypuszczać, że ten ktoś chce wykorzystać komputer molekularny do zneutralizowania amerykańskich systemów obronnych i do przeprowadzenia ataku na ten kraj. Dlatego musi mi pan powiedzieć, o czym na tym spotkaniu rozmawialiście. To niezmiernie ważne.

Zapadło milczenie.

- A więc Moore'a zamordowano? - spytał w końcu Bittrich.

- W jego samolocie podłożono bombę. Leciał do Londynu, żeby poinformować premiera o waszym tajnym spotkaniu. Dlatego do pana dzwonię. Czego się dowiedział? Co było aż tak ważne, że ktoś nie zawahał się go zabić, żeby nie mógł skontaktować się z premierem?

- To na pewno była bomba?

225

- Tak. Wyłowiliśmy z morza kadłub. Został dokładnie zbadany. Nie ma żadnych wątpliwości.

Ponownie zapadła długa, pełna napięcia cisza.

- Dobrze - powiedział w końcu Bittrich. Mówił powoli, starannie dobierając słowa, tak żeby każde z nich miało swoją wagę i znaczenie. - Generał La Porte pragnie całkowicie zintegrowanej europejskiej armii, niezależnej od USA. Armie natowskie nie odpowiadają jego ce-lom, podobnie jak zbyt małe jego zdaniem siły szybkiego reagowania Unii Europejskiej. Ma wizję Europy prawdziwie zjednoczonej, supermocarstwa, którego potęga przewyższyłaby po-tęgę Stanów Zjednoczonych. Uważa, że trzeba skończyć z ich hegemonią. Że Europa jest w stanie z nimi rywalizować. Że jeśli tego nie zrobimy i nie zajmiemy słusznego nam miejsca, staniemy się kolejnym wasalem Ameryki, a w najlepszym razie wielką, faworyzo-waną przez Waszyngton kolonią, kolonią służalczo podległą interesom Białego Domu.

- Twierdzi pan, że generał chce wojny ze Stanami Zjednoczonymi?

- Uważa, że na wielu frontach już ją prowadzimy.

- A pan, panie generale? Zgadza się pan z jego poglądami?

Bittrich nie odpowiedział od razu.

- Pod wieloma względami tak, Herr Howell.

- Słyszę wahanie w pańskim głosie. Co generał Moore chciał przekazać mojemu premierowi?

Bittrich ponownie zamilkł i długo milczał.

- Myślę - odrzekł w końcu - że generał La Porte zamierza dowieść swoich racji, de-monstrując światu, że Stany Zjednoczone nie są w stanie się obronić.

- Ale jak? W jaki sposób? - spytał Howell. Odpowiedzi słuchał z narastającym niepokojem.

Randi, która korzystała z tej samej budki telefonicznej co poprzednio, z trzaskiem od-wiesiła słuchawkę. Była zła i zdenerwowana. Langley nie wiedziało nic nowego ani o generale La Porte, ani o kapitanie Bonnardzie. Wracała na górę z nadzieją, że Jonowi i Peterowi po-szło lepiej.

Jon czuwał przy oknie, obserwując ulicę, Marty wciąż siedział na łóżku z laptopem na kolanach.

- *Nada* - rzuciła, zamykając za sobą drzwi. - Nic nie wiedzą.

- Ja coś mam - odrzekł Smith. - Podczas Pustynnej Burzy La Porte uratował Bonnardowi życie. Dlatego Bonnard jest mu bezgranicznie wierny i uważa, że La Porte to największy generał w historii Francji. - Ponownie wyrzwał na ulicę. Przez chwilę wydawało mu się, że widzi sylwetkę człowieka przemykającego chyłkiem kilkadziesiąt metrów dalej. - Zrobi wszystko, dosłownie wszystko, o co generał go poprosi, a potem będzie czekał na kolejną okazję, żeby sprawić mu przyjemność i zademonstrować swoją lojalność. -Zerknął w lewo.

Tamten człowiek zniknął. Ulicą przejechał samochód. Chodnikiem przed kliniką szło kilku przechodniów.

- Proszę, proszę, cóż za fortuna... - Marty spojrział na nich znad ekranu laptopa. - Generał

La Porte i jego rodzina są warci setki milionów dolarów. Według najnowszych danych, coś około pół miliarda.

- Z taką kasą można zaszaleć - mruknął Jon. - Starczyłoby na nie jedną operację terrorystyczną.

- O tak - powiedział Marty. - Poza tym doskonale pasuje do naszego profilu. Im dłużej o tym myślę, tym więcej mi się przypomina, wiesz? Emile. Jak mówił o Francji. O tym, że Francja nie cieszy się należnym szacunkiem. Że ma wspaniałą historię i gdyby tylko u steru władzy stanęli odpowiedni ludzie, jej przyszłość byłaby jeszcze wspanialsza. Czasami zapo-226

minał, że jestem Amerykaninem, i wymykało mu się coś irytującego. Pamiętam, kiedyś bardzo wychwalał La Porte'a. Twierdził, że jest wspaniałym przywódcą, marnuje się na swoim obecnym stanowisku, zasługuje na coś lepszego, a musi służyć pod dowództwem Amerykanina...

- Pod dowództwem Henzego - wtrącił Jon. - Mówił o Carlosie Henze, naczelnym dowódcy wojsk sojuszników NATO.

- Tak, ale nie chodziło mu konkretnie o niego. Chodziło mu o to, że Henze jest Amerykaninem. Widzisz? Wykryta przeze mnie anomalia sporo wyjaśnia. Teraz jest już jasne, dlaczego Emile zabrał tę reprodukcję. Jest dla niego inspiracją: Francja powstanie z kolan.

- Pół miliarda dolarów? - powtórzyła Randi. - I znalazłeś to w Internecie?

- Jasne, to betka. Najpierw ustaliłem, w którym banku ma konto. Potem wprowadziłem tam pewien mały programik, obszedłem zabezpieczenia, zajrzałem, ściągnąłem historię rachunku i zwiąłem

- Co z tym czerwonym zamkiem? - spytał Smith.

Marty zrobił skruszoną minę.

- Zapomniałem. Ten La Porte jest tak fascynujący, że... Zaraz poszukam.

Do pokoju wpadł Howell. Miał spiętą twarz.

- Rozmawiałem z Bittrichem. Spotkanie na „De Gaulle'u" zwołał La Porte, żeby przepchnąć sprawę zintegrowanej armii europejskiej, a z czasem całkowicie zjednoczonej Europy.

Bittrich był cholernie ostrożny, nie chciał nic mówić, ale kiedy powiedziałem mu, że Moore'a zamordowano, w końcu puścił farbę. Moore'a - i jak się okazuje Bittricha - zaniepokoiło to, że La Porte tak często powracał do sprawy awarii amerykańskich systemów elektronicznych i łącznościowych, sugerując, a właściwie robiąc aluzje, że na tym nie koniec. Miał to być dowód na to, że amerykańskie siły zbrojne nie są w stanie obronić nawet własnego kraju.

Jon uniósł brwi.

- Kiedy byli na „De Gaulle'u", La Porte nic nie wiedział o tych awariach. Nie mógł. Na-si powiadomili o tym tylko najwyższych przywódców brytyjskich.

- Właśnie. Mógłby o nich wiedzieć tylko wtedy, gdyby sam je zorganizował. Tam, na

„De Gaulle'u", Bittrich uznał, że jest przewrażliwiony. Poza tym nie znosi La Porte'a - nazywa go nadętą ropuchą - i myślał, że to tylko jego wyobraźnia. - Howell zbadał wzrokiem ich twarze. - Krótko mówiąc, Bittrich podejrzewa, że La Porte chce zneutralizować amerykańską obronę i przypuścić atak na twój kraj, Jon.

- Kiedy?

Howellowi stwardniał głos.

- Uważa, że jeśli tak absurdalny pomysł jest w ogóle możliwy do zrealizowania, zrobi to już dzisiaj, tak jak się obawialiśmy.

- Ale dlaczego akurat dzisiaj? - spytała Randi.

- Bo w poniedziałek odbędzie się niezwykle ważne głosowanie na tajnym posiedzeniu Rady Europejskiej. Jej członkowie mają zdecydować o powołaniu ogólnoeuropejskich sił

zbrojnych. La Porte'owi bardzo zależało na tajności obrad i tajności głosowania. Walnie się do tego przyczynił.

W pokoju słychać było tylko tykanie zegarka na stoliku nocnym Marty'ego.

Spojrząwszy w okno, Smith zauważył dwóch mężczyzn. Wydawało mu się, że przechodzą przed kliniką już drugi raz.

- Dzisiaj, ale o której? - rzuciła Randi.

- Aaa... - mruknął z łóżka Marty. - Chateau la Rogue. Czerwony zamek. Czy to jest to?

Jon podszedł bliżej i zerknął na ekran komputera.

- Tak - odrzekł. - Ten sam widziałem u La Porte'a na obrazie i na zdjęciu. - Wrócił do okna. - Pytasz o której, Randi? Gdybym był na jego miejscu zrobiłbym tak: kiedy w Waszyngtonie i Nowym Jorku jest szósta wieczorem, w Kalifornii jest trzecia po południu. Nie-227

mał w całym kraju panuje wtedy duży ruch, w wielkich miastach na obu wybrzeżach jest godzina szczytu. Ale tu, we Francji, jest północ. Ciemno. Spokój. Cisza. Noc to świetny kamuflaż. Żeby zadać Stanom najskuteczniejszy cios i zadać go z ukrycia, zaatakowałbym o półno-cy.

- Gdzie jest ten Chateau la Rouge? - spytał Howell.

Marty wbił wzrok w ekran laptopa.

- To stary, średniowieczny zamek... w Normandii!

- Dwie godziny jazdy stąd. Może tam być ten komputer, to by pasowało.

Randi spojrzała na ścienny zegar.

- Już prawie dziewiąta. Jeśli Jon ma rację...

- Lepiej się pospieszmy - powiedział spokojnie Peter.

- Cholera, miałem zadzwonić do Stanów... - Jon odwrócił się, żeby odejść od okna. Musiał natychmiast zawiadomić Kleina, ale na wszelki wypadek jeszcze raz spojrzął na ulicę. I zaklął. - Mamy gości. Uzbrojonych. Dwóch wchodzi do kliniki.

Chwycili broń i Randi popędziła do drzwi.

- O mój Boże! - szepnęła Marty. Z przerażenia oczy miał wielkie jak spodki. - To straszne. Straciłem połączenie z Internetem. Dlaczego?

Howell wyjął z gniazdka kabel modemu i podłączył telefon.

- Też nie działa! - krzyknął.

- Przecięli druty. - Marty pobrał.

Randi uchyliła drzwi i wytrzymała słuch.

228

Rozdział 36

W korytarzu było pusto. - Chodźcie! - szepnęła. - Kiedy szukałam budki, widziałam drugie wyjście.

Marty zgarnął lekarstwa, Jon chwycił laptop. Wymknęli się na długi korytarz i ruszyli przed siebie, mijając po drodze drzwi do sąsiednich separaetek. Do jednych z nich pukała pielęgniarka w białym fartuchu. Zamarła z ręką na klamce. Bez słowa przeszli obok.

Z dołu szerokich schodów dochodził rozwścieczony głos doktora Camerona:

- *Halte!* Kim jesteście? Jak śmiecie wnosić tu broń?

Przyspieszyli kroku. Twarz Marty'ego poczerwieniała; z trudem za nimi nadązał. Minęli windy na końcu korytarza i Randi otworzyła drzwi na schody ewakuacyjne. Tamci pędzili już na górę.

- Boże, dokąd teraz? - zapiszczał Marty.

Randi uciszyła go i szarymi schodami zbiegli na dół. Na dole były drzwi i Randi chciała je otworzyć, lecz Smith chwycił ją za rękę.

- Co tam jest? - spytał.

- Nie wiem, pewnie jakaś piwnica.

Jon kiwnął głową.

- Moja kolej.

Randi tylko wzruszyła ramionami. Smith oddał komputer Marty'emu i wyjął z kieszeni zakrzywiony sztylet, który odebrał Afgańczykowi. Ostrożnie uchylił drzwi, przekonany, że zaraz zaskrzypią. Nie zaskrzypiały.

Uchylił je jeszcze bardziej i wówczas kątem oka dostrzegł jakiś ruch. Odetchnął głębiej, obejrzał się i przytknął palec do ust. Randi, Marty i Peter kiwnęli głową.

Smith ponownie spojrzął przed siebie. Cień. Jedna z lamp musiała kogoś oświetlać, stąd cień. Wślizgnął się do środka.

Słaby zapach benzyny. Garaż. Mały podziemny garaż pełen samochodów. Winda i ja-snoskóry mężczyzna z uzi w rękę. Tyłem do nich powoli szedł przed siebie.

Jon puścił klamkę i gdy drzwi zaczęły się zamykać, popędził w jego stronę. Mężczyzna odwrócił się i zmrużył niebieskie oczy. Za wcześnie. Smith miał nadzieję podejść bliżej. Z

palcem na spuście mężczyzna podniósł broń. Nie było czasu. Jon cisnął sztyletem. Nie zaprojektowano go do rzucania - był źle wyważony - ale Smith nie miał pod ręką nic innego. Skoczył gdy sztylet wykonał w powietrzu pierwszy obrót.

Tamten już naciskał spust, lecz rękojeść noża trafiła go w ramię. Lufa drgnęła i trzy kule zagrzechotały na podłodze o pół kroku od Jona. Trysnęła fontanna betonowych odłamków.

Smith grzmotnął go łokciem w pierś, przewrócił na stojące tuż obok volvo, przyłożył mu pię-

ścią w twarz. Buchnęła krew, lecz tamten człowiek tylko stęknął i zamachnął się uzi. Jon pochylił głowę, zrobił krok do tyłu, gdy wtem rozległo się przytłumione „puf”!

Krew, fragmenty ludzkiej tkanki. Smith odwrócił głowę.

Z boku stał Howell i brownie w rękę.

- Przepraszam, staruszkule, ale nie mamy czasu na boks. Musimy wiać. Na ulicy czeka mój wóz. Wziąłem go z wypożyczalni, żeby przewieźć tu Marty'ego, więc pewnie jest czysty.

Randi, przeszukaj tego tutaj. Sprawdźmy, kto to jest. Jon, bierz uzi i chodu.

Bousmelet nad Sekwaną, Francja

Są chwile, które decydują o wartości człowieka, i generał Roland la Porte czuł, że taka chwila właśnie nadeszła. Oparł się o balustradę wokół najwyższej wieży swego trzynasto-wiecznego zamku i spojrzął w noc, licząc gwiazdy. Miał wrażenie, że cały firmament należy do niego. Zamek stał na masywnej skale z litego czerwonego granitu. Pieczołowicie odrestaurowany w dziewiętnastym wieku przez pradziadka generała, tej nocy oświetlony był promieniami księżyca w trzeciej kwadrze.

W pobliżu piętrzyły się ruiny zamku Karolingów z dziewiątego wieku, który wzniesiono na miejscu starego frankońskiego fortu, który to z kolei fort zbudowano na pozostałościach ufortyfikowanego rzymskiego obozowiska. Historia tej ziemi, mieszkających tu niegdyś ludów i historia jego rodziny były jedną i tą samą historią. Była historią samej Francji, jej dawnych władców, co zawsze napełniało go dumą i dawało poczucie odpowiedzialności.

Jako dziecko uwielbiał tu przyjeżdżać. W noc taką jak ta chętnie zamykał oczy i zasypiał z nadzieją, że przyśni mu się brodaty Dagovic, frankoński wojownik, uhonorowany w rodzinnej legendzie jako ten, od którego w prostej linii pochodzili wszyscy La Porte'owie. Mając dziesięć lat, z lubością czytywał rodzinne manuskrypty, te z okresu panowania Karolingów, Kapetyngów i te ze średniowiecza, chociaż nie znał za dobrze ani łaciny, ani starofrancuskiego. Kładł je z nabożną czcią na kolanach i słuchał pasjonujących opowieści dziadka, które w rodzinie La Porte'ów przekazywano sobie z pokolenia na pokolenie. La Porte'owie i Francja, Francja i La Porte'owie... w jego chłonnym umyśle słowa te zlały się, nabierając tego samego znaczenia. Kiedy dorósł, przemówiły do niego z jeszcze większą mocą.

Na taras wyszedł kapitan Bonnard. - Panie generale, doktor Chambord będzie gotowy za godzinę. Pora zacząć.

- A ten Smith i jego ludzie? Jest coś nowego?

- Nie, panie generale. - Bonnard dumnie podniósł głowę, choć minę miał zmartwioną.

Był bez czapki i jego krótkie jasne włosy lekko lśniły w blasku księżyca. - Odkąd uciekli z kliniki, nie otrzymałem żadnego meldunku. - Znowu pomyślał o żołnierzu, którego tamci zabili w podziemnym garażu.

- Wielka szkoda, że go straciliśmy - powiedział generał, jakby czytał w jego myślach.

Dobrzy dowódcy byli pod tym względem tacy sami. Na pierwszym miejscu zawsze stawiali zadanie, misję. Na drugim, żołnierza. - Gdy się to wszystko skończy - dodał wspaniałomyślnie - osobiście

napiś list do jego rodziny, żeby wyrazić wdzięczność za to poświęcenie.

- To nie poświęcenie, panie generale - odrzekł Bonnard. – Poległ za szlachetną sprawę.

Szlachetna sprawa jest warta każdej ceny.

Autostrada do Bousmelet nad Sekwaną

Opuściwszy miasto i upewniwszy się, że nikt ich nie śledzi, zajechali na dużą, jaskrawo oświetloną stację benzynową i pobiegli do telefonu, żeby zawiadomić przełożonych o La Porcie, Chambordzie, o zamku i spodziewanym ataku. Rzeczy znalezione przy mężczyźnie, któ-

rego zastrzelił w garażu Peter, nie zdradziły im niczego. Nie miał przy sobie żadnych dokumentów, tylko papierosy, pieniądze i paczkę cukierków. Ale na palcu prawej ręki nosił coś wiele mówiącego: pierścień z insygniami Legii Cudzoziemskiej.

Jon przytknął słuchawkę do ucha. Nic, żadnego sygnału. Wrzucił monety. I znowu nic.

Postukał widełkami, ale telefon pozostał głuchy. Zaskoczony i zaniepokojony ruszył do samochodu. Chwilę później z budynku stacji wyszli Peter i Randi.

- Udało się wam połączyć?

230

Obydwoje byli tak sfrustrowani, że odpowiedź nasuwała się sama. Randi pokręciła głową.

- Nie.

- Mnie też nie - mruknął Howell. - Telefon jest głuchy jak pień. Cholernie mi się to nie podoba.

- Dobra, zaszalejmy. - Randi wyjęła z kieszeni komórkę, włączyła ją, wybrała numer, przytknęła aparat do ucha i jej twarz jakby zapadła się w sobie.

- Nic. Co się dzieje, do diabła?

- Byłoby dobrze, gdybyśmy się jednak z kimś połączyli - powiedział Howell. - Przydało-by się nam wsparcie.

- Osobiście nie miałabym nic przeciwko temu, żeby przysłali tu trzy bataliony piechoty morskiej.

- Ani ja. - Jon pobiegł do sklepu. Przez szklane drzwi zobaczył siedzącego za ladą sprzedawcę. Wszedł do środka. Na ścianie wisiał telewizor. Był włączony, ale zamiast telewizora grało radio. Gdy podszedł bliżej, muzyka umilkła i spiker podał nazwę miejscowej rozgłośni.

- Chciałem zadzwonić, ale telefon nie działa.

Sprzedawca obojętnie wzruszył ramionami.

- Wiem. Mnóstwo ludzi się skarży. Przyjeżdżają, dzwonią, a tu nic. Telewizja też nie działa. Łapię tylko lokalną stację, nic więcej. No i jest radio, ale też tylko nasze. Kabłówka wysiadła. Same nudy.

- Od dawna tak?

- Chyba od dziewiątej. Już prawie od godziny.

Smith twarz miał jak z kamienia. O dziewiątej wysiadł telefon w pokoju Marty'ego.

- Mam nadzieję, że szybko to naprawią.

- Tylko jak? Bez telefonu jak ich zawiadomić?

Jon wrócił do samochodu. Randi właśnie skończyła tankować. Peter otwierał bagażnik, a Marty stał z boku i rozglądał się wokoło. Chyba miał zawroty głowy, bo odstawił leki z nadzieją, że kiedy znajdą wreszcie ten komputer, będzie w dobrej formie i pokrzyżuje Chambordowi plany. Jon streścił im przebieg rozmowy ze sprzedawcą.

- To Emile! - wykrzyknął natychmiast Marty. - To ten przebrzydły szczur! Boże, nie chciałem wam o tym mówić, ale bardzo mnie to martwiło. Oni już zaczęli, Jon. Emile odciął

całą łączność, przewodową i bezprzewodową.

- Czy to nie obróci się przeciwko nam? - spytała Randi. - Jeśli my nie możemy wejść do Internetu, jakim cudem wejdą oni?

- Emile ma komputer molekularny - odrzekł krótko Marty. - Może gadać z satelitami.

- Musimy jechać - ponaglił ich Howell. - Chodźcie tu. Biercie. Do wyboru, do koloru.

Marty zajrzał do bagażnika i przerażony odskoczył do tyłu.

- Jezu, toż to cały arsenał!

Leżały tam dziesiątki pistoletów, karabinów oraz innego sprzętu.

- Cholera jasna, stary - mruknął Smith. - Handlujesz bronią czy co?

- Zawsze przygotowany. To moje credo. - Howell wziął jeden z pistoletów. - Stary wiarus ze mnie. Czegoś się w życiu nauczyłem.

Jon miał już uzi, więc też wziął pistolet. Marty gwałtownie pokręcił głową.

- Nie, ja odmawiam.

Randi zignorowała go.

- Masz może linę, kotwiczkę i pistolet pneumatyczny? Mury zamku są dość wysokie.

- A jakże! - Howell pokazał jej sprzęt bliźniaczo podobny do tego, jaki przysłano jej z placówki CIA w Barcelonie. - Pożyczyłem jakiś czas temu i zapomniałem zwrócić.

Wsiedli i Peter wjechał na autostradę, która miała zaprowadzić ich do zamku, gdzie - żarliwie się o to modlili - przebywali La Porte, Chambord i jego komputer.

231

Siedzący z tyłu Marty wyłamywał palce u rąk.

- Rozumiem, że jesteśmy zdani na samych siebie.

- Tak, nie możemy liczyć na niczyją pomoc - odrzekł Smith.

- Bardzo się denerwuję...

- To dobrze - powiedział Howell. - Zdenerwowanie wzmacnia czujność. Głowa do góry, chłopcze, mogło być gorzej. Pomyśl o tych, którzy siedzą teraz na tym niefartownym kawałku *terra firma*, który tamci wzięli na cel.

Przedmieścia Bousmelet nad Sekwaną, Francja

Emile Chambord przystanął z wahaniem pod okutymi żelazem drzwiami. Przebywała za nimi Teresa. Wiele razy próbował jej wszystko wyjaśnić, ale nie chciała go słuchać. Bardzo go to bolało. Nie tylko ją kochał, ale i szanował za ciężką pracę, za uporczywe dążenie do czystej sztuki, za ignorowanie pokus finansowych. Konsekwentnie odrzucała zaproszenia do Hollywood. Była aktorką sceniczną, owładniętą wizją prawdy, która nie miała nic wspólnego z sukcesem komercyjnym.

Pewien amerykański wydawca powiedział: „Dobry pisarz to bogaty pisarz, a bogaty pisarz to dobry pisarz”. Wystarczy zastąpić „pisarza” „aktorem” i widać całą płyciznę amerykańskiego etosu, w którym przyszło im żyć.

Westchnął, wziął głęboki oddech i otworzył drzwi. Wszedł cicho do środka, nie zawracając sobie głowy ich zamykaniem.

Owinięta w koc Teresa siedziała pod wąskim oknem na wysokim wspaniałym krześle, jakie lubił La Porte. Ze względu na zachowanie autentyczności historycznych wnętrz, w zamku było niewiele wygod, jeśli nie liczyć grubych dywanów na kamiennych podłogach i gobelinów na ścianach. W wielkim kominku płonął ogień, ale bijące stamtąd ciepło nie mogło wygrać z zimnem czyhającym w każdym zakątku tej małej, podobnej do jaskini komnaty. Pachniało wilgocią i pleśnią.

Teresa nawet nie spojrzała na ojca. Patrzyła w okno, na gwiazdy. Chambord stanął przy niej. W promieniach księżycy, omywających ziemię śnieżnym blaskiem, zobaczył zarośniętą fosę, farmy na rozfalowanych wzgórzach i dalekie, ciągnące się po horyzont lasy. Tuż pod zamkiem rosły rachityczne poskręcane jabłonie.

- Już pora, Tereso - powiedział. - Prawie północ.

Wreszcie odwróciła głowę.

- A więc chcecie zrobić to o północy. Miałam nadzieję, że się opamiętasz. Że przyszedłeś mi powiedzieć, że im nie pomożesz. Ci ludzie nie mają sumienia.

Chambord stracił cierpliwość.

- Czy ty nie widzisz, że to nas zbawi? Że dzięki nam nad Europą wstanie nowy świt?

Amerykanie tłamszą nas swoją prymitywną kulturą. Zanieczyszczają nasz język, wulgaryzują nasze idee, psują społeczeństwo. Świat pod ich przywództwem nie ma żadnej wizji, jest nie-sprawiedliwy. Oni znają tylko dwie wartości: ile można skonsumować za jak najwyższą cenę i, ile można wyprodukować za jak najniższą płacę. – Pogardliwie wykrzywił usta.

Teresa patrzyła na niego jak na owada pod mikroskopem.

- Nie są święci, ale nie są też masowymi mordercami.

- Ależ są! Popatrz tylko na skutki ich polityki w Afryce, Azji czy w Ameryce Łacińskiej!

Teresa zastanowiła się, pokręciła głową i wybuchła gorzkim śmiechem.

- Przecież ciebie to nie obchodzi! Ty jesteś jak oni, jak La Porte i Bonnard!

- Chcę, żeby Francja znowu była wielka. Europa ma prawo wpływać na własny los! -

Teresa milczała. Nagle wzięła ojca za rękę.

- Ja też pragnę jednego wspólnego świata - powiedziała łagodnie. - Świata, w którym ludzie są po prostu ludźmi, w którym nikt nie ma nad nikim władzy. Francja? Stany Zjednoczone? - Ze smutkiem pokręciła głową. - To anachronizmy. Zjednoczony świat, oto czego pragnę. Świat, w którym nikt nie morduje nikogo w imieniu Boga czy ojczyzny. W którym nie zabija się nikogo tylko dlatego, że jest innej rasy czy orientacji seksualnej. Dzielące nas różnice trzeba czcić. Są naszą siłą, nie słabością.

- Myślisz, że Amerykanie pragną zjednoczonego świata?

- A ty i twój generał?

- Większą szansę będziemy mieli z Francją i Europą niż z nimi.

- Pamiętasz, jak po drugiej wojnie światowej pomagali nam w odbudowie? Pomagali wszystkim, Niemcom i Japończykom też. Pomagali ludziom na całym świecie.

Tego Chambord nie mógł już znieść. Ona nic nie rozumiała!

- Ale nie za darmo - warknął. - Zażądali wysokiej ceny: naszej odrębności, naszych umysłów i naszej duszy!

- A ceną za tę odrębność ma być życie milionów ludzi, tak?

- Przesadzasz, dziecko. To, co zrobimy, pokaże światu, że Ameryka nie potrafi się obronić, ale ofiar będzie stosunkowo niewiele. Bardzo na to nalegałem. Wojnę z Amerykanami prowadzimy już od dawna. Musimy z nimi walczyć codziennie, w każdej minucie każ-

dego dnia, inaczej rzuciliby nas na kolana. My jesteśmy inni. I jako naród znowu będziemy wielcy.

Teresa puściła jego rękę i popatrzyła na gwiazdy.

- Zrobię wszystko, żeby cię uratować, ojcze - powiedziała głosem czystym i smutnym. -

Ale muszę też cię powstrzymać.

Chambord stał przez chwilę bez ruchu, ale już na niego nie spojrzała. Wyszedł z komnaty, zamykając za sobą drzwi.

Rozdział 37

Drugi raz zatrzymali się dopiero na skraju Bousmelet, też na stacji benzynowej.

- *Oui, bien* - odrzekł pompierz, gdy Smith spytał go o La Porte'a. - Pan hrabia jest na zamku. Brał dziś u mnie benzynę. Wszyscy się cieszymy. Odkąd został dowódcą całego NA-TO, rzadko tu bywa. Wielki człowiek, wspaniały człowiek...

Jon zauważył z uśmiechem, że dzięki dumie swoich ziomków generał awansował oczko wyżej.

- Jest sam?

- Niestety. - Pompierz zdjął czapkę i się przeżegnał. - Pani hrabina zmarła wiele lat temu.

- Rozejrzał się płochliwie, chociaż nikt ich nie słyszał. - Przez jakiś czas w zamku mieszkała pewna młoda dama, ale od ponad roku nikt jej tu nie widział. Niektórzy powiadają, że tak jest lepiej. Pan hrabia musi świecić przykładem. Ale z drugiej strony, hrabiowie też brali sobie kochanki, i to przez całe wieki, nie? Ot, choćby wiejskie dziewczki. Przecież nikt inny jak córka zwykłego garbarza wydała na świat wielkiego księcia Williama. Poza tym pan hrabia jest jeszcze młody. Młody, a samotny. Tragedia. Prawdziwa tragedia, co? - I ryknął śmiechem.

Randi zrobiła współczującą minę.

- Żołnierze często żenią się z wojskiem - powiedziała. - Wątpię, żeby kapitan Bonnard przywiózł tu swoją żonę.

- Ach, ten... On ma czas tylko dla pana hrabiego, dla nikogo więcej. Dla pana hrabiego robi wszystko. Dziwne, że w ogóle ma żonę.

Jon zapłacił i pompierz przeliczył pieniądze.

- Mało wzięliście. Wy do hrabiego z jakimś interesem?

- Mieliśmy wpaść do zamku, gdybyśmy byli w okolicy. Zaprosił nas.

- Macie szczęście. Rzadko tu bywa. To zabawne. Godzinę temu pytał o niego jakiś człowiek. Taki wielki, czarny. Mówił, że służył w legii, z nim i z kapitanem Bonnardem. Pewnie służył. Był w zielonym berecie, ale źle go nosił. Wiecie, tak jak Anglicy, trochę arogancko. I miał zielone oczy. Takie śmieszne, zielone oczy. W życiu nie widziałem, żeby Murzyn miał

zielone oczy.

- Jak był ubrany? - spytał Smith.

- Tak jak państwo. Spodnie, kurtka... - Pompierz zerknął na Randi i zmarszczył brwi. -

Tyle, że jego kurtka była nowa.

- Dzięki. - Wrócili do samochodu i Howell odpalił silnik. - Słyszeliście?

- Wszyscyutko - odrzekł Peter.

- Ten wielki i czarny to... Abu Auda? - spytał Marty.

- Wielki, czarny, zielone oczy. Na pewno. Czyli ci z Tarczy Półksiężycy też założyli, że Chambord i Bonnard są w zamku. Może szukają Mauritania

- Nie wspominając już o tym, że chętnie położyliby łapy na tym komputerze - dokończył

Howell. - I zemścili się na Chambordzie. Na Bonnardzie na pewno też.

- Jeśli tu są- spekulował Smith - sprawy mogą się skomplikować, ale... może uda się nam to wykorzystać.

- Jak? - spytała Randi.

- Odwrócą ich uwagę. Nie wiemy, ilu jest tam legionistów, lecz przypuszczam, że sporo.

Byłoby dobrze, gdyby ktoś ich od nas odciągnął.

Przez dziesięć minut jechali w milczeniu. Tonąca w blasku księżyca szosa była srebrzy-stoblada i zupełnie pusta. Co jakiś czas między rosnącymi w sadach jabłoniemi migały świa-234

ła odległych domów i lamp płonących przed stodołami, w których rolnicy przechowywali sprzęt i wytwarzali słynny na cały kraj cydr i calvados.

Randi wyciągnęła przed siebie rękę.

- Jest.

- Średniowieczny! - wykrzyknął nagle Marty; odkąd wjechali na autostradę, przez cały czas milczał. - Piękny! Cóż za cudo! Prawdziwa forteca! Bastion! Ale... chyba nie przypuszczacie, że wdrapię się na te mury? Nie jestem górską kozicą.

Gdyby Chateau la Rouge stał w Bordeaux czy nawet nad Loarą, jego nazwa sugerowa-

laby, że jest to zwykła wiejska rezydencja. W Bordeaux, ale nie tutaj, bowiem wznosiło się przed nimi olbrzymie średniowieczne zamczysko z murami obronnymi i dwiema wieżami. W

świecie księżycy granitowa skała, na której stał, nabrała koloru krwi, a na urwistym wzgórzu tuż obok piętrzyły się wystrzępione, zębiaste ruiny zamku o wiele starszego. Chateau la Rouge. Ten sam zamek Smith widział na obrazie i na fotografii generała La Porte'a.

Howell długo milczał, przyglądając mu się krytycznym okiem.

- Lepiej poślijcie po posiłki - mruknął. - Oblężenie będzie długie. Stareńki jest. Koniec dwunastego, początek trzynastego wieku. Normandzko-angielski? Tak. Francuzi budowali bardziej elegancko i stylowo. Henryk Drugi? Może, chociaż wątpię, bo...

- Chryste, odpuść sobie - przerwała mu Randi. - Damy radę wspiąć się na te mury niezauważeni?

- Ja się nigdzie nie wspinam - burknął Marty.

- To nie powinno być trudne - myślał na głos Howell. - Wygląda na to, że w dziewiętnastym, dwudziestym wieku został zmodernizowany. Fosa jest zarośnięta, nigdzie nie ma krat, widzę szeroki wjazd. Oczywiście dzisiaj na pewno będą go strzegli. Na zboczu wzgórza przystrzyżona trawa, brak krzewów; można szybko dobiec do murów. No i nikt nie wyleje nam na łeb wrzącego oleju ani nie będzie strzelał do nas z kuszy. To już coś.

- Wrzącego oleju? - Marty zadrżał. - Bardzo mnie pocieszyłeś.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

Do stóp skalistego wzgórza dojechali na zgaszonych światłach. W blasku księżycy doskonale widać było kręty podjazd wpadający do przypominającego tunel wejścia. Rzeczywi-

ście, nie dostrzegli tam ani wielkiej opuszczonej kraty, ani innych zabezpieczeń, a na rozsia-nych na poboczu klombach kwitły wiosenne kwiaty. Dziewiętnasto-i dwudziestowieczni La Porte'owie najwidoczniej nie obawiali się żadnej napaści. Ale widok dwóch uzbrojonych cywilów w otwartym wejściu mówił, że La Porte z wieku dwudziestego pierwszego czegoś się jednak boi.

- Żołnierze - powiedział Howell. - Francuscy. Najprawdopodobniej legioniści.

- Nie zmyślaj - burknął Marty. - Znowu odzywa się w tobie superman.

- *Au contraire, mon petit ami.* Wojsko każdego kraju ma swoją tradycję, metody szkole-nia i prowadzenia musztry, co wpływa na wygląd i zachowanie żołnierza. Żołnierz amerykań-

ski trzyma karabin na prawym ramieniu, brytyjski na lewym. Żołnierze salutują, poruszają się, stają na baczność, maszerują i zatrzymują się zgodnie z obowiązującymi w danej armii wymogami. Każdy doświadczony żołnierz powie ci natychmiast, kto szkolił to czy inne wojsko z okresu drugiej wojnie światowej, wystarczy, że na nie spojrzysz. Ci dwaj to Francuzi. Ma-

to tego. Postawię całą piwnicę przedniego wina, że służą w Legii.

- Opowiadasz androny - odparł Marty. - A twoja francuszczyzna jest paskudna.

Peter roześmiał się i skręcił w wiejską drogę.

- Spójrzcie! - zawołał Jon. - Tam!

Zza kamiennej balustrady wokół przysadzistego barbakanu piętnaście metrów wyżej wystawały łopaty śmigłowca.

- Chambord i Bonnard przylecieli tym z Grenoble. Dodać do tego legionistów, generała La Porte'a, Abu Audę z Tarczy Półksiężycy... i głowę daję, że jest tu nasz komputer.

235

- Cudnie - mruknęła Randi. - Wystarczy tylko tam wejść.

Jon spojrział na szczyt wzgórza.

- Mamy sprzęt, damy radę. Skręć tu, Peter.

Howell wyłączył silnik i wjechał między stare jabłonie. Samochód podskakiwał na wy-bojach, wreszcie stanął w miejscu, gdzie ze stoku wzgórza wyrastały mury zamku. Wysiedli, wszyscy oprócz Marty'ego. Peter wyciągnął rękę, wskazując głowę i ramiona wartownika, który szedł skrytą za blankami ścieżką.

Rozmawiali szeptem. Nocą głos niesie się lepiej i dalej, zwłaszcza na wsi.

- Widzicie innych? - spytał Jon.

Zlustrowali mur i pokręcili głową.

- Zmierzymy mu czas - powiedział Peter.

Włączyli stopery w zegarkach. Zanim wartownik wrócił w to samo miejsce i poszedł w przeciwnym kierunku, upłynęło ponad pięć minut. Czekali. Tym razem wrócił znacznie wcześniej, bo już po niecałych dwóch minutach.

- Dobra - szepnął Jon. - Kiedy idzie w prawo, mamy pięć minut. To wystarczy, żeby co najmniej dwoje z nas weszło na mur.

- Powinno - zgodził się z nim Howell.

- Chyba że nas usłyszysz - zauważyła Randi.

- Miejmy nadzieję, że nie.

- Spójrzcie tam, w lewo!

Kilkadziesiąt metrów dalej zobaczyli ciemne sylwetki nisko pochylonych ludzi. Biegli ukradkiem do głównego wejścia. Abu Auda i Tarcza Półksiężycyca.

Wydając rozkazy umówionymi znakami i gestami, Abu Auda prowadził ich przez sad w stronę szerokiego portalu między dwiema niskimi wieżami. Zebranie posiłków zajęło mu niemal cały dzień - zaczął zaraz po powrocie z Liechtensteinu - ale udało mu się ściągnąć dobrych islamskich wojowników, a nawet żołnierzy z kilku grup frakcyjnych. Zadzwoił po pomoc jeszcze z Liechtensteinu, dowiedziawszy się, że La Porte i jego sługus, ten oślizgły, ten obrzydliwy Bonnard przetrzymują doktora Chamborda właśnie tutaj. Chamborda i jego starego towarzysza broni Mauritanie.

Miał pod sobą ponad pięćdziesiąt strzelb, ponad pięćdziesięciu żołnierzy, i wraz z grupką starych, doświadczonych wojowników pędził ich teraz w kierunku głównego wejścia.

Zwiadowcy donieśli, że w bramie czuwa tylko dwóch, że mniej niż pięciu patroluje mury.

Martwił go jedynie brak danych na temat liczby francuskich żołnierzy stacjonujących w samym zamku, ale w końcu doszedł do wniosku, że to bez znaczenia. Miał do dyspozycji pięć-

dziesięciu ludzi. Pięćdziesięciu wojowników Allacha pokona stu, a w razie potrzeby nawet stu pięćdziesięciu niewiernych.

Nie, tym się w sumie nie przejmował. Znacznie bardziej niepokoiło go to, że gdy zaatakują, ci francuscy renegaci mogą zabić Mauritanie, zanim zdąży do niego dotrzeć. Dlatego postanowił, że najpierw odbije swego przyjaciela. Weźmie kilku dobrze uzbrojonych ludzi, wdrapie się na mur, gdzie legionistów było najmniej, i gdy tylko główna grupa uderzeniowa przystąpi do szturm, uratuje Mauritanie.

- Chodźcie. - Howell otworzył bagażnik.

Oni szykowali sprzęt, tymczasem Marty jakby przyrósł do tylnego siedzenia samochodu. Randi spakowała do plecaka uprząż, linę, pistolet pneumatyczny i zapasowy pistolet maszynowy H&K MP5K. Peter wziął ładunek plastiku, kilka zapalników i granatów.

- Co tak patrzysz? - rzucił do Jona. - Przydadzą się. Zamknięte drzwi, grube ściany, i tak dalej. Gotowi?

Marty uchylił okno.

- Przyjemnej wspinaczki - rzucił. - Popilnuję samochodu.

- Wyłaź. Jesteś naszą tajną bronią.

Marty z uporem pokręcił głową.

- Wchodząc czy wychodząc z budynku, zwłaszcza wysokiego, zawsze korzystam z drzwi. W razie wielkiego niebezpieczeństwa mógłbym ewentualnie wyjść oknem. Oknem na parterze, oczywiście.

Randi bez słowa chwyciła sprzęt i szybko weszła na stok. Jon i Peter wymienili spojrzenia i Jon ruchem głowy wskazał drzwiczki od strony kierowcy. Howell podszedł do nich niespiesznie i przystanął.

- Nie bądź taki wstydlivy, Marty - powiedział wesoło Smith. – Tam jest mur, widzisz?

Wejdiesz na górę tak czy inaczej. - Otworzył drzwiczki i wyciągnął do niego rękę.

Marty odskoczył jak oparzony i protestując - na szczęście niezbyt głośno - wpadł prosto w ręce Petera, który szybkim ruchem wyciągnął go z wozu. Randi była już u stóp zamku i rozkładała uprząż, za pomocą której zamierzali wwindować go na szczyt muru. Smith i Howell pchnęli przyjaciela w tamtą stronę.

Randi zerknęła na nich i upewniwszy się, że już idą, zrobiła krok do tyłu, chcąc wystrzelić tytanową kotwiczkę, lecz w tym samym momencie Marty potknął się o linki i przydusił ją do muru. Brzęknęła kotwiczka. Zastygli bez ruchu. Zamarli. Z góry dobiegł tupot nóg.

- Pod mur! - szepnął Howell. - Przywrzycie do muru! - W ręku trzymał browninga i już wkręcał tłumik.

Ze szczeliny między blankami wychynęła czyjaś głowa. Wartownik. Sprawdzał, kto lub co zakłóciło nocną ciszę. Ale Smith, Howell, Randi i Marty stali za blisko muru, żeby mógł

ich dostrzec. Wartownik wychylił się jeszcze bardziej, niemal zawisł na parapecie, i w tym samym momencie Peter wypalił.

Puf! - słychać było tylko tyle. I ciche stęknienie. Wartownik przewalił się ciężko przez mur i z głuchym stukotem wylądował u ich stóp. Jon pochylił się i dotknął jego szyi.

- Nie żyje. Ma pierścień z insygniami Legii Cudzoziemskiej.

- Wchodzę - szepnęła Randi, nie patrząc na trupa.

Starannie wymierzyła, wystrzeliła i gdy kotwiczka z cichym brzękiem wbiła się w kamień, napięła linę, błyskawicznie wspięła się na mur, pomachała im ręką na znak, że teren jest czysty i spuściła uprząż.

Peter i Jon szybko ubrali w nią milczącego Marty'ego, który spojrzawszy na martwego żołnierza, natychmiast przestał protestować.

- Wolałbym windę. - Próbował się nawet uśmiechnąć, chociaż głos mu drżał. - Naprawdę. Albo kolejką linową...

Kilka sekund później przed bramą zabrzmiały pierwsze wystrzały.

- Teraz! - szepnął Jon. - Jazda!

237

Rozdział 38

Air Force One, na zachód od Waszyngtonu

Do sali konferencyjnej zajrzała panna Pike. Bardziej rozczochrana niż zwykle, uniosła brew i powiedziała:

- Niebieski.

Prezydent Castilla odwrócił się z fotelem od Charlesa Ouraya, Emily Powell-Hill, przewodniczącego Połączonego Kolegium Szefów Sztabów i od dyrektora CIA, którzy siedzieli przy długim stole, i podniósł słuchawkę niebieskiego radiotelefonu stojącego tuż obok aparatu złowieszczo czerwonego.

- Tak? Na pewno? Gdzie on jest? Co takiego? - Mówił coraz bardziej spiętym głosem. -

Cały kraj? Dobrze. Proszę mnie informować.

Spojrzał na swoich współpracowników. Byli teraz na pierwszej linii ognia, na pokładzie latającego

Białego Domu. Ze względu na niepewną sytuację, szefowie Secret Service zdecydowali, że najrozsądniej będzie, jeśli prezydent i jego sztab przeniosą się na pokład Air Force One. Kraj wciąż nie znał prawdy. Robiono wszystko, co możliwe, ale Castilla zdecydował, że dopóki nie zostaną opracowane konkretne plany ewakuacyjne, dopóty oficjalnym wyjaśnieniem awarii satelitów będzie niebezpieczny wirus wprowadzony do systemów przez nieznanych sprawców, których ścigają zmasowane siły policji i wojska.

Informowany na bieżąco i będący w stałym kontakcie radiowym wiceprezydent przebywał w głębokim bunkrze w Karolinie Północnej, tak że gdyby doszło do najgorszego, ciąg-

łość władzy państwowej zostałaby zachowana. Żony i dzieci najbliższych współpracowników prezydenta ewakuowano do tajnych schronów. Castilla zdawał sobie sprawę, że pozostali obywatele Stanów Zjednoczonych nie mają na to szans, że to po prostu niemożliwe, i bardzo nad tym bolał. Musieli, musieli znaleźć sposób, żeby zapobiec temu, czego się najbardziej obawiali.

- Poinformowano mnie, że do ataku może dojść już dzisiaj - powiedział spokojnie. - Nic poza tym nie wiem. - Zmarszczył czoło i pokręcił głową. - Nie wiem, gdzie zaatakują, nie wiem dokładnie kiedy.

Wszyscy siedzący przy stole zadawali mu oczami jedno i to samo pytanie: Skąd ta wiadomość? Z kim przed chwilą rozmawiał? Skoro oni nic o tym nie wiedzieli, skąd pewność, że wiadomość jest wiarygodna? Castilla nie miał zamiaru zaspokajać ich ciekawości. Tajna Jedynka pozostanie tajna, dopóki nie przekaze jej oficjalnie swemu następcy z sugestią, żeby nadal pozostała tajna.

- Czy to sprawdzona wiadomość, panie prezydencie? – spytała w końcu doradczynie do spraw bezpieczeństwa narodowego.

- To najbardziej wiarygodny wniosek. - Castilla patrzył na ich zasepione twarze, wiedząc, że wytrzymają, że się nie poddadzą. Że on nie podda się na pewno. - Ale wiemy już w przybliżeniu, gdzie jest ten komputer. Istnieje szansa, że uda nam się go zniszczyć.

- Wiemy? - spytał admirał Brose. - W takim razie gdzie?

- Gdzieś we Francji. Łączność z Francją i we Francji została zerwana. Całkowicie.

- Cholera jasna! - Szefowi sztabu drżał głos. - Cała łączność? W całym kraju? Niesamowite.

- Jeśli tak - wtrąciła Emily Powell-Hill - zrobią to już wkrótce. Tak, najprawdopodobniej dzisiaj.

Castilla ogarnął ich wzrokiem.

- Mieliśmy pięć dni na przygotowanie obrony. Nawet uwzględnivszy straty, jakie ponieśliśmy

podczas ataków elektronicznych, powinniśmy być gotowi. Jesteśmy?

Admirał Brose odchrząknął, próbując zagłuszyć nietypową dla niego nutkę strachu w głosie. Jak każdy zawodowy żołnierz, był odważny i zdecydowany na linii ognia, a każdy odważny i zdecydowany żołnierz powinien poradzić sobie nawet z najbardziej niepewną sytuacją. Mimo to walka z niezwyciężonym komputerem, który namierzał nieznanego nikomu cel, zmęczyła go tak samo jak pozostałych.

- Panie prezydencie, zważywszy, że nie dysponujemy satelitami ani innymi systemami łączności, bardziej gotowi być nie możemy. Pracowaliśmy przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, żeby wprowadzić nowe kody dostępu i przywrócić funkcjonowanie systemów operacyjnych. -
Odchrząknął jeszcze raz i z wahaniem dodał: - Ale nie jestem pewien, czy to po-może. Komputer molekularny potrafi złamać nawet najnowocześniejsze zabezpieczenia, a wówczas w ciągu kilku minut, niewykluczone, że sekund, znowu będziemy całkowicie bezbronni. - Popatrzył na kolegów. - Naszą jedyną nadzieją jest nowy, tajny, eksperymentalny antyrakietowy system obrony. Nie wiedzą, że go mamy i być może to wystarczy. Pod warunkiem że będzie to atak rakietowy.

Castilla westchnął.

- Tak, biorąc pod uwagę potencjalne możliwości komputera molekularnego i to, co wiemy o tych terrorystach, atak rakietowy jest najbardziej prawdopodobny.

- Żaden pocisk dalekiego zasięgu nie przebije się przez parasol naszego nowego systemu

- oświadczył zdecydowanie dowódca wojsk powietrznych Bruce Kelly. - Gwarantuję.

- Na pewno nie wiedzą, że go mamy?

Wojskowi stanowczo pokręcili głowami.

- Na pewno, panie prezydencie - odrzekł admirał Brose.

- W takim razie nie ma się czym martwić, prawda?- Castilla uśmiechnął się do nich, lecz nikt nie śmiał spojrzeć mu w oczy.

Chateau la Rouge, Francja

W zbrojowni na najwyższym piętrze zamku, gdzie stalowe kolczugi wisiały obok rycerskich zbroi, panowała cisza. Raptem... Doktor Emile Chambord podniósł głowę. Wystrzały?

Pod zamkiem? Co się tam działo?

Kto strzelał? Grube mury tłumiły i zniekształcały dźwięk, mimo to... Tak, to jednak wystrzały.

W tym samym momencie, bez żadnego ostrzeżenia, zgasł ekran komputerowego monitora.

Chambord spiesznie pokręcił gałką potencjometru, pstryknął kilkoma przełącznikami i obraz powrócił. Prototyp był zawsze bardzo narowisty, a ostatnio coraz to wymykał się spod kontroli. Dwa razy Chambord złamał kody starego radzieckiego pocisku międzykontynentalnego, który wybrał generał La Porte, i dwa razy te kody „gubił”. Molekularny żel był substancją niezwykle wrażliwą i niestabilną, dlatego obsługa maszyny wymagała pełnej koncentracji i zręczności. A szarpiąca nerwy kanonada na pewno mu nie pomagała.

Wystrzały są jakby głośniejsze, myślał. Głośniejsze? Tak, zdecydowanie. Kto to może być? Ten Smith z amerykańskimi i brytyjskimi żołnierzami?

Zaniepokojony zerknął na swój ulubiony obraz nad biurkiem. Pokonany Napoleon i niedobitki jego dumnej niegdyś armii wracają spod Moskwy tylko po to, żeby przegrać ponownie, tym razem z podstępnie przyczajonymi angielskimi szakalami. Chambord kupił tę reprodukcję przed wielu laty, jeszcze jako młody chłopak, żeby zawsze pamiętać o dawnej

wielkości Francji. Wraz ze śmiercią żony zmieniło się absolutnie wszystko. Wszystko oprócz jego poświęcenia dla ojczyzny. Najważniejsza stała się jej przyszłość.

Pomyślał, że te wystrzały to Tarcza Półksiężycy, że islamscy bojownicy przyszli tu odbić Mauritanie. Że tym razem uda im się ukraść komputer i uprowadzić przy okazji jego.

Wzruszył ramionami. Nieważne. Już za późno.

Skrzypnęły drzwi. Generał La Porte pochylił się i wszedł do komnaty.

- Pocisk zaprogramowany? - Wyprostował się na całą wysokość i zdawało się, że wypełnia całe pomieszczenie. Był w eleganckich spodniach, rozpiętej pod szyją koszuli, lekkiej kurtce typu safari i w wypolerowanych na błysk czarnych butach. Gęste ciemne włosy miał

zaczesane do tyłu.

- Proszę mnie nie popędzać - odparł zirytowany Chambord. - Ta strzelanina wytrąciła mnie z równowagi. Kto tak strzela?

- Nasi starzy znajomi z Tarczy Półksiężycy. Ale proszę się nie przejmować. Bonnard i legionieści odeprą atak, a ciała poległych terrorystów będą kolejnym dowodem, że to właśnie oni ponoszą za wszystko winę. Szkoda, że przerwano nam, zanim zdążył pan odpalić rakiety na Izrael. Mielibyśmy znakomitą przykrywkę.

Chambord nie odpowiedział. Obydwaj dobrze wiedzieli, że nie było czasu na przeniesienie operacji z Algierii, na przegrupowanie sił i wysłanie pocisku na Jerozolimę, skoro za główny cel ataku obrali

Stany Zjednoczone. Wszystko musiało być gotowe już zaraz, już teraz, żeby La Porte mógł całą niedzielę wydzwaniać po świecie i zabiegać o poparcie w czasie poniedziałkowego głosowania w Radzie Europejskiej.

Tymczasem Chambord miał problem i chętnie skorzystałby z pomocy Zellerbacha.

- Kody są o wiele trudniejsze do złamania niż te w pocisku, który przeprogramowałem dla Mauritani
- narzekał. - Dziwne. Rakietę jest stara, ale kody nowe...

- Nieważne - przerwał mu generał. - Mam dla pana inne zadanie.

Chambord zerknął na zegarek.

- Zostało nam tylko pół godziny! Muszę nawiązać łączność dokładnie o wyznaczonej porze, inaczej nic z tego nie będzie. To nie takie proste, rosyjskie satelity są dobrze zabezpieczone...

- Pański komputer na pewno sobie z nimi poradzi, doktorze. Przyszedłem panu powiedzieć, że Amerykanie dysponują tajnym, eksperymentalnym systemem antyrakietowym. Nie spodziewałem się, że go uruchomią, ale właśnie doniesiono mi, że system już działa. Nie został oficjalnie zatwierdzony, ale wiem, że pomyślnie przeszedł próby. Nie mogę ryzykować, że coś nie wypali. Musi pan zneutralizować ten system, podobnie jak poprzednie.

- Eksperymentalny system? Skąd pan tyle wie?

La Porte wzruszył ramionami.

- To proste. Każdy każdego szpieguje, nawet sojusznicy. Przyjaźń między narodami nie istnieje, panie doktorze. Łączą je tylko interesy.

Światło księżyca odbijało się od murów górnego zamku i kamienna ścieżka za blankami zdawała się spływać krwią. Jon, Randi i Peter szli nisko pochyleni. Marty nie odstępował

Howella na krok. Chwilę przedtem natrafili na dwóch wartowników, ale szybko się ich po-zbyli.

Howell popatrzył wokoło. W rękę trzymał francuski pistolet maszynowy, który zabrał jednemu z legionistów.

- Nikogo - szepnął.

Jon i Randi też nikogo nie zauważyli.

- Za dwadzieścia minut północ - dodała Randi. - Zostało bardzo mało czasu.

Wpadli na długie kręte schody, które ginęły w mrocznej otchłani. Marty biegł na końcu, kurczowo ściskając w rękach pistolet maszynowy i nerwowo strzelając oczami na wszystkie strony.

- Legioniści są na dole - rzucił Jon. - Mają kupę roboty, dlatego tak tu pusto. Musimy przeszukać parter, dwa piętra i dwie wieże. Rozdzielmy się. Każde z nas przeczesze jedno piętro. Jakby co, mamy walkie-talkie.

- To niebezpieczne - zaprotestowała Randi. - Mniejsza siła ognia, zaskoczenie...

- Wiem - przerwał jej Smith - ale teraz bardziej niebezpieczny jest brak czasu. Marty?

- Pójdę z Peterem.

- Dobra. Idźcie na parter. Ja wezmę pierwsze piętro, Randi drugie. Spotkamy się na górze. Do roboty.

Pobiegli dalej. Najpierw oddzieliła się od nich Randi, potem Jon.

Parter. Howell wślizgnął się na korytarz, Marty tuż za nim. Nieliczne przyćmione lampy rzucały mdlawe światło, które prawie nie rozpraszało mroku. Po obu stronach były drzwi, osadzone w głębokich kamiennych niszach. Marty otwierał je kolejno, podczas gdy Peter stał

za nim z gotową do strzału bronią. Nie znaleźli nikogo. W kilku pierwszych pomieszczeniach nie było mebli, co oznaczało, że część zamku jest zapewne nieużywana.

- Masz pojęcie, ile kosztuje ogrzanie takiego potwora? - spytał retorycznie Peter.

Ale Marty nie uznawał retorycznych pytań.

- Nie, ale gdybym miał tu komputer, obliczyłbym to w try miga. O tak. - Strzelił palcami.

Poszli dalej. Od czasu do czasu dochodził ich odgłos strzelaniny i wyglądało na to, że Abu Auda i jego ludzie przystąpili do kolejnego szturmu. Kilkanaście wystrzałów, cisza i znowu wystrzały. Tu, we wnętrzu średniowiecznego zamczyska, trudno było powiedzieć, gdzie toczy się walka i jaki jest jej wynik.

Nie znalazłszy ani Chamborda, ani komputera, nie napotkawszy ani La Porte'a, ani Bonnarda, wrócili szybko na drugie piętro, gdzie dołączyli do nich Randi i Jon.

Pobiegli korytarzem, sprawdzając drzwi, gdy wtem zza rogu omal na nich nie wpadli dwaj legioniści, którzy momentalnie zerwali z ramion karabiny. Marty cofnął się niezdarnie z gotową do strzału bronią- ubezpieczał przyjaciół na wypadek gdyby tamci chcieli uciec –

tymczasem Randi i Jon powalili pierwszego żołnierza na podłogę. Peter zaatakował drugiego sztyletem i wkrótce było po wszystkim. Głuche stęknienie, przytłumiony wystrzał i Francuzi znieruchomieli.

Marty głośno przełknął ślinę i wziął głęboki oddech. Nie znosił przemocy, mimo to dzielnie obstawiał korytarz, podczas gdy Randi, Howell i Smith usuwali zwłoki, wciągając je do najbliższego pomieszczenia. Zamknawszy drzwi, popędzili dalej za Jonem, który przystanął na rogu i w ostrzegawczym geście podniósł rękę.

Gdy ręka opadła, cichutko podbiegli bliżej. Przed okutymi żelazem drewnianymi drzwiami stał wartownik, opierając się leniwie o ścianę i paląc papierosa. Patrzył w przeciwną stronę, chyba na drzwi, których miał pilnować. Był w cywilnym ubraniu, wojskowych butach i w ciemnozielonym berecie. Z ramienia zwisał mu pistolet maszynowy. Kolejny legionista.

Palił i ziewał, ziewał i palił. Jon podkradł się bliżej, grzmotnął go w głowę lufą uzi i wartownik osunął się na podłogę. Zawlekli go do najbliższego pokoju, zakneblowali i związali jego własnym paskiem, ale przedtem Randi wyjęła mu z kieszeni duży, żelazny klucz. Jon odebrał nieprzytomnemu broń oraz amunicję.

Wrócili do drzwi. Peter przytknął do nich ucho.

- Ktoś tam jest - szepnął. Nacisnął klamkę i pokręcił głową. - Chamborda by nie pilnowali.

- Chyba, że ten tam to jego ochroniarz.

- Ale przed czym miałyby go chronić? - wtrącił Marty.

- Choćby przed tymi na dole - wyjaśniła Randi.

- Dobra, zajrzyjmy. - Smith włożył klucz do dziurki. Zamek był świeżo naoliwiony, otworzył się łatwo i bez szcękę.

241

Randi uchyliła drzwi i wślizgnęła się do środka, tuż za nią Peter. Jon i Marty pilnowali korytarza.

W pokoju było cieplej niż w innych pomieszczeniach, gdyż w wielkim kominku płonął

ogień. Ciężkie średniowieczne meble, meble współczesne. .. i nikogo. Randi i Howell szli powoli, omiatając wnętrza lufami pistoletów. Po chwili, nikogo nie dostrzegłszy, ostrożnie ruszyli w stronę kominka.

Zza długiej, masywnej komody wychynęła Teresa Chambord z ciężkim świecznikiem w ręku.

Wyglądała jak biała zjawa. Pani... Russell? - spytała zaskoczona.

- Gdzie pani ojciec? - rzuciła bez wstępów Randi. - Gdzie komputer?

- W zbrojowni, zaprowadzę was. - Teresa odstawiła świecznik i szelniej okryła się kocem.

Wciąż była w białym, podartym już teraz kostiumie. Miała brudną, posiniaczoną twarz. - Słyszałam strzały. To wy? Przyszliście ich powstrzymać?

- Tak, ale to nie my strzelaliśmy. Na dole są ludzie z Tarczy Półksiężycy.

- Boże... - Teresa rozejrzała się szybko. - Jon? Czy.

Smith wszedł do pokoju.

- O której zaatakują?

- O północy. Nie mamy dużo czasu.

- Osiem minut - mruknął posępnie Jon. - Mów, co wiesz. Szybko.

- Z tego, co podsłuchałam, i z tego, co mówił ojciec, wynika, że chcą wystrzelić raketę na Stany Zjednoczone. Ale nie wiem dokładnie gdzie.

- To wystarczy. Masz. Trzymaj.

Jon podał jej pistolet maszynowy i wypadli na korytarz.

Air Force One, nad Iowa

Wsluchując się w monotonne buczenie czterech potężnych silników, prezydent Castilla co chwilę zerkał na zegar. Zestrojony z głównym zegarem Obserwatorium Astronomicznego Marynarki Wojennej, współpracującym z pięćdziesięcioma ośmioma zegarami atomowymi, wskazywał czas z dokładnością do dziesięciu nanosekund. Castilla patrzył na migające cyferki. 05.52. Kiedy zaatakują? Oczekiwanie nużyło ich i wykańczało nerwowo.

- Jak dotąd nieźle - rzucił w pustkę, chociaż zdawał sobie sprawę, że patrzą na niego wszyscy doradcy wojskowi i cywilni.

- Tak, panie prezydencie. - Admirał Brose zdobył się na słaby uśmiech i odchrząknął, jakby nie mógł przełknąć śliny. - Jesteśmy przygotowani. STRATCOM jest już w powietrzu, maszyny bojowe czekają w pełnym pogotowiu, system antyrakietowy namierzy i zniszczy cel, gdy tylko go dostrzeże.

Zrobiliśmy wszystko.

Castilla skinął głową.

- Wszystko, co mogliśmy.

W sali konferencyjnej nastała cisza, jakby nagle spadł na nią puszysty pled. Przerwała ją Emily Powell-Hill, prezydencka doradczyni do spraw bezpieczeństwa narodowego, która nosiła nazwisko jednej z najsłynniejszych i najbardziej tragicznych postaci amerykańskiej wojny domowej, generała konfederatów Powella-Hilla.

- To znaczy, że wszystko, panie prezydencie.

242

Rozdział 39

Chateau la Rouge, Francja

Stare miecze, maczugi, topory bojowe i zbroje - generał La Porte stał ze splecionymi na plecach dłońmi i patrzył na ekran monitora, na którym przesuwwały się rzędy liczb. Miał nieruchome oczy i skupioną twarz, chociaż nie rozumiał, co oznaczają.

- Już? - warknął niecierpliwie. - Wyłączył pan to?

- Jeszcze chwila. - Chambord uderzył w klawisze. - Tak... Tak... Nareszcie. - Odchylił

się w tył zaczerwieniony z podniecenia. – Kolejny system obronny namierzony i zneutralizowany.

Generał rozpromienił się i kiwnął głową, choć usta wciąż miał posępnie ściągnięte.

- Teraz proszę przeprogramować pocisk - rozkazał surowo. – Musi być aktywny i gotowy do odpalenia.

Chambord zerknął na niego i zabrał się do pracy. La Porte był nie tylko zniecierpliwiony, ale i rozdrażniony. Zniecierpliwiony? Tak, Chambord rozumiał, że można być zniecierpliwionym i nawet to szanował. Ostatecznie zniecierpliwienie wpływało z zapału i entuzjazmu. Ale rozdrażnienie to zupełnie co innego. Generał jakby się zmienił, a może był taki przez cały czas, tyle tylko że teraz, u progu ostatecznego sukcesu, nie potrafił tego ukryć.

Jon i Randi zadarli głowę i popatrzyli na półpiętro, na drzwi do zbrojowni. Na schodach było duszno i, jak w całym zamku, cuchnęło wilgocią, pleśnią i starym kamieniem. W sączą-

cym się tu słabym, przyćmionym świetle nie dostrzegłby ich nikt, chyba że jego uwagę przykułby ledwo dostrzegalny ruch cienia.

Jon spojrział na zegarek. Siedem minut. Tylko siedem minut. Za mało!

Niecierpliwie popatrzył na drzwi, które opisała mu Teresa. Były oddalone o pięć, sześć metrów. Pilnowało ich dwóch żołnierzy, ale w przeciwieństwie do znużonego i ospałego legionisty przed drzwiami do pokoju Teresy, ci byli bardzo czujni i gotowi na wszystko. Z pistoletami maszynowymi w rękę, stali w lekkim rozkroku, rozglądali się wokoło i nieustannie zerkali na drzwi do zbrojowni. Trudno takich zaskoczyć, poza tym w zbrojowni mogło być ich więcej.

Smith i Randi zbiegli chyłkiem piętro niżej, gdzie niecierpliwie czekali pozostali.

- Schody prowadzą na wieżę - szepnął Jon. - Półpiętro przed zbrojownią jest duże, głą-

bokie na sześć metrów. Kilka słabych lamp, sporo cienia.

- Da się ich zająć z dwóch stron? - spytał Howell.

- Nie, odpada, nic z tego - odrzekła Randi.

Jej słowa zagłuszyła gwałtowna kanonada pod zamkiem. Wyglądało to tak, jakby Abu Auda ze swoimi ludźmi przełamał kolejną linię oporu i w końcu wdarł się do środka.

- Tamci dwaj - kontynuował Jon - nie odstępują od drzwi zbrojowni. Coś mi mówi, że La Porte i Chambord tam są.

- Też tak myślę - szepnęła Randi.

- Może jest tam tylko Bonnard - spekulował Howell. - Albo Bonnard i La Porte.

- Nie. Ktoś musi dowodzić obroną zamku i na pewno robi to Bonnard.

- Dobra. - Howell podrapał się w głowę. - Najgorsze jest to, że tamci dwaj mogą zwać do środka, zatrzasnąć drzwi i bronić się tam przez całą noc. To zbrojownia, a zbrojownia zawsze była najbezpieczniejszym miejscem w zamku. Trzeba się rozejrzeć. Musimy znaleźć jakiś 243

sposób. Musimy wejść tam tak, żeby nas nie zauważyli...

- Zostało tylko sześć minut!

- O Boże! - wychrypiął Marty.

Puścili się pędem w stronę odległego okna. Na skrzyżowaniu korytarzy Jon dostrzegł jakiś ruch i zdążył ich w porę ostrzec.

- Padnij! - warknął.

Przez smugę wpadającej oknem księżycowej poświaty przeszli jacyś ludzie. Dwóch, trzech, czterech... Twarz jednego z nich załśniła jak heban,

- Abu Auda-szepnęła Randi. - Grupa zwiadowcza. Słysząc jak otwierają i zamykają drzwi. Szukają czegoś. Albo kogoś.

- Mauritaniu - odrzekł Jon.

- Na pewno. Przyszli po Mauritanię.

- Najpierw muszą go znaleźć - wtrącił Howell. - Dlatego sprawdzają pokoje.

- Możemy to wykorzystać - powiedział Smith. - Gdyby wybuchła tu strzelanina, La Porte wyszedłby ze zbrojowni i ściągnął tu żołnierzy...

- A wtedy moglibyśmy bez trudu tam wejść - dokończyła za niego Randi.

- Dobra - zdecydował Howell. - Pokażmy tym sukinsynom, gdzie raki zimują.

Dobiegli do skrzyżowania i Jon wyjrzał zza rogu. Na końcu korytarza Abu Auda otwierał wytrychem drzwi, a jego ludzie go ubezpieczali.

- Jeszcze nie... - szeptał przez ramię Smith. - Jeszcze nie.. '. Otwiera, zagląda do środka... Teraz! - Wybiegli z ukrycia i wpadli do mrocznego korytarza.

Jon i Randi przyklęknęli, Peter, Marty i Teresa stanęli za nimi i wszyscy naraz otworzyli ogień.

Kule rykoszetowały z jękiem od kamiennych ścian i sufitu. Jeden z terrorystów runął z krzykiem na podłogę. Abu Auda i pozostali odwrócili się, błyskawicznie padli i odpowiedzieli ogniem. Z pokoju wypełznął Mauritania. Chwycił broń martwego islamisty, wycelował i pociągnął za spust. W kamiennym korytarzu rozbrzmiało echo wystrzałów.

Ekran wypełniały kolumny niezrozumiałych liczb, symboli i liter. Chambord próbował

przeprogramować rosyjski pocisk balistyczny spoczywający w silosie w dalekiej tajdze. Nie rozumiał, dlaczego przychodzi mu to z tak wielkim trudem i dlaczego stare kody zastąpiono nowymi.

- Powinniśmy byli pozostać przy tym pierwszym - rzucił przez ramię do siedzącego pod ścianą La Porte'a. Generał miał teraz obstawę, stało przy nim dwóch żołnierzy. - Z tym nie byłoby kłopotów, tak samo jak z tym, który wybrał Mauritania. A ten... Kody są inne, trudne do złamania. Nie wiem, czy...

- Musi pan znaleźć jakiś sposób, doktorze - przerwał mu La Porte. - Natychmiast.

Chambord ponownie uderzył palcami w klawiaturę. Nagle znieruchomiał, z niepokojem popatrzył na ekran monitora i z ulgą oznajmił:

- Jest. Gotowe. Przeprogramowałem go i wprowadziłem współrzędne celu. Odpali automatycznie o północy.

Zaczął się odwracać, lecz nagle coś go tknęło. Zastygł bez ruchu, zmarszczył czoło, a potem powoli, powolutku, jak na filmie puszczone w zwolnionym tempie, ponownie spojrzął na ekran. Przerażony, musnął palcami kilka klawiszy i wytrzeszczył oczy. Boże, tak!

Przecucie go nie myliło.

Cofnął ręce, jakby poraził go prąd. Odwrócił się z fotelem do La Porte'a.

- Ten pocisk ma głowicę nuklearną! - wykrzyknął. - Nie wycofano go z użycia, jest w pełni uzbrojony i gotowy do odpalenia! Dlatego miał nowe kody. Boże świąty! Jak mogłem popełnić taki błąd! To międzykontynentalny pocisk nuklearny! Nuklearny, rozumie pan?! –

244

Błyskawicznie odwrócił się do klawiatury. Zatrwożony i rozwścieczony oddychał głośno i chrapliwie. - Jest jeszcze czas, jeszcze zdążę. Muszę go zdezaktywować, muszę...

Kula świsnęła mu tuż koło ucha i odłupała kawał kamienia ze ściany.

- Co... ? - Chambord podskoczył na krześle. La Porte trzymał w ręku pistolet.

- Proszę odsunąć się od klawiatury, doktorze - powiedział zimnym głosem.

Chambord gwałtownie wciągnął powietrze. Był zły, lecz powoli zaczynało do niego docierać, że grozi mu śmiertelne niebezpieczeństwo.

- Nie, nie wierzę - wyszeptał. - To niemożliwe. Pan tego nie zaplanował. Atak nuklearny? To jakaś... pomyłka!

Generał La Porte opuścił rękę i pistolet zwisał mu bezwładnie w dłoni.

- To nie pomyłka, panie doktorze - odparł z przekonaniem. - Wybuch pocisku z konwencjonalną głowicą bojową nie wstrząsnąłby Europą na tyle, żeby się wreszcie ocknęła. Ale po wybuchu tej głowicy nie będzie żadnych wahań. Wszyscy rozumieją, że potrzebny jest nam nowy początek. Poniedziałkowe głosowanie przebiegnie po mojej myśli.

- Ale przecież... przecież powiedział pan, że... La Porte ciężko westchnął. Był wyraźnie znudzony.

- Po prostu ująłem w słowa to, co podszeptywało panu pańskie burżuazyjne sumienie.

Pan się boi, doktorze. Ulega pan prymitywnemu, wieśniacznemu strachowi, który nie pozwala sięgnąć po to, co najcenniejsze. Proszę przyjąć moją radę: więcej odwagi. Wygrywa tylko ten, kto ryzykuje. Wiedzą o tym nawet Anglicy i ci nieodgadnieni Amerykanie.

Chambord był introwertykiem, człowiekiem nienawykłym do okazywania emocji. Nie umiał ani płakać, ani się śmiać, na co czasem narzekała jego żona. Bardzo mu jej teraz brakowało. Brakowało mu jej każdego dnia. Często powtarzał jej, że jego umysł jest nieskończenie skomplikowanym systemem, że chociaż nie potrafi okazywać emocji, odczuwa je równie głęboko jak ona.

Myśląc o tym, zaczął się powoli uspokajać. Już wiedział, co musi zrobić.

Splótł palce, zacisnął dłonie.

- Zamorduje pan co najmniej pół miliona ludzi - powiedział. - Pół miliona zginie natychmiast. Miliony innych zabije promieniowanie. W strefie wybuchu nie ocaleje...

Lufa pistoletu wycelowwała w jego serce. La Porte miał wyniosłą minę i Chambord odniósł wrażenie, że wysokie krzesło, na którym siedzi generał, nie jest krzesłem, tylko tronem.

- Już rozumiem! - wykrzyknął. - Zmierzał pan do tego od samego początku. Omaha.

Wybrał pan Omahę nie dlatego, że mieści się tam kwatera główna Dowództwa Amerykań-

skich Sił Strategicznych, cel ważniejszy od samego Pentagonu. I nie dlatego, że jest to wielki węzeł telekomunikacyjny i ośrodek przemysłu. Wybrał pan to miasto dlatego, że leży w Nebrasce, w samym sercu Stanów Zjednoczonych, w miejscu uważanym przez Amerykanów za najbezpieczniejsze w kraju. Jednym uderzeniem zamierza pan pokazać światu, że to najbezpieczniejsze miejsce wcale nie jest bezpieczne. Zamierza pan obrócić je w atomową pustynię i osłabić ich systemy obronne. Miliony ofiar tylko po to, żeby dowieść swego. Pan jest potwo-rem, generale! Potworem! La Porte wzruszył ramionami.

- To konieczne.

- Armagedon... - wyszeptał Chambord ledwo słyszalnym głosem.

- Ale z popiołów jak Feniks powstaną Francja i Europa.

- Pan oszalał!

La Porte wstał.

- Możliwe, doktorze, ale na nieszczęście dla pana jeszcze nie zwariowałem. Policja znajdzie tu ciała Mauritani i kapitana Bonnarde. Pańskie ciało też tu będzie, tymczasem ja...

- Tymczasem pan zniknie - dokończył Chambord głosem, który zabrzmiał głucho nawet dla niego. - Jakby nigdy tu pana nie było. Nikt się nie dowie, kto za tym stał.

- Naturalnie. Gdybyście przeżyli, pan i Bonnard, nie potrafiłbym wyjaśnić, jak to się sta-245

ło, że wykorzystaliście mój zamek do swoich niecznych knowań. Bardzo doceniam pańską pomoc.

- Nasze marzenie było jednym wielkim kłamstwem.

- Nie, panie doktorze. Pańskie marzenie było zbyt małe. - W zbrojowni huknęły dwa wystrzały. - Żegnaj, Chambord. Przysłużyłeś się Francji.

Naukowiec runął na podłogę z otwartymi oczami. Wyglądał jak szmaciana kukła.

W tym samym momencie rozpętała się kanonada. Zdawało się, że dochodzi ze wszystkich stron naraz. La Porte zeszywniał. Bojownicy z Tarczy Półksiężycy byli po drugiej stronie zamku. Jakim cudem dotarli aż tutaj?

Ruszył do drzwi, dając znak legionistom, żeby poszli za nim. Na korytarzu przystanął, wydał rozkaz wartownikom i całą piątką pobiegli w stronę schodów.

- Wycofujemy się! - ryknął Smith, przekrzykując huk i świst kul.

Ponieważ hałas nie miał już żadnego znaczenia, popędzili korytarzem w stronę spiralnych schodów prowadzących do wschodniej wieży. W ciasnym, kamiennym pomieszczeniu miało się wrażenie, że strzela do nich cały pułk wojska.

Na górze otworzyły się drzwi do zbrojowni i dobiegł ich czyjś krzyk. Na dole zadudniły ciężkie buciory. Naciągała odsiecz - legioniści.

Jon, Randi, Peter, Marty i Teresa czmychnęli do dwóch pokoiów po przeciwległych stronach korytarza.

Ciężko dysząc, Smith uchylił drzwi i zobaczył, że Howell zrobił to samo. Dosłownie dwa kroki przed nimi przemknął La Porte i czterech żołnierzy. Biegli w kierunku strzałów, na pomoc kolegom, którzy atakowali Abu Audę i jego ludzi. La Porte wydał jakiś rozkaz, lecz jego głos zginął w ogłuszającym huku.

Smith i Howell wychynęli zza drzwi i gdy dołączyli do nich pozostali, nie zważając na tamtych, na złamanie karku popędzili dalej, do schodów.

Jon wpadł na nie jako pierwszy. Schody, półpiętro, słabe światło, wąskie okna dla średniowiecznych łuczników i drzwi do zbrojowni. Były szeroko otwarte, nie dochodził zza nich żaden dźwięk.

- Co to znaczy? - szepnął Marty.

Jon przytknął palec do ust i gestem ręki wysłał tam Randi i Petera.

- Marty, Teresa i ja obstawimy schody - szepnął.

Randi wróciła niemal natychmiast.

- Chodźcie. Wszyscy. Szybko!

Marty wpadł do zbrojowni, rozglądając się w poszukiwaniu komputera tuż za nim wbiegła Teresa, na końcu Smith. Wszyscy troje zamarli na widok Chamborda. Leżał na dywanie, twarzą do podłogi, jakby spadł z fotela.

Teresa przytknęła dłonie do policzków.

- *Papa! No!* - Podbiegła bliżej.

- O Boże, o Boże... - Marty poklepał ją po ramieniu.

Głośno szlochając, Teresa uklękła i przewróciła ojca na plecy. W jego piersi ziały dwie dziury. Ubranie było przesiąknięte krwią.

- Jon, czy on żyje? Powiedz, że on żyje!

Smith przykucnął i spojrział na zegarek.

- Marty! Komputer! Mamy niecałe dwie minuty!

Marty potrząsnął okrągłą głową, jakby próbował otrzeźwieć.

- Dobra, już. - Usiadł w fotelu Chamborda i przysunął bliżej klawiaturę.

Howell ruszył do drzwi.

- Chodź, Randi. Ktoś musi ich ubezpieczać.

Wypadli na korytarz. Ich ciemne ubranie rozmyło się w mroku na półpiętrze.

Jon popatrzył na Chamborda.

- Dwie kule prosto w serce - powiedział. - Zginął na miejscu. Bardzo mi przykro, Tereso.

Teresa zapłakała.

247

Kręcąc lekko głową, Smith podszedł spieszenie do biurka, skąd mógł mieć oko na Marty'ego i na całą resztę pomieszczenia. Stara zbrojownia. Średniowieczne ozdoby, ciężkie, masywne meble, tarcze, broje wiszące na ścianach, broje stojące w kątach. Komnata była bardzo duża, wysoka i słabo oświetlona. Lamy zamontowano tylko tu, w pobliżu biurka i komputera. W mroku pod kamienną ścianą piętrzył się stos skrzyń. Amunicja?

- Szybciej, ty potworze! - syczał Marty. - Stajesz okoniem? Przeciwstawiasz się mistrzowi? Paladyna nie pokonasz. O właśnie, tak jest dużo lepiej. Chodź tu, ty przebrzydła bestio. Aha! Możesz się więc, możesz uciekać, ale nie ukryjesz się przed... - Nagle umilkł.

- Co się stało? - spytał szybko Jon. - Co tam masz? - Popatrzył na rzędy liczb, symboli i liter na ekranie. Chociaż miał jako takie pojęcie o programowaniu, to było dla niego stanowczo za trudne.

Marty podskoczył w fotelu jak oparzony.

- Ty podły wężu! Ty smoku! Nie pokonasz bohatera! Nie pokonasz rycerza i wojownika! Spokojnie, tak, spokojnie... Aaa, mam cię, ty zawszony kundlu! O Boże, nie...

- Marty, mów. Widzę, że coś jest nie tak.

Marty podniósł wzrok. Był bardzo blady.

- Emile wybrał rosyjski pocisk międzykontynentalny. Uzbrojony w głowicę. W głowicę nuklearną, i właśnie odpalił! Jest już w powietrzu. Już go nie ma!

Smithowi zabrakło tchu, zaschło mu w ustach.

- Jaki ma kurs? Sprawdź współrzędne celu.

Marty szybko zamrugał.

- Omaha. - Popatrzył na ekran monitora i zdruzgotany przeniósł wzrok z powrotem na Jona. - Za późno. Już za późno.

Rozdział 40

Air Force One, baza lotnicza Offutt, Omaha

siedząc samotnie w swoim prywatnym gabinecie i wsłuchując się w pomruk potężnych silników, prezydent Castilla patrzył w okno, gdzie widział swoje odbicie i pas startowy, który właśnie musnęło podwozie samolotu. Niebawem on i jego współpracownicy znajdą się w gi-gantycznych podziemnych bunkrach Dowództwa Amerykańskich Sił Strategicznych.

STRATCOM to serce amerykańskiego systemu obronnego, gdzie opracowuje się plany i namierza cele, skąd podczas wojny kieruje się strategicznymi siłami uderzeniowymi USA.

NORAD, Dowództwo Obrony Powietrznej Ameryki Północnej, pilnuje czystości nieba, natomiast STRATCOM koordynuje uderzenia odwetowe.

Castilla spojrział w lewo. Tak, drugim pasem startowym mknęła maszyna łudząco podobna do Air Force One. Stacjonowała tu, w bazie Of-futt, i wykorzystywano ją tylko w sytu-acjach nadzwyczajnych, takich jak ta. Miała odciągnąć uwagę wroga, który mógł ich śledzić.

Prezydent ciężko westchnął na myśl, ilu ludzi naraża życie, żeby chronić jego i jego współpracowników. Odwrócił głowę. Gdy samolot zwolnił i zjechał z pasa, podniósł mikrofon dużej krótkofalówki.

- Trzymasz się, Brandon?

- Trzymam się, Sam - odrzekł wiceprezydent Brandon Erikson z bunkru w Karolinie Północnej. - A ty?

- Też. W miarę. Ale zaczynam się trochę pocić. Chętnie wziąłbym prysznic.

- Wiem.

- Gotowy do przejęcia steru?

- Nie będzie takiej potrzeby.

Castilla zachichotał, choć ze smutkiem.

- Zawsze podziwiałem twoją pewność siebie. Dobra, będę w kontakcie. - Pstryknął przełącznikiem. Właśnie poprawiał się w fotelu, gdy ktoś gwałtownie zapukał do drzwi. -

Tak?

Wszedł Chuck Ouray. Twarz miał szarą jak popiół i zdawało się, że ledwo stoi.

- Meldunek ze STRATCOM-u, panie prezydencie. Eksperymentalny system padł. Nie zostało nam nic, jesteśmy całkowicie bezbronni. Wojskowi rozmawiają z elektronikami, próbują coś zrobić, ale nie mają zbyt wielkich nadziei.

- Już idę.

Chateau la Rouge

Atmosfera była pełna napięcia. Jon zerkał niespokojnie ponad ramieniem Marty'ego na ekran monitora. W zbrojowni zrobiło się jeszcze zimniej. Zapadła cisza. Słysząc było jedynie przytłumione wystrzały i nerwowe klikanie klawiatury.

Smith nie chciał mu przeszkadzać, ale nie wytrzymał:

- Dasz radę?

- Próbuję - wychrypiał Marty, jakby nagle zapomniał, do czego służą struny głosowe.

Podniósł wzrok. - Koszmar. Uczyłem Emile'a, uczyłem i nauczyłem. Wyrządził tyle zła. To moja wina. - Przeniósł wzrok z powrotem na ekran, szukając sposobu unieszkodliwienia po-249

cisku. - Tak, zdolny był z niego uczeń... Mam go! Boże, nie, tylko nie to... Osiągnął apogeum.

Jest dokładnie w połowie drogi przez Atlantyki!

Smith zadrzał. Nerwy miał napięte jak postronki. Wziął głęboki oddech, żeby się uspokoić, i położył przyjacielowi rękę na ramieniu.

- Musisz znaleźć jakiś sposób, Marty. Musisz rozbroić tę głowicę.

Kapitan Bonnard opierał się o kamienną ścianę ramieniem bezwładnej zakrwawionej ręki i z trudem zachowując przytomność, drugą ręką przyciskał do krwawiącego boku zwinie-

tą w kłębek koszulę. Większość jego kolegów kryła się za barykadą z ciężkich średniowiecznych mebli za rogami korytarza. Generał wydawał rozkazy i zagrzewał ich do walki. Bonnard wsłuchiwał się w jego głos ze słabym uśmiechem na twarzy. Zawsze pragnął zginąć w wielkiej bitwie z potężnym wrogiem Francji, ale ta potyczka mogła mieć większe znaczenie niż niejedna kampania, gdyż ten wróg był najgorszym z wrogów. Ostatecznie walczyli o przyszłość ojczyzny.

Pocieszając się tą myślą, zobaczył zlanego potem żołnierza z drugiego pułku Legii, który biegł do barykady.

Podniósł rękę.

- Stać! Melduj.

- Znaleźliśmy Maurice'a, związanego i zakneblowanego. Pilnował Teresy Chambord.

Mówi, że napadło go czterech, trzech mężczyzn i uzbrojona kobieta. Islamiści nie posłaliby do walki kobiety.

Bonnard wyprostował się i zachwiał. Kobieta. Pewnie ta agentka z CIA, co oznaczało, że są tu Smith i jego ludzie. Wspierając się na ramieniu legionisty, dotarł do rogu, upadł na kamienną posadzkę i doczołgał się do generała, który ostrzeliwał barykadę z mebli na drugim końcu korytarza.

- Jest tu pułkownik Smith - wysapał zdyszany. - W zamku. On i trzech ludzi.

La Porte zmarszczył brwi i spojrział na zegarek. Od pomocy dzieliły ich tylko sekundy.

- Nie martw się, Darius. - Posłał mu krótki uśmiech. – Spóźnili się... - Trzech? Nagle zdał sobie sprawę, że to niezmiernie ważne. Smith przyprowadził ze sobą trzech ludzi? Powinno być ich tylko dwoje, Anglik Howell i agentka CIA, jak jej tara... - Zellerbach! - wykrzyknął. - Jest tu Zellerbach! Ten przekłety Zellerbach może rozbroić pocisk. — Popatrzył na swoich żołnierzy. - Wycofać się! - ryknął. - Do zbrojowni! Szybko!

Gdy legioniści popędzili na górę, spojrział na swego wiernego adiutanta. Bonnard miał

zakrwawiony bok, był ciężko ranny. Przy odrobinie szczęścia umrze. Mimo to ryzyko było za duże. Odczekał, aż legioniści znikną za rogiem.

- Co się stało, *mon general*? - Zaskoczony kapitan obserwował go półprzytomnie.

- Dziękuję ci za wierną służbę, Darius - odrzekł La Porte z rozrzewnieniem i współ-

czuciem. Ale chwila sentymentu szybko minęła. Wzruszył ramionami i dodał: - *Bon voyage*. -

Strzelił Bonnardowi w głowę, wstał i pobiegł za żołnierzami.

Omaha, Nebraska

Prezydenta i towarzyszące mu osoby wsadzono do trzech ciężko opancerzonych transporterów i powieziono przez lotnisko. W transporterze Castilli zatrzeszczał nadajnik. Prezydent podniósł słuchawkę.

- Nie dajemy sobie rady, panie prezydencie - zameldował bezosobowy głos z centrum dowodzenia. - Kody ciągle się zmieniają. Nie mamy pojęcia, jak to możliwe. - Mężczyzna mówił z narastającą paniką. - Żaden komputer nie jest w stanie...

- Ten jest - mruknął szef sztabu Ouray.

Castilla i Emily Powell-Hill nie zwrócili na niego uwagi.

- ...reagować automatycznie, odruchowo, jak bokser na ringu - mówił dalej tamten. -

Chwileczkę. Cholera jasna, nie...

Przerwał mu głos jakiejś kobiety:

- Panie prezydencie, mamy odczyt na radarze. To pocisk balistyczny. Międzykontynentalny, rosyjski. Jest uzbrojony w głowicę... nuklearną. Boże... Co? Powtórz. Na pewno? - Jej głos się zmienił. Był teraz silny, opanowany i spokojny. - Panie prezydencie, celem pocisku jest Omaha. Nie zdołamy nic zrobić, jest za późno. Proszę zejść do schronu albo natychmiast opuścić naszą przestrzeń powietrzną.

W tle słychać było głos mężczyzny:

- Nie mogę go namierzyć. Nie mogę go...

Chateau la Rouge

Abu Auda przekrzywił głowę. Lampy na ścianach były roztrzaskane i korytarz tonął w dymie i mroku. Abu Auda powoli wstał i wyćwiczonymi na pustyni oczami przyjrzał się ba-rykadzie przeciwnika.

- Uciekli - powiedział. - *Inszallah!*

Zmęczeni, poranieni bojownicy Tarczy Półksiężycy wydali radosny okrzyk i dźwignęli się z podłogi.

Mauritania uciszył ich gestem ręki.

- Słyszycie?

Przez chwilę w zamku panowała cisza. Potem usłyszeli tupot nóg. Ciężkich buciorów.

Zamiast biec w ich stronę, legionieści i francuski generał pędzili w stronę wieży.

Mauritania błysnął oczami.

- Chodź, Abu. Musimy zebrać ludzi.

- Słusznie. Opuśćmy ten przeklęty zamek. Z wrogami islamu rozprawimy się kiedy indziej.

Mauritania - wciąż miał na sobie porwane beduińskie szaty, których nie zdejmował od chwili powrotu z Algierii - pokręcił głową.

- Nie, mój dzielny druhu. Nie wyjdziemy stąd bez tego, po co tu przybyliście.

- Przybyliśmy po ciebie, Khalidzie.

- W takim razie jesteście głupcami. Musimy mieć Chamborda i jego cudowny komputer, rozumiesz? Dla dobra naszej sprawy. Bez komputera nie wyjdę. Zbierzemy ludzi i znajdziemy tego generała. Tę francuską świnię, La Porte'a. Tam, gdzie jest on, jest i komputer.

W wilgotnej, słabo oświetlonej zbrojowni rozwścieczony Marty rozpoczął kolejny monolog, próbując rozbroić zbliżający się do celu pocisk.

Teresa Chambord drgnęła i podniosła głowę. Odkąd Smith stwierdził, że jej ojciec nie żyje, klęczała przy zabitym jak w transie, cicho łkając i trzymając go za rękę.

Ponieważ Marty mówił coraz głośniejszym głosem, spojrzała w jego stronę.

- Nie wygrasz ze mną, ty durna bestio! Mam gdzieś diaboliczne kody Emile'a. Obedrę cię żywcem ze skóry i powieszę ją sobie obok skór innych ziejących ogniem smoków, które zabiłem w śmiertelnym boju. Masz, ty suko, naźryj się tym! No i gdzie twoja obrona? A teraz zeźryj to!

Tymczasem Peter i Randi czuwali na mrocznym półpiętrze, pilnując drzwi. Z dołu dochodził ich coraz silniejszy zapach kurzu i prochu.

251

- Słyszysz? - spytała Randi gardłowym głosem.

Celowwała w schody, które rozchodziły się w tym miejscu w dół i w górę, na szczyt wieży. I po jednej, i po drugiej stronie było kamienne przejście wielkości dużych drzwi.

- Słyszę, słyszę - odrzekł Howell. - Nie chcą sobie odpuścić, sukinkoty. Wiesz co? Zaczyna mnie to wkurzać. - On też mierzył z pistoletu w schody.

Tupot buciorów był coraz głośniejszy, chociaż tamci starali się iść cicho. Gdy w przejściu stanął pierwszy legionista, Randi i Peter otworzyli ogień. Trysnęła krew i kule roztrzaskały mu głowę. Jak kłoda zwałił się do tyłu. Buchnął krzyk i jego koledzy przywarowali za rogiem.

Peter spojrział w stronę drzwi do zbrojowni i wrzasnął:

- Hej tam! Mamy gości!

- Pospieszcie się! - dodała Randi. - Jest ich więcej, niż myśleliśmy!

Kłęcząca przy ojcu Teresa wzięła się w garść.

- Pomogę im. - Spojrzała na ojca, skrzyżowała mu ręce na piersi, westchnęła, podniosła z podłogi francuski pistolet maszynowy, który dostała od Jona, i wstała. Szczupła kobieta, krucha i zrozpaczona.

- W porządku? - spytał Smith.

- Nie, ale dojdę do siebie. - Powiedziała to głosem silnym i zdecydowanym, jakby nagle załapała ją fala nowej energii. Popatrzyła na ojca ze smutnym uśmiechem na ustach. - Żył dobrze i zrobił dużo dobrego, ale pod koniec życia dał się zwieść iluzji. Dla mnie zawsze będzie wielkim człowiekiem.

- Wiem. Uważaj tam.

Kiwnęła głową, wzięła zapasowy magazynek i ruszyła do drzwi. Przyspieszyła kroku, zniknęła na półpiętrze i niemal natychmiast otworzyła ogień. Legioniści La Porte'a stawiali zaciekle opór. Echo wystrzałów zagrzmiało w zbrojowni i Jona przeszedł zimny dreszcz.

Chciałby stąd wyjść, chciałby im pomóc...

- Marty? Jak ci idzie? Jest jakiś postęp? - Pozostało im mało czasu na ucieczkę, ale Ameryka miała go jeszcze mniej.

Marty pochylał się nad klawiaturą. Był dziwnie podekscytowany, jakby wstąpiła weń nadzieja. Zgięty w pół, zwinięty jak sprężyna, nie przestawał mówić:

- Giń! Giń! Giń! Giń, ty potworny potworze, ty... - Raptem podskoczył, zerwał się z fotela.

- Co ci? - spytał Jon. - Co się stało?

Marty zawirował jak baletmistrz, podniósł wysoko ręce, zacisnął pięści i zaczął nimi wymachiwać.

- Cholera jasna, mów, co się stało! - nie wytrzymał Smith.

- Patrz! Patrz! - Marty wyciągnął rękę.

Wystrzały przycichły. Jon zerknął na ekran monitora. Zamiast przesuwających się kolumn liczb i symboli widniały na nim srebrzystobiałe gwiazdy na tle czarnego nieba. Po prawej stronie był zarys francuskiego wybrzeża, po lewej część Stanów Zjednoczonych na wschód od Nebraski. Od Omahy wiodła łukowata, kreskowana linia. Na jej końcu pulsowała maleńka, czerwona strzałka.

- To trajektoria pocisku? - spytał Jon. - Tego z głowicą?

- Tak. Uważaj, patrz na ekran. - Marty spojrział na zegarek. - Pięć... cztery... trzy... dwa...

jeden!

Czerwona strzałka eksplodowała w białym obłoczku przypominającym kłaczek pulchnego kremu.

Smith wytrzeszczył oczy. Nie mógł w to uwierzyć. Miał nadzieję, że się nie myli.

- To jest ten... pocisk?

- To był ten pocisk! - wykrzyknął Marty i odtąńczył krótki taniec zwycięstwa. - Już go 252

nie ma!

- I to... już? - wychrypiał podekscytowany Smith. - Już po wszystkim? Na pewno? Jesteś tego absolutnie pewien?

- Kazałem mu wysadzić się w powietrze! Nad oceanem! Nie doleciał nawet do wybrze-
ża! - Marty pochylił się i ucałował monitor, omal nie tracąc równowagi. - Cudowna maszyna.
Kocham cię, komputerku. - W kącikach jego oczu rozbłysły łzy. - Ameryka jest bezpieczna, Jon.

253

Rozdział 41

Marty tańczył, świętując triumfalne zwycięstwo nad pociskiem nuklearnym, który miał
zabić miliony ludzi. Smith obserwował go przez kilka sekund, chłonąc tę wiadomość, tymczasem na
półpiętrze przed zbrojownią wciąż rozbrzmiewała kanonada. Peter, Randi i Teresa bronili wieży
przed napierającymi legionistami.

Nie mogli jednak bronić jej wiecznie. Przeciwnik miał znaczną przewagę liczebną i teraz, kiedy już
osiągnęli główny cel, musieli stąd uciec.

- Ameryka jest bezpieczna! - Marty stanął przed nim spocony i zdyszany. - Ameryka jest bezpieczna! -
powtarzał, jakby sam nie mógł w to uwierzyć.

- Ameryka tak, ale my nie. - Smith podbiegł do drzwi. - Dasz radę przywrócić łączność satelitarną?

- Oczywiście.

- To do roboty.

Marty znowu usiadł w fotelu.

Jon wyjrzał na półpiętro. Peter i Randi klęczeli, Teresa leżała na posadzce w mrocznym cieniu.

- Wytrzymacie jeszcze kilka minut?

- Ale tylko kilka, nie dłużej! - odkrzyknęła Randi.

Smith wrócił do Marty'ego.

- Długo jeszcze?

- Czekaj... czekaj... czekaj... Już! W porównaniu z tą przeklętą rakieta satelity to betka.

Łączność przywrócona.

- Dobra. Wyślij to. - Jon wyrecytował z pamięci kilka liczb, kodów dostępu do systemów komputerowych Freda Kleina. - I dodaj: „La Porte. Normandia. Chateau la Rouge”.

Marty zatańczył palcami na klawiaturze. Podniecony i pełen optymizmu, aż podskakiwał w fotelu.

- Już. Co teraz?

- Teraz wiejemy.

Zaszokowany Marty zmarszczył czoło i pokręcił głową.

- Nie, coś ty! Nie możemy zostawić tu komputera. Rozmontujemy go i zabierzemy...

- Nie. - Smith też o tym myślał, ale strzelanina na półpiętrze przybierała na sile. - Nie ma czasu.

- Ale musimy go zabrać - zawodził Marty. - A jeśli przechwyci go generał La Porte?

- La Porte niczego nie przechwyci. - Smith złapał go za rękę i pociągnął do drzwi.

- Jejku, puść mnie! - zaprotestował Marty. - Umiem chodzić.

- To biegnij!

Howell, Randi i Teresa odparli kolejny atak legionistów. Teresa oderwała drugi rękaw żakietu, żeby przewiązać krwawą ranę na udzie Petera. Randi oberwała w ramię, ale kula przeszła na wylot, nie naruszając kości. Krwawienie dało się powstrzymać mocno zaciśniętą opaską.

- No i? - rzuciła nerwowo. - Co z tym pociskiem?

- Już go nie ma - odrzekł Jon. - Marty'emu się udało.

- Nie spieszył się, cholera - mruknął Howell i rozciągnął usta w szerokim uśmiechu.

Jon przykucnął.

254

- Daj granat.

Jak przystało na żołnierza, Peter nie spytał nawet po co. Wyjął z plecaka granat i bez słowa rzucił Smithowi.

- Zaraz wracam.

Jon wbiegł do zbrojowni, położył granat na tacy z paczuszkami żelu, wyciągnął zawleczkę i uciekł stamtąd, jakby ścigało go stado wygłodniałych wilków.

Wypadł na półpiętro i wrzasnął:

- Padnij!

Rozpłaszczyli się na kamiennej posadzce. Granat eksplodował, zaścielając korytarz wystrzępionymi kawałkami stali i odłamkami drewna. Jeden z legionistów, którzy przywarowali na szczycie schodów, głośno krzyknął, zasłonił rękami zakrwawioną twarz i zniknął za rogiem.

- Po cholere ci to było? - spytała Randi.

- Żel - odrzekł Jon. - Serce komputera. Zawiera molekuly DNA, te nowe, zmodyfikowane przez Chamborda. Gdybyśmy je tu zostawili, mógłby je odtworzyć każdy genetyk.

Marty ponuro kiwnął głową.

- Nie potrzebowałyby nawet całej pacuszki. Wystarczyłoby, żeby zeszkrobał resztki ze ścian.

- Musiałem je zniszczyć, żeby nie wpadły w niepowołane ręce.

Na schodach znowu rozległ się tupot nóg. Legioniści przypuszczali następny szturm.

Peter, Randi i Jon podbiegli bliżej schodów i otworzyli ogień. Żołnierzy tam jeszcze nie było, ale rykoszetujące kule zrobiły swoje. Doszła ich seria gniewnych przekleństw i legioniści się wycofali.

Do Marty'ego dopiero teraz zaczynało docierać, że podczas gdy on siedział bezpiecznie w zbrojowni, tu toczyła się zażarta walka. Rozejrzał się i głośno przełknął ślinę.

- Czy to jest... wielka bitwa, Peter? - spytał, siląc się na wesołość.

- Cholernie wielka - odparł Howell. - Ale pewnie będzie krótka. Boję się, że te schody to jedyne wyjście z wieży. A tamci raczej nas nie przepuszczą.

- Utknęliśmy w pułapce? - Twarz Marty'ego wydłużyła się z przerażenia.

Echem tej złowieszczej przepowiedni był dudniący krzyk generała La Porte'a:

- Poddajcie się! Przewyższamy was liczebnie. Teraz jest trzech na jednego, ale z każdą chwilą nas przybywa! Nie uciekniecie!

- Kiedy dowie się, że pokrzyżowaliśmy mu plany, raczej nam nie wybaczy - szepnęła Randi.

- Nie wspominając już o tym, że jeśli chce wyjść z tego suchą stopą, musi nas zabić - dodał Howell.

- Pewnie dlatego zastrzelił Chamborda. I nie słyszę jakoś głosu kapitana Bonnarda...

Przerwał jej huk wystrzałów. Dochodził z dołu, więc natychmiast przywarli do podłogi, szykując się na kolejny szturm. Ale tym razem szturm nie nastąpił. Tamci strzelali w przeciwną stronę, do kogoś, kto ich atakował. Rozbrzmiały przytłumione okrzyki, po arabsku i w innych językach.

- Tarcza Półksiężycy - szepnęła Teresa.

- Zaszli La Porte'a od tyłu - dodał Howell. - Śmierć za ojczyznę ma pewnie sens, ale oby islamscy przyjaciele nie próbowali nam tego udowodnić.

Marty nie odrywał oczu od Smitha, który z gotową do strzału bronią uważnie obserwował schody.

- Masz jakiś plan, Jon?

- Nie musimy schodzić na dół - odrzekł Smith. - Pójdziemy na górę, na wieżę. Randi ma liny, Peter plastik i granaty. To nasza jedyna szansa.

- Poza tym stoi tam ten śliczny helikopterek - przypomniał mu Howell.

- Cudownie! - Marty wbiegł niezdarnie na schody. - Kto pierwszy, ten lepszy. Pędźmy jak wiatr, o paladyni!

Peter i Jon posłali w legionistów ostatnią serię.

- Dwa piętra - wysapał Howell. Pokonując po kilka stopni naraz, popędził za Randi i Teresą.

Jon przystanął. Znieruchomiał. Przeciąg? Doszła go fala silnego ciepła. Cofnął się na półpiętro. Z drzwi zbrojowni buchał ogień i dym. Po eksplozji granatu musiały zająć się ukochane La Porte'a stare meble.

Wbiegł na kamienne schody, gdyż nagle uświadomił sobie, że widział tam również skrzynie, skrzynie najprawdopodobniej wypełnione amunicją. Na dole znowu zadudniły cięż-

kie buciory. Smith dopędził kolegów, wraz z Peterem chwycił Marty'ego pod rękę i popędzili razem dalej.

Teresa śmigła jak gazela, Randi przystanęła, żeby ich ubezpieczać, i posłała kilka kul w dół schodów.

- Na drugą stronę! - krzyknęła Teresa. Jej kostium odcinał się bielą na tle czarnych ścian.

- Randi i ja zostaniemy tutaj - powiedział Jon. - Tereso, ty i Marty biegnijcie poszukać okna. Ale musi być szerokie, nie takie jak te szczeliny dla łuczników. Znajdźcie coś, czym można wyjść na barbakan. Peter, uzbrój plastik i połóż go dziesięć metrów stąd.

Howell bez słowa kiwnął głową, a Randi otworzyła ogień do napierających legionistów.

Trafiła dwóch pierwszych, trzeci spadł ze schodów. Przez chwilę mieli spokój, bo strzelanina na dole przybrała na sile. Najwidoczniej La Porte i jego ludzie byli tak zajęci islamistami Abu Audy, że wysłali za nimi tylko małą grupę pościgową, ale sytuacja mogła się szybko zmienić.

Z klatki schodowej dochodziły przytłumione głosy i ciche, ostrożne kroki. I słaby zapach dymu. Nie prochu, tylko dymu z płonącego drewna. Smith zastanawiał się, czy powiedzieć kolegom o skrzyniach z amunicją w zbrojowni, ale uznał, że lepiej nie. Było za późno, nic nie mogli na to poradzić. Mogli jedynie działać, jak najszybciej stąd uciec i właśnie to robili.

- Już! - zawołał Peter.

Jon i Randi jeszcze raz pociągnęli za spust. Legioniści wycofali się w popłochu.

W chwili gdy całą trójką dobiegli do skrzyżowania korytarzy, plastik eksplodował z tak potężną siłą, że podmuch cisnął ich na podłogę. Sufit korytarza zapadł się za nimi w kłębach dymu, pyłu i kamiennych odłamków. Teresa stała przed drzwiami do jakiegoś pokoju i dawa-

ła rozpaczliwe znaki.

Howell zakaszłał, wyjął granat i przykucnął, czujnie obserwując rumowisko.

Randi i Jon wpadli do pokoju. Były tam cztery okna, trzy wąskie i jedno szerokie. Przy tym szerokim czekali Teresa i Marty.

- Widać stąd śmigłowiec - powiedział Marty. - Ale jest bardzo, bardzo mały - dodał

wyraźnie zaniepokojony.

- Jeśli się do niego dostaniemy, na pewno wystarczy. - Randi wcisnęła kotwiczkę w zagłębienie pod parapetem, zrzuciła linę, włożyła uprząż i zjechała na blanki siedem pięter ni-

żej.

- Marty! - krzyknęła. - Teraz ty!

- Proszę bardzo - wysapał Marty, siadając na parapecie. - Uodporniłem się na wszystkie niebezpieczeństwa.

Upzrąż wróciła. Jon i Teresa przypięli Marty'ego i ostrożnie opuścili go na dół. Potem przysła kolej na Teresę, lecz ledwie zniknęła za oknem, w korytarzu rozległ się ogłuszający wybuch, a zaraz potem krzyk i przeraźliwy wrzask.

Do pokoju wbiegł Peter. Twarz miał brudną, zakrwawioną i ponurą.

- Wiekmy stąd, staruszk!

Smith wskazał okno.

256

- Ty pierwszy. Wiek przed urodą.

- Jeśli tak, możesz tu zostać, ile chcesz. - Howell rzucił mu ostatni granat i zsunął się po linie w dół.

Tymczasem Jon czekał. Serce waliło mu jak młotem. Nie odrywał oczu od drzwi.

Gdy uprząż wróciła na parapet, zapiął pasy, usiadł i w tym samym momencie do pokoju wpadło dwóch żołnierzy La Porte'a. Jon zwolnił hamulec, wyszarpnął zawleczkę granatu i zjeżdżając w dół, cisnął go w okno.

Huknęło tak potężnie, że zakołysała się lina. Poczuł, że jeszcze chwila i kotwiczka pu-

ści, więc nabrał powietrza, jeszcze bardziej poluźnił uchwyt hamulca i jak kamień pomknął

ku ziemi. Z okien wieży buchał szary dym.

Kotwiczka puściła, gdy grzmotnął stopami w kamienną ścieżkę za blankami. Puściła, wystrzeliła przez okno i omal nie trafiła go w głowę. Howell, Marty i Teresa pędzili już do barbakanu, gdzie stał śmigłowiec.

Głośny wrzask. Znowu. Ale nie dochodził z góry, tylko z przeciwnej strony, zza zakrętu biegnącej szczytem muru ścieżki.

- To Abu Auda! - krzyknęła Randi. - Szybciej!

Smith biegł ile sił w nogach. Howell siedział już za sterami dygoczącego śmigłowca, Teresa i Marty właśnie zapinali pasy. Jon i Randi wskoczyli na pokład.

Gdy pierwsi żołnierze Tarczy Półksiężycy wbiegli na barbakan, Peter poderwał maszynę i położył ją na burtę w ostrym skřęcie.

Kilka kul przebiło poszycie, kilka odbiło się z jękiem od płóz podwozia. Randi, Teresa, Marty i Jon wymienili spojrzenia. Nie mogli mówić, brakowało im tchu. Śmigłowiec oddalał

się coraz bardziej od czerwonego zamku La Porte'a. Na gładkim, aksamitnie czarnym niebie jakby nigdy nic świeciły gwiazdy. Smith pomyślał o generale, o wojownikach Tarczy Pół-

księżycy, o całym tym piekle, o spustoszeniu, jakie dokonało się w ciągu kilku ostatnich dni.

Boże, ileż zła można wyrządzić w imię dobra.

Gdy byli prawie dwa kilometry od zamku i zaczęli się już odprężyć, Chateau la Rouge zniknął w kłębach dymu. Noc rozświetliły jęzory ognia, trysnęła fontanna kamieni.

- Jezus Maria, Jon - powiedział Peter. - Imponujesz mi. Co to było? - Zawrócił, żeby lepiej widzieć, i maszyna zawisła w powietrzu.

- No... - Jon niepewnie odchrząknął. - Chciałem was uprzedzić, ale..

- Uprzedzić? - spytała Randi. - O czym?

Jon wzruszył ramionami.

- O amunicji. W zbrojowni stały skrzynie z amunicją, dlatego...

- Wrzuciłeś granat do pokoju pełnego amunicji?! - wybuchnął Howell. - I nic nam nie powiedziałaś?!

- Trzeba było lepiej patrzeć - odparł urażony Smith. - Czy muszę ci wszystko pokazy-wać? Poza tym skrzynie stały daleko.

- Spokojnie, Peter - pocieszał go Marty. - Ja też ich nie zauważyłem Teresa zbladła.

- Ani ja, i dzięki Bogu.

- Celem tej długiej i niebezpiecznej misji było usunięcie zagrożenia, jakie stwarzał

komputer molekularny - podsumowała z uśmiechem Randi. - Udało ci się, Jon. Wysadziłeś to paskudztwo zwykłym granatem.

- Nie mnie, Randi - odrzekł Smith. - Udało się nam. Nam wszystkim. Howell pokręcił głową i wykrzywił usta w uśmiechu.

- No dobra. Czy możemy już wracać do domu?

Jeszcze przez chwilę patrzyli na trawiące zamek płomienie, a potem Peter pchnął drą-

żek. Śmigłowiec zatoczył długi, łagodny łuk i wziął kurs na Paryż. Jon i Randi włączyli tele-257

fony komórkowe, by złożyć meldunek swoim przełożonym. Teresa usiadła wygodniej i cicho westchnęła.

- Widzicie te małe kropeczki na niebie? - Marty wyciągnął rękę. - Tam, na wschodzie.

Wyglądają jak robaczki świętojańskie. Co to jest?

Popatrzyli w tamtą stronę. Światełka zbliżały się, były coraz większe.

- Natowskie śmigłowce - powiedział w końcu Jon. - Dwadzieścia. Tak, około dwudziestu.

- Lecą do zamku.

- Wygląda na to, że ją dostali. - Marty opowiedział im, jak to Jon podał mu kody dostępu i jak tuż przed ucieczką ze zbrojowni wysłali pilną wiadomość. - A zaraz potem babuch!

Zniszczył mój komputer...

Noc wypełniła się światłem i dudnieniem silników. Śmigłowce były wielkie, desanto-we, ich mały beli ginął przy nich jak karzełek. Leciały na północ grupami, w idealnym szyku.

W blasku księżyca wyglądały jak bestie nie z tego świata, które pędzą przed siebie, rozcinając powietrze wirującymi srebrzystymi mieczami.

Widok zapierał dech w piersi. Gdy nie łamiąc szyku, wylądowały na tonących w po-

świacie łąkach, wysypali się z nich żołnierze, i tyralierą ruszyli w stronę płonącego zamku, a właściwie tego, co z niego zostało. Z ich ruchów były podnoszące na duchu precyzja i zdecydowanie.

- NATO w akcji - powiedział Smith. - Miły widok. - Hm, cóż za niedomówienie.

Marty westchnął.

- Peter, dość już się napatrzyliśmy. Zabierz nas do Paryża. Chcę do domu.

- Już się robi, chłopcze - odrzekł Howell i poleciełi dalej.

Epilog

Miesiąc później

Fort Collins, Kolorado

Był to jeden z tych słonecznych czerwcowych dni, z których słynie Kolorado. Błękitne niebo, balsamiczne powietrze, aromatyczny zapach sosen i leciutki wiaterek. Jon wszedł do gmachu, w którym mieściły się laboratoria Amerykańskiego Wojskowego Instytutu Chorób Zakaźnych. W gmachu tym on oraz inni naukowcy próbowali zbudować „pierwszy” komputer molekularny.

Szedł, pozdrawiając po imieniu asystentów, sekretarki i urzędników. Niektórzy widzieli go pierwszy raz, odkąd wyjechał, dlatego przystawali, ciesząc się, że wreszcie wrócił. No i jak się miewa babcia?

- Wystraszyła nas na śmierć - odpowiadał. - Omal nie umarła. Ale powoli dochodzi do siebie.

Gdy przed dwoma dniami wszedł do uniwersyteckiego kampusu, wciąż miał w pamięci wydarzenia z Francji, Hiszpanii i Algierii, chociaż związany z nimi stres zaczynał powoli mi-jać. Pamięć jest pod tym względem cudowna. Zatrzymuje rzeczy dobre, wymazuje złe. Dziesięć dni spędził z Fredem Kleinem, przedstawiając mu szczegółowy raport. Archiwa Tajnej Jedyńki nieustannie pęczniały, gdyż każda informacja, każde nazwisko i nazwa, wszystko, co mogło przyczynić się do lepszego zrozumienia tych, którzy czynili zło na skalę małą i wielką, mogło zostać wykorzystane w przyszłości. Na pierwszym miejscu listy figurował przywódca terrorystów, Mauritania który nie wiedzieć jak zdołał uciec ze zburzonego zamku. Zniknął, rozmył się w powietrzu, jak ulotne szaty, które tak lubił.

Kilku innych członków Tarczy Półksiężyca musiało zbiec razem z nim. W ruinach Chateau la Rouge zginęło ich znacznie mniej, niż on i Randi przewidywali w swoich raportach.

Jednakże Abu Auda zginął na pewno: znaleziono go z kilkoma kulami w plecach. Oczywiście nikt nie wiedział, kto je wystrzelił, ponieważ w zamku nie zastano nikogo żywego, ani terrorystów, ani legionistów.

Zginął nawet francuski generał, który zorganizował tę operację i nią kierował. Hrabia Roland la Porte nie żył. Kula roztrzaskała mu pół głowy. Zdołał przedtem włożyć swój galowy mundur, pełen medali i baretek. Włożył go, a potem palnął sobie w łeb. Gdy go znaleziono, wciąż ścisnął w rękę pistolet, a mundur miał przesiąknięty krwią.

Smutny koniec, dumął Jon, idąc po schodach do sali konferencyjnej. Zmarnowano, wy-paczono tak wielki potencjał. Ale właśnie po to istniała Tajna Jedyńka. Fred Klein wysłał do wywiadu wojskowego starannie wybieloną wersję raportu. Dzięki temu, gdyby generał Henze, Randi Russell czy Teresa Chambord zechcieli sprawdzić, gdzie Jon naprawdę pracuje, stwierdziliby jedynie, że został oficjalnie zaangażowany jako wolny strzelec.

Myśl, że życie jest tak kruche i delikatne, nie należy do przyjemnych. Dlatego wszystkie agencje wywiadowcze zwały szyki przed mediami, a CIA, Departament Obrony i Biały Dom konsekwentnie trzymały się wersji o genialnych hakerach, nowych rodzajach wirusów, o sile amerykańskiej armii i pełnej stabilności systemów telekomunikacyjnych. Wszyscy wiedzieli, że z czasem zamieszanie ucichnie. Ludzie muszą żyć dalej. Nadejdą inne kryzysy. Już teraz komentarze na temat podejrzanej awarii satelitów zamieszczano na trzeciej, czwartej stronie gazet, a wkrótce - i nieodwołalnie - sprawa ta całkiem przebrzmi.

259

Smith wszedł do sali i usiadł z tyłu, czekając, aż wszyscy się zejdą. Szykował się do co-tygodniowej odprawy naukowej, na której mieli omówić nowe, obiecujące rozwiązania mogące przyspieszyć budowę komputera molekularnego. Tworzyli kolorową zbieraninę, prawdziwą menażerię niezwykle inteligentnych i niezwykle trudnych do opanowania ludzi. Same indywidualności, nieokiełznane i nieujarzmione. Ci najlepsi zawsze tacy byli, w przeciwnym razie nie intrygowałoby ich to, co nieznane i niezbadane. Ktoś zaparzył kawę i w sali zapachniało. Dwie osoby wybiegły po kubki.

Gdy wreszcie się zeszli, było ich około trzydziścioro. Przewodniczący zespołu wygłosił kilka słów wprowadzenia i oddał głos Jonowi.

Smith wyszedł na przód sali i stanął pod oknami wychodzącymi na zielony campus.

- Pewnie zastanawiacie się, gdzie, u diabła, byłem - zaczął z poważną miną. - Otóż...

- To ciebie nie było? - rzucił Larry Schulenberg. - Kurczę, nie miałem pojęcia.

Buchnął śmiech.

- Ja też nie zauważyłem - dodał ktoś inny.

- Jon, naprawdę cię nie było? Poważnie? To nie był sen?

Smith parsknął śmiechem.

- Dobra, chyba mi się należało. Pozwólcie, że sformułuję to inaczej. Gdyby ktoś z was tego nie zauważył, ostatnio nie było mnie w instytucie. - I spoważniał. - Dużo myślałem o naszym przedsięwzięciu i wpadłem na kilka nowych pomysłów. Przyszło mi, na przykład, do głowy, że przez cały czas pomijaliśmy możliwość wykorzystania molekuł emitujących światło. Wykorzystania ich zamiast przełączników, dzięki czemu zamiast zwykłego przełącznika typu ON-OFF, moglibyśmy uzyskać coś w rodzaju potencjometru do stopniowego zmniejszania natężenia światła.

- Molekuły służące nie tylko do przeprowadzania obliczeń, ale i do wykrywania procesów obliczeniowych, tak? - spytał Larry Schulenberg.

- To by dopiero był numer! - wykrzyknął ktoś inny. - Gdyby wypaliło.

- Gdyby wypaliło - spekulował ktoś z prawej strony – moglibyśmy to światło przechwycić i jakoś je przetransformować. Płytką. Na przykład metalową płytką, która pochłonięłaby je, a potem wyemitowała w postaci energii.

Wybuchła ożywiona dyskusja, ale Jon musiał ją na chwilę przerwać.

- Kolejnym problemem, który nas dręczył, było odwrócenie przepływu informacji na wzór tradycyjnego komputera krzemowego. Rozwiązaniem mógłby być dodatkowy interfejs między molekułami DNA i przełącznikiem. Dotychczas ograniczaliśmy się do zastosowania ciał stałych, ale właściwie dlaczego? Dlaczego nie mielibyśmy wykorzystać roztworów chemicznych? Dałoby to nam większą elastyczność, więcej możliwości...

- Słusznie! - krzyknął ktoś z tyłu sali. - Dlaczego nie zastosować żelu biomolekularnego? Roslyn, robiłaś doktorat z biopolimerów, tak? Nie moglibyśmy wykorzystać do tego nowych technologii żelowych?

Doktor Roslyn James zajęła im kilkanaście minut, zapisując zużytą tablicę wzorami i wprowadzając ich w tajniki najnowszych osiągnięć badań nad biożelami.

Narada szybko zaczęła żyć własnym życiem. Niektórzy robili notatki. Inni rzucali propozycje i podsuwali kolejne rozwiązania. Od pomysłu do pomysłu i wkrótce w sali wybuchnął gwar. Smith został z nimi do samego końca. Zdawał sobie sprawę, że może nic z tego nie wyjść. Ostatecznie istniało wiele sposobów budowy komputera molekularnego, a on znał za mało szczegółów, żeby pomóc im odtworzyć arcydzieło Emile'a Chamborda. Mógł jednak dać im chociaż dobrą odskocznię.

Zrobili przerwę na lunch. Jedni zamierzali kontynuować dyskusję w barze, inni, skupieni na swoich badaniach, poszli od razu do laboratorium.

260

Jon szedł niespiesznie do baru. Potem zamierzał wrócić do laboratorium i natychmiast przystąpić do pracy. Właśnie rozmyślał o polimerach, gdy w kieszeni zamruczała mu komórka.

- Dzień dobry, pułkowniku. - Dzwonił Klein. Głos miał wesoły, jakże inny od głosu, którym przemawiał przed kilkoma tygodniami.

- Jakże mógłbym cię nie rozpoznać, Fred.

Ktoś chwycił go za ramię. Jon drgnął. I się zreflektował. Gdyby na ulicy strzelił gaźnik, pewnie rzuciłby się na podłogę, szukając schronienia. Wiedział, że upłynie sporo czasu, zanim przywyknie

do zwykłego, bezpiecznego życia, ale bardzo tego chciał. Umysł i ciało już się prawie wygoiły, mimo to wciąż był czujny.

- Zjesz z nami? - Lany Schulenberg zerknął na telefon w jego rękę.

- Tak, tak, zaraz przyjdę. Muszę z kimś porozmawiać. Weź dla mnie dwa pulpety.

Schulenberg uśmiechnął się i padające z góry światło rozbłysło w diamentowym ćwieczku, który nosił w uchu. Ten srebrzystoblękitnawy refleks skojarzył się Jonowi z paczuszkami żelu Chamborda.

- Dziewczyna? - spytał delikatnie Larry.

- Jeszcze nie - odrzekł Jon. - Dowiesz się pierwszy, słowo.

- Jasne. - Larry roześmiał się serdecznie i poszedł do windy.

- Zaczekaj, Fred - rzucił do telefonu Jon. - Pójdę gdzieś, gdzie będziemy mogli spokojnie pogadać.

Słońce było gorące i jego promienie przecinały czyste górskie powietrze jak laser. Góry.

Przypomniał mu się Peter. Gdy rozmawiali ostatni raz przez telefon, siedział w swoich górach, ukrywając się przed MI-6. Znowu coś dla niego mieli, ale on się do tego nie palił.

Oczywiście za nic nie chciał mu powiedzieć, co to za sprawa.

Smith włożył ciemne okulary.

- Wal. Już uważam.

- Rozmawiałaś ostatnio z Randi? - rzucił obojętnie Fred.

- A skąd. Dali jej coś nowego i wyjechała. Ale dziś rano dostałem e-maila od Marty'ego.

Siedzi w chałupie i zarzeka się, że już nigdy nigdzie nie wyjedzie.

- Skąd my to znamy.

- Sprawdzasz mnie, Fred? - spytał z uśmiechem Jon.

- Ja? Nie. No, może. Nieźle dostałeś tam w kość.

- Nie tylko ja. Ty też. Trudno jest siedzieć za kulisami i czekać, niewiedząc, co się dzieje.

- Cały czas niepokoiła go pewna myśl. - Co z Mauritania? Macie coś nowego?

- Właśnie po to do ciebie dzwonię. Nie pozwoliłeś mi przejść do rzeczy. Tak, mam dobre wiadomości. Namierzono go w Iraku. Ci z MI-6 widzieli tam mężczyznę odpowiadającego jego

rysopisowi i ściągnęli świadka, który go rozpoznał. Teraz dopadniemy go bez pudła.

Jon wrócił myślą do minionych wydarzeń, do Chamborda, do komputera molekularnego, do zimnego, wyrachowanego Mauritania, który w zamian za spełnienie swoich marzeń go-tów był handlować śmiercią innych.

- Świetnie. Daj mi znać, kiedy go znajdziecie. Wybacz, ale mam tu prawdziwy kierat.

Musimy zbudować ten komputer.

261

Podziękowania

Przyszłość skrywa wiele ciekawych ulepszeń i wynalazków, które są naturalnym wyrazem postępu.

Jednym z najbardziej prowokujących i fascynujących wyzwań, jakie stoją przed naukowcami, jest zbudowanie komputera molekularnego. Bardzo dziękujemy za pomoc dr Kathleen Foltz, która podzieliła się z nami wiedzą o najnowszych osiągnięciach z tej dziedziny. Dr Foltz jest profesorem na wydziale biologii molekularnej i komórkowej uniwersytetu w Santa Barbara. Ostatnio została

członkinią zarządu Kra-jowej Fundacji Naukowej. Jest również członkinią Instytutu Oceanograficznego.